



TOM
CLANCY

MARK GREANEY

TRYUMF
POSTPRAWDY

Tom Clancy
Mark Greaney

TRYUMF POSTPRAWDY

przełożył Leszek Karnas



Tytuł oryginału: *Support and defend*

Copyright © 2014 by The Estate of Thomas L. Clancy, Jr; Rubicon, Inc.; Jack Ryan Enterprises, Ltd.; Jack Ryan
Limited Partnership

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Copyright © for the Polish translation by Leszek Karnas

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Spis treści

[Główne postaci](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)
[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)
[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37](#)
[38](#)
[39](#)
[40](#)
[41](#)
[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[Epilog](#)

[Przypisy](#)

Główne postaci

Dominic Caruso – agent tajnych służb, Kampus

Ethan Ross – zastępca dyrektora do spraw Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, Rada Bezpieczeństwa Narodowego

Eve Pang – inżynier komputerowych systemów sieciowych, dziewczyna Rossa

Darren Albright – specjalny agent nadzorujący, Wydział Kontrwywiadu FBI

Nolan i Beale – specjaliści dochodzeniowi, Specjalna Grupa Dochodzeniowa FBI

Adara Sherman – kierowniczka do spraw transportu, Kampus

Harlan Banfield – dziennikarz, członek International Transparency Project

Gianna Bertoli – dyrektorka, International Transparency Project

Mohammed Mobasher – Armia Strażników Rewolucji Islamskiej

Kashan, Shiraz, Isfahan i Ormand – agenci tajnych służb, Siły Ghods

Arturo – wenezuelski oficer wywiadu

Rigoberto Finn – operator wariografu, FBI

Gerry Hendley – dyrektor, Kampus / Hendley Associates

Arik Yacoby – były agent tajnych służb, Shayetet 13, izraelskie morskie siły specjalne

David – izraelski agent wywiadu

Phillip McKell – ekspert do spraw sieci komputerowych

Prolog

W księżycowym świetle zamajaczyło wybrzeże Indii. Widok nie był imponujący; ot, wąska wstęga piasku, która wynurzyła się z ciemności kilkaset metrów przed dziobem statku. Pojawienie się lądu, niewidzianego od czterech dni, dostarczyło jednak mężczyźnie stojącemu na pokładzie dziobowym dwóch ważnych informacji.

Po pierwsze: że próba dotarcia w miejsce, w którym miała zostać przeprowadzona operacja, zakończyła się powodzeniem.

Po drugie: że nadeszła pora na poderżnięcie gardła kapitanowi.

Mężczyzna wy dobył nóż i ruszył w stronę schodów prowadzących na mostek nawigacyjny. Dwóch innych podążyło w jego ślady, ale tylko po to, żeby popatrzeć. Odpowiedzialność za uśmiercenie kapitana miała spaść na przywódcę. Ten nie traktował jej jednak jak jakiegoś szczególnego ciężaru; wręcz przeciwnie – ucieszył się, że ponownie będzie mógł udowodnić swoje oddanie sprawie.

Przywódca i jego sześciu ludzi spędzili trzy dni na pokładzie omańskiego trawlera przemierzającego otwarte wody Morza Arabskiego. Ostatniej nocy zbliżyli się do niemal dwudziestopięciometrowego statku przewożącego towary sypkie, zaczęli wymachiwać poszarpanym paskiem klinowym wentylatora i poprosili o pomoc w języku hindi, a gdy obie jednostki się zrównały, wtargnęli na sąsiedni pokład jak stado szczurów i wyróżnili niewielką załogę, oszczędzając jedynie kapitana. Kazali mu obrać kurs na wschód i popłynąć ku Wybrzeżu Malabarskiemu.

Przywódca musiał poświęcić pół dnia na przekonanie przerażonego kapitana, że nie podzieli on losu swojej załogi. Zabicie go byłoby jawnym zadaniem kłamu temu oświadczeniu; teraz jednak, wspinając się po schodkach na nieoświetlony mostek, przywódca nie zaprzętał sobie głowy rozważaniami o dotrzymaniu obietnicy. W myślach znajdował się już na lądzie i wykonywał swoje zadanie.

Przywódca był porucznikiem Brygad Izz ad-Din al-Kassam, bojowego skrzydła palestyńskiej organizacji politycznej Hamas. Został wysłany na tę misję, by wytropić jednego człowieka, lecz od samego początku wiedział, że będzie to wymagało poświęcenia życia wielu ludzi, choćby takich jak kapitan i jego załoga.

Do tej pory miał całkowitą kontrolę nad wyprawą. Losy następnej fazy operacji zależały jednak, dla odmiany, od kogoś innego. Bardzo go to martwiło, bo o wszystkim miały zdecydować kompetencje miejscowego kontaktu: kobiety, która – jak mu powiedziano na odprawie – miała potwierdzić obecność celu, rozlokowanie policji, a także, jeśli Bóg pozwoli, dostarczyć samochód w miejsce, w którym zejść na ląd i też jeśli Bóg pozwoli, nie zapomnieć o pozostawieniu kluczyków pod siedzeniem kierowcy.

Dotarłszy do szczytu schodków, przywódca na ułamek sekundy stracił równowagę i, ratując się, wyciągnął rękę, by przytrzymać się poręczy. Jego ludzie, którzy wdrapywali się jeszcze na górę, nie zauważyli, że się potknął. Ucieszyło go to, bo mogliby pomyśleć, że nie potrafi utrzymać nerwów na wodzy, a przecież byłoby to niedopuszczalne. Zachwiał się z zupełnie prozaicznego powodu: statek przechylił się właśnie na burtę. Choć przywódca pochodził ze Strefy Gazy i dorastał nad morzem,

nigdy wcześniej nie miał okazji znaleźć się na pokładzie jednostki większej niż niewielka rybacka łódź z zaburtowym silnikiem.

Został wybrany z uwagi na swoją inteligencję, bezwzględność i stanowczość, na pewno jednak nie ze względu na umiejętności żeglarskie.

Stał na mostku i rozejrzał się na wszystkie strony. Na brzegu zobaczył niewiele śladów cywilizacji; stało tam tylko kilka drewnianych chat. W odległości około czterdziestu pięciu kilometrów na południe widać było w mglistym powietrzu poświatę rozciągającą się nad Koczinem – wielką nadmorską metropolią.

Konstatując z zadowoleniem, że na otwartej wodzie nikt nie dosłyszy krzyku, przywódca chwycił zasuwkę drzwi.

Indyjski kapitan, człowiek w średnim wieku, nie odwrócił się na odgłos kroków ludzi wchodzących na mostek. Trzymał ręce na kole sterowym i wpatrywał się w morze. Był przerażony i z trudem łapał powietrze.

Już wiedział.

Przywódca zbliżył się do Hindusa, wciąż ukrywając nóż za plecami. Zamierzał zadać mężczyźnie jakieś mało znaczące pytanie, by rozproszyć jego uwagę i pozwolić mu się nieco rozluźnić. Zachował jednak milczenie. Uniósł prawą rękę, w której trzymał ostrze.

Zrobił jeszcze trzy kroki i, stanąwszy tuż za plecami kapitana, otoczył go ramieniem, przyłożył nóż do jego odsłoniętej szyi i mocno pociągnął, a potem opuścił rękę i cofnął się o krok. Hindus odwrócił się, przez co zachlapał krwią cały mostek, opryskał też spodnie i buty przywódcy, który aby uniknąć zalania posoką, wcześniej przezornie się cofnął.

Jego dwaj ludzie przyglądali się tej krwawej scenie przez drzwi, których nie dosięgła fontanna tryskająca z przeciętych tętnic.

Kapitan osunął się na kolana, jeszcze tylko przez krótką chwilę rzeżąc; z jego paskudnie wyglądającej rany uchodziło z sykiem powietrze. Umarł szybko. Na szczęście dla siebie i dla nas wszystkich, pomyślał przywódca.

– *Allahu akbar!* – wyrecytował z szacunkiem.

Przestąpił przez ciało, roznosząc krew na butach – bo nie dało się tego uniknąć – i położył ręce na kole sterowym.

Jednak tylko na chwilę. Nie był przecież kapitanem. W istocie ani on, ani żaden z pozostałych mężczyzn obecnych na pokładzie nie mieli pojęcia, jak bezpiecznie wprowadzić statek do portu, chociaż i tak byłoby to niewykonalne: kapitan powiedział im przecież, że tam, gdzie chcieli dobić, nie ma żadnego portu. Przywódca przesunął dźwignie, ustawiając silniki na bieg jałowy, i rozkazał swoim ludziom zejść do łodzi wypakowanej sprzętem, która kołysała się już na wodzie przy burcie od strony lądu.

Dwadzieścia minut później siedmiu mężczyzn wygramoliło się z niewielkiej łódki, przebrnęło przez spienione fale obmywające brzeg i wyciągnęło swój środek transportu na piaszczystą łacę, na tyle daleko, by łódź nie została porwana przez wodę.

Pozostawienie łódki na widoku nie stanowiło problemu. Nie była im już potrzebna, ponieważ przywódca miał poprowadzić swoich ludzi lądem na wchód, do Maduraju, a potem, dzięki

podrobionym dokumentom, wsiąść z nimi do samolotu i opuścić to miasto. Widok niewyróżniającej się niczym szczególnym łodzi nie zagrażał powodzeniu przedsięwzięcia. Spoczęła bowiem wśród kilku innych, niepilnowanych przez nikogo, małych łódek rozrzuconych po plaży. Należały one do miejscowych rybaków łowiących sieciami, którzy zostawiali je na noc, a udając się do swoich chat pokrytych strzechami, nie zapominali o zabraniu ze sobą zaburtowych silników, będących obiektem zainteresowania złodziei.

Mężczyźni wyjęli z łodzi czarne torby i zaczęli wyciągać oporządzenie. Trzech założyło kamizelki taktyczne i ukryło je pod obszernymi wiatrówkami. Pozostali zawiesili na szyjach nierzucającą się w oczy broń o niewielkich rozmiarach i ładownice wypchane amunicją.

Mieli pistolety maszynowe micro uzi kalibru dziewięć milimetrów, wyprodukowane w Izraelu.– Jak na ironię wybrali je ze względu na ich niekwestionowaną niezawodność.

Trzy minuty później mężczyźni opuścili plażę i ruszyli ciemną nadbrzeżną drogą obsadzoną palmami kokosowymi.

Kobieta, która była ich kontaktem, zostawiła samochód w wyznaczonym wcześniej miejscu: maszyna stała na poboczu drogi, tuż nad wąskim przydrożnym rowem. Zgodnie z tym, czego dowiedział się przywódca na odprawie, była to duża brązowa furgonetka służąca do przewożenia mleka z okolicznych gospodarstw i dostarczania go mieszkańcom Koczinu. Dzięki zdemontowaniu instalacji chłodniczej kabina wozu powiększyła się na tyle, że mogła pomieścić pięciu mężczyzn, którzy wspięli się do niej bocznymi drzwiami.

Kluczyki znajdowały się w umówionym miejscu: pod przednim siedzeniem. Przywódca był zadowolony, a zarazem zaskoczony kompetencjami kobiety. Zajął miejsce na fotelu pasażera, a jego zastępca zasiadł za kierownicą. Pozostali mężczyźni siedzieli z tyłu, nie odzywając się ani słowem.

Ruszyli na wschód. Oddalili się od plaży i podążyli wąską brukowaną drogą okoloną stojącymi wodami, na które składała się płatanina naturalnych i sztucznych kanałów w miejscu złączenia rzeki Periyar z Morzem Arabskim. Światła reflektorów rozproszone przez gęstą mgłę wydobywały z mroku palmy kokosowe wyłaniające się z ciemności po obu stronach traktu.

Przywódca spojrzął na zegarek, a potem sprawdził pozycję na ręcznym odbiorniku GPS, do którego wprowadził dane, które przekazała mu miejscowa agentka. Pierwszym obiektem zainteresowania grupy miał być maszt sieci komórkowej przy drodze łączącej Paravur z Bhothakulamem. W okolicy brakowało zwykłych naziemnych linii telefonicznych; oznaczało to, że zniszczenie wieży przekaźnika doprowadzi do przerwania łączności ich celu z lokalną policją.

Po krótkiej naradzie z kierowcą przywódca odwrócił się do pięciu mężczyzn siedzących w tyle wozu. Dostrzegł jedynie ich ciemne sylwetki.

Dwóch znał od lat. Byli, podobnie jak on i kierowca, fedainami. Przywódca potrafił rozpoznać ich po sylwetkach, nie widząc nawet twarzy. Trzech pozostałych poznał w jemeńskim obozie na krótko przed wyjściem w morze. Teraz skoncentrował uwagę wyłącznie na tych obcych, a nawet uśmiechnął się do nich jak cierpliwy i dobroduszny wujaszek.

W jego uśmiechu czaił się jednak podstęp, bo w głębi ducha uznał ich za głupców. Odmówił wydania im karabinów: nie wierzył, że okażą się kompetentnymi żołnierzami. Postanowił też, że nie będą nosić broni, tylko sami nią zostaną. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i przemówił do nich po arabsku:

– Czas się zbliża, moi dzielni bracia. Przygotujcie się na męczeństwo.

Dominic Caruso miał dopiero trzydzieści dwa lata i pod każdym względem był sprawny fizycznie. Z trudem jednak nadążał za pięćdziesięciolatkiem biegnącym o kilka kroków przed nim. W ciągu ostatniej godziny mężczyźni przebyli dobrych osiem kilometrów, urozmaicając sobie drogę pokonaniem dodatkowego kilometra w wodzie, w warunkach, które bynajmniej nie sprzyjały wysiłkowi. Dom starał się wciągać do płuc jak najwięcej cuchnącego powietrza, by móc w ogóle się poruszać. Pomimo środka nocy wciąż panował piekielny upał, a ciemną ścieżkę przecinającą dżungłę tylko gdzieś tam rozjaśniały plamy rozmytego księżycowego światła, przefiltrowanego przez korony palm.

Pięćdziesięciolatek zdawał się znajdować drogę w ciemnościach bez najmniejszego trudu, Dom natomiast zahaczył czubkiem buta o wystający korzeń jakarandy i wylądował na czworakach, podpierając się dłońmi i kolanami.

– Sukinsyn – rzucił, oddychając z wysiłkiem.

Jego trener spojrzął za siebie, ale nie przerwał biegu. Domowi wydało się najpierw, że na twarzy starszego towarzysza pojawił się uśmiech, a potem usłyszał pytanie zadane niskim głosem z silnym akcentem:

– Potrzebujesz karetki?

– Nie, ja tylko...

– Więc, kurwa, wstawaj! – rzucił trener.

Zachichotał i dodał:

– Jazda, żołnierzu D!

Odwrócił się przed siebie i ruszył biegiem.

– Słusznie – odparł Dom.

Wstał, wytarł w szorty ręce umazane ciepłym błotem i pognął za trenerem.

Jeszcze miesiąc temu za cholere nie byłoby możliwe, żeby Amerykanin potrafił przebiec dziesięć kilometrów w trzydziestostopniowym upale i przy wilgotności powietrza wynoszącej dziewięćdziesiąt pięć procent – zwłaszcza w środku nocy, po całym dniu uprawiania się w sztukach walki. Jednak od kiedy przybył do Indii, czynił postępy w zwiększaniu siły fizycznej i psychicznej szybciej, niż można byłoby się spodziewać, a zawdzięczał to właśnie Arikowi Yacoby'emu, który biegł kilkanaście metrów przed nim.

Błotnista ścieżka wyprowadziła ich na brukowaną drogę. Arik skręcił w lewo i ruszył sprintem. Dominic podążył w jego ślady, chociaż pomyślał, że powinni byli pobiec w prawo. Był tu jednak gościem i wierzył, że Yacoby zna okoliczne drogi o wiele lepiej.

Yacoby nie wywodził się jednak z lokalnej społeczności. Przebywał w Indiach dopiero od kilku lat, chociaż jego wyborna kondycja fizyczna świadczyła o tym, że już setki razy przebiegł wszystkie okoliczne drogi i dróżki.

Dom wiedział bardzo niewiele o jego przeszłości: tylko tyle, że Arik Yacoby jest Izraelczykiem, który wyemigrował do Indii, i jeszcze, że Arik służył kiedyś w Siłach Obronnych Izraela. Dom bez

zbytniego trudu mógł wyobrazić sobie Arika jako żołnierza elitarnego oddziału: w tym przekonaniu utwierdzały go sprawność i dyscyplina, a także przenikliwe i zdecydowane spojrzenie stalowych oczu trenera.

Dom przybył do Indii na sześciotygodniowe szkolenie pod okiem Yacoby'ego, który był posiadaczem czarnego pasa czwartego stopnia w krav madze – sztuce walki stworzonej dla izraelskiego wojska. Same w sobie ich ćwiczenia walki wręcz były bardzo intensywne, a nocne sesje sam na sam urozmaicały te, i tak już męczące, treningi.

Pływali, biegali i wspinali się, nierzadko czyniąc to wszystko w ciągu jednej nocy. Dom nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Arik poczytuje sobie za obowiązek przekazanie mu nie tylko umiejętności walki, lecz także wszystkich fizycznych i psychicznych aspektów związanych ze służbą w izraelskich siłach specjalnych.

Wszystkich – z wyjątkiem posługiwania się bronią palną. Bo były to Indie, a Arik – choć uzyskał już status stałego rezydenta – nie był policjantem ani żołnierzem, a zatem nie mógł ubiegać się o prawo posiadania broni.

Jednak Dom nie sądził, by jej brak czynił Yacoby'ego mniej niebezpiecznym.

Wyprawa na indyjski kurs krav magi stanowiła trzeci etap czteromiesięcznego szkolenia Dominica Caruso. Tuż przed przyjazdem do Indii Dom spędził trzy tygodnie w górach Jukonu, gdzie wspinał się w towarzystwie doświadczonego kanadyjskiego alpinisty, a jeszcze wcześniej, w Reno w Nevadzie, zgłębiał tajniki magicznych sztuk służących odwracaniu uwagi. Jego nauczycielem był jeden z najlepszych mistrzów iluzji.

Po zakończeniu treningów w Indiach Dom miał polecieć do Pensylwanii i tam, pod okiem byłego snajpera służącego wcześniej w szeregach amerykańskich marines, trenować strzelanie na dużą odległość, a później udać się prosto do japońskiego Sapporo, gdzie miał na niego czekać mistrz w posługiwaniu się bronią białą.

Podczas każdego z tych etapów Dom, ćwiczący sam na sam z każdym z trenerów, chłonał wiedzę swoich nauczycieli jak gąbka i zasypywał ich tysiącami pytań. Trenerzy natomiast nie pytali go prawie o nic. Nie znali jego prawdziwego nazwiska (Arik nazywał go po prostu D), nie byli świadomi, jaką organizację reprezentuje, i nie mieli pojęcia o jego pochodzeniu. Wiedzieli tylko – i to było wszystko, co musieli wiedzieć – że Dom otrzymał namaszczenie od ważnych osób związanych z amerykańską społecznością wywiadowczą.

Trenerzy z pewnością wychodzili z założenia, że Dom związany był z FBI, JSOC lub innym akronimem oznaczającym kłopoty, natomiast sam Caruso nie czynił nic, by rozwiać te wyobrażenia. W rzeczywistości bowiem nie miał nic wspólnego z żadną z oficjalnych agencji rządowych – był oficerem operacyjnym jednostki znanej jako Kampus. To nieformalna organizacja wywiadowcza, której członkowie brali udział w działaniach bezpośrednich. O jej istnieniu wiedziało tylko kilku ważnych rządowych oficjeli. To właśnie oni kontaktowali się z elitarną kadrą trenerów z całego świata i organizowali indywidualne treningi, podczas których Dom i jego koledzy z Kampusu mogli szkolić się pod okiem wirtuozów sztuk walki, wytrawnych wspinaczy, snajperów, nurków, mistrzów sportów ekstremalnych, ekspertów zajmujących się kulturami i językami oraz specjalistów w wielu innych dziedzinach, które mogłyby okazać się niezbędne, by każda z nieoficjalnych operacji zakończyła się powodzeniem.

Przed przybyciem do Kampusu Dom był oficerem FBI. Zdobył dzięki temu mnóstwo praktycznych umiejętności, lecz Akademia FBI w Quantico nie wysyłała rekrutów w wysokie góry ani nie wymagała od nich umiejętności skradania się na tropikalnych bagniskach.

Caruso nauczył się wiele podczas każdego z etapów swojego ponadprogramowego szkolenia. Jak dotąd jednak najbardziej cenił sobie czas spędzony w towarzystwie Arika Yacoby'ego – w dużej mierze dzięki samemu Arikowi oraz jego rodzinie. Hanna, żona Arika, a zarazem instruktorka jogi, przyjęła Dominica w swoim domu jak dawno niewidzianego krewnego, a ich dwaj mali synowie – roczny Mosze i trzyletni Dar – traktowali go jak żywy mały gaj i każdego wieczoru, gdy dorośli rozmawiali w salonie przy kolacji i piwie, wdrapywali się na niego z upodobaniem.

Dominic, zatwardziały kawaler, był zdumiony radością, którą sprawiało mu przyglądanie się rodzinnemu życiu Yacobych.

Tego wieczoru, tuż po kolacji, Dom poszedł do swojego pokoju, by odrobić „zadanie domowe”: poczytać o filozofii krav magi. Przysnął przed jedenastą, lecz kilka minut po północy w drzwiach pojawił się Arik, który powiedział mu, że ma trzy minuty na wskoczenie w pływackie szorty, włożenie butów do biegania i zameldowanie się przed domem.

Te nocne operacje – jak nazywał je Yacoby – miały zwiększyć gotowość Caruso do działania na rozkaz, nawet jeśli był niewyspany lub gdyby biorytmy podpowiadały mu, że należy odpocząć.

Ciało Dominica przystosowało się, choć niechętnie, do tego stylu życia, podczas gdy Arik wydawał się naprawdę kochać bieganie i pływanie w środku nocy.

Trzy minuty po pobudce mężczyźni ruszyli biegiem. Oddalili się od domu i podążyli drogą, która wyprowadziła ich pomiędzy gospodarstw i bungalowów zamieszkałych przez żydowską społeczność. Wbiegli pomiędzy dwa rzędy palm, po chwili skręcili na zachód, w kierunku oceanu, a potem, gdy byli już daleko od najbliższej wioski, na północ. Dotarli w końcu do ścieżki biegnącej przez dżunglę, która chwilami wydawała się nie do pokonania z powodu kompletnych ciemności panujących pod podwójnym sklepieniem palm kokosowych i bananowców.

Dobiegli na brzeg jeziora Paravur. Yacoby niemal natychmiast wszedł do wody i zaczął swobodnie i szybko płynąć żabką. Starając się dotrzymać mu tempa, Dom musiał zasuwać kraulem.

Niezbyt lubił to jezioro. Gdy przepłynął je po raz pierwszy i wdrapał się na brzeg, znalazł się niecałe dziesięć metrów od jamy, w której wiły się kobry. Arik roześmiał się, widząc spanikowanego Doma, i powiedział mu, że kobry, podobnie jak większość najniebezpieczniejszych stworzeń na świecie, chcą tylko mieć spokój i nie krzywdzą nikogo, kto nie wchodzi im w drogę.

Tym razem Dom dostrzegł wielkiego pytona, który wysunął się z trzciny. Gad, jakby wiedząc, co powiedział kiedyś Arik, spokojnie odpętlzył i obeszło się bez niespodzianek. Mężczyźni bezpiecznie dopłynęli do brzegu.

Wyszędłszy z wody, zaczęli biec wąłem przeciwpowodziowym ciągnącym się wzdłuż plantacji manioku, a potem wpadli do dżungli poprzetykanej rozlewiskami i pognali kolejną trzykilometrową ciemną ścieżką.

Wybiegli z powrotem na wybrukowany trakt i zawrócili do Paravuru. Na pustej drodze za ich plecami zagdakała mała autoriksza. Jej silnik zakaszał, gdy zatrzymała się przed jednym z domów, by zabrać kobietę czekającą na wczesną podwózkę do pracy w Koczinie. Arik i Dom pomachali pasażerce i kierowcy, kiedy ten zawrócił i ruszył w stronę miasta.

Arik zwolnił w końcu i zaczął maszerować.

– Mamy tylko dwa kilometry do domu – powiedział lekko tylko zdyszonym głosem. – Odpocznijmy przez resztę drogi. Dziś dostajesz taryfę ulgową.

Dominic starał się dyszeć jak najciszej, ale prawie nie mógł wydobyć głosu.

– Dzięki – wysapał w końcu, chwytając łapczywie wilgotne i gorące powietrze.

– Podziękujesz mi rano – odparł Arik. – Zaczniemy od full kontaktu w dojo, a przed lunchem nie zabraknie nam czasu na długie pływanie.

Dom skinął tylko głową w milczeniu.

Kilka sekund później za ich plecami pojawiły się światła kolejnego pojazdu. Mężczyźni czmychnęli na pobocze. Wyprzedziła ich duża brązowa furgonetka do przewozu mleka, jadąca na południe.

Widząc ją, Arik przekrzywił głowę, lecz nie odezwał się ani słowem.

Upłynęła kolejna minuta. Gdy mijali miejscową synagogę pogrążoną w ciemnościach, Arik rzekł:

– Na tym cmentarzu leżą moi przodkowie. Wiesz chyba, że właśnie tu żyje najstarsza żydowska społeczność w Indiach.

Dom, wciąż zbyt zdyszany, by mówić, ponownie skinął głową i z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Wszak w ciągu miesiąca Arik wspomniał o tym blisko dziesięć razy. Jego rodzina wywodziła się bowiem stąd, z zachodnich wybrzeży Indii. Później, wysiedlona, znalazła swoje miejsce w Izraelu. Przed kilku laty, służąc jeszcze w siłach specjalnych, Arik przybył tu na urlop, by zgłębić historię Yacobyh. Pewnego dnia, zwiedzając starą synagogę i wędrując ulicami Paravuru, postanowił, że wróci tu i zamieszka na stałe, by powiększyć niewielką żydowską społeczność i wychować dzieci na ziemi, po której stapały kiedyś pokolenia jego przodków.

Dom lubił w Ariku jego silny charakter i wytrwałe dążenie do celu.

Małe gospodarstwo Yacobyh leżało na uboczu, przy końcu ślepej drogi odchodzącej od Temple Road, a zarazem niedaleko synagogi i żydowskich domostw. Po obu stronach wybrukowanego traktu rosła gęsta dżungla, a za gospodarstwem rozciągała się rozległa plantacja ryżu rosnącego w słonawej wodzie. Miejsce było odcięte od reszty wioski; pozwoliło to Arikowi i Domowi natychmiast dostrzec pojazd zaparkowany na poboczu. Dzieliło ich od niego niecałe pięćdziesiąt metrów.

Była to furgonetka do przewozu mleka, która wyprzedziła ich dziesięć minut wcześniej.

Yacoby ujął Doma pod ramię i zwolnił.

– Nie powinno jej tu być – powiedział.

Bardziej zaciekawieni niż zaniepokojeni, zbliżyli się do samochodu od tyłu, a potem zajrzeli do środka. Był pusty.

Arik podniósł wzrok i spojrzał w stronę swojego domu.

– Widywałem już ten wóz w okolicy – zauważył Dominic.

Arik sięgnął do bocznej kieszeni szortów i wyjmując z wodoszczelnego pokrowca telefon komórkowy, powiedział:

– Tak, ale nie tu. Tym wozem dostarcza się mleko z gospodarstw na północy na południe, do Koczinu, a codzienna trasa dostawy biegnie jakieś dwa kilometry na wschód stąd.

Caruso – choć zaimponowała mu znajomość miejscowych zwyczajów okazana przez Arika – nie

podzielał jeszcze jawnego niepokoju swojego trenera.

Yacoby wybrał numer do żony i ruszył drogą, mając Doma tuż za plecami. Po chwili zerknął na telefon.

– Brak zasięgu – stwierdził.

– Często się to tu zdarza? – zapytał Dom.

– Od czasu do czasu – odpowiedział szeptem Arik. – Ale nie wierzę, że to przypadek. Dzieje się coś dziwnego.

Dom pomyślał, że Arik zaskakująco szybko doszedł do tego wniosku. Yacoby znał jednak teren bez porównania lepiej; wiedział też, jakich zagrożeń można się było spodziewać.

– Chodźmy więc – powiedział Caruso i wznowił marsz.

– Nie tędy – odparł Arik. – Podejźmy do domu z zachodu, spomiędzy drzew.

Odwrócił się i skierował ku gąszczowi. Arik podążył za trenerem.

Gdy weszli do dżungli, Dominic zauważył, że nie jest ona tak gęsta, jak mu się wydawało, gdy było ją widać z drogi.

Każde z drzew – bananowców, palm kokosowych, jakarand i mango – zajmowało własną przestrzeń, dzięki czemu między pniami było dość miejsca, by można się było swobodnie poruszać; niewielka ilość światła docierającego do dna lasu sprawiała natomiast, że nie pokrywał go gęsty podszyt. Arik miał przy sobie latarkę taktyczną, lecz nie wyjął jej z kieszeni – oświetlał drogę jedynie telefonem komórkowym, aby nie zdradzić swojej obecności. Obaj mężczyźni, gnani potrzebą wyjaśnienia, kto przerwał łączność telefoniczną i zostawił furgonetkę przy drodze, poruszali się szybko w mdłym świetle.

Dotarli w końcu do skraju dżungli, obok drewnutni stojącej przy żwirowym podjeździe. Opadli na kolana i zaczęli bacznie lustrować otoczenie. Dzięki półtoragodzinnej wędrówce w ciemnościach ich wzrok był w stanie wychwycić każdą, najwęższą nawet odrobinę światła.

Pośrodku niewielkiej farmy o powierzchni zaledwie czterech akrów wznosił się piętrowy bungalow, a z boku stał budynek przerobiony przez Arika na jego dojo oraz studio jogi Hanny. W głębi znajdował się duży kurnik sąsiadujący z ogrodem warzywnym. Na podjeździe, przy bocznej ścianie bungalowu, stały samochody Yacoby'ch: ciężarówka oraz dwa dżipy.

Caruso powoli wyciągnął rękę i ścisnął ramię Yacoby'ego. Izraelczyk podążył za wzrokiem swego towarzysza i dostrzegł ruch po drugiej stronie małego stawu rozciągającego się przed frontem głównego budynku. Rozpoznał ludzką sylwetkę, lecz ciemności uniemożliwiły mu odróżnienie szczegółów.

Po kilku sekundach obaj mężczyźni odwrócili się na dźwięk chrzęszczącego żwiru. Klęcząc wśród palm, zauważyli z odległości dwudziestu kilku metrów drugą postać przemykającą między równoległe zaparkowanymi na podjeździe dżipami Arika i Hanny. Nieznajomy podszedł do swego kompana czekającego nad stawem. Nocni intruzi przyglądali się domostwu.

Jeszcze przed chwilą Dominic był przekonany, że widok pustego samochodu wywołał przesadnie mocną reakcję Arika. Teraz jednak poczuł silne walenie serca i tępy ból w łędźwiach, nieodłącznie towarzyszące zagrożeniu. Zrozumiał, że właśnie dzieje się coś złego, i uświadomił sobie bolesną prawdę: ani on, ani trener nie byli uzbrojeni i mieli na sobie tylko krótkie bojówki.

Arik wciągnął Dominica w gęstwinę i wyszeptał, wciąż przeszukując wzrokiem otoczenie:

– Przed domem jest ich dwóch. Spróbuję sprawdzić, czy mają broń. Ty przedostań się między drzewami na tyły domu, a potem wróć tu i zamelduj mi, co się dzieje. Ruszaj!

– Arik, jeśli to jakiś rodzaj sprawdzianu...

Yacoby odwrócił się. Caruso dostrzegł zaniepokojony wzrok i zaciśniętą, wysuniętą do przodu żuchwę swojego towarzysza.

– To nie ćwiczenia, D – odparł Arik. – To się dzieje naprawdę.

– Rozumiem – rzekł Dom i zniknął w ciemnościach.

Potrzebował niecałej minuty, by znaleźć się w miejscu, z którego można było zobaczyć zaplecze budynku. Początkowo nie zauważył podejrzanych ruchów. Słychać było tylko szelesty rozlegające się od czasu do czasu w kurniku, a szczytem drewnianego ogrodzenia okalającego warzywnik wędrowała duża jaszczurka. Pomyślał, że pora wycofać do drewnutni, lecz wtedy wyczuł ruch w ciemnościach blisko domu. Przesunął się o metr w prawo i wyciągnął szyję.

Zobaczył ich. Trzydzieści metrów od niego majaczyły w ciemnościach dwie postaci. Przynajmniej jeden z intruzów był uzbrojony: miał na pasie broń zwisającą z ramienia. Obaj ubrani byli w ciemne stroje. Stali blisko siebie pośrodku podwórka, wpatrzeni w dom Arika.

Dominic pomyślał, że jeden z nieproszonych gości nosi maskę, gdyż światło księżyca nie odbijało się od jego twarzy. Nie był jednak w stanie rozpoznać ich narodowości, a nawet typu broni. Wycofał się między palmy i ruszył w kierunku Izraelczyka, starając się stąpać jak najciszej.

Gdy już znalazł się za drewnutnią, omal nie przeoczył i nie minął Arika.

– Melduj – powiedział trener, czym zdradził swoją obecność w niemal kompletnych ciemnościach.

– Dwóch mężczyzn. Widziałem jedną sztukę broni. Pistolet maszynowy albo mały karabinek, ale nie wiem jaki. Stoją przy końcu kurnika i obserwują dom. Czy ci od frontu są uzbrojeni?

– Jeden ma micro uzi i nosi maskę. Drugi może mieć pistolet, ale nie widziałem wyraźnie jego rąk.

Dom wciąż odczuwał gonitwę myśli.

– Cholera – zaklął. – Czy istnieje jakaś szansa, że to indyjscy policjanci?

Yacoby pokręcił głową.

– Co o tym myślisz? – zapytał Caruso.

– To dwuosobowe zespoły ogniowe. Typowe dla fedainów – wyjaśnił Arik.

Caruso znał to słowo: fedaini to islamscy bojownicy.

– Laszkar? – zapytał Dom.

Laszkar-i-Toiba była organizacją terrorystyczną osadzoną w Pakistanie, lecz od lat aktywną także w Indiach.

– Być może – odparł Arik, lecz powiedział to bez przekonania.

– Myślisz, że chcą zaatakować dom?

Arik nie zdążył odpowiedzieć, bo donośny kobiecy krzyk przeszył gorące nocne powietrze. Dom natychmiast rozpoznał, że krzyczała Hanna, żona Arika. Wydawało się, że kobieta jest bardziej zdeterminowana niż przerażona, lecz mimo to jej podniesiony głos wdzierający się w nocną ciszę mroził krew w żyłach.

Yacoby podczołgał się do przodu, gotów w każdej chwili ruszyć przed siebie, gdyby Hanna znów

zaczęła krzyżeć. Powstrzymał się jednak i ponownie ukląkł.

– Już zaatakowali – szepnął. – Ci na dworze to obstawa. Inni są już w środku. Co najmniej dwóch, może więcej.

Dom spojrział na swego towarzysza z przerażeniem. Zauważył spokój w głosie Yacoby'ego, odzwierciedlającym co prawda emocje, lecz nienaznaczonym paniką. Arik, który z pewnością myślał o żonie i dzieciach, potrafił jednak odłożyć te myśli na bok, by skoncentrować się na rozwiązaniu problemu.

Na przedarciu się przez obstawę czterech mężczyzn przebywających na zewnątrz.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytał Caruso.

Arik nie odrywał wzroku od bungalowu. Zaczął mówić szybko, lecz spokojnie:

– Ściągnięcie miejscowej policji potrwałoby jakieś pół godziny, a i tak nie jestem pewien, czy nie pogorszyłyby to sytuacji. Żaden z moich sąsiadów nie ma telefonu stacjonarnego ani broni. Muszę to załatwić sam.

– Zgadza się.

– Opracowaliśmy z Hanną plan na wypadek kłopotów – oświadczył Yacoby. – Jeśli tylko zdążyła, to dzieci powinny być w łazience obok naszej sypialni. Właśnie tam chcę się dostać. Wejdę do domu kuchennymi drzwiami przy podjeździe.

– A ja?

– Zostań tu i obserwuj tych za domem. Alarmuj, jeśli będą kłopoty.

Caruso pokręcił głową, mówiąc:

– Nie ma mowy. Załatwimy to razem od początku do końca.

Nie odwracając się do Doma i nie przerywając obserwacji, Arik lekko skinął głową.

– Dobrze – rzekł. – Podejmiemy razem do bocznych drzwi. Jak już będę w środku, wezmę nóż kuchenny i spróbuję przedrzeć się do rodziny na piętrze. Ty też weź nóż i przygotuj się na konfrontację, jeśli ci czterej zechcą wejść do domu.

Dominic pomyślał, że to iście samobójcza misja, lecz nie widział innego rozwiązania.

Yacoby wstał powoli, szykując się do drogi, lecz zanim ruszył, pochylił się ku Caruso i powiedział:

– Jeśli coś mi się stanie, a tobie uda się dostać do domu, to pod moim łóżkiem jest zamknięta skrzynka, w której znajdziesz tawora i sześć magazynków. Szyfr do zamka to jeden, dziewięć, sześć, sześć, cztery.

Dom wiedział, że Arikowi w Indiach nie wolno było mieć broni, lecz niespecjalnie się tym przejął.

– Jeden, dziewięć, sześć, sześć, cztery – powtórzył. – Zapamiętam.

Wciąż szepcząc, Arik powiedział szybko:

– Nie będzie czasu, by się wahać. Musisz być bezlitosny.

Dom wstał.

– Chodźmy już do twojej rodziny – powiedział.

Gdy ruszyli w stronę drewni, krzyk Hanny Yacoby ponownie rozdarł ciszę gorącej i wilgotnej nocy.

Arik i Dom przeczołgali się między samochodami po podjeździe wysypanym pokruszonymi morskimi muszlami, boleśnie raniąc sobie kolana i dłonie. Dominic pełznący z tyłu spoglądał na zmianę to na poprzedzającego go Yacoby'ego, to na fragment podwórza na tyłach domu. Miał nadzieję, że żaden z intruzów nie usłyszy podejrzanych odgłosów i nie postanowi sprawdzić, skąd dochodzą. Arik usiłował śledzić poczynania mężczyzn przebywających przed frontowym wejściem, lecz głównym celem jego starań było jak najszybsze i jak najcichsze podejście do budynku.

Dotarli do bocznych drzwi. Arik uniósł się nieco, by pochwycić klamkę, i powoli ją przekręcił. Na piętrze ponownie rozległ się krzyk, lecz tym razem był to głos mężczyzny. Arik nie potrafił rozpoznać słów. Wykorzystał jednak okazję: głośny wrzask doskonale maskował szelest ich kroków. Wślizgnął się do ciemnej i pustej kuchni.

Caruso zrobił to samo, a potem obaj sięgnęli po noże do mięsa umieszczone w stojaku na kuchennym blacie. Działali w całkowitym milczeniu. Arik zniknął w ciemnym korytarzu prowadzącym do głównych pomieszczeń mieszkalnych, z których wchodziło się schodami na piętro, natomiast Dominic ustawił się w kuchennym zakątku tak, by mieć na oku obydwaj wejścia. Był oddalony o dziesięć metrów od drzwi frontowych i pięć od kuchennych. Nie była to, prawdę mówiąc, pozycja umożliwiająca stawienie czoła uzbrojonym przeciwnikom wchodzącym jednym lub drugim wejściem. Dom mógł się tylko przygotować i mieć nadzieję, że Yacoby dotarł do swoich bliskich lub do broni bez wszczynania niepotrzebnego hałasu, który mógłby spowodować wkroczenie wrogich posiłków do jego domostwa.

Rozważając swoje możliwości, Caruso powtórnie zbliżył się do stojaka z nożami, wyjął z niego jeszcze jeden – tym razem doskonale wyważony spiczasty nożyk do obierania – i wrócił na posterunek w kącie kuchni.

Wciąż uznawał swoją misję za samobójczą, lecz nie zamierzał poddać się bez walki.

Arik Yacoby nie miał pojęcia, z iloma przeciwnikami przyjdzie mu się zmierzyć. Musiał jednak się upewnić, że żaden z nich nie przebywa na parterze. Słyszał jedynie męczyznę wywrzaskującego na piętrze pytania skierowane do jego żony, która odpowiadała krzykiem przepelnionym złością.

Gdy już stanął przy schodach, Arik zsunął sportowe buty i powoli, jak najciszej, zaczął wchodzić na piętro. Trzymał się blisko ściany, by zapobiec skrzypieniu drewnianych stopni.

Dotarł na górę. Spojrzał w głąb niemal zupełnie ciemnego korytarza, ciągnącego się niczym kręgosłup wzdłuż całego piętra. Przez otwarte drzwi łazienki, która mieściła się po prawej w połowie drogi, do korytarza wpadało nieco księżycowego światła. Pozwoliło ono Arikowi dostrzec otwarte drzwi jego sypialni na końcu korytarza. W poświacie nie było widać poruszających się cieni, co podpowiedziało mu, że łazienka jest pusta, a jeśli nie, to ktoś, kto w niej przebywa, tkwi

w doskonałym bezruchu. Otwarte były również drzwi po lewej, lecz obydwa pomieszczenia – jego gabinet oraz, trochę dalej, pokój dzieci – pogrążone były w zupełnych ciemnościach.

Arik poczuł, że krew ścina mu się w żyłach, lecz zaczął powoli kroczyć w głąb korytarza, trzymając nóż w pogotowiu.

Teraz lepiej usłyszał mężczyznę przeszukującego jego żonę w sypialni. Intruz mówił po angielsku, pytając Hannę – najwyraźniej nie po raz pierwszy – o męża. W jego głosie można było wyczuć frustrację graniczącą z desperacją, a odgłos uderzenia otwartą dłońią w twarz i krzyk Hanny upewniły Yacoby'ego, że napastnik nie doczekał się odpowiedzi.

Arik ponownie zerknął na poświatę w drzwiach łazienki, lecz i tym razem nie dostrzegł najmniejszego ruchu. Chcąc iść dalej, musiał najpierw sprawdzić pokoje po lewej. Lecz gdy tylko ruszył, z ciemności wyłonił się nieznajomy mężczyzna wkraczający do korytarza. Nosił czarną kominiarkę i był wyższy od Yacoby'ego o dobrych pięć centymetrów. Spojrzeli na siebie. Arik wyczuł broń w rękach intruza, lecz nie zamierzał się tym przejmować. Jego ręka wystrzeliła do przodu jak sprężyna. Dźgnął przeciwnika w ramię, wypuszczając nóż, gdy ugodzony się odwrócił. Wtedy Yacoby rzucił się do przodu ze zwinnością i zdecydowaniem mistrza krav magi. Odciągnął pistolet maszynowy od zamaskowanego mężczyzny, wyrwał mu go z rąk i szybko obrócił, a potem skierował ku twarzy intruza. Terrorysta spróbował unieść ręce w odruchu samoobrony, lecz Yacoby zadał pchnięcie bronią o krótkiej lufie i zatopił jej tłumik w oczodole przeciwnika, którego głowa odskoczyła do tyłu. Gdy bandyta zatoczył się i cofnął do gabinetu, Izraelczyk dopadł go, zakrył mu usta ręką, a potem przewrócił na podłogę. Chwycił mężczyznę jak zapaśnik, po czym przekręcił mu głowę, przerywając mu rdzeń kręgowy.

Ułożywszy martwego napastnika, szybko odczepił zdobyte uzi od pasa i odwrócił się, by do końca zlustrować cały gabinet i sprawdzić, czy nie czają się w nim jakieś inne niebezpieczeństwa.

Pomieszczenie było puste, lecz gdy Arik ponownie wyjrzał na korytarz, dostrzegł sylwetkę, która pojawiła się w drzwiach sypialni. Była ledwie widoczna w świetle księżyca, ale Yacoby nie miał wątpliwości, że widzi dorosłego mężczyznę. Zauważył unoszącą się szybko rękę.

Natychmiast zrozumiał: musi strzelić z uzi, a to zaalarmuje wszystkich uzbrojonych ludzi przebywających w okolicy. Błyskawicznie wycelował i oddał pojedynczy strzał. Uzbrojony napastnik skulił się z krzykiem w drzwiach, a potem, chwytając się za szyję, upadł na podłogę.

Arik ruszył biegiem w głąb korytarza, wiedząc, że ściga się z czasem, by dostać się do swojej rodziny. Trzymając dymiącą broń, spojrzął na ostatnie ciemne wejście po lewej, wypatrując ruchu. Był to, na szczęście pusty, pokój dzieci. Oznaczało to, że Hanna zdążyła zaprowadzić je z sypialni do łazienki.

Gdy zaczął się odwracać, by tam zajrzeć, usłyszał za sobą krzyk mężczyzny. Zanim zdążył wykonać półobrót, z drzwi łazienki wypadła ciemna postać, która staranowała jego plecy i popchnęła go z impetem na ścianę korytarza.

Pistolet maszynowy wyslizgnął się z rąk Arika, upadającego na podłogę.

Caruso pomyślał, że strzał na piętrze sprowadzi do domu przynajmniej kilku mężczyzn czających się na dworze, choć nie miał pojęcia, którymi drzwiami postanowią wejść. Spoglądał zatem na zmianę na drzwi kuchenne i frontowe w głębi korytarza. Był pewien, że będzie musiał zmierzyć się

z wrogiem; nie wiedział jednak jeszcze, jak się do tego zabierze.

Spokój panował tylko przez parę sekund – później z piętra dobiegł dziki wrzask i głuchoe odgłosy walki ludzi szamocących się ze sobą w korytarzu nad głową Doma.

Gdy Dom spoglądał w stronę salonu, drzwi frontowe otworzyły się z hukiem. Jeden z mężczyzn przebywających do tej pory na zewnątrz wtargnął do środka. Caruso dostrzegł jedynie jego sylwetkę. Nie miał czasu na sprawdzenie, czy przeciwnik jest uzbrojony; i tak zresztą nie zamierzał tego robić.

Prawą ręką cisnął z całej siły nożem do obierania, celując wysoko, w twarz intruza, bo wiedział, że rzut na odległość dziesięciu metrów odbierze ostremu narzędziu znaczną część impetu.

Stalowe ostrze zanurzyło się w tułowiu intruza, tuż pod obojczykiem. Trafiony mężczyzna zatoczył się i zrobił jeszcze kilka kroków, wyszedł na zewnątrz, a później skulił się i upadł.

Dom usłyszał za sobą skrzypienie drzwi kuchennych. Odwrócił się, gotów sprawdzić, czy napastnik ma karabin, ale seria z broni automatycznej wystarczyła mu za całą odpowiedź. Przypadł więc do podłogi, zanurkował za wyspą urządzoną na środku kuchni, a potem zaczął się czołgać, tak, by znajdowała się ona między nim a człowiekiem stojącym w drzwiach.

Kolejna długa seria wystrzałów podpowiedziała mu, że napastnik nie ruszył się z miejsca. Trzymając się nisko, Dom okrążył kuchenną wyspę, zachodząc intruza z lewej strony, po czym wyprostował się, mając nóż do mięsa w prawej ręce. Pokonał ostatnie półtora metra jednym skokiem i wbił całe ostrze w bok mężczyzny: trafił go między dolne żebra. Rzucił się na przeciwnika. Wpadł do otwartej spiżarni. Używając biodra i ramienia, zablokował uzi, czym uniemożliwił wrogowi celowanie.

Ranny mężczyzna krzyknął z bólu. Przyciskając twarz do nylonowej maski napastnika, Dom poczuł zapach jego strachu i potu. Wydało mu się też, że wyłowił zapach morza, który wniknął w odzienie intruza. Niemal natychmiast poczuł, że muskularne ciało agresora zaczyna wiotczeć za sprawą wstrząsu. Wiedział, że będzie musiał trochę poczekać, aż zamaskowany przeciwnik umrze z powodu utraty krwi, ale był już przynajmniej w stanie wyjąć uzi z jego słabnących rąk. Zaczął właśnie odpinać broń od pasa otaczającego szyję mężczyzny, gdy kuchenne drzwi otworzyły się po raz drugi. Zerknął przez ramię i dostrzegł obrysowaną światłem księżycy sylwetkę drugiego intruza. Mężczyzna celował wysoko uniesionym uzi przed siebie, gdzieś w głąb pomieszczenia, więc bardzo go zaskoczyło pojawienie się celu w odległości metra po prawej stronie. Napastnik zwrócił broń w kierunku Doma.

Caruso natychmiast porzucił zamiar zdobycia uzi terrorysty, którego właśnie zadźgał. Błyskawicznie sięgnął za siebie, szukając czegoś, czym mógłby rzucić w tamtego. Zadziałały wyuczone odruchy. Trenując z zaangażowaniem krav magę przez ostatni miesiąc, nauczył się od Arika, że do usunięcia bezpośredniego zagrożenia może przydać się wszystko, co akurat znajduje się pod ręką.

Piękno krav magi – choć nie należy ona do szczególnie atrakcyjnych sztuk walki – tkwi w jej zimnej skuteczności.

Dom miał nadzieję, że uda mu się namacać nóż, lecz jego palce wyczuły tylko krawędź solidnego rondla. Zamachnął się energicznie i rzucił ciężkim naczyniem, które grzmotnęło w uzi i trzymającą je rękę, a tym samym uniemożliwiło napastnikowi celowanie.

Caruso ruszył w stronę przeciwnika, uderzył go pięścią w brzuch, a potem spróbował trafić

w twarz łokciem, który jednak ześlizgnął się po policzku intruza, nie wyrządzając mu szkody.

Uzbrojony mężczyzna usiłował się cofnąć, by jeszcze raz unieść broń, lecz przeszkodziła mu w tym kuchenna wyspa na środku pomieszczenia.

Dom ponownie wycelował pięścią w brzuch intruza. Trafił, ale napastnik zdołał obejść narożnik i nieco się cofnąć.

Caruso miotnął następnym pociskiem – tym razem porwanym z blatu wałkiem do ciasta. Trafił mężczyznę w pierś. Uderzenie odrzuciło napastnika do tyłu; mężczyzna zachwiał się i tracąc równowagę, wpadł na lodówkę stojącą w głębi kuchni.

Dom wiedział, że dzięki temu zyskał najwyżej sekundę. Wpadł więc do spiżarni i rzucił się na mężczyznę z nożem między żebrami. Chwycił uzi i je odwrócił, ciągnąc mocno za pas otaczający szyję umierającego terrorysty. Trzymając broń na wysokości biodra, pociągnął za spust. Spiżarnia i kuchnia rozświetliły się płomieniami wylatującymi z lufy. Dom wypuścił długą serię w kierunku uzbrojonego intruza czającego się w okolicach lodówki. Gorące łuski odbijały się od ustawionych na półkach spiżarni puszek z warzywami, a później spadały jak deszcz, parząc nagi tors Caruso, lecz ten nie przestawał strzelać. Spędził dwie godziny w prawie zupełnych ciemnościach i teraz błyski wystrzałów z broni o krótkiej lufie wydawały mu się jaśniejsze od tysiąca słońc. Nie widział celu. Trzymał wysoko uniesione uzi i nie przestawał naciskać spustu, posyłając pocisk za pociskiem, aż do opróżnienia magazynka.

Zapadła ciemność. Dom przetarł wolną dłońią oczy wciąż wypełnione nieznośnym blaskiem i potrząsnął głową, łudząc się, że pomoże mu to pozbyć się dzwonięcia w uszach. Potrzebował chwili, by móc wypatrzeć przeciwnika. Ku swemu zadowoleniu stwierdził, że zamaskowany mężczyzna leżący na plecach nie żyje.

Wiedział, że musi dostać się na piętro, by pomóc Arikowi, ale potrzebował do tego naładowanej broni. Postanowił zatem przykłęknąć i zabrać uzi martwemu terrorysty, lecz gdy tylko zaczął opadać na kolana, do wnętrza wtargnął kolejny mężczyzna.

Nie nosił maski, był gładko ogolony i młody. Miał wzrok szaleńca, choć równocześnie dało się odczuć jego przestrach. Był jednak blisko, w zasięgu rąk Caruso, który klęczał oparty plecami o kuchenną wyspę.

Caruso wyprostował się i uderzył intruza w brzuch, lecz jego pięść trafiła w coś nadspodziewanie twardego. Dom pomyślał, że przeciwnik ukrył pod kurtką ładownicę z magazynkami.

Uderzył zatem raz jeszcze, lecz nie popełnił powtórnie tego samego błędu: wycelował w szczękę mężczyzny, trafił go i odrzucił na kuchenną szafkę.

Potem szybko przykłęknął, sięgnął po uzi i oddał pojedynczy strzał prosto w czoło przeciwnika leżącego na blacie. Pistolet maszynowy szczeknął, rozświetlając pomieszczenie błyskiem, a potem znowu zapadła ciemność i cisza. Dom rzucił się biegiem do korytarza przylegającego do schodów na piętro, lecz po chwili zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na martwego mężczyznę.

Dopiero teraz zrozumiał: intruz nie miał broni, lecz nosił na piersi coś ciężkiego i twardego.

Po cóż więc, do cholery, miałyby targać ładownicę pełną magazynków, skoro brakowało mu uzi?

Dom pospieszył w stronę ciała i rozerwał zamek błyskawiczny wiatrówki trupa, waląc biodrami w szafkę.

W półmroku zobaczył przed sobą martwego mężczyznę w kamizelce samobójcy. Jej szara tkanina

była obszyta masywnymi rzędami ładunków wybuchowych połączonych płataniną luźnych przewodów.

Dom wykrztusił tylko:

– Arik...

Gdy Dominic walczył o życie na parterze, Arik Yacoby robił dokładnie to samo w korytarzu na piętrze. Napastnik, który wyskoczył na niego od tyłu, już nie żył: jego szyja, żuchwa i reszta czaszki zamieniły się w masę pogruchotanych kości. Yacoby także oberwał. Krwawił z ust i z nosa, ale walcząc w ciasnej przestrzeni, zapomniał o bólu i zmęczeniu. W ciemności zaczął macać dookoła siebie w poszukiwaniu uzi. Wreszcie trafił na nie lewą ręką.

Wtedy usłyszał za sobą głos żony. Zawołała po hebrajsku:

– Arik! *Neshek!* Broń!

Yacoby rzucił się na podłogę korytarza i obróciwszy się w locie, wylądował na plecach – w chwili gdy ktoś posłał z sypialni serię, która przeleciała tuż nad nim. Arik leżał płasko, celując z małego pistoletu maszynowego między swoje bosc stopy, w głąb korytarza. Skupił się na rozbłyskach broni intruza. Pamiętał, by celować dokładnie i oddawać z broni automatycznej pojedyncze strzały, żeby uchronić rodzinę przed przypadkowym trafieniem, więc strzelił w stronę światła.

Poczuł, że coś wyrywa uzi z jego rąk, i zrozumiał, co się stało: broń wytrącił mu, a zapewne także ją uszkodził, jeden z pocisków wystrzelonych przez napastnika w korytarzu. Lecz strzały z sypialni umilkły i pomimo dzwonienia w uszach Arik usłyszał charakterystyczny stukot uzi uderzającego w drewnianą podłogę i odbijającego się od niej.

Usłyszał też odgłosy zaciętej walki dochodzące z parteru, długą serię strzałów z broni automatycznej, krzyki mężczyzny, a potem odgłos zderzających się ze sobą ciał. Myślami był już jednak w swojej sypialni, choć nie wiedział, co w niej zastanie.

Zerwał się na równe nogi i pognął do rodziny.

Dominic Caruso ruszył sprintem do salonu, a potem w stronę schodów. Mijając otwarte drzwi, spojrzął na podwórze przed drzwiami. Spodziewał się zobaczyć pierwszego mężczyznę, którego powalił celnie rzuconym nożem do obierania, lecz miejsce, w którym upadł intruz, było puste. Caruso skręcił na schody pod ostrym kątem, mając nadzieję, że napastnik z nożem w boku nie wdrapuje się właśnie na piętro, dźwigając kamizelkę samobójcy.

Klatka schodowa był pusta. Dom zaczął pokonywać po trzy stopnie naraz, krzycząc w biegu:

– Arik! Kamizelka z bombą!

Yacoby dotarł do sypialni. Zobaczył żonę przywiązaną do krzesła ustawionego na środku pomieszczenia. Spojrzała w ciemnościach na męża przez potargane włosy przesłaniające jej twarz.

– Dzieci ukryły się w szafie na pościel. Nic im nie jest – powiedziała, wskazując głową łazienkę, obok której stał Arik.

Yacoby poczuł ulgę, lecz musiał zejść na parter, by pomóc swemu uczniowi. Przykląkł, by podnieść micro uzi leżące na podłodze obok martwego terrorysty.

W tej samej chwili usłyszał za sobą szmer, a obejrzawszy się przez ramię, dostrzegł gładko ogolonego mężczyznę idącego chwiejnym krokiem w jego stronę. W słabej księżycowej poświacie wpadającej do korytarza z łazienki zauważył nóż wystający po lewej stronie klatki piersiowej napastnika, który pomimo to poruszał się szybko. Arik odwrócił się do intruza, unosząc równocześnie broń.

Na schodach, za plecami terrorysty, rozległ się krzyk D, jego amerykańskiego ucznia:

– Arik! Kamizelka z bombą!

Yacoby wycelował już w środek tułowia intruza, lecz kamizelka samobójcy zmieniała wszystko. Uniósł więc wyżej broń, chcąc trafić napastnika w głowę, i krzyknął:

– Hanno!

Dominic był już prawie na piętrze, gdy pochłonęła go pędząca z góry fala światła i gorąca. Jego mózg zarejestrował unoszenie się w powietrzu i uczucie nieważkości, a później ogarniający go niewyobrażalnie głośny huk. Poczł, że spada na plecy, a potem zderzył się nagim torsem z drewnianymi stopniami schodów i zobaczył nad sobą własne nogi. Koziółkował w tej odwróconej pozycji w dół: odbił się najpierw od drewnianej poręczy, a potem wylądował na podłodze parteru i uderzył potylicą o jej tekowe deski.

Oszołomiony wstrząsem, potrzebował kilku sekund, by sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i co się stało. Dusił się dymem i czuł pieczenie w oczach, lecz zignorował ból i skupił się na ponownym podjęciu walki.

Rozglądając się z przymrużonymi oczyma w gęstniejącej czerni powietrza, Dom podciągnął się, wstał i zaczął kroczyć ku schodom. Nogi odmówiły mu jednak posłuszeństwa. Osunął się na najniższe stopnie. Usiłując wciągnąć się po schodach na rękach, spojrział w górę i zobaczył wylewające się z piętra ryczące płomienie, a nad nimi nocne niebo.

Wyglądało to tak, jakby wybuch zerwał cały dach nad schodami i resztą bungalowu.

Dom osunął się na podłogę i leżąc na plecach, stracił przytomność wśród jęzorów czarnego dymu spowijającego jego sponiewierane ciało.

Caruso ocknął się, czując szarpnięcia bólu i fale mdłości, które dopiero po dłuższej chwili przekonały go, że nie zginął w płomieniach.

Otworzył oczy i spojrzał w dół. Leżał w szpitalnym łóżku. Nie był to pierwszy raz, kiedy odzyskiwał przytomność po opuszczeniu płonącego domu Arika Yacoby'ego, lecz za każdym razem udawało mu się jedynie unieść głowę i krótko popatrzeć na wnętrze karetki, szpitalny korytarz lub salę, w której się znajdował. Potem jego głowa opadała i znowu odpływał.

Nie wiedział, czy działo się tak od kilku godzin, czy też od paru tygodni.

Gdy zaczął widzieć otoczenie nieco wyraźniej, dostrzegł lekarza stojącego przy łóżku. Był to ciemnoskóry i siwowłosy Hindus o młodzieńczej twarzy. Zamiast zwykłego szpitalnego kitla miał na sobie strój chirurga. Lekarz zbadał puls Doma: chwycił palcami jego lewy nadgarstek i spoglądał na zegarek. Gdy skończył, przyjrzał się twarzy pacjenta. Wydawał się zaskoczony, że Dom odpowiada mu spojrzeniem.

– Cóż, witam pana – powiedział. – Jestem zdumiony, że odzyskał pan już przytomność. Wciąż znajduje się pan pod wpływem silnych środków uspokajających.

Głos lekarza wydał się Domowi niemal muzyką, lecz Amerykanin pomyślał, że być może to efekt leków, którymi go naszpikowano.

Hindus zaczął recytować litanie obrażeń Caruso:

– Doznał pan lekkiego wstrząśnienia mózgu – powiedział. – To nic poważnego, lecz bóle głowy mogą potrwać jeszcze kilka dni. A może tygodni.

Zerknął na podkładkę do pisania, po czym ciągnął:

– Poza tym ma pan głównie sińce i rany cięte, w tym kilka poważniejszych. Jedenaście szwów na przedramieniu. Podejrzewamy, że był to odłamek bomby, lecz przeszedł na wylot, więc nie mamy pewności. Do tego rana prawego mięśnia piersiowego. Śruba. Wyjeliśmy ją: nie weszła głęboko. Wszystko oczyściliśmy, więc nie powinno dojść do infekcji, ale będzie pan musiał zwracać uwagę na zranienia. Jest jeszcze poważne stłuczenie...

– Co z Yacobyami? – przerwał mu pacjent.

Lekarz nie odpowiedział wprost. Odszedł tylko od łóżka, a Dominic zauważył, że w sali znajduje się jeszcze jeden mężczyzna, siedzący na tanim krześle przy drzwiach z nogą założoną na nogę. Był to wąsaty człowiek w średnim wieku. Miał czarne, podstrzyżone po bokach włosy zaczesane do tyłu i nosił ciemny garnitur oraz takiż krawat.

– Cześć, John – odezwał się.

Caruso nie odpowiedział.

– John Doe. Tak się pan nazywa – dodał nieznajomy i spojrzał na Amerykanina.

Miał pozbawioną wyrazu, zmęczoną twarz.

– Chyba że zechce pan podać mi swoje prawdziwe nazwisko – dodał. – Nie? To może John Rambo?

– Kim pan jest?

– Jestem policjantem z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Nazywam się Naidu – odpowiedział nieznajomy i wstał. – Jestem tu po to, by zadać panu kilka pytań.

– Co z Yacobymi?

Naidu pokręcił głową w sposób wskazujący na brak jakiegokolwiek wrażliwości.

– Nie żyją – odpowiedział.

Dom zamknął oczy i potrząsnął głową.

– Nie – powiedział.

– Tak – odparł Naidu. – Cała czwórka. I jeszcze siedmiu innych, którzy tam byli. Prawie tuzin trupów, a pan, mój młody amerykański przyjacielu, przeżył jako jedyny. To cud, nieprawdaż?

Dominic nie odpowiedział. Myślał teraz tylko o Yacobych.

Dar... Mosze...

– Został pan wydobyty z płonącego budynku przez sąsiadów. Wiele ryzykowali. Nie pytał pan, kto go uratował, ale pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć.

Caruso patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem.

Arik, Hanna...

– Dowiedzieliśmy się od sąsiadów, że był pan gościem Yacobych. Widywali pana codziennie, ale gdy pana znaleziono, nie miał pan przy sobie żadnego dowodu tożsamości. Sąsiedzi uznali pana za Amerykanina: sądząc po pańskim akcencie, myślę, że mieli rację. Ale to wszystko, co wiem. Jeśli coś było w domu... paszport, wiza albo amerykańskie prawo jazdy, to wszystko spłonęło.

Caruso walczył z obrazami pojawiającymi się w jego głowie. Starał się je z niej wyrzucić, podobnie jak starał się ignorować pulsujący ból głowy, który nasilał się z każdym słowem wychodzącym z ust Naidu. Miał wrażenie, że środki przeciwbólowe przestaną działać lada sekunda.

– Muszę zatelefonować – oświadczył.

– A ja muszę uzyskać odpowiedzi na moje pytania – odparł Naidu. – Dlaczego ktoś mógłby chcieć zamordować pańskiego przyjaciela i jego rodzinę? Zgodnie z danymi w ich wizach Yacoby był trenerem personalnym, a jego żona instruktorką jogi.

Dom nie odpowiedział. Czuł żądający ból pod opatrunkiem na przedramieniu.

Naidu podniósł głos, mówiąc:

– Znaleźliśmy karabinek. Kim był Arik Yacoby?

– Był moim trenerem sztuk walki – odpowiedział Dom.

– Pakistańscy terroryści nieczęsto pokonują taki kawał drogi, żeby zabić instruktora sztuk walki.

– To byli Pakistańczycy?

Naidu spojrział na Caruso z niekłamanym zdziwieniem.

– Przecież to Indie, więc któż inny mógłby to być? – powiedział.

Caruso opuścił głowę na poduszkę. Zanościło się na nieprzyjemne przesłuchanie; Dom zaś był w kiepskim nastroju.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział. – Nie jestem policjantem. Na pańskim miejscu przyjrzałbym się furgonetce do przewozu mleka zaparkowanej na końcu drogi.

– Już się tym zająłem – odparł Naidu. – Kobieta, która ją prowadziła, jest poszukiwana. Opuściła wioskę, ale i tak ją znajdziemy.

Caruso rozejrzał się po szpitalnej sali i rzekł:

– To chyba oczywiste, że już jej tu nie ma.

– Pan interesuje nas bardziej niż ona.

Dom zamknął oczy.

– W takim razie myślę, że spierdolicie dochodzenie – stwierdził.

Naidu puścił tę uwagę mimo uszu i zajął się notese.

– Nie traćmy czasu na gierki – powiedział. – Wiemy, że Yacoby służył w izraelskich siłach specjalnych. Jeśli był kimś więcej, to musi mi pan to powiedzieć.

– Kimś więcej?

– Czy był żydowskim szpiegiem?

Dom walczył ze sobą, by powstrzymać się od nawrzcucia Naidu.

– Muszę zatelefonować – oświadczył tylko. – Nie powiem niczego więcej, zanim tego nie zrobię.

Naidu zacisnął zęby i wycedził powoli:

– Nie chce się pan dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za śmierć pańskich przyjaciół?

Amerikanin nie odpowiedział.

– Nie traktuje pan naszego dochodzenia poważnie, a może powinien pan. Nie jest pan podejrzanym. Wiemy, że walczył pan przeciwko napastnikom. Miał pan na całych rękach krew jednego z ludzi znalezionych w kuchni. Być może ucieszy pana, że nie zamierzam oskarżyć go o morderstwo.

Dom przewrócił oczyma, bo akurat nie myślał o sobie.

– Chcę, żeby pomógł mi pan zrozumieć, dlaczego przyszli właśnie do Arika Yacoby'ego – powiedział Naidu.

– Nie potrafię panu pomóc. Nie wiem.

Naidu westchnął i rzekł:

– Pakistańscy terroryści. Zagrożenie wojną atomową. Nowy konflikt z Chinami. Przystępczość. Korupcja. Choroby. Czy nie sądzi pan, że mój kraj ma dość problemów i bez uzbrojonych Żydów, którzy tu przybywają i przyciągają nowych wrogów?

– Będę mógł zatelefonować czy woli pan, aby doszło do międzynarodowego incydentu, kiedy wyjadę? – zapytał Dom.

– Zatelefonuje pan wtedy, kiedy ja się na to zgodzę – odpowiedział Naidu. – I wyjedzie pan wtedy, kiedy panu na to pozwolę.

– Zawsze traktujecie swoich gości tak ciepło?

Naidu roześmiał się i rzekł:

– Nie jestem z biura turystycznego, Johnie Doe. W nim może pan sobie załatwić przejazdkę na słońcu, jak tylko wyjdzie pan z więzienia. Jestem tu po to, by wyciągnąć od pana informacje.

Więzienie? Dom znał prawie wszystkie sposoby przesłuchiwanie wykorzystywane przez FBI i wiedział, że Naidu blefuje. Wyczuł nieszczerłość w pogroźkach policjanta i uznał je za niegroźną gadaninę.

Uśmiechnął się lekko i rzekł:

– Słyszę w pańskim głosie, że próbuje pan mnie straszyć więzieniem. Ale nie ma pan wystarczających uprawnień, by naprawdę móc mnie tam wtrącić.

Słyszając to, Naidu stracił nieco pewności siebie. Starał się wprawdzie mówić pewnym głosem i z uniesioną głową, lecz Dom zauważył słabość w jego oczach. Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem; w końcu Naidu dał za wygraną.

– Chciałbym tu pana zatrzymać – powiedział. – Zareczam, że zacząłby pan w końcu mówić. Ale ktoś uważa pana za bardzo ważnego. Przyleciał tu samolot ze Stanów, a moi przełożeni rozkazali mi wsadzić pana na jego pokład, gdy tylko będzie pan zdolny do podróży.

Na te słowa Caruso zrzucił z siebie prześcieradła i wystawił nogi z łóżka. Chciał usiąść, ale bezskutecznie; napinał mięśnie brzucha i zwijał się z bólu. Wydawało mu się, że jego żebra są połamane lub, co najmniej, solidnie obite.

Opadł bezsilnie na pościel.

Widząc męczarnie młodego Amerykanina, policjant powoli się uspokoił. Wstał i podszedł do drzwi, a potem odwrócił się, wciąż uśmiechając się pod wąsem.

– Proszę mi wybaczyć, Johnie Doe – powiedział. – W tej sytuacji muszę cieszyć się każdym drobiazgiem.

Ethan Ross spóźniał się do pracy prawie w każdy poniedziałek i dzisiejszy dzień nie należał do wyjątków. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale było to rozmyślne: Ethan uznał bowiem, że punktualność wcale nie wykracza poza jego możliwości, za to chroniczna opieszałość pozwalała mu biernie zaprotestować przeciwko sztywnym zasadom panującym w jego firmie.

Tego poranka pospał nieco dłużej, lecz nie w swoim domu w Georgetown, tylko u dziewczyny w Bethesdzie. Poprzedniego wieczoru wybrał się z Eve do baru, żeby obejrzeć mecz Lakersów. Rozgrywka skończyła się dopiero po dwudziestej trzeciej tutejszego czasu, lecz postanowili zostać jeszcze chwilę i wypić jedną kolejkę, która ostatecznie zamieniła się w trzy.

Wylądowali w łóżku o pierwszej w nocy, a zasnęli o drugiej, kiedy miłosny nastrój Ethana przestał dominować nad wypitymi wcześniej pięcioma greyhoundami. Mężczyzna zamierzał wrócić do domu i spędzić resztę nocy u siebie, lecz miłosne uniesienia sprawiły, że marzył tylko o jednym: rzucić się na łóżko i chrapać do rana.

O ósmej piętnaście Ethan obudził się nagle i zerwał z pościeli, słysząc swoje imię wykrzywane przez kogoś w panice.

– Ethan!

Był to głos Eve. Ethan otworzył oczy i skupił wzrok na budziku, który trzymała tuż przed jego twarzą.

– Uspokój się – powiedział sennie, lecz Eve była już na nogach i pędziła do łazienki, ponieważ ceniła punktualność niezrównanie bardziej niż jej partner.

Kilka minut później Ethan zbiegł schodami do swojego czerwonego mercedesa coupé, włączył pierwszą lepszą muzykę i ruszył na południe, do swojego domu przy 34. ulicy. Najpierw zafundował sobie przysnic, a potem długo układał blond włosy, na które wcześniej nałożył żel. Ubrał się i stanął przed wysokim lustrem, żeby ocenić krój i połysk szarego jedwabnego garnituru od Ralpha Laurena. Ucieszony, że fioletowy kropkowany krawat nie rzuca się nadmiernie w oczy, włożył wiśniowe wsuwane półbuty i jeszcze raz stanął przed lustrem. Przyglądał się swemu odbiciu przez długą chwilę, a w ramach ostatecznej oceny zaakceptował swój styl i wygląd.

O dziewiątej, wciąż nie spiesząc się i nie odczuwając stresu, Ethan zszedł frontowymi schodami swojego domu w szeregowej zabudowie, wgramolił się do ciepłego mercedesa, ponownie włączył głośną muzykę i wyruszył do pracy.

Ruch samochodowy na Wisconsin Avenue był znośny, lecz po wjeździe na Pennsylvania Avenue, Ethan doznał nie milej niespodzianki: droga była kompletnie zakorkowana. Włokąc się w żółwym tempie, śpiewał piosenkę wyplwaną przez głośniki swojego blaupunkta stereo. *On the Beach* Neila Younga pochodziła z 1974 roku i raczej nie słuchali jej trzydziestodwulatkwie, lecz Ross dorastał

przy dźwiękach tej muzyki. Rewolucyjnej, jak nazywała ją matka, chociaż Ethan zdawał sobie sprawę z dysonansu wynikającego ze śpiewania kontestatorskich piosenek podczas jazdy luksusowym samochodem do pracy w agencji rządowej.

Nieważne. Ethan wciąż uznawał się za kogoś w rodzaju buntownika, choć obdarzonego nieco większą dozą realistycznego światopoglądu.

Po zakończeniu pracy w piątek słuchał swoich płyt – najpierw sam, a później z Eve. Niespecjalnie ją to interesowało, ale się nie skarżyła, a on wcale się tym nie przejmował. Eve była błyskotliwą, ale beznadziejnie uległą koreańską dziewczyną, która – gdyby jej kazał – skoczyłaby dla niego w ogień, natomiast Ethan w każdy weekend miał ochotę odciąć się od świata i nie sprawdzać telefonu ani iPada od siedemnastej w piątek do dziewiątej w poniedziałek. Nie robił tego często, lecz i tak zdarzały się chwile, gdy czuł się zmęczony pracą: niekończącymi się nudnymi spotkaniami i telekonferencjami, lunchami z ludźmi, z którymi nie miał ochoty jadać, albo wyjazdami z osobami, z którymi nie chciał podróżować. Działo się tak już od kilku miesięcy. Praca frustrowała Ethana, a do tego nie dawała mu poczucia, że jest kimś ważnym w Dystrykcie Kolumbii, i tylko odtruwanie psychiki po każdym tygodniu harówki, połączone z delektowaniem się muzyką z dzieciństwa, pozwalało mu się odświeżyć i przygotować do nowych zadań, które przynosił mu poniedziałek.

Eve nie narzekała na nic. Ethan był pewien, że wystarcza jej świadomość, iż ma go tylko dla siebie przez całe dwa dni.

Sprawdził fryzurę w lusterku wstecznym, podgłośnił Neila Younga i zaczął mu wtórować, tu i ówdzie fałszując i walcząc z władzą w jedyny sposób, na jaki mógł sobie pozwolić.

Ethan Ross lubił się chwalić, że pracuje w Białym Domu, i choć mówił prawdę, to nie do końca miał rację. Jego biuro mieściło się w Budynku Eisenhowera, naprzeciwko Zachodniego Skrzydła Białego Domu. Ten biurowiec, będący wprawdzie siedzibą wielu pracowników prezydenta, to jednak nie było to samo, co najważniejszy budynek w mieście.

Zatrudnieni w Zachodnim Skrzydle dawali do zrozumienia, że różnią się od zatrudnionych w Budynku Eisenhowera. Mówili: pracujemy wewnątrz. Reszta – ci z biurowca – pracowali na zewnątrz. Ross ignorował to rozróżnienie. Przedstawiał się jako pracownik Białego Domu każdemu, kto go o to spytał, albo raczej każdemu, kto zechciał go wysłuchać.

Spędził tu ostatnie trzy lata, pracując dla dwóch kolejnych administracji prezydenckich. Pełnił funkcję zastępcy dyrektora do spraw Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Przygotowywał dokumenty programowe dla prezydenta Stanów Zjednoczonych lub przynajmniej koordynował przygotowywanie takich dokumentów dla doradcy, który decydował, czy prezydent powinien zapoznać się z ich streszczeniem. Materiały powstawały dzięki pracy Departamentu Stanu oraz wywiadu USA, a także krajowych i międzynarodowych think tanków oraz instytucji akademickich.

Praca Ethana – jak o niej opowiadał – polegała na dostarczaniu prezydentowi Stanów Zjednoczonych najlepszych spośród dostępnych informacji umożliwiających prowadzenie polityki.

Jednakże tak naprawdę – jak sam to postrzegał – to zadanie nie było niczym innym, jak tylko przekazywaniem papierów, podczas gdy podejmowanie kluczowych decyzji należało do innych osób.

Ethan współpracował ściśle z amerykańską społecznością wywiadowczą. Zbierał dane napływające z większości spośród szesnastu agencji związanych z jego regionem. Otrzymywał informacje nie tylko z CIA, lecz także z Narodowego Biura Rozpoznania, Narodowej Agencji Wywiadu Satelitarnego, biura Departamentu Stanu do spraw analiz i prognoz politycznych, czasem nawet z różnych agencji wywiadu wojskowego. Ethan był koordynatorem i nie podejmował wiążących decyzji, lecz mimo to trzymał rękę na pulsie wydarzeń w regionie, którym się zajmował. Dla kogoś innego w jego wieku byłoby to wyróżnienie, lecz mimo to Ethan uważał, że to o wiele za mało. Uznawał swoją pracę za ledwie interesującą, gdy miał dwadzieścia dziewięć lat i powierzono mu to stanowisko, a teraz, na dwa tygodnie przed trzydziestymi drugimi urodzinami, codziennie ubolewał nad przyczynami zbyt wolnego awansu do kręgu tych, którzy rozdają karty.

Praca przestała go kręcić. Ethan uważał jednak, że jest na tyle mądry, by się tym nie przejmować, i od pewnego czasu ściśle trzymał się tej zasady.

Miał nadzieję na rychły awans, ale nie w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, którą traktował jak przechowalnię. Myślał raczej o pracy w amerykańskim przedstawicielstwie w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Spodziewano się po nim, że obejmie stanowisko wysokiego szczebla w międzynarodowej instytucji. Jego ojciec przepracował dwadzieścia pięć lat w ONZ, a później został profesorem studiów międzynarodowych: najpierw na uniwersytetach zagranicznych, potem w Georgetown. Matka pracowała dla administracji Cartera jako podsekretarz w przedstawicielstwie USA przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, a podczas kadencji Clintona była ambasadorem w Jordanii. Później otrzymała profesurę w Georgetown i została autorką rozchwytywanych biografii polityków.

Ethan, jak co dzień, zaparkował swoje coupé klasy E na parkingu oddalonym o jedną przecznicę od Budynku Eisenhowera i jak co dzień wkurzył się, idąc do biura i widząc miejsca do parkowania położone o wiele bliżej wejścia. Status nie pozwalał mu na zarezerwowanie któregośkolwiek z nich: przywilej ten dotyczył tylko dwudziestu, a może trzydziestu szych.

Wchodząc przez bramkę przy 17. ulicy, Ethan wyjął z kieszeni płaszcz i identyfikator. Przybył dość późno i kolejka oczekujących na wejście była krótka, więc już po niecałej minucie opuścił szarą budkę biura przepustek i skierował kroki do głównego budynku.

Ten gmach, będący niegdyś siedzibą Departamentów Stanu, Wojny i Marynarki Wojennej, był pod koniec dziewiętnastego i na początku dwudziestego wieku – w czasach, gdy Ameryka wyrosła na światowego przywódcę – ośrodkiem działalności wywiadowczej. Zaprojektowana i ozdobiona w stylu II Cesarstwa budowla powstawała u schyłku dziewiętnastego stulecia przez ponad siedemnaście lat. Jej wymyślne symetryczne zwieńczenia, balustrady i gzymsy miały podkreślać stałość i dobrą reputację, a wielu uważało, że olbrzymi budynek pod wieloma względami przyćmiewa Biały Dom.

Ta architektura nie wywierała jednak na Ethanie tak wielkiego wrażenia jak na innych. Wiedział bowiem, że Budynek Eisenhowera nie jest już tym niegdysiejszym ośrodkiem władzy, a już na pewno nie ma co się równać z budynkiem naprzeciwko, stojącym przy Pennsylvania Avenue 1600.

O dziewiątej trzydzięci dziewięć Ethan dotarł na drugie piętro i wszedł do swojego małego biura. Zarzucił płaszcz na wieszak, a potem zmarszczył brwi. Angela, jego sekretarka, zawsze dbała o to, by czekała na niego kawa – duża mokka ze Starbucksa, którą Angela kupowała w drodze do pracy

i stawiała na jego biurku koło telefonu.

Ethan wiedział, że Angela jest już na miejscu, bo wchodząc, zobaczył jej sweter rzucony na oparcie fotela w zajmowanym przez nią pomieszczeniu przy wejściu. Nigdzie jednak nie dostrzegł kubka z gorącym napojem.

Westchnął i pomyślał, tylko jedna rzecz do zrobienia, Angie, a ty już w poniedziałek rano zawałasz sprawę.

Po chwili usłyszał ruch na zewnątrz, więc siadając za biurkiem, zawołał:

– Angie?!

Jego pięćdziesięcioletnia sekretarka pojawiła się w drzwiach.

– Już pan jest – powiedziała. – To dobrze.

Spojrzał na nią i dbając, by okazać pewne niezadowolenie, Ethan zapytał:

– Zapomniałaś o mojej kawie?

– Nie, proszę pana. Zaniósłam ją do sali konferencyjnej i postawiłam przy pańskim miejscu. Wszyscy już czekają,

Ethan, zmartwiony, że o czymś zapomniał, zerknął na kartkę ze swoim rozkładem dnia, leżącą na podkładce do pisania. Zaplanowane spotkania w poniedziałkowe poranki wypadały mu bardzo rzadko. Zapiski na kartce potwierdziły jednak, że ma jeszcze sporo wolnego czasu.

– Mam coś dopiero o wpół do jedenastej – powiedział. – Zresztą i tak gdzie indziej.

– Powiedzieli, że łapali każdego telefonicznie – odparła Angela. – Myślałam, że otrzymał pan wiadomość.

Ethan słyszał sygnał telefonu dzwiczący w głośnikach mercedesa, ale wyciszył połączenie, nie patrząc, kto dzwoni. Zresztą z głośników wylewała się wtedy muzyka Neila Younga, a gdy wybrzmiewały ostatnie gasnące dźwięki *Ambulance Blues*, Ethan zajeżdżał właśnie na parking i zupełnie zapomniał o połączeniu.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nie wiem, ale chyba coś poważnego. Każdy miał się stawić w sali konferencyjnej o dziewiątej trzydzieści.

Ethan spojrział na zegarek. Była dziewiąta czterdzieści jeden.

Jeszcze raz westchnął i pomaszerował do sali konferencyjnej.

Ethan wkroczył przez otwarte podwójne drzwi do sali konferencyjnej Rady Bezpieczeństwa Narodowego i ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że jest pełna. Poczował na sobie wzrok zebranych. Wszystkie krzesła przy stole w kształcie podkowy były zajęte i można było znaleźć tylko miejsce stojące pod ścianą. Ethan wiedział, że przy stole mieści się zwykle szesnaście osób, lecz ocenił, że tym razem ścisnęło się tam co najmniej dwadzieścia pięć.

Jego mokka stała tam, gdzie zostawiła ją Angela, ale miejsce Ethana zajął już Walter Pak z biura do spraw Azji Południowej i Środkowej. Rossowi zabrakło czelności, by przecisnąć się przez tłum i sięgnąć po ulubioną kawę w chwili, gdy wszyscy zwrócili na niego uwagę.

Zmierzając ku wolnemu miejscu pod ścianą, Ethan szybko omiótł wzrokiem twarze obecnych. Miał nadzieję, że wyczyta z nich powód, dla którego zwołano tak pilne poranne zebranie.

Dostrzegł dyrektorów i ich zastępców zajmujących się pozostałymi regionami: Europą, Rosją i Eurazją, Azją, Azją Południową, Afryką Południową, a nawet półkulą zachodnią. Cokolwiek się wydarzyło, waga problemu musiała być olbrzymia. Ross uśmiechnął się pod nosem, zastanawiając się, czy przypadkiem NASA nie otrzymała wiadomości, że obcy szykują się do ataku.

Ethan zauważył także wśród zebranych kilkoro mężczyzn i kobiet z departamentu technologii informacyjnej. Uznał, że to nieco dziwne, choć nie do końca zaskakujące, ponieważ ci ludzie byli administratorami wyższego szczebla i uczestniczyli w zebraniach zespołu wtedy, gdy w grę wchodziły kwestie dotyczące dostępu do informacji oraz sieci komputerowych.

Ross wypatrzył sobie miejsce pod ścianą, a gdy się odwrócił, zauważył jeszcze kogoś, kto nie należał do stałych bywalców sali konferencyjnej. Był to wysportowany mężczyzna przed czterdziestką. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur i stał z przodu, za plecami Madeline Crossman i Henry'ego Delvecchia, którzy ustawili się obok siebie przy mównicy i najwyraźniej zwracali się do całej grupy.

Ethan nie znał gościa w niebieskim garniturze, ale znał Delvecchia oraz Crossman.

Delvecchio był szefem departamentu zajmującego się wydarzeniami w poszczególnych regionach świata i miał wiedzę o każdym z nich. Współpracował bezpośrednio z doradcą do spraw bezpieczeństwa USA, co czyniło go jedną z najważniejszych osobistości w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego.

Ethan zmartwił się, że stało się coś bardzo poważnego, dopóki nie zwrócił szczególnej uwagi na Maddy Crossman. Jego obawy rozwiały się natomiast, gdy zobaczył Crossman stojącą przy mównicy. Maddy pracowała w administracji. Była kierowniczką odpowiedzialną za zgodność procedur i środki bezpieczeństwa, a jej zadaniem było pilnowanie, by każdy prawidłowo wypełniał formularze zamówień i idąc do kibelka, nie zostawiał na biurku karty magnetycznej do otwierania drzwi.

Udając skruszonego, Ethan nieśmiało pomachał do Crossman i Delvecchia.

– Sorry – powiedział. – Kłopoty z autem.

Henry Delvecchio skinął głową ze zrozumieniem i ponownie przeniósł swoją uwagę na salę.

– Jeszcze raz przepraszam wszystkich za ponaglanie, ale mamy sprawę, która wymaga waszej uwagi. Myślę, że wszyscy wiecie o wydarzeniach, które rozegrały się w Indiach dzisiejszej nocy.

Rozejrzawszy się po sali, Ethan zauważył, że każdy z zebranych skinął głową na znak zrozumienia.

Tyle że on, Ethan Ross, nie miał zielonego pojęcia, o czym mowa. Nagle poczuł się tak jak w czasach studenckich, kiedy na zajęcia przychodził spóźniony i na kacu tylko po to, żeby stwierdzić, że trafił na niezapowiedziany sprawdzian i nie ma pojęcia, jaki jest jego temat.

Na szczęście, pomyślał, musiało stać się coś, z czym nie ma nic wspólnego, bo Indie to nie obszar jego zainteresowania.

Odruchowo spojrzął na Joy Bennett, wicedyrektorę biura zajmującego się Indiami. Był to jej region. Poczuł odrobinę mściwej satysfakcji, lecz nic nie mógł na to poradzić, bo niespecjalnie cenił Bennett.

Zobaczymy, jak sobie poradzi, kiedy sytuacja trochę się uspokoi, pomyślał Ethan.

Wtedy stało się coś dziwnego: Joy Bennett odpowiedziała mu spojrzeniem.

Delvecchio mówił dalej:

– Atak na żydowskich obywateli na Wybrzeżu Malabarskim był pierwszym od dwóch lat przypadkiem wtargnięcia terrorystów od strony morza. Poprzednia wizyta Pakistańczyków, którzy dostali się do Indii w taki sam sposób, zakończyła się masakrami. Tym razem liczba zabitych stanowi zaledwie ułamek liczby ofiar poprzednich ataków, ale mamy powody, by podejrzewać, że nie była to nieudana próba dokonania zamachu na wielką skalę, lecz precyzyjnie zaplanowana akcja zmierzająca do wyeliminowania Izraelczyka ściśle związanego ze służbami specjalnymi.

W sali rozległo się kilka głosów zdumienia.

– Sprawcy, o czym się nie pisze jeszcze na pierwszych stronach gazet, stanowili mieszaną grupę współpracujących ze sobą palestyńskich fedainów i jemeńskich dżihadystów – dodał Delvecchio. – Jest to równie nietypowe, jak niepokojące.

Umysł Rossa wypełnił się dzwonekami alarmowymi. Izrael, Palestyńczycy, dżihadyści, atak. Chryste! Pomysł spędzenia weekendu z dala od telefonu i komputera, pozornie tak świetny, nagle wydał się Ethanowi głupi. Tym samym epitetem Ethan określił też samego siebie.

Kurwa!

Delvecchio spojrzął na szefa Ethana, dyrektora biura do spraw Bliskiego Wschodu, ten z kolei na swojego podwładnego.

Ethan odchrząknął, powoli skinął głową w udawanym zamyśleniu i zaczął improwizować, mówiąc:

– Szczegółowo badamy tę sprawę.

– Chcesz jeszcze coś dodać?

Ross spojrzął nieobecny z pozoru wzrokiem, udając, że się zastanawia, a potem powoli pokręcił głową.

Delvecchio rzucił Ethanowi koło ratunkowe.

– Prawdopodobnie nie miałeś jeszcze okazji przeczytać raportu CIA – rzekł. – Dostaliśmy go

z Langley jakieś pół godziny temu.

– Właśnie miałem się nim zająć, kiedy powiedziano mi, że mamy zebranie.

Delvecchio przeszedł do szczegółów.

– Mamy w Indiach jakiś tuzin trupów – poinformował. – Siedmiu napastników, w tym trzech, którzy mieli na sobie kamizelki samobójcy. Jedna z nich wybuchła. Byłoby to interesujące nawet wtedy, gdyby chodziło o zwykłych izraelskich przesiedleńców. Tyle tylko, że jedną z ofiar był pułkownik Arik Yacoby, były oficer izraelskich służb specjalnych.

Do rozmowy włączył się wicedyrektor biura do spraw strategii zwalczania terroryzmu.

– Henry, jest kilkadziesiąt tysięcy byłych oficerów izraelskich sił specjalnych – powiedział. – I prawdopodobnie kilka tysięcy tych ludzi przebywa na stałe poza Izraelem. Z całym szacunkiem dla nieboszczyka, dlaczego pułkownik na emeryturze miałby być kimś szczególnie interesującym?

– Pułkownik Yacoby dowodził kiedyś grupą sił specjalnych marynarki wojennej – odpowiedział Delvecchio.

Potem zerknął na kartkę leżącą na mównicy i dodał:

– Shayetet 13.

– Rozumiem – odrzekł wicedyrektor, skinąwszy głową w zamyśleniu.

– Większość z was pamięta zdarzenie sprzed czterech lat: atak na turecki morski konwój pomocowy u wybrzeży Gazy – powiedział Delvecchio. – To właśnie Shayetet 13 był jednostką, która dostała się na pokład tureckiego frachtowca SS „Ardahan”. Według CIA pułkownik Yacoby dowodził grupą abordażową. Jak pamiętacie, zginęło wtedy dziewięciu Palestyńczyków, wśród których znajdowało się trzech dowódców Brygad Izz ad-Din al-Kassam.

Delvecchio przerwał, by wzmocnić efekt swojej wypowiedzi, a po chwili dodał:

– Tego samego ugrupowania, które zdaniem CIA zorganizowało atak, który właśnie wydarzył się w Indiach.

Powiedziawszy to, Delvecchio zamilkł na moment i zaczął przetrzucać papiery leżące na mównicy.

– Skąd CIA wie, że Yacoby brał udział w przejęciu tureckiego statku przez izraelskie siły specjalne? – zapytał wicedyrektor biura do spraw strategii zwalczania terroryzmu.

– Nasi przyjaciele z Langley mieli płatnego informatora na pokładzie SS „Ardahan” – odpowiedział Delvecchio. – Ten człowiek przekazał swemu prowadzącemu kluczowe informacje dotyczące ochrony tej jednostki, a później, po naradzie z Radą Bezpieczeństwa Narodowego, nasz prezydent wydał polecenie przekazania tych informacji Izraelczykom. W trakcie komunikowania się doszło w Tel Awiwie do spotkania przedstawicieli CIA z izraelskimi komandosami, w tym z pułkownikiem Yacobym, którego nazwisko trafiło z tego powodu do bazy danych CIA. Później, już po interwencji Shayetet 13 na tureckim statku, CIA sporządziła do użytku wewnętrznego omówienie zrealizowanych zadań.

Zapadła krótka cisza.

– W omówieniu wymieniono pułkownika Yacoby’ego – dodał Delvecchio. – Popełniono błąd.

Ktoś – Ross pomyślał, że był to Pak z biura do spraw Azji Południowej i Środkowej – powiedział:

– Poważny błąd.

– Zgadza się – rzekł Delvecchio. – Wcześniej należało zredagować tekst i nadać mu najwyższą klasę tajności. Ale to nie my przygotowaliśmy ten dokument.

I dodał pośpiesznie:

– Chociaż dla pułkownika Yacoby’ego i jego rodziny nie ma to już żadnego znaczenia.

Madeline Crossman, kierowniczka odpowiedzialna za zgodność procedur i środki bezpieczeństwa, stwierdziła:

– Mamy poważne obawy, że palestyńscy terroryści znaleźli nazwisko Yacoby’ego w raporcie CIA.

– Przykro mi, Henry – odezwała się Beth Morris, wicedyrektorka biura do spraw półkuli zachodniej. – Madeline, czegoś tu nie rozumiem: czy to ma jakiś związek z kimś stąd, z Rady?

Henry Delvecchio skinął głową i odpowiedział:

– Beth, istnieją powody, by przypuszczać, że mamy tu kreta.

W sali rozległy się stłumione głosy zaskoczenia i niedowierzania.

Gdy ucichły, Delvecchio wyjaśnił:

– Cztery miesiące temu ktoś skorzystał z naszej lokalnej sieci w Radzie i uzyskał dostęp do kompletnych danych CIA dotyczących sprawy SS „Ardahan”, zawierających między innymi nazwisko dowódcy grupy Shayetet 13. Pliki zostały skopiowane i przeniesione do ogólnego serwera, a później, jak przypuszczamy, wydrukowane albo przekazane dalej.

– Ale kto uzyskał dostęp do tych plików? – zapytała Morris.

– Tego nie wiemy – odpowiedziała Crossman. – Ktoś złamał zabezpieczenia czterdziestu pięciu dokumentów sklasyfikowanych co najmniej jako tajne. Ten, kto to zrobił, wiedział, jak po włamaniu zatrzeć ślady.

– I myśli pan, że to któreś z nas ukradło pliki i przekazało je Brygadam Izz ad-Din al-Kassam? – zapytała Morris głosem lekko podniesionym ze wzburzenia.

– Beth, nie ulega wątpliwości, że chodzi tu o nietypowe zachowanie – rzekła Crossman. – W tej chwili to wszystko, co wiemy na pewno. Musimy zapobiegać wszystkim wrogim działaniom.

Morris zerknęła na drugi koniec sali, na informatyków, którzy siedzieli w dość zwartej grupie, i stwierdziła:

– Musiał to być ktoś, kto wie, jak się zaciera elektroniczne odciski palców, cokolwiek, do cholery, oznacza to określenie.

Po tych słowach informatycy najeżyli się, choć ogólnie rzecz biorąc, zachowywali się spokojniej niż specjaliści zajmujący się wydarzeniami w poszczególnych regionach świata.

– Czy pliki pobrano z JWICS? – zapytał jeden ze speców od przetwarzania informacji.

Mianem JWICS określano zintegrowany światowy system komunikacji wywiadowczej – rodzaj internetu wykorzystywanego przez amerykańskie agencje wywiadowcze.

– Tak, zgadza się – potwierdziła Crossman. – A konkretnie: ktoś dobrał się do tych plików za pośrednictwem Intelinku-TS.

Była to wewnętrzna sieć przeznaczona do przekazywania ściśle tajnych dokumentów i działająca w obrębie JWICS.

– Ile osób miało dostęp do plików zawierających ściśle tajne dokumenty?

– Jeśli oprócz naszej obsługi systemu i jego administratorów uwzględnić zewnętrznych współpracowników mających dostęp do tych plików oraz terminali Rady Bezpieczeństwa Narodowego, to... łącznie trzydzieści cztery.

Ethan Ross zaczął rozglądać się po sali i liczyć obecnych ludzi, a Beth Morris zapytała:

– Czy są tu wszyscy, którzy mogli mieć taki dostęp?

– W tej chwili obecnych jest trzydzieści jeden osób. Jeden z administratorów systemu poinformował nas dziś, że jest chory, pozostali dwaj są na urlopie – jeden w kraju, drugi za granicą. Nie muszę nikomu mówić, że traktujemy włamanie do systemu bardzo poważnie, tym bardziej teraz, kiedy bierzemy pod uwagę duże prawdopodobieństwo, że to włamanie doprowadziło do czyjejś śmierci.

Salę konferencyjną wypełnił szmer szybkiej wymiany zdań.

Pak, wicedyrektor biura do spraw Azji, zadał kolejne pytania:

– Czy wiemy, że przeciek miał miejsce właśnie tu, u nas? Skąd wiadomo, że nie włamano się do któregoś z komputerów w Izraelu albo że informacje o Yacobym nie wypłynęły w jakiś inny sposób?

– Nie, nie wiemy, czy dane wykradziono z naszego systemu – odpowiedział Delvecchio. – Ale sprawa nie wygląda dobrze. Jeden z plików zawierał przygotowane w ubiegłym roku omówienie udziału CIA w akcji na morzu. Wprawdzie nie wymieniono w nim Yacoby’ego z nazwiska, ale za to wspomniano, że dowodzący akcją pułkownik Shayetet 13 odszedł na emeryturę i przeniósł się do Paravuru w Indiach.

Jeden z pracowników pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Dlaczego, do cholery, ktoś umieścił w dokumencie taką informację? – zapytał.

– Najwyraźniej Tajna Służba Narodowa CIA postanowiła zaproponować emerytowanemu pułkownikowi prowadzenie szkoleń, ponieważ był swoistym artystą w dziedzinie sztuk walki – odrzekł Delvecchio. – W dokumencie wspomniano o możliwości nawiązania współpracy z pułkownikiem, który miał wziąć udział w sporządzeniu raportu, choć ostatecznie nikt się z nim nie skontaktował.

Delvecchio odchrząknął i dodał:

– To dwa fragmenty układanki, których mogli potrzebować Palestyńczycy planujący wczorajsze zabójstwo... Mam na myśli nazwisko pułkownika i jego miejsce pobytu wymienione w raporcie. Podkreślam: nie wiemy, czy to Palestyńczycy wykradli dane, ale prezydent został już o wszystkim poinformowany i postanowił powiadomić premiera Izraela o wycieku informacji, więc natychmiast potrzebujemy odpowiedzi.

– Henry, możesz być pewien, że mój wydział dokona pełnego przeglądu bezpieczeństwa – odezwał się Ethan Ross. – Jestem pewien, że inne komórki zrobią dokładnie to samo.

– To nie będzie konieczne – rzekła Crossman, zanim Henry zdążył się odezwać.

– Obowiązuje przecież protokół – zauważył Ethan.

– Tak, obowiązuje. Ale w przypadku tak delikatnej sprawy, związanej z możliwością wycieku tajnych informacji na najwyższym szczeblu, przegląd bezpieczeństwa zostanie przeprowadzony przez Departament Sprawiedliwości. Potrzeba do tego o wiele większych kompetencji niż nasze, Ethanie.

Informacja ta wywołała niemałe poruszenie i sala konferencyjna ponownie wypełniła się gwarem komentarzy pełnych oburzenia.

Jeden z informatyków wymamrotał coś o przestarzałej architekturze systemu i słabych zabezpieczeniach przed atakiem od wewnątrz. Inny z komputerowców – administrator systemu – zaczął zadawać pytania dotyczące tego włamu, lecz Crossman przerwała mu, mówiąc, że

dochodzenie, które właśnie się toczy, zabrania jej mówienia o szczegółach.

Po kilku chwilach szum w sali konferencyjnej nasilił się i ani Henry Delvecchio, ani Madeline Crossman nie wydawali się zdolni do odzyskania kontroli nad zebranymi. Wysportowany mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze, stojący dotąd za ich plecami, podszedł do mównicy. Ethan pomyślał, że nieznajomy przypomina fryzurą Clarka Kenta, a sylwetką – kulturystę amatora.

– O, kurwa, Kapitan Ameryka – mruknął półszepem.

W głosie Beth Morris dało się niemal wyczuć szyderstwo, gdy zapytała:

– A kimże pan jest?

– Agent specjalny FBI Darren Albright. Sekcja kontrwywiadu – usłyszała w odpowiedzi.

– Kontrwywiad? O mój Boże... – wymamrotała Morris. – Traktuje się nas jak przestępców.

Albright spokojnie pokręcił głową i przemówił łagodnym, choć sugestywnym głosem, prawie z pobłażliwością:

– Nie, proszę pani. Nie jesteście traktowani jak przestępcy. Proszę mi wierzyć.

Rozejrzał się po sali i dodał:

– Przestępców traktujemy zupełnie inaczej. W tej chwili pracuję wspólnie z dyrektorem Delvecchiem nad zorganizowaniem badań na wariografie, które zostaną przeprowadzone tak, by w jak najmniejszym stopniu nie zakłóciły ważnej pracy, którą wykonuje każde z was.

Morris zachnęła się i zapytała:

– Skoro nie traktujecie nas jak przestępców, to czym, pańskim zdaniem, będzie wyciąganie nas na takie badania?

Albright mówił grzecznie, ale cały czas miał poważną minę. Chyba nie jest z tych, którzy się uśmiechają, pomyślał Ross.

– Nazwałbym to traktowaniem was jako podejrzanych – odpowiedział Albright. – Przestępcom zakładamy kajdanki i doprowadzamy ich siłą do więzienia.

Komentarz ten wywołał wśród zebranych wybuch ledwie kontrolowanej wściekłości. Beth Morris odzywała się najgłośniej. Widząc to, Albright zaczął naradzać się z Madeline. Mówił półgłosem, lecz Ethanowi udało się usłyszeć, że zapytał o nazwisko Beth. Ku swemu zdumieniu Ross dostrzegł, że wymieniając je, Crossman spojrzała na Albrighta z szyderczym uśmiechem. W końcu to ona odpowiadała za kwestie bezpieczeństwa w Radzie.

– Pani Morris – zwrócił się do Beth Albright. – Proszę wybaczyć, że to mówię, ale ma pani zapewne wiele obaw związanych z badaniem wariografem. Czy zechciałaby pani porozmawiać ze mną na osobności po zakończeniu spotkania?

Beth przyglądała się Albrightowi i Crossman przez dłuższą chwilę.

– Takie badanie to dla mnie żaden problem – powiedziała w końcu. – Każdy z nas otrzymał poświadczenie bezpieczeństwa, więc rozumiem, że badanie to należy do rutynowych działań. Ale nie mogę zaakceptować obecności FBI w tej sali. Rada Bezpieczeństwa Narodowego ma własne procedury bezpieczeństwa.

Albright uśmiechnął się do Beth Morris, a potem zwrócił się do wszystkich zebranych, mówiąc:

– Nie zwracajcie na mnie uwagi. Będę się tu rozglądał przez kilka dni, ale nawet mnie nie zauważycie. Po badaniach na wariografie każdy z was wróci do swojej pracy. A dokładniej – prawie każdy, ponieważ osoba odpowiedzialna za włamanie do systemu będzie musiała odpowiedzieć na

kilka pytań.

Po chwili spotkanie dobiegło końca, a Ethan wrócił do gabinetu, mijając po drodze swoją zaciekawioną sekretarkę, lecz nie odezwał się do niej ani nawet nie zaszczyił jej spojrzeniem. Natychmiast zasiadł przed komputerem, otworzył plik z raportem CIA informującym o ataku w Indiach i poświęcił nieco czasu na kilkukrotne przeczytanie dokumentu.

Dwadzieścia minut później Ethan Ross ponownie przemierzył biuro swojej sekretarki, zmierzając do wyjścia. Miał na sobie płaszcz i trzymał już w ręce kluczyki do samochodu, choć czekało go jeszcze dziesięć minut marszu na parking.

Zauważył zdziwiony wzrok Angie. Była dopiero dziesiąta trzydzieści – pora zbyt wczesna na lunch, nawet w Waszyngtonie.

– Mam spotkanie o wpół do jedenastej – oznajmił Ross. – Kawa z urzędnikiem konsularnym w Duponcie. Odbieraj telefony.

Dominic Caruso został dowieziony na międzynarodowe lotnisko w Koczinie karetką. Był środek nocy i niewielki ruch na autostradzie oraz łączących się z nią drogach sprzyjał zamierzeniom indyjskiego rządu, a także tych, którzy przysłali po niego samolot.

Dom przebył całą drogę, leżąc z ręką przykutą kajdankami do noszy na kółkach. Przeszło mu przez myśl, że przydzielenie mu tej nietypowej biżuterii było zasługą posterunkowego Naidu. Był to ostatni akt niezadowolenia i wyraz biernej agresji ze strony funkcjonariusza policji, który otrzymał od przełożonych rozkaz natychmiastowego wysłania w drogę jedyne go świadka ataku terrorystycznego i czuł niedosyt, bo nie mógł przeprowadzić przesłuchania we właściwy sposób.

Dom nie miał dobrego zdania o Naidu, który był co najmniej dupkiem, a do tego sprawiał wrażenie antysemity. Musiał jednak zrozumieć frustrację indyjskiego policjanta, który stracił świadka. Dom był agentem FBI – przynajmniej na papierze – i wiedział, że na miejscu Naidu, pracującego nad wyjątkowo ważną sprawą, mającego do dyspozycji naocznego świadka, a potem odbierającego telefon od tajemniczego i wpływowego przełożonego, który każe natychmiast odesłać owego świadka na drugi koniec świata, wkurzyłyby się bezgranicznie. Wiedział także, że gdyby on znalazł się w takiej sytuacji, nie potrafiłby odmówić sobie drobnej zemsty i być może potraktowałby kogoś tak samo, jak Naidu potraktował jego.

Szarpnął kilka razy kajdankami, a potem opuścił rękę na nosze.

Karetka się zatrzymała. Nosze z Domem, wysunięte na zewnątrz i ustawione na kółkach, ruszyły po rozgrzanej, jasnej od elektrycznych świateł, asfaltowej płycie lotniska. Caruso usłyszał dźwięk doskonale zestrojonych silników odrzutowych i pomyślał, nie mając jednak całkowitej pewności, że rozpoznaje markę i model samolotu, który miał go zabrać do domu.

Wkrótce usłyszał czyjeś głosy, lecz leżąc, nie potrafił dostrzec rozmówców ani dosłyszeć ich słów. Po chwili zobaczył zatrzymującego się przy nim policjanta, który uwolnił go od kajdanek, a później dostrzegł jeszcze jedną zbliżającą się postać.

Nad noszami pochyliła się atrakcyjna blondynka z włosami spiętymi w kok. Dom poczuł ulgę, bo rozpoznał Adarę Sherman, szefową transportu w jego firmie, i natychmiast odniósł wrażenie, że jego indyjska gehenna dobiegła końca.

Adara nie współpracowała bezpośrednio z Domem, ale jej obecność na indyjskim lotnisku nie była dla niego zaskoczeniem. Stykali się ze sobą regularnie od ponad dwóch lat i Dom poznał Adarę jako osobę zawsze uprzejmą, a zarazem bezpośrednią. Ich szef, Gerry Hendley, ostrzegł go – podobnie jak pozostałych samotnych młodych mężczyzn w firmie – że Adara jest dla niego owocem zakazanym. Dom i jego koledzy próbowali wprawdzie od czasu do czasu nawiązać z nią stosunki towarzyskie, lecz za każdym razem – nawet gdy czynili to w najbardziej żartobliwy i nieszkodliwy sposób – ich wysiłki zderzały się ze zdecydowanym profesjonalizmem koleżanki.

Tak naprawdę Adara nie była oziębła, ale też... z pewnością nie była namiętna.

Adara Sherman przyjrzała się Domowi tak, jakby chciała sprawdzić, czy zabrał ze sobą odpowiedni bagaż. Skinęła głową w stronę dwóch ludzi z obsługi karetki oraz dwóch policjantów i powiedziała:

– Czy możecie mi pomóc? Trzeba umieścić go w samolocie. Z tyłu jest kanapa, na której będzie mu wygodnie.

– Tak, proszę pani – odpowiedział jeden z mężczyzn.

Dom zaczął się podnosić, by usiąść, lecz Adara, nie mówiąc ani słowa, zdecydowanym ruchem położyła mu rękę na ramieniu i zmusiła go do ponownego ułożenia się na plecach. Dom wiedział, że mógłby wstać i wejść na pokład samolotu o własnych siłach. Byłoby to z pewnością bolesne doświadczenie, lecz wolał to niż transport na noszach. Ostatecznie jednak posłuchał Adary Sherman – nie zamierzał się z nią spierać.

Nie wątpił, że miejscowi uznali ją za szykowną stewardesę należącą do obsługi korporacyjnego odrzutowca, choć zauważył coś, o czym oni nie mieli pojęcia: wiedział, gdzie spojrzeć, by dostrzec ledwie widoczny zarys pistoletu typu SIG Sauer kalibru 10,16 mm, ukrytego na wysokości talii pod niebieskim blezerem Adary. Dom wiedział też, że Adara ma jeszcze broń do ochrony osobistej – pistolet maszynowy HK MP7 w szafce ukrytej w ścianie pokładowej kuchni – i że dzięki doskonałemu wyszkoleniu mogłaby jej użyć już po niecałych trzech sekundach od chwili pojawienia się zagrożenia.

Sherman była nie tylko konwojentką i koordynatorką transportu – zajmowała się mnóstwem innych ważnych rzeczy, a Dom dobrze wiedział, że lepiej się jej nie sprzeciwiać.

Adara stanęła z boku. Ludzie z załogi karetki unieśli nosze, umieścili je we wnętrzu gulfstreama G550 przysłanego przez Hendley Associates, a potem, przygotowując Doma o ból żeber przy każdym ruchu, niezbyt delikatnie przełożyli go na kanapę. Zostawili go ze zwisającymi nogami, w pośpiechu omietli wzrokiem luksusowe wnętrze maszyny i opuścili jej pokład. Kiedy towarzyszący im indyjski policjant znalazł się sam na sam z Amerykaninem, pochylił się nad nim i powiedział:

– Mam panu przekazać wiadomość od Naidu: proszę do niego zadzwonić, jeśli będzie pan miał jakieś informacje.

Dom wzruszył ramionami i poczuł ból poobijanych żeber.

– Proszę mu powiedzieć, że doceniam jego gościnność – odparł. Czekał, aż mężczyzna opuści samolot.

Policjant zszedł na płytę lotnika i zatrzymał się na chwilę obok Sherman, żeby zamienić z nią kilka słów. Dominic natomiast zebrał siły i podciągając się na rękach, zaczął się podnosić. W końcu usiadł, choć wysiłkowi towarzyszyły jęki z powodu ostrego bólu przeszywającego żebra i głowę. Mimo to Dom szybko wstał i ruszył w stronę kuchni na przodzie maszyny.

Zamierzał przygotować sobie drinka.

Był już w połowie drogi, kiedy w kabinie pojawiła się Sherman.

Ujrawszy stojącego Doma, wskazała palcem kanapę i powiedziała:

– Masz się natychmiast położyć.

– Czy mogę wypić szybkiego...

– Nie, nie możesz. Kładź się. Zajmę się wszystkim, jak tylko znajdziemy się w powietrzu. Musimy

już startować.

Dom niechętnie odwrócił się i podreptał w stronę kanapy. Zaczął powoli siadać i stwierdził, że to o wiele trudniejsze niż trzymanie się na wyprostowanych nogach. Sherman błyskawicznie znalazła się obok kanapy i pomogła Domowi położyć się na plecach, a potem chwyciła go za nogi, ułożyła je wysoko i przykryła kocem.

Dom wydał długie westchnienie ulgi. Mając uniesione nogi, poczuł, że ból w żebrach znacznie złagodniał.

– Dzięki – powiedział.

Adara nie rzekła ani słowa. Przypięła Doma pasami bezpieczeństwa do kanapy, szybko podeszła do drzwi i zamknęła je energicznym ruchem, a potem naradzała się jeszcze przez chwilę z obydwojoma pilotami. Po upływie niecałej minuty samolot ruszył. Adara wróciła do przedziału pasażerskiego, usiadła na rozkładanym krzeselku przy drzwiach i zatrzasnęła klamrę swojego pasa.

Podczas startu Caruso uzmysłowił sobie, że już nie pierwszy raz został ranny i następnie przypięty do dokładnie tej samej samolotowej kanapy. Parę lat wcześniej został postrzelony w Pakistanie, a lot do domu stanowił dla niego niemiłe wspomnienie. Tym razem odniósł mniej poważne rany, ale między obydwojoma wydarzeniami była zasadnicza różnica. Wtedy panowała atmosfera przepełniona entuzjazmem, bo Dominicowi i jego towarzyszom udało się zapobiec wybuchowi nuklearnemu i wydawało się, że rana od kuli jest niewielką ceną, którą przyszło zapłacić za powodzenie operacji.

Tym razem Caruso wracał, wiedząc, że czteroosobowa rodzina – ludzie, których los nie był mu obojętny – zginęła w płomieniach, i czuł, że jeszcze długo będzie rozpamiętywał swoje wszystkie działania i reakcje podczas nocnej walki w domu Yacobyh.

Gulfstream wyrównał lot nad Indiami i pomknął na wschód, w kierunku Zatoki Bengalskiej. Zgodnie z planem miał przelecieć nad Tajlandią i Tajwanem, a później pokonać Pacyfik, dotrzeć na zachodnie wybrzeże Stanów, uzupełnić paliwo w San Diego i udać się w dalszą drogę, by po szesnastu godzinach od startu w Koczinie wylądować w macierzystej bazie w Baltimore.

Pięć minut po starcie Adara wróciła do Dominica, wciąż czującego się jak część bagażu. Aby odepchnąć od siebie natrętne myśli, postanowił wrócić do kwestii drinka.

– Adaro, czy mogę w końcu dostać maker's marka z lodem? – zapytał.

Adara przyklęła, uwolniła Doma z pasów i zaczęła rozpinąć jego koszulę.

– Przykro mi, ale to będzie musiało poczekać – powiedziała. – W tej chwili potrzebujesz nie stewardesy, tylko lekarza. Teraz cię zbadam, żeby zobaczyć, czego będziemy potrzebować w Waszyngtonie. Otrzymałam z indyjskiego szpitala e-mail z twoimi prześwietleniami i opisem stanu zdrowia. Przejrzałam je podczas startu. Nie masz żadnych złamań, ale chcę się dokładniej przyjrzeć krwiakowi na twojej piersi.

Dominic zareagował na te słowa stłumionym gniewem.

– Czuję się dobrze, Sherman – odparł. – Spędziłem cały dzień w szpitalu i zostałem już zbadany.

– Nie przeze mnie.

– W tej chwili chcę się tylko napić i zostać sam.

Lecz Adara Sherman nie zamierzała się poddać.

– Jeśli chcesz w dalszym ciągu udawać dupka, to tylko odwleczesz to, co i tak będę musiała zrobić

– oznajmiła.

Zamilkła na chwilę, a potem dodała nieco łagodniejszym głosem:

– Na tym polega moja praca, Dominicu. A teraz bądź grzecznym chłopcem i pozwól mi się obejrzeć.

Do Caruso dotarło, że przed chwilą próbował przelać na Adarę swoją frustrację.

– Przepraszam – powiedział. – To były dwa ciężkie dni.

Adara spojrzała na tors Doma. Prawa strona jego klatki piersiowej była czarnogranatowa.

– Tak, na pewno nie było ci łatwo – rzekła Sherman. – Skąd to stłuczenie?

– Spadłem ze schodów i chyba zawadziłem o coś po drodze.

Adara z trudem zdobyła się na uśmiech.

– Aleś wymyślił... – skwitowała.

Odwinęła bandaż na piersi Doma, po czym dokładnie oczyściła ranę kłutą, a potem zajęła się przedramieniem swojego podopiecznego. Odkaziła też drobniejsze cięcia i zadrapania na jego tułowiu.

– Nie ufasz indyjskim lekarzom? – zapytał.

– Ufam im, ale w Afganistanie nauczyłam się jednego: rany nigdy nie są dostatecznie czyste.

Dom wiedział, że Adara służyła w marynarce, co w jej przypadku nie oznaczało przesiadywania na okręcie i wydawania leków łagodzących objawy choroby morskiej. Adara brała udział w misjach w Iraku i w Afganistanie, lecząc tam amerykańskich marines i nierzadko wystawiając się na ostrzał. Podczas lat spędzonych w Kampusie Dom był świadkiem wielu akcji; uznał jednak, że z dużym prawdopodobieństwem atrakcyjna „stewardesa” widziała o wiele więcej niż on.

– Wciąż myślisz o wojnie? – spytał.

Był niemal pewien, że spotka się z profesjonalnym brakiem odpowiedzi, lecz Adara przerwała na chwilę oczyszczanie jego rany. Wacik do dezynfekcji niemal znieruchomiał i ledwie muskał uszkodzoną skórę na piersi Doma.

Adara spojrzała mu w oczy.

– Codziennie – odpowiedziała i szybko odwróciła wzrok, karcąc siebie samą za naruszenie zawodowego dystansu.

Potem, opatrując otarcia, nie odezwała się już ani słowem.

Dom krzywił się z bólu od czasu do czasu, lecz starał się zachować spokój.

Po zbadaniu Doma i oczyszczeniu oraz zabandażowaniu jego ran Adara wyszła na chwilę. Wróciła z lekami przeciwbólowymi i butelką wody.

– Nie, dzięki – usłyszała.

– Boli cię coś? – zapytała.

– Głowa, ale da się wytrzymać.

Adara ponownie podsunęła Domowi tabletki. Pokręcił jednak głową, mówiąc:

– Muszę pomyśleć, a one tylko mi w tym przeszkadzają.

– A co powiesz na drinka?

Na twarzy Doma pojawił się lekki uśmiech, pierwszy od dwudziestu czterech godzin.

– Skoro nalegasz...

Dziesięć minut później Adara przemierzyła zaciemnioną kabinę i stanęła nad Dominikiem, który pólleżał w jednym z wygodnych skórzanych foteli w tyle kadłuba. Adara spojrzała na twarz Caruso w świetle jarzącego się ekranu telefonu satelitarnego. Sądziła, że już zasnął, lecz było inaczej: zobaczyła, że Dom wpatruje się w nią uważnie szeroko otwartymi ciemnymi oczami.

Podawała mu telefon.

– To pan Hendley – oznajmiła.

Dom chwycił aparat i zerknął na zegar zamontowany obok fotela.

– Cześć, Gerry – powiedział.

Gerry Hendley – szef Kampusu, a oficjalnie dyrektor zarządzającej finansami firmy Hendley Associates będącej jego przykrywką – miał za sobą karierę senatora Karoliny Południowej i przeciągał słowa jak typowy południowiec.

– Jak się trzymasz, Dominicu? – zapytał.

– Panna Sherman na pewno przesłała ci już pełną listę moich obrażeń.

– Tak, ale pytam o to ciebie.

– Czuję się tak, jakbym wpadł pod autobus, ale się wyliżę – odpowiedział Dom i zamilkł na chwilę. – Wiesz już może, co się stało?

– Domyśliłem się, że tylko to będzie cię teraz interesowało, więc zacząłem wgryzać się w tę sprawę. Obawiam się jednak, że nie wiem jeszcze zbyt wiele. Ale rozmawiałem już z kilkoma kolegami w Langley i wiemy przynajmniej, że niektórzy z terrorystów należeli do Brygad Izz ad-Din al-Kassam. Pięć dni temu wypłynęli z Jemenu i porwali indyjski statek towarowy, żeby móc swobodnie poruszać się po wodach terytorialnych Indii.

Dom opuścił głowę na skórzaną tapicerkę i zamknął oczy.

– Al-Kassam? – zapytał. – Pierdolony Hamas...

– Zgadza się.

– Wiadomo już, dlaczego wybrali właśnie Yacoby'ego?

– Nie, ale jestem w kontakcie ze swoimi źródłami w Stanach i za granicą i próbuję się tego dowiedzieć. Na razie wiem tylko, że Yacoby służył do niedawna jako dowódca w Shayetet 13.

– Izraelska piechota morska? To wyjaśnia, dlaczego moje ćwiczenia wyglądały tak, a nie inaczej – powiedział Dom. – Ale przecież Brygady to siły Hamasu, które działają mniej lub bardziej konwencjonalnie. Kiedy więc zaczęły używać kamizelek samobójcy?

– Nigdy. W związku z rozpoczęciem ich operacji w Jemenie bierzemy pod uwagę możliwość, że goście w kamizelkach należeli do Al-Kaidy.

– Yacoby nie miał wsparcia, mieszkał z rodziną za granicą i był miękkim celem. Dlaczego więc Brygady wysłały nie tylko strzelców, ale i bandytów uzbrojonych w bomby?

– Mamy sporo teorii – odpowiedział Hendley. – Zgodnie z jedną z nich, moim zdaniem dość sensowną, terroryści postanowili najpierw zamordować Yacoby'ego, a potem wziąć zakładników w synagodze lub w innym miejscu, w którym zbiera się tamtejsza społeczność żydowska. Ludzie z Al-Kaidy mieli zostać męczennikami i zabić jak najwięcej Żydów, a Palestyńczycy zdążyliby uciec.

Dom skinął głową, mówiąc:

– I pozwoliłoby to zamaskować morderstwo.

– Właśnie. Wszyscy byliby przekonani, że Arika i jego rodzinę schwymano podczas ataku na

miejscową ludność żydowską i że to nie on był głównym celem przybyszów ze Strefy Gazy.

Dom zamyślił się i stwierdził po chwili:

– Miało to wyglądać na przypadek i zapewnić ochronę komuś, kto przekazał informacje o Yacobym i jego miejscu pobytu.

– Być może. Nie wiem. Nie przesadzajmy z domysłami.

– Słuszna uwaga – przyznał Dom, skubiąc bandaż na przedramieniu. – Ważniejsze jest to, jak się o nim dowiedzieli.

– Na razie nie wiadomo – rzekł Gerry. – Zastanawiam się, czy wśród Izraelczyków nie ma zdrajcy.

– O cholera... – mruknął Dom. – Wiesz co, Gerry? Zabrakło mi dwóch sekund, żeby wpakować kulę w potylicę bandziora w kamizelce. Mogłem zapobiec ich śmierci.

– Nie myśl tak. Wiem, że wykonałeś piekielnie trudną robotę. Hindusi poinformowali nas, że sam zlikwidowałeś kilku napastników.

Jednak Dom nie słuchał. Przeniósł się w myślach na farmę Yacobyh.

– Arik miał dwóch chłopców – powiedział.

– Wiem, synu, wiem...

– Gdybym dostał się na górę trochę szybciej, to mógłbym...

– Mógłbyś zostać rozerwany na strzępy jak pozostali – huknął w telefonie satelitarnym przesiąknięty południowym akcentem głos Gerry'ego. – Posłuchaj, Dom: nie potrafię ci powiedzieć, jak możesz sobie z tym poradzić. Przykro mi, ale naprawdę nie wiem... Przeszedłeś już kiedyś przez coś takiego.

Tak, Dom przeszedł. Dwa lata wcześniej zmarł na jego rękach Brian, brat bliźniak, który także służył w Kampusie. Caruso był świadomy zmian, jakie dokonały się w nim po śmierci brata, i obawiał się, że nie były to zmiany na lepsze.

– Masz na myśli Briana? – zapytał.

– Tak. To ja wysłałem ciebie i twojego brata do Libii. Ciąży mi to każdego dnia.

Jednak Dom nigdy nie obwiniał Gerry'ego o to, co się stało.

– Podjąłeś wtedy właściwą decyzję – rzekł tonem pozbawionym cienia żalu. – Robiliśmy to, co należało zrobić, a Brian po prostu wyciągnął krótszą zapałkę.

– Podobnie jak Arik Yacoby i jego rodzina. Ale teraz nie możesz już nic zrobić i rozpamiętywanie tamtej nocy przez resztę życia nie ma sensu.

– *Yes, sir* – odparł Caruso i zmusił się do odsunięcia na bok myśli o rodzinie, która zginęła w Indiach. – Jakie następstwa dla Kampusu będzie miała cała ta sprawa?

– Trudno powiedzieć. Nie wiemy, jak Brygady dowiedziały się o Yacobym, więc nie możemy jeszcze ocenić, na jakie ryzyko jesteś narażony.

Dom zrozumiał, co Hendley chciał dać mu przez to do zrozumienia. Dlatego powiedział:

– Dopóki nie wiecie, w jaki sposób informacje o Yacobym wpadły w ręce terrorystów, nie wiecie też, czy nie jestem spalony. Muszę więc na razie trzymać się z dala od Kampusu i chłopaków.

– To nie powinno być trudne – odrzekł Gerry. – Reszta zespołu jest rozproszona po całym świecie. Każę wszystkim zostać na miejscu, a ty będziesz musiał wziąć sobie trochę wolnego, ale się tym nie przejmuj.

Dom zachichotał cicho, choć niezbyt entuzjastycznie.

– Byłem przygotowany i miałem już się odmeldować, kiedy stało się to wszystko – odparł. – A teraz każesz mi zniknąć.

– Nie. Każę ci wydobrzcć. Panna Sherman powiedziała mi, że potrzebujesz trochę czasu, żeby dojść do siebie. Gdy będziesz odpoczywał, sytuacja zapewne się uspokoi. Mogę poinstruować pilotów, by zabrali cię, dokąd zechcesz. Czy Adara ma ci znaleźć dom wypoczynkowy gdzieś w Górach Skalistych? Albo domek na plaży na Hawajach? Jakies miejsce, w którym przeczekaasz, aż wszystko rozejdzie się po kościach?

– Prawdę mówiąc, Gerry, chcę wrócić do domu. Do Waszyngtonu.

– Słusznie. A teraz odpoczywaj. Adara zatroszczy się o ciebie.

Harlan Banfield był dziennikarzem prasowym. Pracował w tym fachu od ponad czterdziestu lat, co z pewnością potwierdzał jego wygląd. Banfield był niski, ubierał się bez gustu, miał bezustannie rozczochrane siwe włosy i jasnoszare oczy, pełne życzliwości i zrozumienia nawet wtedy, gdy przeprowadzał wywiad z politykiem, na którym nie zamierzał zostawić suchej nitki.

Harlan zaczął dzień od porannego spotkania stowarzyszenia korespondentów zagranicznych w College Park w stanie Maryland. Był jednym z nich, a jego nazwisko pojawiało się pod artykułami nadsyłanymi z tak odległych stron jak Ho Chi Minh albo Montevideo. I chociaż w ciągu pięciu ostatnich lat rzadko kiedy ruszał się z Waszyngtonu, gdzie już na dobre zapuścił korzenie, wciąż lubił spotykać się przy comiesięcznym śniadaniu z innymi, zarówno czynnymi zawodowo, jak i byłymi już obywatelami piszącymi reportaże.

Spotkanie zakończyło się o jedenastej. Chwilę później Harlan wgramolił się do dziewięcioletniego volkswagena i pojechał do swojego biura, zajmującego jeden pokój w wieżowcu przy waszyngtońskiej K Street, ciągnącej się przez biznesowe centrum miasta. Musiał najpierw odbyć kilka rozmów telefonicznych, a potem spotkać się przy lunchu ze starymi kolegami z „The Washington Post”.

Banfield rozpoczął dziennikarską karierę w latach siedemdziesiątych. Pisał wtedy o wydarzeniach w mieście dla „The Philadelphia Enquirer”. Później, w latach osiemdziesiątych, w Nowym Jorku współpracował z United Press International, lecz ostatecznie został korespondentem zagranicznym w „The Washington Post”. Spędzał wtedy dużo czasu w Europie i na Bliskim Wschodzie, lecz jako doskonały dziennikarz, a przy tym kawaler, przez dwadzieścia lat jeździł także wszędzie tam, gdzie działo się coś ważnego. U schyłku kariery powrócił do Waszyngtonu, aby pracować w swoim biurze przy 15. ulicy.

Teraz był już sześćdziesięciosześcioletkiem, lecz jeszcze nie emerytem. Wciąż pracował jako wolny strzelec: pisywał o sprawach dotyczących miasta i zamieszczał artykuły najczęściej w rozmaitych mediach elektronicznych.

Był nie tylko dziennikarzem do wynajęcia: prowadził także autorski blog o waszyngtońskich lobbystach i czynił to ze zdecydowanie antylobbystycznej perspektywy. Ten blog wzbudził pewne zainteresowanie ludzi pracujących dla rządu, lecz nie był przeznaczony dla szerokiego grona odbiorców, ponieważ – podobnie jak sporadyczne działania Banfielda w roli dziennikarza piszącego z wolnej stopy – spełniał w zasadzie jedynie rolę fasady.

W rzeczywistości Harlan Banfield był kimś więcej niż dziennikarzem. Był także amerykańskim współpracownikiem organizacji, która nadała sobie miano International Transparency Project. Opis misji zamieszczony na internetowej stronie ITP był niezwykle lapidarny: organizacja ta przedstawiała się jako grupa filantropów, dziennikarzy, prawników oraz aktywistów usiłujących

wspierać jawność działań i odpowiedzialność rządu. Jej członkowie zajmowali się wyszukiwaniem demaskatorów, a także zachęcaniem ich do współpracy, finansowaniem i ochroną.

Na stronie ITP można było zobaczyć rysunek słońca wchodzącego nad Waszyngtonem, a nieco wyżej wypisane pogrubionymi literami hasło „Prawda przeciw władzy”. Widok Waszyngtonu na stronie głównej miał w sobie coś wymownego, gdyż organizację – przynajmniej pozornie – założono po to, by obnażać bezprawne postępowanie rządów na całym świecie, lecz w rzeczywistości działacze ITP koncentrowali swe wysiłki na tym, co postrzegali jako imperium zła: na Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Banfield nie żywił nienawiści do swojego kraju, choć uważał, że żywią ją prawdopodobnie niektórzy z jego zagranicznych kolegów z ITP. Lubił po prostu dobre artykuły i nic nie dostarczało mu większych emocji niż odkrywanie ściśle strzeżonych tajemnic. Rządowe przecieki na wysokim szczeblu stanowiły waszyngtońską walutę, a Harlan Banfield uwielbiał odgrywać rolę tajnego pośrednika w ich wymianie.

Odnosił wrażenie, że w Stanach Zjednoczonych istnieje państwo w państwie: gabinet cieni złożony z bogatych i ustosunkowanych przemysłowców sprawujących rzeczywistość, choć zakulisową władzę. Praca dla ITP była dla Banfielda sposobem na odkrywanie, warstwa po warstwie, rządowych tajemnic w nadziei, że pewnego dnia uda mu się dokopać dostatecznie głęboko, by odkryć prawdę o zakulisowych postaciach rządzących tym krajem.

Nie robił tego, by zwrócić na siebie uwagę – wszakże uczestnicy ITP nie ujawniali swojej tożsamości. Próbowali w ten sposób zminimalizować ryzyko rządowej inwigilacji i ta metoda, przynajmniej w przypadku Banfielda, okazywała się skuteczna. Znano go powszechnie jako starzejącego się korespondenta zagranicznego, którego już dawno temu posłano na zieloną trawkę, podczas gdy on z upodobaniem otwierał sekretne drzwi Waszyngtonu.

Tuż przed południem Banfield zaparkował samochód w podziemnym garażu. Zaczęło właśnie lekko mżyć, więc dziennikarz ucieszył się, kiedy wjechał na miejsce pod dachem opatrzone swoim nazwiskiem. Gdy tylko przekręcił kluczyk w drzwiach volkswagena i skierował kroki ku windzie, dostrzegł kątem oka postać przesuwaną się między rzędem pojazdów a ścianą po lewej stronie.

Zatrzymał się i kurczowo zacisnął w dłoni kluczyki, jak gdyby chciał ich użyć jako broni dla odparcia napadu.

Postać zbliżyła się i zatrzymała bez słowa naprzeciwko Banfielda, lecz pozostała w cieniu.

– Halo?

Mężczyzna przeszedł kilka kroków i stanął w oświetlonym miejscu. Miał na sobie prochowiec i włóczkową czapkę naciągniętą po same oczy. Co prawda od pierwszej chwili wyglądał znajomo, lecz Banfield potrzebował kilku sekund, aby go rozpoznać.

– Ethan? To ty? – zapytał.

– Musimy porozmawiać.

– Chryste, synu! Myślałem, że się posram ze strachu.

– Dokąd możemy pójść?

– Po co to przedstawienie? Mogłeś wysłać mi maila. Chodź na górę. Pogadamy w moim biurze.

– Nie! – zaprotestował Ethan Ross i pochylił się do przodu.

Banfield cofnął się o pół kroku, choć uczynił to nie ze strachu, lecz z zaskoczenia.

- Co jest grane, do cholery? – zapytał.
- Możesz mieć podsłuch w biurze. I w telefonie.
- Niby dlaczego?
- Weźmy twój samochód. Znam miejsce, w którym porozmawiamy bez przeszkód.

Ruszyli trasą wskazaną przez Rossa. Pojechali przez Georgetown, przedostali się mostem Francis Scott Key Bridge na drugą stronę Potomacu i wtopili się w sznur samochodów na czteropasmowej George Washington Memorial Parkway, która poprowadziła ich na północny zachód.

- Mam odwołać spotkanie przy lunchu? – zapytał Banfield.

Ross nie odpowiedział.

- A może powinienem zatankować samochód? Jak daleko jedziemy?
- Jesteśmy już blisko.

Banfield próbował szczęścia, starając się ze wszystkich sił wciągnąć Rossa w rozmowę, lecz ten tylko wyglądał przez okno samochodu i milczał.

Deszcz nie był ulewny, lecz padał bez przerwy i w kabinie volkswagena słychać było tylko miękki pisk mokrych opon oraz regularny stukot wycieraczek.

Dopiero po kilku minutach jazdy krętą drogą prowadzącą przez pagórkowaty teren Ross nakazał Banfieldowi skręcić w pierwszy zjazd po prawej. Sześćdziesięciosześcioletni reporter natychmiast zorientował się, że celem podróży jest park Fort Marcy.

Było to zalesione i odludne miejsce nad rzeką. Kiedyś, jeszcze w czasach wojny secesyjnej, zbudowano tu prawdziwy fort, ulokowany na wzgórzu, z którego widać było Potomak i okoliczne pola uprawne. W dawnych czasach znajdowało się tu mnóstwo umocnień – ziemnych wałów, ziemianek i okopów. Później, z biegiem lat, coraz bardziej wtapiały się one w otoczenie, tworząc nienaturalne sfałdowania terenu.

Teraz park pełnił już tylko funkcję przydrożnego miejsca na postój, ale nie było tam żadnego budynku, lecz stało jedynie parę zabytkowych armat ulokowanych na ziemnych cokołach przylegających do okopów.

Banfield zatrzymał samochód na poboczu drogi i natychmiast odwrócił się do Rossa, by zacząć go wypytywać, lecz ten wysiadł i pomaszerował w stronę zalesionego wzgórza. Banfield pospiesznie otworzył bagażnik, chwycił parasol i podążył za młodszym towarzyszem.

Po kilku minutach dotarli do miejsca, z którego nie było widać zaparkowanego samochodu. Ross usiadł na mokrej drewnianej ławce obok samotnej armaty, Banfield usadowił się obok. Byli zwróceni twarzami do Potomaku, lecz nie widzieli rzeki, bo przysłaniała ją listowie drzew porastających zbocze. Banfield krzywił się z powodu zimnego deszczu smagającego go w twarz, do tego czekał już od kwadransu, aż Ross zacznie mówić. Gapienie się bez słowa na las sprawiło, że szybko zaczął tracić cierpliwość.

– Posłuchaj, Ethan – odezwał się w końcu. – Jestem starzejącym się mieszczuchem. Mam zapalenie torebek stawowych w biodrach i alergię prawie na wszystko. Na dworze jest tylko kilka stopni, a ty wyciągasz mnie w taki deszcz do lasu. O co tu, do cholery, chodzi?

Ale Ross nie zwracał uwagi na pogodę. Podniósł się i zaczął chodzić tam i z powrotem koło armaty.

- Chodzi o pierdolone Indie – rzekł. – O to właśnie chodzi.
- O Indie?
- O wczorajszy atak. Słyszałeś o tym, prawda?
- No tak, pewnie. Mówili o tym w wiadomościach. Ale nie wiem, dlaczego...
- Palestyńczycy zabili byłego izraelskiego komandosa.

Obojętny wyraz twarzy Banfielda potwierdził jego niewiedzę w kwestii, o której zaczął mówić Ross.

– Tego w wiadomościach nie było – stwierdził dziennikarz. – Ale chwileczkę... Dlaczego miałyby mnie to interesować?

– Bo facet, którego zabito w Indiach, podczas masakry dowodził tureckim konwojem pokojowym.

Banfield energicznie zamrugał ze zdziwienia, podczas gdy Ross patrzył mu pilnie w oczy, szukając we wzroku swojego rozmówcy jakichkolwiek oznak, które pomogłyby mu w znalezieniu odpowiedzi na pytanie: czy Banfield już o tym wiedział?

– Ooo... – wydusił z siebie dziennikarz.

Wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

– Teraz zaczynam rozumieć – powiedział. – Ale mimo to nie wiemy, czy...

– Wiemy – przerwał mu Ross. – Rano, kiedy przyszliśmy do pracy, czekało na nas FBI. Agenci twierdzą, że ktoś nieupoważniony skopiował pliki dotyczące konwoju. Twierdzą też, że wspomniano w nich o pułkowniku Yacobym, tym martwym Izraelczyku, a także zamieszczono informacje o jego pobycie w małej indyjskiej wiosce.

Ross przystanął, pochylił się nad Banfieldem i dodał:

– W dokumentach CIA wymieniono jego nazwisko!

– Nie pamiętam już, miały mnóstwo stron.

– Ja też nie pamiętam, ale ludzie z FBI wydają się kurewsko pewni swego!

Banfield wstał i spojrzął w dal nad drzewami.

– Kiedy dostarczyłeś mi te pliki? – zapytał. – To musiało być jakieś trzy miesiące temu.

– Cztery.

– I dopiero teraz ujawniają włamanie? Dlaczego?

– Bo ktoś, kurwa, został zabity! – odpowiedział Ross donośnym szeptem. – Kiedy przekazałem ci dane, przysiągłeś mi, że wszystkie informacje, które mogłyby narazić kogoś na niebezpieczeństwo, zostaną odpowiednio zredagowane i trafią wyłącznie do ludzi z mediów. Powiedziałeś, że przekażesz je reporterowi „Guardiana” współpracującemu z ITP, a on ujawni, że USA potajemnie pomogło Izraelczykom w ataku na konwój. Miało to postawić Biały Dom w trudnej sytuacji i być może zniechęcić go do tajnych układów z Izraelem. Być może doprowadziłoby to także do wylania z administracji proizraelskich działaczy, a gdyby Izrael jeszcze raz ugrzązł w takim gównie, Waszyngton pewnie nie miałby już tak wielkiej ochoty na szpiegowanie w imieniu przestępczego reżimu.

Ross zdjął przemoczoną czapkę, przejechał dłońmi po mokrych, posklejanych jasnych włosach i dodał:

– Ale nikt, do cholery, nie powiedział, że czteroosobowa rodzina wyleci przez to w powietrze.

Banfield zastąpił drogę Rossowi, zmuszając go do zatrzymania się. Uniósł wyżej parasol, lecz

Ethan nie podszedł, by się pod nim schronić.

– Posłuchaj mnie uważnie – rzekł Banfield. – Pliki, które mi przesłałeś, nie trafiły do nikogo w Palestynie.

– Więc dokąd?

– Wciąż je mamy.

– Dlaczego nie dostarczyliście ich „Guardianowi”?

– Pamiętasz, co ci powiedziałem, kiedy przekazałeś mi informacje? Powiedziałem, że gdybyśmy ujawnili je tuż po włamaniu do waszego systemu, to mógłbyś się znaleźć w niebezpieczeństwie – powiedział Banfield i ścisnął ramię Rossa. – Nie zamierzam pozwolić, by coś ci się stało. Moja organizacja udoskonaliła sztukę maskowania informatorów. Jesteś bezpieczny.

Ross niespiesznie usiadł na ławce. Chciał uwierzyć Banfieldowi, lecz nie miał pewności.

– Poczuję się lepiej, gdybym wiedział, że ITP nie ma kontaktów w Palestynie – oświadczył.

– Jasne, że ma – odrzekł Banfield. – Mamy kontakty na całym świecie. Ale nie przekazaliśmy nikomu tych informacji i nigdy nie przyłożylibyśmy ręki do tak brutalnego aktu przemocy. Nasi palestyńscy partnerzy mają tyle wspólnego z terrorystami, którzy popełnili tę zbrodnię, co my z waszyngtońskimi nożownikami mordującymi ludzi dla kilku dolarów. Wszędzie zdarzają się czarne owce, ale my po prostu z nimi nie współpracujemy.

Powiedziawszy to, Banfield usiadł obok Rossa. Wiatr wiejący od rzeki chłostał ich twarze chmurą kropel. Parasol przestał spełniać swoje zadanie, lecz Banfield wciąż trzymał go jak poprzednio.

– Nie zrobiłeś niczego złego, Ethanie, i jesteś w stu procentach czysty – powiedział. – Jestem pewien, że to, co wydarzyło się w Indiach, nie miało nic wspólnego z tym, co zrobiłeś cztery miesiące temu.

– Ale ludzie z FBI nie mają takiej pewności. Chcą nas zbadać w tym tygodniu wariografem.

Banfield nie okazał najmniejszej oznaki zaskoczenia.

– To było do przewidzenia – stwierdził. – Typowe badanie na chybił trafił.

– Być może, ale na pewno bardzo dokładne.

– Nie miałeś do tej pory problemów z wariografem.

Ethan westchnął, starając się ze wszystkich sił odzyskać panowanie nad sobą.

– To prawda, nie miałem – powiedział. – Studiowałem na Harvardzie i nie zamierzam dać się przechytrzyć pieprzonemu absolwentowi stanowego college’u i jego pudełku z drutami i światełkami. Tyle tylko, że moje poprzednie badania były coroczną rutyną z udziałem drugoligowego specjalisty, któremu nie przysłoby do głowy, że ktoś mógłby kłamać. Wiedziałem, że potrafię oszukać aparat, więc go oszukiwałem. Ale tym razem będzie inaczej. Specjalny wariograf, specjalne pytania i najlepsi fachowcy z FBI. To już nie bułka z masłem.

Po tych słowach Banfield podjął próbę uspokojenia swego rozmówcy.

– Wariograf to tylko gówno wart rekwizyt – stwierdził. – Musisz zrozumieć, że to sztuczka, która ma skłonić winnego do powiedzenia prawdy. Ten, kto cię będzie przesłuchiwał, wykorzysta wariograf jako pretekst, żeby powiedzieć, że ci nie wierzy. To jego narzędzie do wyciągania zeznań. Wtedy po prostu się odpręż i niczego mu nie mów. I uwierz mi, że to działa.

Ethan zerknął na Banfielda i rzekł:

– Nie powiedziałeś mi nic nowego.

– Przepraszam – odparł dziennikarz, unosząc ręce do góry w geście pojednania. – Wiedz jednak, że nie można cię winić za atak w Indiach. Informacje, które wydobyleś z plików CIA, są w tej chwili równie bezpieczne, jak wtedy, kiedy je skopiowałeś. Czeka ją na odpowiedni moment.

Ethar spojrział w dal i wymamrotał:

– Potrafię poradzić sobie z maszyną.

Powiedział to jednak bez przekonania, na co Banfield otoczył go ramieniem i rzekł:

– Jasne, że potrafisz. Zdobędę leki, które ci w tym pomogą.

Potem pochylił się, spojrział Ethanowi w oczy i jeszcze raz ścisnął jego ramię.

– Posłuchaj – zaczął. – Współpracujemy z wieloma patriotami takimi jak ty. Przypuszczalnie co miesiąc któryś z nich zostaje poddany niezapowiedzianemu badaniu wariografem. I do tej pory nic nie wypłynęło. Nigdy.

– Nie okłamuj mnie, Harlan.

– Nie ośmieliłbym się. I nie chcę włożyć ci w dupę, ale i tak to powiem: jesteś o lata świetlne bystrzejszy niż niejeden z naszych informatorów.

Po tych słowach Banfield uśmiechnął się i przewrócił oczami, komentując w ten sposób intelektualny poziom tych, o których właśnie wspomniał.

Ethan skinął głową, bo zgadzał się z Banfieldem bez cienia zażenowania, i nieco się rozpozgodził. Przez chwilę rozglądał się po parku, tak jakby dopiero tu się znalazł, lecz nie zauważył nikogo poza sobą i Banfieldem.

– W porządku – powiedział. – Poświęcę parę najbliższych dni na przygotowanie się do badania, lecz nie zamierzam zaufać w tym czasie jakiegokolwiek technologii. Kto wie, jak bardzo szczegółowe będą przesłuchania? Musimy zachować ostrożność. FBI mogło uzyskać sądowe postanowienie o podsłuchiowaniu każdego z nas – każdego, kto otrzymał poświadczenie bezpieczeństwa. Dlatego żadnych telefonów ani maili.

– Telefon przyda się w razie potrzeby, lecz pod warunkiem że kupisz sobie nowy. Wstąp do jakiegoś sklepiku i wybierz tani model. Ja zrobię to samo.

– W porządku, chociaż wolałbym spotykać się z tobą osobiście.

Banfield zamyślił się, a potem zapytał:

– Biegasz jeszcze przed pracą?

– Czasami. Dlaczego pytasz?

– Kup kawałek kredy.

– Kredy?

– Tak. Przez kilka następnych dni biegaj co rano przez Wisconsin Avenue, a potem skręcaj na wschód, w N Street. Na południowo-wschodnim rogu stoi tam zielony hydrant przeciwpożarowy. Jeśli będziesz chciał się tu ze mną spotkać, weź mały kawałek kredy i zostaw na czubku hydrantu kreskę, długą na pięć, góra dziesięć centymetrów – taką, którą będę mógł zobaczyć w drodze do pracy. Jeśli ją narysujesz, zjawię się tu punkt ósma rano.

– A jeśli to ty będziesz chciał się spotkać ze mną?

– Zrobię to samo. Zostawię znak na hydrancie.

– Trochę staromodny sposób, ale niech będzie – skwitował Ross, powoli kiwając głową.

– Stare sposoby są najlepsze, synu. Teraz, kiedy zakłada się podsłuchy w telefonach i odczytuje

niezaszyfrowane maile, nikt już nie szuka znaków rysowanych kredą.

Banfield wysadził Rossa kilka przecznic od swojego biura, przy mercedesie zaparkowanym koło ronda Thomas Circle, i wrócił na podziemny parking pod wieżowcem. Przez całą drogę uważnie obserwował otoczenie, sprawdzając, czy nie jest śledzony, lecz ostatecznie zyskał niemal całkowitą pewność, że były to niepotrzebne obawy. Uważał się za kogoś w rodzaju amatora biegłego w kwestiach związanych z byciem obserwowanym, a przyczyną tego przekonania było pewne szkolenie, które przeszedł na początku swojej kariery dziennikarskiej. W latach siedemdziesiątych młody Harlan Banfield zapisał się w Londynie na pięciodniowy kurs bezpieczeństwa dla szefów i dziennikarzy podróżujących po świecie. Zajęcia z samoobrony wydały się Harlanowi śmieszne i naiwne. Miał wkrótce wyjechać do Libanu, by relacjonować toczącą się na jego terytorium wojnę domową, i uznał, że umiejętność wyłamania kciuka lub trafienia rękojęcią noża w krocze z pewnością nie zaimponuje żadnemu z uzbrojonych szyitów, na których mógłby natknąć się za pierwszym lepszym rogiem.

Jednak szkolenie to nie było do końca bezużyteczne: pozwalało nauczyć się podstawowych sposobów rozpoznawania ogona i rozmaitych oznak świadczących o inwigilacji.

Z biegiem lat miejsce wiedzy teoretycznej zajęła praktyka zdobywana przez niego w realnym świecie. Pracując w tajemnicy dla ITP, dziennikarz wyrobił w sobie nawyk zwracania uwagi na każdego, kto znajdował się za jego plecami.

Banfield, pewien, że tego dnia nie zainteresował nikogo bardziej niż kiedykolwiek, dotarł do swojego biura na dziesiątym piętrze wieżowca. Zamknął za sobą drzwi i choć nie zdjął nawet płaszcza ani kapelusza, zasiadł przed komputerem i natychmiast zalogował się w serwisie Cryptocat, przeznaczonym do prowadzenia szyfrowanych rozmów. Wpisał wyuczony na pamięć długi ciąg liter i cyfr. Na ekranie pojawiła się lista znajomych, lecz nie było na niej adresu osoby, z którą Banfield zamierzał się właśnie skontaktować. Podał go również z pamięci.

Niemal natychmiast ujrzał komunikat potwierdzający nawiązanie szyfrowanego połączenia. Przez chwilę przebierał palcami nad klawiaturą, po czym napisał:

Mamy problem.

Pół minuty później ktoś zapytał:

Jaki to problem?

Ethan Ross.

Tak.

Banfield podniósł głowę i napisał:

Tak? Co „tak”?

Dopiero co poznałam szczegóły ataku w Indiach. Oczekiwałam, że się odezwiesz w związku z naszym przyjacielem.

Ross uważa, że to my przekazaliśmy informacje.

Myli się.

Powiedziałem mu to. Potwierdź, proszę, że miałem rację, mówiąc mu, że nie przekazaliśmy jej do tej pory „Guardianowi”.

Masz rację.

Ross będzie badany wariografem.

W jakim jest nastroju?

Przejmuję się. Powiedziałbym, że bardzo. Naopowiadałem mu, jak sobie z tym radzimy. Myślę, że dał się przekonać. Dostarczę mu koktajl, który ma pomóc w oszukaniu wariografu, ale tak naprawdę nie wiem, czy sobie poradzi.

Nie będzie musiał.

Harlan Banfield nie zrozumiał. Zapytał więc:

Co chcesz przez to powiedzieć?

Czekał na odpowiedź ponad minutę, walcząc z chęcią wysłania kolejnego znaku zapytania. Wytrzymał jednak i techniką strzelających palców zmusił się do cierpliwości.

W końcu zobaczył na monitorze jedno krótkie zdanie:

Jestem w drodze.

Banfield wyprostował się i zaczął ciężko oddychać. Nie miał pojęcia, o czym myślała osoba po drugiej stronie zaszyfrowanego łącza, lecz natychmiast wyzbył się obaw, że szefostwo ITP zbagatelizuje wagę ostatnich wydarzeń: wiedział, że szefowa tej organizacji urzędowała w Szwajcarii.

Jeśli więc wyruszyła w drogę, to najwyraźniej uświadomiła sobie skalę problemu, z którym przyszło się zmierzyć Ethanowi Rossowi.

Dominic Caruso powoli i ostrożnie zwał się z posłania. Wyprostował się z trudem, podciągając się na pasie, który specjalnie w tym celu przymocował do jednego ze słupków łóżka. Idąc do łazienki, miał wrażenie, że porusza się na cudzych nogach – był to efekt długotrwałego leżenia – a kiedy już do niej wszedł, jasne światło żarówki przyprawiło go o pulsujący ból głowy.

Od chwili powrotu do domu wstawał bardzo rzadko: aby zaspokoić potrzebę fizjologiczną albo żeby pójść do kuchni po butelkę wody lub puszkę z czymś do jedzenia. Adara Sherman zadzwoniła do niego już kilka godzin po podwieszeniu go do mieszkania. Zaproponowała, że wpadnie z zakupami, bo pomyślała, że w apartamencie Doma trudno będzie o cokolwiek, co nadawałoby się jeszcze do jedzenia. Dominic podziękował jej za telefon i powiedział, że właśnie rozmawiał z sąsiadem z naprzeciwka i dogadał się z nim w kwestii sprawunków.

Skłamał. Nie życzył sobie po prostu żadnych odwiedzin. Absolutnie nikogo.

Wczorajszego popołudnia wstał i pozwolił sobie na nieco więcej ruchu. Zjechał windą do sklepiku na parterze i wrócił do siebie z dwiema plastikowymi torbami pełnymi konserw, jogurtów, butelek gazowanej wody i piwa.

Podłubał widelcem w puszcze tuńczyka, a potem poskubał brzoskwinie w syropie, wypił piwo i wrócił do łóżka.

Dziś, po obudzeniu, postanowił uczynić coś pożytecznego, choć czuł się jeszcze na wskroś obolały. Odkręcił prysznic, później zdjął bandaż z piersi i przedramienia. Przytulił się do zimnych płytek kabiny i dopiero po kilku minutach wszedł pod strumień wody.

Poczuł tysiące gorących kropeł żądających jego rany. Potrzebował dużo czasu, by dojść do siebie. Wytarł się, obandażował przedramię, wypił kawę i wszedł do ciemnego salonu. Nie włączył światła, bo przyprawiało go ono o ból głowy, i usiadł z laptopem na kanapie. Początek poranka spędził na czytaniu wszystkich dostępnych w internecie wiadomości dotyczących ataku w Indiach. Relacje zawierały wprawdzie fakty, lecz w zdecydowanej większości były utrzymane w zbyt sensacyjnym tonie bądź opierały się na zbyt wielu domysłach, przez co – zdaniem Doma, który był uczestnikiem opisywanych wydarzeń – ocierały się o śmieszność.

Po mniej więcej godzinie musiał wyłączyć komputer. Wspomnienia tego, co się wydarzyło, i wyobrażenia o tym, co mogłoby się wydarzyć, zawładnęły jego umysłem. Dom poczuł się tak, jakby ponownie – tym razem wirtualnie – miał przedstawić sprawozdanie opisujące wydarzenia w Indiach.

Caruso krytycznie analizował swoje zachowanie. Pomyślał, że powinien był od razu pobiec z Yacobym na górę i zabezpieczyć schody, zamiast pozwolić napastnikom rozdzielić się i zająć nowe stanowiska. Że powinien był o wiele szybciej zatrzymać kiepsko wyszkolonych terrorystów w kuchni na parterze. Że powinien był przewidzieć, że bandyta z nożem w piersi nie umrze natychmiast i że wciąż będzie stanowił zagrożenie.

Było wiele rzeczy, które mógł zrobić inaczej. Teraz, siedząc na kanapie w swoim waszyngtońskim mieszkaniu na czwartym piętrze, żałował, że nie zrobił tego wszystkiego.

Im dłużej rozmyślał, tym bardziej był pewien jednego.

Że zawiódł Arika i jego rodzinę.

Podobnie na Doma wpłynęła śmierć brata bliźniaka Briana. Caruso rozpatrywał ją drobiazgowo i uznał, że jest za nią odpowiedzialny. Mógł przecież bardziej się pospieszyć – jeśli nie strzelając, to przynajmniej opatrując ranę Briana. Mógł go uratować.

Wiedział, że dał z siebie wszystko, ale nie wystarczyło to ani w Libii, ani w Indiach.

Krótko po dziewiątej otrząsnął się ze wspomnień i udręki na tyle, że był w stanie sięgnąć po kawę, już trzecią tego dnia. Gdy ułożył się z laptopem na kanapie, usłyszał dzwonek telefonu. Była to Adara Sherman, która bez wątpienia chciała sprawdzić, co się z nim dzieje. Dom nie odebrał. Zaczekał, aż włączy się poczta głosowa.

Chwilę później ktoś zadzwonił do drzwi. Dźwięk dzwonka przyprawił Doma o pulsowanie w głowie. Przewrócił oczyma, sądząc, że to Sherman; oznaczałoby to, że nie zamierzała się poddawać, lecz czegoś innego można się było po niej spodziewać? Gdy otworzył, Dom ujrzał jednak stojącego w jasnym holu wysportowanego, ciemnowłosego mężczyznę z idealnym przedziałkiem. Gość miał na sobie prochowiec okrywający garnitur z krawatem. Był o kilka centymetrów wyższy od Doma, a płaszcz nie był w stanie ukryć jego zaokrąglonych barków.

– Jak się masz, Dominicu? – zapytał tamten.

Dom poznał mężczyznę, choć nie widział go od kilku lat.

– Albright, prawda?

Darren Albright skinął głową.

– Zgadza się – potwierdził. – Cóż za pamięć. Jestem pod wrażeniem.

Uścisnęli sobie dłonie.

– To już kawał czasu – rzekł Dom.

Jego umysł zaczął pracować na wysokich obrotach. Pamiętał Albrighta z akademii FBI w Quantico. Przypomniał sobie także, że przed wstąpieniem do FBI Darren służył kilka lat w policji i jest kilka lat starszy od niego.

– Agent specjalny? – zapytał Dom.

– Starszy agent specjalny, cokolwiek by to znaczyło.

Zaimponowało to Domowi – Albright musiał być ważną szychą w Biurze.

Co, na Boga, robi tu ten gość?

– Dobrze znowu cię widzieć – powiedział Albright, najwyraźniej czekając na zaproszenie.

Caruso wskazał mu drogę gestem.

– Czy możesz poświęcić mi kilka minut? – zapytał agent specjalny FBI.

– Pewnie.

Kurwa.

Weszli do apartamentu. Dom włączył kilka świateł i rozejrzał się po zaniedbanym wnętrzu. Dotąd miewał w nim jedynie damskie towarzystwo: były to zazwyczaj krótkie i intensywne randki, którym towarzyszyła butelka wina i przepięknie serwowane włoskie potrawy. Dom poświęcał wówczas mnóstwo czasu, by nadać swemu mieszkaniu należyty wygląd.

Po powrocie z Indii romansowanie stało się jednak ostatnią rzeczą, która przyszyłaby mu do głowy, a apartament wydawał się najmniej odpowiednim miejscem na schadzki.

– Przepraszam za bałagan – powiedział.

Było to wszystko, na co mógł się zdobyć.

– Nie ma sprawy. W zeszłym roku też byłem jeszcze kawalerem.

– Naprawdę? – rzekł Dom, udając zainteresowanie życiem miłosnym swego starego znajomego. – Gratulacje.

– Dzięki. W sierpniu urodzi mi się dziecko.

– To wspaniale.

Powiedziawszy to, Dom przypomniał sobie Dara i Moszego. Postanowił więc skierować rozmowę na inne tory, aby odegnać od siebie natrętne myśli.

– Zatem działasz tu, w Waszyngtonie? – zapytał. – To kapitalnie, bo ja trafiłem najpierw do Alabamy.

– Tak, wiem. Świetnie sobie wtedy poradziłeś z zabójcą dzieci w Birmingham. To był kawał dobrej roboty. Obiecałem sobie, że przy najbliższej okazji wręcę ci flaszkę whiskey.

Caruso zatrzymał się na środku salonu.

– Jest dopiero piętnaście po dziewiątej rano – stwierdził. – Więc chyba nie dlatego tu przyszedłeś.

Wielkolud pokręcił głową i odparł:

– Nie, nie dlatego. Ale czuję zapach kawy i chętnie dam się namówić na filiżankę.

Po minucie mężczyźni siedzieli przy kuchennym stole, na którym piętrzyła się sterta nieprzeczytanych listów i gazet.

Sączyli kawę, choć tak naprawdę delectował się nią tylko Albright. Dom, zniecierpliwiony, miał przed sobą pełną filiżankę i starał się udawać nonszalancję.

Albright wrócił do kwestii, którą poruszył już Caruso.

– Właściwie to nie pracuję w Waszyngtonie – wyjaśnił. – Trafiłem z akademii prosto do Houston. Gorąco tam cały czas jak cholera.

– Ale przed akademią byłeś policjantem, prawda? – odparł Dom. – W jednostce antyterrorystycznej?

– Tak, w Saint Louis.

– Dziwię się, że nie trafiłeś do HRT.

Była to jednostka FBI skupiająca elitę agentów, zajmująca się odbijaniem zakładników.

– Trafiłem, ale podczas szkolenia zaliczyłem paskudną kontuzję stopy. Udało się ją wyleczyć, ale o HRT mogłem już tylko pomarzyć. Po trzech latach w houstonskim biurze przydzielono mnie do tutejszego wydziału kontrwywiadu.

Zaniepokojenie Doma w związku z wizytą agenta specjalnego FBI wzrosło. Co, do cholery, robił w jego mieszkaniu funkcjonariusz kontrwywiadu?

Nie oznaczało to na pewno nic dobrego.

– Kontrwywiad? – zapytał Dom. – Ciekawa robota?

– Czasami – odpowiedział Albright. – Na przykład teraz. Mam kilka pytań dotyczących tego, co wydarzyło się w Indiach. Mogę?

Dom potarł dłonią czoło. Znacznie bardziej obawiał się, że Albright zechce wypytywać go

o Kampus. Kilku wtajemniczonych ważnych agentów FBI wiedziało wprawdzie o nieformalnym zajęciu Doma, lecz Albright nie powinien znaleźć się w tym gronie.

Z drugiej jednak strony pobyt Doma w Indiach nie był pilnie strzeżoną tajemnicą. Caruso odprężył się więc nieco, choć wciąż miał się na baczności, zastanawiając się, co może, a czego nie powinien powiedzieć.

- Tak, w porządku – rzekł.
- Słyszałem, że miałaś wstrząśnienie mózgu.
- Tak, ale lekkie.
- Jak się czujesz?
- Wszystko w porządku, dzięki.

Dom był zdenerwowany i zdał sobie sprawę, że Albright to zauważył.

– Byłeś w Indiach, żeby trenować krav magę pod okiem pułkownika Arika Yacoby’ego, byłego żołnierza izraelskich sił specjalnych?

Dom wzruszył ramionami. Nie wiedział, skąd Albright miał tę informację.

– Ćwiczyłem krav magę i nie tylko – powiedział. – Nie wiedziałem nawet, że Yacoby był pułkownikiem. Jego żona uczyła mnie też trochę jogi.

– Jogi? – zapytał Albright, unosząc brwi ze zdziwienia.

Na jego twarzy malowało się jawne niedowierzanie.

– Tak.

Agent FBI skinął głową i zarejestrował reakcję Caruso, nie spuszczać z niego wzroku.

– Chyba jesteś zirytowany, Dom.

– Nie, ani trochę.

– Nie?

– Być może niewłaściwie odczytujesz moje zakłopotanie z powodu twojej obecności w mojej kuchni.

– Chyba jednak nie – rzekł Albright i pociągnął łyk kawy. – Pozwól więc, że ci pomogę. Wyłóżę karty na stół. Dziś rano, zanim wyjechałem z biura, żeby tu z tobą porozmawiać, zadzwonił do mnie Anthony Rivalto. Wiesz, o kim mówię, prawda?

– Tak, to dyrektor biura w Nowym Jorku.

– Był nim trzy lata temu – oświadczył Albright, unosząc głowę. – Teraz jest wicedyrektorem w kontrwywiadzie.

– Więc jest twoim szefem.

– Szefem mojego szefa, ale tak. Zadzwonił do mnie i kazał mi potraktować cię delikatnie. Mam z tobą porozmawiać i dowiedzieć się tego, co sam zechcesz mi powiedzieć, ale otacza cię coś w rodzaju pola siłowego, które nie pozwala mi drażnić spraw zbyt mocno.

Dom nie odpowiedział.

– Chcę przez to powiedzieć, że masz znajomości – wyjaśnił Albright, lecz i tym razem nie doczekał się odpowiedzi od siedzącego naprzeciwko Doma. – Oczywiście pomyślałem najpierw, że to z powodu prezydenta, który jest twoim wujem. Byłby to dobry powód, żeby traktować cię ulgowo. Ale przyjrzałem ci się dokładniej, żeby dowiedzieć się, co robisz i do jakich zadań zostałeś przypisany, żeby dowiedzieć się o tobie czegokolwiek.

Po tych słowach Albright rozłożył ręce i dodał:

– A tu nic. Po Birmingham przypadłeś jak kamień w wodę. Przeszedłeś na ciemną stronę.

– Na ciemną stronę?

– Wciąż jesteś agentem FBI, co potwierdził personel Biura. Ale tylko na papierze. W rzeczywistości jesteś kimś w rodzaju widma. Wiem, że nie masz nic wspólnego z CIA, w każdym razie nikt nie chce tego potwierdzić. Domyślam się, że zostałeś przeniesiony do innej agencji wywiadowczej, a może nawet masz coś wspólnego z wojskiem, ale wiem, że nigdy nie nosiłeś munduru. Być może należysz do którejś z niejawnych komórek, lecz nie spodziewam się, że to potwierdzisz. Rivalto powiedział mi jednak, że jeśli tu przyjdę i znajdę taktyczną głowicę jądrową na twoim kuchennym blacie, to nie powinienem się zdziwić.

Dom wskazał palcem urządzenie stojące na szafce kuchennej i powiedział:

– Żeby wszystko było jasne: to sokowirówka. Udowodniłbym ci to, ale jest zepsuta.

Albright nie uśmiechnął się.

– Znam zasady – powiedział. – Pracuję tu już pięć lat. Miałem do czynienia z mnóstwem gości, którzy nie mieli prawa powiedzieć, co i dla kogo robią. Po prostu czekam, aż moi szefowie mrugną do mnie i pozwolą mi robić to, co do mnie należy.

– Zatem telefon od Rivalta był właśnie takim mrugnięciem?

– Tak. Mimo to ty i ja wciąż jesteśmy kumplami, więc powiedziałem mu, że wpadnę do ciebie na kawę i pogadamy, ale nie będę cię naciskał.

– Więc to tak się sprawy mają... – odparł Dom, skubiąc bandaż spowijający jego przedramię.

On i Albright nigdy nie byli przyjaciółmi. Byli tylko kolegami z roku.

– Czy podczas pobytu w Indiach zauważyłeś, żeby ktoś śledził Yacoby'ego lub ciebie? Wydarzyło się tam coś niezwykłego?

Caruso poczuł się nieco pewniej, bo nie musiał już mówić wyłącznie o sobie.

– Przypuszczam, że Palestyńczycy mieli wtyczkę wśród miejscowych – powiedział. – Kogoś, kto wtopił się w tamtejszą społeczność. Użyli furgonetki do przewozu mleka, którą nieraz tam widywałem. Wiem, że Hindusi badają ten wątek.

– Słyszałem, że zabiłeś tam trzech bandziorów.

– Miałem do czynienia łącznie z czterema – odparł Dom.

Albright wciąż niczego nie notował. Dom zauważył to, ponieważ wiedział, że agenci specjalni zazwyczaj nie przesłuchują nikogo bez rejestrowania informacji na FD-302 – specjalnym formularzu stanowiącym oficjalny zapis rozmowy. Brak formularza i długopisu przyniósł mu pewną ulgę, choć w dalszym ciągu miał się na baczności.

– Czy pułkownik Yacoby powiedział ci coś o swoich wrogach w Stanach? – zapytał Albright.

– W Stanach? – powtórzył zaskoczony Caruso. – Nie.

– O żadnych? Nigdzie?

– Nie, chociaż wiadomo, że był izraelskim komandosem. To wystarczyło, żeby niektórych wkurzyć. Zwłaszcza Palestyńczyków.

– Też mi się tak wydaje. Czy ten Yacoby był dobrym człowiekiem?

– Dobrym? O wiele więcej niż dobrym. Był wspaniałym facetem i miał świetną rodzinę.

Albright skinął głową. Bębniąc palcami po stole, zastanawiał się nad następnym pytaniem.

Caruso zmarszczył brwi i powiedział:

– Muszę o to zapytać. Dlaczego amerykański kontrwywiad zaangażował się w tę sprawę? Czego dokładnie dotyczy wasze śledztwo?

– Przecieku – odpowiedział Albright i odstawił filiżankę.

– Przecieku?

– Tak. Włamanie do systemu komputerowego. Nazwisko Yacoby'ego i jego adres znajdowały się w dokumencie CIA, który kilka miesięcy temu został nielegalnie skopiowany z terminala w Budynku Eisenhowera.

– O jaki plik chodzi?

– O taki, który zawierał omówienie najazdu izraelskich sił specjalnych na turecki statek w Strefie Gazy. Był to dokument opatrzony najwyższą klauzulą tajności. Wymieniono w nim Yacoby'ego jako dowódcę grupy, która zjechała po linach na pokład i rozprawiła się z bojówkarzami z Al-Kassam. W innym dokumencie znalazła się informacja, że pułkownik zamieszkał w Paravurze.

– Sugerujesz, że ktoś z amerykańskiego rządu przekazał terrorystom dane dotyczące Yacoby'ego?! – niemal wykrzyczał Dom.

– Uspokój się. Tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że jego nazwisko wymieniono w dokumentach, które skopiowano na trzecim piętrze Budynku Eisenhowera, tam, gdzie urzęduje zespół Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Ten, kto skopiował pliki, zatarł za sobą ślady, więc nie ustaliliśmy jego tożsamości. Nie wiemy też, przynajmniej na razie, czy te informacje trafiły tylko do palestyńskich terrorystów.

Caruso ledwie słuchał. Budynek Eisenhowera wznosił się przecież o niecały kilometr od miejsca, w którym właśnie siedzieli. Dom poczuł krew gotującą się w nim na myśl, że ktoś w jego mieście i rządzie miał coś wspólnego ze śmiercią Yacoby'ego. Chciał się zerwać na równe nogi, sięgnąć po Smith & Wesson leżące na regale książkowym przy drzwiach i pognać na Vermont Avenue, by zażądać odpowiedzi.

Ale tego nie uczynił. Jediną oznaką emocji Doma były ledwie widoczne pod skórą ruchy jego szczęk.

– Co robicie, żeby znaleźć zdrajcę? – zapytał.

– Ustaliliśmy grupę trzydziestu, najwyżej czterdziestu osób, które miały dostęp do plików i mogły je skopiować. Jutro rozpoczniemy badania wariografem, żeby zawęzić grono podejrzanych. Będziemy ponownie przesłuchiwać wszystkich, którzy wzbudzą nasze wątpliwości.

– Co jeszcze? – zapytał po raz kolejny Dom niemal oskarżycielskim tonem.

– Zatrudniliśmy też grupę speców od komputerów. Spróbują wytypować tych, których umiejętności umożliwiłyby dokonanie włamanie do systemu.

– I to wszystko?

Albright odchylił się do tyłu i założył ręce. Teraz to on był przesłuchiwany.

– Zajmowałem się już nieraz sprawami przecieków – powiedział. – Gdy uda nam się znaleźć winnego, zakładamy, że wyciek nie jest wynikiem rozmyślnego przestępczego działania. Szukamy raczej administratora, który zaniedbał swoje obowiązki, bo chciał wcześniej rozpocząć weekend. Takiego, który postąpił niezgodnie z procedurami, a potem próbował to ukryć. Miewamy też do czynienia z poczciwymi bałwanami, którzy nawet o tym nie wiedząc, chrzanią swoją robotę

i umieszczają tajne dokumenty w części serwera umożliwiającej wymianę plików.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o tym, Caruso, że liczę się z możliwością powstania przecieku, do którego doszło z powodu czyjegoś zaniedbania, może nawet świadomego, lecz nie złośliwego. Prawdopodobieństwo istnienia rządowego kreta pracującego dla Palestyńczyków jest prawie równe zeru.

Albright dostrzegł jednak, że te słowa nie uspokoiły jego siedzącego naprzeciwko popędliwego rozmówcy.

– Musisz wiedzieć, że traktuję to gównie bardzo poważnie – dodał. – Niezależnie od przyczyny nieautoryzowany dostęp do danych jest już faktem i zamierzam ustalić, dlaczego tak się stało.

– Wyświadczysz mi ogromną przysługę, jeśli zadzwonisz do mnie, gdy dowiesz się czegoś po badaniach wariografem.

– Przykro mi, Dom – odparł Albright, wstając zza kuchennego stołu. – Informacje tego rodzaju są zastrzeżone.

– Muszę to wiedzieć – rzekł Caruso, również wstając, lecz szybciej niż jego gość.

– Czy to coś osobistego?

Dom pokręcił głową.

– Jasne, że nie – odpowiedział. – Nic osobistego. Proszę tylko o odrobinę zawodowej uprzejmości. Zresztą, jestem przecież agentem FBI.

– Papierowym.

– Nie, takim z krwi i kości.

– Słusznie. Jeśli działasz w którejś z komórek CIA, co uważam za wielce prawdopodobne, to wiesz, że możliwe jest wystosowanie oficjalnej prośby o udzielenie informacji. CIA ma przecież swoje kanały.

Dom pokręcił głową.

– Chodzi tu tylko o mnie, Darren – rzekł. – To ja proszę ciebie.

Przechodząc przez salon, Albright zdawał się rozważać te słowa. Stanąwszy przy drzwiach wejściowych, odwrócił się.

– W porządku – powiedział. – Masz moje słowo. Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem, ale musisz mi obiecać, że nie będziesz przeszkadzał w robocie ani mnie, ani mojemu zespołowi.

– Załatwione. Dzięki.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Jeszcze mała rada – rzekł Albright. – Musisz trochę odpocząć. Ciemna strona poradzi sobie przez kilka tygodni bez ciebie. Nie obraż się, ale wyglądasz paskudnie.

Dom zamknął drzwi za wychodzącym.

Dlaczego wszyscy muszą mi powtarzać, że bym odpoczął?, pomyślał nie bez obaw.

Dom zastał Gerry'ego Hendleya w jego nadmorskim domku w Myrtle Beach w Karolinie Południowej. Hendley wyjeżdżał tam co pewien czas, aby odpocząć od Hendley Associates, Kampusu i, ogólnie, od Waszyngtonu. Dom zameldował telefonicznie szefowi o spotkaniu i rozmowie z agentem specjalnym FBI Darrenem Albrightem, co – po chwili rozmowy – uznali zarówno za dobrą, jak i złą dla Kampusu wiadomość. Gerry przyznał, że dobry w całej tej sytuacji był brak

podstaw do powiązania wycieku informacji z Caruso lub Kampusem. Niemniej jednak FBI zauważyło Dominica i zaczęło się nim interesować. Znalazłby się wówczas w ścisłym centrum uwagi, mimo że występował jedynie w roli świadka przestępstwa. Albright wkroczył już do akcji i w miarę postępów w dochodzeniu mogłoby dojść do sytuacji, w której federalni zachcieliby zadać Domowi Caruso więcej pytań i zacząć grzebać w jego życiu.

Gerry uznał, że Dominicowi przyda się przerwa w pracy dla Kampusu i kontaktach z resztą zespołu. Dom nalegał, by nie była ona jednak zbyt długa.

Kończąc rozmowę, Hendley wymusił na Dominicu obietnicę: miał się niczym nie przejmować i myśleć tylko o wyleczeniu ran i powrocie do zdrowia.

Nie uszczęśliwiło to Doma, który nie widział alternatywy dla tej propozycji, więc przystał na nią z niechęcią, mówiąc:

– Cóż innego miałbym zrobić, szefie?

Dominic odłożył słuchawkę i sięgnął po pilota. Miał nadzieję, że obejrzy w telewizji coś, co pozwoli mu oderwać się myślami od bieżących spraw, bo wiedział, że jego osobowość nie pozwoli mu długo usiedzieć na tyłku.

Lot United Airlines numer 951 dobiegł końca. Punktualnie o trzynastej boeing 777 przybyły z Brukseli usiadł w strugach deszczu na płycie międzynarodowego portu lotniczego Dulles w Waszyngtonie. Pierwszymi opuszczającymi pokład maszyny byli pasażerowie klasy biznes, wśród których znajdował się drobny mężczyzna o krótkich czarnych włosach i chłopięcej twarzy.

Każdy, kto zwróciłby na niego uwagę, pomyślałby zapewne, że ma przed sobą studenta z wymiany międzynarodowej pochodzącego z Turcji, Libanu albo z Arabii Saudyjskiej. Mężczyzna miał niewielki modny plecak, designerskie dzinsy i z pewnością nie wyglądał na więcej niż jakieś dwadzieścia trzy lata.

W rzeczywistości miał trzydzieści pięć i nie przyleciał do Ameryki, by studiować.

Nazywał się Mohammed Mehdi Mobasheri, choć w dokumentach, które okazał urzędnikom imigracyjnym, widniało zupełnie inne nazwisko. Wynikało z nich, że jest młodym libańskim dyplomatą i przyleciał z Bejrutu przez Brukselę. Telefon do libańskiej ambasady w waszyngtońskim Woodley Park pozwoliłby potwierdzić przylot i wiarygodność pasażera, lecz uznano, że nie jest to konieczne, ponieważ jego wiza dyplomatyczna nie wzbudziła najmniejszych podejrzeń.

Jednak choć było prawdą, że poprzedniego dnia mężczyzna wsiadł do samolotu na bejruckim lotnisku Rafic Hariri i poleciał do Belgii, to ta prawda miała drugie dno: wcześniej, rankiem, dotarł bowiem do Bejrutu wojskowym transportowcem z Turcji. Na Rafic Hariri trafił do pilnie strzeżonego pomieszczenia, w którym wręczono mu libańskie dokumenty, i pół godziny później leciał już do Europy.

Teraz znajdował się przy stanowisku kontroli imigracyjnej. Stał z miłym, choć nieco zmęczonym uśmiechem, czekając, aż urzędnik dopełni formalności i udzieli mu zgody na wkroczenie na terytorium Stanów Zjednoczonych. Trwało to krótko; po chwili prześlizgnął się przez kontrolę celną, informując, że nie ma nic do oclenia.

Mobasheri siedział w kabinie pierwszej klasy, lecz pasażerami lotu UA951 do Ameryki było także czterech innych towarzyszących mu mężczyzn, siedzących w przedziale klasy ekonomicznej. Ta czwórka również wyleciała z Teheranu, aczkolwiek od chwili opuszczenia pokładu wojskowego samolotu na libańskim lotnisku mężczyźni zaczęli udawać, że się nie znają. Lecieli oddzielnie, mieli przy sobie libańskie dokumenty, które poświadczały, że są biznesmenami, lecz nie dyplomatami.

Mohammed opuścił lotniskowy terminal w pojedynkę. Przed budynkiem, na przylotniskowym parkingu, czekała już na niego limuzyna z libańskiej ambasady. Ruszyła, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi. Czterech pozostałych mężczyzn zabrał chevrolet suburban z przyciemnionymi szybami.

Mobasheri zapracował na przyznane mu przywileje. Należał do specjalnej elitarniej jednostki Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, określanego powszechnie mianem Strażników Rewolucji. Mężczyźni, którzy potajemnie mu towarzyszyli, należeli natomiast do Sił Ghods – irańskiej formacji

wywiadu zagranicznego. Wszyscy przybyli z Iranu przez Liban, ponieważ – kiedy stawało się to konieczne – irański wywiad wykorzystywał ruch szyicki jako pośrednika umożliwiającego dostarczanie ludzi i materiałów do krajów, w których obecność zdeklarowanych agentów irańskiego rządu mogłaby wzbudzić jakiekolwiek podejrzenia.

Godzinę później pięciu mężczyzn spotkało się w domu w wirginijskim miasteczku Falls Church. W kryjówce tej przebywało więcej Irańczyków, w tym – dwóch agentów tajnych służb, którzy mieszkali i działali w Waszyngtonie. Choć byli zatrudnieni na oficjalnych etatach w ambasadzie Iranu, pracowali dla irańskiej komórki wywiadowczej: MISIRI, czyli Ministerstwa Wywiadu i Bezpieczeństwa Narodowego Islamskiej Republiki Iranu.

Byli znani amerykańskiemu kontrwywiadowi, a FBI dokładało wszelkich starań, by znaleźć coś, co pozwoliłoby ujawnić ich działalność jako irańskich szpiegów w Ameryce. Agenci MISIRI byli jednak zawodowcami. To rozumiałe: do krajów najbardziej wrogo nastawionych przeciwko Iranowi wysyłano tylko najlepszych ludzi, i to takich, którzy wcześniej sprawdzili się w wielu innych, nieprzyjaznych dla nich miejscach. Dwaj ludzie z MISIRI przebywający w wyposażonym w cztery sypialnie domu w Falls Church byli fachowcami od gubienia ogona i dotarli do celu dopiero po kilku godzinach kluczenia, gdy już zyskali całkowitą pewność, że nikt ich nie śledzi.

Mohammed Mobasheri i jego czterej podwładni zasiedli w towarzystwie dwóch miejscowych agentów, by porozmawiać z nimi o misji, którą mieli wypełnić w Stanach Zjednoczonych. Ludzie z MISIRI nie znali jednak tożsamości nowo przybyłych ani celu ich zadania. Wiedzieli tylko, że młodo wyglądający funkcjonariusz Strażników Rewolucji ma na imię Mohammed, lecz w kulturze islamskiej to imię jest powszechniejsze niż John w USA. Wiedzieli też, że Mohammed miał przybyć do Ameryki w towarzystwie czterech osłaniających go przedstawicieli Sił Ghods, by wykonać specjalne zadanie, i że zasługiwał na wszelkie honory i pomoc, gdyby jej potrzebował.

Wszystko to na rozkaz z Teheranu.

Szpiedzy z ambasady zdawali sobie sprawę, że zanoszą się na coś bardzo niezwykłego. Nie podobało im się, że na ich terenie miał działać nieznajomy przysłany przez inną organizację, lecz ich zdanie nie miało większego znaczenia: wszak obcego zatwierdził sam Najwyższy Przywódca, piastujący najważniejszą funkcję w irańskim rządzie. To, że szpiegów nie wtajemniczono w szczegóły misji, mocno ich zdezorientowało, lecz nie stanowiło jeszcze dla nich największej niespodzianki tego dnia.

Bo najdziwniejszy był sam Mohammed.

Szpiedzy z MISIRI współpracowali już oczywiście z wieloma Strażnikami Rewolucji i wiedzieli, że w razie potrzeby Strażnicy stawali się silnymi i godnymi zaufania samcami alfa. Na wyżyny irańskiej armii nie mógł bowiem wspiąć się nikt, kto nie miał żyłki dowódcy i nie był obdarzony wrodzoną umiejętnością dominowania nad innymi.

Na widok Mohammeda szpiedzy natomiast pomyśleli, że mają do czynienia z odmieńcem, który ani trochę nie przypominał żadnego ze Strażników. Był bez wątpienia niezwykle inteligentny i sprawny intelektualnie, wyglądał też na silnego fizycznie, lecz nie imponował wzrostem, miał dziecięcą twarz i zachowywał się z niemal chorobliwą skrytością. Odzywał się wysokim głosem, a przy agentach MISIRI okazywał coś w rodzaju braku pewności siebie – zupełnie jakby czuł się onieśmielony ich obecnością.

Zadawał istotne pytania, więc nie był niewydarzonym głupcem, lecz zarazem spoglądał na agentów MISIRI wzrokiem dorosłego dziecka, które zostało wysłane do Stanów z misją wagi państwowej, ale nigdy wcześniej nie opuściło domu swoich rodziców.

Więc o co tu, kurwa, mogło chodzić?

Podczas przerwy na papierosa, którą palacze urządzili sobie na podwórzu, jeden z waszyngtońskich agentów MISIRI zwrócił się do drugiego:

– Jeśli tak kurewsko boi się własnych rodaków, to co, do cholery, robi tu wśród prawdziwych wrogów?

– Jest niewinnym barankiem, który przeleciał kawał świata, żeby trafić do rzeźni – rzucił żartem zagadnięty.

Mężczyźni, którzy przylecieli z Mohammedem, byli natomiast typowymi żołnierzami Sił Ghods. Ubierali się wprawdzie jak biznesmeni i mogli za takich uchodzić w oczach niewtajemniczonych, lecz agenci MISIRI natychmiast rozpoznali w nich byłych żołnierzy sił specjalnych, być może komandosów z Takavaru – członków elity bojowej, szkolonych przez dwadzieścia miesięcy, zanim można było im powierzyć wykonanie najniebezpieczniejszych zadań w granicach Islamskiej Republiki Iranu.

Ludzie ci, wyposażeni w sprzęt i mający doświadczenie, mieli przedostawać się na obszary Iraku ogarnięte wojną, a potem uczyć irackich szyitów nawiązywania walki z siłami koalicyjnymi czy ich niszczenia. Mieli także walczyć w Libanie z Izraelczykami oraz współpracować z pakistańską milicją i grupami rebeliantów na granicy afgańskiej.

Irańscy szpiegdy wiedzieli dostatecznie dużo o Siłach Ghods, by móc natychmiast się zorientować, że znaleźli się w towarzystwie kilku naprawdę groźnych żołnierzy tej formacji.

Czterej ludzie różnili się zdecydowanie od łagodnego w obejściu przywódcy, który zachowywał się tak, jakby po raz pierwszy dostał do ręki broń dopiero w dniu rozpoczęcia obowiązkowej służby wojskowej po swoich osiemnastych urodzinach.

Szpiegdy z ambasady mieli rację pod każdym względem. W odróżnieniu od reszty zespołu Mohammed Mobasheri nigdy nie był komandosem. Gdy trafił do wojska, był młodym maniakiem komputerowym, a zarazem synem dobrze ustawionych pracowników rządowych. Początkowo uczył się stania na baczność, maszerowania i strzelania, lecz szybko oderwano go od tych zajęć: został skierowany do specjalnej grupy informatycznej, w której mógł wykorzystać swoje umiejętności.

Mobasheri – jak trafnie odgadli agenci MISIRI – znalazł się w Stanach Zjednoczonych po raz pierwszy, lecz dobrze mówił po angielsku. Jego ojciec, który kiedyś również należał do MISIRI, został dyrektorem w Ministerstwie Wywiadu i Bezpieczeństwa Narodowego Iranu, toteż waszyngtońscy agenci MISIRI – gdyby tylko znali prawdziwe pochodzenie mężczyzny o wyglądzie zbyt młodym jak na swój wiek – powinni w zasadzie bić czołem przed przybyszem z Libanu.

Młody Mobasheri nauczył się angielskiego jako dziecko, gdy uczęszczał do szkoły w Teheranie. Później spędził kilka lat w Australii, Irlandii i Wielkiej Brytanii. Odwiedził te kraje, towarzysząc ojcu, który wyjeżdżał na zagraniczne placówki jako urzędnik zajmujący się rolnictwem.

To ojciec załatwił mu przeniesienie do grupy wojskowych informatyków, głównie po to, by uchronić syna przed udziałem w niebezpiecznych walkach, ale także dlatego, że Mohammed już od dziecka wykazywał zamiłowanie do komputerów. Generał Mobasheri był szpiegiem wybiegającym

myślami w przyszłość i wiedział, że zdobywanie informacji prędzej czy później będzie wymagało korzystania z systemów komputerowych. Chciał, by jego syn znalazł swoje miejsce w tej rozwijającej się dziedzinie, która mogła służyć również Republice Islamskiej.

Po zakończeniu powszechnej służby wojskowej Mohammed rozpoczął studia informatyczne w londyńskim Imperial College. Wrócił do Iranu z doktoratem i głową pełną pomysłów dotyczących przyszłości technologii komputerowych oraz ich wykorzystania w służbie wywiadowczej. Przed trzydziestką został szefem planowania strategicznego znajdującej się jeszcze w powijakach jednej z komórek Strażników Rewolucji, której zadaniem było dokonywanie zaczepnych operacji cybernetycznych.

W ciągu kilku następnych lat Mohammed zapewnił swemu narodowi praktyczne możliwości prowadzenia wojny internetowej i stworzył jednostkę zwaną Zespołem Bezpieczeństwa Cyfrowego Markazi – jedną z najbardziej niebezpiecznych grup hakerskich na świecie.

Większość Amerykanów nie miała pojęcia o tak wielkich możliwościach informatycznych Iranu, lecz pozostający w cieniu Mobasheri był jednym z ojców tego, niereklamowanego głośno, sukcesu Republiki Islamskiej. Wspólnie ze swoim zespołem hakerów włamał się do systemów obrony USA i zainstalował w komputerach amerykańskich operatorów sieci bezprzewodowych programy infiltrujące, których usunięcie wymagałoby lat i kosztowałoby dziesiątki milionów dolarów.

Młody Mobasheri odgrywał coraz ważniejszą rolę w szeregach Strażników Islamskich. Jego operacjami zainteresował się osobiście Najwyższy Przywódca, który utorował mu drogę do planowania coraz zuchwalszych działań.

Mohammed znalazł się dzięki temu w wirginijskim Falls Church. Po miesiącach przygotowań i wykonaniu pierwszych prac postawił wreszcie stopę na amerykańskiej ziemi, żeby – z błogosławieństwem swego mocodawcy – przeprowadzić operację specjalną.

Mobasheri był rozbijająco spokojny i grzeczny, a nawet nieśmiały, zwłaszcza gdy porównać go z twardzielami z Takavaranu. Jednak przecież gdyby okazywał słabość, nie osiągnąłby tak wiele w swojej organizacji. Kierował się wielkimi ideałami, miał duże oczekiwania i był pewien, że uda mu się skontaktować z Teheranem przez szyfrowane łącze dostatecznie wcześniej, by poprosić – nie, by zażądać – zgody na rozpoczęcie akcji.

Ludzie MISIRI z ambasady byli przekonani, że ich wsparcie dla zespołu działającego poza Falls Church ograniczy się do przekazania informacji i, być może, załatwienia samochodów oraz dokumentacji. Mohammed dał im jednak jasno do zrozumienia, informując ich bez namysłu, choć prawie przeproszającym tonem, że już następnego ranka będą mu potrzebni w roli zespołu obserwacyjnego, któremu nie będzie dane spocząć może nawet przez kilka następnych dni.

I jeszcze broń. Drobny mężczyzna wręczył członkom MISIRI odręcznie zapisaną kartkę z wykazem pistoletów, modeli kabur oraz nazw amunicji i rodzajów tłumików.

Funkcjonariusze, wprawdzie niezadowoleni, okazali uległość. Dziwak o łagodnym usposobieniu cieszył się przecież poparciem Najwyższego Przywódcy, więc nie mieli wyboru: musieli zrobić wszystko, czego zażądał od nich Mohammed – zupełnie tak samo, jakby stali przed obliczem samego Przywódcy wydającego im rozkazy.

Ethan Ross spędził całe popołudnie na krzątaniu się po swoim gabinecie i robieniu wszystkiego, by wyglądać na zrelaksowanego. W normalnej sytuacji nie sprawiłoby to trudności – taki przecież miał sposób bycia – ale spotkanie w sali konferencyjnej sprawiło, że Ethan, którego świat stanął na głowie, nie był w stanie robić nic więcej niż siedzieć w milczeniu i spoglądać przed siebie roztargnionym wzrokiem.

Trudno było się dziwić, że podczas wspólnego lunchu wszyscy rozmawiali o włamaniu. Ross się nie odzywał, podczas gdy większość jego kolegów skłaniała się ku przypuszczeniom, że to jakiś komputerowy maniak uzyskał dostęp do tajnych plików, a potem to zatuszował – z powodu własnej nieudolności albo dlatego, że był szpiegiem naślany przez inne państwo.

Ethan odezwał się tylko raz: wyraził nadzieję, że termin badania wariografem nie przeszkodzi mu w środowym popołudniowym spotkaniu zespołu w Zachodnim Skrzydle ani w wizycie u dentysty, który miał się zająć czyszczeniem mu zębów po południu następnego dnia. Mówiąc to, z trudem wydobywał z siebie słowa. Wiedział, że gdyby nie popsioczył jak inni, zaczęłby wydawać się wszystkim cholernie podejrzany.

Tuż po lunchu powędrował na zebranie kierownictwa. Szedł niespiesznym krokiem do sali konferencyjnej w północnej części Budynku Eisenhowera, słysząc głosy otaczających go ludzi z zespołu, które odbijały się echem w korytarzu zdobionym marmurem. Głównym tematem rozmów było dochodzenie. Podczas spotkania poświęcono nieco więcej luźnych rozmów temu, co uznano za brutalną ingerencję FBI w sprawy Rady Bezpieczeństwa Narodowego, lecz Ethan mówił niewiele. Wertował tylko konspekt, który opracował, i starał się ze wszystkich sił nie okazywać zaniepokojenia.

Późnym popołudniem ponownie zasiadł za biurkiem. Miał przed sobą wydruk swojego listu, w którym prosił o opinie dotyczące nowego ambasadora USA w Jordanii. Aby oderwać się myślami od swojej sytuacji, usiłował zająć się intensywną pracą.

Bez powodzenia.

Za każdym razem gdy ktoś przechodził obok drzwi jego gabinetu, czuł skurcz żołądka i pieczenie dłoni, które stały się suche i szorstkie jak papier. Wyobrażał sobie kogoś pokroju agenta Albrighta – kogoś, kto zjawia się nagle, staje przy jego biurku i każe mu wstać, a potem wyciągnąć ręce do tyłu.

Ethan czuł mdłości na myśl, że komputerowe włamanie, którego się dopuścił, wyjdzie na jaw. Jeszcze bardziej dokuczało mu jednak poczucie dezorientacji. Wiedział, że zrobił wszystko jak należy, by to włamanie pozostało niezauważone.

Co, do diabła, poszło nie tak, jak powinno?

Mówi się, że czterema głównymi czynnikami czyniącymi szpiega są pieniądze, ideologia, obawa

przed kompromitacją i ego. W przypadku Ethana pieniądze i zagrożenie kompromitacją nie miały większego znaczenia. Miał bogatą matkę, która okazywała swemu dorosłemu synowi szczodrość, a sam nie przechowywał w szafie trupów, które mogłyby narazić jego opinię na szwank.

Motywy, którymi się kierował, przypominały koktajl złożony z jednej miarki ideologii oraz czterech miarek ego. Nie stanowiło to niespodzianki dla nielicznych, którzy dobrze go znali, ponieważ Ethan był nie tylko nieco zadufany w sobie, ale też przede wszystkim był narcyzem. Taki się już urodził, a wychowujący go nie uczynili nic, by nad tymi cechami zapanować.

Rodzice Ethana – podobnie jak inni rodzice na całym świecie – byli przekonani, że ich pociecha jest wybitnie uzdolniona i jedyna w swoim rodzaju. Jednak – inaczej niż w przypadku większości rodziców – utwierdzili się w tym przekonaniu, kiedy czteroletni Ethan, poddany badaniu inteligencji testem Stanforda-Bineta, uzyskał znakomity wynik. Po tak spektakularnym zweryfikowaniu swojej doskonałości stał się już na zawsze chlubą rodziny i był traktowany ze szczególnymi względami. Uczęszczał do najlepszych szkół, pobierał korepetycje z matematyki, przedmiotów ścisłych i języków, ciągle przy tym słyszał, że w przyszłości nie tylko będzie kimś ważnym, lecz także zdobędzie władzę.

Dorastał jak członek rodziny królewskiej. Najpierw wśród przedstawicieli klasy wyższej w Europie, z którą zaznajomili go rodzice piastujący ważne rządowe funkcje, a później w Stanach, gdy oboje otrzymali stałe posady nauczycieli akademickich. Dogłębna wiara rodziców w moc i niezawodność rezolucji ONZ, wielonarodowych traktatów pokojowych i prawo międzynarodowe gwarantowała wychowanie Ethana w przeświadczeniu, że życzliwa klasa rządząca powinna kierować tymi, którzy nie są zdolni do samodzielnego podejmowania decyzji.

Ethan dorastał zatem jako należący do niej prawowity następca. Niczym szczególnym dla niego nie było to, że zarówno wiceprezydent Francji, jak i jedna z belgijskich księżniczek należeli do bliskich przyjaciół jego rodziny. Szusował na nartach w Zermatt i wylegiwał się na plażach Monako, a dom w Georgetown Heights, w którym mieszkał jako nastolatek, stał przy tej samej ślepej uliczce, przy której wznosiły się domy senatora, trzech ambasadorów, pisarza uhonorowanego Nagrodą Pulitzera, a także jednego z najbardziej znanych prezenterów telewizyjnych.

Zanim jeszcze opuścił dom, by poświęcić się nauce na uczelniach należących do Ligi Bluszczonej, przedstawiano go światowym przywódcom obecnym na przyjęciach jako przyszłego sekretarza stanu, a nawet jako przyszłego prezydenta. Ethan Ross wchodzący w wiek męski wierzył zatem święcie, że jest kimś wyjątkowo ważnym.

Studiując w Yale, miał na uwadze główne zajęcia swojej rodziny – dyplomację – i skupiał się na sprawach międzynarodowych, ale – podobnie jak jego wielu nastoletnich rówieśników – polubił komputery, a bystry umysł pozwolił mu rozwinąć to zamiłowanie do technologii na ponadprzeciętny poziom. Zaczął dodatkowo studiować informatykę, czym wywołał spore niezadowolenie rodziców, którzy uznali nabijanie sobie głowy najdrobniejszymi szczegółami dotyczącymi komputerów za zajęcie zbyt przeciętne, nieporównywalnie mniej ważne od wielkich spraw mogących zmienić losy społeczeństwa na lepsze. Informatycy nie byli w oczach ojca Ethana nikim więcej niż tylko urzędnikami. Matka natomiast traktowała obsesję syna jako krótkotrwałą fanaberię, zupełnie tak samo, jakby trwonił czas, grając w Grand Theft Auto, choć w rzeczywistości uczył się programowania opartego na Linuksie i tworzył swoje własne aplikacje.

Studiując w Yale, Ethan radził sobie jednak doskonale w obu wybranych dziedzinach, lecz później, ku nieopisanemu zdziwieniu rodziców, przeniósł się do harwardzkiej Szkoły Kennedy'ego i skupił się wyłącznie na dyplomacji.

Ukończywszy studia, rozpoczął pracę w dziale służby zagranicznej Departamentu Stanu USA i niemal do trzydziestki zajmował się sprawami konsularnymi. Większość jego kolegów zdążyła już wtedy dostać się na niższe stanowiska w konsulatach rozrzuconych po całym świecie – w Dżibuti, na Haiti albo w Salwadorze. Prestiż rodziny Ethana Rossa oraz kilka telefonów od senatorów, którzy byli dobrymi znajomymi mamy i taty, odsunęły od niego niebezpieczeństwo wygnania na któryś z obszarów nędzy i zapewniły mu pracę w trzech najbardziej pożądanym przez pracowników korpusu dyplomatycznego miejscach: w Wiedniu, Amsterdamie i Paryżu.

Mając dwadzieścia osiem lat, Ethan opuścił Departament Stanu. Został młodszym doradcą do spraw polityki zagranicznej, rozpoczynając pracę w gronie demokratów zatrudnionych w administracji prezydenta. Szybko upatrzył sobie stanowisko ambasadora Stanów Zjednoczonych przy ONZ, lecz widoki na tę posadę legły w gruzach. Ethan przeniósł się zatem do sąsiadującej z Białym Domem Rady Bezpieczeństwa Narodowego, by zdobyć nieco praktycznych umiejętności, na wypadek gdyby nadarzyła mu się kolejna okazja objęcia wysokiego stanowiska przy Narodach Zjednoczonych.

Na ścieżce jego kariery pojawiły się tymczasem spowalniające ją przeszkody: osobowość Ethana zderzyła się zarówno z preferującymi rozwiązanie siłowe pracownikami rady mającymi doświadczenie wojskowe, jak i z obdarzonymi władzą członkami nowej, republikańskiej administracji. Coraz mroczniejszym widokom Ethana na przyszłość zaczął towarzyszyć coraz bardziej ponury nastrój, typowy dla tych, którzy pracują poniżej swoich możliwości i czują, że ich talent nie jest doceniany. Pracownicy, których Ethan uznawał za gorszych od siebie, otrzymywali świetne stanowiska przy ONZ, on jednak tkwił za biurkiem w Budynku Eisenhowera i przyglądał się umykającemu życiu.

Gdy skończył trzydzieści parę lat, jego narcyzm osiągnął apogeum. Pewność siebie przerodziła się w zarozumiałość, a później w coś, co niektórzy w jego wydziale uznali za niepokonaną arogancję. W trzecim roku pracy na tym samym stanowisku w Radzie Ethan zaczął odczuwać oburzenie tym, że odgrywa nieistotną rolę w królestwie amerykańskiej dyplomacji, to natomiast – przy wtórce poczucia wyższości – sprawiło, że jego służbowe stosunki z wieloma kolegami stały się wyjątkowo chłodne.

Mimo to nikt nie podejrzewał, że to właśnie Ethan mógłby dopuścić się przekazywania tajemnic.

Pierwsza wyprawa Ethana w głąb mglistego świata handlu informacjami wywiadowczymi rozpoczęła się legalnie. Było to wtedy, gdy wicedyrektor biura do spraw Bliskiego Wschodu wybrał go jako tego, który miał przekazać drobną informację znajomemu reporterowi z magazynu „Politico”.

Autoryzowane przecieki rządowe są powszechnie używanym narzędziem dyplomatycznym. Oficjele spotykający się ze znajomymi dziennikarzami często przekazują im pożądane informacje po otrzymaniu wcześniej zapewnienia, że w publikacji zostanie pominięte źródło ich pochodzenia.

Pierwsza informacja przekazana przez Ethana pojawiła się na łamach „Politico” już następnego dnia. Nie była na tyle interesująca, by wzbudzić zainteresowanie poza Waszyngtonem, a nawet poza

salami konferencyjnymi w centrum miasta, lecz Ethan docenił błyskawiczne tempo, w jakim usłużny przedstawiciel czwartej władzy pozwolił jej ujrzeć światło dzienne.

Po udanym przekazaniu znajomemu z „Politico” pierwszej poufnej informacji Ethan otrzymywał od przełożonych polecenia przekazywania następnych danych, choć większość z nich miała niewiele większą wartość niż zwykłe pogłoski.

Zaczął mu się to jednak podobać. Czuł, że może wywierać wpływ, ponosząc niewielkie ryzyko. Był głodny poczucia władzy, które płynęło z możliwości wpływania na politykę poprzez własnoręczne pociąganie za odpowiednie sznurki.

W ostatecznym rozrachunku chodziło przecież o ego, które utwierdzało Ethana w przekonaniu, że nie musi nikogo prosić o zgodę na przekazywanie informacji i sam wie najlepiej, co wolno mu ujawnić. Na tym polegała ideologia, która zrodziła w nim potrzebę podrzucania mediom określonych danych. Ethan nabrał przekonania, że od chwili zmiany administracji polityka zagraniczna USA stała się zbyt natrętna i dominująca. Dostrzegał zbyt wiele przypadków naruszania prawa międzynarodowego pod płaszczykiem troski o bezpieczeństwo kraju i widział zbyt wielu amerykańskich żołnierzy i szpiegów współpracujących ze zbyt wieloma żołnierzami i szpiegami z innych krajów. Był przekonany, że wielkie instytucje, w które naprawdę wierzył – takie jak Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości albo Organizacja Narodów Zjednoczonych – nie rozkwitną, dopóki światowe mocarstwa, takie jak Ameryka, będą prowadzić zakulisowe działania, by przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Ethan dysponował środkami i motywem, dzięki którym, za sprawą drobnych gestów, mógł walczyć z imperialnymi podchodami. Ale wiedział także, że nie może już powierzać nieautoryzowanych przekazów dziennikarzowi „Politico”, bo wykrycie źródła informacji stałoby się tylko kwestią czasu.

Musiał wymyślić coś innego.

O istnieniu International Transparency Project dowiedział się po przeczytaniu tłumaczenia artykułu, który pojawił się w magazynie „Der Spiegel”. Niemieckie pismo opublikowało serię artykułów śledczych opisujących amerykański kompleks wojskowo-przemysłowy i dokonane przez niego zakupy broni wyprodukowanej w niemieckich firmach, w tym w Diehl BGT Defence oraz Atlas Elektronik. Tygodnik wykorzystał poufne wewnętrzne protokoły tych firm i ujawnił dokładne dane dotyczące budżetów, charakterystyk broni oraz terminów dostaw, a jako dowód zamieścił korespondencję elektroniczną krążącą pomiędzy zleceniobiorcami a Departamentem Obrony USA.

W artykule wspomniano o ITP jako o organizacji, która wyszukała i chroniła informatora przekazującego informacje redakcji „Spiegla”, lecz przedstawiciele ITP nie wydali oficjalnego oświadczenia w tej sprawie.

Było to tylko jedno z celnych trafień, w następnych miesiącach na koncie ITP pojawiły się kolejne, a im bardziej Ethan im się przyglądał, tym bardziej podobało mu się to, co widział. Zafascynowała go anonimowość organizacji oraz imponująca lista jej sukcesów, chociaż początkowo wątpił w doniesienia, że ITP chroni swoich informatorów dzięki metodzie szyfrowania rozmów, z którą nie mogła sobie poradzić nawet amerykańska Rada Bezpieczeństwa Narodowego.

Musiał przyznać, że ITP zdawało się odnosić sukcesy.

Dowiedział się więcej o organizacji, gdy obejrzał nagradzany film dokumentalny pod

świętoszkowatym tytułem *Przyszłość prawdy*. Dokument ten przedstawiał grupę luźno związanych ze sobą informatorów, dziennikarzy śledczych i hakerów działających z pobudek etycznych (tych ostatnich określono pochwalnym mianem „haktywistów”). Mieli oni stworzyć światową policję obywatelską – grupę ideowców stanowiących ostatnią linię obrony zwykłych ludzi przed skorumpowanymi rządami.

Mniej więcej w tym samym czasie Ross wybrał się na konferencję NATO w Berlinie i zupełnie przypadkowo odkrył, że w Berlinische Galerie, leżącej nieopodal centrum konferencyjnego, rozpoczęło się właśnie spotkanie z producentką i reżyserką *Przyszłości prawdy*. Nie namyślając się długo, wziął udział w tym wydarzeniu. Obecność pracownika amerykańskiego rządu mogłaby wzbudzić podejrzenia każdego, kto wiedział, że Ethanowi przyznano certyfikat bezpieczeństwa. On jednak najzwyczajniej w świecie kupił bilet, wślizgnął się do środka i zajął miejsce z tyłu sali, w której autorka prezentowała swe dzieło.

Reżyserka nazywała się Gianna Bertoli. Była czterdziestopięcioletnią Szwajcarką, która nauczyła się sztuki filmowej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley i posługiwała się doskonałą angielszczyzną. Opowiadając długo i szczegółowo o ITP, chwalała pod niebiosa prawość i sprawność tej organizacji. Jeden z dziennikarzy, najwyraźniej sceptyk, poprosił Bertoli o skomentowanie pogłosek o finansowaniu grupy przez ośrodki zagraniczne, lecz reżyserka natychmiast zakwestionowała taką możliwość: oświadczyła, iż nigdy nie przeszło jej przez myśl, że ITP mógłby być czym więcej niż grupą złożoną ze zwolenników równości sponsorowanych przez zamożnych zwolenników postępu, głównie w Stanach Zjednoczonych i w Europie.

Ethan, na którym Gianna Bertoli wywarła równie wielkie wrażenie jak tematyka jej filmu, postanowił pod koniec wieczoru, że skontaktuje się z ITP.

Uczynił to za pośrednictwem internetowej strony organizacji, posługując się Cryptocatem. Kilka tygodni później spotkał się osobiście z Harlanem Banfieldem, z którym umówił się w taniej knajpce w wirginijskim Chantilly. Spotkanie na żywo było pomysłem Rossa. Ethan nie zamierzał wprawdzie przekazywać jakichkolwiek tajnych informacji przedstawicielom innych krajów, choć musiał się liczyć z tym, że internetowa strona ITP oraz film Gianny Bertoli były jedynie częścią wymyślnego systemu umożliwiającego nakłanianie amerykańskich pracowników rządowych do dzielenia się tajemnicami z Chińczykami lub Rosjanami. Spotkanie z Banfieldem i przyjrzenie się jego karierze oraz powiązaniom doprowadziły jednak Ethana do przekonania, że ITP rzeczywiście zajmowało się tym, o czym mu mówiono: było tajnym ośrodkiem, w którym demaskatorzy mogli bezpiecznie dzielić się informacjami z dziennikarzami.

Podczas pierwszego spotkania Banfield pilnował się równie starannie jak Ross. Pracował z informatorami, zanim siedzący przed nim młody człowiek pojawił się na świecie, i doskonale wiedział, że nie powinien wywierać nacisku na pewnego siebie i inteligentnego pracownika Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Pozwolił natomiast, by Ethan opowiedział mu o swojej filozofii oraz pragnieniu działania w cieniu przeciw polityce, której nie akceptował. Milczący Banfield słuchał z wielką uwagą. Zauważył, że Ross napomknął o pretensjach do współpracowników, którzy go nie doceniali, i do administracji, która nie podzielała jego poglądów ani przekonań dotyczących prawa międzynarodowego.

Banfield nieraz już odbywał takie rozmowy, zwłaszcza z demaskatorami, i choć uwielbiał ich za

to, co mu przekazywali, nie miał o nich najlepszego zdania. Oceniał Rossa jako człowieka pełnego wzniosłych idei związanych z dyplomacją i polityką. Z niektórymi z owych poglądów wprawdzie się zgadzał, lecz już wtedy, siedząc w milczeniu i słuchając gadaniny Rossa, uznał, że gdyby jego przystojny młody rozmówca zaczął pewnego dnia ubiegać się o stanowisko w polityce, to on sam na pewno by na niego nie zagłosował.

Uznał Rossa za nadętego narcyza.

Mimo to Harlan Banfield mówił tylko to, co trzeba. Powiedział więc Ethanowi Rossowi, że ma nadzieję, iż zaczną współpracować, by naprawiać to, co psuje administracja.

Starając się nakłonić Rossa do współpracy, Banfield ryzykował niewiele. Wiedział przecież, że jeszcze nikt nie stanął przed amerykańskim sądem za publikowanie tajnych informacji – wyroki otrzymywali tylko ci, którzy je udostępniali. A Banfield pełnił funkcję rolę kanału służącego do przekazywania informacji, i choć ich nie publikował, to i tak stał się wielce poważanym członkiem czwartej władzy, a ponieważ o tym wiedział – czuł się bezpiecznie. Ross nie był kimś, kto miał wpędzić go w pułapkę, chociaż, teoretycznie, mógł być rządową wtyczką mającą doprowadzić do ujawnienia się Banfielda jako amerykańskiego współpracownika ITP. Banfield mógł zrobić niewiele, by temu zapobiec, ale gdyby nawet go przyłapano, i tak nie zostałby aresztowany: po prostu przekazałby pałeczkę komuś innemu i zerwał formalnie związki z ITP.

Podczas pierwszego spotkania Ross wręczył Banfieldowi zapisaną na maszynie kartkę w foliowej koszulce. Nie był to oryginalny dokument, lecz tylko fragment utajnionej informacji przepisany przez Rossa. Plastikowa koszulka miała uniemożliwić pozostawienie odcisków palców na papierze podczas jego przewożenia.

Owa pierwsza informacja nie była szczególnie obszerna: stanowiła zaledwie fragment przechwyconej przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego rozmowy między dwoma wysokimi urzędnikami jednego z izraelskich banków. Zagłębili się oni w szczegóły dotyczące odmowy udzielenia pożyczki, która miała trafić na konto służące wspieraniu kandydata Partii Pracy.

Ross nie dołączył do maszynopisu dokumentów, które mogłyby potwierdzić prawdziwość tej informacji, lecz Banfield obiecał mu, że naprowadzi wywiad na odpowiednią osobę, by ich akcja odniosła odpowiedni skutek.

Nieco ponad miesiąc później Ethan otrzymał zaszyfrowaną wiadomość elektroniczną od Banfielda, który dołączył do niej link do krótkiego artykułu opublikowanego tego samego dnia w izraelskim centrolewicowym dzienniku „Haaretz”. W tekście tym opisano bank oraz jego praktyki kredytowe oparte na sympatiach politycznych. Bankowi urzędnicy usiłowali odeprzeć zarzuty, lecz czynili to w sposób budzący wiele wątpliwości – najwyraźniej dlatego, że nie wiedzieli, do jakich informacji udało się dotrzeć „Haaretzowi”.

Banfield opatrzył link krótką notką: „Dobra robota! Może to jeszcze nie gwóźdź do trumny, ale bank jest na celowniku i cały świat mu się przygląda!”.

Harlan chciał w ten sposób połechtąć ego Rossa. Dla Ethana było to oczywiste, lecz mimo wszystko poczuł dreszczyk towarzyszący świadomości posiadania władzy: dowód potwierdzający jego możliwości skutecznego działania. Odkrycie to wpłynęło na niego pozytywnie. Nabrał przekonania, że ryzyko wpadki było minimalne, a za to działanie warte było zachodu! I to jak!

Artykuł w „Haaretzu” był dla niego dowodem sprawności układu. Ethan Ross stał się

demaskatorem pracującym dla ITP. On i organizacja stanowili doskonale dobraną parę. Żadne z nich nie działało dla sławy i rozgłosu, ale wszyscy zaangażowani w sprawę wiedzieli lepiej niż rząd USA, co powinno być utajniane, a co należy ogłaszać światu.

Pierwsze sukcesy Ethana jako demaskatora były imponujące. Przekazał Banfieldowi informację o wspólnej operacji CIA i Mosadu. Akcja wywiadów, mająca doprowadzić do skompromitowania zdeklarowanego przeciwnika jordańskiego rządu wspieranego przez rząd USA, dała początek fali ostrej krytyki, która przetoczyła się przez światowe media. Potem Ethan poinformował o pewnej firmie zarejestrowanej na Kajmanach, która w rzeczywistości stanowiła przykrywkę stworzoną przez Mosad i wspierała latynoamerykańskich dziennikarzy promujących izraelskie przedsięwzięcia biznesowe. To odkrycie wywołało niewielką burzę w Argentynie – jedną z tamtejszych prawicowych stacji telewizyjnych uznano za medium reklamujące obce interesy i lewicowy rząd odebrał jej licencję.

Ethan współpracował w ten sposób z ITP przez ponad rok. Mniej więcej co dwa miesiące spotykał się z Banfieldem osobiście albo przysyłał mu wiadomość zaszyfrowaną za pomocą Cryptocata. Sprawy szły dobrze, a Ross, choć sfrustrowany tym, co widział, pracując dla rządu, naprawdę uwierzył, że posiadał władzę znacznie bardziej rzeczywistą niż ci, dla których zarezerwowano miejsca na parkingu przy Budynku Eisenhowera.

Później Ethan dowiedział się o zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych w przeprowadzony kilka lat wcześniej atak na turecki statek SS „Ardahan” – była to jednostka należąca do konwoju pokojowego płynącego przez Strefę Gazy. Dowiedział się o tym podczas pewnego porannego spotkania z pracownikami Białego Domu, decydentami z CIA i doświadczonymi doradcami wojskowymi. Tematem tamtej rozmowy było założenie ugrupowań politycznych działających na rzecz libańskiej opozycji – czegoś, o czym Ethan już nieco wiedział. Był wówczas niemy świadkiem rozmów o pompowaniu amerykańskich dolarów do oenzetowskiego programu, którego celem, wspomaganym przez organizacje wspierane przez Hezbollah, była edukacja palestyńskich uchodźców. Ktoś z CIA wypowiedział się wtedy spontanicznie o dodatkowych korzyściach związanych z bezpośrednim finansowaniem przez jego organizację pomniejszych libańskich ugrupowań na terenach, na których znajdowały się obozy Palestyńczyków. Poparł go jeden z pracowników Białego Domu. Człowiek ten oświadczył:

– Podczas ataku na tak zwany pokojowy konwój w Strefie Gazy wszyscy widzieliśmy, jak dobrze jest mieć swoich ludzi w obozach. Opłaciło się to i nam, i Mosadowi.

Na słowa te zareagował natychmiast ważniak z CIA, który podniósł rękę i przypomniał przedmówcy, że nie wszyscy uczestnicy spotkania zostali poinformowani o operacji objętej klauzulą tajności. Zażenowany pracownik Białego Domu przeprosił, dodając, że takie rzeczy się zdarzają, i rozmowa potoczyła się dalej.

Reszta spotkania upłynęła Rossowi na zastanawianiu się, o czym, do cholery, mówił facet zatrudniony w siedzibie prezydenta. Ethan nie miał wprawdzie zielonego pojęcia o jakimkolwiek zaangażowaniu CIA w atak Mosadu na SS „Ardahan” – wydarzeniu, które dominowało w doniesieniach medialnych przez ponad tydzień i niemal doprowadziło Bliski Wchód na krawędź wojny – ale postanowił, że dowie się, co zaszło na morzu. Gdy ponownie zasiadł za biurkiem, poświęcił zaledwie kilka minut na znalezienie istotnych informacji o udziale CIA w morskiej

interwencji. Najważniejsze dokumenty umieszczono na zabezpieczonym hasłem serwerze sieci Intelink-TS, lecz Ethan wykorzystał uprawnienia zapewniające mu dostęp do niejawnych informacji i dotarł do streszczenia, w którym podsumowano operację.

Dowiedział się, że na statku przebywał informator CIA wyposażony w telefon satelitarny, natomiast CIA przekazywała Mosadowi informacje taktyczne umożliwiające przejęcie jednostki. Agencja nie pozwoliła, by Izraelczycy kontaktowali się bezpośrednio z informatorem, i utrzymała jego tożsamość w tajemnicy. W dniu, w którym przeprowadzono akcję, agent CIA, a zarazem doświadczony ekspert wojskowy, spotkał się natomiast z komandosami Shayetet 13 i przekazał im szczegółowe informacje o uzbrojonych Palestyńczykach, którzy przebywali na pokładzie statku płynącego pod turecką banderą.

Później, po zakończeniu interwencji na morzu, Tel Awiw dwoił się i troił, aby przekonać opinię publiczną, że Stany Zjednoczone nie miały z nią nic wspólnego. Ethan, który uwierzył kiedyś w te zapewnienia, zrozumiał teraz, że dał się nabrać.

Kipiał wściekłością. Świadomość, że CIA przekazywała informacje izraelskim komandosom, zanim jeszcze znaleźli się na statku i zaczęli strzelać do pokojowych aktywistów, doprowadziła go do furii.

Ethan wstąpił do służby rządowej, by pójść w ślady matki i uczynić świat lepszym, ale na pewno nie po to, by wspierać amerykańskiego hegemonu poprzez pomaganie jego rozproszonym po całym świecie cynglom zabijaniu działaczy na rzecz pokoju.

Nie było już odwrotu. Ethan postanowił przystąpić do działania.

Pocztą elektroniczną przesłał skąpe i niepotwierdzone dane Banfieldowi, który obiecał, że przekaże je redakcji „The Guardian”.

Budząc się co rano, Ross zaglądał na internetową stronę dziennika i sprawdzał, czy nie zamieszczono na jego łamach wiadomości o ataku na konwój. Po tygodniu bezskutecznego szukania otrzymał wiadomość od Banfielda, który poprosił go o rozmowę poprzez Cryptocata. Dziennikarz wyjaśnił Ethanowi, że „Guardian” nie wykorzysta jego informacji, gdyż nie zostały one poparte dowodami potwierdzającymi tak prowokacyjne oskarżenie.

Ross ponownie wpadł we wściekłość – brytyjska gazeta wstrzymała się przed opublikowaniem anonimowego doniesienia.

Banfield starał się ze wszystkich sił uspokoić Ethana, mówiąc mu, że „The Guardian” nie był w stanie przełknąć niczym niepopartych rewelacji dotyczących statku SS „Ardahan”. Później uprzejmie zasugerował: gdyby Ethanowi udało się bezpiecznie zdobyć dowody w postaci dokumentów, to mogliby je przekazać redakcji dziennika i tym samym zwiększyć szansę na ukazanie się artykułu.

Ethan przemyślał to wszystko i z radością podjął nowe wyzwanie. Postanowił zdobyć informacje i nie dać się złapać. Wiedział, że kopiując dane z serwera Intelink-TS, pozostawiłyby cyfrowe odciski palców, których właściciela nietrudno byłoby wykryć. Z chwilą ujawnienia prawdy o zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych w atak na SS „Ardahan” informatycy z CIA zajmujący się bezpieczeństwem danych mogliby namierzyć każdego, kto dobrał się do tajnych dokumentów i przeniósł je z sieciowej bazy danych do części systemu pozwalającej na dzielenie się plikami. Nietrudno byłoby im znaleźć nawet tego, kto pokusiłby się jedynie o wydrukowanie zawartości plików.

Im dłużej Ethan zmagał się ze swoim problemem, tym częściej ego podpowiadało mu, że musi znaleźć sposób na jego rozwiązanie. Postanowił zatem wskrzesić swoje zainteresowanie komputerami i spróbować nauczyć się zacierania śladów na wypadek, gdyby udało mu się dostać do dokumentów, których potrzebował.

Od tej pory spędzał całe wieczory na pilnym studiowaniu zagadnień informatycznych: czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, a dotyczyło bezpieczeństwa systemów komputerowych, z którymi miał do czynienia na co dzień. W biurze bez przerwy zasypywał informatyków pytaniami dotyczącymi wymyślanych co chwila problemów z logowaniem i dostępem do sieci. Przy tym pamiętał o odpowiedniej minie: na jego twarzy malowało się bezustanne zdziwienie połączone z niedowierzaniem, przez co specjaliści musieli wyjaśniać mu każdą kwestię dwa, a nawet trzy razy.

Ethan chętnie brał udział w projektach, które wymagały rozszerzenia jego uprawnień, co pozwalało mu na korzystanie z sieci zapewniających mu, za pośrednictwem JWICS, częściowy dostęp do ukrytych głębiej zasobów utajnionych baz danych CIA.

Szybko jednak pojął, że błyskotliwy umysł to za mało: było zbyt wiele rzeczy, których nawet on nie potrafił się dowiedzieć. Uznał, że problemem jest nie tyle jego inteligencja, ile brak sposobu, który pozwoliłby człowiekowi na jego stanowisku zagłębić się w kwestie bezpieczeństwa systemu komputerowego bez wzbudzania podejrzeń.

Nagle jednak Ross znalazł rozwiązanie kłopotu: miało ono na imię Eve.

Ethan zaparkował na swoim podjeździe tuż przed osiemnastą. Trzymając nad głową skórzaną aktówkę, która miała go ochronić przed drobnym, marznącym deszczem, podbiegł do frontowego wejścia i włożył klucz do zamka. Zanim jednak zdążył nacisnąć klamkę, drzwi nagle się otworzyły. Eve Pang wyciągnęła rękę, chwyciła Rossa za krawat i wciągnęła go do środka, a potem mocno przywarła ustami do jego ust.

Ethan zatrzasnął za sobą drzwi, Eve zaś zaczęła mocować się z jego krawatem, nie przerywając pocałunku, dopóki nie udało jej się go zdjąć. Potem przyparła Ethana do drzwi i zabrała się do ściągania jego płaszcza.

Ethan dostrzegł odbicie jej całej sylwetki, które pojawiło się na krótką chwilę w lustrze wiszącym w głębi holu. Eve zdążyła już przebrać się po pracy i miała na sobie jedną z koszul Ethana, dopasowaną kolorem do majtek i grubych wełnianych skarpetek.

Kiedy w końcu zdarła z Ethana płaszcz, Eve chciała rzucić okrycie na podłogę, lecz mężczyzna złapał je za plecami i położył na krześle stojącym przy drzwiach, a potem stanowczo oparł się próbie dobrania się mu do marynarki.

Eve przerwała w końcu pocałunek i zapytała:

- Coś nie tak?
- Miałem dziś ciężki dzień, kochanie. Możemy pogadać?
- Tak, oczywiście – odpowiedziała zaskoczona Eve.
- To dobrze – odrzekł Ethan i poszedł na górę, aby się na spokojnie przebrać.

Eve wzięła z krzesła jego płaszcz i powiesiła go w garderobie.

Eve Pang była Amerykanką koreańskiego pochodzenia i pracowała jako starszy inżynier systemów sieciowych w Booz Allen Hamilton – firmie wykonującej zlecenia rządowe. Poznali się z Rossem pół roku wcześniej, podczas szkolenia pracowników rządowych w jej biurze w wirginijskim Tysons Corner. Eve prowadziła tam prezentację poświęconą ochronie utajnionych danych. Ethan zapisał się wtedy na całodniowe zajęcia tylko po to, żeby nawiązać z nią kontakt. Wiedział, że Eve należy do elity: do najlepszych administratorów sieci niejawnych. Większość pracowników Rady Bezpieczeństwa Narodowego nie mogła wtedy doczekać się końca szkolenia i powrotu do Waszyngtonu, Ross natomiast poczuł się zauroczony, nie tylko zajęciami, podczas których mówiono o bezpieczeństwie sieci, ale i prowadzącą je Azjatką w okularach kujanekach. Była atrakcyjną kobietą i – co ważniejsze dla Ethana – dysponowała niewiarygodnie głęboką wiedzą o architekturze najbardziej utajnionych systemów komputerowych, z których korzystał amerykański wywiad. A Ross chciał uszczknąć nieco tej wiedzy.

Eve zajmowała się infrastrukturą ochrony danych JWICS, odkąd jako dwudziestopięciolatka

otrzymała stopień doktora w MIT. Teraz, w wieku trzydziestu dwóch lat, była wysoko opłacanym inżynierem systemów Booz Allen z siedzibą w Fort Meade, pracowała też w okolicach Waszyngtonu. Jej domeną były protokoły zabezpieczeń prywatnych sieci wywiadu USA – systemów zdalnego dostępu, które umożliwiały pracownikom rządowym korzystanie z najbardziej utajnionych baz danych za pomocą komputerów zewnętrznych.

Ethan poprosił Eve o spotkanie tego samego dnia, w którym się poznali. Zgodziła się, chociaż była tak zaskoczona, że aż szeroko otworzyła oczy i poczuła gwałtowne łomotanie serca. Była oszołomiona awansami, które czynił jej Ross. Do tej pory umawiała się na randki wyłącznie z innymi komputerowymi maniakami, w większości Koreańczykami, natomiast Ethan był czarującym, zadbanym pracownikiem Białego Domu i sprawiał wrażenie równie interesującego, jak inteligentnego.

Ethan wiedział, że wykorzystuje Eve, lecz się tym nie przejmował, zresztą sumienie nigdy nie przeszkadzało mu angażować się w nowe związki.

Podczas pierwszych randek rozmawiali przeważnie o pracy. Eve od zawsze żyła informatyką, a praca była w zasadzie jej jedynym hobby i najłatwiej rozmawiało się jej o sieciach komputerowych oraz szyfrowaniu. Mówiąc o tym, czuła się swobodnie, bo wiedziała, że jej nowy, ciekawski chłopak dysponuje certyfikatem bezpieczeństwa. Istniały wprawdzie tematy, na które Eve nie powinna była, a nawet nie miała prawa, rozmawiać z własnym chłopakiem, ale – zwłaszcza po lampce wina – czasem wypnęło jej się to i owo, lecz nie miała o to do siebie pretensji.

Przecież ona i Ethan byli po tej samej stronie.

Ethan nigdy nie dał Eve do zrozumienia, że zdobywa utajnione informacje i przekazuje je International Transparency Project. Pytał o bezpieczeństwo systemów komputerowych pod płaszczykiem zainteresowania informatyką i troski o uchronienie Rady Bezpieczeństwa Narodowego przed atakami z zewnątrz oraz jej wewnętrznymi wrogami.

Lubił omawiać z Eve scenariusze zagrożeń, gdy siedzieli przy obiedzie lub rozkoszowali się ciepłym kominką w jej apartamencie. Eve wiedziała, że Ross, podobnie jak ona, jest wyjątkowo inteligentny, a on bardziej interesował się jej pracą niż ona nim.

Eve nie przeszkadzało też to, że podczas rozmów dolewał jej wina, które rozwiązywało jej język. W rzeczywistości bowiem Eve uznała te ich rozmowy za dobrą zabawę, traktowała je też jak wyzwanie intelektualne. Odpowiadała na pytania Ethana, dumna, że jej genialny chłopak tak dogłębnie interesuje się jej pracą. Często żartowała, mówiąc, że jest wprawdzie profesjonalistką w dziedzinie zabezpieczeń komputerowych, lecz jego zainteresowanie bezpieczeństwem danych to już prawdziwa obsesja.

Pewnego wieczoru, siedząc na kanapie, obok której na stoliku kawowym stały już dwie puste butelki po klarecie, i napoczynając trzecią, rozmawiali o czułych punktach systemu. Pomiedzy kolejnymi łykami wina Eve wyjaśniła Ethanowi, że najsłabszym ogniwem zabezpieczeń jest poziom domyślnego administratora domeny, tworzony jako pierwsze konto w sieci i dający szerokie uprawnienia. Dodała, że komputerowi profesjonaliści, po tym, gdy ustalą prawa mniej uprzywilejowanych użytkowników systemu, często wyłączają tę domenę, lecz w Intelinku-TS, utajnionej sieci CIA, pozostała ona aktywna, a hasło dostępu jest znane zaledwie kilku starannie sprawdzanym administratorom wysokiego szczebla.

Eve powiedziała też, że każdy, kto loguje się jako administrator, zyskuje niemal boską władzę nad Intelinkiem-TS i otrzymuje klucze do królestwa tej sieci, a jeśli ma złe intencje – może dotrzeć do najtajniejszych zakątków systemu, po cichu wprowadzać dane i kasować historię operacji.

Słuchając Eve, Ethan pilnie nadstawiał ucha, lecz potrzebował dodatkowych informacji.

– Kurczę... Więc ludzie, którzy mogą się logować jako administratorzy, muszą być bardzo wiarygodni – powiedział.

Eve, już pijana, uśmiechnęła się, puściła oczko i odparła:

– Ja jestem.

– Nie jesteś.

– Jestem – powtórzyła i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– I mogłabyś wejść w dowolne miejsce systemu, ale nikt by o tym nie wiedział?

– Gdybym tylko chciała. Ale nie muszę, bo dlaczego miałabym to robić?

Ethanowi trudno było w to uwierzyć.

– Istnieje przecież dziennik kontroli, a w nim jest wszystko, co robimy – powiedział. – Madeline Crossman, która odpowiada za bezpieczeństwo w moim wydziale, zawsze do niego zagląda, żeby nas sprawdzić i mieć pewność, że nikt nie pokusił się o nieautoryzowany dostęp.

– Administratorzy Intelinka nie mają takiego dziennika – odparła Eve. – A to znaczy, że po zalogowaniu się mogłabym zajrzeć, gdzie zechcę, i nikt by tego nie skontrolował.

Zachichotała i dodała:

– Na moim szczeblu to ja jestem dziennikiem.

– Więc twoje hasło czyni cię nietykalną?

– Nie do końca – odpowiedziała Eve. – W pracy używam prywatnych sieci wirtualnych, które łączą się z Intelinkiem przez JWICS, a to wymaga podwójnej autoryzacji.

Rzekłszy to, Eve sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej dwa niewielkie identyczne tokeny z ciekłokrystalicznymi ekranikami: na każdym z nich widniało sześć cyfr. Jeden z tokenów miał czerwoną etykietkę z napisem „Pang”, drugi zaś nosił oznaczenie „Pang-DDA”.

– To moje klucze do systemu – oświadczyła Eve. – Dzięki nim mogę wejść do sieci CIA z domowego laptopa. Muszę tylko wpisać login i liczbę z tokenu, która zmienia się co pół minuty. Gdybym jednak chciała się zalogować jako administrator, musiałabym użyć tokenu DDA. Te tokeny i liczby prowadzą z powrotem do mnie.

Na oczach Ethana liczby na wyświetlaczach tokenów ustąpiły miejsca nowym.

Ross przyjrzał się uważnie małym urządzeniom i zapytał, aby się upewnić:

– W takim razie ktoś, kto nie loguje się z zewnątrz, przykładowo: ktoś z biura CIA albo ktoś, kto ma bezpośredni dostęp do sieci, nie potrzebuje tych ustrojstw?

– Jest właśnie tak, jak mówisz – potwierdziła Eve. – Taki ktoś potrzebuje tylko loginu administratora, a potem może robić wszystko, co mu się, do cholery, podoba. Pisałam już raporty w tej sprawie, bo to słaby punkt systemu, ale nikt się tym nie przejmuje.

Eve roześmiała się, wrzuciła tokeny do torebki i sięgnęła po lampkę wina.

– Najlepsi informatycy nie pracują dla rządu – powiedziała. – A my, wyrobownicy, mamy wprawdzie niemal nieograniczony dostęp do danych, ale za to niewiele możliwości podejmowania decyzji.

– To niesamowite... – wymamrotał Ethan. – Jesteś prawie nietykalna...

Eve ujęła jego rękę, wsunęła ją pod swoją koszulę zapinaną na guziki i położyła na swojej małej piersi.

– A jednak jestem tykalna, widzisz? – rzekła. – Trzymasz mój token i jesteś jedynym facetem, który ma do mnie dostęp.

Roześmiała się z własnego żartu, a Ethan poznał po jej śmiechu, że jest już porządnie wstawiona. Postanowił iść za ciosem.

– Nie martwisz się, że mogłabyś zapomnieć swojego hasła? – zapytał.

Eve pokręciła głową i odparła:

– Mojego hasła? Nie, bo używam go codziennie. A hasła administratora raz na kilka miesięcy, więc je sobie zapisałam.

– Co?! To niezbyt rozsądne, Eve, i nawet ja to wiem.

Eve pocałowała Ethana i powiedziała:

– Nie przejmuj się. Pokażę ci je.

Wyszła na chwilę z pokoju, zostawiając zszokowanego Rossa. Żaden informatyk nie zdradza przecież swoich haseł, nie robią tego nawet pijane dziewczyny chcące zaimponować chłopakowi.

Ethan podniósł się niemrawo i napełnił lampkę partnerki.

Eve wróciła z kartką i ją rozłożyła, a Ethan z trudem powstrzymał się przed wyrwaniem kawałka papieru z trzymającej go ręki. Wiedział, jak wielkie znaczenie dla jego misji ma ten niepozorny arkusik.

Jednak gdy na niego zerknął, zrozumiał, że nie jest to wymarzony klucz, którym mógłby otworzyć bramę odgradzającą go od tajnych zakamarków komputerowego systemu CIA.

– To po koreańsku? – zapytał. – Nie wydaje mi się to bezpieczne, kochanie.

– To nie koreański – powiedziała Eve. – To idu, pismo, którego używano w Korei już tysiąc lat temu. Zna je niewielu ludzi. Ale najlepsze jest to, że idu wygląda jak tradycyjne pismo chińskie. Tak jak pismo kaishu z tego samego okresu. Jeśli ktoś pomyśli, że to po chińsku, i spróbuje przetłumaczyć te słowa i liczby, to przekład będzie fałszywy. Idu odeszło w niepamięć.

Wywarło to na Ethanie duże wrażenie. Powiedział o tym Eve, która uśmiechnęła się, a potem zaczęła tracić świadomość i dziesięć minut później pogrążyła się w głębokim śnie.

Ethan wyjął telefon i sfotografował kartkę pokrytą niezrozumiałymi bazgrołami.

Eve spała, on natomiast spędził resztę wieczoru, gratulując sobie niezwykłego intelektu i umiejętności socjotechnicznych oraz zastanawiając się, jak, do cholery, przetłumaczy tekst zapisany w idu.

Z pomocą wyszukiwarki internetowej, Ethan znalazł tłumacza: profesora uniwersytetu w Chicago, specjalizującego się w językach wschodnioazjatyckich. Lingwista przełożył ciąg kilkunastu cyfr i liter za darmo, i już po kilku minutach przesłał Ethanowi odpowiedź mailem. Ethan natychmiast użył hasła administratora, zalogował się do JWICS w skrzydle administracji bezpieczeństwa i wyszukał dokumenty dotyczące ataku na konwój. Nie czytał ich, bo zajęłoby mu to kilka godzin, a dysponował zaledwie kilkoma minutami.

Wykradł pliki, posługując się sposobem, który Eve opisała mu podczas ich wspólnej kolacji, a potem przesłał je Harlanowi Banfieldowi. Ten przejrzał dokumenty i poinformował Ethana, że

trzeba będzie poczekać, może nawet pół roku, dopóki nie zyskają pewności, że włamanie do systemu nie zostało wykryte. Ethan niecierpliwił się, bo był pewien, że nie popełnił najmniejszego błędu, lecz Banfield nalegał: mówił, że International Transparency Project musi przestrzegać własnych, sprawdzonych i niezawodnych protokołów bezpieczeństwa.

Później nie działo się nic. Przez następne cztery miesiące media nie wspomniały ani słowem o napaści na konwój. Ethan przestał wykradać pliki z JWICS. Chciał się przekonać, jak „The Guardian” wykorzysta ich pierwszą partię, a świadomość, że Banfield i jego grupa nie przesłali mediom ani jednego wykradzonego dokumentu, doprowadzała go do furii.

Wreszcie stało się. FBI wzięło na celownik Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Zaczęło podejrzewać włamanie do systemu komputerowego Rady i mówić o związku kradzieży danych ze śmiercią byłego izraelskiego komandosa i jego rodziny.

Ethan Ross zrozumiał, że musiał popełnić jakiś błąd. Udało mu się wprowadzić ukryć swój udział we włamaniu, bo zalogował się jako administrator systemu, lecz mimo to ktoś odkrył, że tajne dokumenty trafiły na serwer umożliwiający ich wysłanie.

Któregoś wieczoru Ethan i Eve siedzieli i gawędzili w jego domu. Tym razem również raczyli się klaretem i, podobnie jak cztery miesiące wcześniej, rozmawiali o możliwościach wtargnięcia do sieci. Eve wiedziała już o włamaniu do utajnionej bazy danych Rady Bezpieczeństwa Narodowego, choć nie miało ono nic wspólnego z nią ani z prywatnymi sieciami, z których korzystała. Poinformowano ją o całej sprawie wczesnym rankiem tego samego dnia.

Ethan opowiedział Eve o rozmowie z agentem FBI, z którym spotkał się dzień wcześniej, i wspominał o możliwości istnienia kreta w Radzie. Zrobił to celowo, aby dowiedzieć się za wszelką cenę, w którym momencie powinęła mu się noga. Nie wątpił ani przez sekundę, że błąd nie leżał po jego stronie, wręcz przeciwnie: był pewien, że to Eve Pang pomyliła się, opowiadając mu o nieograniczonej władzy administratorów. Rozzłościło go to, lecz nie dał tego po sobie poznać.

Pomiędzy kolejnymi łykami wina, delikatnie głaszcząc siedzącą naprzeciwko Eve po włosach, Ethan zapytał:

– Jak myślisz, co się stało?

– Wiem dokładnie co.

– Naprawdę? – odparł zaskoczony Ross.

– Tak. Rządowi najemnicy to głupcy. Dopuszcili do włamania, a potem im się upiekło. I to wszystko.

Ethan zmusił się do wypicia następnego łyku wina. Świerzbily go palce i czuł przemożną chęć zgniecenia kieliszka. Z wielkim trudem zachował spokój i zapytał:

– Jakim cudem mogło im się to upiec?

Eve uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Sieć poddano audytowi punktowemu, który ma wykryć działania niezgodne z procedurami. Ale taki audyt zabiera sieci niecałe pięć minut jej pracy. Później zapisy i tak nie zostały sprawdzone, tylko automatycznie trafiły do serwera, a on wychwycił pliki skopiowane do serwera w biurze Rady, tego, z którego można przesłać je dalej.

– Rozumiem – odparł Ethan. – Czy udało się ustalić, co się stało z tymi dokumentami? Zostały

skopiowane czy wydrukowane?

– Najprawdopodobniej skopiowane. Każda z drukarek, której ktoś chciałby użyć, zarejestrowałaby nowe zadanie. Przypuszczam, że nawet rządowi informatycy będą w stanie to sprawdzić – wyjaśniła Eve.

I dodała:

– Ktoś powinien był zająć się badaniem tej sprawy już cztery miesiące temu. Ale zrobiono to dopiero po wydarzeniach w Indiach. Poproszono wtedy administratorów systemu w Langley o sprawdzenie plików w Intelinku-TS pod kątem bezpieczeństwa. – Eve roześmiała się głośno. – Musieli sprawdzić poszczególne logowania i pewnie wrzasnęli „o, cholera!”, kiedy zobaczyli, że dokumenty wyfrunęły na zewnątrz. – W jej głosie zabrzmiała satysfakcja. – Nigdy nie dowiedzą się, czyja to robota – dopowiedziała.

– Dlaczego?

– Pamiętasz tamten wieczór, kiedy opowiadałam ci o uprawnieniach administratorów?

Ethan zapatrzył się w przestrzeń i po długiej chwili odpowiedział:

– Jak przez mgłę.

– Założę się, że ten, kto wykradł dokumenty, zalogował się do sieci jako administrator – rzekła Eve. – Nie potrafię tego udowodnić i właśnie na tym polega problem z potwierdzaniem tożsamości administratorów, ale myślę, że stało się tak, jak powiedziałam. Nikt nigdy się nie dowie, kto dokonał włamania, więc równie dobrze można przestać szukać winnego.

– Patrzcie państwo... – mruknął Ethan.

Miał ochotę przebić ścianę pięścią.

Miał rację: zrobił wszystko jak należy i tylko przypadek sprawił, że sprawę skomplikował cholerny pech.

Nikt nie zauważyłby pewnie włamania, gdyby nie zupełnie przypadkowa śmierć Izraelczyka w Indiach.

Eve zaczęła się przystawiać do Ethana, lecz on nie był w nastroju. Położyła się więc wcześniej spać, a Ross siedział w salonie z lampką wina i gapił się w telewizor, oglądając film, który wcale go nie interesował.

Skupiał wszystkie myśli na oszukaniu wariografu. Gdyby mu się to udało, byłby bezpieczny. Powiedział sobie, że na całym świecie nie ma takiego agenta FBI, któremu udałoby się go przechytryć. Dochodzenie spełźnie na niczym, a może ktoś zacznie podejrzewać o włamanie tę sukę Beth Morris z biura do spraw półkuli zachodniej.

Teraz musiał już tylko poradzić sobie z wykrywaczem kłamstw.

Dominic Caruso stał przy kuchence i wrzucał pokrojone w kostkę pomidory do rondla pełnego dużych krewetek skwierczących w oliwie z przyprawami. W kuchni dominował zapach czosnku i oregano, a rozgniecione czerwone papryczki chili przyprawiały o łzawienie oczu. Czoło Dominica pochylonego nad palnikiem pokrywało się cienką warstwą potu, który ocierał ręcznikiem zawieszonym na ramieniu, zawsze gotowym na przyjęcie kolejnej porcji wilgoci. W końcu przyrządzał krewetki *fra diavolo*, choć tak naprawdę zaczynał się pocić dopiero podczas ich pałaszowania.

Dom uwielbiał pichcić od dziecka. Gotowanie zbliżyło go do matki i babki, a później pozwalało mu wracać myślami do dzieciństwa i przypominać sobie szczęśliwe chwile. I właśnie to zaplanował na ten wieczór. Nie zabrał się do gotowania dlatego, że był głodny. Ale pomyślał, że pichcenie może być doskonałym sposobem na uczynienie czegoś pożytecznego, co pozwoliłoby mu zająć umysł przez kilka godzin. Zgramolił się zatem z kanapy i nie przejmując się posiniaczonymi żebrami i lekkim bólem głowy, wciągnął na siebie kurtkę i pomaszerował do spożywczaka.

Przyrządzenie prawdziwej kolacji, choć to żaden wyczyn, na pewno było czymś lepszym niż zamówienie pizzy i siedzenie w ciemnym mieszkaniu przy wtórze dręczących myśli.

Dom zmniejszył płomień pod rondlem i oddalił się na chwilę, aby otworzyć butelkę trebbiano, którą wetknął kiedyś na tyły lodówki. Wracając, pociągnął nieco wina, a potem wlał odrobinę trunku do *fra diavolo* i uchylił się przed oparami, które uniosły się nad bulgoczącą potrawą.

Gotując, błędził myślami i przypominał sobie poprzednie danie, które przyrządził w swoim mieszkaniu. Było to w przeddzień jego wylotu do Indii, lecz wtedy, inaczej niż tego wieczoru, Dominic nie był sam, bo z reguły nie gotował tylko dla siebie.

Miała na imię Abbie i była barmanką w Upscale Saloon w Georgetown. Dom bywał w jej barze regularnie, lecz siedział cicho i wolał nie zadawać się z innymi stałymi bywalcami lokalu. Pewnego wieczoru został do zamknięcia, a później on i Abbie powędrowali do pobliskiej nocnej knajpy, aby się napić. Siedząc nad piwem, przegadali godzinę.

Dominic powiedział Abbie, że pracuje w ochronie, i jedynym komentarzem, który usłyszał, było: „czadowo”.

Kochali się najpierw w jej mieszkaniu, ale po paru nocnych wypadach na drinka i następujących po nich nieuniknionych miłosnych igraszkach Dom zaprosił Abbie do siebie na domowy posiłek. Przyrządził wtedy prawdziwe klopsiki z cielęciny i ricotty i podał je przy świecach z jednym ze swoich ulubionych chianti classico. Sprawił jej tym miłą niespodziankę, lecz Abbie nie odwiedziła go przecież z powodu cielęciny, więc skoro tylko talerze wylądowały w zlewozmywaku, a butelka się opróżniła, udali się do ciemnej sypialni i szybko zapomnieli o rozkoszach podniebienia.

Była to wspaniała noc przed wyjazdem, lecz później, podczas całego pobytu w odległych stronach,

Dominic rzadko myślał o Abbie, a ona nie wysłała mu ani jednego maila i ani razu nie zadzwoniła.

Koniec, kropka. Dom postanowił wtedy, że przez pewien czas będzie unikać Abbie, aby każde z nich mogło pójść w swoją stronę.

Wyłożył krewetki na talerz i poszedł do salonu, po drodze chwycił napoczętą butelkę trebbiano. Dzisiejsza kolacja była zupełnie inna niż tamta z Abbie, przy świecach; Dominic siedział samotnie na kanapie: trzymając nogi na stoliku kawowym, oglądał relację z turnieju pokera, choć właściwie wcale go ona nie interesowała. Sączył wino, jadł pikantne krewetki i pogrążał się w ponurym nastroju. Był dumny ze swego kulinarnego popisu. Jego *fra diavolo* idealnie połączyło różne smaki: maślaną słodycz, ostrość czerwonych papryczek oraz świeżość cytrusów. Dominic nie mógł się jednak pozbyć kiepskiego humoru, po części dlatego, że nie towarzyszyła mu kobieta, z którą mogłby zjeść kolację, pogawędzić, a później pójść do łóżka.

W końcu był Włochem, świadomym uwodzicielskiej mocy potraw.

Coraz bardziej oddalał się myślami od swoich krewetek, od kobiet... Zaczął przypominać sobie Yacobyh i posiłki, które z nimi dzielił. Przypomniał sobie dzieci przyjaciół i pomyślał o amerykańskim sukinsynu, który sprzedawał ich terrorystom, jakby ich życie nie miało najmniejszego znaczenia.

Bił się z myślami, już któryś raz czując się odpowiedzialny za ich śmierć. Próbował ze wszystkich sił obiektywnie oceniać własne działania i za każdym razem wyrzucał sobie, że nie potrafił ich uratować.

Dom borykał się z obrazami pojawiającymi się w jego głowie aż do końca posiłku. Gdy talerz i butelka były już puste, postanowił jeszcze raz zajrzeć do lodówki i przekonać się, czy nie ma w niej jeszcze jednej, upchniętej w którymś z zakamarków, butelki zimnego trebbiano. Pomyślał, że mogłby opróżnić ją przed telewizorem, a potem pójść spać.

Nie. Nie mógł przecież spędzić wieczoru na samotnym picciu i dopuszczaniu do siebie niebezpiecznych myśli.

Zerknął na zegarek. Była dwudziesta druga trzydzieści.

Układając naprędce plan na wieczór, oderwał się myślami od Yacobyh. Wiedział jednak, że ten stan potrwa tylko chwilę, jak wcześniej, kiedy przez moment udało mu się skupić na pichceni *fra diavoli*.

Wszystko było jednak lepsze niż siedzenie w samotności i uzalanie się nad sobą.

– Nie rób tego, Dom.

Nie wiedział, dlaczego tak do siebie powiedział. Ale czuł, że i tak to zrobi. Jego ciało ignorowało wewnętrzny głos rozsądku. Wstał, wszedł do sypialni i włożył dżinsy oraz brązową skórzaną marynarkę. Wsuwając rękę do lewego rękawa, poczuł się tak, jak gdyby ktoś wykręcał mu cęgami jedno z żeber, lecz przezwyciężył ból. Udało się.

Spędził jeszcze pięć minut na pobieżnym sprzątnięciu mieszkania, bo chociaż nie wiedział jeszcze, dokąd pójdzie i kogo spotka, to jednak nie zamierzał wracać w pojedynkę.

Była dwudziesta trzecia. Caruso siedział na barowym stołku w The Pig – knajpce przy 14. ulicy. Był tu już z tuzin razy, wpadał zawsze, żeby coś zjeść, napić się; czasami liczył też na coś więcej. Sącząc piwo, omiatał wzrokiem przyciemnione, lecz pełne życia pomieszczenie, w którym stało kilkanaście

stolików. Przy każdym siedziała grupka najwyraźniej dobrze bawiących się stałych klientów.

Dom rozpoznał kilka potencjalnych celów.

W takich chwilach zawsze czuł się tak samo jak w czasie walki w Kampusie, podczas wypadów ze stałych posterunków patrolowych. Teraz jednak nie deptał po piętach terrorystom ani rosyjskim gangsterom i nie wypatrywał wrogów, którzy mogliby go inwigilować.

Nie – przyszedł po to, żeby poderwać jakąś dziewczynę.

Lista kontaktów w telefonie Doma pękała w szwach; zawierała mnóstwo numerów telefonów dziewczyn, ale każda z nich dążyłaby do dobrze mu znanej, szczerzej rozmowy i nieodmiennie okazywałaby dużą dozę współczucia i zainteresowania. Dom był jednak zmaltretowany i wymęczony, duchowo i fizycznie, i zdawał sobie sprawę, że każda z jego przyjaciółek, nawet tych dalszych, próbowałaby mu teraz matkować i dowiedzieć się, co się, do cholery, stało.

Tego wieczoru szukał czegoś zupełnie innego.

Gdy rozejrzał się po knajpie po raz pierwszy, nie zauważył kobiety, która – podobnie jak on – siedziała przy barze. Nie dlatego, że była mało atrakcyjna. Wręcz przeciwnie: była to efektowna brunetka o migdałowych oczach i pełnych ustach, najwyżej kilka lat starsza od Doma. Caruso nie dostrzegł jej wcześniej, ponieważ otaczało ją trzech młodych, potężnych facetów. Dwóch siedziało po jej obu stronach, trzeci zaś stał za jej plecami. Jeden z mężczyzn roześmiał się głośno i otoczył nieznaną ramieniem. Pozostali pociągali whiskey z ciężkich szklanek o grubych dnach, rozglądając się dookoła z szelmowskimi uśmiechami.

Dom powędrował wzrokiem dalej. Jego wewnętrzny radar wciąż wyszukiwał odpowiednie cele, a brunetka, potencjalny cel sprzed kilku sekund, rozmyła się w zakłóceniach wywołanych testosteronem krążącym w jego krwi.

Dokończył piwo i zamówił następne. Rudowłosa dziewczyna, siedząca w towarzystwie innego mężczyzny przy dwuosobowym stoliku pod ścianą, pochwyliła jego spojrzenie. Zauważył to i spojrzał jej w oczy. Niczym doświadczony podrywacz zerknął też na jej serdeczny palec; nie było na nim obrączki, lecz po chwili rzuciło mu się w oczy, że jakoś dziwacznie rozmawiała ze swoim towarzyszem, i zauważył jej widoczne z daleka obgryzione paznokcie. Uznał, że jest zbyt zniszczona życiem i rozchwiana emocjonalnie, aby właśnie teraz zechciał mieć z nią do czynienia. Ponownie zaczął szukać zdobyczy.

Teraz wysoka, wysportowana kobieta w biznesowym kostiumie spojrzała na Dominica ponad głowami grupy współpracowników obu płci, ale jej strój i zamieszanie wokół niej podpowiedziały mu, że pracuje ona na Kapitolu. Dom znał kilka osób z Kongresu. Osobiście nie miał nic przeciwko nim, ale akurat w tej chwili naprawdę nie miał ochoty na wysłuchiwanie czczych gadek o polityce partyjnej ani cynicznych plotek zasłyszanych w kongresowej szatni. Postanowił zatem szukać dalej.

Obserwując salę, wzdychał w duchu. Im stawał się starszy i im lepiej potrafił rozszyfrowywać ludzi, tym trudniej przychodziło mu znaleźć kogoś, kto by mu odpowiadał. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie miał ochotę na małżeństwo, skoro tak cholernie trudno było o kobietę, z którą mógłby trwać w duchowej więzi tylko przez jeden wieczór.

Po następnym długim łyku piwa Dom zrozumiał, co tak naprawdę przeszkadzało mu w dogadaniu się z samym sobą. Był wciąż pijany Indiami, których wspomnienie przeszkadzało mu w sprawach nawet tak błahych i ulotnych jak znalezienie przygody na jedną noc.

„Jazda, żołnierzu D!”.

Zamówił trzecie piwo, a gdy się pojawiło, pomyślał, że podejdzie do stolika na środku sali. Siedziały przy nim trzy sympatyczne dziewczyny wyglądające na studentki. Nie zdążył podejść, bo usłyszał podniesiony głos brunetki przy barze:

– Powiedziałam: nie!

Dom uniósł brwi. Na początku wykreślił tę kobietę z listy swoich potencjalnych zdobyczy, ponieważ towarzyszyła jej grupka mężczyzn, lecz teraz wytężył słuch i zaczął śledzić ich rozmowę. Przyjrzał się też dokładniej trzem osiłkom.

Oszacował, że łącznie kolesie to jakieś czterysta kilo żywej wagi. Pod ich koszulkami, upstrzonymi orłami, czaszkami, wilkami i innymi podobnymi obrazkami, rysowały się solidne mięśnie. Mieli wytatuowane przedramiona, a ich byle jak rzucone skórzane kurtki rozwalały się na trzech sąsiednich barowych stołkach. Dom zlustrował wzrok i pozy mężczyzn. Utwierdził się w przekonaniu, że są pijani albo niewiele im do tego brakuje.

Błyskawicznie ocenił sytuację: piękna kobieta nie zna tych facetów, jest od nich nieco starsza i o wiele lepiej ubrana, bez porównania drobniejsza i czuje się niepewnie wśród górujących nad nią mięśniaków.

Wykorzystał swoją wytrenowaną umiejętność obserwacji i domyślił się, że kobieta przyszła do baru sama, bo przyjechała do Waszyngtonu w interesach i być może zatrzymała się w jednym z pobliskich czterogwiazdkowych hoteli. Wpadła na późną kolację i lampkę wina, a potem stała się ofiarą bandy napakowanych sterydami i napalonych pajaców.

To nie jest twój najlepszy wieczór, skarbie, pomyślał.

Skupił uwagę na wciąż gadającym blond osiłku z wyrzeźbioną klatką piersiową i kozią bródką. To on wywołał wcześniejsze oburzenie filigranowej brunetki. Właśnie coś znów do niej powiedział. Dom nie wychwycił wprawdzie słów, ale zauważył, że kobieta przewróciła oczami i potrząsnęła głową.

– Nie musisz zaraz narzekać – skomentował blondas.

– Nie narzekam – odparła brunetka. – Próbowałam tylko być miłą, ale nie słuchałeś.

– Właśnie zamówiłem ci drinka, więc mogłabyś przynajmniej być tak uprzejma i usiąść z nami przy stoliku.

– Przykro mi, ale wolałabym nie. Jutro bardzo wcześnie mam samolot i...

– Tylko jednego drinka! Co ci szkodzi?! – wrzasnął osiłek i pochylił się nad kobietą.

Niemal nikt z gości przy barze nie zwracał uwagi na ich rozmowę. Jedynie dobrze ubrany mężczyzna siedzący na ostatnim stołku odwrócił głowę i nie reagując, przyglądał się przez chwilę tej scenie. Rozgrywała się poza zasięgiem słuchu barmanów, którzy śmiali się głośno, wtórując grupce rozbawionych stałych bywalców.

Towarzysze blondyna z kozią bródką milczeli, jedynie przysłuchiwali się sprzeczce. Caruso zastanowił się i doszedł do wniosku, że w takiej sytuacji prawdziwi kumple natychmiast uspokoiłoby swego kompana i powiedzieliby mu, że jest dupkiem. Dwaj mięśniacy trzymali jednak gęby na kłódkę, co podpowiadało, że blondyn to przewodzący im samiec alfa.

Brunetka usiłowała nadal ignorować natręta. Zerknęła na rachunek, wyjęła portfel i położyła na kontuarze dwie dwudziestodolarówki. Chciała wstać i odsunąć stół, ale stojący za jej plecami

blondyn z kozią bródką nie przesunął się ani o cal. Położył dłoń na plecach kobiety i zatrzymał ją w miejscu.

– A ty dokąd? – zapytał. – Musisz sobie golnąć.

Caruso wychylił resztkę piwa, rzucił banknot na barową ladę i ruszył.

Dom delikatnie położył rękę na piersi brodatego blondyna i pochylił się, żeby przekrzyczeć głośną muzykę i gwar tłumu.

Uśmiechając się lekko, powiedział:

– Hej, kolego! Prosiłeś, ale odmówiła. Trudno, niech sobie idzie. Szkoda wysiłku, znajdziesz sobie inną.

Spokój i zdecydowanie Doma zaskoczyły faceta, który był młodszy i większy od niego. Czy ten mniejszy mu groził? Z uśmiechem na twarzy?

Kim, do kurwy nędzy, jest ten gość?

– Kim ty, kurwa, jesteś?

Caruso rozpoznał w głosie mężczyzny akcent z Michigan.

– Właściwie nikiem – odpowiedział. – A co byś powiedział na whiskey? Co pijesz? Evana Williamsa? Masz gest.

Skinął na barmana i szybko zerknął na brunetkę. Miał nadzieję, że dobrze zrozumie jego spojrzenie: Zmykaj! Szybko!

Została na miejscu.

Jeden z wielkoludów chwycił Doma za ramię i odwrócił go do siebie. Caruso zobaczył przed sobą muskularną klatkę piersiową mężczyzny. Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Spokojnie – powiedział. – Mówiłem tylko twojemu kumplowi, że stawiam następną kolejkę.

Brunetka odsunęła się od baru i zawiesiła torebkę na ramieniu, ale nie poszła w stronę wyjścia. Stała tylko i nie wiedząc, co robić ani co powiedzieć, przyglądała się ciemnowłosemu mężczyźnie, który przyszedł jej z pomocą.

Blondyn z kozią bródką zrobił to samo, co przed chwilą jego kompan: ujął ramię Doma jak kłamkę, wywołując falę bólu w jego posiniaczonych żebrach, odwrócił go do siebie i rzucił:

– Nikt się do ciebie nie odzywał, dupku. Nie twoja sprawa.

Dom lekko westchnął. Wiedział, że powinien się wycofać. Ci ludzie nic nie znaczyli.

Nie była to tylna uliczka za jakąś ruderą w Trzecim Świecie, a kobieta nie znajdowała się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Gdyby zaczęła krzyczeć, któryś z mężczyzn w barze na pewno dźwignąłby w końcu dupę i podszedł, żeby bronić jej honoru.

Mimo to Dom nie potrafił się powstrzymać. Nie ruszył się.

– Ty tak na poważnie, brachu? – zapytał blondyn. – Chcesz mnie dorwać?

Dom wiedział, że to pytanie miało go sprowokować, lecz zastanowił się. Czy chce go dorwać?, zapytał się w duchu.

Musiał być ze sobą szczerzy. Tak, przyznał. Chciał właśnie tego: dorwać przerośniętego pajaca. Nie była to dojrzała ani profesjonalna decyzja, ale właśnie tego wymagał nastrój, w którym znajdował

się Dom.

Wiedział, że mógłby się wycofać bez uciekania się do przemocy, lecz tego nie zrobił.

Blondyn uśmiechnął się, ukazując pożółkłe od żucia tytoniu zęby. Wyglądał na gościa, który zrozumiał, że jeśli nawet tej nocy nici z seksu, to równie dobrze, a może nawet lepiej, będzie dać komuś po gębie.

Jakże miły kompromis dla typka tego rodzaju!

– Ta pani i ja pójdziemy w stronę wyjścia – powiedział Dom. – A wy, chłopaki, powinniście tu zostać.

– Pójdziecie, a ja pójdę za wami i skręcę ci ten cieniutki kark – odparł blondyn.

Dom nigdy nie sądził, że ma cienki kark, ale nie zamierzał tego teraz rozważać. Odwrócił się, ujął brunetkę po ramię i powiedział:

– Chodźmy.

Gdy ruszyli, jeden z dwóch dryblasów stojących tuż obok Doma zamachnął się i, pozorując cios, wyrzucił pięść do przodu i zatrzymał ją kilka centymetrów od jego szczęki.

Dom nawet nie drgnął. Wiedział, że ten gość go nie uderzy, ponieważ to samiec alfa upatrzył go sobie jako zdobycz. Uśmiechnął się tylko zatem i ruszył przed siebie.

Zostawił za sobą olbrzyma z pięścią wiszącą w powietrzu. Wielkolud przyzwyczyił się już do mniejszych facetów, którzy nieraz tchórzli w obliczu jego gróźb, pozbierał się więc szybko i zaczął wygrażać Domowi.

– Shane skopie ci dupsko! – wrzasnął radośnie. – To będzie tylko jeden strzał, sukinsynu!

Dom nawet nie zwolnił, ciągnąc dziewczynę w stronę wyjścia. Widząc to, trzech wielcy faceci w pośpiechu sięgnęli po kurtki.

Gdy Dom zbliżył się do końca barowej lady, zerknął na samotnego, dystyngowanego dżentelmena w doskonale skrojonym garniturze. Mężczyzna odwrócił się i zaczął się intensywnie wpatrywać w swój manhattan, choć Dom był pewien, że nieznajomy wszystko widział i słyszał.

– Jeden strzał! – usłyszał po raz wtóry wrzask dryblasa za plecami.

Po chwili Caruso, dziewczyna i trzech wytatuowani faceci w skórzanych kurtkach znaleźli się na ciemnym chodniku przed wejściem do The Pig. Minęło ich kilka par niezainteresowanych sytuacją i nieświadomych tego, co może się za moment wydarzyć. Blondyn z kocią bródką stanął przed Domem: napędzany adrenaliną, zaczął szybciej oddychać, wyraźnie poruszając nozdrzami.

– Proszę, nie rób tego dla mnie – odezwała się dziewczyna.

Powiedziała dokładnie to, czego Dom się po niej spodziewał.

Nie odpowiedział i tylko lekko się do niej uśmiechnął. Nie chodziło już o nieznajomą. Oto stał naprzeciwko olbrzyma i dwóch innych potężnie zbudowanych gości, trzymających się za plecami szefa.

– Jeden strzał! – odezwał się znowu krzykacz.

Czy ten gość nie ma nic innego do powiedzenia? – pomyślał Dom.

– Zamknij się, Doyle! – warknął blondyn z kocią bródką. – Ty też, Joey! Ten dupek jest mój.

Dom sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego, lecz w duchu ganił się już, wiedząc, że należałoby spróbować rozładować napiętą sytuację. Zmusił się zatem do jeszcze jednej próby, choć uczynił to

bez przekonania.

- To jak będzie, Shane? – zapytał. – Możemy się po prostu pożegnać i spokojnie rozejść?
- Zaraz wybiję ci ze łba to durne pieprzenie – usłyszał w odpowiedzi.

Dom się nie odezwał. Wiedział, że Arik Yacoby nie byłby dumny z jego zachowania, a to tylko pogłębiło jego wściekłość na samego siebie.

Zapłata za jego gniew miało być cierpienie Shane'a.

Shane nonszalancko postąpił krok naprzód, aby zbliżyć się na odległość, z której mógłby bez trudu sięgnąć Doma pięścią i powalić go jednym ciosem. Dom stał z opuszczonymi rękami i rozluźnionymi barkami, pozwalając tamtemu podejść. Nie drgnął nawet wtedy, gdy brodaty olbrzym, szykując się do ciosu, wysunął stopę przed siebie i przybrał pozę zapewniającą mu lepszą równowagę. Caruso wyglądał, jakby patrzył w przestrzeń, nieświadomy tego, co miało się wydarzyć.

Nie był jednak nieświadomy i doskonale odczytywał wszystkie znaki. Stwierdził, że ma do czynienia z zaprawionym w walkach praworęcznym bokserem, którego zamiarem było trafienie przeciwnika w głowę i powalenie go jednym ciosem, bez wątpienia tak, aby móc zaimponować kumplom.

Dom wziął spokojny oddech. Nie skupiał na niczym wzroku, choć wszystkie zmysły miał przygotowane na zbliżający się atak.

- Jeden strzał! – wydarł się znowu Doyle.

Shane nie uniósł jeszcze ręki, ale Dom dostrzegł, że dłoń osiłka zdążyła się już zacisnąć w potężną kanciastą pięść. Gdy wystrzeliła, Caruso, wbrew oczekiwaniom Shane'a, spodziewającego się uniku przeciwnika, wykorzystał swoją szybkość i sparował cios lewym łokciem uniesionym do głowy, wykonując równocześnie skręt tułowia. Osłabił tym samym siłę uderzenia i sprawił, że ramię Shane'a trafiło w jego własne ciało. Olbrzym, który postarał się uderzyć jak najmocniej, wykorzystując do tego całą swoją potężną masę, stracił równowagę.

Dom, wciąż obracając się w miejscu, wyciągnął prawą rękę przed siebie, zakreślił nią trzysta sześćdziesiąt stopni, z prędkością błyskawicy przecinając nocne powietrze.

Pięść Dominica trafiła idealnie prosto w brodatą szczękę Shane'a. Odgłos uderzenia odbił się echem od szyb pubu. Głowa dryblasza odskoczyła w lewo, a nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zupełnie tak, jakby ktoś nacisnął guzik, by wyłączyć jego wszystkie mięśnie utrzymujące go w pionie.

Shane zwałił się z łoskotem na ziemię, a jego ogłupiali kumple stali i przyglądali się tylko, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

Caruso spojrział na Doyle'a i powiedział:

- O dziwo miałeś rację.

Zgodnie z oczekiwaniami Doma, potem przyszła kolej Doyle'a. Atakujący olbrzym był mańkutem i aż nazbyt wyraźnie sygnalizował swoje zamiary. Gdy tylko zbliżył się na odpowiednią odległość, postanowił zaatakować lewym hakiem. Dom ustawił się jednak ukośnie, zbił cios przedramieniem, a potem ustąpił nieco i nagle stanął tyłem do osiłka, mocno chwycił jego lewą rękę, przerzucił go sobie przez plecy, aż uderzył nim o chodnik z niewiarygodną siłą.

Wstrząs wycisnął powietrze z płuc Doyle'a, który zaczął dyszeć jak ryba wyrzucona na brzeg, desperacko usiłująca wciągnąć najmniejszą choćby odrobinę tlenu.

Joey, trzeci z mięśniaków, nie odezwał się ani słowem. Zdawał się zszokowany widokiem kumpli leżących u jego stóp, lecz mimo to nie spuszczał oka z faceta, który ich tak urządził.

Uniósł w końcu pięści i podszedł bliżej.

– Nie musisz tego robić, Joey – powiedział Dom. – Shane jest waszym szefem, prawda?

– Taaa...

– Budowa?

– Przeprowadzki.

– Przeprowadzki... – powtórzył Dom, jakby to było oczywiste. – W takim razie będzie musiał wziąć parę tygodni wolnego. Doyle też. Shane będzie wkurzony, że nic nie zrobiłeś, kiedy on i Doyle leżeli na chodniku, ale przynajmniej będziesz mógł zarobić dla niego trochę forsy, kiedy go nie będzie.

Joey zastanawiał się przez chwilę, rozważając wszystkie za i przeciw. W końcu lekko wzruszył ramionami i powiedział:

– On popatrzy na to inaczej. Kiepski z niego biznesmen.

– To znajdź sobie nowego szefa – odparł Dom.

– Mamy trudne czasy...

– To prawda – przyznał Dom. – Może więc lepiej pozwól, że otrzępię cię z tego gówna.

Gdy wypowiadał ostatnie słowa, Joey zaatakował. Caruso był zaskoczony niespodziewaną szybkością i zdecydowaniem mężczyzny. Napastnikowi udało się trafić go pięścią, a potem chwycić go za ręce i unieść wysoko nad głowę.

Poobijane żebra Doma zawyły z bólu, a połączone z nimi mięśnie się skurczyły. Dom poczuł nieznośny ucisk sięgający od łopatek po kość ogonową.

Olbrzym uniósł Doma z niezwykłą łatwością, jak przystało na faceta od przeprowadzek, dźwigającego na co dzień naprawdę ciężkie rzeczy.

Dom poczuł, że Joey próbuje przełożyć go sobie na plecy. Wciąż wisząc w powietrzu, szarpnął się, aby rozluźnić uchwyt wielkoluda, a potem odbił się od niego i wylądował na nogach. Stał niepewnie, czując ból w niemal całym ciele. Zaskoczony Joey odwrócił się i zobaczył, że facet, którym przed chwilą wymachiwał jak szmacianą lalką, jest znów gotowy do walki.

Dom zadał Joeyowi szybki, mocny cios pięścią. Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu, a nos zaczerwienił się od krwi, choć nie widać było, aby został uszkodzony.

Joey uśmiechnął się do Doma, jakby chcąc powiedzieć:

– Tylko na tyle cię stać?

Dom odpowiedział na nieme pytanie następnym ciosem, lecz tym razem zadał go wyprostowanymi palcami, zamieniając pięść we włócznię. Trafił olbrzyma w splot słoneczny, a później, wyprostowanymi palcami lewej ręki, w krtań. To wystarczyło, aby Joey gwałtownie runął na plecy i kaszłąc, zaczął się tarzać po chodniku. Upadł niecałe dwa metry od wciąż nieprzytomnego Shane'a i Doyle'a, który zdołał wprawdzie stanąć na czworakach, lecz ciągle łapczywie łykał powietrze, aby napęłnić nim puste płuca.

Dom stanął pośrodku i przyjrzał się swemu dziełu. Wiedział, że Arik nie pochwaliłby swojego ucznia niepotrafiącego odmówić sobie wycofania się w sytuacji, w której możliwe było uniknięcie zagrożenia. Arik nie mógłby jednak zakwestionować jego umiejętności. Podczas miesiąca zmagają

i ćwiczeń nauczył go wielu rzeczy.

A Dom musiał się sprawdzić.

Po chwili Caruso przypomniał sobie, że powodem zamieszania stała się kobieta. Rozejrzał się i zobaczył ją stojącą przy krawężniku. Nie była to jego pierwsza barowa bójka o dziewczynę. Wiedział, że brunetka mogła nie przejąć się awanturą i uznać go za takiego samego jak mężczyźni, przed którymi próbował ją obronić. Wówczas jednak zapewne szybko by się oddaliła. Może zatem coś przyciągało ją do wybawcy i nie chciała odejść bez swojego dzielnego rycerza?

Spojrzał na kobietę, zastanawiając się nad tym, o czym mogła myśleć. Stała w mroku z założonymi rękoma; miały być tarczą odgradzającą ją od awantury, do której doszło na jej oczach.

– Zachował się pan bardzo honorowo, próbując wyperswadować bójkę temu ostatniemu facetowi – powiedziała.

– Nie chciał jej bardziej niż ja – odparł Dom. – Poczuję się zobowiązany. Chłopięce zasady.

Brunetka skinęła głową.

– Dziękuję – rzekła.

– Nie ma o czym mówić.

– Myślałam, że rycerskość naprawdę umarła.

– Jest tylko na intensywnej terapii i od czasu do czasu daje znaki życia.

Brunetka uśmiechnęła się i zatrzepotała powiekami. Dom doskonale wiedział, co się za tym kryło. Kobieta oceniała sytuację. Barowe awantury i obcy mężczyźni przychodzący jej z pomocą to rzeczy, z którymi zapewne nigdy dotąd nie miała do czynienia.

– Monica – przestawiła się.

– Dominic.

Uścisnęli sobie dłonie. Caruso odwrócił się i ruszył w stronę domu, starając się ze wszystkich sił ukryć ból żeber i pleców. Nie uszedł dziesięciu metrów, gdy dziewczyna dogoniła go i powiedziała:

– Nie lubię wygłaszać banałów, ale czy mogłabym postawić ci drinka? Przynajmniej tyle?

Dom spojrzał w stronę The Pig. W oknach knajpy tkwili stali bywalcy i pracownicy, gapiący się na trzech dryblasów leżących na chodniku i o wiele drobniejszego mężczyznę, który ich rozłożył.

– Dziś nie będę tu chyba mile widziany – powiedział Dom.

– Możemy więc pójść do baru w moim hotelu – zaproponowała Monica. – Zatrzymałam się w hotelu Loews Madison, to tuż za rogiem.

Dom westchnął w duchu, lecz nie dał tego po sobie poznać. Jego plany związane z beztrioskim seksem, o którym marzył tego wieczoru, legły w gruzach, gdy niedźwiedzi uścisk wyrośniętego osiłka zaostrzył ból w jego pokiereszowanych żebrach. W tej chwili nawet uroda dziewczyny nie potrafiłaby powstrzymać go przed powrotem do domu i złagodzeniem cierpienia za pomocą worka z lodem.

– Odprowadzę cię do hotelu – oświadczył. – To na wypadek, gdyby ci goście pozbierali się jakimś cudem i szwendali się po ulicach, szukając kłopotów. A potem się pożegnamy.

Monica wydawała się zbита z tropu. Skinęła tylko głową, nie odpowiadając nic. Caruso domyślił się, że w ten sposób jeszcze bardziej zyskał w jej oczach. Aby poradzić sobie z zakłopotaniem wywołanym odmową Doma, Monica zrzuciła swoje niepowodzenie na karb jego rycerskości.

Economy Inn w wirginijskim Richmond był lokalnym hotelikiem, którego szylid miał przekonać wszystkich przejeżdżających międzystanową drogą 64, że to jeden z przybytków należących do dobrze znanej dwugwiazdkowej sieci hoteli o tej samej nazwie. Każdego, kto dał się nabrać i zatrzymał się tu z nadzieją na minimum wygód, już od chwili wejścia do ciasnego holu czekało rozczarowanie. Podstępny szylid przy międzystanówce był najwyraźniej oczkiem w głowie właścicieli, bo sama posiadłość przypominała dwupiętrową zapuszczoną norę. Tanie meble, stare, postrzępione wykładziny dywanowe oraz kwaśny zapach witały przybywających już od progu. Dalej wcale nie wyglądało to lepiej, a gości można było spotkać najwyżej w co szóstym, a może co siódmym pokoju. W jednym z nich, pod numerem 309, przebywało właśnie dwóch mężczyzn w średnim wieku. Siedząc na zarwanym łóżku, niecierpliwie palili papierosy i co chwila spoglądali na swoje telefony komórkowe. Obaj byli potężnie zbudowani. Jeden z nich grał jakieś dwadzieścia lat wcześniej jako skrzydłowy w futbolowej drużynie Virginia Tech, lecz później, pracując w hurtowni części samochodowych, nie musiał dźwigać niczego cięższego niż akumulatory. Drugi z mężczyzn był zwyczajnie otyły i nigdy nie miał nic wspólnego ze sportem. Niegdyś młody kujon, w naturalny, niewymagający wysiłku sposób, przeobraził się w tłustego leniwca.

Były skrzydłowy już po raz dwudziesty w ciągu ostatnich trzydziestu minut włączył wyświetlacz telefonu.

– Dziesiąta pięćdziesiąt osiem – powiedział. – Gdzie, do cholery, jest ten skur...

Delikatne pukanie do drzwi sprawiło, że mężczyźni wyprostowali się i zastygli w bezruchu. Po chwili grubas wstał i cofnął się o krok, a jego kumpel wyjrzał na zewnątrz przez dziurkę od klucza. Kiwnięciem głowy uspokoił kompana i powoli otworzył drzwi.

W przyćmionym świetle holu stał drobny mężczyzna o młodym wyglądzie. Był sam. Jego ciemne oczy rozszerzyły się ze strachu, gdy podniósł wzrok i spojrzał na potężnego faceta ledwie mieszczącego się w drzwiach pokoju.

– Czy... Czy pan White? – zapytał z francuskim akcentem.

– To ja – odpowiedział tłuścioch stojący za plecami byłego skrzydłowego. – Pan Black, prawda?

Drobny mężczyzna spojrzał z niepokojem na dwóch zwalistych facetów. Przez chwilę wydawało się, że zawróci na pięcie i rzuci się do ucieczki. Powiedział jednak:

– Ja... Nie rozumiem, panie White. Umówiliśmy się. Miał pan być sam.

Skrzydłowy chwycił go za kołnierz i zmusił do wejścia do pokoju. Zatrzasnął drzwi kopnięciem.

– Spokojnie – odezwał się pan White. – Przyprowadziłem kolegę na wypadek, gdyby nie przyszedł pan sam albo próbował jakichś sztuczek. A teraz kolega sprawdzi, czy nie ma pan pluskwy.

Sekundę później skrzydłowy ustawił gościa pod ścianą, zdjął jego plecak i rzucił go na łóżko. Później wsunął ręce pod kurtkę przybysza i dokładnie go obszukał.

– Jaka... pluskwa? – zapytał cudzoziemiec.

Mówił łamiącym się głosem i wyglądał na skamieniałego ze strachu. Widząc to, obaj Amerykanie się uspokoili.

– Nie musi się pan denerwować – powiedział pan White. – Proszę zrozumieć moją sytuację: musiałem się upewnić, że nie przysłali pana federalni.

– Przecież pan mnie zna. Komunikowaliśmy się przez ponad rok.

– A pan zna mnie, panie Black – odrzekł pan White. – Spotykając się tu z panem, cholernie ryzykuję. Nie wiem, czy nie ma w tym jakiegoś haczyka. Dlatego mój kumpel sprawdzi najpierw, czy jest pan czysty, a potem będziemy mogli pogadać o interesach.

Były skrzydłowy podniósł koszulę gościa i stwierdził, że mężczyzna nawet się nie spocił.

– Jest czysty – stwierdził.

– Nie żartuj, człowieku – odparł pan White. – Zapomniałeś przejrzeć jego bagaż.

– O, słusznie – zreflektował się skrzydłowy.

Otworzył plecak i wyjął z niego cienki laptop Toshiba, telefon komórkowy i kilka kabli zasilających. Odwrócił plecak do góry dnem i wytrząsnął z niego na łóżko pozostałe rzeczy, ale nie znalazł nic podejrzanego.

– Dobrze – powiedział pan White. – Proszę usiąść.

Cudzoziemiec usadowił się na niewielkim krześle przy biurku, pan White natomiast usiadł na łóżku. Dzieliło ich niecałe półtora metra.

Skrzydłowy stanął przy drzwiach i przyglądał się im w milczeniu.

Pan Black położył dłonie na kolanach, jakby chciał odzyskać równowagę lub powstrzymać nadchodzącą falę mdłości.

– Wszystko w porządku? – zapytał pan White.

– Czy pański kolega zechce poczekać na zewnątrz, kiedy będziemy załatwiać nasze sprawy? Przepraszam, ale trochę się tym wszystkim denerwuję – rzekł pan Black.

Pan White tylko się uśmiechnął, zapalił następnego papierosa i kiwnął głową, patrząc na swojego dużego kolegę.

– Eddie, wyjdź na dymka – powiedział.

Później spojrzał na siedzącego przed nim drobnego mężczyznę i dodał:

– Zawołam cię, jak będziesz mi potrzebny.

– Będę tuż obok – rzekł Eddie.

Ruszył do drzwi. Wychodząc, chwycił ze stołu papierosy i zapalniczkę.

Pan White nie nazywał się White. Nazywał się Phillip McKell i był analitykiem systemów komputerowych. Pracował dla L-3 Communications Corporation – firmy, która, podobnie jak Booz Allen Hamilton, przyjmowała rządowe zlecenia jako podwykonawca, a jej pracownicy zajmowali się utajnionymi sieciami komputerowymi wywiadu. McKell był ekspertem. Znał się na infrastrukturze sieci i dysponował poświadczeniem bezpieczeństwa. Poznał Blacka, choć tylko wirtualnie, rok wcześniej na forum poświęconym technologiom komputerowym. Ich znajomość zaczęła się od wymiany kilku komentarzy, lecz McKell szybko się zorientował, że łączy go z Blackiem wiele wspólnych zainteresowań. Początkowo człowiek znany McKellemu jako Black podawał się za

studenta zainteresowanego wszystkim, co wiąże się z Ameryką i informatyką. Później jednak, podczas prywatnych szyfrowanych rozmów, wyznał, że jest Francuzem, i – co było najbardziej interesujące dla McKella – członkiem największej i osławionej światowej grupy hakywistów: Anonymous.

McKell nie mógł w to najpierw uwierzyć, lecz gdy Black poinformował go o zaplanowanym przez Anonymous ataku DOS¹ na strony internetowe brytyjskiego rządu, i gdy do ataku rzeczywiście doszło, zrozumiał, że ma do czynienia z prawdziwym hakywistą.

McKell wiedział, że nie powinien kontynuować tej znajomości. Wszak przybrał już wirtualną tożsamość i porozumiewał się z innymi na forach technicznych, czym złamał zasady ustalone przez firmę. Gdyby w L-3 wykryto jego prywatne kontakty z działaczem Anonymous, natychmiast wyleciałby z pracy i zostałby pozbawiony certyfikatu bezpieczeństwa. McKell wybrał jednak inne rozwiązanie: uznał, że Black stanie się finansowym zabezpieczeniem jego przyszłości. Wyznaczono bowiem nagrodę za informacje prowadzące do aresztowania członków organizacji Blacka, a McKell wiedział, że każdy, kto się do tego przyczyni, zachowa anonimowość; w ten sposób próbowano chronić zdrajców w szeregach Anonymous. McKell pomyślał wtedy, że mógłby wydać Blacka w ręce władz i zgarnąć nagrodę, więc postanowił nie zrywać kontaktu z Francuzem. Już na początku zdał sobie jednak sprawę z braku jakichkolwiek dowodów, które mógłby wykorzystać przeciwko niemu. Postanowił zatem udawać, że chce się z nim zaprzyjaźnić. Miał nadzieję, że pomoże mu to w poznaniu prawdziwej tożsamości wirtualnego znajomego. Był pewien, że bardzo mu się to opłaci.

Los chciał, że Phillip McKell musiał zmienić swoje plany. Po niespodziewanym audycie jego domowy komputer wypluł zapisy rozmów na forum, a McKell stracił pracę w L-3. Odebrano mu też cenny skarb: certyfikat bezpieczeństwa. McKell uparcie twierdził, że korespondując, nie udostępnił ani jednego utajnionego dokumentu i wykorzystywał wyłącznie ogólnie dostępne informacje. Prowadzący dochodzenie uznali jednak, że było zupełnie inaczej. Dzielenie się jakimikolwiek szczegółami dotyczącymi zajęcia McKella potraktowali jako naruszenie certyfikatu i nadużycie, za które płaci się utratą uprawnień do pracy w sieciach bezpiecznych.

Szef rządowej komisji dochodzeniowej powiedział wówczas McKellowi:

– Nie znajdziesz już roboty w tym mieście.

Gdy wyleciał z pracy, McKell zaczął wkrótce potrzebować pieniędzy. Coraz mocniej naciskał Blacka, bo chciał poznać jego tożsamość i zgarnąć nagrodę, nawet przesyłał mu informacje o sobie. Nie miało to już w końcu większego znaczenia: i tak odebrano mu certyfikat bezpieczeństwa. Mimo to Black nie ustępował ani o krok. Skoro nie mógł wejść drzwiami, zdesperowany McKell postanowił wejść oknem. Złożył Blackowi propozycję: poinformował go, że mógłby dostarczyć grupie Anonymous informacji o wewnętrznych mechanizmach działania rządowych sieci komputerowych USA. Miał nadzieję, że organizacja Blacka zapłaci mu za pomoc techniczną w zaprojektowaniu ataku DOS na Waszyngton.

Black obiecał, że zapyta przełożonych, czy gra jest warta świeczki, i kilka dni później przedstawił McKellowi szokującą kontrpropozycję.

Grupa Anonymous chciała dokonać infiltracji ściśle tajnej sieci Intelink-TS wykorzystywanej przez JWICS, czyniąc to za pomocą agenta – programu komputerowego, którego autorem miały zostać właśnie McKell.

Po tym, jak przeczytał wiadomość od Blacka, McKell roześmiał się i odpisał: „To niemożliwe”. Wiedział, że do ściśle tajnej sieci nie można wejść poprzez standardowe łącze internetowe, a jeśli ma się to udać, potrzebny będzie dostęp do wirtualnej sieci prywatnej. McKell nie miał do niej wstępu nawet wtedy, gdy pracował jeszcze w L-3. Co więcej, aby atak miał się powieść, ktoś musiałby fizycznie włamać się do sieci: usiąść przy jednym z systemowych komputerów i załadować program. Nie mogli tego zrobić hakerzy Anonymousa siedzący w jakiejś piwnicy we Francji albo w Niemczech.

Black jednak odpowiedział krótko: „To nie twój problem. Jeśli napiszesz program, znajdziemy kogoś, kto go załaduje. Za robotę zapłacimy ci trzy miliony dolarów”.

Ta informacja sprawiła, że McKell zaczął myśleć wyłącznie o obiecanych pieniądzach. Założył konto bankowe w Dubaju i przekazał Blackowi numer identyfikacyjny banku, a po kilku godzinach stwierdził ku swojemu zaskoczeniu, że wzbogacił się o sto tysięcy najprawdziwszych dolarów. Ucieszył się, widząc, że ma do czynienia z ludźmi chcącymi i mogącymi wywiązać się ze swojej części umowy. Później zamknął się w domu na niemal sześć tygodni i – żywiąc się wyłącznie pizzą – kodował swój program.

McKell znał infrastrukturę amerykańskiego wywiadu od podszewki i wiedział, gdzie ulokowano urządzenia służące do przechowywania utajnionych informacji. Sercem jego programu infiltrującego był „pełzacz”, który dostawał się w odpowiednie miejsce, a potem kopiował i kategoryzował dane przed ich ściągnięciem.

Po tygodniach bezustannej pracy i pochłonięciu nie wiadomo ilu pizz McKell był gotów. Skontaktował się z Blackiem, aby ustalić termin przekazania programu.

Oto pan Black siedział właśnie naprzeciwko niego, chociaż nie nazywał się Black, podobnie jak pan White nie nazywał się White.

Black nazywał się Mohammed Mehdi Mobasheri i dzień wcześniej przybył do Stanów na pokładzie samolotu lecącego z Teheranu przez Bejrut. Aby wyruszyć w tę podróż, musiał poświęcić ponad rok na oswojenie McKella na forach technologicznych i sprawdzenie jego pozycji oraz możliwości w L-3 Communications.

Był to dopiero pierwszy etap jego planu zatwierdzonego przez Najwyższego Przywódcę. Reszta zależała od obrośniętego tłuszczem, amoralnego i z pewnością bezbożnego Amerykanina rozwalonego na brudnym hotelowym łóżku.

Gdy tylko Eddie wyszedł na korytarz, Mohammed rzekł:

– Dziękuję. Przejdźmy od razu do rzeczy: czy ma pan nośnik z programem do infiltracji?

– Czy jest pan gotowy do wykonania przelewu?

Mohammed popukał palcem w obudowę laptopa i odpowiedział:

– Wykonam go natychmiast, pod warunkiem że dostanę to, o czym mówimy.

McKell skinął głową, przemierzył mały pokój i sięgnął za lampkę stojącą na stoliku obok telewizora. Wyciągnął ukryte za nią urządzenie wielkości kciuka i uniósł je wysoko.

Mohammed przyjrzał się uważnie niewielkiemu nośnikowi pamięci. Dostrzegł na jego obudowie serię różnokolorowych drukowanych liter i pokręcił głową.

– Przepraszam, ale co oznacza słowo NASCAR? – zapytał.

– Taaa... Nie pomyślałem, że wy, Francuzi, nie znacie się ani trochę na naszych wyścigach samochodowych – odrzekł McKell.

– Rzeczywiście.

– Ten napis to tylko zmyłka – wyjaśnił Amerykanin. – Ktoś zobaczy taką zabawkę i nawet nie pomyśli, co można znaleźć w środku, zgadza się?

McKell, zadowolony z własnej przebiegłości, uśmiechnął się i dodał:

– Tak naprawdę to nie jest zwykły pendrive. To HyperX o pojemności jednego i dwóch dziesiątych terabajta. Zawiera już gotowy do pracy program infiltrujący i umożliwia bezpośrednie ściąganie i zapisanie plików. Jeden terabajt to kilkaset tysięcy dokumentów w pamięci tego maleństwa.

– Rozumiem – stwierdził Mohammed.

– Okej, mówiłem to już, ale powtórzę jeszcze raz – rzekł McKell. – Teraz cała prawda to pełna jawność, i cały ten szajs. Ta maszynka sama w sobie jest nieprzydatna do niczego, bo trzeba fizycznie podłączyć ją do sieci. Pendrive musi się znaleźć w porcie poza firewallem, a wtedy program uruchomi się, zbierze i oceni dane, a na koniec je skopiuje.

– To żaden problem.

McKell nie przestawał gadać. Był informatykiem i uznawał dokładność za najważniejszą sprawę, nawet w sytuacji takiej jak ta.

– Jak sądzę, teoretycznie waszą jedyną alternatywą byłoby znalezienie kogoś, kto ma dostęp do wirtualnej sieci prywatnej – dodał. – Gdyby ten ktoś poradził sobie ze wszystkimi zabezpieczeniami podczas logowania się do Intelinku, to mógłby użyć pendrive'a zdalnie.

Mohammed wziął miniaturową pamięć do ręki i przyjrzał jej się z bliska. Nie słuchał tego, co mówił McKell, gdyż zadawał sobie w myślach własne pytania.

– Nie pracuje pan na swoim stanowisku już od kilku miesięcy – powiedział. – Skąd więc pewność, że nie nastąpiły zmiany, które uczyniłyby ten program bezużytecznym?

McKell pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się kolejny chytry uśmiech.

– Na tym właśnie polega uroda rządu, synu – odparł. – Kontrakty dla L-3 i innych firm ulegają odnowieniu, a do tego są dostępne w rejestrach publicznych. Ja natomiast wiem, jakie systemy są w użyciu, ponieważ to jedyne systemy, za pomocą których można wykonać robotę. Oczywiście, co pewien czas zmienia się hasła, kody dostępu i weryfikuje się zezwolenia na korzystanie z systemów, ale nie można zmienić podstaw do wyszukiwania danych.

– A co z szyfrowaniem? – zapytał Mohammed. – Czy można mieć pewność, że dane skopiowane z serwera uda się odczytać?

– Dane znajdujące się w docelowym miejscu przechowywania nie są szyfrowane – wyjaśnił McKell. – A klucz, który pozwala się do nich dostać, umożliwia również ich odczytanie. To oczywiste.

– Rozumiem – odparł Mohammed.

Odchylił ekran laptopa i umieścił nośnik pamięci we właściwym porcie.

– Sprawdźę pański kod – powiedział. – Jeśli wszystko pójdzie jak należy, wykonam przelew tu i teraz i sfinalizujemy nasz interes.

– To mi się podoba – odrzekł McKell.

Przez następne pół godziny przyglądał się panu Blackowi przeszukującemu kolejne katalogi.

Umiejętności techniczne Mohammeda nie wystarczyłyby mu do samodzielnego stworzenia programu kradnącego dane. Znacznie łatwiejsze okazało się znalezienie kogoś takiego jak doświadczony McKell i wykorzystanie jego wieloletniej praktyki. Irańczyk znał jednak kod logiczny programu stworzonego przez Amerykanina. Zaczął zatem sprawdzać go do poziomu kodów źródłowych, aby się przekonać, czy McKell nie poszedł na skróty albo nie opuścił niezbędnych bitów, których brak mógłby zablokować aplikację.

Zadał jeszcze kilka pytań, a Amerykanin ochoczo na nie odpowiedział.

Mohammed odłączył w końcu urządzenie od laptopa i rzekł:

– Jestem zadowolony. Dziękuję.

– Nie, panie Black. To ja dziękuję. Włożyłem w to cholernie dużo pracy, ale teraz pora na przyjemności. Proszę więc przelać resztę pieniędzy.

Mohammed domknął ekran laptopa, wpakował swoje rzeczy do plecaka i wstał od biurka.

– Pieniądze – powtórzył McKell.

Mohammed uniósł ręce w geście przeprosin i odparł:

– Nie będzie więcej pieniędzy.

Tłuścioch siedzący na łóżku wydał się naprawdę zdezorientowany.

– Jak to: nie będzie więcej pieniędzy? – wysapał. – Lepiej, żeby, kurwa, było więcej, i to dużo więcej.

– Mam nadzieję, że wydanie stu tysięcy sprawiło panu przyjemność – rzekł Mohammed. – Mimo to nie będzie już żadnych przelewów.

Oczy McKella rozszerzyły się. Mężczyzna nie wyczuł jednak niebezpieczeństwa. Pomyślał tylko, że został oszukany.

– Posłuchaj, Black – powiedział. – Chyba zapomniałeś, że nie jesteśmy tu sami. Jak nie skończysz z tym pierdoleniem, to przestanie być miło.

McKell odwrócił się do drzwi i zawołał:

– Eddie!

Drzwi na korytarz otworzyły się i stanął w nich były skrzydłowy, ledwie mieszczący się we framudze. Miał w czole dziurę o poszarpanych brzegach. Nagle jego głowa opadła i Eddie upadł na twarz. Tył jego czaszki gdzieś zniknął, a włosy dookoła drugiego, znacznie większego otworu o poszarpanych brzegach, były wymieszane z resztkami mózgu i krwią.

McKell spojrział na ciało, a później na drzwi. Zobaczył stojących na korytarzu dwóch mężczyzn, którzy przed chwilą podtrzymywali martwego Eddiego. Byli znacznie mniejsi od niego, lecz bez porównania rośniejsi niż Black stojący właśnie naprzeciwko Phillipa McKella.

Gdy ci dwaj weszli do środka, McKell, zaskoczony szybkim biegiem wydarzeń, wciąż siedział na łóżku. Jeden z przybyszów włożył rękę pod czarną skórzaną kurtkę i wydobył długi pistolet z tłumikiem, a potem wycelował w czoło Amerykanina.

Mohammed nie znał nawet prawdziwych nazwisk swoich czterech ludzi z Sił Ghods. Gdyby chciał, łatwo mógł uzyskać dostęp do tych informacji, gdyż te nazwiska mógł poznać już każdy major Strażników Rewolucji. Podczas spotkania w Teheranie Mohammed powiedział jednak swoim towarzyszom, że zamiast ich nazwisk będzie używał nazw miejscowości, w których się urodzili.

Wyjaśnił wtedy, że dzięki temu łatwiej ich zapamięta.

Mohammed znał zatem swoich ludzi jako Shiraza, Kashana, Ormanda i Isfahana. Oni z kolei znali go tylko jako Mohammeda, co było łatwe do zapamiętania, gdyż takie samo imię nosili dwaj z nich.

Mohammed skinął głową, dając znak Shirazowi i Kashanowi, a potem wstał z krzesła przy biurku i usiadł na łóżku obok grubego Amerykanina.

– Phillip... – powiedział. – Tak... Wiem, kim jesteś. Nazywasz się Phillip McKell. Masz czterdzieści trzy lata, jesteś kawalerem i straciłeś pracę. Nadszedł czas, w którym powinieneś zrozumieć swoją sytuację. Nie zapłacimy ci, ale wciąż masz szansę na ocalenie życia i naprawdę wierzę, że będziesz chciał ją wykorzystać.

McKell zbladł jak ściana. Mohammed zwrócił się do Shiraza i zażartował, mówiąc w farsī:

– Poczekajmy jeszcze chwilę, a sam umrze.

Zagadnięty zachował kamienną twarz i się nie roześmiał.

McKell usłyszał słowa Mohammeda. Odchrząknął i zapytał ochrypłym głosem:

– Jesteście Arabami?

Mohammed spojrzał na swoich dwóch towarzyszy i powiedział z pogardą po angielsku:

– Amerykanie... Żadnego zrozumienia innych kultur.

Potem odwrócił się do McKella.

– Pochodzę z Islamskiej Republiki Iranu – wyjaśnił. – I nie jestem Arabem. Jestem Persem.

– Więc pan... Więc nie należy pan do Anonymous?

Mohammed wzruszył ramionami i uśmiechnął się przeprasząco.

– Czasami należę – odpowiedział. – Wtedy, kiedy przydaje mi się to w pracy. Oni i inne podobne grupy są... Jak to się mówi? Użytecznymi idiotami.

Mohammed ponownie wzruszył ramionami, udając skruchę, i dodał:

– Nie inaczej jest z tobą.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał McKell.

– Och, tak naprawdę mam to, czego chciałem – odpowiedział Mohammed. – Już mi to dałeś. Teraz muszę się tylko dowiedzieć, czy to zadziała. Oczekujemy podjęcia próby włamania w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Zostaniesz tu w towarzystwie moich kolegów. Jeśli pojawi się jakikolwiek problem z wejściem do systemu, choćby najmniejszy, to moi koledzy cię ukarzą, a kara będzie długotrwała i bardzo bolesna. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– O mój Boże... – wyszeptał McKell.

– Teraz wyjdę, a gdy już się przekonam, czy twój program działa tak, jak opisałeś, skontaktuję się z moimi kolegami i wydam im jedno z dwóch poleceń. Wtedy przeżyjesz albo umrzesz bardzo powolną i nieprzyjemną śmiercią.

Oczy McKella zaszklily się, a usta zaczęły drżeć.

– Popatrz – rzekł Mohammed. – Właśnie wychodzę z programem i to jest twoja ostatnia szansa. Powiedz mi, czy coś pominąłeś, dodałeś albo zrobiłeś jeszcze co innego, żeby program okazał się nieskuteczny.

Phillip McKell zaczął płakać.

Mohammed przyglądał mu się prawie przez minutę z zażenowaniem.

W końcu McKell odezwał się głosem przerywanym przez szloch i bulgotanie śliny w gardle:

– To nie pułapka. Przysięgam na Boga, że program zadziała!

Ukrył twarz w dłoniach i zaczął głośno zawodzić:

– Proszę... Proszę, puśćcie mnie...

Mohammed skrzywił się z odrazą i spojrzał na Shiraza.

– Wierzę mu – powiedział w fārsi.

Shiraz skinął głową, postąpił kilka kroków ku siedzącemu mężczyźnie i przycisnął do czubka jego głowy koniec tłumika przykręconego do glocka. McKell szybko oderwał dłonie od twarzy i zaczął krzyczeć, lecz żołnierz Sił Ghods bez wahania pociągnął za spust.

McKell upadł na podłogę, brocząc krwią lejącą się z ust i nosa. Irańczycy zabrali się do pracy. Shiran i Kashan zebrali wszystkie osobiste rzeczy martwych Amerykanów i usunęli ślady, które pozwoliłyby ich zidentyfikować. Później podnieśli ciała z podłogi i ułożyli je na podwójnym łóżku.

Tymczasem Mohammed stał pod ścianą łazienki i przyglądając się ciałom zabitych, zadzwonił z komórki do Isfahana, który po chwili pojawił się w drzwiach z dwiema dwulitrowymi butelkami po napojach gazowanych. Jedną z nich wręczył Kashanowi. Mężczyźni odkręcili butelki i zaczęli oblewać łóżko i ciała benzyną. Robili to niezwykle starannie, pilnując, aby nie pominąć nawet najmniejszego fragmentu odzieży martwych Amerykanów.

Gdy skończyli, Shiraz zwrócił się do dowódcy grupy:

– Mohammedzie, powinieneś już zejść do samochodu. Ormand czeka. Będziemy tuż za tobą.

Mohammed pokręcił głową, wciąż patrząc na ciała.

– Daj mi zapalniczkę – powiedział. – Sam chcę to zrobić.

– Dowódco, tu jest pełno oparów. Wszystko bardzo szybko się zapali. Lepiej, żebyś...

Mohammed wyciągnął rękę.

– Proszę – rzekł. – Chcę to zrobić.

Shiraz spojrzał na pozostałych, wzruszył ramionami i odparł:

– Jasne, dowódco. Oczywiście. Stań tylko w drzwiach i dopiero wtedy rzuć zapalniczkę. Ogień potrafi być nieprzewidywalny.

Trzej żołnierze Sił Ghods wyszli z pokoju, sprawdzili korytarz i wyjrzeni przez okno, aby się upewnić, że Ormand czeka na nich za kierownicą czterodrzwiowego chryslera z włączonym silnikiem. Nie zauważyli niczego niepokojącego. Shiraz wyjął z kieszeni zapalniczkę zippo i wyciągnął rękę do Mohammeda.

– Jesteś pewien, dowódco? – zapytał.

– Oczywiście. Czemu nie? – odparł Mohammed i ujął zapalniczkę drżącymi palcami.

Zgodnie z radą Shiraza stanął w drzwiach, a potem rzucił zippo na łóżko. Ekspłodowało ogniem i światłem, Mohammed stał i patrzył jeszcze przez kilka sekund na ciała pochłaniane przez piekło płomieni.

– Musimy natychmiast iść, dowódco – powiedział Shiraz, stojący z tyłu.

Mohammed wciąż spoglądał na coraz gwałtowniejszy ogień, na śmierć i zniszczenie, których dokonał. Shiraz położył mu rękę na ramieniu i delikatnie wyciągnął go na korytarz. Zamknął drzwi do pokoju stojącego w ogniu od łazienki po zasłony w oknach, a potem popchnął majora Strażników Rewolucji w stronę schodów. Podążyli za współtowarzyszami.

Był mroźny świt. Ethan Ross przemierzał truchtem tchnące zamożnością uliczki Georgetown. Mijał wymuskane domy, eleganckie sklepy i zamknięte jeszcze kafejki.

Na trasie widać było już kilku innych biegaczy, chociaż ledwie minęła szósta. Wyposażyli się, podobnie jak Ethan, w drogie buty do joggingu, ciepłe legginsy, termoaktywne bluzy i rękawice. Żaden z joggerów nie przekroczył jeszcze czterdziestki, za to nie było wśród nich takiego, w którego uszach nie tkwiłyby słuchawki. Na tym jednak kończyły się podobieństwa. Ethan wątpił, czy ktoś oprócz niego wybrał Joan Baez, której właśnie słuchał. Wątpił również, czy któryś z biegaczy spotkanych tego ranka w Georgetown zaplanował, że podbiegnie do wyznaczonego miejsca w okolicy, żeby poszukać umówionego znaku zapraszającego na spotkanie w lesie za kilka godzin.

Ethan kiepsko spał tej nocy. Badanie wariografem zaplanowano na piętnastą. Wiedział wprawdzie, że potrafi oszukać to urządzenie, lecz jego główną bronią była niezachwiana pewność siebie. Stanowiła ona zbroję wystawianą na niezliczone uderzenia, a obawa przed niepowodzeniem wprowadzała zawsze nutę niepewności, szarpiącej nerwy Ethana i niepozwalającej mu się wyspać.

Dziesięć po szóstej Ethan przebiegł obok zielonego hydrantu przed Gap Kids, u zbiegu ulic Wisconsin i N Street. Szybko rzucił na niego okiem i wydało mu się, że coś zobaczył. Nie miał pewności, więc zwolnił i się zatrzymał. Stał, ostentacyjnie wciągając powietrze, i udawał, że opiera się o hydrant, aby rozciągnąć mięśnie łydek. Przyjrzał się uważnie.

Tak, ktoś zostawił wyraźny znak kredą na szczycie metalowego urządzenia. Wcześniej Ethan zaplanował, że pobiegnie dalej wzdłuż N Street, zatoczy duże koło i wróci do swojego mieszkania. Teraz jednak wiedział, że ma się spotkać z Banfieldem przed pracą. Zawrócił zatem i ruszył w powrotną drogę ulicą Wisconsin.

Może i był to śmiechu wart manewr, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi. Ethan umknął niezauważony.

> Ethan przyjechał do parku Fort Marcy o ósmej i zatrzymał się na małym parkingu, o kilka miejsc od volkswagena Banfielda. Wygramoliwszy się ze swojego mercedesa, pomaszerował szybko na wzgórze. Z powodu mroźnego porannego powietrza musiał wcisnąć ręce głęboko w kieszenie wełnianego płaszcza. Dróżka prowadząca do miejsca spotkania wiła się wokół zagajnika i dopiero po zatoczeniu pełnego kręgu Ross zauważył ze zdumieniem, że wrócił do punktu wyjścia.

Harlan Banfield już na niego czekał. Stał oparty o działo, ale nie był sam. Towarzyszyła mu kobieta o długich, kędzierzawych czarnych włosach. Miała czarny płaszcz i trzymała ręce w kieszeniach. Para tworząca się z oddechu otaczała twarz nieznajomej i rozmywała jej rysy.

Ethan poczuł nagły przypływ paniki, a jego twarz zaczerwieniła się ze złości i konsternacji. Początkowo pomyślał, że wśród drzew ukryli się agenci FBI, którzy za chwilę powalą go na ziemię,

a potem gdzieś odciągną. Rozejrzał się dookoła, bo spodziewał się znanego z hollywoodzkich filmów odgłosu odbezpieczenia wycelowanej w niego broni.

Jednak nic nie usłyszał. Jedyńm rozlegającym się dźwiękiem był warkot ciężarówki przejeżdżającej jakieś pięćdziesiąt metrów od nich po Chain Bridge Road po drugiej stronie zagajnika.

Banfield zawołał Rossa, zapraszając go gestem uniesionej ręki.

– W porządku, Ethan – powiedział głośno. – Wszystko w porządku. Chodź tu, chciałbym ci kogoś przedstawić.

Ethan zamierzał się odwrócić i pomaszerować z powrotem do samochodu, lecz nie widział szansy na ucieczkę, jeśli to była pułapka. Zmusił się zatem do podejścia do armaty i dwojga ludzi, którzy na niego czekali.

Pokonał już prawie całą drogę, zanim rozpoznał kobietę. Widział ją już w telewizji i w internecie, a nawet, kiedyś w Berlinie, na żywo.

Kobieta wyciągnęła do Ethana rękę. Ujmując jej dłoń, usłyszał:

– Nazywam się Gianna Bertoli.

– Wiem, kim pani jest – odpowiedział.

Gniew szybko zniknął, choć niepokój pozostał. Zerkając jeszcze raz w stronę drzew, Ethan rzekł:

– Widziałem pani film. Podziwiam to, co robi pani dla sprawy.

– Dziękuję, ale to pan zasługuje na podziw – odparła z uśmiechem kobieta.

Po chwili niezręcznej ciszy cała trójka usiadła na niewielkiej ławce.

Ethan zakasłał nerwowo i powiedział:

– Mam cholerną nadzieję, że nie przyjechała pani po to, aby nakręcić dokument o tym wszystkim.

Gianna Bertoli pokręciła głową z uśmiechem.

– Nie – odrzekła. – Jasne, że nie. Przyleciałam tu dopiero wczoraj wieczorem z Genewy, żeby osobiście zapewnić pana, że zaopiekujemy się panem podczas tego dochodzenia.

– Domyślałam się zatem, że jest pani szefową International Transparency Project – rzekł Ethan.

Bertoli uśmiechnęła się szerzej i skinęła głową.

– Pracując nad filmem, mogłam osobiście poznać każdy aspekt działania tej organizacji – powiedziała. – Spotkałam wielu ludzi i nauczyłam się szanować ich pracę. Później, gdy poprzedni przewodniczący zapadł na zdrowiu, poproszono mnie o przejęcie jego obowiązków. Byłam zaszczycona, mogąc to uczynić.

Bertoli rozpromieniła się. Była równie czarująca jak w Berlinie.

– To rola, którą moja praca filmowca w takim samym stopniu ułatwia, co utrudnia – dodała.

Ethan westchnął, wydmuchując obłoczek pary w mroźnym porannym powietrzu.

– Jest pani tu, ponieważ Harlan powiedział pani o wariografie – stwierdził.

Bertoli uśmiechnęła się i rzekła:

– Wspomniał o badaniu. Wspomniał także, że poradzi pan sobie z wariografem, gdy tylko pan zrozumie, że nie ma nic do ukrycia.

– Z całym szacunkiem, pani Bertoli: mimo wszystko mam.

– Przecież nie jest pan winny ani nie ma się pan czego wstydzić. Nie miał pan żadnego udziału w tym, co się stało w Indiach. Jestem tu po to, żeby pana o tym zapewnić. Był to zwykły pech. Pech

dla wszystkich.

Banfield sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął trzy zwyczajne plastikowe buteleczki. W każdej z nich znajdowała się garstka tabletek.

– Powinny pomóc – oświadczył. – To jest sertralina, a to klonazepam. Odprężą cię. Zażyj je teraz, rano, żeby się przekonać, jak na ciebie działają. Sprawdź, jak po nich mówisz. Dobry fachowiec od wariografu potrafi rozpoznać, czy ktoś coś zażył, żeby oszukać maszynę. Weź po jednej; nie powinny cię otumanić. Później połkaj po jednej co pół godziny przed badaniem.

– A ta trzecia buteleczka?

– To glikopirrolat. Zmniejszy twoją potliwość. Zażyj teraz dwie tabletki, to powinno ci wystarczyć do końca dnia.

Ethan wziął buteleczki od Banfieldda i nie spuszczać wzroku ze Szwajcarki, wsunął je do kieszeni wełnianego płaszcza.

– Nie przyjechałaby pani, gdyby się pani nie przejmowała – powiedział. – Myśli pani, że zawiodę, prawda?

– Wprost przeciwnie – odparła Bertoli. – Gdyby pana aresztowano, stałby się pan moim przegranym przypadkiem. Gdybym zatem potraktowała pana jako potencjalnie beznadziejny przypadek, toby mnie tu nie było. Moim zamiarem jest wyciągnięcie pana z obecnych chwilowych kłopotów i umożliwienie panu powrotu do ważnej pracy, którą pan dla nas wykonuje. Dużo w pana zainwestowaliśmy. Mamy wielu informatorów, ale to pan jest naszą gwiazdą.

Po tych słowach Bertoli lekko się uśmiechnęła.

Ethan uważał się za odpornego na wdzięki innych. Jako dyplomata miał w swojej karierze do czynienia z setkami ludzi, którzy próbowali używać uroku osobistego do oczarowania go, a tym samym kontrolowania.

Jednak w wypadku Ethana taka taktyka rzadko okazywała się skuteczna.

Bertoli była jednak inna. Od razu roztaczała aurę seksowności, opiekuńczości, inteligencji i zrozumienia. Emanowała opanowaniem. Ethan poczuł, że nie może się oprzeć jej magnetyzmowi.

– Chcę, aby pan wiedział, że jesteśmy gotowi użyć wszelkich środków, aby pana chronić – powiedziała Bertoli. – Nasi informatorzy, tacy jak pan, zasługują na naszą pomoc i udzielamy jej tak długo, jak długo jej potrzebują. Będzie pan bezpieczny.

– Dziękuję – odrzekł Ethan.

– Jest jednak coś, co i pan może zrobić, aby sobie pomóc.

– Cóż to takiego?

– Musi pan mieć asa w rękawie.

– Nie rozumiem – powiedział Ethan.

Bertoli uśmiechnęła się do niego, sympatycznie i z odrobiną współczucia.

– Ależ tak, rozumie pan – odparła. – Mówię o wychwytywaniu pewnych informacji wrażliwych z dokumentów w pańskim miejscu pracy. Informacji, które mają charakter obciążający. Może je pan szyfrować i wykorzystać jako koło ratunkowe, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba.

Ethan skierował wzrok na zagajnik i powiedział:

– Mówi pani... Mówi pani o scrapingu.

Banfield spojrzął po kolei na swoich rozmówców i powtórzył:

– O scrapingu?

– Pani Bertoli chce, abym zdobył każdą utajnioną informację, jaka tylko dostanie się w moje ręce, a potem zapisał ją na przenośnym i chronionym nośniku pamięci – stwierdził Ross. – I żebym później z nim uciekł – dodał łamiącym się głosem.

– Nie – odparła Bertoli. – Nie musi pan uciekać. Musi pan tylko być na to przygotowany. To jedyny sposób, Ethanie: znalezienie w utajnionych dokumentach czegoś, co po ujawnieniu mogłoby sprawić amerykańskiemu rządowi znacznie poważniejsze kłopoty niż te, na które jest przygotowany. Nie mówię o dzieleniu się takimi informacjami z kimkolwiek, nawet ze mną. Powinny one należeć tylko do pana i stanowić pańskie zabezpieczenie. Jeśli będzie pan musiał się bronić, wtedy wyciągnie pan tego asa z rękawa.

– Nie jestem aż tak naiwny, pani Bertoli – rzekł Ethan. – Jeśli FBI odkryje, co zrobiłem, będę miał przesrane.

– Mów mi Gianna. Prawdziwą naiwnością jest sądzić, że FBI nigdy nie odpuszcza, nawet gdy się okazuje, że z powodu nadmiaru kłopotów, które ktoś im sprawia, gra staje się niewarta świeczki. Miałam już z czymś takim do czynienia. Nikt się tym nie chwali i nie przyznaje, że zawieszono dochodzenie, bo ktoś akurat miał asa w rękawie, ale takie rzeczy się zdarzają.

– Nawet nie wiem, jak stosować scraping – powiedział Ethan.

Gianna sięgnęła do torebki, mówiąc:

– Przewiozłam coś z Europy.

Pokazała mężczyznom małe żółte urządzenie: płaski plastikowy prostopadłościan z wtyczką USB i napisem NASCAR.

Ross nie rozumiał, dlaczego umieszczono na nim reklamę wyścigów samochodów produkowanych seryjnie. Dobrze jednak wiedział, czym był ten niewielki gadżet, a zarozumiałość kazała mu się tym pochwalić.

– To pełzacz – stwierdził.

Szwajcarka z powagą skinęła głową.

Banfield nie miał zielonego pojęcia, o czym rozmawiają Ethan i Gianna. Jako dziennikarz zajmował się źródłami informacji i pisaniem, lecz nigdy nie miał nic wspólnego z hakerstwem.

– Do czego to służy? – zapytał.

– Pani Bertoli chce, żebym przemycił to do Agencji i włożył do portu w moim komputerze – zaczął wyjaśniać Ethan. – Wtedy ta mała maszynka uruchomi odpowiedni program i zacznie odczytywać dane. Później umieści je w pliku na serwerze i wyśle na zewnątrz. Ile tu się mieści?

– Jeden i dwie dziesiąte terabajta – odpowiedziała Bertoli.

– Jasna cholera... – wyszeptał Ethan.

Spojrzał uważnie na pamięć przenośną i zapytał:

– Jesteś pewna, że zadziała?

– Zadziała. Stworzyli to byli pracownicy Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Ludzie, którzy wiedzą, jak używać sieci Intelink-TS, ale nie mają już do niej dostępu.

– Chwileczkę – wtrącił się Banfield. – Czy to znaczy, że ktoś, kto ma wstęp do Białego Domu, może to włożyć do komputera i...

– Nie – przerwał mu Ethan. – Potrzebne są jeszcze odpowiednie uprawnienia administratora.

– Wiemy, że możesz je uzyskać, Ethanie – powiedziała Gianna. – Bardzo nam imponujesz swoją wiedzą informatyczną.

Ethan westchnął i odparł:

– Obraziłabyś moją inteligencję, udając, że nie wiesz o moich randkach z ekspertką od komputerów pracującą dla rządowego podwykonawcy.

Gianna znów się uśmiechnęła, tym razem przepraszająco.

– Nie miej mi tego za złe – rzekła. – Nie wiedziałam, co byś zrobił, gdybyś wiedział, że ci się przyjrzelіśmy. Ale nie za bardzo, tylko trochę.

– To tylko dowód kompetencji waszej organizacji – powiedział Ethan. – To dla mnie ważne, zwłaszcza teraz.

Ponownie westchnął, ale nie przestawał myśleć o możliwościach zdobycia danych, więc dodał:

– Mam sposób na załatwienie tej sprawy, ale jeśli wpadnę, to ktoś wyjdzie z założenia, że Eve mi pomagała.

Gianna złagodniała.

– Oczywiście, Ethanie, jestem stronnica, bo cię polubiłam – rzekła. – W tej sytuacji musisz jednak myśleć o własnym bezpieczeństwie. Eve nic się nie stanie. Jeśli będziesz musiał wyciągnąć asa z rękawa, to tylko dlatego, że to ty wpadłeś, co równocześnie oznacza, że to ty szperałeś w systemie. Ty, nie Eve Pang.

– Co ma przechwycić pełzacz?

– Zasoby wywiadu USA na świecie.

– Na całym świecie?

– Zgadza się.

Ethan pokiwał głową.

– Nie rozumiesz moich motywów – powiedział. – Przekazałem informacje z powodów ideologicznych. Dla idei, w którą wierzę. Nie jestem wrogiem swojego kraju. Nie jestem też pryszczatym hakerem, który chce wydrzeć Ameryce jej wszystkie tajemnice i opublikować je w internecie. Mam własne pretensje do obecnej administracji i działam w określonym celu. Nie przeciwko Ameryce.

– Jak już powiedziałam: to twoja decyzja – odparła Gianna. – Mam jednak pewne doświadczenie w chronieniu patriotów takich jak ty, a moje sugestie wynikają z tego, że czynię to od lat. W dziewięciu przypadkach na dziesięć nie jest to konieczne, lecz mimo to uważam, że zawsze warto doradzić coś mądrego. Pamiętaj tylko, że im później dojdiesz do wniosku, że musisz uciekać, tym mniej czasu zostanie ci na dobranie się do informacji, których będziesz potrzebował. Jeśli ktoś zacznie podejrzewać, że jesteś informatorem, to rząd zablokuje ci dostęp do sieci bezpiecznych.

Twarz Ethana pociemniała. Pochylił się ku Bertoli i zapytał:

– Po to tu przyjechałaś? Żeby namówić mnie do wyciągnięcia jak największej ilości informacji, zanim zostanę aresztowany? Żeby dostać ich jeszcze trochę, zanim w ogóle przestanę ci być potrzebny?

– Masz bardzo bujną wyobraźnię – odrzekła Gianna. – Nie, Ethanie. To nie dlatego tu jestem. Powiem jeszcze raz: nie chcę informacji, które zdobędziesz.

Ethan wstał, dając do zrozumienia, że to koniec spotkania.

– Nie będę potrzebował pełzacza, ponieważ nie będę potrzebował asa w rękawie – oświadczył. – Poradzę sobie z wariografem, rządowi pewnie coś wymyślą za kilka dni i cała sprawa pójdzie w zapomnienie. Uwierz mi: wciąż kontroluję tę sytuację.

Jeśli Gianna poczuła rozczarowanie, to doskonale udało jej się to ukryć.

– Oczywiście, Ethanie – powiedziała. – Jesteśmy zawsze do twoich usług.

Ethan podał rękę obojgu, a potem zostawił ich na ławce. Wrócił do samochodu i ruszył do Waszyngtonu. Po drodze połknął kilka tabletek, które otrzymał od Banfielda. Nie było to łatwe, bo nie wiadomo czemu całkiem zaschło mu w gardle.

Dominic Caruso obudził się o dziewiątej, chociaż wstawanie o tak późnej porze nie leżało w jego zwyczaju. Natychmiast poczuł pulsowanie w głowie, sztywność żeber i uporczywe kłucie w ranie na przedramieniu.

Usiadł i potarł twarz. Czuł się o wiele gorzej niż przed wyjściem z domu poprzedniego wieczora. Był przede wszystkim wściekły na siebie z powodu bójk z trzema dupkami z baru. Nie dlatego, że nie zasłużyli na nauczkę, ale dlatego, że jego zaangażowanie powinno mieć związek wyłącznie z tajną pracą dla Kampusu. Prowokowanie knajpianych osiłeków z pewnością nie było częścią jego misji.

To, co zrobił ubiegłej nocy, było potencjalnym narażeniem na szwank jego organizacji. To proste.

Dominic poczuł się tak, jakby zasługiwał na nieco bólu i karę za swoje zachowanie, więc po porannym prysznicu ubrał się na sportowo i wyszedł z domu. Był bardzo zimny dzień.

Pobiegł na zachód ulicami pełnymi przechodniów spieszących się do pracy i amatorów wczesnego biegania. W mieście roiło się już od samochodów, przez co, gdy przebiegał kilka pierwszych przecznic, musiał truchtać w miejscu prawie na każdym przejściu dla pieszych.

Biegł chwilę wzdłuż M Street, potem wzdłuż New Hampshire w kierunku K Street, i dalej na zachód do Georgetown.

Pierwsza przebieżka Dominica, odkąd pokieroszowany wrócił z Indii, nie była kompletną katastrofą. Szybko jednak zrozumiał, że nie stać go na zmuszanie się do wysiłku. Nogi słuchały go wprawdzie i nie był zmęczony, ale ciężki oddech, który pojawił się podczas tak prostego ćwiczenia, boleśnie szarpał jego poobijaną klatką piersiową.

Pomknął przez Georgetown, dotarł do kanału Chesapeake-Ohio i pobiegł na zachód, wzdłuż Potomaku. Po drodze spotkał wielu innych biegaczy, lecz chociaż przewyższał ich kondycją fizyczną, poruszał się wolniej niż wielu z nich. Chciał utrzymać miarowy i spokojny oddech.

Na jasnym błękitnym niebie po lewej stronie pojawiał się samolot za samolotem. Każda z maszyn nadlatywała nad Potomak z północy, a potem podążała nad zakolami rzeki w stronę międzynarodowego portu lotniczego imienia Ronalda Reagana. Dom wiedział, że samoloty lecą wzdłuż wizualnej ścieżki podejścia, prowadzącej na pas startowy numer 19. Działo się tak zawsze, gdy pogoda pozwalała pilotom na dozwolone przepisami kierowanie się wzrokiem. Dominic przyglądał się maszynom podchodzącym do lądowania i udało mu się oderwać myśli od kłopotów na czas, którego potrzebował, aby dobiec do zbiornika Georgetown.

Dotarł do celu, zawrócił i ruszył w powrotną drogę do domu. Jednak głowę miał wciąż zajęta.

Biegąc na wschód, nie miał już planów, które pozwoliłyby mu zająć czymś umysł. Jego myśli zaczęły błądzić. Znów znalazł się w Indiach i wdychał rozgrzane wieczorne powietrze. Miał ubłocone stopy, a woda z jeziora wdzierała się do jego nozdrzy.

Potem on i Arik natknęli się na furgonetkę z mleczarni.

Potrząsnął głową, bezskutecznie usiłując przepędzić z niej obrazy z przeszłości, i zwiększył tempo biegu, aby jego uda wyprodukowały jeszcze więcej kwasu mlekowego, który pomógłby mu skupić myśli na tym, co jest tu i teraz.

Oddalił się od kanału i pobiegł w stronę kampusu Uniwersytetu Georgetown. Gnał teraz szybko, usiłując przez kilka minut forsować się pomimo zadyszki i bólu w piersi. Obiegł ulice dookoła boiska piłkarskiego i planował jeszcze jedno okrążenie, gdy pojawili się przed nim członkowie orkiestry uniwersytetu. Zaczęli przechodzić przez jezdnię, by dostać się do sznura autobusów zaparkowanych przy boisku. Dziesiątki młodych mężczyzn i kobiet dźwigały instrumenty muzyczne, nuty i plecaki, a niektórzy wlekli za sobą walizki na kółkach. Ruch odbywał się bardzo wolno, więc Dominic zatrzymał się, żeby nie przedzierać się przez tłum, a potem odwrócił się i pobiegł tam, skąd właśnie przybył.

Niemal natychmiast zauważył samochód.

Pięćdziesiąt metrów za nim nijaka, kilkuletnia, szara, czterodrzwiowa mazda skręcała w dwupasmową ulicę. Gdy Dominic zaczął przyglądać się samochodowi, kierowca zmienił zdanie i skręcił w lewo, w drogę ciągnącą się wzdłuż kortów tenisowych.

Wyszkolenie Doma pozwalało mu zauważać takie rzeczy. Nie przerywał biegu w stronę skrzyżowania, ale zaczął się zastanawiać nad kolejną zmianą kierunku. Czy i wtedy kierowca szarego samochodu wykona niespodziewany manewr? Dominic pomyślał, że nieznajomy mógł skręcić na widok tłumy muzyków niespiesznie przecinających drogę. Obejrzał się przez ramię, lecz grupa młodych ludzi zniknęła mu z oczu za autobusami zaparkowanymi na łuku wzdłuż ogrodzenia boiska.

Nic się nie działo, a samochód przestał mieć dla Doma większe znaczenie. Caruso pobiegł dalej na wschód.

Pięć minut później zakończył bieg na ulicy Wisconsin. Wiedział, że nie ma już dość pary, aby dotrzeć truchtem do domu, zaczął zatem maszerować przez Georgetown. Postanowił wpaść do cukierni na latte i croissanta, a potem zatrzymać taksówkę i wrócić do siebie.

Wszedł do kafejki i stanął w kolejce za kilkunastoma hipsterami. Czekając, wyglądał co rusz przez duże okno. Ulica Thomasa Jeffersona była zupełnie pusta, lecz Dom pod wpływem kaprysu raz za razem wyciągał szyję. W pewnej chwili uniósł głowę ze zdziwieniem, bo zauważył szarą czterodrzwiową mazdę zatrzymującą się po drugiej stronie kanału. Ledwie ją było widać przez okno, ale wyglądała jak samochód, który zobaczył koło uniwersytetu kwadrans wcześniej. Dom zganił się: powinien był zachować czujność i w dalszym ciągu uważnie obserwować otoczenie.

Zabrał śniadanie i wyszedł na ulicę, wciąż myśląc o szarej maździe. Samochód zdążył już zniknąć, ale Dominic postanowił, że sprawdzi, czy ktoś go nie śledzi: pomaszeruje wzdłuż kanału, a jeśli kierowca mazdy siedzi mu na ogonie, to pojawi się o przecznicy przed nim. Sącząc kawę i jedząc rogalika, Dom ruszył wolno ulicą Thomasa Jeffersona, a potem skręcił i ruszył wzdłuż kanału. Zniknął w ten sposób z pola widzenia potencjalnego obserwatora, który – żeby go dalej śledzić – musiałby się przemieścić i czekać gdzieś na niego. Dominic wrzucił kubek po latte do kosza na śmieci i zaczął biec, trzymając croissanta w ustach. Miał nadzieję, że uda mu się wyprzedzić każdego, kto mógł teraz chcieć go wypatrywać.

Gdy dotarł na 29. ulicę, nie zauważył nic niezwykłego. Nie było tu miejsc do parkowania ani samochodów z włączonym silnikiem stojących na dwupasmowej jezdni. Pojawiło się tylko kilku przechodniów, lecz rzut oka wystarczył, aby wyeliminować ich jako prowadzących inwigilację.

Dom przedostał się na drugą stronę ulicy i kontynuował bieg wzdłuż kanału. Pochłonął po drodze kilka kęsów rogalika – bo nie stracił apetytu, nawet jeśli ktoś go śledził – i był już w połowie trasy, gdy nagle błyskawicznie się zatrzymał i pobiegł z powrotem tą samą drogą. Pospieszył na 29. ulicę od wschodu, zatrzymał się na chodniku i wtedy zobaczył szarą mazdę z włączonym silnikiem stojącą przy krawężniku. Nadjechała z północy. Dwaj mężczyźni na jej przednich siedzeniach patrzyli na zachód, na dróżkę biegnącą wzdłuż kanału.

Obliczyli, kiedy powinien się tam zjawić Dom, na podstawie prędkości, z jaką przemierzył ulicę Thomasa Jeffersona. Nie przewidzieli jednak, że się cofnie i zajdzie ich od tyłu.

Dom wiedział, że powinien poczekać kilka minut, aby ocenić, z kim ma do czynienia, lecz był wzburzony obecnością ogona i jego porywczą naturą wzięła górę. Przebiegł sprintem na drugą stronę jezdni i energicznie zapukał w szybę od strony kierowcy, zaskakując mężczyzn patrzących w drugą stronę. Szyba powoli powędrowała w dół. Kierowca w średnim wieku – szpakowaty facet o śródziemnomorskiej karnacji – spojrzał na Doma wzrokiem zbitego psa.

– Dlaczego mnie śledzicie? – zapytał Dom.

– Nie wiem, o co panu chodzi – odpowiedział mężczyzna.

Mówił z ciężkim i znajomym akcentem. Dom nie potrafił sobie jednak przypomnieć, gdzie się z nim zetknął. Błyskawicznie sięgnął ręką do wnętrza samochodu i wyjął kluczyk ze stacyjki. Gdy chciał się cofnąć, kierowca pewnie i zaskakująco mocno chwycił go za nadgarstek.

Dom uzmysłowił sobie, że wciąż trzyma croissanta w lewej ręce. Upuścił go, a potem sięgnął pod bluzę. Wydobył niewielki zakrzywiony nóż ka-bar, ukryty dotąd w pochwie z zatraskiem, i przyłożył matowoczarne ostrze do grubej szyi kierowcy, który wciąż trzymał jego rękę w stalowym uścisku.

Mężczyzna na siedzeniu pasażera sięgnął po coś do pasa. Dom pomyślał, że zamierza wyjąć pistolet.

Przycisnął mocniej nóż do szyi kierowcy i zagroził:

– Nie ruszaj się, bo go potnę!

Pasażer uniósł obie ręce.

– To nie będzie konieczne, panie Caruso – powiedział z takim samym akcentem jak kierowca. – Jesteśmy przyjaciółmi.

– Znam swoich przyjaciół, ale was nie – odparł Dominic. – Kim jesteście i dlaczego, do diabła, mnie śledzicie?

– Nie jesteśmy upoważnieni do rozmów z panem – oświadczył kierowca, puszczając rękę Doma.

– Więc kto jest?

– Ja.

Dominic odwrócił się na dźwięk głosu stojącego tuż za nim mężczyzny, ubranego w długi płaszcz z wielbłądziej wełny i kaszkiet. Był to ten sam dżentelmen o dystygowanym wyglądem, który poprzedniego wieczora siedział w The Pig nad kieliszkiem koktajlu manhattan.

– Pan?

- Proszę schować nóż, Dominicu, zanim ktoś nas zobaczy i wezwie policję – rzekł nieznajomy. Ociągając się, Dom wsunął ka-bara do pochwy i zasłonił ją bluzą.
- Bardzo dobrze. Może przejdziemy się wzdłuż kanału? Wydaje się, że lubi pan to miejsce. Po drodze odpowiem na pańskie pytania.

Ruszyli na zachód, z początku idąc w milczeniu, ponieważ zaczęła ich wyprzedzać grupa ponad dwudziestu członków klubu sportowego, biegnących parami lub w pojedynkę. Gdy biegacze zniknęli za łukiem dróżki i dwaj mężczyźni mieli ją znowu tylko dla siebie, Dom rzekł:

- No, dobrze, idziemy. Teraz proszę zacząć mówić.
- Mam na imię David – powiedział mężczyzna. – Pracuję dla izraelskiego rządu.
- Ma pan na myśli wywiad?
- Tak.
- A dokładniej – Mosad?
- Być może.
- Obserwuje mnie pan od wczoraj?
- Tak. Wywarł pan na mnie wielkie wrażenie.
- A to dlaczego?

Izraelczyk parsknął śmiechem.

– Ponieważ dzięki znajomości krav magi rozprawił się pan z trzema osiłkami, rzecz jasna. Znacznie mniejsze wrażenie wywarło na nas to, że odprowadził pan piękną kobietę, Jennifer, do Loews Madison i w holu powiedział jej pan „dobranoc”, aby mogła spędzić tę noc sama.

- To wprawdzie nie pańska sprawa, ale ona ma na imię Monica.

David znów się roześmiał.

– Nie, to była Jennifer Hartley. Podała panu fałszywe imię. To zabawne. Przypuszczam, że raczej nie czeka was wspólna przyszłość.

- Czy ona była z wami?
- Nie, ale przyjrzeliliśmy się jej.

Dom zastanowił się i zapytał:

– Więc nie zaplanowaliście tego, co się wczoraj wydarzyło? Najpierw sprzeczką, żeby sprawdzić moje umiejętności, a potem słodka pułapka, w którą miałem wpaść?

– Zaplanowaliśmy? Jasne, że nie. Nie jesteśmy promotorami walk ani serwisem randkowym. Obserwowaliśmy pana, a potem sprawdziliśmy ją, bo próbowaliśmy ustalić, dla kogo pan właściwie pracuje. Wiedzieliśmy już, że potrafi pan walczyć, ponieważ sprawdziliśmy, że szkolił się pan pod prywatnym nadzorem pułkownika Yacoby’ego.

David wzruszył ramionami i dodał:

– Proszę mi jednak wierzyć, panie Caruso, że równie starannie sprawdzilibyśmy, czy jest pan dobry w łóżku.

- Okej – rzekł Dom z zażenowaniem, wciąż nie wiedząc, o co chodzi.

David ruszył przed siebie, a Dominic podążył za nim.

– Pańska wczorajsza spreczka zrodziła więcej pytań niż odpowiedzi – rzekł David. – Wydaje się, że nie próbuje pan zachowywać szczególnych pozorów. Patrząc z perspektywy naszego rzemiosła,

mogę powiedzieć, że podjął pan kilka złych decyzji.

Zawstydzony Dominic zwiesił głowę, ale nie odezwał się ani słowem.

– Nie sądzę zatem, że pracuje pan tu, w Waszyngtonie – ciągnął David. – Myślę, że kazano panu wykorzystać trochę czasu tylko dla siebie. Tak naprawdę podejrzewam, że pańscy szefowie, kimkolwiek są, podjęli tę decyzję po tym, co się stało w Paravurze.

Dom nie miał zamiaru potwierdzać niczego, co dotyczyło jego szefów, lecz nie zaprzeczył.

– Przykro mi, że poczuł się pan zawiedziony moim rzemiosłem – powiedział.

– Nie jestem zawiedziony – orzekł David. – Poczuję ulgę. Pomogło mi to w dojściu do wniosku, który może okazać się pomocny.

– Jakiego wniosku?

– Brzmi on następująco: jest pan zły. Wściekły z powodu tego, co się stało Arikowi. To pana zżera. Sięga pan po inne sposoby, aby dać ujście swemu gniewowi, ale tylko jedna rzecz przyniesie panu prawdziwą ulgę.

– Był pan przyjacielem Arika?

– Jego starym kolegą.

– Pracował dla Mosadu?

– Tego nie powiedziałem. Służyłem w Siłach Obronnych Izraela i Arik też w nich służył.

– Należeliście do Shayetet 13?

– Tego też nie powiedziałem – odparł David i się uśmiechnął. – Zadaje pan dużo pytań. Nie będę więc już pytał, dla kogo pan pracuje, ale w zamian wymagam, aby nie pytał pan mnie o to.

– Jest pytanie, które muszę zadać – odparł Dominic. – Czego pan ode mnie chce?

– Krótko mówiąc, chcę... Chcemy tego samego co pan. Chcemy osoby, która przekazała informacje dotyczące operacji przeciwko SS „Ardahan”.

Dom ponownie się zatrzymał. Mijający ich biegacz zmusił go do chwili milczenia.

– Skąd pan wie o przecieku? – zapytał w końcu.

– Pański rząd powiedział o tym mojemu rządowi – odpowiedział David. – Poprosiliśmy o informowanie nas o postępach dochodzenia. Potrzebujemy nazwiska, ale wciąż go nie mamy.

– Nie wiem, kto to zrobił. Tego nie wie nawet FBI.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Mamy nadzieję, że to się zmieni i że winowajca zostanie zidentyfikowany.

– A wtedy?

David wzruszył ramionami. Ponownie ruszyli przed siebie.

– Pański rząd szuka odpowiedzi – rzekł David. – To dobrze. Mamy jednak nadzieję, że pan, Dominicu, szuka zemsty. My także jej pragniemy. Niestety, nie możemy zrobić niczego, co zepsułoby nasze stosunki z Waszyngtonem, przykładowo: z powodu wzięcia na celownik oficjela z amerykańskiego rządu. Jesteśmy fanami prezydenta Stanów Zjednoczonych, pańskiego wuja; mamy nadzieję, że z wzajemnością. Sprawia to, że nasze działania w Ameryce są co najmniej delikatne.

– Chcecie więc mnie wykorzystać?

– Chcemy, żeby to pan wykorzystał nas. Logistyka, informacje, planowanie, sprzęt.

Dom kroczył w milczeniu i rozmyślał o nadzwyczajnej ofercie, którą mu właśnie przestawiono.

Niespodziewanie zmienił temat i zapytał:

– Co się stało na „Ardahanie”?

David był najwyraźniej przygotowany na to pytanie i miał gotową odpowiedź:

– „Ardahan” i trzy inne statki płynęły do Gazy rzekomo z pomocą humanitarną. Wiemy, że trzy pozostałe statki służyły do odwrócenia uwagi i były naprawdę wyładowane żywnością oraz środkami medycznymi, podczas gdy „Ardahan” przewoził również rakiety dla Al-Kassam. Pułkownik Yacoby i jego zespół przylecieli helikopterem. Zaczęli szybko zjeżdżać na pokład po linach, lecz zanim jeszcze postawili stopę na pokładzie, zaatakowano ich nożami i stalowymi rurkami. Pokojowi aktywiści ze statku, jeśli chce pan tak ich nazwać, wklepali kilku facetom Yacoby’ego. Wielu połamali kości. Jednego z komandosów stukli do nieprzytomności i wyrzucili go za burtę. Wyłowiła go nasza marynarka. Był ledwo żywy.

– A później?

– Pułkownik Yacoby był upoważniony do użycia broni tylko w odpowiedzi na ostrzał. On i jego ludzie odparli kilku napastników wyłącznie pięściami i kolbami karabinków, ale potem, gdy nieprzytomny komandos wyładował w wodzie, a jeden z Palestyńczyków podniósł z pokładu jego broń, Yacoby wydał swoim ludziom rozkaz otwarcia ognia.

Dom widział ziarniste nagranie wideo przedstawiające wydarzenia na pokładzie „Ardahana”. Filmowe ujęcia były dziełem uczestników protestu płynących tym statkiem. Ukazywały odzianych w czarne skafandry i wyposażonych w krótkolufową broń płetwonurków, którzy zaczęli strzelać na statku pełnym mężczyzn i kobiet w cywilnych ubraniach. Ostatecznie dziewięć osób zginęło, a dwadzieścia dwie zostały ranne.

– Nie powiem, że wszystko poszło zgodnie z planem – rzekł David. – Nie poszło. Nie była to jednak masakra dokonana na niewinnych ludziach, jak to przedstawiła światowa prasa. Arik Yacoby nie zaczął strzelać, dopóki nie zrozumiał, że unikanie konfrontacji doprowadzi do śmierci jego całego zespołu. Statek przewoził rakiety i materiały do budowy bomb przeznaczone dla Hamasu, które ukryto wśród opakowań z mlekiem w proszku dla niemowląt, a przechwycenie tego sprzętu i materiałów na pełnym morzu leżało w interesie naszego bezpieczeństwa narodowego. Dzięki temu, co się stało, jesteśmy... spokojniejsi.

Dom pomyślał o Ariku. Był przekonany, że jego przyjaciel zrobiłby wszystko, aby przedsięwzięcie obyło się bez strat. Wiedział też jednak, że Arik zrobiłby również wszystko, aby zapewnić bezpieczeństwo swoim ludziom.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Jestem zwolennikiem Izraela, na ile tylko mogę, i bardzo chciałbym dostać tego zdrajcę w swoje ręce. Ale nie zamierzam szpiegować na rzecz obcego rządu.

– Szpiegować? – powtórzył zaskoczony David. – Czy ktoś tu mówi o szpiegowaniu?

– Tak naprawdę powiedział pan niewiele o czymkolwiek. Czego pan ode mnie oczekuje?

– Winowajca jest pracownikiem rządu Stanów Zjednoczonych. Tyle wiemy na pewno. Nie zaangażujemy się jednak w bezpośrednią akcję przeciwko pracownikowi rządu USA, zwłaszcza tu, w Waszyngtonie.

– Natomiast ja będę mógł to zrobić?

– Mógłby pan. Zaplanowaliśmy wcześniej, że poświęcimy trochę czasu na przekonanie się, czy mógłby pan nam się przydać. Nie rozmawialibyśmy dziś z panem, gdyby nas pan nie przechytrzył.

Chcieliśmy się dowiedzieć, czy zachowuje pan gotowość do działania. Wiemy o wszystkim, co zrobił pan w Indiach, żeby uratować Arika, i pomyśleliśmy, że wymierzenie sprawiedliwości może być dla pana bardzo ważne.

Dom skinął głową.

– Jest pan sam – powiedział David. – Wiemy, że się pan izoluje. Proszę więc właśnie teraz nie ujawniać swoich przyjaciół.

– A wy chcecie być moimi nowymi przyjaciółmi?

– Przyjaciółmi z możliwościami, ale bez zobowiązań – odpowiedział, uśmiechając się, David. – Czymś w rodzaju okazji, którą przepuścił pan wczoraj w hotelu Loews.

– Nie uważam, że wczoraj można było mówić o przyjaźni. W takiej sytuacji mówi się raczej o przystanku na jedną noc.

– Cóż... Jestem pewien, że czegoś się pan dowie – rzekł David.

Sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę. Wręczył ją Domowi, po czym powiedział:

– Proszę do nas zadzwonić, jeśli będziemy mogli w czymkolwiek pomóc.

Dom zerknął na prostokątny kartonik. Nie był zadrukowany, widniał na nim jedynie zapisany odręcznie numer telefonu z prefiksem waszyngtońskiej centrali telefonicznej.

– Niczego nie obiecuję – powiedział Dominic.

– Nie żądam obietnic. Mam po prostu nadzieję, że kiedyś pan zadzwoni.

Dom wywrócił oczami.

– Ta metafora z przystankiem na jedną noc jest trochę naciągana.

David zachichotał.

– Myślę, że to dobra metafora w odniesieniu do tego, o czym myślimy – odparł. – Jeśli pojawią się jakieś dowody przeciwko temu, kto wykradł dane, proszę skorzystać z naszej pomocy stosownie do pańskich potrzeb.

– Będę musiał najpierw was sprawdzić – powiedział Dom. – Jakiś facet podchodzi do mnie na ulicy i...

– Oczywiście. Zna pan innych oficerów Mosadu. Proszę porozmawiać z przyjaciółmi. Poreczą za mnie. Nie znają mnie wprawdzie, lecz będą mogli potwierdzić moją dobrą wolę, jeśli zadzwonię pod numer na wizytówce. Skontaktuję ich z odpowiednimi ludźmi w Tel Awiwie, a oni oddzwonią do pana i powiedzą, że jestem dokładnie tym, za kogo się podałem.

Dotarli do Wisconsin Avenue i zeszli z dróżki. Kiedy Dom wszedł na chodnik, zobaczył białego taurusa, który zatrzymał się tuż obok. Pamiętał, że widział już ten samochód, gdy biegł wzdłuż zbiornika Georgetown, lecz wtedy nie uznał go za podejrzanego. Za taurusem przystanąła szara mazda.

Obydwa samochody z ludźmi z Mosadu ruszyły i wtopiły się w poranny ruch. Gdy mazda mijiała Doma, jej kierowca o fizjonomii zbitego psa pokazał mu środkowy palec.

Od chwili przybycia do Budynku Eisenhowera o dziewiątej, tuż po tajnym spotkaniu w parku Fort Marcy, Ethan Ross siedział zamknięty w biurze i udawał, że pracuje, ale starał się trzymać jak najdalej od swojej sekretarki. Przerzucał strony materiałów przygotowanych na nadchodzące spotkanie i przewijał na ekranie monitora szkice referatów o polityce, lecz nie zwracał najmniejszej uwagi na pojawiające się przed jego oczami słowa i pomysły. Zaprzągnął mózg do myślenia o czymś zupełnie innym.

Najważniejsze było dla niego sprawdzenie wpływu klonazepamu i sertraliny na jego układ nerwowy przed badaniem wariografem, które miało nastąpić tego popołudnia. Po godzinie, podczas której leki zdążyły się rozpuścić i wnikać do krwiobiegu, Ethan poczuł, że jego nastrój wyraźnie się ustabilizował. Był też niemal absolutnie pewien, że nikt nie odkryje, iż zażył środki, które miały zmienić jego zachowanie. Aby potwierdzić słuszność swoich wniosków, zadzwonił bez zastanowienia do matki mieszkającej na Zachodnim Wybrzeżu i gawędził z nią przez kilka minut. Wiedział, że potrafiłaby wychwycić najmniejszą nawet zmianę w jego głosie lub sposobie mówienia. Postanowił więc, że lepiej będzie przeprowadzić ten test razem z nią, niż sprawdzać się przy sekretarce lub innym pracowniku Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Matka Ethana nie zwróciła uwagi na jego sposób mówienia. Utwierdziło to go w przekonaniu, że klonazepam i sertralina sprawdzą się i nie zdradzą swojej obecności, przykładowo: nie spowodują, że będzie mówił tak, jakby miał kluski w ustach.

Glikopyrrolat bez wątpienia doskonale spełnił swoją funkcję. Ross, który i tak nie mógłby się spocić w klimatyzowanym biurze, czuł nieprzyjemną suchość w ustach, lecz przypisał to działaniu leku. Postanowił, że przed badaniem połknie jeszcze jedną porcję tabletek, aby mieć pewność, że będzie spokojny i pewny siebie.

Siedząc samotnie w biurze, Ethan spędził czas poprzedzający badanie na obmyślanu strategii, która pozwoliłaby mu oszukać wariograf. Myślał o tym bardzo często w minionego ciągu roku, podczas którego przekazywał informacje International Transparency Project, gdyż uznał, że wymyślanie gier umysłowych i procesów, które miały zmienić obraz jego fal mózgowych, jest doskonałą zabawą.

W tym okresie dwukrotnie poddano go rutynowemu badaniu wariografem, i za każdym razem nie sprawiło mu ono najmniejszych kłopotów. Badanie, jakie go właśnie czekało, miało być jednak bez porównania większym wyzwaniem, Ethan zaś wiedział, że musi okazać się godnym przeciwnikiem ze względu na specyficzny charakter pytań, które miał usłyszeć.

O czternastej trzydzieści Ross zażył kolejną porcję leków: jedną tabletkę glikopyrrolatu, jedną klonazepamu i jedną sertraliny. Wyszedł ze swojego gabinetu na dziesięć minut przed badaniem.

Postanowił zostawić marynarkę na oparciu fotela i wystąpić w koszuli. Chciał w ten sposób sprawić wrażenie, że jest zrelaksowany, co mogłoby mu pomóc podczas testu. Idąc marmurowym korytarzem, ocenił swoją formę i stwierdził, że faktycznie czuje się cholernie dobrze.

Powiedział sobie, że nie przechytrzy go żaden absolwent uniwersytetu stanowego noszący kiepski garnitur. Był gotów na czekające go spotkanie.

Badania wariografem odbywały się w części biurowej, na drugim piętrze Budynku Eisenhowera. Ethan nie mógł nie zauważyć, że przylegała ona do biura administracji, w którym znajdowały się komputery. Cztery miesiące wcześniej wślizgnął się do tego biura, żeby móc dostać się do plików związanych z flotyllą płynącą do Strefy Gazy. Pomyślał jednak, że to czysty przypadek: wybór części biurowej jako miejsca do przeprowadzenia badania był logiczny, więc nie wprawiało go to w szczególną konsternację.

Usiadł na kanapie przy wejściu do biura, w którym badano właśnie innego pracownika Agencji. Czekając, gawędził sobie z sekretarką. Po chwili do pomieszczenia zajrzał specjalny agent nadzorujący z FBI – Darren Albright, przeniesiony tymczasowo do Budynku Eisenhowera. Przyszedł, aby się przedstawić, i wymienił z Rossem zdawkowe grzeczności. Ethan próbował nieco przypochebić się temu muskularnemu i zasadniczemu facetowi, ale Albright myślał wyłącznie o sprawach służbowych. Nie był zbyt rozmowny; podziękował mu tylko nieszczerze za przybycie na badanie i wkrótce opuścił pomieszczenie.

Kilka minut przed piętnastą z pomieszczenia, w którym znajdował się wariograf, wyszedł Walter Pak z biura do spraw Azji Południowej i Środkowej. On także zrezygnował z marynarki. Widząc to, Ethan doznał ulgi, a poczuł się jeszcze lepiej, gdy zmierzający do wyjścia Pak puścił do niego oczko.

Ethan odmrugnął, a potem, ujrawszy głowę specjalisty od wariografu wychylającego się ze swego biura, wstał z kanapy.

– Zastępca dyrektora Ross. Czy jest pan gotowy?

Ethan uśmiechnął się szeroko.

– W pełni – odpowiedział.

Badający był agentem specjalnym FBI o pogmatwanym etnicznie nazwisku Rigoberto Finn. Zbliżał się do sześćdziesiątki, lecz świetnie się trzymał, Ethan natomiast nie potrafił stwierdzić, czy gęste siwe włosy mężczyzny są naturalne, czy też nosi on tupecik.

Chciał rozpoznać cechy fachowca mającego go zbadać, a potem wdać się z nim w przyjazną pogawędkę, aby mu się podlizać, ale sprzeczności, które zaobserwował u agenta specjalnego Finna, już na początku zbiły go z tropu.

Finn wprowadził Rossa do małego biurowego pomieszczenia bez okien, usadził go na drewnianym krześle z czarną podkładką na siedzisku, a potem przez kilka minut przymocowywał do jego ciała rozmaite czujniki używane do badania.

Najpierw opasał klatkę piersiową Ethana dwiema rurkami zaopatrzonymi w przewody. Miały one rejestrować oddech badanego. Później umieścił na palcach Rossa – wskazującym i serdecznym – czujniki, których zadaniem było śledzenie reakcji skórno-galwanicznej związanej z wydzielaniem potu.

Gdy Finn dociągał opaski z rzepami, Ethan z trudem powstrzymywał się od uśmiechu. Agent

specjalny mógłby zamknąć go dziś w saunie, a na jego ciele nie pojawiłaby się najmniejsza nawet kropelka potu.

Na koniec Finn umieścił na lewym ramieniu Rossa mankiet aparatu mierzącego ciśnienie krwi.

Ethan siedział na poduszce z czujnikami. Jej zadaniem było wykrycie wszystkich, nawet ledwie zauważalnych ruchów jego ciała, zapisywanych następnie przez komputer i świadczących o reakcji na poszczególne pytania.

Finn usiadł przed komputerem i zaczął sprawdzać sygnały, aby się upewnić, że wszystko zostało właściwie podłączone i że urządzenie jest gotowe do pracy. Wstał raz i drugi, aby poprawić rzepy na palcach Ethana. Ross zastanawiał się, czy Finn nie poczuł się zaskoczony znikomą ilością potu wykrywanego przez czujniki, zanim jeszcze przystąpił do badania.

– Wszystko okej? – zapytał.

– Tak, w porządku – odpowiedział w roztargnieniu Finn, wracający do komputera.

Gdy agent FBI usiadł przed laptopem i przeglądał przez chwilę pytania, Ethan spróbował wciągnąć go w pogawędkę. Zapytał Finna, jak długo zajmuje się badaniem wariografem. Agent, nie podnosząc nawet głowy znad papierów, odpowiedział:

– Długo, bardzo długo. Możemy zaczynać?

– Proszę bardzo.

Ross zrozumiał, że ten stary drań nie pozwoli mu ze sobą pogrywać.

Niech się dzieje co chce, powiedział sobie. Do dzieła.

Był pewien, że leki go zrelaksowały, i to przekonanie obniżyło poziom jego lęku do minimum.

Agent specjalny Finn rozpoczął badanie wstępne. Przeprowadził podstawowy wywiad: zadał Rossowi serię prostych, a nawet bezsensownych pytań. Miały one pozwolić na ustalenie, jakie reakcje fizjologiczne badanego wskazują na to, że mówi on prawdę lub kłamie. Podstawowe pytania były zawsze podobne. Kilka pierwszych wymagało udzielenia odpowiedzi zawierającej znaną Finnowi prawdę.

– Czy nazywa się pan Ethan Ross?

– Tak.

– Czy pracuje pan w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego?

– Tak.

– Czy mieszka pan w USA?

– Tak.

Po kilku pytaniach tego rodzaju przyszła kolej na takie, które miały wywołać zdenerwowanie, nawet wtedy, gdy badany mówił prawdę.

– Czy kiedykolwiek pan skłamał?

Ethan zawahał się przez chwilę.

– Tak – odpowiedział.

– Czy kiedykolwiek oszukiwał pan podczas badania, nawet jako dziecko?

Kolejna chwila wahania.

– Tak.

– Czy oglądał pan kiedykolwiek materiały pornograficzne?

– A kto nie oglądał?

– Proszę odpowiedzieć: tak lub nie.

– Tak.

Następne pytania wymagały zaprzeczania i miały pokazać, jak odpowiedzi zawierające prawdę wyglądają na ekranie komputera.

– Czy nazywa się pan Archie Bunker?

– Nie.

– Czy ma pan węża o imieniu Simon?

– Nie.

Za każdym razem gdy Finn zadawał pytanie, Ross starał się zachować spokój na twarzy i udawać obojętność, chociaż ze wszystkich sił zginał palce stóp i zaciskał zwieracz, starając się jak najlepiej ukryć napięcie przed wzrokiem Finna i mając nadzieję na to, że wariograf nie zarejestruje niczego podejrzanego. Równocześnie wracał myślami do przeszłości i przywoływał wprawiające w zakłopotanie i bolesne wspomnienia.

Finn zadał serię kolejnych podstawowych pytań. Ethan opowiadał jak wcześniej, lecz po dziesiątym pytaniu Finn zmarszczył brwi i spojrzał na Rossa.

– Proszę się rozluźnić – powiedział.

Ross natychmiast zrozumiał, że przesadził. Czujniki urządzenia zarejestrowały jego nadmierne zdenerwowanie przy pytaniach, przy których nie powinno było się ono pojawić. Ethan próbował wpłynąć na przebieg linii bazowej, lecz pojął, że niemal doprowadził przez to do zapalenia się czerwonej lampki w głowie Finna. Wzbudzenie podejrzeń badającego go agenta było ostatnią rzeczą, którą chciał osiągnąć. Ethan uśmiechnął się, skinął głową i powiedział:

– Byłem taki już w szkole. W dniu sprawdzianu zawsze robiłem się trochę nerwowy. Na pewno widział pan już wielu takich ludzi.

Finn spojrzał na Rossa znad laptopa i odpowiedział:

– Widuję dużo różnych rzeczy.

Ethan znowu się uśmiechnął, lecz agent FBI nawet tego nie zauważył, bo ponownie skupił się na tym, co pokazywał mu komputer.

Gdy Ross odpowiedział na wszystkie podstawowe pytania, Finn przeszedł do następnej części badania. Opowiadał najpierw przez kilka minut o kwestiach, które zamierzał podjąć. Omówił, jedno po drugim, każde z pytań, na które Ross miał odpowiedzieć po uruchomieniu urządzenia. Ethan wiedział, że Finn uczynił to z dwóch powodów. Jeśli ktoś jest niewinny, to po zapoznaniu się z pytaniami rozluźnia się i pozbywa stresu. Osoba winna zaczyna natomiast bać się jeszcze bardziej, gdyż wie, co ją czeka, a czujniki wariografu rejestrują jej reakcje wskazujące na próbę oszustwa.

Rozpoczęło się właściwe badanie.

Finn mówił wolno i miarowo.

– Czy zamierza pan odpowiadać podczas tego badania zgodnie z prawdą?

– Tak.

Finn ponownie zadał mu niektóre z podstawowych pytań, a później zapytał:

– Czy skopiował pan bez upoważnienia pliki CIA?

Po raz pierwszy od niemal sześćdziesięciu pytań odpowiadający Ethan nie zacisnął palców stóp ani zwieracza. Spróbował natomiast pomyśleć o czymś jak najbardziej kojarzącym się ze spokojem.

Zaplanował to wcześniej, więc przypomnienie sobie ćwiczeń jogi na plaży w Tajlandii, w której był przed kilku laty z matką i dawną dziewczyną, nie było trudne ani czasochłonne. Wyobraził sobie siebie leżącego na macie, dźwięk dzwonek wietrznych i miękkie odgłosy owiewającej go bryzy.

– Nie – odpowiedział.

Finn wciąż pochylał się nad laptopem, nie dając niczego po sobie poznać, lecz nie przeszedł od razu do następnego pytania.

W pomieszczeniu panowała idealna cisza. Ethan odepchnął pokusę przesunięcia się na krzesło i starał się utrzymać miarowy oddech. Wpatrzył się w punkt na ścianie, aby stres związany z próbą odczytania reakcji Finna nie skłonił go do poruszenia się, a tym samym do zaburzenia odczytu.

Dalej nic. Agent Finn sprawiał wrażenie całkowicie skupionego na obserwowaniu monitora. W oczekiwaniu na następne pytanie Ethan ze wszystkich sił starał się zatrzymać w wyobraźni obrazy przepełnione spokojem.

Finn zapytał w końcu:

– Czy wie pan, kto jest odpowiedzialny za wykorzystanie bez zezwolenia plików CIA związanych z atakiem Mossadu na SS „Ardahan”?

Ethan jeszcze raz spróbował pomyśleć o czymś spokojnym. Wodospad. Plaża w Phuket. Muzyka do jogi.

– Nie.

Jeszcze jedna długa przerwa, a potem:

– Czy nazywa się pan Ethan Ross?

Myśli o jodze musiały ustąpić miejsca zaciskaniu palców u stóp i stresującym obrazom.

– Tak.

Finn przeszedł do następnych pytań, ale jeszcze kilka razy wrócił do kwestii dotyczących dokumentów CIA. Dokonywanie odczytów poszczególnych parametrów na ekranie laptopa po zadaniu każdego z pytań zabierało mu jednak coraz więcej czasu. Później pytał Ethana o inne rzeczy, aby wracać raz po raz do sprawy, która była przedmiotem dochodzenia.

Ethan, który traktował badanie jak grę, był niemal pewien, że nie inaczej pochodził do tego Finn. Wydawało się, że agent próbuje wyczuć jego obawy związane z najważniejszymi pytaniami i przeciąga nieco zadawanie ich, aby sobie ułatwić zrozumienie zachowania Rossa.

Finn dwukrotnie przerwał badanie. Za każdym razem opuszczał i zatrząskiwał ekran laptopa, a potem wychodził z pomieszczenia. Za pierwszym razem nie było go przez pięć minut, za drugim – już przez kwadrans. Wracając, pytał, czy Ethan zastosował środki, które pozwoliłyby mu oszukać wariograf.

Ethan zażył co prawda sporo leków, ale nie uznał pytań Finna za szczególnie stresujące, ponieważ zadawano je już podczas poprzednich badań. Pomyślał, że Finn działa rutynowo, więc skupił się na dalszych próbach sterowania wynikami zapisywanymi wciąż przez komputer.

Upłynęło półtorej godziny. Agent Finn oznajmił, że badanie zostało zakończone. Ethan przypomniał sobie poprzednie sesje z wariografem i pomyślał, że ta trwała nieco dłużej, choć nie na tyle długo, aby należało się niepokoić. Zastanawiał się przez chwilę, czy ciągle zaciskanie zwieracza nie przyprawi go o przepuklinę, a potem zmusił się do skupienia, aby najdrobniejsza nawet oznaka nie zdradziła, że poczuł ulgę, gdy usłyszał, że już jest po wszystkim.

Agent Finn odpiął czujniki potu tkwiące dotąd na palcach Ethana, a potem uwolnił go od opasek na klatce piersiowej i rękawa ciśnieniomierza założonego wcześniej na ramię. Wydawał się bardziej uprzejmy i zaproponował Ethanowi butelkę wody. Ethan ją przyjął, a Finn wrócił do biurka.

Ross wiedział, że to badanie z prawdziwego zdarzenia i że czeka go jeszcze rozmowa, podczas której agent Finn będzie czyhał na jego najdrobniejsze potknięcie. Był na to przygotowany.

Finn przyglądał się Rossowi przez długą chwilę, a potem powiedział:

– Mieliśmy po drodze małe kłopoty, prawda?

– Kłopoty? Z czym?

– Odczyty zapisane przez komputer ujawniły pewien poziom nieszczerości. Nie sądzę, że jest pan nieszczerzy z natury, ale muszę to sprawdzić, aby wykluczyć oszustwo.

– Mówiłem prawdę – odparł Ethan, kręcąc głową.

– Tak, słyszę, ale istnieją miliony odcieni prawdy. Nawet te bardziej szare są zupełnie niegroźne, ale komputer miewa problemy z ich rozróżnieniem.

Finn rozpląnął się w uśmiechach i dodał:

– Coś takiego pachnie kłopotami i wtedy potrzebny jest człowiek, który sobie z nimi poradzi, aby można było wykluczyć możliwość wyciągnięcia fałszywych wniosków.

Ethan doskonale wiedział, co się dzieje. Finn oraz jego wariograf odgrywali rolę dobrego i złego policjanta. Finn przeproszał za sugestie płynące z urzędnika, a zarazem starał się wypaść jak najbardziej przyjaźnie.

Ross wzruszył tylko ramionami.

– Nie wiem, co mam panu powiedzieć – rzekł. – Nie mam obaw w związku z moimi odpowiedziami.

– Proszę posłuchać, panie Ross. Wiem, jak to jest pracować w biurze rządowym. Wiem też, że może istnieć cholernie dużo usprawiedliwionych powodów, dla których ściąga się pliki z sieci. Nie przyszliśmy tu, sądząc, że ktoś jest...

Zdaniem Ethana Finn udawał, że szuka właściwego słowa.

– ...szpiegiem lub kimś w tym rodzaju. To raczej błąd urzędnika. Proszę się więc nie martwić, że chodzi tu o coś więcej.

Finn zawahał się i dodał:

– Dopóki nie odkryjemy, że ktoś kłamie. Wtedy będziemy musieli dążyć głębiej.

– Szczerze mówiąc, agencje Finn, nie przychodzi mi do głowy żaden powód, który skłoniłby mnie do nielegalnego dobierania się do dokumentów. Moja praca jest dla mnie zbyt ważna i myślę, że nie warto ryzykować utraty certyfikatu bezpieczeństwa.

– Widzę, że trochę się pan powstrzymuje. Wyjawienie prawdy powstrzyma Albrighta i jego zespół przed wzięciem pana w większe obroty niż to konieczne. Jeśli przyzna pan, że skopiował pliki, logując się jako ktoś inny, to pański certyfikat bezpieczeństwa zostanie zawieszony na miesiąc i być może otrzyma pan nagane z wpisaniem do akt. Jeśli natomiast wynik pańskiego badania wskaże, że nie mówił pan prawdy, i nie będzie pan umiał rozwiać naszych wątpliwości, zostanie pan potraktowany jako potencjalny agent szpiegujący na rzecz obcego wywiadu, a przecież nikt tego nie potrzebuje.

Finn ponownie się uśmiechnął, tym razem przeproszająco.

Ethan nie potrafił się powstrzymać i głośno się roześmiał. Gdyby myślał, że jest naprawdę zagrożony, zamknąłby się w sobie i włączyłby tryb samozachowawczy, ale ten facet uciekający się do prymitywnych zagrywek psychologicznych rodem z piaskownicy obrażał jego inteligencję.

– Naprawdę? Takie są pańskie sztuczki? Zawsze działają? Czy w badaniu wariografem chodzi o to, że człowiek o słabym umyśle wybucha i zaczyna zeznawać, ponieważ boi się, że zostanie oskarżony na podstawie stuletniego prawa i spędzi resztę życia w więzieniu Leavenworth? Doprawdy?

– Chce pan powiedzieć, że przyznałby się pan, gdyby nie był tak diabelnie bystry?

Ethan odchrząknął i oświadczył:

– Jak już powiedziałem, nie mam się do czego przyznać.

– Zajmuję się tym od dawna – powiedział Finn.

– Tak?

Agent Finn wstał i wyciągnął rękę. Uczynił to tak niespodziewanie, że zaskoczony Ethan również poderwał się z krzesła i uściśnął dłoń agenta.

– Dziękuję, że się pan do mnie pofatygował – rzekł Finn. – Myślę, że już mam wszystko, czego potrzebuję.

Gdy Ethan odwrócił się i ruszył do drzwi, Finn zatrzymał go, mówiąc:

– Jeszcze jedno, panie Ross. Już po badaniu, więc może pan nie odpowiedzieć, jeśli pan nie zechce.

Ethan uśmiechnął się.

– Jak już powiedziałem, nie mam nic do ukrycia.

– Czy cierpi pan na nadmierną potliwość?

– Słucham?

– Jestem tylko ciekaw, czy często pocą się panu dłonie.

– Co? Jasne, że nie.

Ethan zetknął ze sobą dłonie i uśmiechając się konfidencjonalnie, dodał:

– Wcale się nie pocę.

– I właśnie o to mi chodzi. O pańskie ręce. Są suche jak papier. Ma pan zatem uszkodzony pień współczulny w odcinku piersiowym albo zażywa leki zmniejszające potliwość. Istnieje kilka rodzajów tabletek, które osłabiają wydzielanie potu, lecz ich zażywanie w nadmiarze sprawia, że skóra wysycha na wiór. Wszystkie dostępne są wyłącznie na receptę. Możemy sprawdzić pańską kartę zdrowia. Wie pan, że jesteśmy do tego upoważnieni. Jednak już teraz wiem, co na niej znajdziemy.

– Niczego nie znajdziecie.

Finn uśmiechnął się tak szeroko, że kępa włosów na jego głowie się przesunęła, co zdradziło jej prawdziwą naturę.

– Wiem, że nie znajdziemy – powiedział. – Nieważne. Dziękuję za przybycie.

Ethan uśmiechnął się z trudem, lecz nie wytrzymał spojrzenia Finna, gdy się odwracał, żeby wyjść.

Nie wyglądało to Ethanowi na sztuczkę. Agent wydał mu się naprawdę podejrzliwy.

Ten wieczór był zupełnym przeciwieństwem poprzedniego. Tym razem Dominic Caruso nie wyszedł z domu w poszukiwaniu kobiety albo okazji do wykazania się w walce na pięści. Usiadł za to na kanapie, zjadł odgrzaną w mikrofalówce resztkę *fra diavolo* i popił ją szklanką wody.

Myślał jednak o czymś innym, a jedzenie traktował tylko jak niezbędne paliwo.

Gdy wrócił z porannej przebieżki, zadzwoniła do niego Adara Sherman. Zapytała po raz któryś, czy będzie mogła wpaść i obejrzeć jego obrażenia albo coś dla niego załatwić. Dom docenił ten gest, chociaż był niemal pewien, że to Gerry Hendley poprosił Adarę o skontrolowanie jego stanu zdrowia i sprawdzenie, czy zachowuje się jak należy i dochodzi do siebie w domowym zaciszu.

Dom powiedział Adarze, że czuje się dobrze, i poprosił ją, aby nie naciskała go zbyt mocno. Zapewne o to samo poprosił ją Gerry: na razie nie zmuszaj go do niczego.

Gerry uznał, że Adara, która należała do Kampusu, mogłaby pełnić rolę pośredniczki pomiędzy organizacją a Caruso. Co więcej, Adara nie była oficerem operacyjnym. Pracowała w przykrywkowej firmie, która obsługiwała gulfstreama Hendley Associates. Zapewniało jej to dodatkowy kamuflaż.

Dom wiedział, że prędzej czy później będzie musiał zacząć współdziałać z Adarą, bo w przeciwnym razie zadzwoni do niego Gerry. Na razie jednak jego umysł był zaprzątnięty czymś zupełnie innym.

Rozmowa Doma z oficerem Mosadu, którego spotkał w Georgetown, wpłynęła na jego dalszy plan zajęć tego dnia. Gdy tylko zakończył rozmowę z Adarą, zatelefonował do przebywającego w stanie Maryland byłego agenta Mosadu, który zgodził się zadzwonić pod numer zapisany na wizytówce, żeby się przekonać, czy David rzeczywiście reprezentuje Izrael. Oddzwonił po godzinie i potwierdził tożsamość Izraelczyka. Poinformował Doma, że David jest byłym pułkownikiem Sił Obronnych Izraela i obecnie pracuje w Waszyngtonie dla Mosadu.

Dom ucieszył się, ponieważ wiadomości te oznaczały, że nikt nie próbował wciągnąć go w podejrzaną grę. Po południu zadzwonił do agenta specjalnego FBI Darrena Albrighta i zostawił dwie wiadomości na jego automatycznej sekretarce. Wkurzał się, bo Darren nie oddzwaniał, lecz w pewnej chwili postawił się na miejscu Albrigta i doszedł do wniosku, że agent specjalny nadzorujący z Wydziału Kontrwywiadu zapewne urabia się po łokcie przy dochodzeniu w sprawie przecieku w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego.

Zniecierpliwiony Dom nie zamierzał odpuścić Darrenowi braku natychmiastowej odpowiedzi, lecz mimo to zmusił się do zrezygnowania z pozostawienia trzeciej wiadomości.

Był już późny wieczór. Dom tkwił w łazience i zmieniał opatrunek. Oderwał zębami kawałek przylepca, a potem przymocował nim mały prostokąt gazy nałożonej na szwy na przedramieniu. Powtórzył tę czynność, żeby zabezpieczyć gazę przed przesunięciem. Popatrzył z zadowoleniem na swoje dzieło. Cieszył się także, że rana szybko się goi i nie trzeba już obwiązywać jej metrami

bandaża.

Właśnie włożył przyłepiec i gazę do łazienkowej szuflady, gdy odezwał się jego telefon komórkowy. Ethan postanowił darować sobie odrobinę próżności i odebrał już po pierwszym dzwonku.

– Halo?

– Caruso? Tu Albright. Zostawiłeś mi wiadomość. Chciałem powiedzieć: wiadomości.

– Cześć, chłopie. Dzięki, że zadzwoniłeś.

– Jestem cholernie zajęty. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Zastanawiałem się tylko, czy wiesz już coś o wynikach z wariografu.

– Chyba ci już powiedziałem, że zadzwonię, jak się czegoś dowiem?

– Tak. Ale już taki ze mnie nachalny sukinsyn. Przepraszam.

– W porządku.

– Masz coś?

Albright wahał się przez chwilę.

– Nie bardzo – odpowiedział w końcu. – Mam dwa niejasne wątki. Pierwszy to kobieta z kierownictwa Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Gdy z nią rozmawiałem, wydawała się bardzo zaaferowana dochodzeniem. Fachowiec od wariografu przycisnął ją dość mocno i otrzymał nieprzekonujące wyniki. Nie wiążę z tym większych nadziei, bo nawet badający powiedział, że kobieta mogła być tak bardzo nerwowa, że po prostu wariograf nie potrafił jej rozgryźć. Mimo to złożę jej jutro niezapowiedzianą wizytę, trochę nią potrząsnę i zobaczę, czy coś się z tego urodzi.

Dom pomyślał, że to niezły, chociaż chyba nierokujący szans na powodzenie pomysł.

– Wspomniałeś o dwóch wątkach – powiedział.

– Tak, jest jeszcze jeden pracownik Rady, który zasługuje, aby mu się baczniej przyjrzeć. Nic pewnego, ale zgłębimy ten temat. Badanie nie wykazało jednoznacznie, że kłamał, jednak mamy sporo wątpliwości. Fachowiec, który go badał, stwierdził, że sprawa jest podejrzana.

– Co masz na myśli?

– To najlepszy specjalista w Biurze. Miał wrażenie, że badany próbował oszukać system. Wiesz, stare sposoby: zaciskanie zwieracza, przygryzanie policzków, zażycie leków kontrolujących pocenie się i takie tam.

– Czy te sposoby są skuteczne?

– Uwierz mi lub nie, ale czasami są. Łapaliśmy już ludzi z CIA, FBI i Departamentu Obrony, którzy szpiegowali przez dziesiątki lat i corocznie w ciągu całej kariery zawodowej oszukiwali wariograf. Wszyscy się od siebie różniły. Aparatura bada każdego indywidualnie, ale na koniec i tak odnosi się do średnich statystycznych i ktoś, kto wykracza poza średnią, może ją przechytryć.

– A ten osobnik, który próbował zniekształcić odczyty – kim jest?

– To zastępca dyrektora do spraw Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Czyste konto, ani jednej wpadki, chociaż w biurze nie jest przesadnie lubiany. Sprawa nie wygląda wprawdzie zbyt obiecująco, ale jest coś, co sprawia, że zainteresowałem się tym gościem nieco bliżej.

– Cóż to takiego?

– Facet spotyka się z kobietą, która pracuje dla rządowego podwykonawcy i jest specjalistką w dziedzinie bezpieczeństwa tajnych sieci komputerowych.

– Badano ją wariografem?

– Nie, bo nie miała dostępu do Budynku Eisenhowera i jest czysta do bólu. Warto jednak pamiętać, że ów zastępca dyrektora z Rady mógł nakłonić swoją dziewczynę do podzielenia się z nim odrobiną wiedzy technicznej. Ten, kto przesłał pliki do serwera umożliwiającego ich wysłanie, wiedział, jak ukryć tożsamość.

– Jak się nazywa ten asystent?

– Ross. Ethan J. Ross, a jego matką jest Emily Ross.

Nic to Domowi nie mówiło i Albright domyślił się tego, słysząc ciszę w słuchawce.

– Jest bardzo znaną biografką – wyjaśnił. – Napisała serię książek o Pierwszych Damach i tak dalej, chociaż żadnej nie przeczytałem. Ma wpływy polityczne, co oznacza, że jej synuś mógł być cały czas traktowany ulgowo. Jak już powiedziałem: Ross nie zaliczył dotąd ani jednej wpadki, a jego poprzednie badania na wariografie wypadły doskonale.

Dom podszedł do kanapy i pochylił się nad laptopem. Nie przerywając rozmowy z Albrightem, wpisał w okienku wyszukiwarki „Ethan Ross”.

– Znasz tego gościa? – zapytał.

– Przedstawiłem mu się. To wszystko.

– Co o nim sądzisz?

Albright prychnął do słuchawki i odpowiedział:

– Caruso, gdybym potrafił rozpoznać szpiega po uścisku dłoni, byłbym już pieprzonym gwiazdorem. Nie wiem.

– Dostanie podsłuch i ogon?

Kolejne prychnięcie.

– Przystopuj trochę. Nic z tych rzeczy. Nie wiem, jak wy, chłopaki, załatwiacie swoje sprawy, ale my nie przyklejamy pluskiew tylko dlatego, że komuś drgnęła brew. Spec od wariografu mówi, że Ross jest podejrzany, ale przecież nie przepadł na badaniu. Nie mogę więc wziąć go na celownik, dopóki nie znajdę czegoś innego. Zacząłem już grzebać nieco głębiej w jego historii zatrudnienia i wziąłem na warsztat wyniki poprzednich badań wariograficznych, żeby poszukać anomalii. Porozmawiamy też z przełożonymi Rossa o jego podejściu do pracy i posłuchamy biurowych plotek. Tak to mniej więcej będzie wyglądało. Jutro natomiast wpadnę do jego biura, krzywo na niego spojrzę i zobaczę, czy się zesra.

– I to wszystko?

– Jeśli będziemy mieć podstawy, to przyjrzymy mu się dokładniej. Poza tym potrafię spojrzeć na kogoś krzywo jak cholera. Jeśli będzie trzeba, założę mu też podsłuch.

Caruso zdążył już wygooglować człowieka, o którym rozmawiali. Znalazł jego życiorys oraz zdjęcie z czasów, gdy Ross pracował w Białym Domu. Powiększył obrazek i spojrzął w oczy młodego szczupłego mężczyzny siedzącego przed powiewającą na maszcie amerykańską flagą, uśmiechającego się, zadowolonego z siebie blondyna w dobrze skrojonym garniturze.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Chodzi mi o specjalistę od wariografu. Powiedziałeś, że jest najlepszy w Biurze.

– Tak.

– Więc to musi być Jim Barker.

Albright gwizdnął do słuchawki.

– Niech cię cholera, Caruso! Musisz uaktualnić swój wizytownik. Barker przeniósł się do Los Angeles jakieś trzy albo cztery lata temu. Mówię o Rigoberto Finnie. Pracuje w biurze w Baltimore i należy do najlepszych fachowców. Wydział Dochodzeń Kryminalnych zaprasza go regularnie do Waszyngtonu.

– Finn, racja – mruknął Dom, chociaż nigdy wcześniej nie słyszał o tym człowieku.

Nabazgrolił nazwisko na bloczku leżącym obok komputera, dopisał „Baltimore” i powiedział:

– I Finn mówi, że musisz popracować nad Rossem?

– Tak powiedział i właśnie tak zrobię. Ale, jak już wspomniałem, będzie to wymagało trochę starań.

– W takim razie nie chcę zabierać ci więcej czasu, Darrenie. Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczny za telefon. Jeśli będziesz coś miał...

– Jeśli będę coś miał, to się odezwę. Obiecuję, że będę o tobie pamiętał i znajdę cię w twojej krainie duchów.

– To nie kraina duchów. To moje mieszkanie. To ja.

– Fakt – powiedział Albright i się rozłączył.

Dom ponownie, uważnie i bez pośpiechu, zaczął wpatrywać się w zdjęcie.

Musiał przyznać, że Ross wyglądał świetnie. Miał stronę w Wikipedii, lecz Dom uznał, że bardziej rzetelny jest artykuł w „The Washington Post”, który udało mu się właśnie znaleźć. Ethan Ross miał trzydzieści dwa lata i należał do Mensy – organizacji skupiającej ludzi o ponadprzeciętnym ilorazie inteligencji. W artykule znalazło się zdjęcie Rossa z jego matką Emily, która, jak napisano, była kiedyś ambasadorem USA oraz etatowym profesorem na Uniwersytecie Georgetown, a po przejściu na emeryturę zamieszkała na Zachodnim Wybrzeżu.

Caruso ponownie skupił się na Ethanie Rossie. Spojrzał mu w oczy i zapytał:

– To ty jesteś tym gościem? To ty jesteś tym skurwielem, przez którego zginęli państwo Yacoby?

Dom nie miał pojęcia, czy to Ross był odpowiedzialny za śmierć jego przyjaciół, lecz równocześnie nie miał innych realnych podejrzanych. Wiedziony impulsem, wyszukał w wewnętrznym wykazie FBI numer telefonu agenta specjalnego Rigoberto Finna. Był już prawie dwudziesta trzecia, lecz mimo to Dom zadzwonił.

Po serii sygnałów, gdy był już pewien, że włączy się automatyczna sekretarka, usłyszał burkliwy i zmęczony głos:

– Finn.

– Agencie specjalny Finn, bardzo przepraszam, że zawracam panu głowę tak późno. Mówi agent specjalny Caruso z Waszyngtonu.

Po kilku kaszlnięciach dla oczyszczenia gardła Finn zapytał:

– Dominic Caruso?

– Zgadza się.

– A niech mnie! Siostrzeniec prezydenta.

– Do pańskich usług.

– Pamiętam, jak kilka lat temu zastrzelił pan tamtego mordercę dzieci w Georgii.

– W Alabamie. Tak, paskudna sprawa.

– To był cholernie dobry strzał. Czego bym nie dał, żeby chociaż raz w swojej karierze znaleźć się na pańskim miejscu!

Dom odchrząknął z zakłopotaniem, nie wiedząc, co powiedzieć.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał Finn.

– Dzwonię w sprawie Ethana Rossa. Jak rozumiem, to pan badał go dziś po południu.

– Taa... Pracuje pan z Albrightem?

Dom namyślał się przez chwilę, szukając najmniej nieprawdziwej rzeczy, którą mógłby powiedzieć.

– Zna pan Darrena – rzekł w końcu. – Jest już jedenasta wieczorem, a dopiero co się rozłączyliśmy. Zbieram informacje o Rossie.

– Mam przez Albrighta niezły zapierdół. Siedzę właśnie w Budynku Hoovera, bo kazał mi wypełnić raporty z dzisiejszych badań. Będę w siedzibie Rady jutro od rana, żeby zbadać kolejną grupę pracowników.

– Rozumiem. A co do Rossa... Darren powiedział mi, że według pana jest podejrzany.

– Może nie podejrzany, ale z pewnością warto się nim zainteresować. Jest piekielnie inteligentny, jak zdążyłem się od razu zorientować, i próbował sobie pogrywać.

– Jest pan tego pewien?

– Powiedziałem to Albrightowi i mówię panu. Gdy przyszedł na badanie, Ethan Ross był przygotowany do zniekształcenia wszystkich odczytów parametrów fizjologicznych. Ludzie nie zadają sobie tyle trudu ot, tak, dla jaj. Mam w nosie to, co pokazała aparatura. Musiałem ocenić wyniki jako niejednoznaczne, ponieważ Ross odwalił kawał dobrej roboty, żeby ukryć oszustwo. Założę się o swoją nieodległą, choć i tak zbyt niską emeryturę, że ukrywał coś ważnego.

Dom podziękował Finnowi za czas, który mu poświęcił, i zakończył rozmowę. Miał cholerną nadzieję, że Finn nie będzie miał powodu, aby wspomnieć o tym telefonie podczas następnej rozmowy z agentem specjalnym Albrightem. Postanowił spędzić resztę wieczoru na planowaniu jednoosobowej akcji, której celem miało być dokładne przyjrzenie się życiu Ethana Rossa.

Na ulicach Georgetown biegnący Ethan przebijał się przez zacinający gęsty deszcz ze śniegiem. Każdy, kto wyjrzałby z okna któregoś z szeregowców, pomyślałby zapewne, że człowiek w pomarańczowej bluzie chroniącej przed wiatrem jest wyjątkowo zapalonym biegaczem, lecz prawda była inna. Tego dnia wcześniejsza o godzinę pobudka była dla Ethana piekielnym doświadczeniem. Bieganie po mieście podczas pluchy, z powodu której piekły go oczy i paliły policzki, wydało mu się chore, lecz Ethan powiedział sobie, że o świcie będzie musiał sprawdzić zielony hydrant przy ulicy Wisconsin. Mógł oczywiście dotrzeć tam samochodem, lecz byłoby to w jego ocenie zupełnie pozbawione stylu, a nawet nieco upokarzające. Ethan wiedział, że wzbudziłoby to podejrzenia, gdyby – choć uznał to za nieprawdopodobne – ktoś go śledził.

Przebiegł obok hydrantu, ale nie dostrzegł znaku od Banfielda. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie mógł go zmyć deszcz, lecz doszedł do wniosku, że to niemożliwe, ponieważ hydrant był suchy. Pobiegł dalej 29. ulicą, a umówionego znaku nie zostawił. Mimo że chciał porozmawiać z Banfieldem i Bertoli o badaniu, któremu poddał się poprzedniego popołudnia, postanowił odczekać jeden dzień, aż sprawa nieco przycichnie, i dopiero wtedy narysować kreskę na hydrancie, a potem udać się do parku Fort Marcy.

Biegł samotnie, sieczony zimną ulewą i zatopiony w myślach. Wciąż był pełen obaw wywołanych badaniem, chociaż ze wszystkich sił starał się sobie wmawiać, że to tylko paranoja. Ethan wiedział, że jeśli Finn wątpił w jego prawdomówność, najlepszym rozwiązaniem będzie zachowanie spokoju i czynienie wszystkiego – w domu i w pracy – tak, jakby nic się nie stało.

Finn ani Albright niczego nie mieli. Ethan powiedział sobie, że jeśli wyluzuje, to wszystko będzie w porządku.

Aby rozegrać wszystko ze spokojem, poprzedniego wieczora zaprosił Eve do dzielnicy Adams Morgan na koreańskie barbecue. Później wrócili do jego mieszkania, obejrzel film i poszli spać. Kiedy jeszcze siedzieli przed telewizorem, Eve co chwilę dawała mu do zrozumienia, że chciałyby się z nim kochać, lecz Ethanowi udało się wymówić. Znowu nie był w nastroju do miłosnych igraszek.

Eve była nieco rozczarowana, choć niezbyt zaskoczona. Ethan zachowywał się zazwyczaj jak rasowy napastnik na boisku, lecz ostatnio sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

Eve spędziła noc u niego, wczesnym rankiem wróciła do siebie. On był już wtedy poza domem. Biegał. Przed wyjściem Eve zaparzyła mu jeszcze dzbanek kawy i wyjęła z kuchennej szafki kubek, który postawiła obok ekspresu. Wyrwała karteczkę z notesu, narysowała na niej markerem serce i ułożyła ją na kubku.

Ethan wrócił do pustego mieszkania. Wszedł do kuchni, zmiął karteczkę leżącą na kubku i wrzucił ją do kosza na śmieci, a potem nalał sobie kawy. Pomaszerował na górę, żeby wziąć prysznic.

O ósmej czterdzieści wyszedł ze swojego domu w szeregowej zabudowie. Chmury już znikły i odsłoniły jasne błękitne niebo. Idąc po schodach, zapiął płaszcz, aby uchronić się przed zimnym wiatrem. Poszedł na podjazd, na którym stał jego mercedes.

Chwilę później uruchomił silnik i włączył stereo. Tego ranka był w nastroju do słuchania Rage Against the Machine. Wybrał więc w telefonie odpowiednią playlistę i ruszył 34. ulicą prosto do pracy.

Dominic Caruso zobaczył odjeżdżającego Rossa.

Stał po drugiej stronie ulicy, między drzewami w parku Volta, z rękami w kieszeniach dla ochrony przed zimnym wiatrem. Miał wełnianą czapkę, ciepły komin osłaniający szyję, szary kombinezon i czarne sportowe półbuty. Trzymał pod pachą biały kask budowlany, a na jego ramieniu wisiał niewielki czarny plecak.

Wyglądał jak robotnik, który przyjechał tu do pracy autobusem z jednej z uboższych dzielnic i za chwilę zabierze się do naprawiania drogi albo remontu elewacji któregoś z budynków.

Gdy mercedes Ethana Rossa zniknął za zakrętem przy akompaniamencie jakiejś odmiany trudnego do określenia i przebijającego się przez zamknięte szyby dudniącego rapu, Caruso zaczął się przyglądać domowi numer 1598 przy 34. ulicy. Był to wąski, pomalowany miejscami na biało, segment stanowiący część ceglanego szeregowca, zaopatrzony w podjazd z boku i frontowe schody prowadzące na mały ganek, pod którym znajdowało się wejście do sutereny. Segment Ethana nie imponował rozmiarami, jego powierzchnie nie przekraczała stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych, lecz Dominic, wzięwszy pod uwagę, że ten budynek znajdował się w luksusowej dzielnicy, ocenił jego wartość na ponad dwa miliony dolarów. Wątpił, aby przeciętny urzędnik Rady Bezpieczeństwa Narodowego mógł sobie pozwolić na kredyt hipoteczny, co oznaczało, że rachunek za dom zapłaciła zapewne zamożna matka Rossa.

Dom nie wiedział, czy właściciel segmentu jest zdrajcą, lecz mimo to poczuł do niego uprzedzenie.

Ze swego miejsca w parku po drugiej stronie ulicy Dom widział fronty innych segmentów szeregowego budynku przy 34. ulicy. Poświęcił kilka minut na upewnienie się, że na ganku żadnego z nich nie zamontowano kamer monitoringu, w których polu widzenia mogłby się znaleźć fragment chodnika przed posesją Rossa. Doskonale wiedział, gdzie należało ich szukać, lecz nie znalazł niczego, co kazałoby mu podejrzewać, że jego obecność pod numerem 1598 zostanie zarejestrowana przez któregoś z sąsiadów.

Spędził w zacisznym parku jeszcze kilka minut na przyglądaniu się kilku innym ważnym szczegółom domu Rossa i jego sąsiedztwa. Gdy już zebrał wszystkie informacje, których potrzebował, odwrócił się i pomaszerował w kierunku ulicy Wisconsin. Rozpoczął nową misję: zamierzał schronić się na chwilę przed zimnem i odprężyć przy filiżance kawy. Chciał się upewnić, że wszyscy mieszkańcy z sąsiedztwa opuszczą swoje domy i wyruszą do pracy albo do szkoły. Zaplanował więc swoje wejście na dziesiątą.

Poprzedniego wieczora – po rozmowie telefonicznej z Albrightem – Dom przeczytał biogram i CV Rossa, kilka artykułów, które ten napisał dla „Foreign Affairs”, a także jego inne publikacje. Nie znalazł w nich niczego szczególnego poza wyrazami niechęci do Izraela, która nie była niczym

niezwykłym w amerykańskich kręgach dyplomatycznych. Wyszukał nazwisko i datę urodzenia Rossa w wykazie waszyngtońskich nieruchomości, znalazł jego adres i obejrzał okolicę w mapach Google, a potem uruchomił Street View i udał się na wirtualną przechadzkę. Pozwoliła mu ona poznać rozmieszczenie i wygląd budynków, a nawet zajrzeć przez ogrodzenie na tyły domostwa Rossa.

Dom wiedział, że w Google Maps nie można znaleźć zbyt wielu szczegółów, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że spędzenie kilku minut na przyjrzeniu się okolicy na ekranie tabletu jest bez porównania bezpieczniejsze niż kręcenie się po ulicy w pobliżu miejsca zamieszkania celu i przeskakiwanie jego płotu.

Siedząc na kanapie z tabletem i oglądając dom Rossa, nie musiał się obawiać, że – choćby robił to nawet przez całą noc – któremuś ze wścibskich sąsiadów przyjdzie do głowy, żeby zadzwonić po gliny.

Dominic miał w komputerze inny program, który służył mniej więcej do tego samego, lecz był o niebo lepszy. Firma Eagle View Technologies udostępniała mapy satelitarne, podobne do Google Maps, lecz obejmujące większy obszar i ukazujące o wiele więcej szczegółów w wysokiej rozdzielczości. Te mapy były doskonałym źródłem informacji dla wojska i wywiadu. Caruso mógł je wykorzystać, aby obejrzeć dom Rossa, lecz okazało się, że widok ulicy w Georgetown w Google Street jest zupełnie wystarczający.

Dom doceniał zdobycze technologiczne tego rodzaju. Dawno temu, w latach osiemdziesiątych, jego wuj był kimś w rodzaju szpiega, a Dom nie potrafił sobie wyobrazić, jak wyglądały jego działania przeciwko Związkowi Radzieckiemu, gdy nie było jeszcze mowy o smartfonach ani satelitarnych zdjęciach całej kuli ziemskiej.

Pomyślał, że musiało to być potwornie wyczerpujące.

Po półgodzinnym wirtualnym spacerze w Google Street i przeglądaniu zapisów dotyczących nieruchomości Rossa Dom zebrał podstawowe, lecz istotne dane i stwierdził, że jego umiejętności oraz odpowiedni plan pozwolą mu na złożenie potajemnej wizyty pod numerem 1598 i rozejrzenie się w poszukiwaniu dodatkowych informacji.

Podjęcie tej decyzji nie było dla niego łatwe. Chodziło tu przecież o włamanie i wtargnięcie na cudzą posesję, działanie wbrew prawu, nielegalne nawet w przypadku faceta z odznaką świadcząca o tym, że jest on agentem FBI. Motorem działania Doma były śmierć Yacobyh i niejasne odczucie, że udało mu się trafić na trop jednego z tych, którzy byli za nią odpowiedzialni. Skoro najlepszy ekspert Biura zajmujący się badaniami wariograficznymi nabrał podejrzeń, że Ross może coś ukrywać, to był to dla Caruso wystarczający powód, aby powęszyć wokół spraw Rossa.

Albright musiałyby natomiast załatwić wszystko zgodnie z procedurami, co oznaczało doprowadzającą do szału ekwilibrystykę w gąszczu biurokracji. Dom postanowił, że przyjrzy się Rossowi nieco bliżej, a jeśli się okaże, że facet jest czysty jak łąza, wycofa się szybko i dyskretnie. Zostanie zapewne obsztorcowany za swoją porywczosć, ale wszystko obędzie się bez większej szkody. Dom wiedział też, co zrobiłby, gdyby się jednak okazało, że przystojny jak model i mieszkający w chacie za dwa miliony chłoptas z Białego Domu miał coś wspólnego ze śmiercią jego przyjaciół w Indiach.

Zamierzał poprosić Gerry'ego o zgodę na zabicie Rossa.

Tego ranka Ethan Ross miał szczęście, bo ruch na ulicach był niewielki. Wyjechał do pracy nieco wcześniej, co nie zdarzało mu się często. Jeden ze strażników w budce przy wjeździe do Budynku Eisenhowera zażartował sobie nawet z Rossa, mówiąc, że skoro zjawił się tak wcześnie, to pewnie stara się o awans. Po wejściu do biura Ethan zdjął płaszcz, chwycił mokkę czekającą już na niego na biurku i zajrzał do biura swojej sekretarki. Gawędził z Angie kilka minut, świadom, że musi sprawiać wrażenie spokojnego i rozluźnionego. Był zaskoczony, że nie miał z tym najmniejszych kłopotów. Gdy Angie zapytała go o badanie wariografem, zachował się swobodnie. Nie wdawał się zbyt w szczegóły, ale zapewnił, że była to tylko niepotrzebna strata czasu.

Zabrał się do pracy. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego miał się pojawić po południu w Gabinetce Ovalnym, w związku z czym Ross otrzymał od swego bezpośredniego szefa listę pytań dotyczących dyskusji w Knesecie, które mogły, choć nie musiały, paść podczas spotkania. Pogrzebał w swych dokumentach, zajrzał do systemu Intelink-TS i zadzwonił do kolegi z CIA. Opracował odpowiedzi i przesłał je szefowi przed wpół do dziesiątej.

Wszystko szło mu jak z płatka, a jego udawany spokój zaczął przeobrażać się w autentyczne opanowanie. Ross ujrzał światelko w tunelu, bo był przekonany, że dochodzenie FBI zakończy się w najbliższych dniach niepowodzeniem i będzie miał wszystko za sobą szybciej, niż mogłoby się wydawać na początku.

Zrobił sobie długą przerwę. Poszedł do jadalni, nalał sobie kawy i wdał się w pogawędkę ze współpracownikami, a potem wrócił za biurko. Zdażył rozsiąść się w fotelu, gdy usłyszał Angie rozmawiającą z kimś w sekretariacie. Podniósł wzrok i zobaczył tuż za drzwiami agenta specjalnego FBI Darrena Albrighta.

Wielki facet o imponująco szerokich barach, który pojawił się w drzwiach biura, wyglądał groźnie. Nie odrywał wzroku od Rossa.

Ethan odruchowo cofnął głowę o kilka centymetrów, zaciskając mocno dłonie na krawędziach biurka.

Co się dzieje? Czy będzie aresztowany? Czy Albright powie mu za chwilę, żeby wstał i się odwrócił?

Uspokoił się trochę, gdy Albright rzekł:

– Proszę nie wstawać.

Ethan poderwał się mimo to z fotela i stanął na drżących nogach.

– Zajrzałem tu, żeby zobaczyć się z pańską sekretarką i sprawdzić pański plan zajęć – oświadczył agent. – Jestem ciekaw, czy będzie pan miał chwilę na szybkie przesłuchanie.

– Przesłuchanie?

– To formalność – odpowiedział Albright, zachowując jednak kamienną twarz, co Ethan wziął za zły znak. – Ma pan kilka minut?

Ross pochylił się nad podkładką do pisania i zerknął na terminarz obejmujący bieżący tydzień. Uczynił to, nie odrywając dłoni od biurka, aby agent nie mógł zauważyć ich drżenia.

– Właściwie będziemy musieli przełożyć tę rozmowę na inny dzień – powiedział. – Biorę dziś wolne popołudnie i wychodzę za kilka minut.

– Wybiera się pan dokądś?

– Do dentysty – odparł Ethan bezbarwnym głosem, pamiętając, aby ukryć jakiegokolwiek oznaki

swojego przestrachu.

Albright nawet nie mrugnął okiem.

– To zajmie tylko minutę – rzekł.

Ross podniósł wzrok znad terminarza i wzruszył ramionami, jakby chcąc dać nonszalancko do zrozumienia, że ma mnóstwo zajęć.

– Cóż... – powiedział. – Jestem właśnie w trakcie...

– Krótkich pięć minut i tylko kilka pytań.

Kurwa! Jaka szkoda, że nie zażył tego ranka tabletek od Harlana! Powinien był je połknąć, żeby być przygotowanym na niezapowiedzianą rozmowę, taką jak ta. Nie pocił się, bo glikopirrolat działa przez kilka dni, ale żałował, że nie pomyślał o lekach stabilizujących nastrój.

Ethan wskazał agentowi krzesło przed swoim biurkiem. Usiedli. Ross założył ręce i podparł się nimi na podkładce do pisania. Docisnął je mocno, o władnięty myślą, że powinien zrobić wszystko, aby Albright nie wyczuł jego obaw i nie mógł dojrzeć drżenia jego dłoni.

Agent FBI wyjął notes i długopis, a potem zaczął przerzucać kartki, jakby czegoś szukając.

– Pańska przyjaciółka – powiedział, przerzucił jeszcze jedną kartkę i zjechał długopisem w dół strony. – Eve Pang.

Ethan zacisnął zęby i lekko się wyprostował.

– Co w związku z nią? – zapytał.

– Jest inżynierem komputerowych systemów sieciowych w Booz Allen.

– Zgadza się.

– Jak widzę, pracuje na platformach zabezpieczonych firewallami i korzysta z prywatnych sieci wirtualnych.

Ethan zmrużył oczy i popatrzył nad ramieniem na wymagowany punkt na ścianie, jakby się zastanawiał.

– Nie jestem pewien – powiedział. – Nie rozmawiamy zbyt wiele o pracy, ale wydaje mi się, że może pan mieć rację.

Albright podniósł głowę. Ethan nie wiedział, czy agent poczuł się zaskoczony, czy też tylko odgrywał swoją rolę.

– Nie rozmawiacie o pracy?

– Nie bardzo.

– Ma pan licencjat w dziedzinie informatyki, prawda?

– Tak.

– Więc zapewne macie mnóstwo wspólnych tematów.

– Niezupełnie. To, co robi Eve, wyprzedza moją wiedzę o tysiące lat świetlnych.

Albright uśmiechnął się, a Ross uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie widział uśmiechu na twarzy tego agenta.

– Skąd pan wie, co robi pańska przyjaciółka, skoro o tym nie rozmawiacie?

– Chodzi mi o to, że... Wiem tylko ogólnie.

– Naprawdę? Jak to?

Ethan poczuł, że jego krew zaczyna się gotować. Sposób prowadzenia rozmowy przez Albrighta i szybko zadawane zwięzłe pytania miały wytrącić go z równowagi i zmusić do chaotycznych

wypowiedzi, a nawet do obwinienia samego siebie. Ethan nie wiedział, czy wszystko to miało związek z wczorajszymi podejrzeniami Finna, ani czy ktokolwiek tu, na trzecim piętrze, został potraktowany w podobny sposób. Poczł jednak prawdziwy strach ściskający żołądek. Poprzedniego dnia miał dość czasu, aby przygotować się do oszukania wariografu i był, mniej lub bardziej, gotowy na badanie. Dzisiejsze przesłuchanie z zaskoczenia nastąpiło w chwili, kiedy był zupełnie bezbrony, i napełniło go wątpliwościami i obawami. Dlaczego, do cholery, powiedziałem mu, że mogę z nim porozmawiać? Czy wypadłbym gorzej, gdybym mu odmówił? Co mogę zrobić, żeby natychmiast przerwać to przesłuchanie?

– Agencie Albright, naprawdę uważam, że wciąganie w tę sprawę Eve Pang jest niestosowne – powiedział. – Ona nawet tu nie pracuje i...

– To chyba naturalne, że rozmawia się o pracy – przerwał Ethanowi agent. – Rozmawiam z żoną o swojej, oczywiście ogólnie, ponieważ ona nie ma certyfikatu bezpieczeństwa. Przypuszczam, że Eve opowiedziała panu o nieautoryzowanym wglądzie w dokumenty dotyczące „Ardahana” natychmiast po włamaniu do tajnej sieci, do którego doszło cztery miesiące temu. Nie byłoby w tym nic złego, bo i pan ma certyfikat bezpieczeństwa oraz dostęp do informacji niejawnych

Albright ponownie zamilkł. Ethan odniósł wrażenie, że agent próbuje pociągnąć go za język.

Wolno pokręcił głową.

Jeszcze jeden gość chce go naciągnąć na wyznania. Zamknij się, kurwa!

Albright czekał cierpliwie.

W końcu, tylko po to, aby przerwać długą ciszę, w której Albright najwyraźniej się lubował, Ethan powiedział:

– Nie. Nie mówiła niczego o tej sprawie. Zresztą i tak by nie powiedziała, prawda?

– Nie powiedziałyby?

Mężczyźni spoglądali na siebie długą chwilę w całkowitej ciszy, aż Ethan rzekł:

– Nie. Delvecchio powiedział, że nawet jeśli włamanie było miesiące temu, to wykryto je dopiero po zesłotygodniowym ataku w Indiach.

– O, słusznie. Zgadza się.

Albright zakasłał i spuścił wzrok na swoje notatki, sprawiając wrażenie zakłopotanego.

– Mój błąd – dodał.

Przygwoździłem go, pomyślał Ethan. Temu sukinsynowi wydawało się, że wygra walkę na inteligencję z Ethanem Rossem. Pokrzepiony na duchu, rzekł:

– Uwija się pan jak w ukropie, agencie specjalny Albright. Rozumiem to. Musi pan złapać winnego. Mam szczerą nadzieję, że tak się stanie. Ale kieruje pan swe uwagi pod niewłaściwy adres.

Albright wrzucił potężnymi ramionami i odparł:

– Może tak. A może nie.

– Czy muszę zaangażować w to swojego prawnika? – zapytał Ethan.

– Prawnika? Nie wiem, panie Ross. Jeśli wpadł pan w jakieś kłopoty, to tak, być może będzie go pan potrzebował.

Ponownie zapadła cisza.

Albright zaczekał, aż napięcie przybierze na sile, i powiedział:

– Zamierzam przesłuchać pannę Pang. Być może zechce pan wykorzystać tę okazję, aby

powiedzieć coś jeszcze i uprzedzić swoją przyjaciółkę.

– Przesłuchać Eve? Ona nie ma nic wspólnego z tutejszą siecią.

– Tak, ale ma dużo wspólnego z panem. Nie zaprosimy jej na badanie wariografem, lecz zapytamy o wasze rozmowy. Jeśli coś wysnęło się jej podczas waszych rozmów do poduszki, cokolwiek, co mógłby pan wykorzystać, aby ułatwić sobie skopiowanie plików dotyczących „Ardahana”, to nie tylko pan będzie miał kłopoty.

– To oburzające.

– Oburzające jest to, że ktoś z tego biura, komu zaufano i powierzono dostęp do tajnych informacji, zawiódł to zaufanie. Byłoby także oburzające, gdyby przyjaciółka pomogła komuś w popełnieniu przestępstwa, czyniąc to świadomie lub nie. Na pewno straciłaby wówczas certyfikat bezpieczeństwa, zepsułaby też sobie reputację. Gdybym mógł postawić ją w stan oskarżenia, zrobiłbym to.

Ethan zachował pokerową twarz.

– Jeszcze coś, agencie specjalny Albright? – zapytał.

Albright skinął głową.

– Tak, musi pan już zmykać, żeby zdążyć wybielić sobie zęby.

– A pan, jak przypuszczam, musi zajrzeć do sąsiedniego biura, żeby przesłuchać i przestraszyć Waltera, a później pójść do biura Beth i zrobić z nią to samo. Ciekawą ma pan pracę. To musi być odłot.

Agent FBI ruszył do drzwi, lecz zatrzymał się jeszcze, odwrócił i spojrzał na Ethana.

– Tak naprawdę to najgorsza część mojej pracy – powiedział. – Ale tą najlepszą, dla której, kurwa, żyję, są chwile, kiedy odczytuję prawa jakiemuś aroganckiemu kutasowi, który myślał, że uda mu się uciec.

– Życzę zatem powodzenia.

– Tak, do zobaczenia – rzekł Albright i opuścił biuro. Więcej nie powiedział już ani słowa.

Ethan siedział spokojnie przez kilka minut, z łokciami wciąż wspartymi na biurku, i rozmyślał nad rozmową z agentem specjalnym FBI. Potem zdjął płaszcz z wieszaka, chwycił aktówkę i ruszył do drzwi.

Była dziesiąta. Dominic Caruso wrócił do parku Volta, stanął za ogrodzeniem i zaczął ponownie przyglądać się budynkowi numer 1598 stojącemu przy 34. ulicy. Był wciąż ubrany w szary kombinezon, lecz tym razem włożył jeszcze biały kask budowlany i okulary przeciwsłoneczne.

Doskonale pasował wyglądem do okolicy i nikt, kto wyprowadzał właśnie psa na spacer lub przejeżdżał tędy samochodem, nie zwrócił na niego uwagi, i to wcale nie dlatego, że o dziesiątej rano panował na ulicy spory ruch.

Większość włamań odbywa się w środku dnia, ponieważ o tej porze nie ma nikogo w domach, choć jest jeszcze inny powód: dzienne światło usypia czujność i tłumi naturalny instynkt obronny, a ludzie, którzy wyglądają, jakby przynależeli do konkretnego miejsca, rzadko bywają zauważani i niemal nigdy o nic się ich nie podejrzewa.

Caruso przeszedł na drugą stronę ulicy tuż przy skrzyżowaniu, zbliżył się do domu numer 1598 i wszedł na posesję, jakby miał wszelkie prawo, aby się na niej znaleźć. Podszedł do wejścia do sutereny i zatrzymał się przy nim, niewidoczny z ulicy i osłonięty przed wzrokiem każdego, kto mógłby przechodzić w pobliżu.

Dominic wątpił, czy Ross ma sublokatora w mieszkaniu na dole, lecz mimo to zapukał, a następnie zadzwonił do drzwi. Gdy nikt nie otworzył mu po minucie, zrobił to samo na wysokim parterze. Dopiero gdy się upewnił, że nikogo nie ma w budynku, zszedł po schodach i przeciął niewielki, wąski podjazd.

Na bocznej ścianie domu, obok licznika elektrycznego, dostrzegł skrzynkę ze złączami telefonicznymi. Odkręcił jej pokrywę śrubokrętem dobytym z plecaka, a potem odłączył końcówki przewodów.

Miałby trochę większy kłopot, gdyby dom był wyposażony w bezprzewodowy system alarmowy, lecz niewielki znaczek z nazwą firmy przyklejony do gazonu na ganku powiedział mu wszystko. Ta firma nie zajmowała się instalowaniem bezprzewodowych alarmów w tej okolicy, co uspokoiło Dominica: wiedział, że bez trudu poradzi sobie z zabezpieczeniami.

Wrócił do wejścia do sutereny i znów stał się niewidoczny z ulicy. Nie zwlekając ani nie zastanawiając się niepotrzebnie, wyjął z plecaka zestaw do otwierania zamków, przykleknął i zabrał się do pracy. Szybko pokonał zapadki starego zamka, a potem blokadę gałki. Uporał się ze wszystkim w minutę i dwadzieścia sekund.

Bardzo wolno otworzył drzwi, a alarm antywłamaniowy natychmiast odezwał się niegłośnym ćwierkaniem. Dźwięk ten informował właściciela domu, że ma sześćdziesiąt sekund na wyłączenie urządzenia, zanim zacznie ono głośno wyć i skontaktuje się ze stacją monitorującą.

Dominic odłączył jednak telefon, przez co zapobiegł automatycznemu połączeniu, a tym samym alarm stał się źródłem uciążliwego dźwięku, lecz nie stanowił już prawdziwego zabezpieczenia.

Po wejściu do domu Caruso nie zdjął ciemnych okularów ani kasku. Trzymał się blisko drzwi i poruszał się jak na zwolnionym filmie, polując na działające niezależnie od domowego systemu alarmowego kamery z czujnikami ruchu, które Ross mógł podłączyć do swojego bezprzewodowego routera.

Dom uznał Rossa za entuzjastę techniki. Wiedział, że miał on wykształcenie informatyczne, dzięki czemu mógł z łatwością zainstalować swoją własną bezprzewodową sieć domowego monitoringu.

Dom poruszał się bardzo wolno, pokonując nie więcej niż siedem – osiem centymetrów w ciągu każdej sekundy, przez co każdy krok do przodu zabierał mu dziesięć razy więcej czasu niż zwykle. Standardowe czujniki ruchu reagowały dopiero wtedy, gdy ktoś poruszał się szybciej. Dom i jego koledzy z Kampusu spędzili wiele z pozoru bezsensownych, lecz pracowitych godzin na ćwiczeniu umiejętności oszukiwania sensorów. Chodzili wtedy korytarzami jak nakręcane zabawki, które mają się za chwilę zatrzymać.

Sytuacja wymagała od Doma cierpliwości i uwagi. Gdyby potrącił coś na stole w mieszkaniu Rossa, gdyby coś wypadło mu z kieszeni, gdyby kopnął coś na podłodze albo poruszył się nieco szybciej niż powinien, na ekranie telefonu Rossa mogłaby się pojawić wiadomość o obecności niepożądanego gościa. Towarzyszyłaby jej stop-klatka ukazująca Dominica w stroju budowlańca, a na stronie producenta kamery rozpoczęłaby się transmisja z domu Rossa.

Po minucie w całym domu zaczął wycić alarm, lecz Caruso zignorował to, wiedząc, że jest mało prawdopodobne, iż usłyszy go ktoś w okolicy, jeszcze mniej prawdopodobne, że ten ktoś zadzwoni na policję, i prawie niemożliwe, że policja zjawi się na tyle wcześnie, aby złapać intruza na gorącym uczynku.

Dom znalazł wreszcie to, czego szukał przez trzy minuty, od chwili gdy otworzył drzwi. Na kuchennej wyspie stała niewielka kamera skierowana na salon i drzwi wejściowe. Poszedł do niej od tyłu, poruszając się już w normalnym tempie, i wyłączył urządzenie, używając małego przełącznika zamontowanego w jego tylnej części.

Od tej chwili Dom mógł swobodnie poruszać się po parterze. Rozejrzał się. Po chwili dostrzegł centralkę alarmu zamontowaną na ścianie holu. Otworzył obudowę urządzenia w ciągu dziesięciu sekund i odłączył przewody, co uciszyło syrenę. Nie zaprzętał sobie głowy doprowadzeniem centralki do poprzedniego stanu, tylko od razu wyruszył na dalsze poszukiwania kamer.

Spodziewał się, że odkryje jeszcze jedną, tym razem wycelowaną w tylne wejście. Nie zdziwił się więc, gdy znalazł urządzenie, w którego polu widzenia znajdowała się przeszklona weranda na tyłach domu. Tym razem sprawa była nieco bardziej skomplikowana, ponieważ Ross ukrył kamerę pod sufitem spiżarki, wywierciwszy wcześniej niewielki otwór w drzwiach. Dom zastanawiał się przez chwilę nad wyłączeniem całego bezprzewodowego systemu czuwającego nad mieszkaniem Rossa, lecz postanowił tego nie robić, aby nie zostawić śladu manipulacji w pamięci routera. Po krótkim namyśle zdecydował, że zrezygnuje z przeszukania okolic werandy, mimo że na wprost kamery stały wiklinowa kanapa i stolik kawowy zarzucony luźnymi kartkami, zapisanymi odręcznym pismem.

Podążył schodami na piętro. Znalazł tam jeszcze jeden czujnik ruchu, połączony do domowej instalacji alarmowej, a tym samym już nieaktywny.

Spojrzał na zegarek. Przebywał w domu Rossa siedem minut i dwanaście sekund.

Chcąc zyskać poczucie pełnego bezpieczeństwa, Dominic obszedł mieszkanie. Szukał dowodów obecności współmieszkańca, który, choć nie było go teraz w domu, mógł się zjawić w każdej chwili. Wypatrywał śladów obecności psa, który mógł wyjść z kimś na spacer, kobiety, która mogła niespodziewanie wpaść na lunch, lub dziecka, które mogło wcześniej wrócić ze szkoły. Przeszukał szafy i stwierdził, że Ethan Ross jest jedynym mieszkańcem tego domu, chociaż nietrudno było zauważyć, że ostatniej nocy łóżko zajęte było przez dwie osoby.

Dominic dowiedział się od Albrighta, że Ross ma przyjaciółkę, lecz na wszystkich zdjęciach rozstawionych po domu widać było tylko Ethana lub jego matkę.

Caruso skupił się na szafce na dokumenty, która stała w małym domowym biurze Rossa. Przerzucając starannie opisane teczki, dostrzegł napis: „Ochrona domu”. Przejrzał zawartość skoroszytu i znalazł kartkę ze skorowidzem zawierającym hasło do systemu alarmowego. Uporządkował dokumenty, a potem pośpieszył na dół, podłączył kabel zasilający centralkę i zamknął jej obudowę. Wprowadził hasło za pomocą klawiatury przy drzwiach, dzięki czemu rozbroił alarm i przełączył go w stan uśpienia. Od tej chwili każde otwarcie lub zamknięcie drzwi nie groziło już włączeniem głośnej syreny.

Ten etap misji dobiegł końca po dwunastu minutach i dwudziestu sekundach od momentu, w którym Dom przekroczył próg piwnicy.

Kontrolując czas, przypuszczał, że minie jeszcze zapewne kilka godzin, zanim Ethan wróci z pracy. Nie wiedział jednak, czy domem nie opiekuje się gosposia. Dał sobie zatem trzydzieści minut na zrobienie tego, co zaplanował.

Nadeszła pora na trzeci etap akcji: przeszukanie domu pod kątem dowodowym.

Dominic zaczął na górze, od sypialni, w której ku swemu zaskoczeniu znalazł telefon komórkowy leżący przy łóżku. Większość ludzi używa tylko jednego telefonu i nosi go przy sobie. Przez krótką, przerażającą chwilę Caruso czuł obawę, że Ross może być w domu, lecz szybko się uspokoił, bo przypomniał sobie, że przynajmniej raz sprawdził każde z pomieszczeń. Ten gość po prostu z jakiegoś powodu miał więcej niż jeden telefon. Dom szybko sprawdził, czy aparat nie został wyposażony w zabezpieczenia, które zawiadomiłyby jego właściciela, że ktoś przy nim majstrował. Okazało się, że telefon Rossa został zabezpieczony hasłem.

Tak. Niech to cholera!

Wydobycie jakichkolwiek informacji z komórki wymagałoby użycia sprzętu hakerskiego, którego Caruso nie zabrał. Niemniej znalezienie tego telefonu nie okazało się do końca nieprzydatne. Dom obejrzał go dokładnie i stwierdził, że jest nowy. Klawisze nie były rozklekotane, a na obudowie nie dało się zauważyć najmniejszych nawet zarysowań. Ostrożnie zdjął tylną pokrywę komórki za pomocą małego śrubokrętu, a potem sfotografował kartę SIM. Wiedział, że odpowiedni sprzęt pozwoli mu wykorzystać numer identyfikacyjny abonenta do namierzania telefonu lub śledzenia jego aktywności.

Przeszedł do salonu. Pomieszczenie nie imponowało rozmiarami, ale wysoki sufit i stare, stylowe regały na książki nadawały mu majestatycznego wyglądu. Dom włączył kamerę wideo w komórce i zaczął filmować wszystko, co leżało na wierzchu. Zwracał szczególną uwagę na kartki z zapisanymi odręcznie numerami telefonów, bilety parkingowe, rachunki i inne rzeczy zebrane przez Ethana, które pozwoliłyby powiązać go z konkretnymi osobami lub miejscami.

Przeszukał kosze na papiery, przyglądając się wydrukowi wiadomości mailowych i potwierdzeń ich odbioru, i filmował wszystko po kolei.

Nie miał czasu na dokładne przypatrzenie się każdemu świszkowi, teraz jedynie zbierał materiały i wcale ich nie analizował. Postanowił, że zrobi to po powrocie do domu: zbada zapis wideo za pomocą programu analizującego, który rozpozna, oceni i podzieli na kategorie słowa i liczby widoczne na każdym ujęciu.

Sfilmował stosy książek piętrzących się na półce i na stoliku kawowym. Każda z nich miała coś wspólnego z bezpieczeństwem teleinformatycznym.

Dom oczywiście wiedział, że przyjaciółka Rossa jest ekspertką w dziedzinie zabezpieczeń komputerowych, lecz książki, które znalazł, przypominały raczej podręczniki i z pewnością nie były potrzebne komuś, kto już parę lat temu został doktorem informatyki.

Czy w takim razie należały do Rossa? Kim był ten facet? Urzędnikiem zajmującym się polityką czy programistą komputerowym? Dom zdawał sobie sprawę, że szuka powodów, dla których mógłby zacząć podejrzewać Rossa, i choć książki niczego nie dowodziły, ich obecność w tym mieszkaniu była co najmniej zastanawiająca.

Szukał dalej.

Na kanapie w salonie leżał MacBook Pro. Dom szybko sprawdził, czy laptop nie został uzbrojony w pułapki, na przykład w postaci włosa łączącego ekran z podstawą, który mógłby się urwać przy próbie otwarcia urządzenia. Nie znalazł jednak nic takiego, podobnie jak wcześniej w telefonie. Pomyślał, że Ross zachowuje się jak większość normalnych ludzi i popełnia błąd, skoro pokłada zaufanie w domowym systemie alarmowym, z którym mógłby sobie poradzić każdy, kto ma śrubokręt i dysponuje odrobiną wiedzy.

Podniósł pokrywę laptopa i potwierdził swoje przypuszczenia: komputer także wymagał wpisania hasła. Na jego dysku znajdowały się zapewne cenne materiały, lecz Dom nie miał środków, które pozwoliłyby mu je odczytać. Pomyślał o Davidzie i jego obietnicy wsparcia ze strony Mosadu, ale nie mógł marzyć o przejrzeniu twardego dysku laptopa tak, aby Ross nie domyślił się, że ktoś weszły w jego domu.

Nie, nie tędy droga. Caruso musiał poszukać wskazówek gdzie indziej.

Pięć minut później wrócił na górę do biura Rossa. Przerzucił papiery na biurku, a potem pogrzebał w jego szufladach. W teczce z dokumentami znalazł kopię zaświadczenia o bezwypadkowym statusie samochodu Rossa: czerwonego mercedesa klasy E z 2013 roku. Sfotografował numer VIN, na wypadek gdyby udało mu się trafić na ten samochód później, na podjeździe przed domem Ethana albo na parkingu obok Budynku Eisenhowera. Mógłby wówczas umieścić nadajnik GPS pod zderzakiem i śledzić pojazd za pomocą swego telefonu komórkowego.

Na ściennej tablicy wiszącej na ścianie obok biurka Dom dostrzegł kilka notek, które Ross zaadresował do siebie. Nie omieszkał ich sfilmować.

Usłyszał dźwięk alarmu, który ustawił wcześniej na zegarku. Czasomierz podpowiedział mu, że do zaplanowanych trzydziestu minut brakuje jeszcze dziesięciu. Dom zszedł na parter, żeby sprawdzić kuchnię. Przejrzał szuflady i szafki i zerknął na puszki oraz słoiki. Zauważył zapalniczki reklamowe, długopisy i papierowe bloczki z logo różnych firm. Odczytał nawet nazwy i roczniki na butelkach tkwiących w stojaku. W jednej z szuflad natrafił na małe plastikowe buteleczki z tabletkami.

Zwróciły jego uwagę, ponieważ w odróżnieniu od opakowań z lekami sprzedawanymi na receptę nie miały żadnych napisów. Tabletki w poszczególnych buteleczkach różniły się od siebie kształtem i kolorem. Dom sfotografował je starannie i odłożył na miejsce.

Zaczął właśnie sprawdzać odciski długopisu na czystym bloczku przymocowanym do drzwi lodówki, gdy na ceglanym ganku za drzwiami wejściowymi, zaledwie siedem metrów od miejsca, w którym stał, usłyszał szmer przypominający odgłos kroków. Najpierw się przestraszył, lecz po ułamku sekundy pomyślał, że to zapewne listonosz.

Stał chwilę w miejscu, obserwując szczelinę na listy i mając nadzieję, że jego przypuszczenia potwierdzą się, gdy na podłodze wyląduje plik kopert. Obserwując drzwi, sięgnął za siebie i namacał kamerę skierowaną na wejście i salon.

Gdy tylko przesunął jej przełącznik, rozległ się charakterystyczny dźwięk, który wzbudził w nim panikę – odgłos klucza wsuwającego się do zamka we frontowych drzwiach. Usłyszał dźwięk zapadek, a potem zobaczył smugę światła wędrującą w jego stronę po podłodze ze szlachetnego drewna.

Dominic przywarł płasko do podłogi za kuchenną wyspą, aby nie dać się zobaczyć od strony wejścia. Obrócił się twarzą w stronę drzwi na tyłach kuchni, za którymi zaczynał się korytarz biegnący wzdłuż północnej ściany parteru. Zaczął bezszelestnie pełznąć przed siebie, wykorzystując swój śliski bawełniany kombinezon, przy czym podciągał się rękoma dla uniknięcia pisku butów na wypolerowanej podłodze.

Usłyszał odgłos zamykanych drzwi, a potem kroki. Ktoś podszedł do klawiatury systemu antywłamaniowego i nacisnął kilka guziczków.

– Co jest, kurwa? – wymamrotał męski głos.

Dom domyślił się, że to Ross, który z pewnością zauważył, że system był wyłączony. Mogło to oznaczać, że albo Ross sam zapomniał go włączyć, wychodząc rano do pracy, albo że ktoś przy nim majstrował.

Dom nie przestawał pełznąć po podłodze. Poruszał się wolno, ale pewnie. Pomyślał, że Ross musiałby być niesamowicie czujny albo cierpieć na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, aby nie nabrać wątpliwości, że zapomniał o uzbrojeniu alarmu.

Do schodów na tyłach domu prowadziły dwa przejścia: jedno z salonu, a drugie z głębi kuchni. Dominic miał cholerną nadzieję, że Ross minie kuchnię, ale piszczący odgłos jego kroków zasygnalizował, że zbliża się do ukrytego agenta.

Dom przyspieszył. Zaczął pełznąć na piersi i biodrach najszybciej jak umiał. Trzymał stopy w górze, pociągał się na przedramionach i wykorzystywał małe tarcie na śliskiej powierzchni. Musiał wyteżyc wszystkie siły górnej części ciała, bo poruszanie się w ten sposób bez wydania choćby jednego stęknienia nie było wcale łatwe.

Wczołgał się do korytarza i wierzgnął nogami, gdy w kuchni zapaliło się światło. Ross, stojący przy włączniku, znajdował się zaledwie pięć metrów od niego i – czego Dom nie mógł wykluczyć – wciąż zmierzał w stronę schodów prowadzących do sypialni na piętrze.

Dom zerwał się na nogi. Ruszył korytarzem przed siebie, starając się stąpać jak najciszej i zrównać swoje tempo z tempem coraz głośniejszych kroków Rossa. Minął schody po swojej lewej stronie, a potem, skulony, wślizgnął się do małej pralni po prawej. Ciemne pomieszczenie ledwie mieściło pralkę i suszarkę. Dom przycisnął się do nich mocno, aby nie można go było dostrzec z korytarza.

Usłyszał dźwięk kluczy upuszczonych na kuchenny blat. Kroki ustały na moment, lecz po chwili Ross ruszył z miejsca.

Dom spojrzał przed siebie i zobaczył schody. Gdyby Ross zaczął po nich wchodzić, to wystarczyłoby mu jedno spojrzenie w dół, aby dostrzec mężczyznę w szarym kombinezonie, tulącego się do jego pralki i suszarki.

Ethan Ross wszedł do korytarza po lewej stronie Doma i podążył schodami na piętro.

Dom z całej siły wparł się w plecak, cofając się o kilka dodatkowych centymetrów. Był wściekły, bo pozwolił się zapędzić w tak niefortunnie położone i niebezpieczne miejsce. W kaburze pod kombinezonem miał pistolet, ale nie zamierzał po niego sięgać. Jak na razie jedyne dowody, które zebrał, pozwalały mu podejrzewać Rossa tylko o to, że jest bogatym synkiem swojej mamusi. Gdyby zatem Ross go zauważył, to Dom musiałby jak najprędzej rzucić się w stronę drzwi prowadzących na ulicę. I liczyć, że nie zostanie rozpoznany.

Ethan wspinał się po schodach powoli i w roztargnieniu. Poruszał się zupełnie inaczej niż pół godziny wcześniej, gdy opuszczał biuro. Pędząc do domu, zamierzał jak najszybciej skontaktować się z Banfieldem i Bertoli. Wszystko zmieniło się jednak w chwili, gdy wszedł do domu i usiłował wyłączyć system alarmowy, ale okazało się, że system był już nieaktywny. Ross nie mógł uwierzyć, że nie uruchomił instalacji, zanim wyszedł tego ranka do pracy.

Cofnął się myślami do tamtej chwili. Był prawie pewien: pomyślał wtedy o alarmie, choć musiał przyznać przed samym sobą, że nawet jego inteligencja mogła nie uchronić go przed pomyłką związaną z wykonywaniem tak prozaicznej codziennej czynności.

W drodze do sypialni Ethan przestał zastanawiać się nad alarmem i skupił się na swoim głównym zmartwieniu: był nim agent specjalny Darren Albright. Ethan opuścił biuro niedługo po nim. Nie dbając o pozory, powiedział Angie, że wychodzi na lunch, a potem wybierze się do dentysty, co zajmie mu resztę dnia. Był pewien, że Angie słyszała końcową część jego rozmowy z Albrighem, ale wiedział, że sekretarka nie będzie podejrzewała nawet przez chwilę, że jej szef jest jakimś informatorem.

Zdjął garnitur i podszedł do garderoby, aby wyjąć z niej dzinsy i kaszmirowy sweter. Przez cały czas zastanawiał się, w jaki sposób skontaktuje się z Banfieldem. Musiał być teraz wyjątkowo sprytny – o wiele bardziej niż do tej pory. Próba skontaktowania się z dziennikarzem bez użycia znaku na hydrancie mogła oczywiście być niebezpieczna, lecz Ross uznał sytuację za tak poważną, że gotów był zaryzykować i zadzwonić. Wiedział, że musiałby się wtedy posłużyć jakimś rodzajem kodu, na wypadek gdyby on lub Banfield znajdowali się pod obserwacją. Coraz bardziej dopuszczał taką myśl.

Ubierając się, Ross chwycił słuchawkę telefonu stacjonarnego tkwiącą dotąd w ładowarce i zbliżył ją do ucha. W tej samej chwili zauważył komórkę, do której zakupienia kilka dni wcześniej namówił go Banfield, i wtedy użycie domowego telefonu wydało mu się nierozsądne.

Odłożył słuchawkę do ładowarki i podniósł komórkę. Wybierając numer jedną ręką, drugą wciągał z wysiłkiem swój kaszmirowy sweter.

Dominic zsunął sportowe buty, szybko związał ich sznurowadła, a potem zawiesił buty na szyi. Starając się zachowywać jak najciszej, czmychnął w samych skarpetkach po podłodze korytarza i znalazł się na tyłach domu. Dostał się na zadaszoną werandę. Znalazł się w polu widzenia kamery zamontowanej w spiżarni, ale wiedział, że teraz, kiedy Ross jest w domu, nie ma to większego znaczenia. Bezprzewodowa kamera i tak nie przesłałaby sygnału do telefonu Rossa, skoro telefon podłączony był do tej samej sieci i otrzymał informację, że właściciel wrócił do domu.

Początkowo Caruso zamierzał wyjść przez tylne drzwi, przeskoczyć przez ogrodzenie i zniknąć,

ale obecność Rossa w domu stanowiła okazję, której nie mógłby przepuścić.

Przykląkł przy zagraconym stoliku kawowym na zamkniętej werandzie i sfilmował telefonem wszystkie zaścieniające go kartki. Ich kolejna porcja leżała na magazynowym regale obok kanapy. Dom sięgnął po papiery i sfilmował je arkusz po arkuszu.

Rejestrując obrazy, nasłuchiwał kroków na piętrze. Zorientował się, że Ross wszedł do garderoby, a potem ją opuścił. Po chwili usłyszał przytłumiony głos.

Słysząc było jedynie Rossa, zatem Dom pomyślał, że rozmawia on przez telefon.

Nie wiedział, przez który: przez ten leżący przy łóżku, czy przez inny? Był jednak pewien jak cholera, że nie był to telefon stacjonarny, ponieważ odłączył jego przewody w szafce na ścianie domu.

Caruso starał się wyłowić poszczególne słowa, lecz udało mu się to dopiero pod koniec rozmowy, gdy Ross niemal krzyknął, mówiąc poniesionym głosem:

– Dzisiaj! Właśnie, kurwa, teraz!

Dom pomyślał, że zabrzmiało to wielce podejrzanie. Zakończył filmowanie na werandzie i ruszył do drzwi. Zamontowano w nich solidną zasuwkę i masywny zamek patentowy. Szybko poradził sobie z zamkiem, lecz gdy sięgał do zasuwki, jego ręka zamarła w powietrzu. Usłyszał za plecami kroki Ethana Rossa schodzącego na parter.

Cholera!

Po drugiej stronie drzwi znajdowała się odchylana rama z moskitierą, lecz jej pośpieszne otwarcie wywołałoby za dużo hałasu. Dom odwrócił się i cichym krokiem poszedł do korytarzowej szafy stojącej przy wejściu na werandę. Wcisnął się do niej i przedarł przez gąszcz okryć. Potrzebował miejsca, w którym mógłby pozostać niezauważony do chwili wyjścia Rossa z domu. Uznał, że szafa, na którą zwrócił uwagę już wcześniej, będzie najlepszą kryjówką.

Zadziałało jednak prawo Murphy'ego. W holu rozległo się skrzypienie butów Rossa, który skręcił przy schodach i ruszył w kierunku Dominica. Mogło to oznaczać tylko jedno: Ross podchodził właśnie do szafy. Dom przewrócił oczami i wcisnął plecak w ścianę za sobą, lecz powstrzymał się od sięgnięcia po smith & wessona tkwiącego w kaburze pod pachą.

Drzwi szafy się otworzyły. Dom przycisnął się mocno do jej cedrowej tylnej ściany: zamarł w bezruchu i wstrzymał oddech.

Ross zaczął przebierać w okryciach, a każda upływająca sekunda wydawała się Domowi wiecznością. Ross sięgnął najpierw po zamszową marynarkę, potem odwiesił ją na miejsce i wyjął z szafy płaszcz trzy czwarte z wielbłądziej wełny. W końcu zdecydował się jednak na supernowoczesną kurtkę North Face ocieploną syntetycznym puchem. Wyjmując ją, odsłonił Doma, lecz już nie zdążył go zauważyć, kiedy się odwracał. Zamknął szafę i ruszył do salonu. Dom wydał długie ciche westchnienie.

Gdy Ross wchodził do salonu, rozdzwoniła się jego komórka. Usłyszawszy, że Ross odebrał, Dominic zaczął nasłuchiwać. Udało mu się wyłapać większość rozmowy, ponieważ głos niósł się po salonie i docierał do korytarza na tyłach domu.

– Cześć, mam. Nie, dziś wyszedłem wcześniej. Mam wizytę u dentysty. Wziąłem wolne na resztę dnia.

Później Ross zaczął narzekać, lecz Dom nie zrozumiał jego wszystkich słów. Usłyszał tylko:

– Zrobię to później. Teraz nie mam na to czasu.

Po kilku kolejnych sekundach zrzędzenia Ross oświadczył:

– Właśnie wychodzę. Mam to na górze. Zadzwoń do ciebie później i...

Po dość długiej chwili Dom usłyszał niemal dziecięce westchnienie, które dotarło do jego uszu pomimo zamkniętych drzwi szafy.

– W porządku, zaczekaj minutę – powiedział Ross.

Dominic usłyszał kroki Rossa idącego pośpiesznie na piętro. Gdy już wiedział, że Ross znalazł się w swoim domowym biurze, wy dostał się z szafy i cicho podszedł do tylnych drzwi. Otworzył je ostrożnie, a potem popchnął ramę z moskitierą. Zaskrzypiała, jak się tego spodziewał, lecz Ross, zajęty rozmową i podający matce czyjeś nazwisko i adres mailowy, nie zwrócił na to uwagi.

Dom przeszedł przez małe podwórze za domem, trzymając się blisko ściany. Nie chciał, by Ross dostrzegł go z piętra, gdyby przypadkiem przyszło mu do głowy wyjrzeć przez okno. Dotarł na podjazd, przykłęknął, aby włożyć buty, a potem spojrzał na ulicę.

Zobaczył czerwonego mercedesa klasy E stojącego na pasie do parkowania przy krawężniku. Podeszedł do samochodu, sięgnął do plecaka, a następnie, bez wahania, kucnął i przymocował nadajnik GPS pod tylnym zderzakiem.

Podłączył przewody telefoniczne, zamknął skrzynkę na ścianie domu, a potem skierował kroki na chodnik. Gdy znalazł się na otwartej przestrzeni, zerknął na drzwi wejściowe domu Rossa, aby się upewnić, że pozostał niezauważony, a potem powędrował na północ wzdłuż 34. ulicy.

Oddalając się, usłyszał, jak Ross otworzył i zamknął drzwi, lecz nie spojrzał za siebie nawet wtedy, kiedy czerwony mercedes wypełnił się głośną ostrą muzyką i ruszył z piskiem opon na południe.

Po raz pierwszy od godziny Dominic poczuł się odprężony. Wizyta w domu Rossa nie dała mu wprawdzie mocnych podstaw do podejrzeń, ale udało mu się przynajmniej zebrać trochę informacji nadających się do przeanalizowania i zobaczyć, w którą stronę oddalił się Ross. Caruso przypuszczał, że nie pojechał do dentysty: Ross zachowywał się tak, jakby się znalazł w kłopotach, niezależnie od tego, z kim miał się spotkać.

Dom nie zamierzał go śledzić, ponieważ było to zbyt ryzykowne. Postanowił natomiast, że po powrocie do siebie usiądzie przy laptopie, zacznie obserwować ruchy Ethana w czasie rzeczywistym i uruchomi program, który przeanalizuje dane zebrane w domu numer 1598 przy 34. ulicy.

Ethan znalazł się w parku Fort Marcy po raz trzeci w ciągu czterech dni, lecz nie przybył na miejsce swoim mercedesem. Zostawił go na parkingu w pobliżu Washington Circle, a potem pojechał taksówką do Shirlington. Przeszedł przez The Village at Shirlington – centrum handlowe nadnaturalnych rozmiarów – i wsiadł do autobusu, który zawiózł go na przystanek oddalony o niecały kilometr od parku. Resztę drogi pokonał na piechotę.

Wybór tak długiej trasy nie był pomysłem Rossa. To Banfield poinstruował go podczas ich krótkiej rozmowy telefonicznej o konieczności wyboru określonej drogi. Kazał mu także zostawić stary telefon komórkowy w domu. Wszystko to wyglądało według Ethana na niedorzeczną szpiegowską grę, lecz mimo to, zdążając do parku, obejrzał się kilka razy za siebie, choć nie zauważył nikogo, kto mógłby go śledzić. Banfield, stary dziennikarz, przez telefon sprawiał wrażenie, że wie, co mówi, więc Ross z ociąganiem rzucił swoją starą komórkę na łóżko. Sięgnął po nową i wyszedł z domu, aby rozpocząć coś, co Banfield w przenośni nazwał „sterylnym wypadem”.

Dotarł do celu po trzech kwadransach. Było już południe. Gdy tylko wszedł do parku, zauważył, że miejsce, w którym spotkał się poprzednio ze swoimi współpracownikami, jest zajęte. Oprócz volkswagena Banfielda na małym parkingu stało kilka innych samochodów. Siedziały w nich osoby obojga płci zajęte lunchem przywiezionym w papierowych torbach. Wokół armaty z czasów wojny secesyjnej uwijało się dwudziestu kilku czwartoklasistów, którym przewodzili nauczycielka i strażnik parku, a ścieżką przechadzała się trzymająca się za rękę para młodych ludzi w wojskowych mundurach polowych. Mimo lat spędzonych w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego Ethan nie potrafił jednak jednoznacznie określić ich przynależności do konkretnej formacji.

Przez chwilę obawiał się, że każda z osób przebywających w parku – z wyjątkiem czwartoklasistów – pracuje dla FBI i przybyła tu tylko po to, aby złapać go na gorącym uczynku. Odrzucił jednak tę myśl, ponieważ nie miał przy sobie niczego, co mogłoby go obciążyć. Wcześniej Banfield powiedział mu, że da mu umówiony znak, gdyby cokolwiek wskazywało na możliwość zakłócenia ich prywatności.

Banfield i Bertoli stali przy armacie, dokładnie w tym samym miejscu co poprzednim razem. Ethan zaczął wypatrywać sygnału. Banfield trzymał pod pachą gazetę, którą miał upuścić, informując w ten sposób Rossa, że nie może się zatrzymać i powinien pójść przed siebie. Zbliżając się do armaty, Ross zauważył, że gazeta pozostała pod pachą dziennikarza.

– Jesteś absolutnie pewien, że nikt cię nie śledził? – zapytał go Banfield.

– Jasne, że nie jestem – odpowiedział Ethan. – To znaczy: nie sądzę. Nikogo nie zauważyłem, ale jestem człowiekiem od zajmowania się polityką w Białym Domu, a nie tanim prywatnym detektywem.

Bartoli postanowiła zmienić temat i zapytała:

– Czym się tak dziś martwisz, Ethanie? Badaniem na wariografie?

– Myślę, że nie sprawiło mi problemów – odpowiedział Ross. – Gorsze jest to, że spec z FBI chciał wiedzieć, czy wcześniej nie zażyłem leków powstrzymujących pocenie.

Banfield skrzywił się.

– Powiedziałeś mi oczywiście, że nie? – zapytał z poważnym wyrazem twarzy.

– Oczywiście, właśnie tak mu powiedziałem, ale chyba tego nie kupił.

– Mógł strzelać w ciemno – oświadczył Banfield, lecz Ethan nie zauważył przekonania w jego głosie.

– No i jeszcze dzisiaj: agent specjalny Albright – poinformował Ross. – Po prostu przyszedł i zaczął mnie przesłuchiwać. Pytał i pytał. Zapytałem go, czy będę potrzebował prawnika, i dopiero wtedy przestał mnie naciskać, ale jest bardzo podejrzliwy. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Ludzie z FBI mogli tak potraktować każdego, kto miał dostęp do tajnych dokumentów – powiedział Banfield.

– Być może, ale Albright powiedział, że przesłucha Eve, żeby się przekonać, czy mogła mi coś powiedzieć o sposobach dotarcia do plików dotyczących flotylii pokojowej. Eve nigdy by mnie nie zdradziła, ale... Albright jest dobry. Mógłby namieszać jej w głowie i nakłonić ją do powiedzenia czegoś, co uczyniłoby go jeszcze bardziej podejrzliwym.

Cała trójka zamilkła na chwilę, zastanawiając się nad sytuacją.

– Możemy się dowiedzieć, czy FBI naprawdę się tobą interesuje albo czy Albright próbował cię tylko zdenerwować – powiedział Banfield.

– W jaki sposób?

– Jeśli rządowi wzięli cię na celownik, to będą chcieli cię inwigilować – wyjaśnił dziennikarz. – Mam nadzieję, że nie zaczęli jeszcze tego robić, a gdyby nawet, to raczej zgubiłeś ogon, kiedy poruszałeś się dzisiejszą trasą.

– Powtarzam, że niczego nie zauważyłem.

– Nic nie jest pewne, synu – rzekł Banfield. – Na ulicach mogło być kilka samochodów jeżdżących tam i z powrotem, kiedy prowadziłeś swojego mercedesa. Pół tuzina, a może więcej, mężczyzn i kobiet, kiedy szedłeś pieszo. FBI może zainstalować pluskwy w twoim telefonie domowym i biurowym, a nawet uzyskać sądową zgodę na dostęp do twojej komórki.

– Jezu Chryste...

– Uspokój się – powiedziała Gianna. – Harlanie, mówisz o najgorszym z możliwych scenariuszy. Jeszcze nie wiemy, czy ktoś zaczął już śledzić Ethana.

– Oto, co zrobimy – odparł Banfield. – Ethanie, pokrążysz trochę po mieście jak gdyby nigdy nic, a ja z kolei pokręcę się za tobą.

– I co? – zapytał Ross.

– I sprawdzę, czy nikt cię nie śledzi.

– Czy będziesz w stanie...

– Jasne, że będę. Nie wypadłem sroce spod ogona. Mówiłem ci już, że nie pierwszy raz zajmujemy się takimi rzeczami. Kiedy możemy przeprowadzić mały test?

Ross zerknął na zegarek i powiedział:

– Wziąłem wolne na resztę dnia. Umówiłem się z dentystą na pierwszą.

– To dobrze. Kup sobie słuchawkę bezprzewodową, abyśmy mogli kontaktować się przez twój nowy telefon, wróć do samochodu i jedź na wizytę. Jeśli ktoś cię śledził, ale potem zgubił, to będzie wiedział, gdzie się znowu pojawisz. Gdy tylko wyjdiesz od dentysty, pokieruję cię w miejsce, w którym będę czekał, żeby rozpoznać kogokolwiek z FBI, kto mógłby się tobą interesować.

Ethan skinął głową w roztargnieniu. Gianna postąpiła krok do przodu i uściskała go, mówiąc:

– Miejmy nadzieję, że wszystko gra.

Ethan uznał to za wielkie niedopowiedzenie.

– Jeśli jednak masz jakiegokolwiek powody do obaw, to poczynimy niezbędne kroki, aby zapewnić ci bezpieczeństwo – dodała Bertoli. – Odpręż się tylko i zaufaj mi, proszę.

Ethan spojrział jej w oczy i pomyślał o swojej matce, chociaż Bertoli była od niej o dwadzieścia lat młodsza.

– Ufam ci – powiedział.

– Musisz się pospieszyć, żeby zdążyć do dentysty – przypomniał mu Banfield.

Dominic spędził pół godziny, siedząc przy kuchennym stole i przesyłając materiały z telefonu komórkowego do laptopa, który miał przeanalizować zapisy i podzielić je na kategorie. Oznaczało to o wiele więcej pracy dla komputera niż dla niego. Czekał na załadowanie danych, Dom uruchomił program do śledzenia nadajnika GPS zainstalowanego pospiesznie pod zderzakiem czerwonego mercedesa i zaczął namierzać samochód.

Przyjrzał się mapie i odczytał dane, które powiedziały mu, że mercedes Rossa stał na parkingu przy Washington Circle ponad pięćdziesiąt minut. Mogło to znaczyć, że ktoś, z kim Ross miał się spotkać, mieszkał lub pracował w tamtej okolicy. Byłaby to naprawdę zła wiadomość, ponieważ oznaczało to, że liczba możliwych miejsc na spotkanie się faceta mającego dostęp do tajnych informacji i podzielenie się nimi z kimś, kto nie był do tego uprawniony, była wręcz nieograniczona. O kilka kroków dalej na północ znajdował się Embassy Row – fragment Massachusetts Avenue z licznymi ambasadami i innymi placówkami dyplomatycznymi. Dom domyślał się, że na tym niewielkim obszarze można było spotkać więcej wrogów Ameryki niż w jakiegokolwiek innej okolicy Stanów Zjednoczonych.

Dom zrozumiał też, że się zapędził, gdy przyjął założenia oparte na mnóstwie domysłów. Zwalczył więc w sobie chęć spekulowania na wyrost bez sprawdzenia konkurujących teorii, które dotyczyły tego, co robił obecnie Ross.

Wpisał hasło „gabinety dentystyczne” w wyszukiwarce map Google i zobaczył pół tuzina adresów w pobliżu parkingu, na którym stał mercedes Rossa.

Cholera! Wiedział przecież tylko tyle, że Ross chciał pójść do dentysty, żeby oczyścić i wybielić sobie zęby.

– Nie – powiedział głośno. Urywki rozmowy telefonicznej, którą podsłuchał w Georgetown, utwierdziły go w przekonaniu, że Ross zamierzał spotkać się z kimś innym. „Właśnie, kurwa, teraz!” nie było czymś, co się mówi rejestratorce z gabinetu dentystycznego. Dla Rossa musiał to być stan wyższej konieczności, a zadaniem Doma było sprawdzenie, czy miało to coś wspólnego z dochodzeniem w sprawie wycieku informacji o SS „Ardahan”.

Dom wiedział, że nie były to dowody, które wystarczyłyby Albrightowi. Nie zamierzał nawet

informować go o tym, czego się dowiedział, ponieważ zasygnalizowałoby to FBI, że wszedł do gry i zaczął się wtrącać do dochodzenia. Dom pomyślał o telefonie do Davida, lecz nie zebrał niczego, czym mógłby się zająć Mosad. Znalazł podejrzenie zachowującego się człowieka, który zażądał potajemnego spotkania z... kimś.

Nie było to wiele, lecz wystarczająco dużo dla Doma. Postanowił mieć Rossa na oku i zacząć go śledzić najlepiej jak potrafił. Był jednak zupełnie sam, a to nie ułatwiało mu zadania. Pomyślał, że mógłby ostrożnie inwigilować Rossa w ruchu, jeżdżąc za jego czerwonym mercedesem. Przypiął sobie kaburę na szelkach i sprawdził, czy smith & wesson wygodnie ułożył się mu pod ramieniem. Włożył grubą skórzaną kurtkę i sięgnął po kask motocyklowy i kluczyki. Uruchomił w telefonie aplikację, która pozwalała mu śledzić Rossa na drodze, a potem zszedł na dół, gdzie czekało na niego suzuki TU250.

Dom dotarł na parking przy Washington Circle w chwili, gdy Ethan Ross wygramolił się z taksówki kilka metrów od swojego samochodu.

Wydało się to Caruso podejrzanie jak cholera. Dlaczego Ross zostawił swój pojazd i pojechał dokądś taksówką? Z pewnością nie tak wygląda scenariusz wyprawy do gabinetu dentysty.

Dom okrążył pobliski kwartał budynków, żeby dać Rossowi czas na zajęcie miejsca w samochodzie. W chwili gdy wracał, Ross wjeżdżał na rondo otaczające park, pośrodku którego wznosiła się statua Waszyngtona. Dom spodziewał się, że Ross pojedzie ulicą K na zachód, w stronę Georgetown, lecz ku swemu zaskoczeniu zobaczył coś wręcz odwrotnego: Ross zjechał z ronda i podążył ulicą K na wschód.

Pomknął za Rossem, od którego oddzielało go kilka pojazdów. Trzymał się w oddali, mimo że przyciemniona szyba kasku i spora odległość i tak nie pozwoliłyby Rossowi rozpoznać jego twarzy – nawet gdyby ten rozglądał się w poszukiwaniu ogona.

Dom nie spuszczał oka z widocznego z daleka czerwonego mercedesa przez całą drogę do Chinatown. Ross wysiadł tam na zadaszonym parkingu oddalonym o jedną przecznicę na północ od Verizon Center i zapłacił jedenaście dolarów za godzinę postoju. Dom miał szczęście: znalazł wolne miejsce na nieodległej ulicy. Zostawił tam motocykl, ale nie spuszczał oczu z wyjścia z parkingu. Ross pojawił się w nim po minucie. Nie poszedł jednak do Dzielnicy Chińskiej. Zaczął się od niej oddalać, maszerując ulicą H na wschód. Przeszedł obok biurowców, mijając wejście po wejściu, i kierował się na wschód, w stronę Alei Massachusetts. Dom śledził go, idąc drugą stroną ulicy i trzymając się z tyłu. Był niezwykle czujny, gdyż zdawał sobie sprawę, że Ross mógłby w każdej chwili sprawdzić, czy nie ma niechcianego towarzystwa. Mógł przecież wybrać tę trasę specjalnie, aby przekonać się, czy nikt go nie obserwuje, lecz Dom zachowywał się tak ostrożnie, że czuł się wystarczająco bezpieczny jako ogon.

W końcu, po piętnastu minutach wędrówki, Caruso zrozumiał, że Ross zmierza w stronę dworca Union Station. Pomyślał, że jego cel postanowił zejść do podziemi metra tuż przy stacji, co z pewnością utrudniłoby obserwację, a może nawet uczyniłoby ją niemożliwą, lecz Ross wszedł do budynku dworca. Miał ze sobą tylko niewielką skórzaną torbę zawieszoną na ramieniu. Dzięki niej Dom wywnioskował, że tego popołudnia Ross nie zaplanował wypadu z miasta.

Pomyślał, że Ross przybył na stację, aby przy świadkach spotkać się z kimś przy późnym lunchu albo odbyć potajemną rozmowę gdzieś na boku. W pierwszym przypadku Dom musiałby tylko zająć odpowiednie miejsce, mieć go na oku i zobaczyć jego współbiedniaka. W drugim – sytuacja mogłaby się bardzo skomplikować. Dom był realistą. Union Station była zbyt rozległa, by jej obserwacją mógł się zająć jeden człowiek: liczyła dziesiątki korytarzy, sklepów, restauracji oraz toalet i przewijało się przez nią mnóstwo pociągów.

Dom nie zamierzał jednak trzymać się Rossa tak blisko, aby widzieć wszystko jak przez lupę. Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach.

Gdy tylko Ross wszedł do środka drzwiami przy stacji metra, Dom pognał do wejścia od strony Massachusetts Avenue i wkroczył do wielkiej hali głównej dworca. Było już po czternastej i tłumy waszyngtończyków urządzających sobie przerwę na lunch między pierwszą a drugą znacznie się przeczadziły.

Z mniejszej, zachodniej hali Ross wszedł do hali głównej. Minął Dominica w odległości kilkunastu metrów, ale nawet nie spojrział w jego stronę. Dom obserwował go kątem oka. Ross obszedł okrągłą Center Café górującą nad marmurową posadzką, a potem wkroczył na promenadę handlową na głównym poziomie budynku.

Dom podążał za nim. Trzymał się na tyle daleko, że mógł łatwo stracić cel z oczu, gdyby Ross zaczął stosować uniki, a równocześnie dostatecznie blisko, aby mieć go bez przerwy w polu widzenia, o ile Ross zachowywał się normalnie.

Ross zdawał się nieświadomie współpracować z Domem. Gdy wszedł do księgarni, aby przekartkować kilka książek, Caruso zatrzymał się po drugiej stronie holu i wszedł do sklepu odzieżowego, w którym stały wieszaki z ubraniami – na tyle wysokie, aby mógł się za nimi schować – oraz lustro, w którym odbijał się Ross stojący przy książkowym regale.

Po kilku minutach Ross opuścił księgarnię, w której jednak nie kupił żadnej książki, i wszedł na schody wiodące na pełną sklepów antresolę.

Dom postanowił nie ruszać się z miejsca i nie spuszczać oka ze schodów. Gdyby Ross umówił się z kimś na antresoli, Dom nie mógłby niczego zobaczyć. Wiedział jednak, że inwigilacja jest grą przebiegającą zgodnie z zasadą „coś za coś”, i absolutnie nie chciał spłoszyć Rossa i sprowokować go do jakiegokolwiek reakcji.

Przystanął pomiędzy dwoma ciągami schodów łączących parter z antresolą i udając, że telefonuje, czekał na powrót Rossa. Obserwował także wszystkich, którzy wspinali się po schodach na górę. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety w biznesowych strojach, zabijający czas w oczekiwaniu na pociąg do Nowego Jorku, Baltimore, Richmond lub Filadelfii. Były również młode matki zmagające się z wózkami, a także wolno idąca starsza para, którą szybko wyprzedziło dwóch odzianych w dresy dwudziestoparolatków z plecakami.

Kilka minut później na schodach po przeciwnej stronie ciągu handlowego pojawił się Ethan Ross. Caruso nie ruszył się z miejsca, gdy ten, przemierzywszy cały hol, przeszedł obok niego. Potem dyskretnie podążył za Rossem, który wszedł do sklepu z odzieżą i minął lustrzaną ścianę przy wejściu.

Dopiero wówczas, spojrzawszy w lustro, Dom zauważył bezprzewodową słuchawkę na prawym uchu Rossa. Ethan zdawał się z nikim nie rozmawiać, lecz Dom nie mógł być tego całkowicie

pevien.

Zauważył już, że Ross nie zrobił niczego, co mogłoby wskazywać, że obawiał się ogona. Nie spojrział nawet w lustro na ścianie, aby sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi.

Dom, powoli łączący fragmenty układanki, zrozumiał nagle, że tworzą one całość: powiązał beztroską przechadzkę Rossa z jego brakiem zainteresowania tym, co się dzieje dookoła, i bezprzewodową słuchawką w jego uchu.

Ross spodziewał się ogona, lecz to nie on go wypatrywał. Był jeszcze ktoś: jego sprzymierzeniec, który miał go na oku, a – dokładniej – wypatrywał każdego, kto mógł podążać za Rossem.

Caruso pomyślał, że ktoś właśnie mu się przygląda, i poczuł gęsią skórę na przedramionach.

Dom zaczął analizować swoje postępowanie w ciągu minionych trzydziestu minut. Im intensywniej to czynił, tym bardziej był pewien, że do tej pory postąpił zgodnie z zasadami inwigilacji. Nie wszedł za Rossem na antresolę ze sklepami, a później pozwolił mu się minąć i oparł się pokusie pójścia za nim krok w krok. Caruso był przekonany, że gdyby ktoś – ktokolwiek i gdziekolwiek – go obserwował, to ów ktoś starałby się do niego zbliżyć i dokładniej mu się przyjrzeć. Był pewien, że nie odkrył kart i nie dał po sobie poznać, że depcze komuś po piętach.

Ross wyszedł właśnie ze sklepu z ciuchami, w którym niczego nie kupił, i skierował się ku schodom prowadzącym na parter, w kierunku restauracyjnej części dworca.

Wiedziony pierwszym odruchem, Caruso miał ochotę wynieść się z Union Station, zanim ktoś, kto mógł go mieć na oku, poinformuje Rossa o śledzącym go gościu w motocyklowej kurtce. Dom ruszył przed siebie, lecz po kilku krokach zmienił zdanie. Uznał, że najlepszym ruchem będzie uczynienie czegoś, co sprawi, że jego obecność na dworcu wyda się zupełnie przypadkowa. Pomaszerował zatem schodami w dół, a potem zrównał się z Rossem i wyprzedził go, niemal się o niego ocierając. Pomyślał, że tak nieskrywane zachowanie rozwieje wszelkie podejrzenia potencjalnego obserwatora i upewni go, że motocyklista nie ma nic wspólnego z Rossem.

Dom stanął w kolejce przy stoisku z gyrosem i przez następne trzy minuty zmuszał się do patrzenia przed siebie. Miał nadzieję, że sprawi w ten sposób wrażenie, iż nie interesuje go nic poza lunchem. Zamówił kebab z baraniny i colę i zapłacił z góry, a później czekał już tylko na gotowe danie: spoglądał wyłącznie na stoisko albo spuszczał wzrok na swój telefon. Rozejrzał się po wielkim wnętrzu, dopiero gdy otrzymał przekąskę i napój, lecz zrobił to tak, jakby chodziło mu wyłącznie o znalezienie białego plastikowego krzesła przy stoliku stojącym w pobliżu środkowych schodów.

Omiotł otoczenie krótkim spojrzeniem i ponownie zaczął się wpatrywać w swój lunch. Podczas szkolenia nauczył się wykorzystywać mózg jak kamerę i zapamiętywać obrazy z fotograficzną dokładnością. Zabierając się do jedzenia, analizował właśnie taki niby-zdjęcie, które właśnie zrobił. Miał przed sobą jakieś pięćdziesiąt stolików, stoiska z jedzeniem po prawej stronie, korytarz prowadzący do toalet po lewej i idącego w ich stronę Ethana Rossa.

Pociągnął łyk coli i ponownie spojrzał przed siebie. Popatrzył obojętnym wzrokiem i stwierdził, że Ethan zniknął mu z oczu. Mimo to nie mógł za nim pójść. Nie uczyniłby tego, nawet gdyby nie podejrzewał, że Ross może mieć niewidocznego współnika, który żeby zdekonspirować Doma, kazał Rossowi iść do toalety.

Nic z tego. Caruso zdecydował, że pozwoli Rossowi wysikać się w samotności.

Odgryzł kolejny kawałek kebabu, lecz nagle znieruchomiał, bo ujrzał przed sobą coś interesującego: idącego w stronę toalet trzydziestoparoletniego mężczyznę w grafitowym garniturze i płaszczu. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie to, że ten człowiek wymienił szybkie, lecz

zauważalne spojrzenie z dwoma młodymi mężczyznami jedzącymi pizzę przy jednym ze stolików. Sekundę później Dom zdał sobie sprawę, że to ci sami odziani w sportowe stroje młodzieńcy, których widział na schodach, gdy dziesięć minut wcześniej szedł za Rossem.

Mężczyzna w garniturze zdawał się nie mieć z nimi nic wspólnego, gdyż Dom nie widział ich wcześniej razem, ale w jego spojrzeniu dało się zauważyć wahanie, a nawet niepokój.

Dla Caruso takie spojrzenie oznaczało: czy powinienem za nim pójść?

Po chwili mężczyzna faktycznie ruszył w stronę toalet.

Dom, dyskretnie wypatrujący kogoś, kto mógłby go obserwować, doszedł do wniosku, że ci ludzie nie współpracowali z Rossem. Ich wzrok powiedział mu wszystko: byli jego ogonem.

Drugim ogonem, poprawił się zatem w myślach Dom. Musieli to być agenci FBI śledzący Rossa, co doprowadziło Caruso do wściekłości. Miał ochotę grzmotnąć pięścią w ścianę, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Doskonale wiedział, że ewentualny pomocnik Rossa mógł bez trudu dostrzec mężczyznę w garniturze znikającego w bocznym korytarzu. Oznaczało to, że Ross mógł wpaść w popłoch i się przyczać, co znacznie utrudniłoby udowodnienie mu czegokolwiek.

Dom wyjął telefon i wybrał jeden z numerów zapisanych w pamięci urzędnika. Po kilku sygnałach usłyszał męski głos:

– Albright.

– Niech to szlag, Darren! Twoi chłopcy chcą wszystko spierdolić! – wyszeptał zdenerwowany Caruso, choć nie było nikogo w pobliżu.

– Moi... chłopcy? Jacy chłopcy?

– Posłuchaj! Ludzie z ogona Rossa muszą się wycofać, bo Ross próbuje wymacać ogon, ale ma do tego pomagiera. Twój zespół stara się trzymać zbyt blisko. Cholera, jestem pewien na dziewięćdziesiąt procent, że jest już za późno. Jeden z twoich ludzi dał się wciągnąć w wąskie gardło.

– Gdzie jesteś?

Dom westchnął i odpowiedział:

– Na Union Station. Przy stoiskach z jedzeniem.

– Śledzisz Ethana Rossa?

– Tak, i robię to, kurwa, o wiele lepiej niż twoja grupa.

– Powiedziałem ci już, żebyś trzymał się z daleka od dochodzenia, a ty się na to zgodziłeś. I jeszcze wisienka na torcie: Ross nie jest nawet objęty naszym dochodzeniem.

– Skoro nie, to dlaczego wasz ogon...

– Nie wysłaliśmy za nim żadnego ogona!

Dom spojrzał na dwóch młodych mężczyzn przy stoliku. Wstali i poszli w stronę schodów, przebijając się przez niezbyt gęsty tłum. Dom spodziewał się, że wejdą na górę i znajdą sobie miejsce, z którego będą mogli obserwować Rossa.

– Więc kim, do diabła, są ci goście? – zapytał.

Albright nie odpowiedział na jego pytanie. Rzekł za to:

– Chcę, żebyś wrócił teraz do domu. Wpadnę do ciebie później i porozmawiamy o tej sprawie.

– Więc ogon Rossa to nie ludzie z FBI? – zapytał Caruso. – Jesteś tego pewien na sto procent?

– Teraz nie chcę z tobą rozmawiać o jakichkolwiek szczegółach dochodzenia, bo nie dotrzymałeś

umowy – odparł Albright. – Dlatego wycofaj się i przestań chodzić za cywilami, którzy prawdopodobnie są niewinni. Mogę też potwierdzić, że – przysięgam na grób mojej matki – nie wysłałem żadnej grupy, która miałaby śledzić Ethana Rossa.

– Co zamierzasz zrobić w związku z tymi gośćmi?

– Radzę ci skontaktować się z Radą Bezpieczeństwa Narodowego. Jeśli mają tam jakieś problemy związane z naruszeniem zasad bezpieczeństwa przez któregoś z pracowników, to muszą się tym zająć – rzekł Albright i rozłączył się.

Dom przewrócił oczyma. Jasne, Albright nie uwierzył, że jego podejrzenia mogły być uzasadnione.

Dwaj młodzi mężczyźni zniknęli, a Caruso zaczął analizować ich wygląd. Obaj mieli ciemne włosy i lekko oliwkową cerę, lecz mogli pochodzić na przykład ze Skandynawii. Mężczyzna w grafitowym garniturze był szpakowaty i nieco bledszy, choć także nie miał zupełnie jasnej karnacji.

Aparycja całej trójki nie pozwoliła Domowi na wyciągnięcie jednoznacznych wniosków.

W korytarzu prowadzącym do toalet pojawił się Ross. Dominic spuścił wzrok na swoją przekąskę, a gdy poniósł go pół minuty później, Rossa już nie było. Najwyraźniej wszedł na górę schodami na przeciwnym końcu parteru.

Caruso nie podążył jego śladem. Uznał, że wydarzyło się już zbyt wiele, i postanowił spokojnie dokończyć lunch, a potem wrócić do domu.

Odgryzł kolejny kawałek kebabu, ale poczuł, że stracił apetyt. Myśląc o Rossie i jego pomocnikach, a także o tym, że Ross wiedział, iż jest podejrzany, i zacznie zaraz zachowywać się tak, aby się niczym nie zdradzić, poczuł zawirowanie w żołądku. Wstał i wrzucił resztki jedzenia do stojącego obok kosza, a potem ruszył do najbliższych schodów.

Tuż przed nim pojawił się przysadzisty starszy mężczyzna w płaszczu z wielbłądziej wełny. Dom musiał zwolnić, aby pozwolić mu przejść.

Stał na pierwszym stopniu schodów i spojrzał w górę. Dostrzegł dwóch umundurowanych policjantów z metra schodzących w jego kierunku. Jeden z nich mówił coś do mikrofonu na naramienniku, obaj poruszali się zdecydowanym krokiem i wydawało się, że skierowano ich na parter w określonym celu.

Dom niemal instynktownie odwrócił się i zaczął się oddalać od schodów.

Natychmiast domyślił się, że pojawienie się w tym miejscu lokalnej policji było zasługą Darrena Albrighta.

Zadaniem policjantów nie było jednak zatrzymanie Rossa. Nie mieli oni także zatrzymać tego, kto mu pomógł, ani idących za nim mężczyzn.

Mieli zatrzymać Caruso.

– Pieprzony Albright – wymamrotał do siebie Dom.

Minął korytarz prowadzący do toalet po lewej i pomaszerował w kierunku schodów w zachodniej części parteru. Gdy znalazł się kilka kroków od nich, szybko odwrócił się plecami i udał, że korzysta z bankomatu.

Dwóch kolejnych policjantów z posterunku metra zeszło zachodnimi schodami na parter i minęło Doma, niczego nie podejrzewając. Gdy się oddalili, Caruso pognał schodami w górę, aby po chwili opuścić Union Station.

Zgodnie z podejrzeniami Doma pomocnik Rossa wypatrył mężczyzn, którzy deptali Ethanowi po piętach. Harlan Banfield usiadł naprzeciwko Caruso, na ławce obok naleśnikarni. Zajął jednak miejsce tuż za kolumną, kryjąc się przed wzrokiem Doma.

Banfield uznał młodych ludzi za agentów FBI, lecz uczynił to zbyt pochopnie, pod wpływem sugestii Rossa, przekonanego, że kręcą się za nim federalni.

Banfield utrzymywał stały kontakt z Ethanem, ale nie poinformował go, że ktoś podąża jego tropem. Kazał mu tylko rozpocząć odwrót do samochodu zaparkowanego w Chinatown i obiecał, że powie mu, co będzie musiał zrobić później. Gdy Ethan wyszedł z toalety i znalazł się na schodach prowadzących na główny poziom dworca, Harlan wszedł na schody obok i zaczął się po nich wdrapywać, mijając po drodze młodego mężczyznę w motocyklowej kurtce. Minął także dwóch policjantów pełniących służbę w metrze, lecz nie zwrócił na nich uwagi. Myślał już tylko o tym, co będzie musiał zrobić Ross.

W drodze po motocykl zaparkowany w Chinatown Dom przeszukał kieszenie, wyjął wizytówkę, którą otrzymał poprzedniego ranka od oficera Mosadu, i wybrał numer. David odebrał już po pierwszym sygnale.

– Jak to dobrze, że pan zadzwonił – powiedział. – Czym mogę panu służyć?

– Czy śledzicie kogoś tu, w Waszyngtonie? – zapytał Dom.

David zachichotał i odpowiedział:

– Zadał mi pan bardzo ogólne pytanie. To oczywiste, że śledzimy. Mamy na oku na przykład syryjskich dyplomatów, palestyńskich radykałów i egipskich attaché wojskowych. Wasza stolica jest zdumiewająco wrogim środowiskiem. Przypuszczam jednak, że chodzi panu o konkretną osobę.

– Chodzi mi o kogoś, kto może mieć związek z włamaniem do systemu komputerowego w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego.

– Absolutnie nie – odpowiedział David zdecydowanym tonem. – Jak już panu powiedziałem, mamy nadzieję, że mógłby nam pan w tym pomóc. Staramy się czegoś dowiedzieć na różne sposoby, ale nie mamy jeszcze nic pewnego. Jeśli chce mi pan dać do zrozumienia, że już ma podejrzanego, to będę pod wielkim wrażeniem.

– Tak, mam podejrzanego – rzekł Dom. – Podejrzanego z ogonem.

– FBI?

– FBI twierdzi, że to nie oni.

– To interesujące. Czyżby pańskiego podejrzanego śledził ktoś inny?

– Na to wygląda.

– Jak nazywa się ten człowiek? – zapytał David. – Mogę mu się przyjrzeć.

Dom się zawahał. Nie, nie był jeszcze gotów na zaangażowanie w całą tę sprawę Mosadu, który stałby się kolejną częścią coraz bardziej komplikującej się układanki. Postanowił, że będzie lepiej, jeśli utrzyma Mosad na dystans, przynajmniej na razie. Zobaczymy...

– Na razie to tylko podejrzenie – oświadczył. – Odezwę się, gdy dowiem się czegoś więcej.

– Jeśli twierdzi pan, że ów człowiek jest obserwowany, to chodzi tu o coś więcej niż tylko podejrzenie. Proszę skorzystać z naszej pomocy, Dominicu, a my wykorzystamy swoje źródła, aby go sprawdzić.

– Zadzwoń do pana – rzekł Caruso.

Rozłączył się i ruszył przed siebie. David miał rację: Ethan Ross był więcej niż podejrzany. Teraz jedyną rzeczą, której Dom mógł spróbować, było przekonanie o tym agenta specjalnego Darrena Albrighta.

Po godzinie włączenia się Rossa po rozmaitych sklepach i stoiskach, tak by udawać, że jest tu na zwykłej przechadzce, Banfield nie zauważył jakichkolwiek oznak świadczących o inwigilowaniu jego informatora. Mimo to wciąż było dla niego jasne, że agenci FBI podjęli co najmniej próbę monitorowania ruchów Ethana.

O piętnastej trzydzieści Banfield zadzwonił do Rossa i kazał mu przyjechać na podziemny parking w Columbia Heights. Na miejscu Ethan przesiadł się do samochodu Banfielda. Mężczyźni ruszyli zapchanymi o tej porze ulicami do hotelu Ritz-Carlton przy 22. ulicy i zatrzymali się na jego podziemnym parkingu.

Ethan został w samochodzie, a Banfield udał się do dwupokojowego apartamentu Gianni Bartoli. Sprawdził klatkę schodową i upewnił się, że droga jest bezpieczna, a następnie wrócił po Rossa.

Przed rozpoczęciem rozmowy Bertoli zwiększyła siłę głosu w telewizorze i odkręciła kurki nad wanną oraz pod prysznicem, a potem cała trójka usiadła w salonie na krzesłach blisko przysuniętych do siebie. Bertoli nie podejrzewała wprawdzie, że ktoś ją śledzi, ale jako szefowa International Transparency Project nauczyła się podejmować kroki mające uchronić jej prywatność.

Dopiero gdy usiedli z lampkami wina w dłoniach, Banfield poinformował Rossa, że nie ma wątpliwości, iż śledzili go agenci FBI.

Oczy Rossa zaszklily się.

– Jesteś tego pewien, Harlanie? – zapytała Bertoli.

– Tak. Zauważyłem co najmniej trzech mężczyzn idących za nim przez Union Station. Potem udało nam się wymknąć i nikt go już nie śledził. Ale to, że miał ogon, pozostaje faktem.

– Cholera... – wymamrotał Ethan.

Banfield spojrzał na niego i przybrał mniej zatroskany wyraz twarzy.

– Tyle złych wieści – powiedział. – Teraz pora na dobre. Skontaktowałem się z jednym z moich informatorów. To osoba, która ma dostęp do akt pracowników federalnych. Poprosiłem ją o sprawdzenie dokumentów dotyczących zatrudnionych w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego i okazało się, że nikomu z personelu nie ograniczono uprawnień związanych z bezpieczeństwem. Dlatego myślę, że twój dzisiejszy ogon to tylko przymiarka z strony FBI. Agenci są podejrzliwi i nie przestaną drążyć, ale na razie nie mają konkretnego punktu zaczepienia, aby zrobić coś więcej, niż cię śledzić.

Banfield starał się pocieszać Ethana, który miał wrażenie, że jego całe życie wali się w gruzy. Nigdy nie zostałyby zrozumiany przez rodzinę. Rodzice być może staraliby się zrozumieć ideologiczne pobudki, którymi się kierował, lecz jako lojalni Amerykanie i byli pracownicy rządu uznaliby go, podobnie jak reszta świata, za zdrajcę.

Ethan odchylił głowę i zapatrzył się w przestrzeń.

Bertoli uklękła przed nim i objęła go ze współczuciem, tak jakby się znali od lat.

– Co mam teraz robić? – wyszeptał Ethan w jej miękkie kędzierzawe włosy.

Bertoli otoczyła go ramieniem i mocno uścisnęła.

– Musisz zachowywać się naturalnie – odpowiedziała.

– Albright zamierza porozmawiać z Eve i na pewno to wykorzysta – rzekł Ethan. – Eve powie mu, że rozmawialiśmy o słabych stronach systemu, a wtedy mnie aresztują.

– Twoja sytuacja jest poważna i nie mam zamiaru udawać, że jest inaczej – powiedziała Bertoli. – Nie jest jednak beznadziejna, przynajmniej na razie. Problemem jest to, że kiedy naprawdę taka się stanie, będzie już za późno, abyś mógł sobie pomóc.

– Jak mam to rozumieć?

– Jest coś, co musisz zrobić, i to teraz.

– Mówisz o kolejnym cholernym włamaniu?

– Tak. Harlan powiedział mi, że wciąż masz dostęp do systemu. Idź jutro do pracy i skopiuj pliki, a potem zabezpiecz je najlepiej jak potrafisz. Zrób to na wypadek, gdybyś potrzebował asa w rękawie.

Ethan pokręcił głową.

– W ten sposób wykopię sobie jeszcze głębszy grób – odparł. – Będzie lepiej, jeśli już teraz wykorzystam swoje szanse. Jeśli mnie aresztują, wynajmę najlepszego prawnika, na jakiego będzie mnie stać, i zrobię jak najwięcej hałasu. Jeśli będę miał szczęście, to może...

Bertoli położyła dłoń na policzku Rossa i rzekła:

– Mój biedny, naiwny Ethanie. Jeśli cię złapią, to wcale nie staniesz się sławny. Nie będzie wielkiego procesu, podczas którego będziesz mógł wylewać żale.

– To jest Ameryka. Będą musieli postawić mnie przed sądem.

– Nie. – Bertoli pokręciła głową. – Zgnębią cię.

– Zgnębią?

– Uznają cię za zagrożenie dla bezpieczeństwa, umieszczą w szpitalu psychiatrycznym i zaczną faszzerować lekami, poddadzą cię chemicznej lobotomii. A potem o tobie zapomną. Każdy zapomni. Najgorsze w tym wszystkim jest jednak to, że i ty zapomnisz o sobie.

Ethan słyszał już plotki o takim sposobie traktowania niewygodnych ludzi, lecz nigdy w nie nie wierzył. Bertoli wydała mu się jednak całkowicie wiarygodna. Uznał, że nie ma powodu, aby wątpić w jej słowa.

– Co proponujecie? – zapytał.

– Skopiuj dokumenty, a potem zniknij z miasta – rzekł Banfield. – Wyjedź tam, gdzie będziesz mógł uniknąć aresztowania i grać na swoich, a nie na ich zasadach.

– Mógłbym pojechać do matki, do San Francisco.

Bertoli pokręciła głową, mówiąc:

– Nie, Ethanie. Mówimy o wyjeździe za granicę i znalezieniu bezpiecznego azylu.

Ross podparł głowę rękoma.

– Azylu? Nie. O Boże, nie... – wymamrotał do siebie.

Patrzył wzrokiem człowieka pogrążonego w szoku, jakby przygniótł go cały ciężar sytuacji, w której się znalazł.

W dłoni Bertoli pojawił się pendrive z napisem NASCAR. Wcisnęła go Ethanowi, który nawet nie zaprotestował, i powtórzyła:

– Jeśli postanowisz czekać do chwili, w której mógłbyś go potrzebować, to będzie już za późno.

Banfield pochylił się w stronę Ethana i rzekł:

– Mój kontakt poinformuje mnie, jeśli twój dostęp do systemu zostanie zablokowany. Będzie to sygnał, że FBI zamierza cię zaarrestować, ale wtedy będzie naprawdę za późno.

Ethan włożył pendrive'a z pełzaczem do kieszeni marynarki i wstał.

– Nie wiem – powiedział. – Muszę to przemyśleć.

– Okej – odparła Bertoli, mimo że na jej twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia. – Rozumiem.

Kilka minut później Harlan i Ethan opuścili apartament Gianny i wymknęli się tylną klatką schodową na parking.

Pojechali do Petworth. Ethan, który miał tam wsiąść do taksówki, postanowił po drodze, że porozmawia z Eve, aby się zorientować, czy sprawy mają się bardzo kiepsko. Gdyby się okazało, że Albright już z nią rozmawiał i sytuacja uległa pogorszeniu, Ethan pojechałby następnego ranka do swojego biura, aby wykraść tajemnice, które mogłyby posłużyć mu jako karta przetargowa.

Uczyniłby to jednak tylko wtedy, gdyby musiał. Wmawiał sobie, że nad sytuacją panuje on, a nie Bertoli, Banfield albo Albright, i zamierzał zrobić to, co byłoby dla niego najlepsze. Ethan nie wierzył w nic równie mocno jak we własny intelekt i wciąż był przekonany, że uda mu się coś ugrać w tej beznadziejnej z pozoru sytuacji. Być może nie będzie mowy o jego zwycięstwie, na to raczej nie powinien liczyć, lecz może przynajmniej zdołałby zremisować i doprowadzić do odprężenia?

Ethan Ross ufał swojej błyskotliwości. Był przekonany, że uda mu się jakoś wybrnąć z kłopotów bez większego szwanku.

Dom Caruso siedział na kanapie, z opróżnioną do połowy butelką piwa Harp w ręku. Jego telewizor i komputer, które znajdowały się w innym pokoju, były wyłączone. Wcześniej Dom uporządkował nieco salon, ponieważ spodziewał się mającego zjawić się wkrótce gościa.

Siedząc w ciszy, Dom analizował w myślach swoje obrażenia. Bóle głowy zdążyły już ustąpić i był za to bardzo wdzięczny. Wciąż jednak odczuwał nieprzyjemne napięcie mięśni otaczających zębra. Ten ból nie był już wprawdzie tak dotkliwy, lecz nie dawał o sobie zapomnieć: narastał i słabł z każdym wdechem i wydechem. Rany na przedramieniu i piersi goiły się znakomicie i prawdopodobnie nie potrzebowałyby opatrunku po następnym prysznicu, choć mogły paskudnie wyglądać jeszcze przez kilka następnych tygodni.

Dom miał już pewne doświadczenie w radzeniu sobie z urazami. Był dostatecznie twardy, więc otrząsał się z nich psychicznie na długo przed ich fizycznym wygojeniem.

Usłyszał pukanie do drzwi w chwili, w której się go spodziewał. Cztery grzmiące uderzenia zabrzmiały tak, jak to sobie wcześniej wyobraził. Dom nie zerwał się jednak od razu z kanapy. Pociągnął łyk piwa, oparł się wygodnie i czekał na następną serię wściekłych łomotów.

Nie zamierzał spieszyć się do tego, co i tak miało nadejść.

Po kilku następnych uderzeniach usłyszał:

– Caruso!

– Otwarte – odpowiedział.

Po krótkiej chwili w drzwiach pojawił się Darren Albright. Miał granatowy garnitur, lecz nie włożył płaszcza. Zamykając za sobą drzwi, ujrzał Dominica siedzącego na kanapie i niemal rzucił się w jego stronę.

- Usiądź – rzekł Dom, wskazując skórzany fotel, lecz Albright zignorował tę propozycję.
- Umówiliśmy się – warknął.
- Myślałem, że była to raczej dżentelmeńska umowa.
- Ale ty nie jesteś dżentelmenem?
- Bywam nim od czasu do czasu, jasne. Ale nie w tym przypadku.

Albright dyszał, jakby zbierał siły do dalszej rozmowy z nieposłusznym dzieckiem, a potem usiadł i pochylił się ku Dominicowi.

– Nie możesz się wtrącać w nasze dochodzenie – powiedział. – Ethan Ross jest tylko jednym z potencjalnych celów związanych z tą sprawą. Potrzebujemy trochę czasu i musimy porządnie popracować w terenie, żeby namierzyć prawdziwego winowajcę. Wszystko, co przeszkodzi nam w aresztowaniu właściwego człowieka, będzie...

- Myślę, że to Ross jest tym człowiekiem – wtrącił się Dom.
- Jeśli wiesz coś, co doprowadziło cię do takiego wniosku, to chętnie posłucham.

Dom otworzył już usta, lecz Albright szybko podniósł rękę i dodał:

– O ile oczywiście to, co mi powiesz, nie narazi na szwank tego dochodzenia albo nie udaremni wniesienia oskarżenia. Nie wiem na przykład, czy ty i twoi szpiegzy naruszyliście w przypadku Rossa czwartą poprawkę². Jeśli zrobiliście coś, co jest niedopuszczalne jako dowód w sądzie – i, jak sądzę, co przytrafia się za każdym razem, kiedy pracujecie nad jakąś cholerną sprawą – to wyrządź mi przysługę i trzymaj mnie od tego z daleka.

Dom zamknął usta. Nie miał już nic do powiedzenia. Albright zauważył to i rzekł:

– Wspaniale. Po prostu, kurwa, wspaniale! Teraz będę tylko musiał udawać, że nie wiem, że ty i twoi ludzie dokonaliście nieuzasadnionej rewizji i zatrzymania.

– Nieuzasadnionej rewizji i zatrzymania? Cytowanie bełkotu z czwartej poprawki nie pomoże ci w schwytaniu właściwego człowieka.

Albright zerwał się z fotela.

– Ale pomoże w skazaniu winnego! – wrzasnął. – I tylko to się dla mnie liczy! Widzę w twoich oczach, Caruso, że to coś osobistego. Bardzo osobistego. Kiedy szpieg widmo zaczyna tak podchodzić do sprawy, prawo i porządek stają się pierwszymi rzeczami, z którymi przestaje się liczyć.

– Kto powiedział, że jestem szpiegiem, który oficjalnie nie istnieje?

– Zajrzałem w papiery, ale cię nie znalazłem – odpowiedział Albright. – Jestem agentem FBI i potrafię wyciągać wnioski. Wstępując do Biura, składaliśmy przecież tę samą przysięgę. Zobowiązaliśmy się do przestrzegania i obrony konstytucji Stanów Zjednoczonych przed wszystkimi wrogami, zewnętrznymi i wewnętrznymi. Kiedy ostatnio do niej zajrzałem, czwarta poprawka wciąż była jej częścią.

- Różnimy się taktyką działania, ale ścigamy tego samego wroga – odparł Dom.
- Ty ścigasz Rossa, a ja nie wiem, kto jest tym wrogiem – odgryzł mu się Albright.
- Ciągłe nie wiesz, kto chodził za Rossem na Union Station?
- Wiem.

– Kto? – zapytał Caruso, rozpromieniwszy się nagle.

– Ty!

Caruso opadł na kanapę i przewrócił oczami.

– Czy możemy już z tym skończyć? – zapytał. – Powtarzam, że ktoś jeszcze interesuje się Rossem.

Dom po raz pierwszy odniósł wrażenie, że Albright potraktował jego słowa poważnie, gdyż powiedział:

– Jeśli Ross miał ogon, to być może byli to Izraelczycy, którzy węszą wokół Budynku Hoovera. Szukają odpowiedzi. Może się dowiedzieli, że jest człowiekiem, któremu się przyglądamy, i zaczęli obserwować go na własną rękę.

– Nie – odparł Caruso, kręcąc głową.

– Nie?

– Będziesz musiał mi uwierzyć.

– Akurat teraz nie bardzo wierzę w to, co tu usłyszałem.

Dom zaczął zastanawiać się, co powinien powiedzieć, a co przemilczeć. W końcu przemówił, uważnie dobierając słowa:

– Spotkałem niedawno Izraelczyków, którzy zapytali mnie o kilka rzeczy. Stracili dobrego człowieka i są wkurzeni. Chcieli się dowiedzieć, czy mam jakieś informacje. Nie miałem, ale było dla mnie jasne, że oni też niczego nie wiedzieli.

– Skąd wiesz, czy nie dowiedzieli się o Rossie w jakiś inny sposób?

– Strzelali w ciemno, uwierz mi. Nie wiedzą o Ethanie Rossie. Ci, którzy go inwigilują, pracują dla kogoś innego. Nie wiem, kim są, ale jeśli jeden z trzydziestu, a może czterdziestu potencjalnych sprawców przecieków w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego poradził sobie z wariografem, a zarazem jest śledzony przez tajemniczych gości, to Ethan Ross może być twoim najlepszym typem.

Albright skinął głową, przyznając Domowi rację, i powiedział:

– W porządku. Zrobimy tak: jeśli się wycofasz, i to pod każdym względem, to poddam Rossa obserwacji.

– Kiedy? – zapytał Dom.

– Ależ z ciebie niecierpliwy sukinsyn! Najpóźniej jutro przed południem.

– Dlaczego nie teraz?

– Bo to wymaga trochę czasu! Dobrze o tym wiesz, skoro jesteś agentem FBI, a przynajmniej go udajesz. Gdybym był absolutnie pewien, że to Ross jest człowiekiem, o którego nam chodzi, i gdybym wiedział, że z kimś współpracuje, to tak, wykorzystałbym wszystkie możliwości i poddałbym go inwigilacji. Nie wiem jednak ani jednego, ani drugiego. Teraz wrócę do biura i pogadam ze specami od śledzenia, techniki i wszystkimi innymi, którzy są potrzebni do założenia podsłuchu i zorganizowania ogona.

– Niech się tylko postarają. Ross jest już bardzo nerwowy.

– Nie martw się o ogon. To najlepsi ludzie.

Można by o tym podyskutować, pomyślał Dom, lecz się nie odezwał. Agenci FBI byli faktycznie dobrzy i nie było co do tego wątpliwości, ale Dom podejrzewał, że kilka innych amerykańskich agencji dysponowało personelem, który mógłby śmiało konkurować z federalnymi.

– Pozwól, że powtórzę – powiedział Albright, celując palcem w Doma. – Nie zrobię niczego,

dopóki nie dasz mi słowa, że nie będziesz się wtrącał. Nie chodzi mi o słowo dżentelmena, tylko o słowo gościa, który wie, że zostanie aresztowany, jeśli zobaczę go w pobliżu Ethana Rossa. Gównu mnie obchodzi, że twój wuj jest prezydentem. Twój ojciec mógłby być nawet papieżem, a i tak dobrałbym ci się do dupy, gdybyś próbował jeszcze kombinować.

Dom wstał i wyciągnął rękę.

– Obiecuję – powiedział. – Nie będę się wtrącał. Teraz to wasza sprawa.

Albright uścisnął dłoń Caruso, czyniąc to z ociąganiem, ponieważ wciąż był poirytowany, i wyszedł. Udał się do Budynku Hoovera.

Dom wyczytał to z wyrazu twarzy agenta specjalnego FBI. Albright wiedział, że czeka go długa noc.

Ethan wsiadł do taksówki i podjechał do baru przy M Street, oddalonego od jego domu o kilka przecznic. Później przebył resztę drogi na piechotę. Dotarł na miejsce kwadrans przed północą, lecz zatrzymał się jeszcze na kilka minut w parku Volta po drugiej stronie ulicy. Rozglądał się wokół, badając samochody, okna i drzewa w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak inwigilacji.

Po chwili dostrzegł van z logo telewizji satelitarnej zaparkowanego przy ulicy Q tuż przed jego domem. Widok ten wytrącił go z równowagi. Ethan obejrzał już do tej pory ostatecznie dużo programów telewizyjnych i filmów, aby wiedzieć, że agenci FBI często zatrzymują swoje zamaskowane samochody przed domami tych, których obserwują. Zaczął się zastanawiać, czy w nieruchomym pojeździe przebywa trzech czy czterech mężczyzn ze słuchawkami na uszach siedzących przy komputerach i czekających na jego powrót.

Po dziesięciu minutach przestępowania z nogi na nogę zmarznięty Ethan zobaczył mężczyznę w kombinezonie wychodzącego z sąsiedniego domu. Spec od telewizji satelitarnej gawędził jeszcze przez chwilę z damą w drzwiach, a potem wgramolił się do vana i odjechał.

Ethan, zadowolony i nieco zaskoczony tym, że jego dom nie stał się obiektem obserwacji, wszedł na ganek i otworzył drzwi wejściowe. Zgodnie z przyzwyczajeniem przemierzył ciemny salon i zbliżył się do klawiatury alarmu, aby go wyłączyć przed zapaleniem światła.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu stwierdził, że alarm został już wyłączony.

Znowu?

Stał w ciszy, spowity smugą mdłego światła latarni sączącego się przez zasłony i kładącego się na podłodze. Resztę domu spowijały ciemności. Ethan ruszył w stronę lampy stojącej na stoliku przy kanapie, lecz nagle się zatrzymał. Poczł czyjąś obecność.

Zamarł, a potem odezwał się ochryplym głosem:

– Kto... Kto tu jest?

– Coś ty narobił? – zapytała Eve niskim, beznamietnym głosem, pełnym pretensji i oskarżeń.

Paniczny strach przed aresztowaniem, który jeszcze przed sekundą poczuł Ethan, szybko się rozwił i ustąpił miejsca świadomości, że Eve zaczęła go podejrzewać. Co wiedziała? Co powiedziała FBI?

Podszedł do małej lampki i włączył światło. Zobaczył Eve Pang siedzącą na kanapie. Wciąż miała na sobie strój, który wkładała do pracy: długą czarną spódnicę i białą bluzkę. Nie rozpuściła nawet włosów upiętych w kok ani nie zdjęła okularów w kształcie kocich oczu. Ethan rzadko widywał tak ubraną Eve. Gdy gdzieś wychodzili, zazwyczaj pozwalała włosom luźno opadać na ramiona i wkładała soczewki kontaktowe, a jeśli zamierzali zostać w domu, sięgała po jego dresowe spodnie lub koszulę. Tym razem Ethan uznał wygląd Eve za równie niepokojący jak jej głos.

Bez słowa usiadł naprzeciwko. Nie zdjął nawet swojej kurtki narciarskiej i nie odłożył

samochodowego kluczyka dyndającego mu na palcu. Poczł zapach alkoholu – pomyślał, że to wódka – lecz nie zauważył szklaneczki ani butelki. Domyślił się, że Eve musiała sporo wypić, skoro alkohol zaczął ulatniać się przez jej skórę.

- Gdzie zostawiłaś samochód? – zapytał.
- Zaparkowałam z tyłu, żebyś nie wiedział, że tu jestem.
- Dlaczego?
- A gdzie jest twój samochód?

Ethan odchrząknął.

- Przyjechałem taksówką – odpowiedział.
- Widziałam cię przez okno. Nie było żadnej taksówki.
- Ja... złapałem gumę.
- Bzdura! Kłamiesz! Cały czas mnie okłamywałaś!
- Co? Ależ skąd...
- Rozmawiał dziś ze mną agent FBI.

Ethan skinął głową: przyznał w duchu, że Albright powiedział prawdę.

– FBI nie ma żadnych podejrzanych w sprawie przecieku, więc agenci próbują kogoś zrobić – rzekł. – Ale to nie wypali. Wybrali akurat mnie, bo wiedzą, że jesteś specjalistką od zabezpieczeń. Być może myślą, że jesteś w to jakiś sposób zamieszana, ale powiedziałem im, że to czysty nonsens.

- Jestem zamieszana. Może nie?
- Jasne, że nie.

Eve pokręciła głową. W jej oku pojawiła się łza, która spłynęła pod oprawką okularów.

– Człowiek z FBI powiedział mi, w jaki sposób dokonano włamania – powiedziała Eve. – Ktoś zalogował się jako administrator na portalu JWICS Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Musiał to być ktoś z wewnątrz. Wyjaśniałam ci to. Upiłeś mnie wtedy i...

Eve zaczęła płakać, a jej chłodny profesjonalizm ustąpił miejsca emocjom.

– Upijałeś mnie za każdym razem – dodała, łkając. – Myślałam, że się świetnie bawimy i że mnie kochasz. Myślałam, że robimy to, co robią wszyscy kochankowie w Ameryce. Ale chodziło ci tylko o to, żeby zmusić mnie do mówienia...

Ethan zdążył już otrząsnąć się z pierwszego szoku i odzyskał chłodny spokój. Pomyślał, że mógłby wykręcić się od zarzutów, które właśnie usłyszał.

– To nieprawda – powiedział. – FBI próbuje zrobić ci wodę z mózgu, ale nie możesz zacząć myśleć tak, jak tego chcą federalni, bo chodzi im o to, żeby nastawić cię przeciwko mnie. – Oczy Ethana zwęziły się. – Co im powiedziałaś?

Eve nie potrafiła już zapanować nad szlochem.

– Powiedziałam im, że się mylą. Musiałam im to powiedzieć. Nie mogę pozwolić, żeby cię złapali, Ethanie, bo straciłabym wszystko, na co tak ciężko pracowałam. Zdążyłeś już złamać mi serce, ale nie pozwolę ci zniszczyć mojego życia i mojej przyszłości.

– Uspokój się, Eve. Niepotrzebnie dramatyzujesz, nie miałem nic wspólnego z włamaniem.

– Kiedy mówiłam ci o logowaniu się z poziomu administratora, nie wspomniałam ani słowem o audycie punktowym. Nie wiem, dlaczego wtedy o nim nie pomyślałam. Okazuje się, że włamywacz popełnił błąd, bo go nie uwzględnił. Prawdziwy informatyk logujący się jako

administrator musiałby wiedzieć, że audyt jest jedną ze standardowych procedur. Nie... Osoba odpowiedzialna za włamanie ma odpowiednie uprawnienia i dostęp do systemu, ale... – Eve z trudem zdobyła się na smutny uśmiech – brak jej doświadczenia.

Ethan zwarł szczęki i ścisnął kluczyk tak mocno, że jego palce pobielały.

– Nie wiesz, o czym mówisz – rzekł.

Eve zdjęła okulary i zaczęła ocierać oczy chusteczką higieniczną. Ethan poznał po jej wzroku, że jest kompletnie pijana.

– Myślałam, że jesteś mądrzejszy – powiedziała. – Dlaczego postanowiłeś zdradzić? Zdradzają tylko głupcy. Ludzie, którzy wpadają w pułapkę.

Ethan wstał, usiłując utrzymać pod kontrolą narastającą wściekłość.

– Wiem, w jaką pułapkę wpadłeś – mówiła dalej Eve. – To pułapka stwarzania samego siebie. Przeceniłeś swoją inteligencję i swoje znaczenie.

– Nie muszę tego słuchać – odparł Ethan. – Wychodzę. Znajdę sobie jakiś hotel. Możesz tu dziś zostać, bo i tak jesteś zbyt pijana, żeby się stąd ruszyć.

Słowa Ethana zaskoczyły Eve. Zerwała się na równe nogi i rzekła poniesionym głosem:

– Nie! Nie wyjdiesz. Nie skończyliśmy jeszcze rozmowy.

Ethan zdążył już otworzyć drzwi wejściowe i wyjść na ganek, lecz Eve dogoniła go i chwyciła za kołnierz.

Na pustą i słabo oświetloną 34. ulicę wjechał ciemny sedan. Ethan zauważył go, lecz odwrócił się do niego plecami, żeby wepchnąć Eve do mieszkania. Jeszcze raz spojrzął na ulicę. Sedan zatrzymał się na wysokości schodów jego ganku.

Szyba po stronie kierowcy powędrowała w dół. Ethan pomyślał, że to zapewne któryś z sąsiadów albo przypadkowy kierowca, który zauważył jego przepychankę z Eve i postanowił na niego nawrzeszczyć.

Był gotów zrewanżować się tym samym.

Usłyszał jednak coś innego.

– Ross! – zawołał ktoś z wnętrza samochodu.

Ethan zatrzymał się na najwyższym stopniu schodów, a oszalała Eve ponownie wybiegła z domu i wczepiła się w jego plecy.

– Porozmawiaj ze mną, Ethanie! – krzyknęła, zanosząc się płaczem. – Powiedz mi: dlaczego?

Ross już jej nie słuchał. W tym momencie widział jedynie pistolet w ręce kierowcy wystawionej przez okno wozu. Od błyszczącej powierzchni broni odbijało się światło latarni ulicznych. Lufa pistoletu uniosła się i znieruchomiała. Ktoś wycelował do Ethana z odległości nie większej niż dziesięć metrów.

– Proszę! – krzyknęła Eve i od tyłu chwyciła Ethana za ramię.

Ross zrobił unik.

Na końcu lufy pojawił się błysk, a potem rozległ się głuchy odgłos, nie głośniejszy niż trzaśnięcie drzwi samochodu.

Ethan przykucnął. Usłyszał za sobą zduszony okrzyk i łoskot na drewnianej podłodze salonu, lecz się nie odwrócił. Spoglądał na broń chowającą się w ciemnym wnętrzu sedana, który ruszył 34. ulicą na północ i po kilku sekundach zniknął mu z oczu.

Ethan wszedł do domu. Zobaczył Eve Pang leżącą na wznak z rękoma ułożonymi wzdłuż ciała. Krew wypływająca z piersi rozlała się czerwoną plamą na jej białej bluzce.

– Eve! – zawołał Ethan.

Podczołgał się bliżej, ale najpierw obejrzał się przez ramię i sprawdził, czy ciemny sedan nie pojawił się po raz wtóry. Wciągnął Eve w głąb salonu, zatrzasnął drzwi wejściowe i przyklęknął. Spojrzał na kobietę. Miała zamknięte oczy, a na jej twarzy malowało się odprężenie. Drobne ciało Eve zastygło w kompletnym bezruchu.

Ethan podpełzł do okna. Wyrzwał przez żaluzję na ulicę, na której panował idealny spokój, jak gdyby nikt z sąsiedztwa nie miał pojęcia, że ktoś właśnie usiłował zamordować ważnego urzędnika Białego Domu.

Był pewien tylko dwóch rzeczy. Tego, że pocisk, który uśmiercił Eve, był przeznaczony dla niego, a także tego, że nie pozostawiono mu już możliwości dokonania jakiegokolwiek wyboru. Musiał jeszcze raz włamać się do systemu i wykraść tajne dane.

Ethan wstał, chwycił Eve za ramiona i przeciągnął ją za kanapę, a później zaczął szukać jej torebki. Znalazł ją na kuchennej wysepce, tuż obok otwartej butelki grey goose i szklanki z topniejącym lodem. Przetrzęsął torebkę Eve; znalazł w niej kluczyki do jej samochodu oraz klucze do domu, a gdy poszukał dokładniej, trafił na dwuczęściowy token z napisem „Pang-DDA”. Wsunął go do kieszeni kurtki, zamknął drzwi wejściowe i wyszedł na tyły domu. Stał tam samochód jego martwej przyjaciółki.

Ethan dotarł do domu Eve w Bethesda pieszo. Wcześniej zaparkował jej samochód obok restauracji oddalonej o sześć przecznic. Maszerując, zwracał uwagę na nieznanym mijanych po drodze. Później zrobił to, co godzinę wcześniej przed własnym domem: stanął po drugiej stronie ulicy i rozpoczął obserwację. Po chwili zaczęło padać. Lekki deszcz zmusił go do opuszczenia posterunku. Ethan wszedł do domu Eve tylnymi drzwiami, a potem ostrożnie ruszył przed siebie, wymacując drogę w ciemnościach, dopóki nie natrafił na różową latarkę Hello Kitty, którą Eve trzymała na lodówce. Zabrał ją, aby bezpiecznie przejść do sypialni na parterze, w której Eve urządziła sobie domowe biuro. Stał tam jej laptop, któremu towarzyszył nieodłączny zestaw: filiżanka herbaty i torebka ciastek. Eve często pracowała tu do późnych godzin, o ile nie zdarzyło jej się zostać na noc u Ethana.

Ethan dotknął zimnej filiżanki i przejechał palcem po jej krawędzi. Nie był sentymentalny, a mimo to nie potrafił pozbyć się uczucia smutku wywołanego śmiercią Eve. Jednak już za moment doszedł do wniosku, że Eve miała pecha, bo znalazła się w niewłaściwym miejscu w chwili, gdy ktoś usiłował pozbawić go życia.

Pomyślał, że zamachowiec mógł należeć do jednej z dwóch organizacji: CIA lub izraelskiego Mosadu. Czyżby któraś z nich dowiedziała się, co zrobił, i – kierowana swoistym poczuciem sprawiedliwości – uznała to za wystarczający motyw, aby wziąć go na celownik? Ethan zaczął się zastanawiać, czy podczas rozmowy z FBI Eve nie powiedziała czegoś, co dotarło później do szpiegów i zabójców, a dotyczyło jego udziału w przekazaniu tajnych dokumentów mówiących o ataku na konwój pokojowy. Tak, na pewno właśnie tak się stało.

Pocieszyła go trochę myśl, że Eve mogła przyczynić się w ten sposób do własnej śmierci.

Ethan nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszyscy postanowili dobrać mu się do skóry. Czuł się tak, jakby dookoła niego zaczęły wyrastać ściany. Myślał o więzieniu i o zabójcach, którzy mogli dojść do wniosku, że udało im się go uciszyć, lecz niebawem dowiedzą się, że przeżył.

Szybko odsunął od siebie te myśli. Akurat teraz nie miał na nie czasu. Musiał potwierdzić swoją wartość i powinien był zacząć działać. Natychmiast.

Ethan znał hasło do laptopa Eve. Zdobył je, stosując prostą sztuczkę socjotechniczną. Pewnego wieczora przygotowawali wspólnie homara w cieście francuskim według przepisu, który Eve wyszukała w internecie. Jej laptop ustawiony był na kuchennej wysepce pośrodku kuchni tak, aby oboje mogli śledzić kolejne kroki opisane na kulinarnej stronie. Los chciał, że wygaszacz ekranu komputera włączył się w chwili, gdy Eve ostrożnie wyjmowała ciasto z piekarnika. Ethan dostrzegł w tym swoją szansę. Uparł się, że musi natychmiast sprawdzić, kiedy należy ubić żółtka: przed dodaniem czy po dodaniu do nich brandy.

Eve nie oderwała nawet wzroku od piekarnika i wykrzyczała ośmioznakową kombinację liter i cyfr. Ethan zapamiętał ją, a później, udawszy się do łazienki, zapisał w pamięci swego smartfona. Wypróbował hasło kilka dni później, gdy Eve brała prysznic, ponieważ był ciekaw, czy nie wymyśliła nowego. Ku swemu zadowoleniu stwierdził, że tak się nie stało. Od tamtej pory wiedział, że nic nie przeszkodzi mu w korzystaniu z laptopa Eve – o ile tylko będzie miał pewność, że nie uda jej się go na tym przyłapać.

Teraz, gdy zasiadł przed urządzeniem i wyjął tokeny Eve z kieszeni kurtki, pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie był równie pewien tego, co robi.

Wpisał hasło, które przywróciło ekran do życia, a potem uruchomił okno dostępu do wirtualnej sieci prywatnej. Po kilku sekundach system poprosił go o potwierdzenie tożsamości oraz wpisanie kodu, który pojawił się na ekraniku tokenu DDA.

„Dostęp przyznany”.

Ethan westchnął z ulgą i umieścił pendrive w porcie USB. Automatycznie uruchamiający się program natychmiast połączył się z siecią Intelink-TS, a potem zaczął szukać określonych miejsc w serwerach. Były w nich ukryte ściśle tajne dokumenty amerykańskiego wywiadu.

Ethan nie miał pojęcia, kto i jak stworzył pełzacz, ale wydawało mu się, że program dokładnie wiedział, z którymi serwerami powinien się połączyć, aby dotrzeć do konkretnych danych i je skopiować.

Zwykli hakerzy grzebiący w cudzych dyskach często potrzebują na dobranie się do interesujących ich danych dni, tygodni, a nawet miesięcy, lecz Ethan nie miał tyle czasu. Musiało mu na to wystarczyć zaledwie kilka godzin. Wiedział, że gdy Eve nie zjawi się rano w pracy, ktoś szybko zacznie jej szukać i zapuka do jej drzwi, a ktoś inny natychmiast sprawdzi jej historię logowania się jako administratorki wirtualnej sieci prywatnej. Później, kiedy się okaże, że i on nie przyjechał do biura, ktoś wejdzie do jego domu i odkryje ciało Eve.

Ethan spojrzął na zegarek. Była już pierwsza trzydzieści. Pełzacz kopiował dane z prędkością stu megabitów na sekundę, lecz było to ślimacze tempo w porównaniu z prędkością działania samej sieci. Pendrive z napisem NASCAR mógł wprawdzie pomieścić cały terabajt danych, ale jego całkowite wypełnienie musiałyby trwać aż dwadzieścia jeden godzin. Ethan ani przez sekundę nie wyobrażał sobie, że mógłby czekać tak długo. Postanowił, że przerwie kopiowanie za cztery godziny,

gdy na pendrivie znajdzie się około stu pięćdziesięciu gigabajtów ściśle tajnych danych wywiadu. Uznał, że tyle mu wystarczy. Z konieczności.

Wolno poruszając się w ciemnościach, Ethan zszedł na dół, aby zaparzyć sobie kawę.

Gdy Gianna Bertoli i Harlan Banfield weszli tuż przed ósmą rano do parku Fort Marcy, Ethan siedział już na ławce przy zabytkowej armacie.

Na widok przybyszów wyprostował się, a potem spuścił wzrok i spojrzał na swoje wymięte i zabrudzone ubranie. Jego twarz zdradzała wycieńczenie, a jasne włosy, zaczesane zwykle do tyłu i utrwalone żelem, opadały mu na oczy.

Miał czarny plecak, którego nie zdjął, czarną bejsbolówkę z emblematem bejsbolowej drużyny Washington Nationals oraz okulary przeciwsłoneczne, które kupił w aptece CVS w Bethesdzie.

Harlan poszedł do Ethana i uściśnął mu dłoń.

– Zobaczyłem znak na hydrancie – odezwał się. – Cholera, synu! Wygląda na to, że spędziłeś tu całą noc.

Powiedziawszy to, Banfield powoli pokręcił głową.

Bertoli objęła Ethana, który wstał i odwzajemnił jej uścisk, ledwie trzymając się na nogach z wyczerpania.

– Ktoś próbował mnie zabić – oświadczył.

Bertoli westchnęła, a na twarzy Banfieldda odmalowało się niedowierzanie.

– Zabić cię? O czym ty, do diabła, mówisz?

– Jakiś facet w samochodzie. Wczoraj wieczorem. Strzelał do mnie – powiedział Ethan i wzruszył ramionami. – Nie trafił mnie, ale zastrzelił Eve.

Banfield chwycił Ethana za ramiona, mówiąc:

– O mój Boże! Jesteś tego pewien? Przecież nie jesteś lekarzem.

– Strzelił jej prosto w serce, Harlanie. Do tego nie potrzeba lekarza.

– Kto to zrobił?

– Mosad – odpowiedziała Bertoli, ubiegając Ethana. – Mogłabym się założyć o własne życie. Widzisz teraz, Ethanie, jaki jesteś ważny.

Banfield zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Gdzie jest jej ciało? – zapytał.

– Leży na podłodze w moim salonie.

– Chryste, synu!

– A co, do cholery, miałem z nią zrobić? Przecież nie mogłem jej zakopać na swoim pierdolonym podwórku ani wezwać karetki.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł Banfield.

W tym momencie wydał się Ethanowi starcem, który sobie uświadomił, że niczego nie rozumie.

– Co mam teraz zrobić? – zapytał Ethan.

Banfield milczał.

Wydawał się nie mieć zielonego pojęcia, co odpowiedzieć, za to Gianna emanowała spokojem. Dotknęła dłonią policzka Ethana i rzekła:

– Uciekaj, Ethanie! Uciekaj!

– Tylko dokąd?

– Być może cię zaskoczę, ale tu, w Waszyngtonie, sprawnie działają Wenezuelczycy – opowiedziała Bertoli. – Ich ambasada już wiele razy szybko i dyskretnie pomogła nam w rozwiązywaniu naszych problemów.

– Wenezuela pomaga amerykańskim informatorom? – Ethan zdziwił się. – Nigdy o tym nie słyszałem.

Bertoli uśmiechnęła się lekko i odparła:

– Powiedziała ci już, że Wenezuelczycy są dobrzy. Żadna z tych spraw nie ujrzała światła dziennego.

– A federalni? Nie dowiedzieli się o nich?

– Owszem, ustalili działania i tożsamość informatorów. Mieli jednak powody, żeby utrzymać tamte incydenty w tajemnicy. Twoja sytuacja jest bardzo podobna. Jeśli będziesz milczał, to oni także. Jest tylko jeden warunek: będziesz musiał wyjechać z kraju, gdy tylko się dowiesz, że się po ciebie wybierają. Jeśli tego nie zrobisz, zgarną cię i nikt o tobie więcej nie usłyszy.

Ethan spojrzał na Banfielda, który tylko z powagą skinął głową.

– A tamci goście, którzy wyjechali do Wenezueli... – rzekł Ross. – Są tam jeszcze?

– Jeden z nich mieszka w Paryżu – odparła Bertoli. – I żyje mu się tam całkiem nieźle. Jest jednym z najbardziej uznanych dziennikarzy. Odwiedziłam go ubiegłej jesieni.

– Żartujesz.

– Inny wyjechał do Buenos Aires. Wzenił się tam w bogatą rodzinę. Jedna z informaterek wróciła do Stanów i w zamian za rezygnację z rządowego stanowiska otrzymała immunitet chroniący ją przed ściganiem przez prawo. Teraz wykłada na jednym z najlepszych uniwersytetów na południowej Florydzie. – Bertoli uśmiechnęła się. – Myślę, że to się jej opłaciło. W Miami jest pięknie. Ale ważniejsze jest to, że w każdym z tych przypadków rząd postanowił zrezygnować z postawienia zarzutów, ponieważ informatorzy zdobyli dane, których nigdy nie wykorzystali, a później po prostu je zwrócili i zgodzili się porzucić na zawsze rządowe posady. Wszystko przebiegło bez niepotrzebnego zamieszania i rozgłosu.

Po tych słowach Ross zareagował tak, jakby rzucono mu koło ratunkowe.

– Właśnie tego potrzebuję, Gianno! – powiedział z ożywieniem. – Nie chcę, żeby moja matka została zamieszana w wielki skandal. I nie chcę cały czas uciekać przed jakimiś pierdolonymi mordercami do wynajęcia. Chcę tylko mieć już święty spokój z tym całym gównem.

– Jestem pewna, że Wenezuelczycy ci pomogą, ale nie zrobią tego za darmo – odparła Bertoli. – Jeśli możesz im coś zaproponować, to skontaktuję się z ich przyjacielem i poczynię konkretne przygotowania.

Ethan uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

– Zrobiłem to – oświadczył. – Mam.

– Masz dane?

– Tak. Sto pięćdziesiąt giga. Wszystko pogrupowane i gotowe do odczytu.

– Och, Ethanie! To cudownie!

Ethan pomyślał, jak cenne dla Wenezuelczyków perełki mógłby wydobyć z dokumentów, które wykradł z Intelinku-TS.

– Mogę podać Wenezuelczykom nazwiska całego personelu CIA zatrudnionego w ich kraju – powiedział. – Czy tyle wystarczy mi na wyjazd z tego miasta?

Bertoli uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Jestem pewna, że tak.

– Dam im coś, żeby wiedzieli, że mam to, czego chcą, ale reszta materiałów pozostanie na pendrivie i będzie zaszyfrowana, dopóki nie wyjadę ze Stanów.

– Sądzę, że mogliby na to przystać. – Gianna zamyśliła się na chwilę. – Potrzebuję kilku godzin, żeby wszystko zorganizować. Tymczasem gdzieś cię ukryjemy.

– Nie – odparł szybko Ethan. – Muszę jeszcze coś zrobić. Zobaczę się z wami później.

– W pojedynkę nie jesteś bezpieczny.

– Zaryzykuje. Wystarczy mi cztery godziny, najwyżej pięć.

Bertoli podała Ethanowi numer swojego telefonu komórkowego, który kupiła po przyjeździe do Waszyngtonu, lecz jeszcze go nie aktywowała.

– Zadzwoń, gdy będziesz gotowy.

Ethan zapisał numer w pamięci komórki, a potem spojrzął na Banfielda i zapytał:

– A co z tobą, Harlanie?

Milczący do tej pory Banfield odpowiedział:

– To chwila, w której musimy się pożegnać. Jestem lokalnym dyrektorem International Transparency Project i nie będę mógł się tobą zajmować, gdy wyjedziesz za granicę.

Mówiąc to, ten niewysoki i zaniedbany człowiek był bladejszy niż zazwyczaj. Najwyraźniej nie doszedł jeszcze do siebie od chwili, gdy Ethan powiedział mu o zamachowcu. Ucisnął Rossowi dłoń, życząc mu szczęścia.

– Uważaj na siebie, synu – powiedział.

Ethan odwrócił się i ruszył przed siebie, odprowadzany wzrokiem przez Giannę Bertoli i Harlana Banfielda.

Darren Albright, zirytowany beczynnością, a zarazem pobudzony świadomością, że w każdej chwili coś może zacząć się dziać, wiercił się na siedzeniu samochodu. Sięgnął po telefon komórkowy i po raz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu minut sprawdził godzinę. Bębniąc palcami po desce rozdzielczej czarnego GMC yukon, przyglądał się budynkowi numer 1598, wkomponowanemu w szereg podobnych segmentów przy 34. ulicy. Wciąż czekał.

Tego dnia wydarzyło się kilka podejrzanych rzeczy, które sprawiły, że Albright znalazł się przed domem Ethana Rossa, zastępcy jednego z dyrektorów Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Znalazł się tam nie bez powodu.

Wszystko zaczęło się w chwili, gdy Albright dowiedział się, że Ross zadzwonił rano do swojego biura i powiedział, że zachorował. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, iż Ross był objęty federalnym dochodzeniem mającym wyjaśnić, czy nie naruszył tajemnicy rządowej. Agenci specjalnej nieumundurowanej grupy obserwacyjnej, czekający na Rossa w pobliżu jego domu,

zameldowali ponadto, że do dziesiątej nie zauważyli jakiegokolwiek ruchu w budynku. Gdyby Ross naprawę był chory, nie miałyby to żadnego znaczenia, lecz Albright zaczął podejrzewać, że Rossa nie ma w domu.

Sytuacja stała się naprawdę niepokojąca około jedenastej, gdy Albright otrzymał kolejną informację: Eve Pang, przyjaciółka Rossa i ekspertka informatyczna zatrudniona w Booz Allen Hamilton, nie przybyła na zaplanowane wcześniej spotkanie z informatykami w bazie wojskowej Anacostia-Bolling. Miała się tam zjawić o ósmej, lecz przez blisko trzy godziny nikt nie przejął się jej spóźnieniem, bo wszyscy wiedzieli, że Eve wciąż jeździła z miejsca na miejsce. Zaniepokojony Albright wybrał numer jej telefonu komórkowego, ale nie doczekał się odpowiedzi. Postanowił wysłać agentów do domu Eve w Bethesdzie, upoważnił ich do wejścia siłowego, gdyby okazało się to konieczne.

Agenci zapukali do drzwi Eve, a potem, skoro nie doczekali się odpowiedzi, wyważyli je i weszli do domu. Nie zastali jednak panny Pang ani nie zauważyli niczego podejrzanego.

Poinformowany o tym, Albright natychmiast skupił się tylko na jednym: nakazał wszystkim swoim ludziom rozpocząć poszukiwania Ethana Rossa i Eve Pang. Poprosił także o wystawienie nakazu wejścia do domu Rossa. Nie mógłby tego zrobić bez takiego dokumentu, gdyż Ross nie został oficjalnie uznany za zaginionego. W oczekiwaniu na nakaz polecił, aby poinformowano waszyngtońską policję o poszukiwaniach Rossa i Pang.

O trzynastej Albright i trzech agenci specjalni przybyli do domu Rossa. Po parku po drugiej stronie ulicy kręciło się dwóch ogrodników, lecz w rzeczywistości byli to działający pod przykrywką doświadczeni fachowcy ze specjalnej grupy obserwacyjnej. Donieśli oni Albrightowi, że nic nie wskazywało na czyjąkolwiek obecność w obserwowanym przez nich budynku, ale nadzorujący ich agent podjął już decyzję: postanowił zapukać do drzwi.

Nikt mu nie otworzył.

Albright obszedł dom dookoła. Załomotał do drzwi prowadzących do piwnicy i do tylnych drzwi wejściowych, a potem wrócił do yukona, aby poczekać na nakaz wejścia, a przy okazji posłuchać przez radio komunikatów specjalnej grupy obserwacyjnej.

O godzinie piętnastej jeden z funkcjonariuszy policji w metrze rozpoznał Ethana Rossa. Zauważył człowieka o twarzy bardzo podobnej do tej, która pojawiła się na ekranie komputera w radiowozie. Nieznajomy, który wygramolił się z taksówki na Pennsylvania Avenue, miał ciemne okulary, bejsbolówkę i czarny plecak. Policjant uznał go za kogoś podejrzanego. Nie spuszczać oka z mężczyzny, skontaktował się z centralą i już po pięciu minutach w pobliżu pojawiło się dwóch ludzi ze specjalnej grupy obserwacyjnej. Agenci przejęli cel, przyjrzeni mu się przez dalekosiężne obiektywy swoich kamer i potwierdzili jego tożsamość: był to Ross, który po chwili wsiadł do następnej taksówki.

Ruszający samochód skupił na sobie uwagę całego szesnastoosobowego zespołu pościgowego działającego w ramach specjalnej grupy obserwacyjnej.

Nie każdy, kto pracuje w FBI – nawet na stanowisku operacyjnym – jest agentem specjalnym.

Specjalna grupa obserwacyjna wspiera czynności dochodzeniowe Biura poprzez fizyczną monitorowanie obiektów, a jej członkowie mają ograniczone uprawnienia: podczas pracy w terenie

nie mogą dokonywać zatrzymań ani nosić przy sobie broni palnej.

W szeregach specjalnej grupy obserwacyjnej pracują mężczyźni i kobiety o najrozmaitszej posturze, wzroście, kolorze skóry i pochodzeniu, ponieważ warunkiem powodzenia ich działań jest zwyczajny wygląd. Ci ludzie nie mogą w niczym przypominać agentów FBI nawet w oczach tych, którzy wiedzą, jak wyglądają federalni. Fachowcy od obserwacji działający w grupach pościgowych ćwiczą umiejętność pozostawania niezauważonym podczas prowadzenia obserwacji z samochodu lub na piechotę.

Tego popołudnia Beale i Nolan, dwaj eksperci ze specjalnej grupy obserwacyjnej, pracowali razem. Byli członkami zespołu poruszającego się sześcioma samochodami i siedzieli na ogonie facetowi jadącemu taksówką. Dwaj biali mężczyźni jeżdżący po ulicach Waszyngtonu wzbudziłiby zapewne podejrzenia człowieka, którego śledzili, gdyby nie to, że Beale odgrywał rolę kierowcy rdzawoczerwonej taksówki, a Nolan udawał pasażera rozpartego na tylnym siedzeniu.

Beale miał dwadzieścia sześć lat, a przed wstąpieniem do FBI pracował w firmie kurierskiej. Nolan był czterdziestosześcioletkiem; wcześniej pełnił służbę w policji na przedmieściach Des Moines, lecz doszedł do wniosku, że wolałby robić coś ciekawszego niż wystawianie mandatów za przekroczenie prędkości albo zatrzymywanie pijanych licealistów podczas szkolnych rozgrywek koszykówki. Odpowiedział zatem na internetowe ogłoszenie FBI i już kilka miesięcy później, głównie w imieniu wydziału kontrwywiadu federalnych, uganiał się po ulicach Waszyngtonu za szpiegami.

Ethan J. Ross, którego tym razem śledzili Beale i Nolan, różnił się od ich przeciętnych „podopiecznych”. Był Amerykaninem zatrudnionym na dość wysokim stanowisku w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego i – jeśli wierzyć informacjom przekazanych przez agenta specjalnego Darrena Albrighta – mógł stanowić wewnętrzne zagrożenie dla wywiadowczej społeczności Stanów Zjednoczonych.

Beale i Nolan mieli w samochodzie plecaki wypełnione różnymi częściami odzieży, okularami, czapkami oraz innymi rekwizytami umożliwiającymi im zmianę wyglądu, ale kręcenie się taksówką po Waszyngtonie było doskonałym sposobem na wtopienie się w otoczenie, a sami agenci nie zamierzali zrezygnować z czterech kółek na rzecz pieszej wędrówki. Skoro jednak metody obserwacji zawsze zależą od zachowania śledzonej osoby, Beale i Nolan musieli być przygotowani na improwizację, gdyby wymagała tego sytuacja.

Zespół sześciu samochodów przechwycił Rossa na dziesięć minut przed poinformowaniem policji o jego poszukiwaniach i obstawił ulice stolicy w chwili, gdy wioząca go taksówka przeciskała się przez tłum samochodów. Agenci pojechali do Georgetown; Ross wysiadł tam przed sklepem Nike przy M Street. Na szczęście uczynił to akurat w momencie, gdy mijał go jeden z wozów ich zespołu – nieco wcześniej Ross zniknął z oczu obserwatorów poruszających się dostawczą furgonetką.

Ruchami samochodu Beale’a i Nolana – podobnie jak ruchami innych osobówek, ciężarówek, skuterów i motocykli zespołu obserwatorów – kierowało centrum operacyjne łączące się z agentami za pomocą słuchawek bezprzewodowych. Gdy Ross wysiadł z taksówki, Beale i Nolan czekali właśnie na kontakt z centrum. Po otrzymaniu polecenia pojechali na wschód od miejsca, w którym przebywał podejrzany, i zaparkowali przy ulicy Thomasa Jeffersona.

Kilka minut później dostrzegli Rossa maszerującego na południe. Poznali go po czapce z emblematem Nationalsów i plecaku. Zrobili mu kilka zdjęć, ale z daleka, ponieważ nie chcieli

narazić się na zdemaskowanie.

– Domyślasz się, dokąd idzie? – zapytał Nolan, wsuwając aparat fotograficzny do plecaka.

– Jeśli ma coś na sumieniu i pracuje dla obcego wywiadu, to pewnie do którejś z kilkunastu okolicznych ambasad – opowiedział Beale po chwili namysłu.

– Podjedź do niego odrobinę bliżej – polecił Nolan. – Gdyby nasi szefowie pomyśleli, że możemy go zgubić, mogliby zezwolić na jego zatrzymanie. Musielibyśmy wtedy wysiąść z wozu, żeby się do niego dostać, a nie chce mi się gonić za nim na piechotę. Ten sukinsyn wygląda mi na biegacza.

– Chciałbym, żeby nim był – odrzekł Beale. – Brałem już udział w paru aresztowaniach, ale nigdy nikogo nie goniłem na piechotę.

– Więc się nie krępuj, dzieciaku. Ja nabiegałem się już za bandziorami, kiedy byłem gliniarzem w Iowa. Teraz chętnie sobie tu posiedzę i popatrzę.

– Myślisz, chłopie, że ci uwierzę? Wiem, że i tak ruszysz dupę z miejsca, jak tylko koleś zacznie uciekać.

– Tak... To ci potrafi wejść w krew – powiedział, uśmiechając się, Nolan, lecz natychmiast spowaźniał. – Mimo to podjedź trochę bliżej. Facet wygląda na naprawdę szybkiego.

Beale odchrząknął, zmniejszył nieco odległość dzielącą ich od Rossa i przez radio poinformował centralę o aktualnej pozycji rdzawoczerwonej taksówki.

Darren Albright siedział w swoim yukonie i patrzył na dom Ethana Rossa z odległości dwudziestu metrów. Oczekiwanie na wystawienie nakazu wejścia wydawało mu się nieskończonością, więc dla zabicia czasu sięgnął po radiotelefon i zaczął słuchać komunikatów nadawanych przez ludzi ze specjalnej grupy obserwacyjnej, którzy deptali Rossowi po piętach.

Albright przeanalizował jego ruchy i zachowanie i doszedł do wniosku, że Ross postanowił sprawdzić, czy nie jest śledzony, przez co stał się jeszcze bardziej podejrzany. Jeden z agentów siedzących na tylnej kanapie yukona najwyraźniej pomyślał o tym samym, ponieważ wymamrotał, że należałby zmienić status Rossa: przestać traktować go wyłącznie jako osobę obserwowaną i uznać za podejrzanego. Albright nie zdążył jednak odpowiedzieć, gdyż przerwał mu dochodzący z kieszeni dzwonek telefonu.

Szybko zawiesił walkie-talkie na biodrze i sięgnął po komórkę. Odebrał.

– Tak? W porządku – powiedział. – To dobrze.

Wsunął telefon do kieszeni, odwrócił się do swoich ludzi w SUV-ie i oświadczył:

– Nakaz przeszedł i mamy zielone światło. Zobaczmy, co się dzieje w środku.

Albright i towarzyszący mu trzej agenci wysiedli z samochodu. Jeden z agentów pomaszerował na tyły domu numer 1598 przy 34. ulicy, podczas gdy Albright i dwaj pozostali pokonali sześć schodków i stanęli przed frontowym wejściem.

Albright głośno załomotał w drzwi i krzyknął:

– FBI! Mamy nakaz przeszukania!

Mężczyźni wyjęli broń służbową: pistolety SIG sauer kalibru 10,16 mm, a Albright osobiście otworzył drzwi potężnym kopnięciem. Zrobił to perfekcyjnie, chociaż minęło już dużo czasu, od kiedy miał przyjemność uczynić to poprzednim razem. Wejściowe drzwi Rossa zatrzeszczały, pękły przy zamku i ustąpiły: otwarły się na oścież, co włączyło syrenę alarmu antywłamaniowego.

Albright zignorował hałas, uniósł pistolet i wszedł w towarzystwie swoich ludzi do środka.

Już po pierwszym kroku wyczuł zapach, który uczył się rozpoznawać podczas szkolenia, choć do tej pory nie udało mu się z nim do końca oswoić.

– Tu są zwłoki! – zawołał, przekrzykując wycie syreny, i zrobił kilka kroków do przodu, aby jego ludzie mogli omieść wzrokiem wnętrze.

Znalazł Eve Pang za kanapą stojącą pośrodku pokoju. Był pewien, że kobieta nie żyje, lecz mimo to przykląkł i sprawdził jej puls. Gdy dwaj agenci weszli cicho do holu, aby rozpocząć przeczesywanie reszty domu, Albright uniósł krótkofalówkę i zbliżył ją do ust. Urządzenie było już nastawione na częstotliwość, która umożliwiała bezpośrednio skontaktowanie się z szefem grupy obserwacyjnej podążającej za Rossem.

– Tu specjalny agent nadzorujący Albright! Natychmiast zatrzymać Ethana Rossa! Traktować go

jako uzbrojonego i niebezpiecznego!

– Zrozumiałem – zabrzmiała natychmiast krótka odpowiedź.

Albright podniósł się znad ciała, zawiesił walkie-talkie na pasku i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Skurwysyn – mruknął.

Po raz trzeci tego dnia Nolan i Beale ruszyli za Rossem, którego przejęli od jednej z koleżanek, tym razem pięćdziesięcioletniej kobiety jeżdżącej vespą. Dotarli za podejrzanym do Washington Harbor – biurowo-handlowego kompleksu z mnóstwem ogólnodostępnej przestrzeni. Ross poruszał się w strefie dla pieszych, lecz agenci mogli obserwować go bez przeszkód z taksówki zaparkowanej przy ulicy Thomasa Jeffersona. Stojąc przy krawężniku, Nolan i Beale pomagali w naprowadzaniu innych samochodów, których załogi miały kontrolować wyjścia z promenady, a centrum operacyjne skierowało funkcjonariuszy na promy wycieczkowe wypływające na Potomak – na wypadek gdyby Ross postanowił wejść na pokład którejś z tych jednostek.

Beale zaparkował taksówkę w przemyślany sposób. On i jego partner obawiali się, że Ross mógłby obejść przystań, a później ją opuścić, wrócić na północ do centrum Georgetown, pełnego kryjówek dla szpiegów, i wślizgnąć się do którejś z ambasad. Gdyby przypuszczenia agentów się potwierdziły, zobaczyliby pojawiającego się ponownie Rossa pierwsi.

Kiedy Ross zniknął agentom z oczu i wtopił się w tłum na promenadzie, w słuchawkach obydwu agentów rozległ się komunikat:

– Uniform Vector, tu centrum. Nie przerywajcie obserwacji. Wysyłamy do was SWAT. Jest zgoda na natychmiastowe zatrzymanie, ale zawiadomiono nas, że obiekt jest uzbrojony i niebezpieczny.

Kryptonim Uniform Vector oznaczał Beale'a i Nolana.

– Zrozumiałem – opowiedział Beale. – Będziemy go znowu mieli za dwadzieścia sekund. – Beale odwrócił się do „pasażera” na tylnym siedzeniu. – Ten pajac nie wygląda mi na uzbrojonego i niebezpiecznego.

Nolan przewrócił oczyma.

– Dla tych ze SWAT-u każdy jest uzbrojony i niebezpieczny – powiedział. – Inaczej mieliby głównie do roboty.

– Co racja, to racja.

Na szczęście Beale i Nolan dostrzegli Ethana Rossa zmierzającego 31. ulicą na północ. Beale ruszył, zachowując bezpieczną odległość i trzymając się za kilka samochodami dzielącymi rdzawoczerwoną taksówkę od mężczyzny idącego chodnikiem. Nolan skontaktował się z centralą; zasugerował, aby skierować jeden z zespołów na M Street, w miejsce oddalone o kilkaset metrów od wzgórza. Były to okolice kolejnego wielkiego skrzyżowania, na którym Ross mógł zdecydować o zmianie kierunku marszu, a potem wejść do któregoś z budynków albo zawrócić na południe i pójść w stronę Potomaku.

– Może pójść na ścieżkę przy rzece – powiedział Nolan.

– Cholera, masz rację – odrzekł Beale. – Jeśli to zrobi, zgubimy go na chwilę.

Stało się jednak inaczej: ku zaskoczeniu agentów Ross błyskawicznie skręcił z 31. ulicy w wąską alejkę wychodzącą na ulicę Thomasa Jeffersona: tam, gdzie parę minut wcześniej stała ich taksówka.

Beale i Nolan wiedzieli, że nikt nie pojawił się na ich miejscu.

Beale poinformował o tym centralę, a w odpowiedzi usłyszał, że dotarcie na ulicę Thomasa Jeffersona zajmie mu co najmniej półtorej minuty.

– Cholera – mruknął, zwracając się do Nolana. – Mam wjechać w tę alejkę?

Nolan zawahał się na chwilę.

– Po prostu zaparkuj i przyjrzymy się gościowi – odpowiedział. – To wąska uliczka, więc lepiej, żebyśmy na niej nie utknęli, jeśli nie musimy.

Rdzawoczerwona taksówka zatrzymała się u wylotu alejki. Ross przemierzył już w tym czasie ponad połowę drogi dzielącej go od ulicy Thomasa Jeffersona.

– Zgubimy go – powiedział Beale. – Może się skierować nad rzekę albo pójść na ulicę K lub M, mógłby też...

– Ruszaj! – polecił Nolan.

Taksówka wtoczyła się w wąską alejkę, jadąc sto metrów za Rossem.

– Dam znać centrali – powiedział Beale, dociskając słuchawkę do ucha.

Prowadził powoli, uważnie rozglądając się na lewo i prawo, na wypadek gdyby Rossowi towarzyszył pomocnik wypatrujący ogona.

– Centrala, tu Uniform Vector – zameldował się. – Jedziemy na wschód w stronę Jeffersona. Obiekt skręcił w lewo. Porusza się pieszo.

– Przyjąłem – usłyszał głos operatora.

Beale przyśpieszył, z nadzieją, że zdąży dostrzec Rossa, zanim na dobre straci go z oczu, lecz w połowie alejki musiał zwolnić z powodu dwóch stojących po lewej kontenerów na śmieci, które zostawiały mu po kilkanaście centymetrów z obu stron taksówki.

W chwili, gdy się z nimi zrównał, z parkingu pod budynkiem wyjechała tyłem szaroniebieska furgonetka. Wyrosła niecałe pół metra przed zderzakiem taksówki.

Beale wcisnął z całej siły pedał hamulca.

– Rusz się, dupku! – krzyknął.

Nolan obejrzał się za siebie i dostrzegł jeszcze jeden samochód: sedana z przyciemnionymi szybami wjeżdżającego w alejkę i zatrzymującego się niecałe dziesięć metrów za taksówką.

Sedan nie umknął też uwadze Beale'a, który natychmiast zrozumiał, że to zasadzka.

– Wałę do tyłu! – krzyknął i wrzucił wsteczny bieg.

Sedan był mniejszy i lżejszy niż furgonetka, a poza tym stał dalej.

– Dawaj! – przynaglił Nolan.

Beale nie zdążył jeszcze nacisnąć pedału gazu, gdy pomiędzy kontenerów wyszło dwóch mężczyzn w czarnych maskach i czarnych czapkach. Stanęli przy drzwiach kierowcy i unieśli czarne pistolety z długimi tłumikami.

– Uważaj! – wrzasnął Nolan.

Kierowca sedana włączył klakson, który zagłuszył odgłos strzałów. Do taksówki wpadł grad pocisków dziurawiących jej szyby po lewej stronie.

Funkcjonariusze specjalnej grupy obserwacyjnej zapadli się w swoich siedzeniach. Rdzawoczerwona taksówka potoczyła się do tyłu i zatrzymała się dopiero, gdy delikatnie dotknęła sedana, którego kierowca przestał trąbić.

Ormand i Kashan – bojownicy irańskich Sił Ghods – szybko ukryli pistolety pod kurtkami. Nie odzywając się ani słowem, wsunęli ręce przez potrzaskane okna taksówki, otworzyli przednie i tylne drzwi po jej lewej stronie, potem przepchnęli zakrwawione ciała Amerykanów w głąb pojazdu. Ormand zasiadł za kierownicą, Kashan – na tylnej kanapie. Opuścili podziurawione szyby, omietli drzwi z odłamków szkła i zaczęli, aż Shiraz usunie im furgonetkę z drogi i ruszy w kierunku ulicy Thomasa Jeffersona.

Taksówka podążyła za szaroniebieską furgonetką. Dotarła do końca alejki i skręciła w prawo.

Z sedana wysiadł Isfahan. Miał w ręku długie urządzenie przypominające nieco metalową szczotkę. Był to nailhawg – narzędzie z magnesami używane przez dekarzy do zbierania gwoździ, które spadły z dachu i zawieruszyły się w trawie. Isfahan szybko i spokojnie przejechał przyrządem tam i z powrotem po powierzchni alejki w miejscu, w którym stali przed chwilą jego dwaj koledzy, i zebrał jedenaście łusek wyrzuconych przez ich broń.

Chwilę później siedział już za kierownicą sedana: jechał w stronę 31. ulicy.

Czterej irańscy zabójcy nie zdążyli nawet opuścić okolicy, gdy dwie przecznice dalej Ethan Ross, nieświadom tego, co stało się za jego plecami, i niezauważony przez agentów amerykańskiego wywiadu ani przez policjantów, wszedł do ambasady Wenezueli przy 30. ulicy.

W ambasadzie Wenezueli Ethan Ross spędził kilka pierwszych godzin w biurowym pomieszczeniu bez okien. Poczęstowano go kawą, później przekąską i wreszcie czymś bardziej konkretnym: daniem z wietnamskiej restauracji przy ulicy M. Ross zaspokoił głód, siedząc samotnie przy stole konferencyjnym. Przez cały czas – upłynęło już ponad pięć godzin – nie działo się nic więcej. Nikt nie nawiązał z nim rozmowy ani nie zaczął go przesłuchiwać; jedynie od czasu do czasu ktoś pojawiał się w drzwiach, żeby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje. Ross czekał na rozwój wydarzeń, siedząc na zmianę przy dużym stole albo na niewielkiej kanapie stojącej obok, z plecakiem zawieszonym na piersi. Wyglądał tak, jakby trzymał przed sobą nie plecak z laptopem, lecz niemowlę.

Około dwudziestej pierwszej do biura weszła atrakcyjna dwudziestokilkuletnia kobieta, którą Ethan uznał wcześniej za oficera wywiadu. Uśmiechając się, zaprosiła do środka Giannę Bertoli. Ethan wstał, aby uściskać Szwajcarkę, chociaż nie zrobił tego z potrzeby bycia pocieszonym – zachował się tak, bo wiedział, że Gianna zwykła się witać w taki właśnie sposób.

Ethan ucieszył się na widok znajomej twarzy: pomyślał, że właśnie nadarzyła się okazja, aby dowiedzieć się od kogoś zaufanego, co tak naprawdę się dzieje.

– Gdzie się podziewałaś? – zapytał. – Ile jeszcze mam tu siedzieć?

Usiedli przy stole konferencyjnym.

– Byłam tu cały dzień – odpowiedziała Bertoli. – Siedziałam przy telefonie i rozmawiałam z agentami tu, w ambasadzie, ale dzwoniłam także do agentów kontrwywiadu w Caracas.

– Dlaczego to trwa tak długo?

– Wszystko przebiegało bez przeszkód, ale później pojawiły się pewne problemy.

– Jakie problemy?

– Policja. Mnóstwo policji na pobliskich ulicach. Przez pierwszą godzinę, a może dwie, Wenezuelczycy myśleli, że to pościg za tobą. Coraz bardziej obawiali się, że całe nasze przedsięwzięcie może się nie udać. Doszli do wniosku, że jeśli Amerykanie dowiedzieli się już o tobie, to wywiezienie cię z kraju mogłoby być bardzo trudne. Mówili też o skontaktowaniu się z Departamentem Stanu i przekazaniu cię w jego ręce. Próbowałam ich przekonać, że to, co zrobiłeś, zasługuje na ich uwagę, ale nie obiecali niczego konkretnego.

– Sukinsyny!

– W porządku. Wygląda na to, że cokolwiek stało się w Georgetown, to nie ma to nic wspólnego z tobą. Policja poszukuje dwóch ludzi w taksówce, ale na razie nie wiadomo nic więcej. Wenezuelczycy zdążyli już się uspokoić i wszystko znowu gra.

Drzwi otworzyły się ponownie. Do pomieszczenia wszedł wysoki, przystojny Latynos o szpakowatych włosach. Towarzyszyła mu znana już Ethanowi agentka. Mężczyzna przedstawił się

jako Arturo, a Ethan natychmiast ocenił, że ma do czynienia z funkcjonariuszem Głównego Biura Wywiadowczego – zagranicznej komórki wywiadu Wenezueli. Arturo zaproponował Rossowi i Bertoli kawę, którą chwilę później przyniosła kobieta o atrakcyjnym wyglądzie.

Spotkanie zaczęło się od luźnej pogawędki. Ethan zadał kilka pytań o policję na ulicach, lecz Arturo wiedział tylko tyle, ile wcześniej powiedziała Gianna.

Po wymianie kilku mało istotnych uwag Arturo postanowił przejść do interesów.

– Zgadzą się na pańskie warunki, panie Ross – oświadczył. – Wywieziemy pana bezpiecznie ze Stanów Zjednoczonych i przetransportujemy do Caracas, gdzie znajdzie się pan pod ochroną i będzie mógł swobodnie się poruszać. – Arturo uniósł palec. – Pod warunkiem że dostarczy nam pan dokumentację dotyczącą wszystkich amerykańskich agentów pracujących dla CIA w Wenezueli.

– Nie, nie dam wam wszystkiego – odparł Ethan, kręcąc głową.

– Nie rozumiem.

– Dam wam tylko część tego, co mam. – Ethan uśmiechnął się. – Ale obiecuję, że materiałów będzie tyle, że nie zabraknie wam pracy. Otrzymacie resztę, gdy już będę bezpieczny w Wenezueli.

W rzeczywistości Ethan nie miał zielonego pojęcia o wenezuelskich kadrach CIA. Nigdy wcześniej nie myślał o nich nawet przez chwilę. Był jednak pewien, że uda mu się coś znaleźć w wykradzionych dokumentach. Pomyślał, że jeśli Arturo otrzyma choćby strzępy ważnych informacji i usłyszy, że na nośniku pamięci jest ich więcej, to zrobi wszystko, co będzie konieczne, aby zorganizować jego wyjazd do Ameryki Południowej.

– *Muy bien* – rzekł Arturo. – Czego od nas żądasz?

– Potrzebuję biura z drukarką – odpowiedział Ross. – Wydrukuję pliki z mojego komputera.

Arturo zszedł z Ethanem do przyziemia, a potem otworzył jedne z drzwi za pomocą karty magnetycznej. Ukłonił się energicznie, przepuszczając gościa. Ross znalazł się w małym pomieszczeniu sypialnym i dostrzegł komputer oraz drukarkę stojące na prostym biurku pod ścianą. Został sam, gdy Arturo zamknął drzwi od zewnątrz.

Ross ustawił laptop na biurku i zdjął pikowaną kapę z jednego z łóżek. Narzucił ją sobie na głowę, przykrywając nią równocześnie swój przenośny komputer. Zabezpieczył się w ten sposób, aby nikt nie mógł odczytać hasła, gdyby w pomieszczeniu znajdowały się ukryte kamery.

Miał w plecaku pendrive z napisem NASCAR, lecz go nie wyjął. Sięgnął natomiast w okolice pasa i tuż nad biodrem przeciągnął palcem po wewnętrznej stronie spodni. Oderwał od skóry mały samoprzylepny opatrunek o cielistej barwie, w którym ukrył nie większą od paznokcia kartę pamięci micro SD. Oderwał ją od lepkiej powierzchni, a potem włożył do adaptera wydobytego z plecaka.

Ross sam wymyślił ten sposób na ukrycie danych. Rankiem, po opuszczeniu parku Fort Marcy, poświęcił kilka godzin na przeniesienie ich z pendrive'a na kartę micro SD. Teraz miniaturowy dysk z napisem NASCAR był już pusty, podobnie jak pamięć laptopa. Obydwa urządzenia pozostawały jednak zabezpieczone silnymi hasłami i nikt, kto miałby zamiar dobrać się do plików skopiowanych z Intelinku-TS, nie mógłby się zorientować, że na próżno szuka tego, co Ethan ukrył na swoim ciele.

Rozwiązanie nie było idealne, lecz Ethanowi podobało się poczucie przejęcia kontroli, choćby tylko częściowej, nad sytuacją.

Gdy laptop rozpoznał kartę SD, Ross wpisał serię haseł i po chwili był gotowy do pracy z miniaturowym nośnikiem pamięci. Po trzech minutach laptop wyświetlił obszerną skatalogowaną

bazę danych – ściśle tajnych dokumentów wywiadu Stanów Zjednoczonych wykradzionych z sieci Intelink-TS. Ross wpisał kilka terminów do programu przeszukującego treści, zaczekał moment, a potem się uśmiechnął.

Miał przed sobą żyłą złota: informacje o amerykańskich kadrach wywiadowczych w Wenezueli, starannie podzielone na kategorie, łatwe do przejrzania i odczytania. Przeglądając stronę po stronie, Ross nie zauważył nazwisk jako takich, gdyż dokumenty zostały zredagowane przed przesłaniem do sieci, lecz mimo to ustalenie tożsamości poszczególnych agentów nie było szczególnie trudne.

Jeden z plików zawierał informacje o związkach CIA z zastępcą szefa biura wenezuelskich państwowych linii lotniczych Conviasa, urzędującym w Caracas. W innym wspomniano o dwóch zatrudnionych w stołecznym hotelu Gran Meliá konsjerżach, którzy od lat przekazywali informacje do Langley. Ross natrafił również na serię dokumentów poświęconych operacji, w której wykorzystano pomoc szefa policji w Maracaibo.

Dowiedział się też, że agentem CIA był nawet wenezuelski wiceminister spraw wewnętrznych i sprawiedliwości, który nie potrafił oprzeć się łapówkom.

Na monitorze pojawiał się plik za plikiem. Sprawdzenie ich zabrało Rossowi ponad godzinę, lecz ostatecznie, po przejrzaniu setek dokumentów, udało mu się ustalić tożsamość trzydziestu trzech osób pracujących w Wenezueli dla CIA. Ethan wydrukował wszystkie te informacje. Mógłby wprawdzie wyszukać pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kolejnych nazwisk, ale postanowił poczekać z tym do chwili przybycia do Caracas.

Poświęcił jeszcze kilka minut na usunięcie plików z pamięci tymczasowej laptopa oraz na wylogowanie się i wyłączenie urządzenia. Kiedy skończył, zdjął pikowaną kapę z głowy, na powrót ukrył kartę pamięci na biodrze, a potem zarzucił plecak na ramię i wyszedł na korytarz. Ruszył schodami do biura bez okien.

Na dźwięk otwieranych drzwi osoby siedzące na kanapach: Gianna Bertoli, oficer wywiadu, który przedstawił się jako Arturo, oraz dwie młode Wenezuelki, podniosły wzrok. Chwilę wcześniej Ethan dostrzegł dwóch młodych mężczyzn stojących na korytarzu obok wind. Pomyślał, że to ochroniarze, i docenił ich obecność, choć nie był do końca pewien, jakie zadanie im przydzielono: mieli zatrzymać go w środku czy nie pozwolić, aby zbliżył się do niego ktoś z zewnątrz?

Arturo wstał zza stołu i zapytał:

– Co nam pan przynosi?

Ethan wręczył mu plik zadrukowanych kartek i powiedział z dumą:

– Listę nazwisk dwudziestu trzech obywateli Wenezueli oraz dziesięciu obcokrajowców, którzy mieszkają w waszym kraju i pracują dla CIA. Trzydzieścioro troje mężczyzn i kobiet, szpiegujących głównie w Caracas i wykradających tajemnice waszego rządu.

– *Incredible* – odezwała się cicho jedna z Wenezuelek.

Arturo zaczął w milczeniu przeglądać kartki.

Spoglądając na Bertoli, Ethan zwrócił się do Wenezuelczyków:

– Uwierzcie mi, że to tylko wierzchołek góry lodowej. Gdy będę już bezpieczny, podam wam więcej nazwisk i przekażę listę firm działających w Wenezueli pod przykrywką, a także wykaz informatorów CIA, którzy pracują w waszych placówkach konsularnych na całym świecie, oraz informacje o dostępie CIA do wenezuelskiego sektora naftowego i bankowego. – Ethan uniósł brwi. –

To naprawdę interesujące materiały. Jestem pewien, że zechce się pan z nimi zapoznać.

Arturo z powagą skinął głową.

– I to bardzo – odpowiedział i uśmiechnął się. – Zgadzam się na pańskie warunki. Wyruszmy do Caracas natychmiast.

– Doskonale – rzekła Bertoli.

Dom siedział samotnie w mieszkaniu i zastanawiał się nad wieczornym wyjściem na miasto. Właściwie nie miał na to szczególnej ochoty, ale przesiedział prawie całe popołudnie i poczuł, że musi ruszyć się z miejsca.

Godzinę wcześniej przed drzwiami Doma pojawiła się Adara Sherman. Dom nie otworzył jej, chociaż wiedział, kto nacisnął guzik dzwonka: dostrzegł przez żaluzje samochód Adary zaparkowany przy krawężniku. Miał w środku bałagan i nie potrzebował towarzystwa, a zwłaszcza obecności kogoś, kto wpadał do niego tylko po to, aby – na polecenie jego szefa Gerry'ego Hendleya – sprawdzić go oraz ocenić jego stan fizyczny i psychiczny.

Nie było mu to potrzebne zwłaszcza tego popołudnia.

Dom stał właśnie w sypialni i przebierał się przed wieczorną kilkugodzinną włóczęgą po barach, gdy ktoś zapukał do drzwi. Uznał, że to znowu Sherman, jęknął, a potem pomyślał, że wpuści ją do środka i jakoś sobie z nią poradzi. Zerknął przez wizjer. Zobaczył znajomą postać w granatowym garniturze. Otworzył.

– Albright – powiedział.

– Mogę wejść?

– Oczywiście.

Albright nie usiadł. Stał w salonie, opierając ręce na biodrach.

Caruso domyślił się, że agent specjalny przybył do niego z nowymi wieściami. Mowa ciała Albrighta nie wskazywała jednak, żeby zamierzał czymś się pochwalić lub cokolwiek świętować. Dom zrozumiał to, zanim usłyszał choćby słowo: wiedział już, że Albright odwiedził go, ponieważ stało się coś złego.

– Pomyślałem, że powinieneś się dowiedzieć – zaczął agent. – Wygląda na to, że nie myliłeś się co do Ethana Rossa.

– Jak do tego doszliście? – zapytał Dom, unosząc brew.

– Chodzi o jego przyjaciółkę.

– Jest zamieszana w tę sprawę?

– Raczej nie.

– Dlaczego?

– Znaleźliśmy jej ciało w salonie Rossa. Jeden strzał w klatkę piersiową. Śmierć na miejscu.

Caruso głośno westchnął.

– Kto to zrobił? – zapytał. – Ross?

– Nie wiem. Oficjalnie nie miał broni, ale... Wiesz, jak to jest: gość, który chce kogoś zabić, może ją zdobyć bez większych trudności.

– To prawda.

– Zbadamy wszystkie możliwości.

Dom nie zrozumiał tego komentarza.

– Gdzie jest teraz Ross? – zapytał.

– Zniknął.

Sfrustrowany Caruso popatrzył na sufit.

– Podczas poszukiwań straciliśmy także dwóch ludzi ze specjalnej grupy obserwacyjnej – dodał Albright.

– Co, do diabła, znaczy: straciliście?

– Zaginęli razem z taksówką, którą się poruszali. Stało się to około piętnastej, tuż przed wkroczeniem SWAT-u, który miał się zająć zatrzymaniem Rossa. Jeśli to Ross zastrzelił Pang, żeby ją uciszyć, to nie miałyby także skrupułów przed strzelaniem, aby się obronić.

– Tak...

– Wiem, co sobie teraz myślisz, Caruso.

– Założę się, że wiesz.

– Myślisz, że to moja wina, i mówisz sobie, że gdybyśmy dorwali Rossa, gdy tylko pojawiło się jego nazwisko, Pang wciąż by żyła i nie brakowałoby moich dwóch ludzi.

Dom nie odezwał się ani słowem.

– FBI nie łamie prawa – dodał Albright. – Być może o tym zapomniałeś, ale takie jest prawo.

– Tak, sam zawsze broniłem prawa i porządku – odparł Dom. – Teraz widzę, do czego to może prowadzić.

– To, co mówisz, Caruso, jest niebezpieczne.

– Po prostu myślę, Albright, że w tym przypadku powinieneś być lekko nagiąć zasady i trochę energiczniej wziąć się za Rossa.

Albright wciąż trzymał dłonie na biodrach i wpatrywał się w Caruso.

Dom złagodniał. Nie powinien był tak traktować człowieka, który starał się działać najlepiej, jak umiał.

– Czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc? – zapytał.

– Tak – odpowiedział Albright. – Możesz dać mi swój pistolet. Chcę, żeby zbadali go nasi balistycy.

– Co?!

– Posłuchaj: chodzi tylko o to, żeby cię wykluczyć. Ani przez chwilę nie pomyślałem, że siostrzeniec prezydenta mógłby zamordować Eve Pang. Jesteś jednak uzbrojonym facetem kręcącym się jak szalony w samym środku tego gówna, więc wyszedłbym na głupka, gdybym nie odhaczył twojego nazwiska w rubryce z nagłówkiem „czysty”.

W pierwszej chwili Caruso zamierzał zaprotestować, ale wiedział, że odmowa wydania broni zakończyłaby się ponowną wizytą Albrighta przybywającego z nakazem. Podszedł zatem do regału z książkami, sięgnął po ukrytą kaburę na szelkach i wyjął z niej swojego smith & wessona. Wyjął magazynek, przeładował broń, wyrzucając pocisk z komory, i podał pistolet agentowi.

– Chcę dostać pokwitowanie – rzekł.

Albright spuścił zamek, po czym wsunął rozładowaną broń Doma za pasek.

– Jasne – odpowiedział. – To standardowa procedura.

– Kto jak nie ty ma o tym wiedzieć? – odparł Caruso.

Dwanaście minut po północy Ethan Ross opuścił ambasadę Wenezueli, leżąc twarzą w dół na podłodze za przednimi fotelami sedana infiniti. Prowadziła go młoda agentka wywiadu, obok której siedział funkcjonariusz ochrony. Kanapę z tyłu zajęło dwóch agentów delikatnie opierających nogi na plecach Rossa, on zaś spoczywał na plecaku, chroniąc jego zawartość własnym ciałem.

Czwórka Wenezuelczyków otrzymała jasne instrukcje: mieli zrobić wszystko, aby nie stracić pracownika amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Pozwolono im nawet na rozpoczęcie szybkiej ucieczki przed policją, jeśli ta próbowałaby ich zatrzymać. Sedanowi towarzyszył drugi pojazd – cadillac escalade – pełniący rolę samochodu ucieczkowego. Gdyby coś poszło niezgodnie z planem, jego załoga miała przejąć Rossa i natychmiast z nim odjechać.

Obyło się jednak bez niespodzianek i po czterdziestopięciominutowej podróży infiniti zatrzymało się w hangarze technicznym lotniska Waszyngton-Dulles. Wenezuelczycy wysiedli z samochodu, a Ethanowi kazali zostać w środku jeszcze przez kilka minut. Zamierzali sprawdzić otoczenie przed odprowadzeniem Rossa do samolotu.

Ethan podniósł się z podłogi sedana i zanim jeszcze rozciągnął zdrętwiałe mięśnie, przejrzał zawartość plecaka. Wymacał baterię telefonu, który niedawno kazał mu kupić Banfield. Ostrożnie wyjął ją poprzedniego popołudnia w drodze do wenezuelskiej ambasady, a teraz – podobnie jak telefon – znalazł wciśniętą na samo dno.

Nagle zrozumiał, że ma przed sobą ostatnie chwile w Stanach Zjednoczonych i nie wie, jak długo pozostanie poza granicami. Gianna obiecała mu wprawdzie, że jego życie wróci na normalne tory, gdy tylko uda się zawrzeć umowę z rządem, lecz powiedziała to przed próbą zamachu. Teraz Ross nie wiedział już, czy kiedykolwiek wróci do domu. Nie wiedział również, co go spotka po przybyciu do Wenezueli.

Pod wpływem nagłego impulsu włożył baterię do telefonu, włączył go i zadzwonił do San Francisco: wybrał domowy numer matki.

Na Zachodnim Wybrzeżu była już trzecia w nocy. Ross poznał to po zmęczonym, zniecierpliwionym, a zarazem pełnym troski kobiecym głosie, który usłyszał po drugiej stronie.

– Kto mówi?

– To ja, mamó.

– Ethan? Ethanie, czy wszystko w porządku?

– Nic takiego. Cóż... Po prostu chciałem do ciebie zadzwonić.

– Dlaczego? – Emily Ross zdążyła już się obudzić. – Co się stało?

– Ja... Wszystko będzie dobrze. Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś się nie martwiła.

– Żebym się nie martwiła? Czym? Już się martwię! Powiedz coś! Co się stało?

Drzwi sedana się otworzyły i jedna z agentek spojrzała na Ethana rozżłoszczonym wzrokiem.

- Muszę już iść. Zapomnij o tym telefonie. Zadzwoń do ciebie jutro, jeśli tylko będę mógł.
- Dlaczego miałbyś nie móc...
- Kocham cię – powiedział Ross i rozłączył się w chwili, w której agentka wyrwała mu komórkę z ręki.

Wyjęła z niej baterię, a Ross wysiadł z samochodu.

Potrzebował chwili, aby zorientować się w otoczeniu. Zobaczył przed sobą samolot: był to beechcraft king air 350i.

Maszyna wyposażona w dwa silniki turbośmigłowe nie zaimponowała Ethanowi. Nie był to nawet odrzutowiec. Jako pracownik Departamentu Stanu i Rady Bezpieczeństwa Narodowego, Ross spędził mnóstwo godzin w powietrzu. Podróżował po świecie niewielkimi luksusowymi samolotami odrzutowymi, więc kiedy stanął w technicznym hangarze lotniska Waszyngton-Dulles, nie potrafił ukryć rozczarowania. Nie spodziewał się, że będzie musiał uciekać ze Stanów samolotem latającym wolniej niż te, do których zdążył się przyzwyczać. Uważał, że wywiad Wenezueli powinien być docenić jego zasługi i zapewnić mu bardziej komfortową maszynę.

Wenezuelska agentka wręczyła telefon Rossa Arturo, stojącemu przy samolocie i rozprawiającemu o czymś z pozostałymi członkami grupy. Mężczyzna natychmiast podbiegł do infiniti i zatrzymał się przed Amerykaninem.

Ethan uniósł rękę.

– Proszę się nie martwić – rzekł. – Nikt nie namierzy tego telefonu, bo kupiłem go dziś w Reston. Nikt nie wie, że go mam, i nie jest zarejestrowany na moje nazwisko. W dodatku użyłem go po raz pierwszy właśnie przed chwilą.

Arturo uspokoił się nieco, natomiast agentka oświadczyła:

- Będziemy musieli pana zrewidować, zanim wejdzie pan na pokład.
- Jasne.

Agentka zerknęła na Arturo.

- Do kogo pan dzwonił? – zapytał Wenezuelczyk.
- Do swojej mamy. Powiedziałem jej tylko, że odezwę się za parę dni.
- Mógł pan zaprzepaścić tę misję, panie Ross.
- Jedyłą rzeczą, która może do tego doprowadzić, señor, jest to, że tu wciąż jeszcze stoimy.

Arturo zmagął się przez chwilę z samym sobą, usiłując zachować spokój, a następnie gestem zaprosił Ethana do samolotu. Ross wdrapał się po czterostopniowej drabince do kabiny, wciąż ubolewając w duchu, że jego wenezuelscy współnicy nie wysupłali pieniędzy na wyczarowanie prywatnego odrzutowca *last minute*.

Rozglądając się po niewielkim, ale zdumiewająco dobrze wyposażonym wnętrzu maszyny, Ross dostrzegł sześciu nowych ludzi. Należał do nich Wenezuelczyk z ambasady, który przedstawił się Ethanowi jako attaché kulturalny, uścisnął mu dłoń, polecił zająć miejsce z tyłu kabiny, a potem usiadł tuż za kokpitem. Ethan podszedł do wygodnego skórzanego fotela i usadowił się naprzeciwko Gianni Bertoli. Uśmiechnęła się, podając mu rękę.

- Wszystko w porządku? – zapytała.

Ethan skinął głową, chociaż wcale tak nie myślał. Nie czuł się dobrze, lecz właśnie w tej chwili nie mógł nic na to poradzić.

Obok Bertoli siedział oparty o okno drobny, młodo wyglądający mężczyzna o oliwkowej cerze i krótkich ciemnych włosach. W pierwszej chwili Ross uznał go za Wenezuelczyka, chociaż nieznajomy różnił się ubiorem od agentów w garniturach i krawatach. Wyglądał jak student, gdyż miał na sobie niebieskie dżinsy oraz niebieską flanelową koszulę narzuconą na czerwony T-shirt. Ethan zauważył też czarną kurtkę narciarską, którą mężczyzna podłożył sobie pod łokieć.

Nieznajomy szybko i energicznie uderzał w klawisze małego notebooka stojącego przed nim na stoliku. Był tak pochłonięty tym zajęciem, że nawet nie zwrócił uwagi na siadającego Ethana.

– Ethanie, chciałabym przedstawić ci mojego dobrego przyjaciela Mohammeda – powiedziała Gianna.

Mohammed?, pomyślał Ross. Więc to na pewno nie Wenezuelczyk.

Mohammed zerknął w stronę Ethana, uśmiechając się nerwowo.

– Miło mi pana poznać – odezwał się.

– Mohammed współpracuje z nami już od ponad roku – dodała Gianna.

– Naprawdę? W jakim charakterze?

Ethan skierował pytanie do Mohammeda, lecz odpowiedziała na nie Gianna:

– Jest jednym z naszych najlepszych hakywistów. Okazał się niezwykle pomocny.

– Skąd pan pochodzi? – zapytał Ethan.

Mohammed zaczął rozglądać się rozbieranymi oczyma po kabinie, unikając wzroku Ethana.

– Z Libanu – odpowiedział w końcu i ponownie wpatrzył się w klawiaturę notebooka.

Ethan skinął głową i zadał mu kolejne pytanie:

– Wybiera się pan z nami aż do Wenezueli?

– Tak, proszę pana. Jeśli nie będzie to panu przeszkadzać.

Ethan wzruszył ramionami. Młody człowiek wydał mu się dziwny. Nieprzyjemny. Ethan nie potrafił powiedzieć, dlaczego odniósł takie wrażenie. Czuł się jednak nieswojo w obecności tego Libańczyka o zdecydowanie niegroźnej powierzchowności.

Spojrzał na Giannę. Uśmiechnęła się do niego lekko i powiedziała:

– Jesteśmy już prawie w drodze. Przyszłość przed tobą, Ethanie. Nie martw się, proszę. Zaopiekuję się tobą.

Pilot uruchomił silniki i po chwili samolot wytoczył się z hangaru.

Nabierając wysokości nad Wirginią, beechcraft trząsł się i kołysał, lecz później, gdy obrał kurs na południe, w powietrzu zapanował spokój. Po osiągnięciu wysokości przelotowej wynoszącej ponad osiem tysięcy metrów Ethan popijał już krwawą mary i grzebał w torbie chipsów.

Sięgnąwszy po drugą szklaneczkę koktajlu, ponownie zainteresował się libańskim maniakiem komputerowym. Zaczął wypytywać go o różne rzeczy, aby się przekonać, czy Mohammed był naprawdę tym, za kogo się podawał. Gdy Libańczyk oświadczył, że uzyskał absolutorium na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie, Ross wiedział, że będzie to mógł łatwo sprawdzić. Pracując w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, poznał kilku wykładowców tej uczelni. Zapytał młodego człowieka o jego studia i pozbył się wątpliwości, kiedy Mohammed wymienił kilka nazwisk znanych Amerykaninowi.

Zapytał również o pracę Mohammeda jako hakywisty. Wprawdzie Libańczyk wydał mu się wtedy

odrobinę dziwny i zakłopotany, lecz dyskusja o atakach DOS, trojanach, robakach komputerowych i innych technicznych aspektach hakerstwa nie sprawiła mu najmniejszych problemów. Ethan uznał więc, że Mohammed jest naprawdę libańskim hakerem, dzięki czemu nieco się uspokoił.

Podczas rozmowy Ross zauważył nerwowość młodego Libańczyka. Dostrzegł również jego wyjątkowy umysł oraz zakłopotanie, które często towarzyszy prawdziwemu geniuszowi.

Pomyślał też, że Mohammed ukrywał coś, co zamierzał zachować wyłącznie dla siebie.

Mniej więcej po godzinie lotu, gdy Ross i Mohammed dawno już zakończyli rozmowę, milcząca dotąd Gianna położyła dłoń na kolanie Rossa.

– Nie uciekasz, Ethanie – odezwała się. – Ty tylko odbierasz amerykańskiemu rządowi jedyną możliwość zakończenia tej sprawy na jego warunkach.

Ross skinął głową, ale wzdrygnął się, słysząc, że Bertoli utożsamia FBI z rządem Stanów Zjednoczonych. Przecież i on, do cholery, był jego częścią, ściganą przez innych rządowych funkcjonariuszy. Mimo to zmilczał i zapytał Bertoli, w jaki sposób zwrócić się do rządu, aby spróbować przywrócić mu dawne życie.

– Dolećmy najpierw na miejsce, a jutro omówimy nasze plany – odpowiedziała Gianna. – Nie jesteśmy bezpieczni, dopóki nie dotrzemy do Caracas.

Beechcraft wylądował na lotnisku Opa-Locka Executive Airport w Miami, aby uzupełnić zapas paliwa. Zatrudniona tu urzędniczka celna miała wenezuelskiego krewnego, zajmującego niezbyt eksponowane, ale dobrze opłacane państwowe stanowisko, i przyzwyczaiła się do odprawiania rządowych samolotów do Caracas bez zbędnych ceregieli. Nie kontrolowała pasażerów ani ich bagaży, co gwarantowało jej i krewniakowi karierę przynoszącą konkretne korzyści.

O szóstej rano dwusilnikowa maszyna ponownie wzbiła się w powietrze, a następnie obrała kurs na Zatokę Meksykańską.

Niecałą godzinę później Arturo pochylił się ku Giannie Bertoli i obudził ją lekkim szturchnięciem.

– Cześć, Arturo – powiedziała wyrwana ze snu Szwajcarka. – Czy coś się stało?

Wenezuelczyk zwrócił się jednak do Ethana, mówiąc:

– Panie Ross, informacje, które nam pan przekazał, są wyjątkowo cenne.

Ethan, który jeszcze przed chwilą wyglądał przez okno, myśląc przede wszystkim o swojej matce, odwrócił się do Arturo i odparł:

– To oczywiste, że są.

– Stwarza to jednak poważny problem.

– To znaczy?

– Jeśli polecimy prosto do Caracas, to natrafimy tam na amerykańskich agentów, którzy już o panu wiedzą. Ludzi, których trzeba będzie namierzyć i zatrzymać.

– Jasne. W takim razie zabierzcie się za to.

– Nasze służby bezpieczeństwa już nad tym pracują, ale nie zdążą uporać się z całym bałaganem przed naszym lądowaniem. Amerykanie mają wtyczki w naszej policji, w służbach bezpieczeństwa, a nawet w administracji prezydenta.

– Co pan sugeruje?

– Sugeruję, señor, że powinniśmy udać się w bezpieczne miejsce w innym kraju.

– W bezpieczne miejsce? Dokąd?

– Do Panamy. Zadbamy tam o pańskie bezpieczeństwo, dopóki nie uwolnimy naszej organizacji od amerykańskich wpływów. Potrwa to dwa, góra trzy dni.

Nie spodobało się to Rossowi.

– Ale przecież w Panamie nie będziecie w stanie ochronić mnie przez rząd Stanów Zjednoczonych – odparł ponuro Ethan.

– Będziemy, przyjacielu – odparł Arturo. – Nie musi się pan o to martwić. Mówię o miejscu, które jest ustronne i bezpieczne. W przypadku jakichkolwiek kłopotów będziemy mogli bardzo szybko ewakuować pana samolotem albo łodzią. To miejsce, w którym od lat zapewniamy ochronę naszym współpracownikom.

– A Panamczycy?

– Niczego nam nie utrudniają.

Ethan spojrział pytająco na Giannę, która tylko lekko skinęła głową, a następnie popatrzył na Mohammeda, ale nie doczekał się jego reakcji, ponieważ Libańczyk o chłopięcej twarzy zdążył już zasnąć.

– Zaufaj mi, *amigo* – dodał Arturo. – Waga informacji, które nam przekazałeś, sprawia, że udanie się do Caracas byłoby najgorszą rzeczą, jaką mógłbyś teraz zrobić.

Ethan wyjrzał na chwilę przez okno. Wydarzenia biegły tak szybko...

– Okej – powiedział w końcu. – Ale nie dostaniecie ode mnie niczego więcej, dopóki nie dotrzemy do Caracas.

– To żaden problem – odparł Arturo z przebiegłym uśmiechem. – Już dałeś mojej organizacji wszystko, z czym będzie mogła sobie poradzić.

Odwrócił się i poszedł na przód samolotu, aby porozmawiać z załogą.

Dom Caruso spędził wieczór na rozmyślaniach o Ethanie Rossie. Obiecał wprowadzić Albrightowi, że nie będzie się wtrącał do dochodzenia, ale kilka godzin później sprawy zaczęły się komplikować. Zaniepokojony Dom uznał, że Albright – cokolwiek myślał o sytuacji – będzie potrzebował pomocy.

O dwudziestej Caruso zadzwonił do Davida.

– Słyszał pan o zamordowaniu Eve Pang? – zapytał.

– Tak. Słyszałem też o zniknięciu dwóch agentów FBI oraz Ethana Rossa. Same nieszczęścia.

– Zgadza się.

– Przypuszczam, że chodzi o człowieka, o którym opowiedział mi pan wczoraj, chociaż nie chciał podać jego nazwiska.

– Tak, to ten sam facet.

– Moglibyśmy pomóc w tej sprawie. Na razie jednak nasze źródła twierdzą, że niczego nie mają.

– W takim razie wiemy tyle samo – rzekł Dom.

– Jeśli nie mamy do czynienia z sytuacją, w której ludzie z FBI przypadkowo znaleźli się w miejscu popełnienia przestępstwa, to musimy się zastanowić, kto jeszcze interesował się Rossem i co ten ktoś wie, skoro powzięto tak daleko idące kroki, aby pomóc Rossowi znaleźć się poza zasięgiem władz amerykańskich.

– Przypuszczam, że poznamy odpowiedź na to pytanie, kiedy się dowiemy, dokąd wybrał się Ross – powiedział Dom.

– Czy ktoś coś robi w tej sprawie? – zapytał David z nadzieją w głosie.

– Nie biorę udziału w dochodzeniu. Albright odsunął mnie od niego. Mogę się tylko domyślać, że federalni namierzają komórkę Rossa i wiedzą, dokąd się wymknął.

David zawahał się na krótką chwilę, a potem odparł:

– Ross zostawił swój telefon w domu. Jestem pewien, że FBI już o tym wie.

– A skąd, do cholery, wy o tym wiecie? – zapytał Caruso.

– Mamy pewne możliwości i możemy zaglądać do rejestrów firm telekomunikacyjnych.

– Chce mi pan powiedzieć, że izraelski wywiad zhakował amerykańskie firmy?

– Nie powiedziałem nic takiego.

– Słusznie.

David nie palił się do ujawniania szczegółów dotyczących pracy Mosadu, a Dom wiedział, że nie powinien naciskać. Doceniał to, że agent izraelskiego wywiadu chciał z nim w ogóle rozmawiać.

– W każdym razie komórka Rossa wciąż wysyła sygnał do wieży przekaźnikowej, która znajduje się najbliżej jego domu – dodał David.

Caruso podszedł do swego laptopa i odchylił jego ekran.

– Mam numer karty SIM drugiego telefonu, którego używał Ross – oświadczył. – Niewykluczone, że ma go przy sobie. Możecie namierzyć tę komórkę na podstawie numeru?

– Nie wiem, ale się dowiem. Powiedział pan o tym FBI?

– Nie. Wiązałoby się to z ich pytaniami, na które nie chcę opowiadać.

– Ach, tak. Świetnie pana rozumiem. Zajmę się tym i zadzwonię, kiedy będę coś miał.

Zgodnie z obietnicą David zatelefonował niecałą godzinę później. Poprosił Doma o spotkanie o dziesiątej.

Tuż po dziewiątej beechcraft king air wylądował na międzynarodowym lotnisku w Bocas del Toro. Ethan powstrzymał się całą siłą woli, żeby nie zacząć przepychać się przez współpasażerów, aby jak najszybciej opuścić ciasną kabinę i znaleźć się na świeżym powietrzu. Gdy jednak w końcu stanął na rozgrzanym i parującym asfalcie, zrozumiał, że w klimatyzowanym wnętrzu maszyny było bez porównania przyjemniej.

Łądowisko znajdowało się na małej wyspie Colón. Wcześniej, z okna samolotu zbliżającego się do celu, Ethan zauważył, że wysepka stanowi część archipelagu i jest otoczona mnóstwem większych wysp oraz raf koralowych, płaskich i porośniętych tropikalną roślinnością. Lotnisko okalały z obu stron niewielkie zabudowania miasteczka Bocas. Wznosiły się w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od pasa startowego, tuż za ogrodzeniem wyznaczającym granicę lotniska. Wsiadłszy z samolotu, Ethan zobaczył palmy smagane gorącym wiatrem i poczuł wciskający mu się do nozdrzy zapach benzyny oraz wilgotnego lasu.

Do beechcrafta znieruchomiłego na gorącym asfalcie podjechała mieszcząca dwanaście osób furgonetka z dwoma Latynosami o srogich twarzach, których Ethan wziął za kolejnych agentów wenezuelskiego wywiadu. Po przeniesieniu skromnych bagaży z beechcrafta do samochodu przybysze wyruszyli w dziesięciominutową podróż zaśmieconymi i zatłoczonymi uliczkami miasteczka Trzeciego Świata, prowadzącymi do portu.

Wyruszyli wszyscy z wyjątkiem Arturo. Wenezuelczyk ponownie wdrapał się na pokład samolotu, ponieważ zamierzał dostać się do Caracas, aby pomóc przeprowadzić aresztowanie amerykańskich szpiegów.

Troje niebędących Wenezuelczykami pasażerów minibusa przeciskającego się przez miasteczko – Ross, Bertoli oraz Mohammed – dowiedziało się, że kryjówka znajduje się na większej, lecz nieco oddalonej od nich wyspie Bastimentos. Furgonetka minęła po drodze kilka wozów policyjnych, a nawet ciężarówkę pełną żołnierzy panamskich Publicznych Sił Zbrojnych. Ethan zdenerwował się na widok ludzi w mundurach, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie może uczynić nic więcej, jak tylko cierpliwie siedzieć i mieć nadzieję, że Wenezuelczycy wiedzą, co robią. Wyglądał więc dalej przez okno.

Po przybyciu do portu Ethan ujrzał najrozmaitsze łodzie, kręcące się bezustannie tam i z powrotem i przewożące ludzi oraz towary pomiędzy sąsiednimi wyspami. Jego grupa minęła jednak promy, a potem taksówki wodne czekające na pasażerów i zameldowała się na dwóch szybkich motorówkach. Niemal natychmiast wypłynęli na wzburzone morze, po czym skierowali się na południowy zachód. Minęli od południa małą wyspę Carenero i skręcili, przecinając mocno uczęszczany szlak z licznymi promami oraz łodziami transportowymi. W końcu wpłynęli na spokojniejsze wody pomiędzy wyspami Solarte i Bastimentos.

W pierwszej chwili Ethanowi wydało się, że Bastimentos jest zupełnie niezamieszkała, lecz potem, gdy motorówki zbliżyły się do jej wybrzeża i popłynęły wzdłuż niego na południe, zaczął dostrzegać górujące nad gęstym lasem blaszane dachy domów, pojawiające się co kilkaset metrów.

Kilka minut później obie łodzie wpłynęły w zatokę wchodzącą w głąb lądu i zaczęły poruszać się bardzo wolno. Minęły zarośla mangrowe rozciągające się z lewej strony, żółtą piaszczystą plażę po prawej, a potem znalazły się w miejscu, w którym oba brzegi były gęsto porośnięte palmami. Gdy motorówki pokonywały zakręt, Ethan spodziewał się, że zobaczy niszczejącą blaszaną rudę, lecz jego oczom ukazał duży biały dom w stylu kolonialnym, wzniesiony w odległości niecałych dziesięciu metrów od wody i otoczony rozległym wypielegnowanym trawnikiem. Piętro budynku otaczała weranda, na której stało kilku mężczyzn obserwujących zbliżające się motorówki.

Na pomoście czekał już łysy mężczyzna z sumiastymi wąsami, odziany w lekki tropikalny uniform. Uśmiechał się szeroko i zachęcająco, w przeciwieństwie do dwóch młodszych mężczyzn, którzy stali po jego obu stronach: ci mieli marsowe miny i kabury z bronią na biodrach.

– Moi przyjaciele! Witamy – odezwał się wąsacz po angielsku.

Ethan wyskoczył z motorówki, wyprzedzając Bertoli i Mohammeda. Ucisnął dłoń łysiego mężczyzny, który rzekł:

– Jestem Leopoldo, ale proszę mówić mi Leo.

– Ethan Ross.

– *Bienvenido a Panamá, señor Ross!* – powiedział Leo, po czym przywitał się z dwojgiem pozostałych gości.

Cała czwórka ruszyła schodami w stronę budynku.

– Co to za miejsce? – zapytał Ross.

Leo uśmiechnął się z dumą i odpowiedział:

– Myślmy o nim jak o domu z dala od domu – odpowiedział. – Na początku, jakieś sto lat temu, była to rezydencja francuskiego biznesmena, który zajmował się przetwórstwem owoców. Później przez wiele lat znajdował się tu luksusowy hotel, a kilka lat temu właścicielem tego miejsca został przyjaciel wenezuelskiego rządu. Kupił dom i wynajmuje go nam za każdym razem, kiedy tego potrzebujemy. – Na twarzy Leo wciąż malowała się duma. – Mamy tu wszystkie wygody: telewizję satelitarną i telefony, dobry internet, a nawet własnego szefa kuchni. – Leo poklepał Ethana po plecach, jakby byli starymi przyjaciółmi. – Dobrze się o was zatroszczymy, a ja osobiście pozostaję do waszej dyspozycji.

– Przepraszam, sir – przerwał mu Mohammed łagodnym, przepraszającym tonem. – Co może nam pan powiedzieć o ochronie tego miejsca?

W odpowiedzi Leo odchylił połą bluzy, ukazując pistolet maszynowy MP5.

– Nie martwcie się, moi przyjaciele – powiedział. – Ochroną tego zamkniętego terenu zajmuje się specjalna grupa dziesięciu uzbrojonych ludzi. Pięciu z nas także nosi broń i odbyło stosowne szkolenie. Panamska policja ma tutaj uzbrojoną łódź, która patroluje całą okolicę i również pilnuje naszego bezpieczeństwa.

– A jeśli Amerykanie jakoś odkryją naszą obecność? – zapytał Mohammed. – Jak się stąd wydostaniemy?

– Łodziami, oczywiście – wyjaśnił Leo. – Mamy też na podjeździe dwa wozy terenowe gotowe do

ucieczki w każdej chwili. Ta wyspa ma ponad pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych, a drogi w lasach są błotniste i trudno przejezdne. Są także przystanie z każdej strony i jeszcze więcej łodzi. Mamy wiele sposobów, aby się stąd wydostać w razie potrzeby, chociaż i tak nikt nie będzie mógł tu węszyć bez naszej wiedzy.

– Dziękuję – rzekł Mohammed.

Ethan był zaskoczony odwagą młodego Libańczyka, który ośmielił się wypytać Leo o szczegóły działań operacyjnych Wenezuelczyków, lecz łysy wąsacz nie wydawał się w najmniejszym stopniu urażony dociekliwością pytań.

Kolonialny gmach imponował rozmiarami. Jego parter podzielono na kilka ogólnodostępnych pomieszczeń, natomiast na piętrze znajdowało się osiem pokoi. W pobliżu domu wznosiło się kilka innych, mniejszych budynków, otaczających brudny basen i spękany kort tenisowy. Zapewniały one dodatkowe schronienie, z którego mogła skorzystać ochrona kryjówki.

Ethanowi przydzielono pokój w północno-wschodnim narożniku piętra, a także strażnika: uzbrojonego siwowłosego mężczyznę, który wyglądał na zawodowca i czuwał przy drzwiach.

W pokoju brakowało jednak wyjścia na werandę. Ethan wyjrzał zatem przez okno i dostrzegł mały wspinające się po pobliskich drzewach.

Czuł się w zasadzie chroniony, ale nie był głupcem. Pomimo zapewnień Wenezuelczyków wiedział, że jeśli przybędą tu po niego Amerykanie lub Izraelczycy, to jego jedyną szansą będzie ratowanie się na własną rękę.

Biblioteka publiczna w Georgetown mieściła się w kolonialnym budynku w jednej z najzamożniejszych dzielnic Waszyngtonu, lecz panowała w niej – całkiem dosłownie – gówniana atmosfera. Bezdomny mężczyzna przespał dzień w wygodnym fotelu stojącym w holu gmachu i nawalił w portki, przez co wypełnił fetorem każdy zakamarek parteru historycznej budowli.

Pracownicy biblioteki zdążyli się już przyzwyczaić do obecności bezdomnych i nauczyli się ignorować ich zapach, ale dobrze ubrany dżentelmen przy regałach w dziale historycznym nie potrafił ukryć odrazy malującej się na jego twarzy.

Dominic Caruso, który pojawił się u jego boku, zapytał:

– Wszystko w porządku?

– Tak – skłamał David, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. – Czy możemy pójść na górę, żeby uwolnić się od tego nieprzyjemnego zapachu?

Poszli na drugie piętro, do Sali Peabody’ego, i zaszyli się w ustronnym kącie wolnym od fetoru.

– O wiele lepiej – rzekł z ulgą David. – Mam dla pana nowe wieści. Tylko dla pana. O ile wiem, tego, co panu powiem, nie wie jeszcze nikt z waszego rządu.

– Proszę mówić dalej.

– Byliśmy w stanie zlokalizować kartę SIM, której numer pan nam podałeś, i znaleźliśmy telefon.

Dom skrzywił się.

– Niech zgadnę – powiedział. – Ethan Ross nie miał go przy sobie.

– Niestety, nie miał. Telefon leżał w kontenerze na śmieci za sklepem 7-Eleven w Reston.

– Niech to cholera! Ślepa uliczka.

– Nie do końca. Przejrzeliśmy zapis z kamery w 7-Eleven, który pokrywa się w czasie z chwilą wyrzucenia telefonu.

Dominic oparł się o regał i założył ręce.

– A jak wam się to, do diabła, udało? – zapytał.

– Przerabialiśmy już takie rzeczy – odpowiedział David z uśmiechem. – Nasze relacje wymagają zaufania, panie Caruso. Wymagają także przyjmowania pewnych rzeczy na wiarę.

– Słusznie.

– Zobaczyliśmy, że Ethan Ross wszedł do sklepu sam i kupił nowy telefon komórkowy. Poprzedni, kupiony trzy dni wcześniej, wrzucił do kontenera. Na podstawie szczegółów z wykazu transakcji sklepu wyszukaliśmy kod kreskowy z pudełka nowej komórki, a to pozwoliło nam...

– Chwileczkę – przerwał Davidowi Dom, unosząc rękę. – Jak to? Czy Mosad potrafi zhakować nawet kasę 7-Eleven?

David uniósł brwi, ale się nie odezwał.

– Okej, nie będę więcej pytał.

Agent Mosadu podjął przerwany wątek.

– Kod kreskowy umożliwił nam ustalenie numeru SIM telefonu i zlokalizowanie aparatu, który znajdował się na lotnisku Dulles. Ross najwyraźniej wyjął z niego wcześniej baterię, włożył ją z powrotem na lotnisku, zadzwonił, a potem wyjął ją znowu i straciliśmy ping. W pierwszej chwili wyglądało to na kolejną ślepią uliczkę, ale po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że telefon Rossa nie opuścił lotniska. Został w hangarze technicznym, w którym obsługiwane są samoloty czarterowe. Tylko jeden z nich wyleciał z Dulles, gdy telefon leżał w hangarze.

– Dokąd?

– Do Miami, a później, zgodnie z planem lotu, do Caracas w Wenezueli.

– Caracas... – powtórzył Dom. – Wiecie już, kto wyczarterował tę maszynę?

– Tak. Przykrywkowa firma pracująca dla wenezuelskiego wywiadu.

Zupełnie już zdezorientowany, Dom podrapał się po głowie.

– Ross jest ekspertem w sprawach bliskowschodnich i wykradł tajemnice państwowe, z których użytek zrobili Palestyńczycy – powiedział. – Ale co, do diabła, ma to wszystko wspólnego z wenezuelskim rządem?

– Nie wiemy. Jest jednak jeszcze jeden problem. Nasi ludzie czekali w Caracas na lądowanie czarteru z lotniska Dulles, ale jego załoga zmieniła w powietrzu plan lotu i samolot poleciał do Panamy.

Dom oparł się odchyloną głową o regał i rzekł:

– Ze stolicy Panamy mogliby polecieć dokądkolwiek.

– Nie polecili do stolicy, tylko do Bocas del Toro na północy kraju. Jest tam małe lotnisko na wyspie Colón. Powinni byli wylądować na nim w ciągu ostatniej godziny. Niestety nie byliśmy w stanie wysłać tam nikogo, kto zdążyłby się rozejrzeć.

– Domyśla się pan, po co polecili do Bocas del Toro?

– Ani trochę.

Dom szybko przemyślał to, czego dowiedział się od Davida. Rządy Panamy i Wenezueli nie prowadziły wprawdzie otwartej wojny, lecz ich narody okazywały sobie wzajemną wrogość. Dom nie potrafił wyobrazić sobie powodu, dla którego wywiad wenezuelski miałby wydostać amerykańskiego szpiega ze Stanów Zjednoczonych i przemyścić go do serca panamskiego lasu tropikalnego.

Opuścił bibliotekę, ale najpierw obiecał Davidowi, że wkrótce do niego zadzwoni. Żaden z nich nie wiedział, jaki następny krok należy zrobić, aby upolować Rossa. Dom jednak zdawał sobie sprawę, gdzie będzie mógł dowiedzieć się czegoś więcej.

Idąc po motocykl, który zostawił na parkingu przed biblioteką, Dom zatelefonował do Gerry'ego Hendleya i zapytał go, czy mógłby sprawdzić, co CIA wie o wenezuelskich operacjach w panamskim Bocas del Toro. Gerry – choć zaskoczony, co zresztą zrozumiałe – obiecał, że skontaktuje się z kimś na siódmym piętrze w Langley i natychmiast oddzwoni.

Pół godziny później Dom, który zdążył już wrócić do swojego mieszkania przy Lincoln Circle, usłyszał ćwierkanie komórki i zerknął na jej wyświetlacz. Dzwonił Hendley.

– Powiedz mi, Gerry, że coś masz.

Hendley zaczął mówić, przeciągając samogłoski w sposób charakterystyczny dla południowców:

– Tak, dowiedziałem się czegoś, ale nie mam zielonego pojęcia, do czego ci się to przyda. Mój kontakt w CIA poinformował mnie o trzech miejscach w Bocas del Toro, które uznano za powiązane z wenezuelskimi służbami bezpieczeństwa: wywiadem i kontrwywiadem.

– Jakie to miejsca?

– Pierwszym jest hotel w Bocas kupiony kilka miesięcy temu przez dwóch chłopaków z wywiadu Wenezueli, którzy przyjechali z Caracas. Mam adres.

– Hotel w mieście? Nie, raczej nie tego szukam. Co jeszcze?

– Pilot z firmy w Bocas obsługującej krótkie trasy został rozpoznany jako wenezuelski agent.

– Niech to szlag! – powiedział Dom.

Pomyślał, że Ross mógł przesiąść się w Bocas do innego samolotu i polecieć jeszcze dalej. Im bardziej się jednak nad tym zastanawiał, tym mniej wydawało mu się to prawdopodobne. Beechcraft nie wymagał szczególnie długiego lądowiska, a zatem zmiana samolotu nie była konieczna.

– Jaka jest trzecia możliwość? – zapytał Caruso.

– W tym wypadku nie otrzymałem adresu, a jedynie długość i szerokość geograficzną. Chodzi o duży kolonialny budynek na tropikalnej wyspie oddalonej od Bocas del Toro o kilka kilometrów. To dom, który należy do rodziny związanej z boliwijskim rządem.

Instykt Dominica podpowiedział mu, że trzecia możliwość jest najbardziej obiecująca.

– Podaj mi koordynaty – poprosił Gerry'ego.

Wprowadził dane do programu EagleView.

Przyglądając się satelitarnemu zdjęciu posiadłości, pomyślał, że wenezuelskie służby bezpieczeństwa mogą wykorzystywać ją jako kryjówkę. Posiadłość leżała na uboczu, w miejscu, z którego doskonale było widać wąską zatokę wchodzącą w głąb lądu oraz drogę gruntową prowadzącą na południe.

– Tak – mruknął do siebie Dom. – Przepraszam, Gerry. Oddzwonię do ciebie.

Rozłączył się, a potem wybrał numer telefonu Davida.

– Myślę, że wiem, gdzie przebywa Ross – powiedział.

– Gdzie?

– Zanim to panu powiem, muszę otrzymać gwarancję, że nie będziecie wchodzić mi w drogę. Zapropnował mi pan pomoc logistyczną i właśnie teraz będę jej potrzebował.

– Zgoda.

– Ross prawdopodobnie ukrywa się w kryjówce wenezuelskiego wywiadu na panamskiej tropikalnej wyspie w pobliżu Bocas del Toro.

– Rozumiem. Czy domyśla się pan, co on tam robi?

– Ani trochę. Mogę jedynie spekulować, że przekazał Wenezuelczykom jakieś materiały w zamian za bezpieczny wyjazd z kraju. Nie mam zielonego pojęcia, jakie to mogą być materiały, i nie wiem, dlaczego Wenezuelczycy nie zabrali go bezpośrednio do Caracas.

– Ale planuje pan tam pojechać i go poszukać? Sam?

– Tak.

– Co zamierza pan przez to osiągnąć?

– Chcę zdobyć dowód, że Ross rzeczywiście tam przebywa, i dowiedzieć się czegoś o samym

miejscu.

– A później?

– A później być może wyślecie komandosów z Shayetet 13, żeby zabili Rossa. To Panama, nie Waszyngton. Na pewno nie będziecie mieli skrupułów i dopadniecie tego gościa za to, co zrobił Yacobym.

– Uczynilibyśmy to z największą przyjemnością – rzekł David chłodnym tonem.

– I żeby nie było nieporozumień, Davidzie: jeśli nadarzy się okazja, kiedy już będę na miejscu, to... osobiście zabiję Rossa.

– To nawet lepiej – odparł David. – Czego pan w takim razie potrzebuje?

– Broni, która będzie czekała na mnie w Bocas.

David gwizdnął.

– Nasze możliwości w Panamie są bardzo ograniczone, ale zobaczę, co da się zrobić – powiedział.

Dom zatelefonował do Gerry'ego Hendleya i przedstawił mu prośbę, która nie zaskoczyła byłego senatora z Karoliny Południowej.

– Chciałbym cię prosić o zgodę na kilkudniowy wyjazd z kraju – powiedział.

– Niech zgadnę: zamierzasz jechać do Panamy.

– Zgadłeś.

– Co jest powodem tak nagłego wyjazdu?

– Wenezuelski wywiad ma Ethana Rossa – odpowiedział Caruso. – Ustalił to mój kontakt z Mosadu. Wenezuelczycy zabrali Rossa do Bocas i prawdopodobnie umieścili go w kolonialnym domu w lesie.

– Jeśli mają go Wenezuelczycy, to dlaczego, do cholery, nie pojechał do Wenezueli?

– Jeszcze tego nie wiem, ale to tylko kwestia czasu.

– Co zamierzasz zrobić, kiedy już będziesz w Panamie?

– Chcę ocenić środki bezpieczeństwa, jakie zapewniono Rossowi, a potem skontaktuję się z Mosadem.

– Dlaczego nie poinformowałeś FBI o wszystkim, co wiesz?

– Akurat teraz mniej wiem, a więcej się domyślam. Nie mogę jeszcze niczego potwierdzić.

Dom nie wspomniał ani słowem o swoim zamiarze zastrzelenia Rossa ani o możliwości zaatakowania go przez ludzi z izraelskich sił specjalnych, ale Gerry nie był głupcem i wiedział, co Dom przeżył w Indiach. Dopowiedział zatem za niego:

– Wiesz, że zabicie Rossa nie przywróci życia Yacobym. To, co planujesz, jest zwykłą zemstą. Niczym więcej.

– Wiem – odparł Dom.

Po chwili ciszy Gerry westchnął i rzekł:

– W porządku. Rozumiesz jednak, że ani Kampus, ani rząd Stanów Zjednoczonych nie mogą firmować tej operacji?

Dom zamierzał powiedzieć: „I na tym polega cały ten pomysł”, lecz ograniczył się do krótkiego: „Tak”.

– Nie oznacza to jednak, że pozwolę ci wyjechać bez jakiegokolwiek wsparcia – dodał Hendley. – Powiedz, czego ode mnie potrzebujesz.

– Doceniam twoją troskę, ale nie chcę ujawniać naszej operacji – oświadczył Dom. – Zapewniłem już sobie wsparcie.

Nie zdążył doczekać się odpowiedzi, gdyż ktoś załomotał do drzwi tak głośno, że usłyszał to nawet Gerry. Dom podniósł wzrok, a jego oczy się zwięzły.

– Skoro już mówimy o wsparciu, to czy właśnie przysłałeś do mnie Adarę Sherman? – zapytał.

– Zaprzeczanie nie miałoby sensu.

– Miałem nadzieję, że Adara zauważyła w końcu moją dobrą formę i urok osobisty.

Gary odchrząknął.

– Nie – odparł. – Wręcz przeciwnie. Powiedziała mi, że wyglądasz kiepsko jak cholera i jesteś bardziej ponury niż zwykle, a to musi o czymś świadczyć. Poprosiłem ją więc, żeby na ciebie uważała. – Gerry zamilkł na chwilę. – Jeśli wybierzesz się w drogę z obcymi agentami jako mściciel, pomyślę, że Adara nie spisała się jak należy.

– Spisała się, i to jeszcze jak! Cały czas staram się jej unikać, ale znów tu jest. – Dom spojrzał nagle na drzwi. – Gerry, jeszcze do ciebie zadzwonię.

Gerry wydał się zaskoczony, lecz szybko się pozbierał.

– Aha, w porządku – powiedział. – Będziemy w kontakcie.

Dom otworzył drzwi i ujrzał Adarę. Miała na sobie niebieskie dżinsy, zimowe buty i grubą kurtkę. Schowała włosy pod włóczkową czapkę, lecz nie potrafiła ukryć pod nią miny zdradzającej zaniepokojenie.

– Chyba wiesz, Caruso, że jest mnóstwo innych rzeczy, którym mogłabym teraz poświęcić swój czas – powiedziała.

– Oczywiście. Wejdz.

Adara rozejrzała się po nieposprzątanym mieszkaniu, a potem zajrzała do lodówki. Zachowywała się, jakby była u siebie. Lodówka była pusta, podobnie jak szafki, które Adara też sprawdziła. Podniosła ze stołu prawie do końca opróżnioną butelkę bourbona Maker's Mark, odwróciła się i spojrzała na Doma z nieskrywaną dezaprobatą.

– Posprzątam tu, a później zrobię zakupy – powiedziała. – Potrzebujesz porządnego jedzenia. Nawet jeśli będziesz na mnie psioczył, i tak to zrobię, więc równie dobrze możesz wyjść i trochę się poszwendać, bo będę zajęta.

Dom zdecydowanie pokręcił głową.

– Dzięki, Sherman, ale to nie będzie konieczne – rzekł. – Tak naprawdę wyjeżdżam dziś z miasta, ale obiecuję, że zadzwonię do ciebie po powrocie.

Adara Sherman nawet nie mrugnęła.

– Tak naprawdę to nie będzie konieczne – odparła.

Dom uniósł brwi. Czyżby kontrole miały się wreszcie skończyć?

– Naprawdę? Dlaczego?

– Ponieważ jadę z tobą.

– Nie. A poza tym będę musiał opuścić kontynent.

Poirytowana Sherman westchnęła.

– I co z tego? – zapytała.

Dom jęknął w duchu. Nie miał czasu na takie rozmowy i musiał jak najszybciej wsiąść do

samolotu.

– Posłuchaj – zaczął. – Będzie to operacja rozpoznawcza, przyklepana przez Gerry’ego, chociaż niefirmowana przez rząd ani FBI, a do tego najprawdopodobniej niebezpieczna. Przykro mi, ale nie będę mógł wziąć za ciebie odpowiedzialności.

– Pewnie, że nie. Obawiam się, że nie będziesz mógł wziąć odpowiedzialności za samego siebie, i dlatego jadę z tobą, żeby cię pilnować.

Dom miał już zacząć protestować, lecz się powstrzymał.

– Chwileczkę – powiedział. – Czy wiesz cokolwiek o łodziach?

Adara przewróciła oczyma.

– Byłam w marynarce, Caruso.

– Nie mam na myśli pancerników. Chodzi o coś mniejszego. O coś, co jest szybkie na otwartych wodach, ale nie rzuca się w oczy.

– Dwie sprawy – rzekła Adara. – Po pierwsze: w marynarce Stanów Zjednoczonych nie ma już pancerników. Po drugie: gdzie będzie pływała ta łódź i co miałyby przewozić?

– Chodzi o archipelag w Panamie, a łódź ma przewieźć mnie oraz sprzęt do nurkowania.

– Tylko tyle?

Dom wzruszył ramionami i dodał:

– Może jeszcze broń.

Atrakcyjna blondynka nawet się nie zawahała.

– W porządku – powiedziała. – Będziesz potrzebował niewielkiej płaskodennej łodzi o długości jakichś sześciu, najwyżej dziewięciu metrów, na przykład motorówki do nart wodnych. MasterCraft produkuje świetne modele, które doskonale znam. Oczywiście wszystko zależy od tego, co uda się znaleźć na miejscu.

Dominic zdążył już usiąść przy komputerze i zacząć wyszukiwać najbliższe loty do Panamy.

– Okej, wygrałaś – powiedział. – Lecisz ze mną. Jedź do domu, spakuj się i bądź za godzinę na lotnisku Dulles. Mamy samolot o trzynastej. Jeśli ruszysz tyłek, zdążymy wylądować w Panamie o siedemnastej. Później złapiemy jakąś mniejszą maszynę do Bocas del Toro.

Adara nawet nie drgnęła.

– W torebce mam paszport, a w bagażniku rzeczy na trzy dni – oświadczyła. – Takie są uroki pracy dla Gerry’ego Hendleya. Gotowość na każde wezwanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu. Jeśli będę jeszcze czegoś potrzebowała, to kupię to po drodze albo na miejscu.

Adara Sherman zaimponowała Domowi. Nawet jemu i jego kolegom z Kampusu często zdarzało się narzekać, jeśli nie dano im przynajmniej dwóch godzin na przygotowania do zagranicznej eskapady.

– Jest tylko jeden problem – dodała Sherman. – Ty masz ciemne włosy, ciemne oczy i jesteś opalony. Dzięki temu nie będziesz się wyróżniał w Panamie, dopóki się nie odezwiesz. Ja natomiast mam krótkie włosy blond i szare oczy. Mniej odróżniałabym się od tłumu na Księżycu niż w Ameryce Środkowej.

Dom się roześmiał.

– Będziesz moją gorącą, ale nadopiekuńczą laską – powiedział. – Uwierz mi, Sherman: każdy, kto

cię zobaczy, nie pomyśli nawet przez chwilę, że to tylko przykrywka.

– Na pewno nie po tym, jak zepsuję ci reputację.

Gianna, Ethan i Mohammed jedli lunch, siedząc przy stole ustawionym przy zaniedbanym basenie na tyłach wielkiego kolonialnego domu. W pobliżu widać było strażników, którzy bezustannie wędrowali po posiadłości lub obserwowali gości z werandy.

Cała trójka delektowała się okoniami morskimi z rusztu. Gianna i Ethan popijali je białym *pinot grigio*, a Mohammed zadowolił się sokiem pomarańczowym. Nie odrywał się od laptopa, jednak Ethan nie potrafił się domyślić, co aż tak bardzo pochłonęło Libańczyka.

Leo, wenezuelski agent wywiadu, spędził cały poranek ze swoimi gośćmi. Towarzyszył im bez przerwy od chwili ich przyjazdu i dopiero przed lunchem się ulotnił, aby wziąć udział w konferencyjnej rozmowie z Caracas.

Ethan pociągnął kolejny solidny łyk wina, po czym zapytał:

– I co dalej?

– Po południu skontaktuję się przez Cryptocata z Harlanem – odpowiedziała Bertoli. – Właśnie zasięga informacji od swoich źródeł, żeby się dowiedzieć, co ustaliło FBI w sprawie śmierci Eve Pang.

– I to wszystko?

– Na razie nie możemy zrobić nic więcej, niż tylko czekać i próbować się zrelaksować.

Ethan był jednak przekonany, że relaks jest ostatnią rzeczą, której mógłby potrzebować. Dolał sobie wina, nie zwracając uwagi na lampkę Bertoli.

– Są nowe wieści z Waszyngtonu – powiedziała Gianna. – Przebierając się przed lunchem, oglądałam w swoim pokoju CNN. Nie wiem, jaki związek z twoją sprawą może mieć to, o czym mówiono w wiadomościach, lecz mimo to poczułam zaniepokojenie.

– O czym mówisz?

– Znalaziono dwa ciała agentów FBI pływające w Potomaku.

Ethan spojrział na Bertoli z przerażeniem i wyjąkał:

– Zaczekaj... Chyba nikt nie pomyślał, że mam z tym coś wspólnego?

Mohammed pociągnął tylko łyk soku pomarańczowego.

– Nie wyobrażam sobie, aby ludzie z FBI naprawdę tak myśleli, ale nie jestem pewna, czy tego nie wykorzystają – odparła Bertoli. – To wszystko bardzo niefortunnie zbiegło się w czasie. Wiem, jak działają Amerykanie. Będą próbowali oskarżyć cię także o inne przestępstwa. Być może ci dwaj mężczyźni byli ofiarami napadu rabunkowego, ale FBI chce obwinić o ich śmierć właśnie ciebie. Nie można też wykluczyć, że tak naprawdę nie było żadnych pływających zwłok i chodzi tylko o to, że wszystko wymyślono, aby za wszelką cenę zrobić cię w morderstwo, do którego nawet nie doszło.

– W Ameryce zamordowanie funkcjonariusza służb federalnych karane jest śmiercią – odezwał się Mohammed, nie podnosząc wzroku znad laptopa.

Ethan oparł głowę na stole. Bertoli delikatnie pogłaskała Amerykanina po karku, a Mohammed spokojnie ujął nóż i zatopił go w morskim okoniu.

O trzynastej Dom i Adara wylecieli z lotniska Dulles samolotem panamskich linii Copa Airlines. Mieli przed sobą pięć godzin w powietrzu, postanowili zatem wykorzystać je na dokładne zaplanowanie wszystkiego, co mieli zrobić w Panamie. Naradzali się po cichu nad listą sprzętu, który musieli zdobyć po przylocie, dokładnie przyjrzeni się też interesującemu ich miejscu: wyświetlili jego satelitarne zdjęcia na ekranie iPada.

Dotarli do stolicy Panamy i natychmiast przesiedli się do fokkera 50, który zabrał ich do Bocas del Toro. Pasażerami byli w większości miejscowi, lecz na pokładzie znalazła się również grupa turystów, których obecność sprawiła, że Sherman nie rzucała się zbyt w oczy.

Tuż po osiemnastej trzydzieści wylądowali na rozgrzanym pasie międzynarodowego lotniska na wyspie Colón. Gdy zeszli po schodkach na spękaną asfaltową płytę, Dom zarzucił na siebie plecak. Adara zrobiła to samo, a potem chwyciła Dominica za rękę i nie puściła jej przez całą drogę do małego budynku terminalu. Dom nie skomentował tego ani słowem, lecz gdy minęli drzwi wychodzące na postój taksówek, Adara nachyliła się i szepnęła:

- Dwóch facetów w terminalu. Mogą być wywiadowcami. Ostrożności nigdy za wiele.
- Zgadza się – odrzekł Caruso.

Objął Adarę ramieniem i poprowadził ją do taksówki.

Zatrzymali się w hotelu o mało oryginalnej nazwie: Bocas del Toro. Dwupiętrowy budynek w stylu kolonialnym znajdował się na wschodnim krańcu wyspy i stał tak blisko morskiego brzegu, że jego część zwisała się nad wodą. Dom i Adara zajęli pokój na drugim piętrze. Ich okna wychodziły na wysepkę Carenero – wynurzający się z niespotykanej błękitnej wody niewiarygodnie zielony skrawek lądu z porzewiałymi blaszanymi dachami, które wystawały nad czubki drzew.

Rzucili bagaże na stół i rozejrzeli się po niewielkim pomieszczeniu, lecz w drodze na balkon, z którego zamierzali przyjrzeć się otoczeniu, żadne z nich nie wspomniało ani słowem o pojedynczym wspólnym łóżku. Gdy znaleźli się na zewnątrz, Adara pochyliła się ku Domowi tak szybko i zbliżyła twarz tak bardzo, że – zaskoczony – pomyślał, iż jego towarzyszka zamierza go pocałować. Adara zapytała jednak tylko:

- Czy powinniśmy obawiać się podsłuchu?

Dom uśmiechnął się z trudem i opowiedział:

- Nie, nie tutaj. Jesteśmy tu bezpieczni.
- Gerry mówił naszej całej załodze, że zawsze, kiedy pracujemy, musimy zakładać obecność podsłuchów w każdym hotelu i w związku z tym odpowiednio się zachowywać.

- Jedynymi rzeczami, które przypominają pluskwy, są tu robale łązące po ścianach – rzekł Dom.

Sherman odwróciła się i ujrzała z bliska owada dorównującego rozmiarami kciukowi. Stworzenie o prehistorycznym wyglądzie wmaszerowało właśnie do pokoju przez otwarte podwójne drzwi balkonowe. Adara zmarszczyła tylko lekko nos.

- Nie powinnaś teraz zacząć panikować? – zapytał Dom.

- Bo jestem kobietą?

Dom nie tylko nie odpowiedział; przede wszystkim pożałował swego pytania.

– Byłam w Afganistanie – wyjaśniła mu Adara. – Dookoła naszej latryny łążyły tam solfugi wielkości talerza. Takie rzeczy mnie nie przerażają.

– W takim razie możemy się tu poczuć jak w Ritzu – odparł Dom.

Dominic wygrzebał z plecaka telefon satelitarny i zadzwonił do Davida. Izraelczyk podał mu adres na drugim krańcu wyspy Colón i poinformował go o spotkaniu z kimś z Mosadu: miało się ono jednak odbyć nie wcześniej niż o dwudziestej trzeciej. Tuż po zakończeniu rozmowy Dom i Adara zeszli na dół, a potem ruszyli w stronę pobliskiej przystani. Po dotarciu na miejsce się rozdzielili. Zadaniem Adary było wyszukanie łodzi do wynajęcia, a Dominic miał zdobyć sprzęt do nurkowania oraz inne wyposażenie potrzebne do przeprowadzenia rekonesansu zaplanowanego na następny dzień.

Dom rozpoczął wędrowkę po sklepach. W pierwszym nie znalazł wyposażenia odpowiedniej jakości. W drugim natomiast trafił na znakomity sprzęt, który odpowiadał jego potrzebom, lecz wtedy pojawił się istotny problem. Każda pomagająca nurkowi w utrzymaniu się na odpowiedniej głębokości kamizelka wypornościowa, do której przymocowuje się butle z powietrzem i inne części wyposażenia, miała nieodpowiedni kolor i raziła z daleka czerwienią lub jaskrawym fioletem. Dom pomyślał, że pływanie w kolorowej kamizelce z pewnością nie pomogłoby mu w dyskretnym przyjrzeniu się podejrzanemu miejscu.

Dopiero w trzecim sklepie znalazł dokładnie to, czego potrzebował. Wypożyczył zatem dwie pełne butle do nurkowania, skafander z trzymilimetrowego neoprenu, czarną kamizelkę wypornościową, pas z obciążnikami, automat oddechowy, płetwy, maskę i nóż nurkowy w pochwie, mocowany na łydce.

Dopłacił pięćdziesiąt dolarów za dostarczenie sprzętu do hotelu, a potem wyruszył na poszukiwanie reszty ekwipunku i wkrótce znalazł sklep, w którym zaopatrywali się kajakarze rozbijający obozy na skąpo zaludnionych wyspach archipelagu. Wybrał manierkę, linę, wodoszczelny plecak, plastikowe worki, lornetkę oraz tuzin innych rzeczy, które jego zdaniem mogłyby mu się przydać podczas obserwacji posiadłości Wenezuelczyków.

Włożył zakupy do nowego plecaka i wrócił do hotelu. Adara siedziała już na balkonie, trzymała butelkę zimnego piwa Balboa i studiowała mapy morskie okolicy, które kupiła w wypożyczalni łodzi. Dom zerknął na arkusze i dostrzegł coś, co wydało mu się bezładną płataniną kanałów oraz przypadkowo napaćkanych plam lądu, a wszystko to było poprzątkane liniami i liczbami.

– Potrafisz to odczytać? – zapytał.

– Bułka z masłem – opowiedziała Adara, wskazując turystyczną lodówkę w rogu balkonu.

Dom sięgnął po butelkę piwa i usiadł.

– Chcesz zobaczyć łódź? – zapytała Adara.

– Zdążyłaś już ją załatwić?

– Potrafię nie tylko podawać orzeszki w samolocie, wiesz?

– Wiem. Gdzie ją przycumowałaś?

– Popatrz w dół. Czarne burty i biały pokład.

Dom wyjrzał z balkonu. Zobaczył łódź motorową kołyszącą się na falach przy pomoście hotelowej przystani. Był to mastercraft maristar 235 o długości nieco ponad siedmiu metrów, dostatecznie duży, aby pomieścić Doma, Adarę oraz sprzęt, a zarazem na tyle niewielki, aby w razie potrzeby

można było nim wpłynąć do którejś z wąskich zatoczek otaczających kryjówkę Wenezuelczyków.

– Jest dość szybka? – zapytał Dom.

– Jej silnik ma trzysta pięćdziesiąt koni mechanicznych – opowiedziała Adara, nie odrywając oczu od map. – Tyle nam w zupełności wystarczy. To łódź do nart wodnych, więc nie wygra z prawdziwą wyścigową motorówką, ale za to nie będzie rzucać się w oczy. W ciągu ostatniej godziny widziałam tu już kilka takich samych łodzi.

Dom z uznaniem kiwnął głową, a potem wspólnie z Adarą zaczęli przeglądać morskie mapy. Musieli opracować plan infiltracji.

Do dwudziestej trzeciej i spotkania z osobą współpracującą z Mosadem, o którym wspomniał David, zostało jeszcze kilka godzin. Dom i Adara postanowili zatem pójść na kolację. Wybrali się do Ultimo Refugio, spokojnej restauracji na wodzie. Znaleźli wolny stolik w ustronnej części niezadaszonego tarasu i zamówili piwo oraz smażoną rybę. Przez pierwsze pół godziny starali się nie rozmawiać o operacji, którą mieli rozpocząć o świcie następnego dnia.

W końcu Adara nie wytrzymała:

– Zabrzmi to jak frazes, ale ktoś ci to musi powiedzieć, bo obawiam się, że nie dojdiesz do tego samodzielnie. Zabicie tego faceta nie przywróci życia rodzinie z Indii.

Dom skinął głową i odparł:

– Już mi to mówiono.

– Ale i tak to zrobisz.

– Jeśli tylko będę mógł.

Adara zamilkła i zaczęła powoli sączyć piwo. Dom wiedział, że chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz nie potrafiła zdecydować, czy powinna to uczynić.

– Co? – zapytał.

– Czujesz się winny, bo przeżyłeś, a Yacoby i Brian nie mieli tyle szczęścia.

Dom pokręcił głową.

– Nie, nie czuję się winny – powiedział. – Wiem, że i w Indiach, i w Libii zrobiłem wszystko, co mogłem.

– Nie ma to nic wspólnego z tym, co zrobiłeś. To przypadek sprawił, że ocalałeś ty, a nie inni. – Adara spojrzała na Dominica. – Twój brat, dzieci Yacoby'ego...

– Poczucie winy spowodowane tym, że przeżyłem... – rzekł łagodnym głosem Dom. – Mówisz, jakbym miał coś z głową.

– Nie jesteś wariatem. To, o czym mówię, jest jak najbardziej naturalne. Nie rozumiesz, dlaczego wciąż jesteś, a ich już nie ma. Uznajesz za niesprawiedliwe to, że los ci bardziej sprzyjał.

Tak. Dom pojął, że właśnie tak myślał od czasu, gdy zginął Brian. W ciągu ubiegłych dwóch lat złe emocje nieco opadły, lecz po wydarzeniach w Indiach powróciły ze zdwojoną siłą.

– Jesteś również psychoterapeutką, Sherman?

Adara uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie, nie jestem – opowiedziała.

– Dlaczego więc potrafiłaś mnie zdiagnozować?

– Ponieważ doświadczam tego samego, w dodatku dłużej niż ty.

– Czy coś się stało, kiedy byłaś sanitariuszką w Afganistanie?

Adara skinęła głową.

– Stało się mnóstwo rzeczy, ale czy możemy już o tym nie mówić? – poprosiła, bo nie chciała, aby Dom zaczął wypytywać o szczegóły.

– Tak, oczywiście. Rozumiem.

Po kilku minutach niezręcznej ciszy na stoliku pojawiły się nowe drinki.

– Jak związałaś się z Kampusem? – zapytał Dom.

– Przez pacjenta.

– Przez pacjenta?

– Był taki ktoś.

– Jaki ktoś?

– Przepraszam. Podporucznik piechoty morskiej. Byłam sanitariuszką marynarki przydzieloną do batalionu saperów w dolinie Korengal. Podporucznik z plutonu strzelców został tam postrzelony z kałasznikowa w głowę, a ja znalazłam się przy nim pierwsza. Paskudnie oberwał, ale udało mi się zatamować krwawienie.

Dom uniósł szklanę i powiedział:

– Gratuluję. Uratowałaś mu życie.

Adara odwróciła wzrok i spojrzała na spokojną wodę, lśniąca w gasnącym świetle dnia. Słońce zdążyło już schować się za horyzontem za ich plecami.

– Nie – odparła. – Nie było happy endu. Podporucznik wrócił wprawdzie do Stanów, ale wkrótce umarł.

– Cholera, przykro mi. Ale co miał wspólnego z Kampusem?

– Ojciec podporucznika był pułkownikiem. Jakiś miesiąc po śmierci syna przysłał mi wiadomość mailową. Był bardzo wdzięczny, że jego chłopiec mógł wrócić do domu i umrzeć w otoczeniu rodziny. – Adara uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od wody, w której zaczął się odbijać wschodzący księżyc. – Myślę, że wystarczy uważnie się przypatrzeć, aby we wszystkim znaleźć jakąś jasną stronę. Tak czy owak utrzymywaliśmy kontakty kilka lat. Pułkownik przeszedł na emeryturę i zaczął pracować dla spółki MITRE. Zajął się ściśle tajnym kontraktem rządowym. Gdy opuściłam marynarkę, zaproponował mi pracę. Miałam wprawdzie zamiar wstąpić do szkoły pielęgniarstwa, ale propozycja pułkownika była całkiem niezła. Zostałam sprawdzona, otrzymałam certyfikat bezpieczeństwa, a później pułkownik zabrał mnie do Maryland i przedstawił Gerry’emu Hendleyowi. Miałam pracować na pokładzie samolotu należącego do Hendley Associates.

– Żałujesz, że nie trafiłaś do szkoły pielęgniarstwa?

– Jeszcze się do niej dostanę. Kiedyś. Poza tym... – Adara uśmiechnęła się do Doma – ty i twoi kumple zorganizowaliście mi doskonałe szkolenie praktyczne. Każdemu z was udało się już zostać rannym.

Dom odchrząknął.

– To jedyny sposób na zwrócenie twojej uwagi – rzekł.

Zażartował, ale Adara spojrzała na niego poważnym wzrokiem.

– Wyświadczy mi przysługę – poprosiła. – Tym razem spróbuj nie dać się zranić.

Na barierce obok ich stolika siedziała niesympatyczna, zrzedliwa papuga. Adara nakarmiła ją

kilkoma kawałkami ryby, co sprawiło tylko, że ptak stał się jeszcze bardziej natrętny. Dom przegonił go i powiedział:

– Postaram się. I obiecuję, że uchronię cię od niebezpieczeństwa.

Zamówił trzecią kolejkę.

– Próbujesz mnie upić? – zapytała Adara.

– To raczej ja próbuję się upić – odparł Dom. – Ty będziesz tylko przypadkową ofiarą.

Adara uniosła szklanę.

– Świetny wykręt – powiedziała. – Czy takie teksty działają na dziewczyny w Waszyngtonie?

Dom pociągnął łyk piwa.

– Właściwie to nie – odpowiedział.

– Jeśli jutro rano będziesz miał kaca, to nie ułatwi ci on zadania.

– Cztery piwa nie urwą mi dupy.

– Cztery?

Pili dopiero trzecią kolejkę.

Dom spojrzął na zegarek.

– Mamy czas – powiedział.

Tuż przed dwudziestą trzecią kaszłąca taksówka wioząca Doma i Adarę przeciskała się przez uliczki Bocas del Toro, mijając chałupki pokryte rdzewiejącą blachą oraz niszczące, choć jaskrawo pomalowane domy w stylu wiktoriańskim i kolonialnym. Za oknami samochodu co chwila pojawiali się uliczni sprzedawcy handlujący tandetnym rękodziełem. Bez wątpienia wabiła ich blond czupryna Adary Sherman, z daleka wskazująca na to, że są turystami.

Dojechali na północno-wschodnie krańce miasta, w miejsce, którego adres podał im David, a później czekali kilka minut przed małym supermarketem, nie wiedząc, co powinni zrobić: wejść do środka czy może zostać na zewnątrz. Nie zdążyli jeszcze podjąć żadnej decyzji, gdy zobaczyli mrugające światła starego dwudrzwiowego hatchbacka zaparkowanego w alejce po drugiej stronie ulicy. Wymienili spojrzenia i ruszyli w stronę samochodu.

Wysiadła z niego kobieta po czterdziestce. Przedstawiła się tylko jako Maria. Dom i Adara uścisnęli jej dłoń, lecz nawet nie podali swoich imion.

Dom nie spuszczał oka z otoczenia. Bacznie lustrował alejkę, starając się ocenić, czy jest ona dostatecznie ustronna, aby można było odbyć tu ukradkowe spotkanie. Doszedł jednak do wniosku, że to miejsce nie jest bezpieczne i nie da się w nim przebywać przez dłuższy czas. Jediną bronią, którą miał przy sobie, był tytanowy nóż nurkowy ukryty w pochwie na łydce. Maria sprawiała wrażenie wyjątkowo zdenerwowanej. Jej zachowanie, w którym widoczny był brak poczucia bezpieczeństwa, przyprawiło Doma o lekkie zdenerwowanie.

Maria zapaliła papierosa i wyciągnęła otwartą paczkę w stronę Amerykanów.

Odmówili.

– Przepraszam – powiedziała. – Jestem trochę spięta. Zadzwonili do mnie dziś po południu. Kiedy czegoś potrzebują, to zazwyczaj... Ale ostatnio dzwonili kilka lat temu i nie chodziło o nic takiego jak teraz.

Adara Sherman była kompletnie zdezorientowana, ale Dom zrozumiał.

– Jesteś jedną z sayanów, prawda? – zapytał Marię.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała. – Chyba nie myślisz, że robię to dla pieniędzy.

Sayanie byli żydowskimi wolontariuszami, lokalnymi pomocnikami Mosadu rozproszonymi po całym świecie. Nie byli formalnymi pracownikami tej organizacji, ale pozostawali do jej dyspozycji, w każdej chwili gotowi wypełnić swoje zadania w imieniu izraelskiego wywiadu. Sayanem mógł być każdy – lekarz, sklepikarz, agent biura podróży albo kierowca ciężarówki; byli to zwykli ludzie, którymi kierowało poczucie obowiązku wobec własnego narodu.

Dom zrozumiał pełne rezerwy i niepewności zachowanie Marii. Przecież mogła być choćby prawniczką lub urzędniczką, którą nagle oderwano od pracy i obarczono misją zdobycia broni dla pary zagranicznych agentów. Wziąwszy to pod uwagę, Dom doszedł do wniosku, że obawy Marii

były w pełni uzasadnione.

– Nie martw się, Mario – powiedziała Adara. – Doskonale sobie radzisz i jesteśmy wdzięczni za twoją pomoc.

Dom postanowił skierować rozmowę na właściwe tory, bo nie zamierzał przebywać w słabo oświetlonym miejscu dłużej niż to konieczne.

– Masz coś dla nas? – zapytał Marię.

Kobieta uniosła klapę bagażnika skrywającego duży plecak na stelażu. Dom zajął do środka i wyjął najpierw pistolet – wysłużoną berettę M9 w wersji przeznaczonej dla armii Stanów Zjednoczonych – a potem częściowo rozłożony, ze względu na rozmiar plecaka, automatyczny karabin M16. Karabin, również w wersji amerykańskiej, był bardzo stary, gdyż wojsko nie używało takiej broni od lat.

– Zabrałaś to z muzeum? – zapytał Dom.

– Wasza prośba była bardzo nietypowa – odpowiedziała Maria, paląc nerwowo papierosa za jego plecami. – Zrobiłam, co mogłam. Mieszkamy na małej wyspie i nie mamy zbyt wielu możliwości...

– W porządku, ten sprzęt nam wystarczy – przerwała jej Adara. – Co z amunicją?

– Kule są już w środku – wyjaśniła Maria, podnosząc głowę.

Adara spojrzała na Doma i dodała:

– Chodzi mi o zapasową amunicję.

– Co? Przykro mi, ale nikt o niej nie mówił. Powiedziałam już, że zdobycie tej broni nie było łatwe.

Dom sprawdził magazynki.

– Obydwa pełne – stwierdził. – Amunicja pełnopłaszczowa.

Wyłuskał z magazynków po jednym naboju i obejrzał każdy z nich w świetle lampki bagażnika.

– To naprawdę stara amerykańska wojskowa amunicja – orzekł. – Ale wygląda na to, że jest w dobrym stanie.

Potem nieco dokładniej przyjrzał się broni.

– A niech mnie... – mruknął. – Ten sprzęt pamięta jeszcze wojnę...

– Którą wojnę? – zapytała Adara.

– Amerykańską inwazję w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym. Jezu, kobieto! To było ćwierć wieku temu.

Maria wyglądała na bardziej poirytowaną niż zakłopotaną.

– Jestem pewna, że ta broń jest sprawna – oświadczyła. – Wielu ochroniarzy i strażników w supermarketach i bankach używa tu broni z Ameryki. Zresztą miałam tylko kilka godzin na jej zdobycie. I nie myślcie sobie, że tylko siedzę i czekam, aż zadzwoni do mnie ktoś z Tel Awiwu i każe mi kupić coś takiego na czarnym rynku.

– Rozumiemy – Adara odezwała się o wiele łagodniej i o wiele bardziej pojednawczo niż Dom. – Mamy na łodzi trochę syntetycznego oleju silnikowego, więc będziemy dziś mogli to wszystko wyczyścić i nasmarować.

Dom zaczął wkładać broń do plecaka, a potem zarzucił go na ramię. Tymczasem Maria, która już wcześniej przyglądała się podejrzliwie Adarze, rzekła:

– Przepraszam, ale muszę to powiedzieć. Nie wyglądasz na kogoś z Mosadu.

Adara uśmiechnęła się i odparła:

– I właśnie to, Mario, jest moim kluczem do sukcesu.

Wrócili do hotelu przed północą. Dom miał ochotę na drinka w małym i już pustym hotelowym barze, lecz Adara wybiła mu ten pomysł z głowy. Musieli przecież wyczyścić broń i trochę się przespać przed operacją czekającą ich nazajutrz.

Kiedy znaleźli się w pokoju, Adara rozłożyła i nasmarowała M16, a Dom zajął się berettą M9. Nie był zbyt obeznany z tym modelem, lecz broń była zbudowana i działała podobnie jak większość innych samopowtarzalnych pistoletów, z których strzelał w FBI, a później w Kampusie.

Adara miała M9 podczas służby w marynarce, natomiast w Afganistanie używała karabinu M16, podobnego do tego, który właśnie czyściła. Miała wprawdzie przed sobą model A2, podczas gdy strzelała z o wiele nowszego A4, ale wewnętrzne elementy jednego i drugiego karabinu wyglądały identycznie.

Gdy uporali się z bronią, Adara przeprosiła i zniknęła na kilka minut w łazience. Wróciła w szarym T-shircie z napisem NAVY oraz w dresowych spodniach. Pomarańczowe litery na ich lewej nogawce układały się w skierowane w dół słowo VIRGINIA. Adara związała też swe krótkie włosy w kucyk i włożyła okulary, co Dom uznał za wyjątkowo pociągające.

Obrzucił jeszcze szykującą się do snu Adarę kilkoma ukradkowymi spojrzeniami, a potem pomaszerował do łazienki, żeby się przebrać.

Pojawił się pięć minut później, parując w czarnych bokserkach i białym podkoszulku bez jakichkolwiek nadruków. Adara zdążyła tymczasem wyłączyć prawie wszystkie światła, oprócz samotnej lampy obok łóżka.

– Nastawiłam budzik na piątą trzydzieści – powiedziała.

– W porządku – odparł Dom i ruszył w stronę pościeli.

Adara uniosła brwi. Widząc to, Dom uśmiechnął się poufale.

– Nie obawiaj się, Sherman. Jestem dzentelmenem – oświadczył.

Adara odpowiedziała mu uśmiechem.

– Miło mi to słyszeć – rzekła, a potem chwyciła jedną z poduszek leżących na łóżku i rzuciła ją na wiklinową sofę.

– Widziałam w szafie koc – dodała. – Na twoim miejscu przede wszystkim strzepnęłabym z niego robactwo.

Dom zatrzymał się na chwilę na środku pokoju. Zerknął najpierw na atrakcyjną blondynkę w wielkim łóżku, a następnie na mało zachęcającą sofę.

– Serio? – zapytał.

Adara skinęła głową i odpowiedziała:

– Serio. Dobranoc, Caruso.

Dom zajrzał do szafy, chwycił koc i strzepnął go kilka razy. Ruszył w kierunku sofy, Adara zaś wyłączyła lampę przy łóżku.

– Dobranoc, Sherman.

Wyruszyli do przystani o szóstej trzydzieści. Zimny poranny deszcz sprawił, że ulice były bardziej

wyludnione niż zazwyczaj o tej porze dnia. Dźwigali sprzęt w plecakach i torbach zwisających im z ramion, lecz mimo to dostarczenie całego ładunku na łódź wymagało od nich dwukrotnego pokonania trasy pomiędzy hotelem a nabrzeżem.

Znalazszy się na pokładzie, Dom wyjął z plecaka wszystkie części M16 i złożył karabin. Ukrył go w dużej lodówce zamontowanej tuż za rzędem siedzeń na rufie.

Adara nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Nie zabierasz karabinu do kryjówki? – zapytała.

– Chciałbym, ale będę musiał wlec tyle sprzętu, że nie poradziłbym sobie z metrowym M16, który waży prawie pięć kilo. Wezmę tylko pistolet. Będiesz miała karabin pod ręką, jeśli się okaże, że konieczna jest szybka ewakuacja.

– Istnieje jeszcze jedna możliwość – stwierdziła Adara.

– Zamieniam się w słuch.

– Zostawię cię w wodzie w miejscu, które wybraliśmy, i popłynę na drugą stronę wyspy. Zakotwiczę tam w jakiejś ustronnej zatoczce, a później zabiorę karabin i wrócę łądem. Być może potrwa to kilka godzin, ale na pewno sobie poradzę.

Dom pokręcił głową i odparł:

– Doceniam twój zapał, Sherman, lecz stanowczo wolałbym, abyś nawet na chwilę nie opuszczała łodzi. Nasza operacja zawiera bardzo wiele niewiadomych, tak więc nie wykluczam nawet ucieczki.

O siódmej Adara uruchomiła silniki mastercrafta. Wciąż padał lekki deszcz, lecz mimo to na wodach kanału robiło się coraz tłoczniej. Pojawiły się niewielkie łodzie towarowe krążące pomiędzy wyspami, promy, kutry rybackie i motorówki wożące amatorów nurkowania. Dom odniósł wrażenie, że co najmniej jedna trzecia wszystkich jednostek pływających na co dzień w okolicach wyspy Colón zdążyła już opuścić przystanie i pojawiła się na swoich zwykłych szlakach.

Adara, stojąca przy kole sterowym, prowadziła łódź pewną ręką, a gdy znaleźli się poza torami wodnymi, którymi transportowano towary, przesunęła manetkę przepustnicy do przodu. Dwa niemal sześciolitrowe silniki mocno wzburzyły mętną wodę kanału, rufa mastercrafta zanurzyła się mocniej, jego dziób powędrował w górę i siedmiometrowa łódź zaczęła nabierać prędkości.

Dom zajął miejsce na rufie. Włożył skafander i obwiesił się akcesoriami do nurkowania, a potem zaczął sprawdzać raz za razem resztę wyposażenia. Miał plecak wypchany po brzegi: te zapasy w razie konieczności z powodzeniem mogły wystarczyć mu na czterdzieści osiem godzin. Każdą z rzeczy w wodoszczelnym plecaku umieścił wcześniej w plastikowym worku na śmieci, gdyż chciał mieć pewność, że nic nie zamoknie podczas nurkowania.

Kiedy po dziesięciu minutach dotarli na drugą stronę kanału, Adara zmniejszyła obroty i popłynęła wolno wzdłuż brzegów wyspy Bastimentos. Wznosiły się na nich nieliczne bungalowy, lecz im dalej płynęli na południe, tym rzadsze stawały się ślady obecności ludzi. Dopłynęli wreszcie do ujścia wąskiej zatoki wrzynającej się w głąb wyspy. Woda tu była spokojna, a jej gładką powierzchnię zaburzały jedynie krople deszczu. Adara kilkakrotnie przyjrzała się zdjęciu z EagleView, aby sprawdzić odległość dzielącą ich od posiadłości Wenezuelczyków. Chciała mieć pewność, że nie zbliży się do niej bardziej, niż to wcześniej zaplanowała.

Gdy już dopływali do miejsca, w którym Dom miał wejść do wody, Adara wyłączyła silniki motorówki. Lekki deszczyk zdążył tymczasem przejść w ulewę, która przemoczyła Amerykankę do

suchej nitki; jedynie bejsbolówka chroniła jej oczy przed wszechobecnymi strugami wody. Dom nie przejął się deszczem; miał na sobie skafander do nurkowania i był gotów do opuszczenia łodzi.

– Wracaj prosto do hotelu, ale bądź przygotowana do wypłynięcia po mnie w każdej chwili – poinstruował Adarę.

– Zatankuję i będę się trzymała blisko łodzi – odparła. – Jeśli mnie wezwiesz, dotrę do ciebie za niecałych dwadzieścia pięć minut.

– W porządku. Będę meldował się co godzinę przez telefon satelitarny. Gdy nie zgłoszę się dwa razy, przyplń tu i spróbuj wywołać mnie przez krótkofalówkę, a jeśli to się nie uda, będę musiał się do ciebie dostać. Cokolwiek by się wydarzyło, nie chcę, abyś przybijała do brzegu i schodziła z łodzi. Czy wszystko jasne?

– Oczywiście. Ale jeśli sprawy się skomplikują i będziesz musiał przemyśleć ten plan na nowo, to daj mi znać.

Dom przymocował plecak do linki, którą wcześniej obwiązał się w pasie, włożył maskę i usiadł na burcie. Naciągnął płetwy na stopy, zacisnął zęby na ustniku aparatu oddechowego, a potem, dla bezpieczeństwa, docisnął maskę dłonią. Skinął głową, odchylił się do tyłu i zniknął za burtą. Znalazszy się w wodzie, pokazał Adarze znak „okej”. Upuścił nieco powietrza z kamizelki wypornościowej, po czym skrył się pod powierzchnią wody.

Adara odczekała kilka minut, uruchomiła silniki i ruszyła w drogę powrotną do Bocas.

Do nurkowego wyposażenia Doma należał pas z ponad jedenastoma kilogramami ołowianych obciążników, których zadaniem było zrekompensowanie wyporności mokrego skafandra, kamizelki wypornościowej oraz wodoszczelnego plecaka. Dzięki takiemu obciążeniu Dom z łatwością zszedł na głębokość dziesięciu metrów, a potem wpompował trochę powietrza do kamizelki, aby uzyskać wyporność pozwalającą mu unosić się nad piaszczysto-trawiastym dnem. Wpłynął do środkowej rynny kanału: nie chciał, aby ktoś dostrzegł z brzegu bąbelki powietrza pojawiające się na powierzchni wody. Maskował je ulewny deszcz, lecz Dom był sam i niełatwo byłoby mu uciec, gdyby ktoś odkrył jego obecność. Postanowił zatem nie narażać się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo.

Płynął na wschód, trzymając się tuż nad wodorostami pokrywającymi dno. Kurs na posiadłość Wenezuelczyków wyznaczył za pomocą kompasu w zegarku. Prąd mu sprzyjał, dzięki czemu poruszał się szybciej, niż zaplanował. Zaledwie po dwudziestu minutach podwodnej wędrówki postanowił zaryzykować i zbliżyć się do powierzchni wody. Nie pomylił się: był tam, gdzie chciał się znaleźć. Zanurzył się ponownie, tym razem po lewej stronie kanału, i zaczął płynąć w stronę brzegu.

Trzymał się blisko dna: przedzierał się przez kępy wysokich wodorostów i płoszył ryby, które wzbijały ogonami chmurki piasku, a potem, bliżej powierzchni, wyszukiwał drogę w gęstej płataninie namorzynów. Gdy uznał, że znalazł się we właściwym miejscu, ostrożnie wystawił głowę z wody i rozejrzał się dookoła. Szybko zrozumiał, że się przeliczył.

Brzeg, na który dotarł, wyglądał jak na zdjęciach satelitarnych z EagleView, lecz pojawił się pewien problem. Namorzyny były tu tak gęste, że jedynym sposobem na ich pokonanie wydawało się użycie piły łańcuchowej.

Dom rozglądał się przez chwilę, w poszukiwaniu bardziej przyjaznego fragmentu brzegu, i po

minucie wypatrzył zatoczkę, która mogła sięgać w głąb pasa namorzynów na tyle daleko, aby mógł się wydostać na ląd. Włożył więc ustnik i ponownie zniknął pod wodą.

Ruszył ponownie środkiem kanału, z obawą, że ktoś zauważyłby bąbelki powietrza wydobywające się na powierzchnię wody, lecz gdy dotarł w upatrzone miejsce, usłyszał charakterystyczny odgłos silnika motorówki.

Zatrzymał się i zawisł na głębokości ośmiu metrów, powoli unosząc się i opadając zgodnie z rytmem oddechów. Powietrze, które wciągał do płuc, zwiększało nieco jego wyporność, a każdy wydech sprawiał, że zbliżał się do dna.

W pewnej chwili zobaczył nad sobą kadłub powoli płynącej łodzi, której długość ocenił na mniej więcej dziesięć metrów. Patrząc od dołu, nie był w stanie rozpoznać typu motorówki, ale odniósł wrażenie, że ktoś na jej pokładzie patroluje okolicę. Łódź z pewnością nie służyła do połowu ryb, gdyż zapuściła się w głąb wyspy, ani nie przewoziła towarów lub ludzi, ponieważ płynęła zbyt wolno.

Pojawienie się łodzi zaniepokoiło Doma, który pomyślał, że może ona mieć coś wspólnego z bezpieczną kryjówką Wenezuelczyków. Gdyby się okazało, że to prawda, pospieszna ewakuacja z wyspy mogłaby się stać o wiele trudniejsza, niż to sobie wcześniej wyobrażał.

Kwadrans po zniknięciu łodzi kręcącej się po kanale Dom wrócił na brzeg w miejscu oddalonym o niecałe dwieście metrów od skraju trawnika otaczającego kryjówkę Wenezuelczyków. Znalazł się bliżej celu, niż zamierzał, lecz gdy zauważył, że las jest gęsty, postanowił to wykorzystać i nie ryzykować podczas niemal całodziennego przedzierania się do miejsca, w którym miał rozpocząć obserwację.

Gdy tylko wyszedł z wody i zniknął wśród drzew, zdjął z siebie sprzęt do nurkowania, zakręcił butlę, aby oszczędzić resztę powietrza, i ukrył wszystko pod gęstymi paprociami osłoniętymi od góry koronami andirob i guariub. Wyjął z plecaka ciemnobrązową koszulkę, spodnie w panterkę oraz czarne sportowe buty. Gęste sklepienie lasu przepuszczało niewiele deszczu, lecz Dom miał nadzieję, że grube chmury nie znikną i uchronią go przed przegrzaniem. Wcisnął berettę za pasek, zarzucił plecak na ramię, a potem sprawdził swoją pozycję za pomocą GPS-u. Zapisał w pamięci urządzenia dokładne położenie miejsca, w którym zostawił wyposażenie, ponieważ zamierzał wycofać się tą samą drogą, którą przybył w pobliże celu.

Zanim zdążył się ruszyć, ponownie usłyszał motorówkę przemierzającą kanał. Przypadł płasko do ziemi, wczuł się w paprocie i zaczął obserwować wodę. Dostrzegł dziewięciometrową panamską łódź policyjną z czterema ludźmi na pokładzie. Zauważył też zamontowany na jej dziobie karabin maszynowy kalibru 12,7 milimetra. Oceniał wielkość i prędkość łodzi, dzięki czemu zyskał pewność, że to właśnie ona przepłynęła mu nad głową, gdy trwał w bezruchu tuż nad dnem kanału. Teraz zjawiała się ponownie, a jej załoga zdawała się patrolować okolicę, choć najwyraźniej nie poszukiwała niczego szczególnego. Nie spodobało się to Domowi. Zmuszony do ucieczki, mógłby niezauważony przepłynąć pod łodzią. Gdyby jednak Adara musiała przyplłynąć, aby zabrać go z brzegu wyspy, policjanci w większej, szybszej i solidnie uzbrojonej łodzi patrolowej stanowiliby dla nich poważne zagrożenie.

Łódź odplłynęła w głąb wyspy. Dom odwrócił się i zaczął się oddalać od brzegu, przedzierając się

przez tropikalny gąszcz. Szedł zdecydowanym krokiem, ale się nie śpieszył, wypatrując pilnie węży, pajaków i innych stworzeń, które mogłyby przeszkodzić mu w wypełnieniu zadania.

Znajdował się w typowym lesie tropikalnym, którego dno pokrywały paprocie i kwitnące rośliny radzące sobie doskonale pod potrójnym sklepieniem koron dębów, gujaw i łoskotnic. Wędrówka wśród gęstej roślinności wymagała sporego wysiłku, lecz na szczęście leśne podłoże było równe i ledwie wilgotne. Dom utrzymywał dobre tempo marszu i bez przerwy sprawdzał wskazania GPS-u, gdyż nie chciał się znaleźć przez przypadek na skraju lasu i natknąć się na Wenezuelczyków.

Pokonanie dwustu metrów zajęło mu godzinę i dwadzieścia minut, a o dziewiętej czterdzieści pięć po raz ujrzał pierwszy mającące pomiędzy pniami drzew tyły domu w stylu kolonialnym.

Dominic zatrzymał się, opadł na czworaki i wyszukał miejsce nadające się najbardziej do tego, by się ukryć. Wcisnął się po cichu pomiędzy pień dębu a oplatające go pnącza i wszechobecne paprocie, a potem umieścił przed sobą brązowy plecak, aby zamaskować kontury swojej sylwetki. Gdy się upewnił, że schronienie jest bezpieczne, Dom wyjął lornetkę i zaczął lustrować posiadłość.

Przestało padać. Słońce wychodzące zza chmur ogrzało parę wodną unoszącą się w powietrzu i sprawiło, że w lesie zrobiło się wilgotno i gorąco. Przesłaniające widok opary utrudniały Dominicowi ustawienie ostrości w lornetce, lecz w końcu udało mu się dostrzec dwa stare fordy expedition zaparkowane tyłem do domu na podjeździe. Wiedział, że na wyspie nie ma sieci utwardzonych dróg, ale na zdjęciach z EagleView widział drogi gruntowe przecinające lasy.

Na pomoście, przy którym kołysały się na wodzie dwie białe motorówki, stało dwóch mężczyzn w krótkich spodniach khaki i płóciennych koszulkach. Dom zauważył duże czarne karabiny typu Heckler & Koch G3, które zawiesili sobie na ramionach. W oddali widać było dwóch innych mężczyzn przechadzających się po posiadłości. Oni dźwigali pistolety maszynowe M3.

Caruso był pewien, że domu pilnuje więcej niż czterech strażników, lecz z miejsca, w którym się ukrył, widać było jedynie trzy czwarte terenu za budynkiem.

Zauważył także psi kojec wciśnięty pomiędzy drzewa okalające posiadłość od wschodu. Kręciły się w nim duże psy. Widząc je z daleka, Dom pomyślał, że to owczarki niemieckie lub belgijskie *malinois*, które z pewnością służyły do ochrony rezydencji.

Pośpieszne przyjrzenie się oknom domostwa nie ujawniło jakichkolwiek śladów obecności Ethana Rossa, lecz obronny charakter tego miejsca nasunął Domowi podejrzenie, że Wenezuelczycy postanowili chronić coś, co znajdowało się w budynku.

Dom skontaktował się z Adarą przez telefon satelitarny, strząsnął chrząszcze wędrujące mu po ramionach, wypił trochę ciepłej wody z manierki i usadowił się wygodnie w swojej kryjówce. Przypuszczał, że będzie musiał w niej spędzić co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Rosyjski okręt „Admirał Czabanienko” był nowoczesnym niszczycielem rakietowym klasy Udaloy II przeznaczonym do zwalczania okrętów podwodnych. Pojawienie się jednostki o długości stu sześćdziesięciu trzech metrów w nikaraguańskim porcie San Juan del Sur na Pacyfiku wywołało zatem niemałą sensację. Okręt przyплыł właśnie do zaprzyjaźnionego kraju z trzydniową wizytą: urządził sobie kolejny przystanek podczas rejsu po południowych wodach zachodniej półkuli.

Marynarze na pokładzie „Admirała Czabanienki” z trudem ukrywali podniecenie wywołane perspektywą kilku dni wolności. Nie oczekiwali wprawdzie zbyt wiele od sennego portowego miasteczka, ale wiedzieli też, że nie mogą być wybredni. Wódka, kobiety, świeża żywność i stały ład pod stopami – właśnie w takiej kolejności – odpowiadały każdemu, kto otrzymał zgodę na zejście z okrętu. Pieniądze miały tu większą wartość niż w Buenos Aires, a nawet w Caracas. Pogłoski o piwie, za które trzeba było zapłacić zaledwie piętnaście cordob – około dwudziestu rubli – brzmiały w uszach kiepsko opłacanych rosyjskich marynarzy szczególnie zachęcająco, gdyż ceny w europejskich portach były co najmniej cztery razy wyższe.

Na godzinę przed zejściem pierwszego członka załogi „Admirała Czabanienki” na ład dowódca sześciuosobowej grupy żołnierzy morskiego specnazu przebywających na okręcie odebrał szyfrowane połączenie telefoniczne. Rosyjski porucznik, który miał opuścić okręt w towarzystwie swoich ludzi i pakował właśnie weekendową torbę, przerwał przygotowania i pognął do okrętowego centrum operacyjnego.

Porucznik – komandos specnazu – był w rzeczywistości funkcjonariuszem wojskowego wywiadu GRU. Nie poczuł więc szczególnego zaskoczenia, gdy rozpoznał w słuchawce głos kapitana GRU. Doznał jednak szoku już po chwili, gdy połączono go z urzędującym w Moskwie generałem Federalnej Służby Bezpieczeństwa, który zlecił mu wykonanie wyjątkowo ryzykownego zadania. W jeszcze większe zdumienie wprawiła porucznika treść rozkazu. On i jego ludzie ćwiczyli wszystkie rodzaje operacji, lecz jeszcze nigdy nie zetknęli się z tym, co mieli na rozkaz generała zrobić natychmiast.

Niecałe trzy godziny później porucznik i jego ludzie włożyli cywilne ubrania, a potem, ciągnąc duże torby na kółkach, pomaszrowali na rufę „Admirała Czabanienki”, na której znajdowało się lądowisko dla śmigłowców. Odprowadzani zdziwionym wzrokiem marynarzy obecnych na pokładzie, żołnierze specnazu wdrapali się do śmigłowca model Kamow Ka-32 należącego do wyposażenia niszczyciela i po chwili wzlecieli w wieczorne niebo nad portem w San Juan del Sur.

Godzinę później dotarli do bazy wojskowej w pobliżu Managui. Po odprawie, trwającej kolejną godzinę i prowadzonej przez przybyłego właśnie z Caracas oficera Federalnej Służby Bezpieczeństwa, rozkazano im dokończyć planowanie misji i oczekiwać na zielone światło z Moskwy.

Pojawiło się ono o czwartej czasu miejscowego. Gdy porucznik i jego ludzie otrzymali sygnał do rozpoczęcia akcji, natychmiast weszli na pokład cywilnej cessny caravan, która należała do fasadowej firmy związanej z nikaraguańskim wywiadem. Wcześniej zdążyli upchnąć w samolocie swoje wyposażenie, co nie było łatwe, ponieważ każdy z nich musiał zabrać ze sobą prawie trzydzieści kilogramów bagażu. Kabina dziesięciomiejscowego płatowca wyładowana ludźmi i sprzętem niemal pękała w szwach. Mimo to cessna oderwała się bez trudu od ziemi i obrała kierunek na południe, by zniknąć na ciemnym niebie przykrywającym śpiącą Managuę.

W tym samym czasie druga grupa Rosjan znajdowała się na morzu. Byli to agenci wywiadu z Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Po rozmowie telefonicznej, która zaskoczyła ich w takim samym stopniu jak porucznika morskiego specnazu, wypłynęli późnym popołudniem z Maracaibo.

Agenci FSB otrzymali rozkaz załatwienia sobie szybkiej łodzi i natychmiastowego wypłynięcia na północny zachód. Kazano im przemierzyć niespokojne wody Morza Karaibskiego z jak największą prędkością i dotrzeć w to samo miejsce, do którego lecieli z północy komandosi specnazu: do archipelagu Bocas del Toro w północnej Panamie.

Rosyjscy komandosi ani agenci wywiadu nie wiedzieli jednak, że dzień wcześniej rezydent Federalnej Służby Bezpieczeństwa w Caracas zapoczątkował cały łańcuch zdarzeń. Zaprzyjaźnieni urzędnicy z wenezuelskiego biura kontrwywiadu poinformowali go, że policja urządzi obławę w mieście. Powiedzieli mu także, że amerykański zdrajca przekazał wenezuelskiej ambasadzie w Waszyngtonie listę trzydziestu trzech nazwisk agentów CIA w Wenezueli w zamian za szybkie i bezpieczne wywiezienie go ze Stanów Zjednoczonych. Amerykanin zamierzał dostarczyć później drugą listę, na której miały się znajdować nazwiska szpiegów działających w ambasadach Wenezueli na całym świecie.

Aby potwierdzić prawdziwość tej stanowczo niedorzecznej historii, rezydent natychmiast zatelefonował do Moskwy. Powiedziano mu wówczas, że wysoko postawione źródło w rządzie Stanów Zjednoczonych poinformowało FSB o Ethanie Rossie, pracowniku Rady Bezpieczeństwa Narodowego USA, który opuścił kraj, a wcześniej prawdopodobnie zamordował swoją przyjaciółkę, oraz o parze ścigających go agentów FBI. Krążyły również pewne pogłoski, że amerykański uciekinier zabrał ze sobą wielki zbiór ściśle tajnych dokumentów w postaci plików komputerowych.

W pierwszej chwili rosyjski rezydent w Caracas potraktował te doniesienia sceptycznie; pomyślał, że bez wątpienia mają one związek z amerykańską kampanią dezinformacyjną. Jakim cudem ktoś mógłby wymknąć się z Waszyngtonu z tak cennym skarbem? Wenezuelski oficer wywiadu pokazał jednak rezydentowi Federalnej Służby Bezpieczeństwa listę szpiegów dostarczoną przez Ethana Rossa i Rosjanin zrozumiał, że ma do czynienia z prawdziwym przeciekami. Lista nie zawierała wprawdzie nazwisk, które zastąpiono kryptonimami, lecz pozostałe informacje dotyczące stanowisk, zatrudnienia lub związków ze znanymi osobistościami pozwalały na łatwe ustalenie tożsamości poszczególnych osób. Rezydent natychmiast rozpoznał niektóre z nich jako szpiegów pracujących dla Ameryki, których FSB już zidentyfikowała, choć postanowiła na razie im nie przeszkadzać.

Kiedy rezydent potwierdził prawdziwość informacji, natychmiast zatelefonował do Moskwy. Kierownictwo FSB kazało mu przycisnąć Wenezuelczyków i nakłonić ich do przekazania tajnych dokumentów, gdy tylko Amerykanin znajdzie się w Caracas. Rezydent osobiście zasugerował wenezuelskiemu wywiadowi, aby podano Amerykaninowi wynalezione przez Rosjan serum prawdy

SP-117, które, przynajmniej teoretycznie, pozwoli zmusić go do ujawnienia hasła dostępu do wykradzionych przez niego plików. Wenezuelczycy ofuknęli jednak Rosjan i oświadczyli, że Amerykanin pozostanie w kryjówec w Panamie, aż zakończą się aresztowania i nadejdzie odpowiednia pora na sprowadzenie go do kraju.

Federalna Służba Bezpieczeństwa wiedziała, że każdy z amerykańskich szpiegów prędzej czy później ma na karku ścigających go rodaków, którzy działają szybko i zdecydowanie, a pojawiają się zwykle w ciągu kilku dni lub godzin, aby zrobić to, co muszą, i zażegnać niebezpieczeństwo. Za pomocą bezpiecznej linii rezydent połączył się z siedzibą FSB w moskiewskiej Łubiance i odbył pilną naradę, po której postanowiono podjąć aktywne działania mające doprowadzić do przejęcia plików wykradzionych przez Amerykanina. Z dyplomatycznego punktu widzenia bardziej wskazane było przeprowadzenie takiej operacji w Panamie, najlepiej tak, aby Wenezuelczycy dali się nabrać i pomyśleli, że rosyjscy komandosi to w rzeczywistości Amerykanie.

Rezydent sądził, że podjęcie tej decyzji w ciągu zaledwie doby będzie niemal cudem, lecz gdy pojawiło się zielone światło dla komandosów specnazu w Managui, nie miał już wątpliwości: Rosjanie wyruszyli po Ethana Rossa. Chcieli dostać Amerykanina oraz jego dokumenty i nie zamierzali zostawić śladów, które prowadziłyby do Moskwy.

Dominic Caruso miał za sobą długi i nieciekawy dzień. Uniknął wprawdzie oparzeń słonecznych, ponieważ przebywał w kryjówec osłoniętej paprociami i koronami drzew na skraju tropikalnego lasu, lecz po południu poczuł, że jest prawie kompletnie wyczerpany z gorąca. Dały mu się także we znaki mrówki i komary, a do tego bez przerwy chodziły po nim pająki i przyglądały mu się leniwiec oraz wyjec.

Tuż przed zmierzchem wydarzyło się coś, co zdaniem Doma mogłoby w przyszłości przyprawić resztę jego zespołu z Kampusu o atak śmiechu.

Tukan, który upatrzył sobie miejsce na gałęzi dębu i usadowił się nad głową Doma, zaczął popuszczać mu na plecy, a stało się to w chwili, gdy dwóch strażników patrolujących teren wkroczyło na nieodległy trawnik. Dominic musiał więc leżeć w bezruchu i przyjmować kolejne porcje ptasich odchodów. Gdy w końcu mógł się poruszyć i usunąć je z koszulki, spostrzegł, że tukan pokrył go czerwienią. Ptaszysko musiało od dłuższego czasu żywić się dzikimi jagodami.

Dom również roześmiałyby się z tego powodu, gdyby tylko pozwolił mu na to nastrój. Niestety, nie pozwolił, ponieważ pomimo wysiłku i niedogodności, w które obfitował dzień, Dominicowi nie udało się odkryć niczego, co wskazywałoby na obecność Ethana Rossa.

Tuż przed zmierzchem Dom dostrzegł kogoś, kto zdawał się nie należeć do stałych mieszkańców rezydencji. Był to drobny mężczyzna o ciemnej cerze, noszący niebieskie dzinsy pomimo ponadtrzydziestostopniowego upału. Stojąc na werandzie, rozmawiał przez kilka minut przez telefon komórkowy. Caruso dojrzał przez lornetkę krótkie włosy oraz młodo wyglądającą twarz i ocenił wiek nieznanego na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Sięgnął po aparat fotograficzny. Zrobił mężczyźnie kilka zdjęć, które z powodu dużej odległości i coraz słabszego światła i tak okazały się zapewne bezużyteczne. Po chwili nieznanemu zakończył przydługą rozmowę, wszedł do chłodnego wnętrza domu i zamknął za sobą drzwi.

Po sześciu godzinach obserwacji, podczas których na dworze pojawili się tylko strażnicy i śniady

mężczyzna, Dom postanowił przenieść się w inne miejsce. Zostawił większość wyposażenia w kryjówce obok dębu, zapisał jej położenie w pamięci GPS-u i ruszył na zachód, aby dotrzeć na tyły posiadłości.

Zasiadł w tymczasowym ukryciu z widokiem na basen i taras okalający tył domostwa. Gdy się upewnił, że gęste tropikalne krzewy dobrze go zamaskowały, sięgnął po lornetkę i przyjrzał się oknom. Niektóre z nich, w odróżnieniu od wszystkich okien frontowych, nie były zasłonięte, dzięki czemu Dom zobaczył mężczyznę chodzącego tam i z powrotem po pokoju na pierwszym piętrze.

Pomyślał, że to zapewne jeden ze strażników, lecz mimo to postanowił nie opuszczać swojej kryjówki i zaczekać do zmroku, kiedy w domu rozbłyszczą światła, a jego wnętrza staną się lepiej widoczne.

Tuż przed dwudziestą drugą trzydzieści bryza przybrała na sile i Dom poczuł w powietrzu wilgoć zwiastującą zbliżający się deszcz. Był to sygnał, że musi wrócić do pierwszej kryjówki. Była ona lepiej osłonięta i leżał w niej plecak, w którym znajdowało się lekkie poncho mogące uchronić go przed ulewą. Ledwie zdążył opuścić lornetkę, gdy zauważył ruch na werandzie. Błyskawicznie przyłożył soczewki do oczu i zobaczył blondyna z lampką wina w dłoni, opartego o balustradę. Mężczyzna wpatrywał się w dal, trzymając pod pachą coś, co wyglądało jak zamknięty laptop.

Dom przyjrzał się dokładnie tajemniczemu nieznajomemu, lecz ten stał poza zasięgiem światła i nie było widać jego twarzy.

– Czy to ty, Ross? – szepnął do siebie Dom.

Rozpoznanie mężczyzny z odległości osiemdziesięciu metrów, nawet przez lornetkę, było niemożliwe.

Dom sięgnął po aparat fotograficzny i zrobił jeszcze kilka zdjęć, choć wiedział, że będą mało przydatne, ale chwilę później zaczął naciskać spust migawki raz za razem, gdyż za plecami blondyna pojawiła się kobieta o długich, kędzierzawych, ciemnych włosach. Trzymała lampkę i butelkę wina. Uśmiechając się szeroko, niezgrabnie objęła mężczyznę zajętymi rękami, lecz on nie przestawał wpatrywać się w dal nieobecny wzrokiem.

Dom pragnął tylko, aby blondyn stanął w oświetlonym miejscu i popatrzył w jego stronę. Po chwili na werandę wkroczył potężny wosaty mężczyzna w kremowym uniformie. Przypatrując się jego gestom, Dominic domyślił się, że wosacz kazał nieznajomym wejść do domu. Ustawił ostrość lornetki na blondyna, który ruszył ku drzwiom i wszedł do budynku, mówiąc coś do mężczyzny w kremowym stroju. Gdy znalazł się w kręgu światła, odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na deszczowy las na wschodzie. Skierował wzrok tam, gdzie w ciemności leżał osłonięty paprociami Caruso z lornetką przyciśniętą do oczu.

Był to Ross.

– Miło cię znowu widzieć, dupku – szepnął Dom. – Myślisz, że jesteś tu bezpieczny? Może uda ci się schować przed Albrightem, a nawet przede mną, ale na pewno nie przed ludźmi z Shayetet 13.

Ethan Ross zniknął za drzwiami i weranda pogrążyła się w ciemnościach.

Tuż przed północą Dominic wyruszył do swojej pierwszej kryjówki. Zamierzał zadzwonić do Davida i powiedzieć mu, że rozpoznał Rossa, lecz chmury całkiem zasłoniły księżyc i skradły resztki naturalnego światła, które Dom zamierzał wykorzystać do przejścia przez las. Uznał więc, że nie ma wyjścia i będzie musiał trzymać się niebezpiecznie blisko trawnika otaczającego domostwo. Światła budynku nie sięgały wprawdzie do skraju lasu, lecz było tu nieco jaśniej. Caruso wykorzystał zatem młłą poświatę, aby znaleźć powrotną drogę do kryjówki pod dębem.

Kiedy już znalazł się w bezpiecznym miejscu, sięgnął po telefon satelitarny, aby się skontaktować z izraelskimi siłami specjalnymi. Zanim jednak zdążył wybrać numer, telefon zaczął wibrować, a na wyświetlaczu, którego podświetlenie ustawione zostało na minimum, ukazało się jedno słowo: ALBRIGHT.

Było to interesujące. Albright? Zadzwonił? Dom odebrał i odezwał się prawie szeptem:

– Tak naprawdę, Darren, to nie najlepszy moment.

W słuchawce rozległy się syki i trzaski, zapewne z powodu deszczowych chmur, które zakłócały sygnał. Mimo to Dom wyraźnie usłyszał Albrighta, który powiedział:

– Mam coś ciekawego. Parę dni temu wyciągałeś ze mnie różne rzeczy, a teraz masz nagle coś lepszego do roboty. Cóż... Nie powstrzymam cię, ale pomyślałem, że powiem ci, zanim dowiesz się o tym z wiadomości.

– Co mi powiesz?

– Ethan Ross wykradł jakieś sześćset osiemdziesiąt tysięcy plików z Intelinku-TS. To ściśle tajne dokumenty wywiadu dotyczące działalności CIA na całym świecie.

– O czym, do diabła, mówisz?

– O tym, że Ross skopiował przedwczoraj sto pięćdziesiąt gigabajtów danych. Wykorzystał uprawnienia Eve Pang, zalogował się w wirtualnej sieci prywatnej i wykorzystał jakiś rodzaj pełzacza, który wiedział, gdzie i czego szukać. Fachowcy wciąż próbują odtworzyć to włamanie, abyśmy mogli dokładnie ustalić, co ma Ross, ale powiedziano mi, cytuję informatyków, że było to „mniej więcej wszystko”.

– O Boże...

– Znalaziono też dwóch zaginionych gości ze specjalnej grupy obserwacyjnej. Pływali w Potomaku podziurawieni kulami. Człowiek, którego zastrzelono i podpalono w hotelu Richmond, został zidentyfikowany jako Philip McKell, rządowy spec od informatyki i były pracownik Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Wygląda na to, że to morderstwo jest jakoś powiązane ze sprawą Rossa.

Dom dotknął czołem mokrej ziemi.

– Ta sprawa zatacza coraz szersze kręgi – powiedział.

– Masz cholerną rację. Ale to jeszcze nie koniec złych wiadomości. Wygląda na to, że Ross uciekł do Wenezueli.

Dom podniósł głowę i delikatnie odchrząknął.

– Skąd to przypuszczenie? – zapytał.

– Nasz łącznik z CIA zajrzał do Biura, żeby nam powiedzieć, że policja zatrzymuje ich ludzi w Caracas. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin zgarnięto tam z ulicy ponad dwa tuziny agentów.

To jest to, pomyślał Dom. Zapłata dla Wenezuelczyków za wywiezienie Rossa z kraju. Nie zdążył się jednak odezwać, bo Albright mówił dalej:

– Sprawdziliśmy nagrania z kamer, które zainstalowaliśmy tu, w Waszyngtonie, przed wenezuelską ambasadą przy ulicy Thomasa Jeffersona, i zauważyliśmy Rossa. Wszedł do tej placówki bocznym wejściem. Było to przedwczoraj, w tym samym czasie, kiedy przepadli ludzie z grupy obserwacyjnej. Sądzymy, że Ross przekazał Wenezuelczykom wykradzione materiały w zamian za pomoc w wydostaniu się z miasta. Przy okazji ktoś, Ross albo Wenezuelczyk, zabił Philipa McKella, Eve Pang i dwóch funkcjonariuszy FBI. Musimy założyć, że Ross przebywa w tej chwili w Caracas.

W ciągu następnych kilku sekund Dominic rozważył wiele różnych możliwości. Uwzględnił wszystkie „za” i „przeciw” i w końcu postanowił powiedzieć Albrightowi niemal wszystko, czego się dowiedział.

– Mam informacje, które mogą ci się przydać – oświadczył.

– Miałem nadzieję, że tak będzie – odparł Albright.

– Ross przebywa w Panamie, w prowincji Bocas del Toro. Jest na wyspie Bastimentos.

Jeśli nawet Albright oczekiwał, że Caruso powie mu cokolwiek, to z pewnością nie spodziewał się tego, co właśnie usłyszał.

– Przepraszam? – rzekł zaskoczony.

– Ross znajduje się pod ochroną agentów wywiadu Wenezueli – wyjaśnił Dom. – Trzymają go w kryjówce, do której płynie się z lotniska jakieś pół godziny.

Przez długą chwilę w telefonie można było usłyszeć jedynie trzaski.

– Jeśli nie powiesz mi, skąd to wiesz, to pomyślę, że współpracujesz z Ethanem Rossem – odezwał się w końcu Albright.

– Przecież wiesz, że to niedorzeczne.

– Być może, ale nie zamierzam się z tobą dłużej pierdolić. Utrudniasz mi dochodzenie.

– Niech cię szlag, Albright! Właśnie ci powiedziałem, gdzie ukrywa się twój podejrzany! To dokładna odwrotność utrudniania dochodzenia – wypalił Dom i wziął głęboki oddech, próbując postawić się na miejscu swojego rozmówcy. – Wiem wszystko od Izraelczyków.

– Od jakich Izraelczyków?

– Od gości, którzy chcą dorwać Rossa za to, że przyczynił się do śmierci Arika Yacoby’ego.

– Czy mam jakąś szansę, żeby porozmawiać z tymi Izraelczykami?

– Nie sądzę. Niemniej jednak wysłali mnie na pierwszą linię frontu.

– Jak mam to rozumieć?

– Właśnie w tej chwili obserwuję ich kryjówkę.

– Jesteś w Panamie? – zapytał ponurym i oskarżycielskim tonem Albright.

– Tak.

– Wpadłeś po same uszy, Caruso.

– Człowieku! Żadne prawo nie zabrania prywatnej osobie wyjazdu na wycieczkę do słonecznej Ameryki Południowej.

Zaczęło znowu padać.

– Nie chrzań – warknął Albright. – Jesteś tam ze swoimi kolesiami tajniakami, żeby ukatrupić Rossa.

– Posłuchaj: nie ma tu żadnych agentów. Jest za to wystrzałowa blondynka, która mogłaby nam obu skopać dupę, ale ona nie jest tajniaczką. – Dom uśmiechnął się lekko, przecierając oczy zalane deszczem. – Jest tylko stewardesą.

Albright najwyraźniej nie wiedział, jak powinien zrozumieć te słowa, lecz ani przez chwilę nie pomyślał, że Dom powiedział prawdę. Uczepił się bowiem konkretnej myśli: Caruso ściga Rossa, aby go zabić.

– Posłuchaj mnie bardzo, bardzo uważnie – rzekł. – Niezależnie od tego, co ty i twoi kumple zaplanowaliście w związku z Rossem... zmienia to zasady gry. Jest bardzo prawdopodobne, że właśnie w tej chwili Ethan Ross ma przy sobie skradzione pliki. Jeśli go zabijecie, być może staną się one dla nas niedostępne. Przepadną, a musimy je odzyskać.

– Widziałem dziś Rossa z laptopem – powiedział Dom.

– W takim razie pliki mogą się znajdować na twardym dysku tego komputera, choć Ross równie dobrze mógł je skopiować do przenośnej pamięci.

– Skąd wiecie, czy już ich komuś nie przekazał?

– Tego nie wiemy. Ross skopiował jednak pliki w ostatniej chwili i nie zaplanował scrapingu tak, aby pozostał on niezauważony. Wszystko wskazuje na to, że próbował zdobyć pozycję przetargową i wykraść dane, ponieważ wiedział, że depczemy mu po piętach. Musiał więc mieć coś, czym mógłby się wymienić. Sądzymy, że cały czas będzie miał to przy sobie. Ross zna się na komputerach i potrafi szyfrować pliki, przez co stają się one bezużyteczne dla każdego, kto nie poda hasła.

Dom pragnął zabić sukinsyna ukrywającego się w rozświetlonym domu za ciemnym trawnikiem albo przynajmniej pomóc w tym Izraelczykowi, lecz teraz wiedział już, że uśmiercenie Rossa bez odzyskania tajnych dokumentów mogłoby zagrozić życiu amerykańskich agentów na całym świecie.

Kurwa! Wszystko właśnie się skomplikowało.

Dom doskonale zdawał sobie sprawę z konsekwencji przekazania tajnych dokumentów w niepowołane ręce. Musiał rozpocząć grę zgodnie z zasadami Albrighta.

– Okej – powiedział. – Zostanę tu, gdzie jestem, i pomogę wam odzyskać pliki. Jak tylko się rozłączymy, prześlę wam koordynaty tego miejsca. Kiedy się tu zjawicie?

– Zorganizuję grupę ludzi z Zespołu Ratowania Zakładników i załatwię robotę papierkową. Lot do Panama City potrwa ponad cztery godziny, a później będziemy musieli przesiąść się do helikopterów, które zabiorą nas na miejsce. Niewykluczone, że przybędziemy, gdy będzie już jasno.

– Do tego czasu będę miał wszystko na oku – rzekł Dom.

– Ale nie sam. Podesłemy ci wsparcie. Mamy dobre układy z panamską armią, mogę więc zatelefonować i...

- Posłuchaj: to twój show, ale ja bym tego nie robił.
- Dlaczego nie?
- Widziałem tu łódzie patrolowe panamskiej policji pływające przez cały dzień tam i z powrotem w pobliżu tej kryjówki. Dlatego nie można wykluczyć, że miejscowi gliniarze biorą w łapę od Wenezuelczyków za pilnowanie okolicy.
- Albright wreszcie zrozumiał, w jak trudnej sytuacji przyjdzie im działać.
- Cholera – zaklął. – Więc jeśli nawet skontaktujemy się w tej sprawie z policyjną wierchuszka w Panamie, to nikt nam nie zagwarantuje, że nie dojdzie do przecieku, dzięki któremu Ross znowu się ulotni.
- Bingo – podsumował Dom. – Może powinniście po prostu ruszyć dupska i przeprowadzić nalot na to miejsce? Widziałem najwyżej sześciu strażników na zewnątrz i zakładam, że co najmniej sześciu innych przebywa w domu, ale jeśli rano, kiedy wszyscy będą ledwie przytomni, wykorzystacie szok i przerażenie, będziecie mogli przejąć Ethana Rossa i jego materiały.
- Poczuję się lepiej, gdybyś poszedł mi na rękę i przyznał, że jesteś w Panamie ze swoimi kumplami.
- Powtarzam: nie zabrałem ze sobą żadnych kumpli.
- Albright westchnął i oświadczył:
- Wyślę za tobą dwóch agentów specjalnych z biura FBI w Panama City. To tylko dwaj goście, którzy prowadzą dochodzenie w sprawie przekrętu bankowego, ale chcę, żeby Biuro miało twoją operację pod kontrolą.
- Nie wiem, ile mamy czasu – odparł Dom. – Wenezuelczycy mogą wywieźć Rossa w każdej chwili.
- Dlatego tak ważne jest to, abyście ty i twoi ludzie mieli go cały czas na oku i w żadnym wypadku nie próbowali go przejąć na własną rękę.
- Dom również westchnął. Był już zmęczony bezustannym powtarzaniem, że nie wyjechał do Panamy w towarzystwie kolegów z CIA.
- Okej – powiedział. – Przekażę reszcie mojego zespołu, aby nikt się nie wychylał.
- Cwaniak – mruknął Albright i zakończył rozmowę.

Kilka chwil później telefon Dominica ponownie zaczął wibrować i wyświetlił numer Davida. Waszyngtoński agent Mosadu zamierzał zapewne poprosić o najnowsze informacje i dowiedzieć się, czy jego amerykański sprzymierzeniec zidentyfikował cel, aby można było wysłać zespół snajperów i dokonać zemsty. Izraelczycy mieli jasne i sprecyzowane zamiary: chcieli głowy Ethana Rossa, lecz rozmowa z Albrightem zmieniła charakter misji Doma. Nie wiedział nawet, jak powiedzieć Davidowi, agentowi obcego kraju, o danych, które wykradziono amerykańskiemu wywiadowi. Izrael był wprawdzie sojusznikiem Stanów Zjednoczonych i CIA zapewne prędzej czy później poinformowałaby Izraelczyków o przecieku, lecz Dom był cholernie pewien, że to nie jego zadanie.

Nie odebrał telefonu. Zapewne wkurzył tym Davida, ale akurat teraz nie mógł sobie pozwolić na nic więcej.

Zmieniając pozycję w swojej kryjówce, Dom potracił jedną z otaczających go paproci. Wyciągnął rękę, aby uspokoić rozkołysane zielone łodygi, lecz w tej samej chwili usłyszał bliski szelest.

Znieruchomiał i wstrzymał oddech, a po dwudziestu sekundach wpatrywania się w ciemność rozpoznał sprawców zamieszania. Były to dwa wyjce przemierzające trawnik w odległości kilkunastu metrów od dębu. Małpy zdawały się nie widzieć Doma, a może najzwyczajniej w świecie nie przejmowały się człowiekiem leżącym w gęstwinie na skraju lasu.

Uspokoiwszy się kilkoma łykami wody z manierki, Dom przypomniał sobie, że powinien skontaktować się z Sherman. Minęła już północ, lecz mimo to Adara odebrała telefon już po pierwszym dzwonku i po raz kolejny zimponowała Domowi swoją sprawnością jako agentka.

Caruso opowiedział jej o rozpoznaniu Rossa oraz o rozmowie z Albrightem, która oznaczała, że na tropikalnej wyspie zaroji się wkrótce od podekscytowanych i wkurzonych funkcjonariuszy amerykańskich służb federalnych.

– Chcesz, żebym przyplęnęła? – zapytała Adara.

– Nie. Będę obserwował okolicę przez całą noc.

– Jest już po północy, ale pomiędzy wyspami kręci się jeszcze kilka łodzi. Jeśli nie zabiorę cię teraz, utkniesz tam na dobre, bo później, o trzeciej czy czwartej nad ranem, będę jedyną osobą znajdującą się na wodzie. Wenezuelczycy na pewno usłyszą mnie już z daleka. A jeśli wówczas zatrzyma mnie panamska policja? Turystka o blond włosach krążąca łodzią w środku nocy na pewno wzbudzi zainteresowanie, którego żadne z nas sobie nie życzy.

– Rozumiem – odrzekł Dom. – Ludzie z Zespołu Ratowania Zakładników dotrą tu rano, ja tymczasem będę na bieżąco informować ich o sytuacji. Zaczekam na federalnych, a gdy już się zjawią, przyplęnię po mnie.

– Zrozumiałam – potwierdziła Adara.

Zakończył rozmowę i ponownie skupił się na obserwacji. Leżał otoczony florą i fauną Ameryki Środkowej i miał cholerną nadzieję, że tej nocy nie dopadnie go nic większego od komara. Wypatrywał amerykańskiego zdrajcy, który ukrywał się w zaciszu domostwa po drugiej stronie trawnika.

Minęła szósta rano. Deszczowe chmury ustąpiły i uwolniły mdłą księżycową poświatę, lecz wyspa Bastimentos była jeszcze pogrążona w ciemnościach. Dom przetań oczy, uzmysławiał sobie powoli, że spał kilka minut. Krótka drzemka nie sprawiła jednak, że poczuł się mniej zmęczony. Jego kryjówka znajdowała się w okolicy, którą upatrzyły sobie małe kolorowe żabki kręcące się przez całą noc wśród paproci i wdrapujące się na plecak. Wszędobylskie stworzenia pojawiały się zniemacka i zmuszały Doma do bezustannego czuwania.

Caruso sięgnął po lornetkę. Przetań szkła pokryte rosą i przyłożył je do oczu. Ujrzał dwóch strażników snujących się w oddali po obrzeżach posiadłości. Mężczyźni zdradzali swoją obecność światłem latarek. W domu panował jeszcze spokój, lecz Dominic zauważył w środku dwóch uzbrojonych ludzi, którzy kręcili się przy oknach sąsiadujących z głównym wejściem.

Wysoko nad lasem słyhać było przelatujący samolot. Caruso uzmysłowił sobie, że to odgłos jego silnika przerwał mu drzemkę. Miał nad głową gęste, stykające się ze sobą korony drzew, więc nie widział maszyny, lecz rozpoznał dochodzący z góry warkot turbośmigłowego płatowca i ocenił jego pułap na niecałe dwa tysiące metrów.

Mimo potwornego zmęczenia oczu nie przestawał obserwować domu, przy tym starał się jak najdokładniej ustawić ostrość lornetki.

Nagle w koronach drzew po lewej stronie rozległ się trzask pękającej gałęzi. Dobiegł do uszu Dominica z dość daleka, lecz był na tyle donośny, że przebił się przez odgłosy tropikalnego lasu. Ćwierkające żabki natychmiast umilkły. Chwilę później leśną gęstwinę przeszył kolejny, dochodzący z innego miejsca po tej samej stronie, hałas łamanych jedna po drugiej gałęzi, któremu zawtórował szelest spadających liści.

Dom wydobyl pistolet z kabury na biodrze i skulił się pod paprociami, nie do końca wiedząc, co się wydarzyło kilkanaście metrów od jego ukrycia.

Zanim jednak zdążył się zastanowić, na trawniku pojawiła się ciemna sylwetka, a nad nią zamajaczyła, tracąca swój foremny kształt, czasza spadochronu. Skoczek błyskawicznie ukrył się wśród drzew. Po krótkiej chwili kilka metrów dalej, tuż poza zasięgiem światła domu, z nieba spadła kolejna postać.

Zaskoczony Dominic niemal zerwał się na równe nogi.

Ponownie usłyszał hałas w koronach drzew, tym razem na prawo od swojej kryjówki. Nadstawiając uszu, domyślił się, że jeden ze skoczków nie zdołał trafić w upatrzone miejsce i zawisł na pobliskim dębie albo tabebui.

Psy uwięzione w kojcu po drugiej stronie domu zanosły się ostrym ujadaniem, a na ciemnym trawniku wylądowało jeszcze trzech skoczków, którzy natychmiast zwinęli spadochrony i zniknęły w lesie.

Rozglądając się i nasłuchując, Dominic naliczył sześciu ludzi. Pojawili się oni w ciągu zaledwie kilku sekund, a potem ukryli się wśród drzew, zapewne po to, aby ukryć spadochrony i przygotować ekwipunek.

Jasna cholera!, pomyślał Caruso. Czy byli to ludzie z Zespołu Ratowania Zakładników? Albright nie wspomniał ani słowem o powietrznym desancie na posiadłość Wenezuelczyków, lecz Dom nie mógł wykluczyć takiej możliwości. Bardzo chciałby zapytać o to Darrena, ale nie mógł do niego zatelefonować, skoro przebywał wśród otaczających go nieznanymi ludźmi. Wiedział, że jeśli nawet zostali wysłani przez FBI i wiedzieli o jego obecności, ujawnienie się przed facetami o świerzbujących palcach spoczywających na spustach broni nie wyszłoby mu na dobre.

Nic z tego. Dom postanowił nie ruszać się z miejsca i obserwować.

Jasne, powiedział sobie, to na pewno ludzie z FBI. Bo jeśli nie oni, to kto?

Mosad? Nie. W ciągu ostatnich kilku godzin David telefonował do Doma pięć lub sześć razy, lecz bez skutku. Dom pomyślał, że Mosad nie zdecydowałaby się na wysłanie swoich ludzi, jeśliby najpierw nie otrzymał informacji od obserwatora, który wiedział, co się dzieje na wyspie.

Blask dwóch laterek padający z podjazdu omiół trawnik. Oświetlili go dwaj strażnicy, którzy przechadzali się całą noc po obrzeżach posiadłości. Świecąc gdzie popadnie, Wenezuelczycy zdawali się nie zwracać najmniejszej uwagi na psy oznajmiające głośnym jazgotem czyją obecność w lesie. Zbliżyli się powoli do kryjówki Doma. Być może usłyszeli wcześniej jakieś hałasy, lecz zapewne skojarzyli je z małpami, leniwcami, tukanami oraz mnóstwem innych dzikich stworzeń buszujących w koronach drzew i pogrążeni w samozachwycie, nie przejmowali się wydanymi im przez szefów instrukcjami dotyczącymi bezpieczeństwa posiadłości.

Światło laterek oślepiło Doma na chwilę, lecz gdy strażnicy minęli jego kryjówkę i świecąc w innym kierunku, zbliżyli się do wody, mógł dokładniej przyjrzeć się mężczyznom. Wenezuelczycy mieli zajęte ręce: każdy z nich trzymał w jednej zawieszony na ramieniu karabin G3, a w drugiej latarkę. Ten widok utwierdził Dominica w przekonaniu, że strażnicy nie byli przygotowani do walki.

Mogło ją za to bez wątpienia podjąć w każdej chwili sześciu mężczyzn ukrywających się wśród drzew. Dom ujrzał dwie ciemne postacie skradające się za plecami strażników. Nie dostrzegł broni w ich rękach. Nieznajomi szybko i bezszelestnie zbliżyli się do Wenezuelczyków, a potem, równocześnie, chwycili ich za szyję, odwrócili, pozbawili karabinów i uciszyli serią błyskawicznych uderzeń w tułów i w twarz.

Strażnicy osunęli się bezwładnie na ciemny trawnik, a Dom natychmiast zrozumiał, że ciosy wymierzone w najbardziej wrażliwe okolice ciała pozbawiły ich życia. Zabójcy natychmiast ukryli ciała martwych mężczyzn oraz upuszczoną przez nich broń na skraju lasu, na prawo od kryjówki Caruso.

Dom przyglądał się atakowi z odległości sześciu, najwyżej siedmiu metrów. Nie usłyszał jednak ani jednego słowa, nie dostrzegł też twarzy ani dystynkcji ludzi, którzy wylądowali na wyspie, a mimo to domyślił się, kim byli, ponieważ znał ich styl walki. Napastnicy sprawnie posłużyli się skuteczną zabójczą techniką, kojarzącą się nieco z krav magą, a zarazem na tyle charakterystyczną, że Dom natychmiast ją rozpoznał. Był to system wymyślony w Rosji i wykorzystywany przez żołnierzy rosyjskich jednostek specjalnych.

Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, ponieważ na wyspę spadł z nieba specnaz.

Minutę później Caruso zauważył sześć postaci idących przez trawnik na zachód i trzymających się blisko samochodów oraz basenu. Rozpoznał charakterystyczny kształt pistoletów maszynowych H&K MP7 w rękach mężczyzn, którzy zachowywali się jak świetnie wyszkoleni zawodowcy: szli parami, wzajemnie się ubezpieczając. Nie maszerowali jednak w stronę kolonialnego domu i wszystko wskazywało na to, że nie zamierzali go zaatakować. Po chwili znikli na ciemnym podjeździe. Dominic pomyślał, że intruzi postanowili raczej przeprowadzić krótkie rozpoznanie i ukryć się przy domku obok basenu, a potem rozpocząć obserwację głównego budynku i ocenić sytuację.

Próbował dodzwonić się do Albrighta, lecz bezskutecznie. Być może agent znajdował się właśnie na pokładzie zbliżającego się samolotu i stracił na pewien czas sygnał sieci komórkowej. Ale gdyby nawet zjawili się już w pobliżu agencji FBI z Panama City, to niewiele by to Domowi pomogło. Ludzie ci zajmowali się przestępstwami finansowymi i mieli niewielkie pojęcie o prowadzeniu paramilitarnych akcji, które były specjalnością Zespołu Ratowania Zakładników. Przebywali jeszcze zapewne w Bocas, a gdyby nawet mieli już do dyspozycji łódź, i tak przybyliby na wyspę nie wcześniej niż za pół godziny.

Wtedy, cokolwiek by się działo, z pewnością będzie już po wszystkim. Dom zrozumiał, że jest zdany wyłącznie na siebie.

Choć nie do końca, pomyślał.

Zatelefonował do Adary.

Odebrała prawie natychmiast.

– Zgłaszałeś się ledwie godzinę temu – powiedziała. – Czy coś nie tak?

– Gorzej niż nie tak. Zaraz rozpocznie się tu prawdziwa bitwa.

– W takim razie wsiadam do łodzi. Mów dalej.

– Nie wypływaj jeszcze. Trzymaj się tylko blisko łodzi i bądź gotowa, jeśli będę cię potrzebował.

– Ale...

– Żadnych ale. Zostań, gdzie jesteś, póki nie zadzwonię.

– Co się dzieje?

Caruso opowiedział Adarze o ludziach ze specnazu i śmierci wenezuelskich strażników, podzielił się też swoimi obawami. Sądził, że Rosjanie rychło zaatakują dom, aby dostać Ethana Rossa i wykradzione przez niego setki tysięcy dokumentów zawierających tysiące nazwisk płatnych współpracowników wywiadu USA na całym świecie.

– To prawda – przyznała Adara. – Rosjanie chcieliby się dostać do materiałów, które ma Ross, a zabicie kilku Wenezuelczyków dla zdobycia tak ważnych informacji nie stanowiłoby dla nich większego problemu.

Dom jeszcze dwukrotnie przypomniał Adarze, aby została w hotelu nad przystanią. Sherman paliła się do działania, lecz Caruso nawet nie wiedział, co robi, a nie chciał jeszcze w dodatku być obciążony pilnowaniem swojej towarzyszk.

Wyteżając wzrok, usiłował wyłowić jakikolwiek ruch przy domku obok basenu, ale nawet lornetka nie pozwoliła mu dostrzec niczego poza ciemnością. Doszedł do wniosku, że zauważy Rosjan dopiero wtedy, gdy w oknach kolonialnego budynku odbiją się błyski wystrzałów z MP7.

Uznał uprowadzenie Rossa przez pół tuzina rosyjskich komandosów niemal za fakt dokonany. Rosjanie musieli zapewnić sobie odwrót i mieli zapewne do dyspozycji czekającą na nich łódź,

a może nawet śmigłowiec lecący w kierunku wenezuelskiej posiadłości. Zdążyliby opuścić wyspę na długo przed pojawieniem się Albrighta i jego ludzi z Zespołu Ratowania Zakładników.

Dom grzmotnął pięścią w ziemię. Jego ciało domagało się wyładowania frustracji, która narastała, kiedy leżał w swojej kryjówce, myśląc, że człowiek odpowiedzialny za śmierć Yacobych wymknie mu się i trafi w ręce przedstawicieli obcego narodu, a ci wykorzystają zdrajcę i jego łup do zrujnowania CIA.

– Nie – szepnął. Nie pozwoli, by tak się stało.

Wiedział na pewno tylko jedno: Ethan Ross w rękach Wenezuelczyków nie jest niczym dobrym, lecz stanie się czymś bez porównania gorszym, jeśli pojma go Rosjanie. Moskiewscy szpiedzy bez wątpienia wyrządząliby Ameryce o wiele poważniejsze szkody.

Dom zrozumiał, że nie byłby w stanie powstrzymać Rosjan, ale mógłby za to zasygnalizować Wenezuelczykom ich obecność. Musiałby wówczas się ujawnić i prawdopodobnie przyjąć na siebie ogień obu stron, lecz wolał, aby Ross pozostał w swoim dotychczasowym towarzystwie.

Ponownie zatelefonował do Adary i zaczął mówić, gdy tylko odebrała:

– Pamiętasz, jak powiedziałem, że nie będę narażał cię na niebezpieczeństwo? – zapytał.

– Czy to ta scena, w której mi mówisz, że kłamałeś?

– Jasne, że nie. To scena, w której ci mówię, że się wtedy pomyliłem.

– Wybaczę ci, jeśli ty wybaczysz mi zignorowanie twoich poleceń. Jestem już na wodzie i płynę do ciebie.

– To dobrze. Zostań w łodzi i czekaj na mnie.

Dom zamilkł na chwilę i zaczął się zastanawiać. Co zrobi, jeśli naprawdę uda mu się schwytać Rossa? Wydawało się to nieprawdopodobne, lecz Dom spodziewał się, że w ciągu najbliższych minut w domu zapanuje niewiarygodny chaos, a perspektywa uprowadzenia Rossa wśród ogólnego zamieszania wydała mu się warta ryzyka.

– Jeśli mi się poszczęści, będziemy mieli gościa – powiedział.

– Rossa? – zapytała zaskoczona Adara. – Więc naprawdę chcesz go dostać?

– Chyba mogę sobie pomarzyć? – odparł Dom, kończąc rozmowę.

Podniósł się, uklęknął i zaczął obmyślać plan działania. Wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia: za chwilę miał rozpocząć walkę, stając po stronie amerykańskiego zdrajcy oraz wrogiej agencji wywiadowczej, która pomogła mu uciec ze Stanów Zjednoczonych.

– Czyste szaleństwo – szepnął Dom, a potem, pochylony, ruszył sprintem przez ciemny trawnik.

Gnając przez otwartą przestrzeń, Dom usłyszał nasilające się szczekanie psów zamkniętych w kojcu, chociaż czworonogi z pewnością nie były w stanie go dostrzec. Dwaj strażnicy na tarasie okalającym piętro skierowali światło latarek na trawnik nad wodą i pomost do cumowania łodzi, lecz nie zauważyli Dominica, który pobiegł bokiem, ku ścianie domu od strony podjazdu. Na tyłach posiadłości rozbłysły światła następnych latarek omiatające okolice basenu i pojazdy. Pokonując kolejne metry, Caruso zastanawiał się, czy strażnicy czuwający na piętrze zdążą wypatrzeć ukrytych Rosjan, zanim ci ruszą do ataku.

Gdy w końcu dobiegł do wielkiego kolonialnego domu, Dominic przycisnął się do jego chłodnej ściany i zaczął torować sobie drogę przez gęste krzewy obsypane kwiatami. Dotarł pod jedno z okien, zajrzał ostrożnie do wnętrza, lecz początkowo widział jedynie ciemność.

Odsunął się na bok, odczekał chwilę i zajrzał ponownie.

Minęło kilka sekund, zanim był w stanie cokolwiek dostrzec. Zdał sobie jednak sprawę, że pomieszczenie było czymś w rodzaju magazynu. Stały w nim stosy ustawionych jeden na drugim stołów bankietowych, widać było także rozmaity sprzęt sportowy, małe bramki do piłki nożnej, zestaw do krykieta i piłki w siatkach zwisających z haków na ścianie.

Drzwi pokoju były zamknięte. Dom spróbował unieść okiennicę, lecz na próżno: nie pozwolił mu na to jej zamek. Pomyślał, że stłucze jedną z otaczających go szybek, ale gdy już miał ją roztrzaskać ręką beretty, zatrzymał się, sięgnął po latarkę i kierując wzrok na sufit przy oknie, oświetlił wnętrze krótkim błyskiem.

Tak, nie mylił się. Zobaczył czujnik zbita szyby. Gdyby strzaskał szkło, w całej posiadłości rozległoby się ogłuszające wycie syren.

Odwrócił się, aby poszukać innego wejścia, ale w tej samej chwili nagły terkot broni maszynowej odbił się echem od ściany tropikalnego lasu i przetoczył się po trawniku. Strzały rozległy się w pobliżu basenu na tyłach posiadłości, a to mogło oznaczać tylko jedno: Rosjanie i Wenezuelczycy rozpoczęli wymianę ognia.

W całym domu rozległo się wycie alarmu. Caruso nie zastanawiał się dłużej. Ponownie stanął przed oknem i uderzył w nie pistoletem. W ciągu kilku sekund odblokował okiennicę, a potem przesunął ją w górę na tyle wysoko, aby móc się wślizgnąć do wnętrza.

Głośny terkot wyrwał Ethana Rossa ze snu wspomaganego alkoholem. Amerykanin zerwał się na równe nogi, bo domyślił się, że to odgłosy strzałów z broni palnej. Nigdy wcześniej nie był jednak świadkiem prawdziwej strzelaniny i zawsze wyobrażał sobie, że słysząc ją jak w telewizji. Wystawił ostrożnie głowę na korytarz, choć był bardziej zaciekawiony niż przestraszony, lecz niemal natychmiast wpadł w popłoch, gdyż cały dom wypełnił się nieznośnym wyciem syren. Ethan

dostrzegł strażnika stojącego pod drzwiami i spoglądającego na półpiętro sąsiadujące z salonem.

– Co się dzieje?! – wrzasnął, lecz mężczyzna nie odpowiedział.

Ethan znał hiszpański na tyle, aby móc ponownie zapytać:

– *Qué pasa?*

– *No sé!* – odkrzyknął strażnik.

Trzymał duży czarny karabin dociśnięty do ramienia i wymachiwał nim, mierząc w stronę schodów prowadzących na parter.

W tej samej chwili pojawił się Mohammed. Wybiegł w samych skarpetkach zza rogu korytarza i zbliżył się do Rossa, nie zwracając najmniejszej uwagi na Giannę Bertoli, która zdążyła tylko zarzucić szlafrok na ramiona i wyjść ze swego pokoju.

Ethan zauważył, że Mohammed zabrał ze sobą komputer i telefon komórkowy, choć nie zadał sobie trudu, aby włożyć buty.

– Amerykanie! – krzyknął Mohammed. – Musimy uciekać!

Ethan odwrócił się i wbiegł do swojego pokoju. Chciał zatrzaskać za sobą drzwi, lecz przeszkodził mu w tym Mohammed, który wdarł się do środka.

– Bierz dysk! – rozkazał Ethanowi. – Masz go?!

Ethan zerknął na swój laptop. Mohammed wychwycił jego spojrzenie i zapytał:

– Jest w komputerze?

Ethan nie odpowiedział. Wciąż ukrywał dysk na biodrze, do którego przymocował go taśmą klejącą. Mimo to szybko chwycił komputer i wsunął go do plecaka, a plecak zawiesił na ramieniu.

Kiedy dotarli biegiem na półpiętro, Ethan ujrzał szefa ochrony Leo przybyłego w towarzystwie dwóch strażników. Wąsacz miał na sobie tylko sportową bluzę i bawełniane spodnie, ale nie zapomniał o pistolecie maszynowym i radiotelefonie.

– Szybko! Za mną! – zakomenderował. – Mam człowieka w ciężarówce koło psiej klatki. Amerykanie myślą, że będziemy chcieli wsiąść do fordów po drugiej stronie domu. Musimy się pośpieszyć.

– Ilu nas atakuje? – zapytał Mohammed.

– Nie wiem! – odkrzyknął Leo i wysunął się na czoło, aby poprowadzić grupę.

Zeszli tylną klatką schodową na parter i dotarli do długiego korytarza ciągnącego się przez cały dom. Leo skręcił w lewo, a pozostali poszli w jego ślady, lecz gdy tylko znaleźli się na wysokości drzwi prowadzących do salonu, jego ciemne wnętrze wypełniło się nagle hukami i błyskami strzałów z broni automatycznej. Jeden z wenezuelskich strażników skulił się i upadł martwy na drewnianą podłogę, a mijający drzwi Leo i jego pozostali dwaj ludzie odpowiedzieli seriami z karabinów, po czym umknęli z linii ognia.

Mohammed i Gianna kroczący przed Ethanem zdążyli minąć strefę śmierci, Ross natomiast zawahał się. Został sam pomiędzy schodami a drzwiami salonu, ponieważ bał się ruszyć do przodu i dołączyć do innych. W końcu zignorował krzyki ponaglącego go Mohammeda, odwrócił się i ruszył biegiem w przeciwnym kierunku.

Strzały za jego plecami przybrały na sile.

Minąwszy narożnik korytarza, Ross wpadł do kuchni oświetlonej rzędem słabych lampek zamontowanych pod półkami nad długim blatem, i ujrzał postać stojącą na środku pomieszczenia.

Był to biały mężczyzna w mokrym brązowym ubraniu. Miał rozczochraną brodę i podwinięte rękawy, a jego ramiona były pokryte grubą warstwą błota. Nieznajomy trzymał pistolet wymierzony prosto w Ethana.

Ross zatrzymał się i natychmiast podniósł rękę.

Był zbyt przestraszony, aby się odezwać, a za jego plecami, na drugim końcu korytarza, wciąż padały strzały z broni automatycznej.

– Masz pliki? – zapytał nieznajomy.

– Ja... Ja...

Mężczyzna odciągnął kurek pistoletu.

– Drugi raz nie zapytam – warknął.

– Mam!

– Idziesz ze mną.

– Kim... Kim ty... Nie!

Mężczyzna uniósł nagle broń i wystrzelił. Ethan wrzasnął i upadł na podłogę, wciąż trzymając rękę nad głową. W tej samej chwili w drzwiach kuchni pojawił się wenezuelski agent wywiadu z karabinem M3 przyciśniętym do ramienia, ale Amerykanin w brązowej koszulce natychmiast powalił go celnym strzałem.

Do kuchni wpadł drugi Wenezuelczyk, który otworzył ogień już w wejściu. Ethan, leżący na boku i skulony jak embrion, krzyczał wniebogłosy, lecz nie zamykał oczu. Zobaczył uciekającego Amerykanina, za którego plecami pojawiały się jeden za drugim otwory po pociskach dziurawiących kolejno kuchenkę, lodówkę i opiekacz. Amerykanin rzucił się szczupakiem przed siebie, a potem, nie wypuszczając pistoletu z dłoni, wykonał pełny przewrót i zniknął w drzwiach prowadzących do jadalni.

– Ethan! – usłyszał za plecami Ross.

Odwrócił się. Zobaczył Mohammeda, który przykucnął w drzwiach obok Wenezuelczyka z karabinem i gestem wyciągniętej ręki zachęcał Rossa do wyczołgania się z kuchni.

– Rusz się! – ponaglił go Mohammed.

Amerykanin w brązowej koszulce wyrwał na ułamek sekundy z jadalni, lecz Wenezuelczyk pociągnął za spust. Amerykanin odpowiedział mu kilkoma strzałami z pistoletu i ponownie schował się za ścianą.

Ethan spojrzał na Wenezuelczyka, który oberwał w lewą goleń, tuż pod kolanem, upuścił karabin i leżał na podłodze, trzymając się za nogę.

Mohammed błyskawicznie rzucił się na broń strażnika, uniósł ją, a potem posłał kilka pocisków w drzwi jadalni. Pomimo wszechobecnego chaosu Ethana zadziwiło zachowanie niepozornego libańskiego komputerowca, który doskonale wiedział, jak posłużyć się karabinem.

– Ethan! Chodź! – krzyknął Mohammed.

Ross podniósł się i wypełzł na czworakach z pogrążonej w półmroku kuchni, a potem zerwał się na równe nogi i pognął przez salon.

Mohammed dogonił go w połowie drogi, krzycząc:

– Nie! Nie tędy! Biegniesz prosto na resztę Amerykanów!

Właśnie w tym momencie na tyłach domu rozległy się następne strzały, którym towarzyszyły

krzyki mężczyzn oraz odgłos pękających szyb.

– Uciekaj! – rozkazał Mohammed.

Ethan zdał sobie sprawę, że wykonuje wszystkie polecenia Libańczyka. Pobiegli przez salon, w którym jeszcze przed minutą trwała zażarta walka, lecz teraz strzelaninę słychać było na piętrze. Biegący Ethan potknął się o ciało martwego mężczyzny, runął na podłogę i znieruchomiał. Był wyczerpany i sparaliżowany strachem.

– Wstawaj! – krzyknął zniecierpliwiony Mohammed.

Pomógł Ethanowi wstać, a potem popchnął go w stronę wyjścia.

W bibliotece na tyłach domu znaleźli uszkodzone okno. Mohammed oczyścił je lufą karabinu z resztek szkła i wyślizgnął się z budynku, a Ethan poszedł w jego ślady. Mężczyźni, osłonięci żywopłotem otaczającym dom, znaleźli się w pobliżu basenu. Mohammed zatrzymał się i zaczął uważnie badać otoczenie, wypatrując jakiegokolwiek ruchu.

W tej samej chwili w drzwiach wychodzących na basen pojawili się Gianna i Leo. Wenezuelczyk był ranny; krew spływająca z przestrzelonego barku przemoczyła mu ubranie aż po końce nogawek i nawet w przytłumionym świetle dekoracyjnych lampek rozmieszczonych dookoła basenu Ethan dostrzegł, że twarz szefa ochrony stała się kredowobiała.

Leo ślaniał się za plecami swoich gości: kurczowo ścisnął krótkofalówkę i wzywał członków przybocznej gwardii.

Żaden z nich nie odpowiadał, zapewne dlatego, że na piętrze wciąż trwała ostra wymiana strzałów.

Leo ruszył w stronę fordów zaparkowanych na podjeździe, lecz w pewnej chwili się odwrócił, uniósł wysoko niewielki pistolet maszynowy i nie przestając nawoływać przez krótkofalówkę, zaczął wypatrywać zagrożeń na tarasie.

Gianna, Mohammed oraz Ethan dołączyli do Wenezuelczyka.

– Fordy! Masz kluczyki?! – krzyknął Ethan.

– Wsiadajcie do czarnego! – odparł Leo.

W ciemności obydwie samochody wydawały się czarne, lecz Ethan podszedł bliżej i dostrzegł ciemnozieloną karoserię jednego z pojazdów. Szybko wgramolił się na tylne siedzenie czarnego forda. Gianna usiadła obok, Mohammed wskoczył na przedni fotel pasażera, a Leo zasiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

Ruszyli z poślizgiem błotnistą drogą i po chwili znaleźli się w lesie.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Ethan i obejrzał się za siebie, aby sprawdzić, czy nikt nie podążył za nimi w pościg.

– Możemy się dostać do przystani po wschodniej stronie wyspy – odpowiedział z wysiłkiem Leo. – Mamy tam łodzie, a panamska policja udzieli nam wsparcia, gdy wypłyniemy. – Zakasłał. – Siedźcie już cicho.

Ethan był tak roztrzęsiony, że mógłby zaakceptować każdy plan ucieczki. Dziwił się zarazem, że udało im się umknąć Amerykanom. Miał rozdygotane ręce, ale nie potrafił opanować ich drżenia.

Nie uszło to uwagi Gianny. Zapewne próbowała właśnie uporać się z przestachem, lecz mimo to objęła Ethana, aby dodać mu otuchy.

Czterej komandosi morskiego specnazu wybiegli na dwór przez zewnętrzne drzwi wychodzące na basen i pognali na złamanie karku w stronę czarnego forda. Gdy chwilę wcześniej tłumili resztki oporu na piętrze, jeden z nich zauważył majaczące w głębi trawnika tylne światła SUV-a, który miał za moment zniknąć w lesie. Rosyjski porucznik natychmiast podjął decyzję: kazał swoim ludziom przerwać walkę i ruszyć w pościg.

Rosjanie stracili dwóch komandosów. Pierwszy zginął w patio na tyłach domu, gdy próbował poradzić sobie z zamkiem okna, aby móc niepostrzeżenie wślizgnąć się do środka. Jeden ze strażników kręcących się po domu zauważył jego ruchy i otworzył ogień. Strzały wywabily na otwartą przestrzeń pozostałych Rosjan, którzy przebili się do wnętrza, a potem zastrzelili kilku Wenezuelczyków, lecz ich akcja zaczęła się przeciągać i próba uprowadzenia Amerykanina zakończyła się niepowodzeniem.

Drugi z komandosów pożegnał się z życiem w wejściu do długiego korytarza na parterze. Wenezuelczycy stawili Rosjanom zaskakująco silny opór, więc kiedy czterej rosyjscy żołnierze biegli do czarnego samochodu zaparkowanego pod domem, porucznik pomyślał z przerażeniem, że kontrola nad operacją wymyka mu się z rąk.

Planując tę akcję, poprosił o helikoptery i obstawał przy swoim tak długo, że on i jego ludzie w końcu wdrapali się ze spadochronami na pokład cenny caravan. Była to jednak operacja Federalnej Służby Bezpieczeństwa, która zażądała wywiezienia Rossa łodzią czekającą na wschodnim skraju wyspy. Federalni orzekli, że śmigłowce za bardzo rzucałyby się w oczy i wszelkie znaki wskazywałyby, że nie lecą nimi Amerykanie, a akcję zaplanowano tak, aby w każdej chwili można było zaprzeczyć, iż Rosjanie mieli z nią coś wspólnego. Porucznik zasugerował wykorzystanie nikaraguańskich maszyn, lecz doczekał się tylko kolejnego tłumaczenia. Ludzie ze Służby Bezpieczeństwa cierpliwie próbowali go przekonać, że nawet wtedy świat nie uwierzy w bajkę o Amerykanach, którzy postanowili wylądować w Panamie i wywieźć z niej nielojalnego pracownika swojego rządu. Cierpliwość decydentów z FSB miała jednak swoje granice: dowódca komandosów usłyszał w końcu, że powinien przestać się martwić przełożonymi i zacząć myśleć o tym, jak misja zakończy się dla niego samego.

Porucznik dał nura na przedni fotel ciemnozielonego forda, a jeden z jego ludzi wskoczył za kierownicę. Komandosi nie martwili się o kluczyki; aby uruchomić silnik, wystarczyło tylko połączyć dwa przewody wyrwane ze stacyjki. Na szczęście dla dowódcy Ross i jego świta odjechali takim samym samochodem, co dało Rosjanom szansę na ich dogonienie. Samochód wyrzucił spod kół fontanny błota, kamieni i wody, ruszył ostro z miejsca i pomknął w tym samym kierunku, w którym chwilę wcześniej wyruszyła grupa uwożąca Amerykanina.

Dominic Caruso wybiegł przed dom, celując z pistoletu na przemian w lewo i w prawo, w górę i w dół.

Zobaczył w oddali forda expedition znikającego wśród drzew. Uniósł broń i wymierzył w jego stronę, lecz nie zdążył pociągnąć za spust, ponieważ usłyszał za plecami:

– *Alto! Stop!*

Dom zatrzymał się, uniósł ręce i upuścił pistolet w błoto. Obrócił się powoli i zobaczył idącego szybko od strony patio wenezuelskiego strażnika z uniesionym karabinem G3. Mężczyzna coś

wykrzykiwał, zapewne wydawał polecenia, lecz Dom nie rozumiał ani słowa. Strażnik był sam, ale nieco bardziej zdenerwowany, niż Dom by sobie tego życzył – zwłaszcza że tamten trzymał palec na spuście i celował prosto w jego głowę.

Wenezuelczyk machnął bronią w lewo. Dom zrozumiał, że polecił mu w ten sposób wrócić do budynku. Nie opuszczając rąk, odwrócił się i ruszył w stronę wejścia.

Idący za nim strażnik celował w jego plecy.

Dom pokonał kilka schodków wiodących do wejścia, po czym nieznacznie zwolnił. Miał nadzieję, że idący za nim mężczyzna nie zmieni tempa marszu i dotknie jego pleców lufą karabinu, lecz tak się nie stało. Na szczęście Wenezuelczyk coś powiedział, a Caruso ustalił na podstawie głosu położenie mężczyzny oraz jego broni.

Odwrócił się błyskawicznie i silnym uderzeniem prawej ręki skierował lufę karabinu w bok. Trawnik utonął w błyskach i ogłuszającym huku wystrzałów. Dom rzucił się na strażnika, trafił go pięścią w podbródek. Mężczyzna przekoziółkował po schodach i wylądował na ziemi. Dom sięgnął po karabin, lecz w tej samej chwili zorientował się, że jego przeciwnik upadł na zabłoconą berettę.

Uniósł G3 najszybciej jak potrafił i wymierzył w pierś Wenezuelczyka, który zdążył podnieść się na kolana i położyć dłoń na pistolecie. Pociągnął za spust.

Karabin odpowiedział cichym pstryknięciem.

Oczy strażnika rozszerzyły się. Mężczyzna błyskawicznie chwycił pistolet i wycelował w twarz Amerykanina. Stojąc niecałe pięć metrów od niego, nie mógł chybić.

Caruso zamknął oczy w tej samej chwili, w której echo wystrzału odbiło się od ściany kolonialnego domu za jego plecami.

Dominic otworzył oczy, słysząc głuchy odgłos ciała upadającego na podjazd pokryty błotem i kamieniami.

Wenezuelczyk już nie żył. Nie zdążył nawet upuścić beretty, która dyndała na palcu wskazującym jego bezwładnej ręki.

Caruso odwrócił się i spojrzał przed siebie. Na trawniku, tuż nad wodą, stała Adara Sherman. Wciąż trzymała M16 przy ramieniu, nie spuszczać wzroku z muszki. Ukryła jasne włosy pod czarną włóczkową czapką i włożyła czarną kurtkę przeciwdeszczową zapinaną na zamek błyskawiczny, ale dresowe spodnie z napisem „Virginia” zdradzały jej tożsamość.

Adara opuściła broń i podeszła do Doma, który poczuł słabość w kolanach. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak niewiele brakowało, aby jakiś rządowy cyngiel z Ameryki Środkowej przyłożył pieczętkę do jego przepustki na tamten świat.

Caruso wyteżył wszystkie siły, aby nie upaść. Odrzucił karabin z pustym magazynkiem, a potem wyjął berettę z dłoni martwego mężczyzny. Adara oświetliła Dominica latarką.

– Jesteś ranny! – orzekła.

Dom szybko omiół wzrokiem swoje ciało, równocześnie obmacując pierś i ramiona.

– Gdzie? – zapytał.

– Twoje plecy...

Caruso sięgnął za siebie i przejechał wolną ręką po koszulce. Odetchnął z ulgą i stwierdził:

– Ptak mnie obesrał.

– To wygląda jak krew...

– Pewnie nażarł się jakichś jagód.

– Aha, okej.

Dominic wsunął pistolet za pasek, Adara natomiast, trzymając karabin gotowy do strzału, lustrowała front domu, wypatrując zagrożenia. Wewnątrz panowała jednak niezmacona cisza i w budynku nie było już zapewne żywej duszy.

– Kilkaset metrów stąd na wschód mamy łódź – oznajmiła Adara. – Zostawiłam ją przy małej plaży. Dojdziemy tam leśną ścieżką. W drogę!

– Nie mogę teraz wrócić – zaoponował Dominic. – Muszę ruszać dalej.

– Naprawdę? – zapytała Adara, nie przerywając obserwacji.

– Rosjanie ruszyli w pościg za Rossem. Nie mogę pozwolić, aby przejęli pliki i hasło.

– Okej. To twoja operacja. Prowadź.

– Potrzebujemy samochodu.

– Koło psiej klatki stoi ciężarówka z włączonym silnikiem i nieboszczykiem za kierownicą.

– Świetnie. Leć po nią i podjedź tu, a ja poszukam w domu jakiejś broni.

Adara odwróciła się i zniknęła za domem.

Ethan Ross bez przerwy spoglądał przez tylną szybę forda, lecz pomimo pierwszej poświaty rozjaśniającej niebo nie potrafił dostrzec niczego poza gęstym sklepieniem tropikalnego lasu. Droga, choć wąska i błotnista, była w dobrym stanie, a mruczenie potężnego silnika V8 upewniało trójkę pasażerów SUV-a, że zostawili niebezpieczeństwo daleko za sobą.

Mohammed rozmawiał przez telefon. Starał się mówić półszepem, lecz Ethan wątpił, by ktokolwiek z obecnych znał arabski. Zamknął na chwilę oczy, próbując ze wszystkich sił skupić się i wyłowić poszczególne słowa. Nie mówił wprawdzie płynnie po arabsku, ale spędził trochę czasu na Bliskim Wschodzie i nauczył się niektórych wyrazów i zdań. Słuchając Mohammeda mówiącego szybko i cicho, Ethan musiał jednak dać za wygraną.

Mohammed nagle zaczął krzyczeć, lecz nie do telefonu, jak pomyślał w pierwszej chwili Ethan, ale do Leo.

Ethan pochylił się do przodu i natychmiast zrozumiał wzburzenie młodego Libańczyka.

Leo miał zamknięte oczy, jego głowa opadła, a ręce zsunęły się z kierownicy na kolana. Jego pierś poruszała się krótkim, urywanym oddechem, a on charczał i wyglądał na nieprzytomnego.

– Kurwa! – wrzasnął Ethan. – Łap kółko!

Mohammed upuścił telefon. Chwycił kierownicę, lecz nie nacisnął pedału hamulca, ponieważ nie był w stanie przełożyć nogi przez wysoką konsolę oddzielającą fotele. Spojrzał przed siebie, po czym, kierując tylko lewą ręką, podał Ethanowi karabin M3.

– Trzymaj! – krzyknął. – Naciśnij nim hamulec! Szybko!

Ethan natychmiast posłuchał. Wcisnął się do połowy między oparcia i wsunął M3 między nogi Leo. W końcu, po kilku nieudanych próbach, wymacał końcem lufy właściwy pedał i popchnął karabin do przodu.

Samochód wpadł w poślizg, lecz po krótkiej chwili zatrzymał się pośrodku gruntowej drogi, tuż przed ostrym zakretem w prawo.

Mohammed ustawił dźwignię automatycznej skrzyni biegów w pozycji parkowania. Wysiadł, przeszedł na drugą stronę forda, otworzył drzwi od strony kierowcy, a potem wywłókł Wenezuelczyka zza kierownicy i pozwolił, by jego bezwładne ciało osunęło się w błoto. Leo uderzył w ziemię, jęknął, lecz się nie poruszył.

Mohammed zasiadł za kierownicą, jak gdyby nic się nie stało. Gianna i Ethan wiedzieli, że mężczyzna jeszcze żyje, lecz żadne z nich nie powiedziało Libańczykowi, co myśli o pozostawieniu wykrwawiającego się człowieka na leśnej drodze. W takiej chwili bardziej martwili się swoją trudną sytuacją.

Ethan, wciąż z karabinem w rękach, usiadł na przednim miejscu dla pasażera.

Mohammed znalazł swój telefon i wrócił do przerwanej rozmowy. Znowu mówił po arabsku, a do tego równie cicho jak wcześniej.

– Nie możemy tu zostać! – krzyknął do niego Ethan. – Którędy pojedziemy? Nawet nie wiemy, dokąd wiózł nas Leo. Amerykanie mogą być tuż za nami!

Mohammed spojrzał na Amerykanina i polecił:

– Sprawdź, czy w schowku jest mapa.

Po chwili w rękach Ethana pojawił się sfatygowany arkusz przedstawiający cały archipelag. Wyspa Bastimentos poprzecinana była odręcznie nakreślonymi liniami, którymi ktoś zaznaczył drogi. Mohammed ujął mapę i zaczął ją uważnie studiować.

– Pospiesz się! – krzyknął Ethan.

Obejrzał się za siebie, bo był pewien, że Amerykanie doganiają ich w błyskawicznym tempie.

Było już dość jasno, gdy Dom wskoczył za kierownicę dużej, starej rolniczej ciężarówki z platformą. Adara zajęła miejsce dla pasażera i ustawiła karabin między kolanami.

Dom przesunął dźwignię. Stara skrzynia biegów zazgrzytała i od razu było wiadomo, że ciężarówka została stworzona do wożenia ciężkich ładunków po wyspie i pościgi za innymi pojazdami na pewno nie były jej specjalnością.

Adara natychmiast dostrzegła pełną dezaprobaty minę Ethana.

– Salon Maserati był akurat zamknięty – oświadczyła z przekąsem. – Nie udało mi się znaleźć niczego lepszego.

– Rosjanie jadą SUV-em z napędem na cztery koła – odparł Dom. – Na pewno dogonią Rossa.

Adara sięgnęła do kieszeni kurtki.

– Zabrałam kilka wydruków map wyspy z EagleView. Może uda nam się przewidzieć, dokąd jadą, i znaleźć jakiś skrót.

Dom powoli przestawał wierzyć, że uda im się przeszkodzić Rosjanom w schwytaniu Rossa, a jego plan przejścia amerykańskiego zdrajcy wydał mu się odległą mrzonką.

– Skrót? – zapytał. – To coś nie potrafi pływać ani latać, więc nie będzie żadnego skrót.

– Może masz rację. Ale jest też dobra wiadomość: droga biegnie prosto przez jakieś osiem kilometrów od tego miejsca. Później w dalszym ciągu prowadzi na zachód, ale wcześniej ma odgałęzienie w kierunku południowym. Musimy tylko zbliżyć się do nich na tyle, żeby zobaczyć, dokąd pojadą. Mogą być najwyżej dwa i pół kilometra przed nami.

– Nie złapiemy ich przed zakrętem. Będziemy musieli zgadywać, w którą stronę pojechali.

Adara przyjrzała się uważniej zdjęciu satelitarnemu.

– Chwileczkę – powiedziała. – Mamy przed sobą groblę. Powinna być sucha, płaska i wystarczająco mocna dla tej ciężarówki. Wychodzi na drogę tam, gdzie kończą się zakręty. Jeśli się zdecydujemy i nie utknemy, będziemy mogli zyskać trochę czasu.

Dom zastanowił się i orzekł:

– Chyba nie mamy wyboru, więc zaryzykujemy. Prowadź.

Mohammed złożył mapę, wsunął ją pod udo, wrzucił bieg i ruszył, trzymając telefon przy uchu. Ledwie zdążyli ruszyć, gdy kabinę explorera zaalało światło reflektorów samochodu, który pojawił się za ich plecami.

– Amerykanie! – krzyknęła Gianna.

Mohammed wcisnął pedał gazu do oporu. Explorer zaczął błyskawicznie nabierać prędkości.

Pojazd z tyłu, od którego dzieliło ich nie więcej niż dwieście metrów, zbliżał się bardzo szybko.

Dom nie mógł otrząsnąć się ze zdziwienia: udało im się znaleźć po ciemku początek grobli i bez

większych przeszkód dotrzeć na jej koniec. Ciężarówka, której koła znajdowały się od czasu do czasu zbyt blisko rozmiętego brzegu, ustępującego pod naciskiem, dwukrotnie nieomal ześlizgnęła się z nasypu i niewiele brakowało, aby utknęła w lesie na dobre.

Gdy wyjeżdżali na główną drogę, Dom wyłączył reflektory i natychmiast zauważył migające co chwila światła stopu samochodu, który poruszał się najwyżej sto metrów przed ciężarówką.

– To muszą być Rosjanie – powiedział. – Nie ma mowy, żebyśmy trafili między dwa SUV-y.

Adara zerknęła za siebie, ale droga z tyłu była pusta. Z minuty na minutę robiło się coraz jaśniej, lecz poranek wśród gęstej roślinności był jeszcze o wiele za wczesny, aby można było rozpoznać ciemny samochód bez świateł. Po minucie ciężarówka dotarła na bezdrzewne wzgórze. Adara wystawiła głowę za okno, aby dokładniej przyjrzeć się drodze. Udało jej się zobaczyć na ułamek sekundy forda expedition, który za chwilę zniknął jej z oczu.

– Nikogo – powiedziała. – Ci przed nami to Rosjanie. Nie wiem, gdzie teraz jest Ross, ale nie mógł zajechać za daleko.

Właśnie wtedy jadący przed nimi ford skręcił ostro w prawo i odbił na południe.

– Skoro wiedzieli, że będą musieli tam skręcić, to na pewno mają Rossa w zasięgu wzroku – stwierdziła Adara.

Zniecierpliwiony Caruso grzmotnął ręką w kierownicę.

– Rosjanie go dorwą – powiedział. – A potem ulotnią się z wyspy, helikopterem albo łodzią, i szukaj wiatru w polu.

– Mogę spróbować przestrzelić im opony – zaproponowała Adara.

Dom zerknął na swoją towarzyszkę i zapytał:

– Poradzisz sobie w tym świetle i celując z takiej odległości podczas jazdy?

– Prawdopodobnie nie. A ty?

– Nie – odrzekł Dom i westchnął. – Masz jeszcze jakieś groble na mapie?

– Ani jednej. Droga biegnie stąd prosto na południe przez prawie dwa kilometry, a potem zaczyna się masa zakrętów między wzgórzami.

Dom wcisnął pedał gazu do oporu, chciał wykorzystać lekki spadek prostego odcinka drogi. Pozwoliło mu to zbliżyć się do Rosjan, którzy mieli już tylko siedemdziesiąt metrów przewagi. Nic nie wskazywało na to, że zauważyli pędzącą za nimi ciężarówkę, byli więc zapewne, jak pomyślał Dom, całkowicie pochłonięci własnym pościgiem.

– Doganiasz ich! – odezwała się Adara.

– Tylko w tym miejscu. Nie zdążymy ich dojść przed zakrętami, a do tego mają szybszy samochód.

– Nie na zakrętach.

Dom obrzucił Adarę szybkim spojrzeniem i ponownie zaczął wpatrywać się w drogę.

– Co masz na myśli? – zapytał. – Oni mogą pokonywać zakręty dwa razy szybciej niż my i nie muszą zmieniać biegów.

– Nie będziesz musiał ich zmieniać, jeśli przestaniemy się przejmować zakrętami.

Dom zerknął na prędkościomierz. Wskazówka pokazywała osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i był to absolutny szczyt możliwości ich ciężarówki.

– Jeśli masz jakiś pomysł, to mów – powiedział.

– Niecały kilometr stąd jest ostry zakręt przed wzgórzem, wcześniej nie ma miejsca, w którym da się skręcić.

– Więc?

– Będą musieli zwolnić prawie do zera, żeby wejść w ten zakręt. Bez dwóch zdań. Ale my pojedziemy, ile fabryka dała. Złapiemy ich.

– Ale... Jak się zatrzymamy? – zapytał Dom, lecz w tej samej chwili pomyślał, że chyba już zna odpowiedź.

– Zatrzymamy się, kiedy w nich uderzymy. Na zakręcie wjedziemy w ich prawy bok i zepchniemy ich z drogi.

– Jasna cholera... – wymamrotał Dom. – Co jest po drugiej stronie drogi na zakręcie?

– Las. Cała ta wyspa jest jednym wielkim lasem.

– Wiem. Chcę tylko wiedzieć, co nam grozi, jeśli nie wceluję w SUV-a. Pokoziołkujemy w dół?

Adara rzuciła okiem na wydruk i odparła:

– Trudno to ocenić na podstawie zdjęcia.

Dom westchnął.

– Naprawdę się postaraj, Sherman – poprosił. – Tak, jakby od tego zależało nasze życie.

Adara powtórnie spojrzała na zadrukowany arkusz.

– Nie widzę tu żadnego urwiska czy czegoś w tym rodzaju – stwierdziła. – Wszędzie jest las, być może jednak teren stopniowo się obniża.

– Jeśli źle obliczę czas, polecimy sto na godzinę i wpadniemy prosto między drzewa.

– Więc oblicz jak należy.

Dom wzruszył ramionami i powiedział:

– Okej. Zróbmy to.

Sherman schyliła się i mocno dociągnęła pas bezpieczeństwa Doma, a potem zrobiła to samo ze swoim.

– Jak już się zderzymy, będziemy musieli wysiąść i zastrzelić tych gości.

– Wiem – odparła Adara. – Ile masz amunicji?

– Wziąłem MP7 martwego Rosjanina. To trzydzieści nabo. I jeszcze kilka w beretcie.

Adara posłała ze swojego M16 tylko jeden pocisk. Wiedziała więc, że będzie mogła wystrzelić jeszcze dwadzieścia dziewięć razy.

– Może nawet zabraknie nam amunicji, ale przynajmniej nie będziemy musieli zawracać sobie głowy szukaniem pełnych magazynków – stwierdziła.

Dom zachichotał pomimo napięcia wywołanego wpatrywaniem się w drogę.

– Ale z nas szczęściarze – skwitował.

Czterej rosyjscy komandosi ze specnazu jadący drugim fordem przygotowali broń. Znajdowali się zaledwie w odległości trzydziestu metrów za Ethanem Rossem i jego opiekunami. Żołnierz siedzący za kierownicą powiedział porucznikowi, że będzie mógł wyprzedzić uciekinierów na którymś z najbliższych zakrętów. Czarny ford przed nimi wszedł ostro w zakręt, mocno zarzucając tyłem na błotnistej drodze skręcającej gwałtownie na zachód, więc Rosjanin zwolnił. Wiedział, że nie będzie już musiał się spieszyć.

Jeden z dwóch mężczyzn na tylnym siedzeniu krzyknął nagle:

– Samochód za nami!

On i jego sąsiad odwrócili się i unieśli broń, celując przez tylną szybę w pędzącą za nimi ciężarówkę. Ciemnozielony ford expedition zaczął skręcać w prawo, a kiedy już znalazł się na ostrym łuku, mężczyźni posłali do tyłu serie pocisków, które strzaskały szkło na drobniutkie kawałki.

– Nie zwalnia! – krzyknął któryś z komandosów.

– Uwaga! – wrzasnął inny w chwili, gdy wielka ciemna ciężarówka uderzyła z ogromną siłą w bok forda.

Wgnieciony SUV obrócił się, grzmotnął przodem w platformę, a potem potoczył się tyłem w leśną gęstwinę. Potężne uderzenie ostro szarpnęło ciężarówką i sprawiło, że jej przednie koła zsunęły się z drogi. Wielki rozpędzony pojazd wbił się w las, mijając zaledwie o metr SUV-a, którym jechali Rosjanie.

Ethan usiłował nie spuszczać oka ze ścigającego ich samochodu, lecz mimo to odwrócił się na chwilę. Właśnie wtedy reflektory, które do tej pory go raziły, zaświeciły nagle w prawo. Gdy obejrzał się ponownie, Ethan dostrzegł fontannę błota i liści wyrzuconych w powietrze na zakręcie. Wyglądało to tak, jak gdyby tropikalny las połknął samochód wiozący Amerykanów.

– Rozbili się! – krzyknął Ross. – Amerykanie właśnie rozbili się na zakręcie!

Zszokowana Bertoli spojrzała do tyłu, zasłaniając dłońmi usta.

Mohammed obrócił kierownicę w lewo, wchodząc w następny zakręt. Próbował przyjrzeć się drodze z tyłu, lecz niczego nie zobaczył.

– Dobrze, bardzo dobrze – powiedział i wrócił do przerwanej rozmowy telefonicznej.

Ponownie zaczął mówić po arabsku.

Było prawie zupełnie ciemno. Powietrze w kabinie ciężarówki, która wbiła się między drzewa, pachniało płynem z chłodnicy i tropikalnym lasem. Zmiażdżona maska wozu zatrzymała się dopiero na wysokości przedniej szyby i strzaskała ją, zasypując kabinę tysiącami szklanych odłamków. Dominic poczuł lepka wilgoć na twarzy, od linii włosów aż po szyję.

Nie tracąc czasu na sprawdzanie czegoś, co wziął za ranę na głowie, spojrzał w prawo, aby się upewnić, że Adara jest cała, lecz nie mógł jej dostrzec. Miał przed oczyma jedynie liście oraz połamane gałęzie bujnego figowca, które wdarły się do kabiny przez otwór po wybitej przedniej szybie. Wsunął rękę w zbitą zieloną masę i zaczął szukać po omacku, aż w końcu dotknął lewego ramienia swojej towarzyszki.

Ucieszył się, czując jego ruchy. Adara odpinała właśnie pas bezpieczeństwa.

– Jesteś cała? – zapytał.

Mówiąc to, dotknął swego policzka i natychmiast poczuł ulgę. Wilgoć pochodziła z dużego palmowego liścia, który przykrył mu całą lewą połowę głowy. Dom odsunął go na bok i odpiął swój pas bezpieczeństwa.

Adara nie odpowiadała. Dom sięgnął po niewielki pistolet maszynowy HK MP7 zaklinowany między siedziskiem a drzwiami, po czym zaczął torować sobie drogę do sąsiedniego fotela. Półmrok i zbite listowie nie ułatwiały mu tego zadania. Zanim jednak zdążył odezwać się do Adary po raz wtóry, usłyszał jej głośny okrzyk.

– Kontakt po prawej! – zawołała Sherman.

Zacząła strzelać przez okno ze swego M16. Dom nie wahał się ani chwili. Otworzył drzwi po swojej stronie, wydostał się z kabiny i stanął na siedzeniu. Rozglądając się znad dachu ciężarówki, zaczął wpatrywać się w przeraźliwie gęstą roślinność po drugiej stronie. Początkowo niczego nie zauważył, lecz po krótkiej chwili podszycie lasu rozjaśniło się od błysków wystrzałów. Rosjanie

znajdowali się najwyżej piętnaście metrów dalej.

Dom ustawił dźwigienkę bezpiecznika w pozycji „ogień ciągły” i omiótł zarośla krótkimi seriami, krzycząc:

– Wycofaj się! Do mnie!

Opróżnił już ponad pół magazynka, gdy poczuł, że Adara prześlizgnęła się obok jego nóg, a potem wyskoczyła z kabiny i wylądowała na ziemi.

Dom poszedł w jej ślady. Skacząc, zauważył kątem oka, że Adara podniosła karabin, a następnie błyskawicznie skierowała go ku końcowi platformy. Dostrzegł też wśród połamanych i wyrwanych z korzeniami drzew odwracającego się mężczyznę z bronią przy ramieniu.

Adara Sherman pociągnęła za spust, zanim Dom zdążył unieść broń. Krew tryskająca z przestrzelonej czaszki komandosa obryzgała otaczającą go zieleń. Martwy Rosjanin upadł twarzą do ziemi.

Dom chwycił Sherman za ramię i pociągnął ją za sobą. Ruszyli biegiem między drzewa, aby oddalić się od ciężarówki oraz od rosyjskich komandosów, o ile któryś z nich przeżył wymianę ognia. Uciekając, osłaniali się i oddali jeszcze kilka strzałów w stronę rozbitego samochodu.

Po kilku chwilach natknęli się na zardzewiałą budę z blachy falistej. Być może służyła kiedyś za magazyn i należała do gospodarstwa założonego w miejscu, o które później upomniał się tropikalny las. Okrążywszy budę, zatrzymali się na jej tyłach, aby wykorzystać ją jako osłonę.

Przyklękli odwróceniem do siebie plecami. Dom przy jednym narożniku, Adara przy drugim.

– Wszystko w porządku? – zapytała Sherman.

– Tak. A u ciebie?

– Ujdzie. Może tam jeszcze być paru...

Dom wyciągnął rękę za siebie i ścisnął ramię Adary, która natychmiast zamilkła. Usłyszał po swojej stronie szelest wśród drzew. Ktoś szybko zbliżał się w ich kierunku.

Dom wyjął magazynek z rękojeści pistoletu i policzył naboje. Zostały mu tylko trzy. Wsunął magazynek na miejsce i zapytał Adarę szeptem:

– Amunicja?

Usłyszał kilka metalicznych dźwięków i odpowiedź:

– Dwa.

Sięgnął po berettę i podał ją Adarze. Wzięła broń, nie oglądając się za siebie.

– Policz do dziesięciu, a potem wywal cały magazynek w drzewa – powiedział Dom.

– Przyjęłam.

Dom podniósł się, podszedł do narożnika blaszanej budy i rozejrzał się uważnie, lecz zobaczył tylko gęsty tropikalny las. Obszedł zatem narożnik, aby zatrzymać się przy następnym, wychodzącym na południowy wschód. Przystanął, przycisnął broń do ramienia i czekał.

Sherman otworzyła ogień. Dom miał nadzieję, że strzały wypłoszą każdego, kto ukrył się wśród drzew w pobliżu ciężarówki, i sprowokują niewidzialnych przeciwników do takiej samej odpowiedzi. Może, przy odrobinie szczęścia, uda mu się nawet ich zobaczyć?

Wychylił się bardzo ostrożnie i ujrzał ze zdumieniem dwóch mężczyzn, którzy również postanowili wykorzystać małą blaszaną budę jako osłonę. W chwili gdy Sherman opróżniła magazynek beretty, jeden z nich uniósł broń, aby przestrzelić cienką zardzewiałą blachę. Drugi

mężczyzna, stojący cztery metry dalej, ostrożnie obchodził narożnik budy i znajdował się coraz bliżej Adary.

Dom zrozumiał, że Sherman stała się łatwym celem i nie zdawała sobie sprawy z obecności Rosjan, od których dzieliło ją zaledwie kilka kroków. Strzelił zatem do pierwszego z nich w momencie, kiedy ten zaczął dziurawić budę pociskami. Zaskoczony Rosjanin, osłonięty kamizelką kuloodporną, odwrócił się w stronę Caruso. Widząc to, Dom pociągnął za spust jeszcze dwa razy. Ostatni pocisk trafił komandosa w szczękę i natychmiast go uśmiercił, lecz Dom uświadomił sobie, że właśnie skończyła mu się amunicja.

Gdy ostatni z Rosjan skierował pistolet maszynowy w kierunku Caruso, Amerykanin błyskawicznie wskoczył za narożnik blaszanej budy i wylądował twardo na plecach.

– Sherman! Padnij! – krzyknął.

Rosjanin zasypał budę gradem ołowiu, który miał zabić jego przeciwników ukrywających się po drugiej stronie.

Dom czuł pociski dziurawiące starą blachę tuż nad jego głową. Słyszcząc trzask łamiących się dookoła gałęzi, domyślił się, że mężczyzna strzela raz tu, raz tam, próbując trafić także Adarę.

Nie wiedział, co zrobić, ale nagle przypomniał sobie o nożu. Wyciągnął rękę i wyrwał tytanowe ostrze z pochwy na łydce, a gdy Rosjanin przerwał ogień, aby wymienić magazynek, zerwał się na równe nogi. Rzucił się na mężczyznę, który nie zdążył nawet unieść broni, i powalił go na ziemię. Zmagali się przez krótką chwilę, a potem Caruso wbił nóż po samą rękojeść w brzuch Rosjanina, tuż poniżej jego kamizelki kuloodpornej. Walka dobiegła końca.

Leżąc na ciele martwego komandosa, zdyszany Dom krzyknął:

– Adara?! Wszystko w porządku?!

Nie usłyszał odpowiedzi. Podniósł się z trudem, ukląkł, wstał, opierając się o blaszaną ścianę, i zaczął biegać dookoła budy, wołając:

– To ja! Nie strzelaj!

Adara tarzała się po ziemi, młóćąc powietrze rękami i nogami. Jest ranna, ale przynajmniej się rusza, pomyślał Dom.

– Adaro! – odezwał się i przykląkł. – Leż spokojnie! Gdzie oberwałaś?

Sherman nie przestawała się miotać.

– Nigdzie – odpowiedziała. – Było „padnij”, więc cię posłuchałam. I wylądowałam na tym cholernym mrowisku.

Adara wsunęła rękę pod swoją czarną kurtkę, dodając:

– Te małe sukinsyny wlażyły mi pod ubranie.

Caruso poczuł najpierw nieopisaną ulgę, a później nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

Czarny ford expedition zjechał z drogi gruntowej i znalazł się na środku pustej piaszczystej plaży na południowym krańcu wyspy Bastimentos. Zanim Ethan i Gianna zdążyli zadać jakiegokolwiek pytanie, Mohammed zahamował z poślizgiem tuż nad wodą.

– Wsiadajcie! – polecił. – Tylko szybko, proszę!

Ethan spojrział na morze. Na spokojnej wodzie, w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów od granicy piasku i wody, unosił się wodnopłat: biało-niebieski jednosilnikowy de havilland beaver.

Maszyna, której śmigło obracało się dostatecznie szybko, aby wprawić ją w ruch, powoli zbliżała się do brzegu.

– Proszę – powiedział Mohammed. – Musimy się pospieszyć.

– Czyj to samolot? – zapytał Ethan.

Nie doczekał się odpowiedzi. Spojrzał na Bertoli i pojął, że ona też nie miała pojęcia, jak, do diabła, młodemu hakerowi Mohammedowi udało się zdobyć taki środek transportu. Wsiadł jednak z SUV-a i wszedł za Libańczykiem do wody, a gdy zbliżył się do samolotu, naliczył czterech mężczyzn. Jeden z nich siedział za sterami po lewej, inny natomiast – zapewne drugi pilot – po prawej. Trzeci z mężczyzn wyszedł z kabiny i stał na pływaku maszyny, podczas gdy czwarty zeskoczył z pływaka po drugiej stronie do wody sięgającej kolan i uważając na śmigło, ruszył w stronę brzegu.

Mężczyźni na zewnątrz samolotu wyglądali na twardzieli. Mieli oliwkową cerę i krótkie włosy, a ich strój stanowiły bluzy i spodnie w kolorze khaki. Ethan przyjrzał się nieznanym, żeby sprawdzić, czy są uzbrojeni. W innych okolicznościach poczułby się na widok broni nieswojo, lecz właśnie teraz by się ucieszył, gdyby zobaczył ją w rękach ludzi mających uratować go przed Amerykanami, którzy być może znajdowali się o kilka minut drogi od plaży.

Ethan nie dostrzegł wprawdzie broni, lecz mimo to się zastanawiał, czy mężczyźni jej nie ukryli. Wyglądali przecież na ludzi ze służb bezpieczeństwa.

Mimo niezliczonych wątpliwości Ross zdjął plecak i uniósł go nad głowę. Ruszył za Bertoli i Mohammedem, wszedł do wody i pomaszerował do samolotu. Po chwili chwycił rękę śniadego mężczyzny, który najpierw pomógł mu wdrapać się na pływak, a potem bez słowa wskazał mu miejsce w tylnej części ciasnej kabiny.

Po kilku sekundach silnik beavera zaryczał, a samolot zaczął się trząść, jakby miał zaraz się rozpaść na kawałki, lecz szybko nabrał prędkości i po chwili jego sylwetka zamajaczyła na tle jaśniejszego nieba.

Mohammed Mehdi Mobasheri włożył słuchawki i przysunął mikrofon do ust. Siedzący naprzeciwko, tuż za pilotem, Shiraz, dowódca obecnej na pokładzie grupy żołnierzy Sił Ghods, zrobił to samo.

Libańczyk pilnował się, aby mówić po arabsku, na wypadek gdyby Ethan mógł go usłyszeć. Wiedział, że Ross nie opanował tego języka, mimo że specjalnością Amerykanina w Razie Bezpieczeństwa Narodowego był Bliski Wschód.

– Dobra robota – powiedział Mohammed.

– Dziękuję – odrzekł Shiraz. – W San Salvador będzie na nas czekał odrzutowiec. Możemy dolecieć do Teheranu w niecałe dwadzieścia godzin.

Mohammed pokręcił głową.

– Bardzo chciałbym już tam być, ale jeszcze nie skończyliśmy – oświadczył. – Polecimy do Salwadoru, a potem kobieta powie nam, dokąd mamy się udać.

Shiraz popatrzył na Mohammeda ze zdziwieniem i zapytał:

– Dlaczego pozwalasz jej decydować?

– Potrzebujemy danych z dysku. Możemy podać Amerykanina torturom i zmusić go do ujawnienia hasła. Początkowo chciałem wyrzucić tę kobietę z samolotu i skłonić w ten sposób Amerykanina do

odszyfrowania plików, ale jej organizacja jest dla nas przydatna. Wrócimy do Szwajcarii i popracujemy kilka dni nad nim. Przekonamy go, że potrzebujemy informacji, aby móc je skategoryzować lub zredagować, a potem opublikować ich część.

– Nie wiem, szefie – odparł Shiraz. – Bardziej podoba mi się twój pierwszy pomysł. Ta kobieta wszystko komplikuje.

Mohammed skinął głową i rzekł:

– Zgadzam się. Kobiety wykazują skłonność do komplikowania wielu rzeczy. Jeśli Bertoli stanie się dla nas zbyt wielkim problemem, przymusowe pozbawienie Rossa ochrony ze strony International Transparency Project będzie najłatwiejszą częścią całej operacji.

– Będę czekał na ten rozkaz – powiedział Shiraz.

Po starciu z Rosjanami Adara Sherman i Dominic Caruso przedzierali się od kilku minut w stronę drogi. Pokonali już sto metrów i nic nie wskazywało na obecność żywych przeciwników. Musieli jednak zachować ostrożność, ponieważ nie wiedzieli, ilu rosyjskich komandosów jechało zielonym SUV-em. Gdy wyszli na drogę, zatrzymali się jak na komendę, bo nad ich głowami przeleciał wodnopłat: powoli nabierał wysokości.

Dom podniósł pistolet maszynowy MP7 leżący obok jednego z martwych mężczyzn i wycelował w samolot, naprowadzając na jego silnik czerwoną kropkę celownika holograficznego.

Mimo to nie pociągnął za spust.

Zamruczał tylko:

– Jeśli go zestrzelę, to jeszcze się okaże, że nie leciał nim Ross, tylko zakonnice z jakiejś misji. Ale skoro go nie zestrzeliłem... Założyłbym się, że właśnie patrzyliśmy, jak Ethan Ross wymyka nam się z rąk.

Wodnopłat odleciał na północ.

Adara ruszyła przed siebie, wciąż wydłubując mrówki z zakamarków ubrania.

– Myślisz, że to byli Wenezuelczycy? – zapytała.

– Nie wiem – przyznał Dom. – Ale przynajmniej nie byli to Rosjanie.

– Może była jeszcze jakaś inna grupa?

– To całe gówno staje się coraz bardziej skomplikowane – stwierdził Dom. – Nie pozwoliliśmy, aby Ross wpadł w ręce Rosjan, ale z tego co wiemy, ci, którzy go przejęli, są jeszcze gorsi.

– A co wiemy?

Caruso westchnął i odpowiedział:

– Wiemy, że wracamy do domu.

Późnym popołudniem agent specjalny Darren Albright wrócił z Panamy z niczym. Odrzutowiec FBI, którym przyleciał, wylądował na lotnisku w Waszyngtonie i większość ekipy, głównie ludzi z Zespołu Ratowania Zakładników, natychmiast rozjechała się do domów położonych w okolicach Waszyngtonu, a zwłaszcza w Maryland i Wirginii.

Albright natomiast wskoczył do swego służbowego yukona i ruszył do miasta. Zaparkował na zakazie w pobliżu budynku mieszkalnego przy Lincoln Centre, położył parkingową plaketkę FBI za przednią szybą i już po chwili jechał windą na piąte piętro.

Dominic Caruso otworzył drzwi swojego mieszkania. Jeśli nawet zaskoczył go widok Albrighta, to nie dał tego po sobie poznać.

– Szybko wróciłeś – stwierdził. – Wejdz.

Albright podążył za Domem do nieposprzątanego salonu. Zasiadł w skórzanym fotelu, a Caruso klapnął na kanapie.

– Próbowałem się z tobą skontaktować – powiedział Albright.

– Przykro mi, że nie wyszło. Dziś rano posiałem gdzieś swój telefon satelitarny.

– Ty też wróciłeś w try miga.

– Dopiero co wszedłem. Złapałem pierwszy samolot z Bocas, a potem pierwszy z Panama City.

– Jesteś ranny?

– Robale użarły mnie ze sto pięćdziesiąt razy. Czy to się liczy?

– Jeśli wziąć pod uwagę to, co przeszedłeś? Nie bardzo. Widziałem, że próbowałeś się do mnie dodzwonić, zanim Rosjanie zaatakowali kryjówkę Wenezuelczyków.

Dom przytaknął skinieniem głowy i powiedział:

– Spadli z nieba na spadochronach.

– Słyszeliśmy o tym. Panamska policja przesłuchiwała świadków. Wygląda na to, że było tam dziś o świcie niezłe przedstawienie. Byłbym wdzięczny, gdybyś mi opowiedział o tym, co widziałeś.

– Kiedy się tam zjawiliście?

– Byliśmy półtorej godziny drogi od wyspy, kiedy zaczęła się strzelanina, i przybyliśmy na miejsce po panamskiej policji, ale w nic nie ingerowaliśmy. Dowiedzieliśmy się naszymi kanałami dyplomatycznymi, że nie znaleziono tam Amerykanów. Zastanawialiśmy się, czy Ross nie porzucił skradzionych dokumentów, ale...

– Nie porzucił.

Zdziwiony Albright odchylił głowę i zapytał:

– Wiesz coś o tym?

– Tuż przed opuszczeniem domu miał wszystkie materiały przy sobie.

Albright uniósł brwi, więc Caruso natychmiast odpowiedział na pytanie, którego agent nie zdążył

mu zadać:

- Sam mi to powiedział.
- Chwileczkę. Rozmawiałeś z Rossem?
- Krótko. Już go prawie miałem.
- Ale?
- Gówniany pech. Uciekł.
- Nie domyślasz się, dokąd?
- Nie widziałem oznaczeń na wodnopłacie i nie przypuszczam, aby ktoś zawracał sobie głowę wypełnianiem jego planu lotu. Dowiedziałeś się czegoś o samolocie od Panamczyków?

Albright pokręcił tylko przecząco głową. Agent FBI sprawił na Domie wrażenie kogoś, kto znalazł się u kresu wytrzymałości. Od kiedy ponad tydzień wcześniej przydzielono mu tę sprawę, sypiał zapewne najwyżej po trzy godziny na dobę, a teraz wyglądał, jakby utknął w ślepym zaułku.

- Nie – odpowiedział na pytanie Doma.
- I co teraz?

– Ścigam go dalej. Mam zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa z jego nazwiskiem. Paragraf 798 kodeksu Stanów Zjednoczonych. Kradzież mienia rządowego, nieuprawnione przekazywanie informacji dotyczących obrony narodowej oraz umyślne przekazywanie nieupoważnionej osobie informacji o wywiadzie elektronicznym. Ross jest także poszukiwany w związku z czterema zabójstwami. Mógłby trafić na listę dziesięciu najbardziej poszukiwanych osób, ale jestem pewien, że ludzie z CIA będą naciskali, aby nie nadawać sprawie rozgłosu, chociaż Biuro postawi im się z powodu Nolana i Beale'a, naszych ludzi ze specjalnej grupy obserwacyjnej. Ale rozgrywki na bok. Jakkolwiek to wygląda, Ross jest w tej chwili najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Stanach. Twój wuj prezydent mógłby pewnie kazać wysłać drona i zabić tego sukinsyna, ale i tak musielibyśmy najpierw go znaleźć.

Dom bał się odpowiedzi na swoje kolejne pytanie, lecz mimo to zapytał:

- Dlaczego po prostu nie zaproponujecie mu immunitetu, jeśli odda skradzione materiały i wróci do kraju, żeby poddać się śledztwu w sprawie zabójstw?
- Widzę to tak: Ross otrzyma taką propozycję, jeśli będziemy mogli dowieść, że nie przekazał tajnych dokumentów obcemu państwu.
- Na pewno to zrobił. Powiedziałeś mi przecież o aresztowaniach agentów w Wenezueli.
- To mały pikuś w porównaniu w tym, czym dysponuje Ross.
- Czy naprawdę myślisz, że mógłby uzyskać immunitet, gdyby zwrócił wszystkie materiały? – zapytał Dom.

– Jak już kiedyś wspomniałeś, pilnuję prawa i porządku. Chciałbym Rossa osądzić, skazać i podać mu śmiertelny zastrzyk za zamordowanie Nolana i Beale'a, ale takie decyzje podejmują ludzie dużo ważniejsi ode mnie. Niewykluczone, że CIA uzależni udzielenie Rossowi immunitetu od tego, co wpadło mu w ręce.

Caruso obiecał sobie w duchu, że jeśli Ross uzyska status osoby nietykalnej, to osobiście odszuka go i zabije. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić... Przecież właśnie w tej chwili facet mógł przebywać w dowolnym miejscu na świecie.

Kilka minut po wyjściu Albrighta zadzwonił Gerry Hendley. Dom spodziewał się tego telefonu,

ponieważ był pewien, że Sherman skontaktowała się z Hendleyem, gdy tylko opuściła lotnisko. Wcale się tym nie przejął. Adara dała prawdziwy popis w Panamie, a jeśli jedyną ceną, jaką Dom miał zapłacić za jej pomoc, było poinformowanie ich pracodawcy o jego stanie psychicznym, to nie miał o to pretensji.

Hendley natomiast nie starał się ukrywać, że Adara miała być jego oczami i uszami.

– Rozmawiałem z Adarą – powiedział. – Przedstawiła mi dość szczegółowy raport o twoich panamskich wyczynach.

– Spodziewałem się, że to zrobi. Pewnie ci powiedziała, że pozwoliłem Rossowi się wymknąć.

– Tak tego nie określiła. Mówi, że trafiło ci się kiepskie rozdanie, ale zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

– Niedobrze mi się robi, kiedy słyszę, że robię, co mogę. To nie ma znaczenia. Ross wciąż przebywa na wolności. To jest najgorsze.

– Uruchomiłem swoje kontakty w wywiadzie, żeby się dowiedzieć, jakie zagrożenie stwarzają materiały, które ma Ross.

– Jak poważna jest ta sprawa? – zapytał Dom. – Czy CIA przekazała ci już jakieś szczegóły?

– Teoretycznie te materiały mogą spowodować katastrofę – odpowiedział Hendley. – To ponad sto pięćdziesiąt gigabajtów dokumentów, w większości ściśle tajnych. Można w nich znaleźć między innymi informacje o lokalnych agentach wydobyte z raportów funkcjonariuszy prowadzących różne sprawy, wykazy firm przykrywkowych z ich nazwami, a także dane dotyczące oddziałów i współpracowników służb wywiadowczych.

– A nazwiska agentów?

– Nie, ale te dokumenty zawierają mnóstwo informacji, na podstawie których można ich łatwo zidentyfikować. Jeśli pliki dostaną się w niewłaściwe ręce, będą mogły zadać wyniszczający cios całemu wywiadowi Stanów Zjednoczonych. Możemy powiedzieć, że to największy przeciek w całej historii amerykańskiego wywiadu. Dwa lata temu Chińczycy przejęli czterdzieści terabajtów plików Departamentu Obrony, ale teraz mamy do czynienia z przeciekiem, który doprowadzi do śmierci większej liczby ludzi z wywiadu niż cokolwiek do tej pory. Pomyśl o tym. Dosłownie każdy agent znajduje się na liście płac CIA. Naraża to na niebezpieczeństwo nie tylko pracujących dla nas obcokrajowców na całym świecie. Każdy, kto uzyska dostęp do takich danych, będzie mógł sprawdzić, z kim się spotykają, a to doprowadzi do kolejnych osób, a także do współpracujących z nimi funkcjonariuszy w Stanach. – Gerry głośno westchnął do słuchawki. – Jeśli materiały, które wykradł Ross, wpadną w ręce obcego mocarstwa, to będziemy odczuwać skutki wycieku przez następne dziesięciolecia. Wywiad będzie musiał doczekać się nowego pokolenia agentów i zwerbować nowe pokolenie zagranicznych współpracowników. Nigdy jeszcze nie wydarzyło się nic podobnego. Stany Zjednoczone ogromnie na tym ucierpią. To będzie katastrofa.

Dom przetarł oczy i powiedział:

– Musimy zatkać ten przeciek. Nie ma innego wyjścia.

– FBI, Departament Stanu i wywiad Stanów Zjednoczonych robią wszystko, co mogą – odparł Hendley. – Twój wuj uczynił tę sprawę priorytetową.

– Ale ja nie robię wszystkiego, co mogę – oświadczył Dom. – Muszę do tego wrócić, Gerry.

– Chcesz w dalszym ciągu zajmować się tą sprawą, tak?

– Jak jasna cholera, chcę. Do samego końca.

– Pewnie powinienem teraz palnąć ci jakąś mowę o nieangażowaniu się w pracę z pobudek osobistych.

Dom przewrócił oczyma.

– Tak – odparł. – Jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej, to siadam wygodnie, a ty zaczynaj.

– Nie ma takiej potrzeby. Muszę ci za to powiedzieć, że reszta Kampusu jest znowu na chodzie.

– Pracują nad odzyskaniem danych? – zapytał zaskoczony Caruso.

– Nie. Idzie o coś zupełnie innego. Są właśnie w drodze do Azji.

– Opowiedz mi o tym.

– Nie. Teraz działasz na własną rękę. A kiedy już będziesz przygotowany na powrót do zespołu, włączę cię do jego działań.

– Ale...

– Dom, w tym momencie nie jest konieczne, abyś wiedział więcej. Pracujesz w pojedynkę i trzymaj się tego, dopóki nie będziesz gotów, aby ponownie w pełni zintegrować się z Kampusem.

– *Yes, sir* – wydusił z siebie Dom.

Kilka chwil później rozmowa dobiegła końca.

Caruso był równie rozzłoszczony, co sfrustrowany, lecz zachował dość przytomności umysłu, aby zrozumieć, że może jeszcze kontrolować niektóre rzeczy. Aby jakoś wpłynąć na wynik dochodzenia w sprawie Rossa, mógłby posunąć się dalej i dołączyć do swojej jednostki. W tym celu wrócił do laptopa i uruchomił program IBM i2 Analyst's Notebook. Zaczął brnąć przez dane opisujące wszystko, co zarejestrował podczas nieoficjalnej wizyty w domu Ethana Rossa. Wprowadził je do komputera już wcześniej, lecz układanka nie utworzyła prawdziwego wzorca, który pozwoliłby na wyciągnięcie konkretnych wniosków. Wiedział, że aby coś znaleźć w komputerowej skrzyni skarbów, potrzebowałyby nowych kontekstów. W przeciwnym razie musiałby śledzić osobno wątek po wątku, analizować każde nazwisko powiązane z każdym numerem telefonu lub każdą relację wszystkich zasadniczo różniących się elementów. Nie było to jednak zadanie dla samotnego człowieka siedzącego na kanapie w domowym zaciszu. Była to praca, z którą mogłoby sobie poradzić jedynie FBI.

Jedynym problemem, z którego Dominic zdawał sobie sprawę, było to, że gdyby udało mu się coś odkryć dzięki informacjom zebranych z domu Rossa, Albright wsadziłby go za kratki. Skoro jednak FBI mogło mieć dostęp do tych samych informacji, Caruso nie odczuwał szczególnych wyrzutów sumienia.

Przeglądając zbiór danych, liczący ponad osiem tysięcy pozycji, skupił się na zapisanych odręcznie adresach i numerach telefonów. Zaczął podświetlać numery, szukając na wykresach jakichkolwiek powiązań lub prawidłowości. Nie potrafił namierzać telefonów inaczej niż za pomocą prostego wyszukiwania w internecie, lecz dzięki temu mógł wykluczyć zdecydowaną większość numerów. W jego bazie danych znajdowało się także kilka takich, które nie miały związku z jakimkolwiek z pozostałych elementów. Nie były to numery telefonów restauracji, pracowników Rady Bezpieczeństwa Narodowego, krewnych ani znajomych Ethana Rossa.

Dom zastanawiał się, czy nie ma odpowiedzi tuż pod nosem, ale informacje przytłaczały go swoim ogromem, przez co miał ciągły mętlik w głowie.

Zdecydował się na zmianę strategii: sięgnął po zdjęcia trzech buteleczek z tabletkami, które

znalazł w kuchni Rossa. Powiększył obrazy, a potem ich fragmenty, a następnie otworzył internetową stronę PILLID.com. Podał kształt, kolor i oznaczenia każdej z tabletek i już pięć minut później zidentyfikował wszystkie trzy leki.

Klonazepam, glikopirrolat i sertralina. Nie znał żadnego z tych specyfików, ale gdy tylko zaczął szukać informacji, zorientował się, że są to środki, o których zażycie podejrzewał Rossa operator wariografu – agent Finn.

Jeśli Ethan nie miał recepty na te leki, to musiał je od kogoś dostać. Nie można też było wykluczyć, że był to ktoś, kto wiedział, że zostaną one wykorzystane do oszukania wariografu FBI.

Dom zrozumiał, że będzie musiał odnaleźć lekarza, który przepisał wszystkie trzy leki w ciągu mniej więcej czterdziestu ośmiu godzin dzielących czas, w którym Ross dowiedział się, że będzie przesłuchiwany, od badania.

Rozumowanie Doma opierało się, rzecz jasna, tylko na przypuszczeniach. Ross mógł mieć tabletki od miesięcy lub lat i przechowywać je od poprzedniego badania, lecz Dom wiedział, że kryterium czterdziestu ośmiu godzin rokuje najlepiej.

Nie miał jednak możliwości znalezienia lekarza na własną rękę. Mógł się zwrócić w tej sprawie do Albrighta, ale wtedy trafiłby pewnie do więzienia za włamanie i wtargnięcie. Mógł też poprosić o pomoc Davida z Mosadu. Izraelczyk udowodnił już, że jego organizacja potrafi znajdować odpowiedzi. Dom nie wiedział, jak jej się to udaje, chociaż podejrzewał, że izraelscy agenci otrzymują informacje od kluczowych członków wywiadowczej społeczności Stanów Zjednoczonych.

Zdecydował się na Davida, choć nie wiedział, na ile pomocny okaże się człowiek z Mosadu. Nie rozmawiali ze sobą, odkąd Dom zamilkł w Panamie.

David odebrał telefon po kilku dzwonekach, a jego powitanie podpowiedziało Domowi, że nie będzie łatwo o wybaczenie.

– Nie chciał pan się ze mną skontaktować, aby zaproponować mi pomoc, więc mogę tylko przypuszczać, że czegoś pan ode mnie potrzebuje – powiedział David.

– Tak. I przepraszam za wczoraj.

– Myślałem, że umówiliśmy się w sprawie Panamy.

– Tam, na miejscu, wszystko działa się szybko.

– Wiemy o komputerowym włamaniu, którego dokonał pan Ross.

Dom przyjął, że David słyszał także o wykradzionych plikach.

– Chyba rozumie pan, że moja sytuacja nie pozwalała mi wtedy na omawianie tej sprawy – rzekł.

– Mówi pan rozsądnie. Ale kiepsko pan sobie w tej sytuacji poradził. Nie jestem już skłonny do pomocy.

– Mam coś, co może doprowadzić nas do Ethana Rossa – oświadczył Dom.

David zachichotał, choć w jego głosie słychać było obojętność.

– Nas, panie Caruso? – zapytał.

– Cóż... W takim razie mnie. Proszę posłuchać: chcę pomóc wywiadowi Stanów Zjednoczonych w odzyskaniu plików. Nie mam pojęcia, co pan wie o skali włamania, ale jestem pewien, że pańska organizacja dostrzega, że powodzenie przedsięwzięcia leży także w najlepiej pojętym interesie Izraela.

– Proszę mówić dalej.

– Gdybym sam znalazł Rossa, zabiłbym go z największą przyjemnością, ale wtedy nie można byłoby odzyskać danych. Dlatego przekażę tę sprawę FBI. Nie mam wyboru. Wiem, że pragnie pan zemsty...

– Obaj jej pragniemy. Ale zemsta może poczekać. Zgadzą się z pańską oceną sytuacji. Odzyskanie danych jest najważniejsze. Jak możemy panu pomóc?

Dom opowiedział Davidowi o tabletkach oraz przedstawił mu swoją teorię, zgodnie z którą przepisano je w poprzednim tygodniu między poniedziałkiem a środą. David obiecał, że zobaczy, co da się zrobić.

Zadzwoił już po trzydziestu pięciu minutach. Zaskoczony tym Dom odebrał i powiedział:

– Chyba pan żartuje.

Caruso usłyszał, że David się uśmiechnął, kiedy odpowiadał:

– Ktoś, kto otrzymał te leki, był bardzo sprytny. Nie przepisał ich ten sam lekarz.

– Skąd możemy wiedzieć, że leki mają związek z Rossem, skoro przepisali je różni lekarze? – zapytał Dom.

– Klonazepam i sertralina to powszechnie stosowane leki przeciwlękowe. Często przepisuje się je razem. Ale między zeszłotygodniowym poniedziałkiem a środą tylko trzech lekarzy w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Waszyngtonu przepisało glikopyrrolat, który nie jest pospolitym lekiem.

– Okej. Proszę podać mi ich nazwiska. Sprawdzę to.

– To nie będzie konieczne. Dwaj z nich są dermatologami. Glikopyrrolat zmniejsza potliwość, więc sprawa jest całkiem zrozumiała. Natomiast trzeci lekarz jest kardiochirurgiem ze śródmieścia Waszyngtonu.

– Kardiochirurg? Coś mi tu śmierdzi.

– W rzeczy samej.

David podał Domowi nazwisko i numer telefonu lekarza. Caruso wprowadził je natychmiast do Analyst's Notebook, lecz ku swemu rozczarowaniu nie dostrzegł ich powiązań z innymi danymi.

– Nic – powiedział.

– Mogę panu przesłać mail z wykazem jego rozmów z tamtych trzech dni.

Dom uniósł brwi i odparł:

– Być może okaże się przydatny.

Po kilku minutach liczący osiem tysięcy elementów plik z danymi o Rossie wzbogacił się o kolejne trzysta dwanaście pozycji. Były to wszystkie numery, z których dzwono do kardiochirurga, oraz te, które on sam wybierał z telefonu w gabinecie i z komórki. Po ponownym załadowaniu pliku Caruso wybrał ikonkę narzędzia wizualizacji, które miało mu pokazać powiązania danych z domu Rossa z kardiochirurgiem.

Na ekranie laptopa pojawił się wykres. Caruso podświetlił go i zobaczył zdjęcie samoprzylepnej karteczki z zapisanym odręcznie numerem telefonu. Wystawała z czasopisma, które Ross zostawił na stoliku kawowym na tylnej werandzie.

David czekał na linii.

– Czy już coś wiadomo? – zapytał.

– Mam jeszcze jeden numer telefonu.

– Proszę mi go podać.

Dom podyktował Davidowi serię cyfr i po niecałej minucie usłyszał:

– To numer telefonu komórkowego należącego do Harlana R. Banfielda z Waszyngtonu. Banfield jest reporterem i pracował dla „The Washington Post”.

– Bingo – powiedział Dom.

Dziennikarz pomógł Rossowi oszukać wariograf FBI. Dom zaczął się zastanawiać, co jeszcze zrobił ten człowiek.

Harlan Banfield, zmęczony po trudnym, stresującym dniu, wysiadł z windy na podziemnym parkingu i ruszył w stronę swojego volkswagena zaparkowanego w rogu. Idąc, powiedział sobie, że jest już za stary na pracę do tak późnej pory. Cztery piąte parkingu świeciły pustkami. Banfield był przekonany, że jest jedynym człowiekiem, który spędza w tym budynku dwanaście godzin dziennie.

Po kilku krokach zauważył sylwetkę mężczyzny stojącego w ciemności pomiędzy dwoma samochodami po prawej. Pomyślał o Ethanie, bo przypomniał sobie, że tydzień wcześniej ów informator z Rady Bezpieczeństwa Narodowego wyszedł z cienia niemal w tym samym miejscu, a potem wplątał jego, sześćdziesięciosześcioletniego dziennikarza, w traumatyczne wydarzenia.

Tyle że Ethan zatrzymał się wtedy na granicy światła, podczas gdy ciemna postać ruszyła przed siebie z impetem i natarła na Banfielda.

Nieznajomy chwycił dziennikarza za płaszcz i grzmotnął nim samym w betonowy filar, a potem szarpnął go i zaciągnął na drugą stronę podpory, aby nie ściągać spojrzeń tych, którzy mogli jeszcze wysiąść z którejsz z wind.

Banfield był zbyt zadyszany, aby krzyknąć, lecz kiedy ujrzał czarny pistolet, który napastnik wydobyl spod kurtki, z jego ściśniętego gardła wydobyl się cichy, ochryply pisk.

Nieznajomy mężczyzna jeszcze raz cisnął Harlanem Banfieldem w filar i przedramieniem przygwoździł jego głowę do zimnego betonu. I wówczas pistolet nagle zniknął dziennikarzowi z oczu.

Banfield dobrze wiedział, gdzie się podział. Poczuł twardy metalowy przedmiot przyciśnięty do krocza.

Stali zwróceni do siebie twarzami. Napastnik miał na głowie maskę, lecz Banfield nie mógł nawet dostrzec jego oczu. Wpatrywał się w nie z odległości kilkunastu centymetrów, ale z powodu słabego światła w rogu parkingu widział w ich miejscu jedynie ciemną plamę.

– Kim pan jest? – zapytał, odzywając się słabym *vibrato*, choć usiłował nadać swemu głosowi pozory pewności.

– Kim, kto odstrzeli ci twoje pieprzone jaja, jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć – odpowiedział zamaskowany mężczyzna.

– Cz... Czego pan ode mnie chce?

– Ethan Ross. Mów.

– Ethan Ross? Kto to?

Banfield nie widział ust mężczyzny, lecz wyczuł jego uśmiech.

– Tak chcesz sobie ze mną pogrywać? – zapytał nieznajomy i energicznie szturchnął Banfielda lufą pistoletu w przyrodzenie. – Więc ja pogram sobie z tobą w taki sposób.

– Niech pan zaczeka! Proszę...

– Nie zamierzam na nic czekać. Zamierzam cię zastrzelić. Muszę ci udowodnić, że nie będę się z tobą pierdolił, czy to jest jasne?

– Nie, proszę! Wiem, że mówi pan poważnie. Wiem, dla kogo pan pracuje. Jest pan z CIA.

– Pudło, dupku. Te cioty z Langley mają jakieś zasady, ale ja właśnie ustalam swoje.

– Chryste wszechmogący! To pan. To pan zamordował Eve Pang. I ludzi z FBI.

Zamaskowany mężczyzna przechylił głowę i zapytał:

– O czym ty mówisz? To Ross ich zabił.

– Ross? Nie. To śmieszne. On nie skrzywdziłby nawet muchy. To był pan.

Mężczyzna w masce sprawiał przez chwilę wrażenie zdezorientowanego, lecz szybko wziął się w garść. Jeszcze mocniej wcisnął pistolet między nogi Banfielda.

– Ja... Powiem wszystko, co chce pan wiedzieć – usłyszał.

– Gdzie on jest?

– Przysięgam, że nie wiem.

– Tym gorzej dla ciebie – stwierdził mężczyzna i odciągnął kurek pistoletu.

Metaliczny dźwięk odbił się echem od ścian garażu.

– Chwileczkę! Mogę się dowiedzieć.

– Jak?

– Mam szyfrowany komunikator w komputerze. Mogę kogoś zapytać.

– Jitsi? ChatSecure? Cryptocat?

Banfiel skinął głową i wysapał:

– Cryptocat.

– Kto jest twoim kontaktem?

Banfield zamknął oczy. Zawahał się, ale tylko przez chwilę.

– Szefowa International Transparency Project.

– Jak się nazywa?

– Bertoli. Gianna Bertoli.

– Natychmiast się z nią skontaktujesz i dowiesz się, co się stało z Rossem.

Banfield skinął głową bez słowa.

Trzymając Banfielda na muszce, Dominic Caruso zabrał go do jego biura na górze. Musiał po drodze zdjąć maskę, ponieważ nie wiedział, czy nie natkną się na kogoś. Paradowanie po biurowcu w czarnej neoprenowej kominiarce wystarczyłoby, aby po chwili na miejscu pojawiła się cała okoliczna policja.

Dom trzymał się jednak za plecami Banfielda i co chwilę szturczał go ukrytym w kieszeni pistoletem.

Nie strzelał z niego od lat i miał, rzecz jasna, nadzieję, że nie będzie musiał tego zrobić. Był to walther PPK. Dom otrzymał go w prezencie od brata Briana w dniu, w którym ukończył akademię FBI. Był to raczej pistolet na pokaz, nie do użytku, ale smith & wesson Doma znajdował się akurat w rękach Darrena Albrighta. Dom sięgnął do szafki na broń, wyjął z niej walthera, wyczyścił go i nasmarował, a potem załadował amunicją grzybkującą kalibru 9,65 mm i pospieszył do miejsca pracy Banfielda.

Kiedy jechali na górę, Dom zauważył, że Banfield próbuje tak się ustawić, aby móc zobaczyć jego odbicie w wypolerowanych metalowych drzwiach windy. Powiedział zatem:

– Głowa w dół albo przestrzele ci rzepki, jak tylko wejdziemy do twojego biura.

Przez resztę drogi Banfield wpatrywał się już tylko w podłogę kabiny.

Weszli do małego, jednopokojowego biura. Banfield podszedł do komputera stojącego na biurku i zalogował się, celując w klawisze drżącymi palcami. Czuł dotyk lufy, którą trzymający się z tyłu Dom przyciskał do jego karku.

– Czy mógłby pan trochę odsunąć ten pistolet?

– Nie – odparł Dom.

– Boję się go.

– I słusznie. Powinieneś się bać. Strach w twojej sytuacji jest usprawiedliwioną reakcją. Będę szczerzy: gdybym był teraz na twoim miejscu, bałbym się jak jasna cholera.

Banfield próbował ze wszystkich sił skupić się na klawiaturze, aż w końcu uruchomił okno komunikatora.

Nieopisaną ulgę, którą poczuł, gdy Bertoli zgłosiła się po drugiej stronie Cryptocata, przyćmiewała obecność rozszoszczonego i uzbrojonego mężczyzny za jego plecami.

– Jeśli tylko zacznę podejrzewać, że próbujesz ją ostrzec, nie dożyjesz do rana – oświadczył Caruso. – Zabiję cię tu i teraz.

– Nawet o tym nie pomyślałem – zapewnił Banfield, którego palce nie przestawały drżeć.

– Oczywiście, że nie pomyślałeś. Bo myślisz o tym właśnie w tej chwili. Ale jeśli to zrobisz, jeśli przyjdzie ci do głowy jakaś sztuczka, umrzesz powolną i bolesną śmiercią. Będzie paskudnie. Nie zapytam, czy rozumiesz to, co mówię, bo widzę w twoich oczach, że tak. Rozumiesz. Byłeś korespondentem zagranicznym. Wiem, że odwiedzałeś w Trzecim Świecie zasrane dziury, w których torturuje się ludzi dla sportu. Ale wiesz co, dupku? Ja też bywałem w takich miejscach.

– K... Kim pan jest?

– Jestem tym czymś, czego zawsze się obawiałeś, ale byłem daleko i trzymałem się w cieniu. A teraz jestem tutaj i trzymam pistolet przy twojej głowie.

– Dobry Boże... – jęknął ochryple Banfield.

– Uspokój się. Wymknę się po cichu i pozwolę ci żyć, jeśli podejmiesz w ciągu najbliższych kilku minut szereg właściwych decyzji. Ale jeśli dasz mi najmniejszy powód, żeby cię zabić, na pewno się nie zawaham.

Harlan był pewien, że ma do czynienia z jednym z agentów, których próbował zdemaskować od kilku lat. Była to grupa bardziej tajemnicza i zakonspirowana niż CIA, działająca w granicach Stanów i występująca przeciwko dziennikarzom oraz innym osobom, które ujawniały istnienie gabinetu cieni.

Mężczyzna za plecami Banfieldda powiedział:

– Dowiedz się, gdzie jest Ross.

Harlan zaczął pisać.

Chciałem się upewnić, czy u ciebie wszystko w porządku.

Tak.

A u naszego przyjaciela?

Również.

Czy mogę coś dla was zrobić?

Nie tym razem. Dziękuję.

Banfield wahał się przez długą chwilę, a potem napisał:

Muszę wiedzieć, czy jestem tu bezpieczny. Czy nic mi nie grozi.

Dlaczego coś miałyby ci grozić?

Banfield spojrział na Caruso i rzekł:

– Nie wiem, jak mam odpowiedzieć.

Caruso powiedział mu, co ma napisać.

FBI było w jego domu. Możesz zapytać Ethana, czy zostawił w nim coś, co mogłoby doprowadzić FBI do mnie? Wiele miesięcy temu zadzwonił raz na moją główną komórkę. Czy mógł zapisać gdzieś jej numer? Jeśli tak, to mogę jeszcze zdążyć wyjechać z miasta.

Banfield skończył pisać i zbliżył palec do klawisza Enter. Zanim jednak zdążył go wcisnąć, Dom chwycił go za rękę i odsunął ją od klawiatury.

– Co się stało? – zapytał zaskoczony Banfield.

Dom spojrział na niego twardym, okrutnym wzrokiem.

– Ethana? – zapytał. – Na początku nazwałeś go „naszym przyjacielem”. Napisałeś tak wcześniej, kiedy byłeś przerażony. Potem zrobiłeś to, o co się poprosiłem, więc się trochę uspokoiłeś, a teraz próbujesz wysłać ostrzeżenie? W rozmowach z Gianną nie nazywasz Rossa Ethanem, prawda?

Banfield nie odpowiedział, ale jego twarz zaczęła drgać.

– Nie, nie napisałbyś „Ethan” ani „Ross”. Nazywasz go po prostu „naszym przyjacielem”, zgadza się?

Banfield przytaknął skinieniem głowy.

– Jeśli kłamiesz, zawalę swoją misję, a jeśli tak się stanie, będę miał mnóstwo wolnego czasu. Czasu na znalezienie ciebie – oświadczył Dom.

– Przysięgam, że mówię prawdę.

– Popraw to i wyślij.

Banfield wykonał polecenie i nastąpiła długa przerwa.

Potem na ekranie komputera pojawiła się odpowiedź:

Mówi, że mógł zapisać twój numer. Nie pamięta. Myślę, że powinieneś wynieść się z miasta.

– Czy to ci podpowiada, gdzie jest Ross? – zapytał Dom.

– Tak. Ethan Ross jest w Genewie.

– Jesteś tego pewien?

– Absolutnie. Główna siedziba International Transparency Project znajduje się właśnie w Genewie, w mieszkaniu Gianny.

– I to tam zabrała Rossa?

– Popierają ją miejscowy rząd i europejskie państwa. W Genewie są konsulaty i przedstawicielstwa Organizacji Narodów Zjednoczonych. To bezpieczny teren.

– Masz adres?

– Nie.

Dom ponownie uniósł pistolet.

– Nie mam adresu, ale wiem, że to mieszkanie w pobliżu uniwersytetu.

– To twój szczęśliwy dzień, Banfield. Nie umrzesz.

Dom wyrwał ze ściany kable komputera i zabrał go z biurka Banfielda.

– Zatrzymam go jako gwarancję twojego milczenia – powiedział. – A jeśli kiedykolwiek dowiem się, że kontaktowałeś się z Rossem lub kimkolwiek z International Transparency Project, przyjdzie po ciebie któryś z moich kolegów, a oni nie są nawet w części tak mili jak ja.

– Nic nie powiem. Przysięgam.

Dom wyszedł. W małym biurze zostawił trzęsącego się Banfielda.

Łagodnie uśmiechnięta, Gianna Bertoli podziwiała panoramę Genewy, stojąc z filiżanką kawy na balkonie swojego apartamentu na piątym piętrze hotelu Four Seasons de Bergues. Rozkoszowała się widokiem płynącego w dole Rodanu, którego brzegi były połączone mostem Mont Blanc.

Szwajcaria była w jej oczach o wiele bezpieczniejsza i bez porównania bardziej cywilizowana niż Panama, a nawet niż Waszyngton. Bertoli cieszyła się, że ma już za sobą pobyt w tamtych miejscach. W ciągu swojej całej kariery w International Transparency Project nie spędziła wcześniej ani jednej chwili w terenie i była święcie przekonana, że nigdy nie będzie jej tego brakowało.

Dobrze było wrócić do domu i poczuć się bezpiecznie wśród przyjaciół.

Gianna odwróciła się, opuściła balkon i usiadła obok Ethana, który właśnie nalał sobie kawy. Była to jego pierwsza tego dnia filiżanka. Gianna przyglądała mu się w milczeniu, kiedy małymi łykami popijał gorący napój.

Ethan wyglądał strasznie, tak jakby postarzał się o dziesięć lat w ciągu tygodnia spędzonego w towarzystwie Bertoli. Po drugiej stronie korytarza znajdował się jego apartament, równie duży i wygodny jak ten, w którym mieszkała Gianna, lecz widać było, że nie zmrużył oka przez całą noc. Miał przekrwione i podkrążone oczy, a jego dłonie bezustannie drżały.

– Dlaczego nie napijesz się soku pomarańczowego, Ethanie? – zapytała Gianna. – Potrzebujesz witamin.

Ross zignorował słowa Bertoli. Pociągnął kolejny łyk kawy z trzęsącej się filiżanki.

– Kiedy przyjechaliśmy wczoraj wieczorem, mieliśmy całe piętro tylko dla siebie – powiedział. – Dziś rano zjawili się tu tuzin ludzi wlokących bagaże do swoich pokoi. Kim oni są?

– To koledzy z International Transparency Project. Zaprosiłam tu ludzi z całej Europy. Powiedzmy, że to taki pokaz siły. Pod koniec dnia będziemy mieli przy sobie dwudziestu pięciu przyjaciół. Dziennikarzy, aktywistów, prawników, obrońców praw człowieka i profesorów uniwersyteckich.

Ethan odstawił filiżankę i zapytał:

– Czy oni wszyscy o mnie wiedzą?

– Nie. Absolutnie nie. Żaden z nich. Wiedzą tylko, że tu jestem, bo ich zaprosiłam. Po naszym powrocie z Panamy postanowiłam, że otoczmy się ludźmi z organizacji. W tej chwili to jest dla ciebie najlepsze. Całe piętro należy do nas.

– Niezupełnie. Zauważyłem, że Mohammed ma przy sobie więcej ludzi. Jest czterech, którzy wyciągnęli nas z Panamy, i jeszcze dwóch, którzy wyglądają równie groźnie jak ci pierwsi.

– Tak, wiem o tym.

– Kim są ci ludzie?

– Mohammed powiedział mi, że to jego przyjaciele, którzy zapewnią nam ochronę –

odpowiedziała Gianna.

- Z jakiej przyczyny haker ma przyjaciół, którzy mogą nas chronić?
- Jak rozumiałam, należą oni do jego organizacji.
- Jego libańskiej organizacji?

Gianna łyknęła odrobinę kawy i odparła:

- Tak. Dlaczego mówisz w taki sposób?

– Chodzi mi o tych czterech z samolotu. Rozmawiali po arabsku. Słyszałaś, jak się do siebie zwracali?

- Nie rozumiałam ani słowa.

– Shiraz, Isfahan, Kashan i Ormand. To nazwy miast w Iranie. Nic nie wiem o Mohammedzie, ale ci goście są Irańczykami.

Gianna pokręciła głową, mówiąc:

– Byłam w jego biurach w Bejrucie i wiem, kim jest. Nie wiem niczego o pozostałych. Jakie to jednak ma znaczenie? Uratowali nas przed amerykańskimi zabójcami i jestem im za to wdzięczna.

- Przecież nawet nie wiemy, czy ludzie, którzy zaatakowali nas w Panamie, byli Amerykanami.

– A kim mogliby być? Komu jeszcze zależało na twojej śmierci? Może Izraelczykom, ale czy to naprawę ważne? Wiemy, że pracują razem.

Ethan dał za wygraną i powiedział:

- Pozostaje jeszcze pytanie: co teraz zrobię?

– Właśnie o tym chciałabym z tobą porozmawiać. Mam nadzieję, że mnie wysłuchasz i nie przestaniesz mi ufać.

Spędzili poranek na dyskusji o przyszłości Ethana. Dochodziła jedenasta, gdy Ross zaakceptował w końcu z niechęcią plan Gianny, a potem wrócił do swojego apartamentu. Chwilę później Gianna zapukała do drzwi Mohammeda. Zastała go z laptopem na kolanach i telefonem przy uchu. W pokoju Mohammeda było też jego czterech ludzi, lecz ci tylko siedzieli bezczynnie.

Gianna odniosła wrażenie, że nie wyglądają na hakerów.

Mohammed zaproponował jej miejsce przy stoliku na zabudowanym balkonie, a gdy usiedli, powiedziała:

– Rozmawiałam z Ethanem i wspólnie podjęliśmy decyzję. Amerykanie przebyli długą drogę, żeby go zabić, i na pewno nie odpuszczą. Ethan zdaje sobie z tego sprawę. Jedyнным sposobem, który pozwoli mu się uratować, jest wyciągnięcie jego historii na światło dzienne.

Mohammed nie zrozumiał.

- Co znaczy: wyciągnąć na światło dzienne? – zapytał.

- Ethan i ja zdecydowaliśmy, że ujawnimy tę sprawę. Na wielką skalę.

Mohammed uśmiechnął się przepraszająco i odparł:

- Nie możecie tego zrobić.

– Jutro rano tu, w hotelu, zwołamy konferencję prasową. Ujawnię się jako szefowa International Transparency Project. Nie poniosę żadnych konsekwencji z tego powodu, ponieważ nie wrócę już na boisko. Wolę zostać w Genewie i być marionetką promującą naszą pracę. Ethan dokładnie opisze wydarzenia, z powodu których tu się znalazł. Nie zapomni powiedzieć, że Amerykanie próbowali go zabić na ulicach Waszyngtonu, a potem w Panamie. – Gianna się uśmiechnęła. – Do wtorku praca

naszego projektu i zbrodnie Ameryki znajdują się na ustach dziennikarzy w całej Europie.

Mohammed wstał, obszedł stolik i zatrzymał się przed Szwajcarką.

– Gianni, to bardzo zły pomysł – stwierdził.

Bertoli położyła rękę na jego ramieniu, lecz szybko ją cofnęła, widząc zakłopotanie Libańczyka. Udała jednak, że nic się nie stało, i powiedziała:

– Nie zrozum mnie źle, ale PR nie jest twoją specjalnością. Ogłosimy, że Ross był więźniem sumienia pracującym dla amerykańskiego rządu. Został zmuszony do opuszczenia kraju przez zabójców, którzy zamordowali jego przyjaciółkę, a potem był ścigany przez Amerykanów w Ameryce Środkowej. Gdy to nagłośnimy, Ross będzie bezpieczny. Tu, w Europie, będą go otaczali ludzie, którzy go ochronią, a kiedy tylko zacznie się o nim mówić, Amerykanie już na nic się nie odważą.

Mohammed grzmotnął pięścią w stolik.

– A dane, które posiada? – zapytał. – Naszym jedynym celem było przejęcie kontroli nad tymi informacjami. Zapomniałaś już o tym?

– Uspokój się. Jasne, że nie zapomniałam. Twój plan był znakomity i sprawdził się niemal w stu procentach. Kiedy mi powiedziałaś, że masz oprogramowanie, które pozwoli zajrzeć do ściśle tajnych baz danych amerykańskiego rządu, wiedziałam, że Ross mógłby być naszym człowiekiem wewnątrz, jeśli tylko stworzymy sytuację, w której stanie się gotowy na wszystko. Ale nigdy nie zakładaliśmy, że ktoś przez to zginie.

Mohammed nie odpowiedział.

Bertoli, której pierś falowała szybkim oddechem, dodała:

– Jakież to ironiczne, prawda? Chcieliśmy przedstawić Amerykę jako kraj bezprawia, a daliśmy się zaskoczyć jej zdolnością do radzenia sobie z niepraworządnością.

– Nic mnie nie zaskoczyło aż do dziś, lecz dowiaduję się właśnie ze zdumieniem, że zamierzasz opowiedzieć całemu światu o Rossie. Przykro mi, ale w chwili, gdy to zrobisz, zostaniemy zepchnięci na bok, bo zaczną się tu wpychać na siłę agencje wywiadowcze z wszystkich krajów. Hotel zaroi się od szpiegów z całej planety, a wszyscy będą mieli chrapkę na Rossa i jego materiały.

– Będziemy go bronić. Pomogą nam w tym hotelowa ochrona i policja kantonalna. Gdy ujawnimy informacje o zabójstwach i ataku w Panamie, Ameryka znajdzie się w kłopotliwej sytuacji, a my na tym skorzystamy. Później, w odpowiednim czasie, Ethan umożliwi ITP dostęp do danych.

– Gdy Ameryka się dowie, że jest tu Ethan, nie będziemy już mieli na to czasu.

Szwajcarka podniosła lekko głowę i zapytała:

– Chcesz pomóc International Transparency Project, prawda?

– Oczywiście. Dlaczego pytasz?

– Ethan chyba uważa, że pracujesz dla irańskiego wywiadu. Powiedziałam mu, że to niedorzeczne, bo wiem o twojej wieloletniej działalności w Libanie. Muszę jednak przyznać, że teraz zachowujesz się dziwnie, tak, jakbyś miał inne plany związane z plikami Amerykanina.

Mohammed wziął długi, głęboki wdech i powiedział:

– Uważam po prostu, że popełniasz błąd.

Bertoli przez długą chwilę przyglądała się drobnemu mężczyźnie po drugiej stronie stolika.

– Decyzja zapadła – oświadczyła w końcu. – Poinformowaliśmy już media.

Mohammed wstał i bez słowa wybiegł ze swojego pokoju.

Ethan Ross siedział przy stole w prywatnej sali bankietowej hotelu Four Seasons. Otaczały go ponad dwa tuziny wybitnych haktywistów, prawników zajmujących się prawami człowieka, dziennikarzy oraz pochlebców, którzy przyssali się do Gianni Bertoli i jej organizacji. Wejścia do sali bankietowej pilnowała grupa hotelowych pracowników ochrony.

Pracownik amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego nie wygłosił jeszcze żadnego oświadczenia, gdyż miał to uczynić następnego dnia. Członkowie International Transparency Project obecni w hotelu musieli więc sami dopasowywać fragmenty układanki. Amerykanin w ich gronie bez wątplenia pochodził z Waszyngtonu, lecz Bertoli zamierzała go przedstawić i dokładnie opowiedzieć o tym, co zrobił, dopiero w swoim głównym wystąpieniu. Na razie jednak przekazała swoim gościom zaledwie kilka skąpych informacji. Postąpiła tak specjalnie, ponieważ wiedziała, że musi zrobić trochę szumu, zanim nazajutrz ujawni szokujące informacje.

Podczas przyjęcia nikt nie odmawiał sobie wina ani szampana. Zebrani uznawali bowiem, że warto uczcić każdą z nielicznych okazji, kiedy mogą się spotkać w tak dużym gronie, lecz tego wieczoru hulanka zeszła na drugi plan, gdyż przyćmiewała ją atmosfera oczekiwania na zbliżającą się przemowę Bertoli.

Mohammed był nieobecny. Spędził cały dzień z telefonem przy uchu. Ethan spotkał Libańczyka w hotelowym korytarzu na piątym piętrze, widział go też stojącego na balkonie. Koledzy Mohammeda nie odstępowali go na krok i zachowywali się prawie jak jego gwardia przyboczna.

Przyjęcie trwało w najlepszym, wznoszono toasty i goście świetnie się bawili, lecz Ethan siedział spokojnie, a jego obawy nasilały się z minuty na minutę. Radosna atmosfera wieczoru stała w sprzeczności ze wszystkim, co wydarzyło się wcześniej.

Co gorsza, Ethan martwił się czymś jeszcze. Nie mógł po prostu pozbyć się uczucia, że całą tę sprawę zaaranżowano, aby doprowadzić go do tego momentu, tak jakby ktoś bez przerwy nakłaniał go do czegoś, popychał oraz wpływał na jego decyzje, działania i wytyczał mu drogę, którą podążał.

Poczucie bycia niewolnikiem było całkowicie sprzeczne z jego wyobrażeniem o sobie samym. Uroczysta kolacja utwierdziła tylko Ethana w przekonaniu, że International Transparency Project był nastawiony na zabicie fortuny na jego nieszczęściu. Chociaż zetknął się bliżej z tą organizacją, nie zidentyfikował ani jednej osoby, łącznie z Bertoli, która według niego byłaby zdolna do pociągania za sznurki i odpowiadała za wszystko, co się wydarzyło. Ethan nie mógł przestać się zastanawiać, czy nie ma do czynienia z tajemniczym, nieznanym mu jeszcze graczem.

Miał zbyt wiele rzeczy do przemyślenia, więc postanowił zafundować sobie chwilę odpoczynku. Sięgnął po najbliższą stojącą butelkę szampana i napełnił nim szklanekę. Pomyślał, że musi rozjaśnić umysł, aby móc sobie łatwiej poradzić ze wszystkim, co go czeka. Teraz porządnie się napięrdoli, a jutro zajmie się jutrem.

O siódmej czterdzieści rano przylecieli do Genewy Dominic Caruso i Adara Sherman. Mieli za sobą bezpośredni lot samolotem linii United, który wystartował w Dulles. Nie wynajęli jednak samochodu na lotnisku, lecz wsiedli to taksówki, która zawiozła ich prosto do hotelu St-Gervais w centrum miasta. Zameldowali się w pokoju deluxe na drugim piętrze.

Początkowo zamierzali polować w Genewie na Rossa tak długo, jak będzie to konieczne, lecz Gerry Hendley ułatwił im zadanie: dowiedzieli się od niego, że w południe odbędzie się w hotelu Four Seasons wielka konferencja prasowa zwołana przez International Transparency Project. Ta konferencja z pewnością miała dotyczyć Rossa, zatem Dom postanowił udać się do Four Seasons, aby tam na niego zaczekać, a później zacząć go śledzić.

W tym celu Adara pokonała parę przecznic i wypożyczyła czterodrzwiowego sedana BMW, który doskonale wtapiał się w luksusowe tło Genewy. Dom natomiast wyszedł z hotelu i wstąpił do pobliskiego sklepu motocyklowego, w którym wypożyczył motocykl BMW F 800 GS z pełnym bakiem, kask motocyklowy oraz ciemnoszary ocieplany kombinezon. On i Adara doszli do wniosku, że prędzej czy później będą musieli śledzić Rossa w ruchu, więc dwa pojazdy pozwolą im przeczesać większą powierzchnię.

Ich plan pokrzyżowała jednak niespodziewana przeszkoda. Wszystkie miejscowe stacje trąbiły o burzy śnieżnej, która szalała w górach na południe od Genewy, lecz w środku dnia miała dotrzeć do miasta. Dom nie był na tyle szalony, aby przebijać się motocyklem przez śnieżycę, i zaczął rozważać wypożyczenie drugiego samochodu. Ostatecznie jednak pozostał przy jednośladowym. Pomyślał, że jeśli pogoda uniemożliwi mu jazdę na dwóch kołach, zostawi motocykl i wypożyczy jakiegokolwiek auto.

Godzinę później spotkał się z Adarą w hotelowym pokoju. Wracając z wypożyczalni samochodów, Sherman wstąpiła do hotelu Four Seasons. Wręczyła Domowi plan wnętrza, lecz Caruso postanowił obejrzeć hotel osobiście. Nie zamierzał wchodzić do budynku, gdy przybędą do niego dziennikarze, zatem wyruszył natychmiast.

Zaczął padać drobny śnieg. Dom zatrzymał się na parkingu naprzeciw kościoła Świętej Trójcy, zaledwie o przecznicę od Four Seasons. Gdy podszedł do hotelu, zauważył przed jego frontonem kilka dużych samochodów z antenami satelitarnymi. Wemknął się do budynku bocznym wejściem i pomaszerował przez parter.

Chciał przewidzieć, dokąd mógłby pójść Ross po konferencji prasowej. Wyobraził sobie Amerykanina wyprowadzanego bocznymi drzwiami do podstawionego samochodu, lecz widok na salę bankietową z miejsca, w którym przystanął, był znacznie ograniczony. Pomyślał więc, że Ross mógłby równie dobrze opuścić hotel, wychodząc po prostu głównym wejściem.

Zaczął się zastanawiać nad wyborem najlepszego punktu obserwacyjnego, ale gdy pogрузzył się

w rozmyślaniach, usłyszał ćwierkanie swojego telefonu komórkowego tkwiącego w kieszeni. Wyjął go natychmiast i spojrzął na ekranik. Dzwonił Hendley.

– Hej, Gerry – przywitał go Dom. – W Waszyngtonie jest chyba czwarta rano?

– Nawet mi o tym nie przypominaj. Posłuchaj: właśnie dowiedziałem się od swojego kontaktu w Departamencie Sprawiedliwości, że twój przyjaciel Albright dostał zielone światło, żeby zaarrestować Rossa, i jest teraz tam, w Genewie.

Dom poczuł zaskoczenie, lecz wciąż nie dowierzał.

– Chyba nie spodziewa się, że będzie łatwo? – odparł.

– Też tak myślę. Zabrał ze sobą Zespół Ratowania Zakładników oraz grupę obserwacyjną. Zamierzają wejść ostro i szybko.

– Mają na to zgodę Szwajcarów?

– Nie. FBI chce zaryzykować i wywieźć go pod ich nosem. Najwięcej obaw wiąże się z tajnymi danymi. Jeśli nawet trafią w ręce Szwajcarów, i tak nie będą bezpieczne. Szwajcaria jest wprawdzie naszym sojusznikiem, ale nikt nie może zagwarantować, że nie znajdzie się tam ktoś, kto zrobi z nich niewłaściwy użytek. Musimy je stamtąd zabrać, a później będziemy mogli dać sobie ze Szwajcarią buzi i się z nią pogodzić.

– Kiedy FBI zamierza to zrobić?

– Z tego co wiem, już się szykują. Chcą go zabrać z hotelu przed konferencją prasową. To jedyny moment, kiedy na pewno będzie wiadomo, gdzie jest Ross, i ostatnia szansa na przejęcie go, zanim opinia publiczna dowie się o wszystkim.

Dom rozejrzał się po holu. Wiedział, że w budynku mogli się już pojawić ludzie z grupy obserwacyjnej FBI.

– Lepiej się stąd wyniosę, zanim pokaże się tu Albright – powiedział.

– Wygląda mi to na dobry pomysł, synu.

Caruso natychmiast opuścił hotel, a potem pomaszerował na parking. Stał obok motocykla i spojrzął na niebo. Nawet padający śnieg nie mógł przesłonić potężnych burch chmur zwieszających się nad górskimi szczytami na południu. Dom zadzwonił do Adary i poprosił ją, aby niebawem zjawiła się w holu Four Seasons i informowała go na bieżąco, co się dzieje w hotelu.

Ethan włożył garnitur, który kupił rano w hotelowym sklepie z męską odzieżą. Wiążąc krawat, przyglądał się swemu odbiciu w łazienkowym lustrze.

Był narcyzem, lecz zachował dostateczną dozę realizmu, aby stwierdzić, że wygląda okropnie. Pod zapadniętymi oczami miał cienie, a jego cera przybrała ziemistą barwę z powodu braku snu i kiepskiej diety.

Przez minutę walczył z włosami, lecz w końcu się poddał i usiadł na skraju łóżka. Ukrył głowę w dłoniach. Siedział nieruchomo przez ponad minutę i dopiero pukanie do drzwi sprawiło, że się poruszył.

Po chwili do pokoju weszła Gianna. Usiadła obok Ethana i wyciągnęła rękę, aby go uściskać, lecz Ross ją odepchnął.

– Co się stało? – zapytała Bertoli.

Ross pokręcił głową i odpowiedział:

– Nie mogę tego zrobić.
– O czym mówisz?
– Nie ujawnię się. Chcę się skontaktować z FBI, zanim zacznie się konferencja prasowa. Powiem im, że zwrócę dysk. Nie zaproponują mi immunitetu... Ale mogliby...

– Nie. Nie możesz tego zrobić.
– Jasne, że mogę. Chcę wrócić do domu. Nigdy nie zamierzałem szpiegować dla Irańczyków.

Gianna pokręciła głową i rzekła:

– Mówiłam ci już: Mohammed jest Libańczykiem i pracuje dla mnie.
– Naprawdę jesteś aż tak naiwna?

Ross współpracował z International Transparency Project między innymi dlatego, że czuł, iż jest bardziej inteligentny niż pracownicy rządowi, z którymi stykał się na co dzień. I oto nagle uświadomił sobie, że jest także bardziej inteligentny niż owa organizacja, lecz świadomość ta była dla niego druzgocąca.

Gianna powoli westchnęła i podeszła bliżej.

– Posłuchaj – zaczęła. – Mówił mi zawsze, że jest Libańczykiem. Jak już wspomniałam, byłam w jego biurze. Lecz jeśli nawet jest Irańczykiem, to czy ma to jakieś znaczenie?

– Muszę się stąd wynieść – wymamrotał tylko Ethan.

Bertoli postanowiła zwrócić się do Rossa jak do jednego z jej podwładnych.

– Pozwól, że ci wytłumaczę, jak to wszystko działa – rzekła protekcyjnym tonem. – Najlepszych hakerów na świecie mają Chiny, a po nich Rosja. Zaraz za nią są Irańczycy, którzy są lepsi niż prywatne grupy tu, w Europie.

– Dlaczego nie współpracujesz ani z Chińczykami, ani z Rosjanami?

– Chińczycy pracują na rzecz swojego kraju. Z Rosjanami zdarza nam się współpracować od czasu do czasu, ale oni robią to po prostu dla pieniędzy.

– A Irańczycy? Dlaczego biorą w tym udział?

– Z tego samego powodu, co my.

– Żeby zniszczyć Zachód?

Bertoli wzruszyła ramionami, mówiąc:

– Nazywaj to, jak chcesz.

– Jesteś głupia. Mohammed i jego ludzie otrzymują rozkazy bezpośrednio z Teheranu. To nie on pracuje dla ciebie, ale ty pracujesz dla niego.

– To śmieszne.

– Pozwól, że cię o coś zapytam. Kiedy otrzymaliście ode mnie materiały dotyczące ataku na konwój pomocowy cztery miesiące temu, to przekazaliście je Mohammedowi?

Bertoli zawahała się.

– Musieliśmy rozpakować skompresowane pliki i zredagować wszystkie nazwiska. To bardzo czasochłonny proces, więc zajął się tym Mohammed.

Ross wreszcie wszystko zrozumiał. To, czego się nauczył, robiąc karierę w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, nie poszło na marne i właśnie teraz pomogło mu ułożyć w całość kawałki doskonale obmyślanej, a zarazem diabolicznej intrygi.

– Mohammed cały czas udawał, że jest po mojej stronie – powiedział. – Przez ciebie dowiedział

się o Yacobym, wiedział, że polują na niego Palestyńczycy, a oni wiedzieli, że wymusi to ujawnienie waszego informatora w amerykańskim wywiadzie. Brakowało jeszcze tylko czegoś, co mogłoby mnie skłonić do ucieczki. – Ross pomyślał przez chwilę. – Na przykład próby zabójstwa.

Drzwi do apartamentu Ethana otworzyły się i stanęli w nich Shiraz oraz Isfahan w skórzanych kurtkach wypchanych bronią ukrytą pod pachami. W korytarzu pojawił się jeszcze jeden mężczyzna, który wszedł za nimi. Był to Mohammed, lecz Gianna i Ethan potrzebowali kilku sekund, aby go rozpoznać. Jego zakłopotana mina i młodzieżowy ubiór gdzieś znikły. Mohammed przyszedł w garniturze i krawacie. Stał wyprostowany, z cofniętymi ramionami i wydawał się całkowicie pewny siebie.

– Dobra robota, Ethan – powiedział. – Jak dotąd miałeś rację, ale powiem ci jeszcze kilka rzeczy, o których nie wiedziałeś.

Ethan rozejrzał się i zapytał:

– Założyliście podsłuch w moim pokoju?

Mohammed uśmiechnął się, podniósł ręce w przepraszającym geście i odparł:

– Moja początkowa wizja tej operacji była zbyt ograniczona. Miałem dojście do specja od komputerów w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa i wiedziałem, że namówię go, aby zbudował pełzacza, którego potrzebowaliśmy do wydobycia tajnych danych. Ale nie miałem nikogo z wewnątrz. Kogoś, kto podłączyłby pełzacza do sieci. Kiedy Gianna przekazała mi pliki dotyczące ataku na flotyllę, zrozumiałem, że osoba, która wykradła je z Rady Bezpieczeństwa Narodowego, może równie dobrze uzyskać dostęp do znacznie obszerniejszych materiałów. Do mnóstwa najważniejszych informacji o Ameryce i jej współpracownikach na całym świecie. Nie mogłem znaleźć takiego kogoś osobiście, więc musiałem wywabić jego lub ją na otwartą przestrzeń. Mogłem to zrobić, przekazując Palestyńczykom informacje o Yacobym. Wiedziałem, że zaczną działać, a nawet pomogłem skoordynować akcję w Indiach: skontaktowałem Palestyńczyków z komórką w Jemenie. Przewidziałem, że wszyscy powiążą wyciek amerykańskich danych z atakiem. Jak widzicie, zaprząłem do pracy nawet Amerykanów. A gdy człowiek z Rady Bezpieczeństwa Narodowego wyszedł z cienia, wiedziałem, że Gianna będzie chciała się z nim skontaktować. Zdawałem sobie sprawę, że zaproponuje mu ochronę. – Mohammed się uśmiechnął. – I że będę musiał się znaleźć w samym środku tego zamieszania.

Mohammed zwrócił się do Bertoli:

– Nie mogłem mieć pewności, czy uda ci się wydostać go ze Stanów. Było to bardzo słabe ogniwo mojego planu, ale po skonsultowaniu się z kolegami z Teheranu otrzymałem zgodę na wyjazd do Ameryki, aby dopilnować wszystkiego na miejscu. Otrzymaliśmy jego nazwisko od Banfielda, a potem zaczęliśmy go obserwować. Nie zabraliśmy się za niego sami, bo nie przyniosłoby nam to nic dobrego. Mogliśmy to zrobić, ale było to zbyt niebezpieczne. Przede wszystkim jednak musiał zdobyć dane. Musiał się włamać do sieci. – Mohammed ponownie się uśmiechnął. – Moja przyjaciółka Gianna została w to zamieszana. Kiedy powiedziałem jej o pełzaczu, myślała, że wykorzysta swoją siłę przekonywania, aby nakłonić cię do skopiowania plików, ale ku jej zdziwieniu niełatwo było tobą manipulować.

Mohammed spojrzął na Rossa.

– Więc przycisnąłem cię mocniej – dodał. – Daliśmy ci do zrozumienia, że jesteś śledzony, ale

wciąż byłeś uparty. Nie byłeś skłonny skopiować plików. Musieliśmy sięgnąć po bardziej drastyczne metody.

Ethan zrozumiał.

– Eve – powiedział. – Zamordowaliście ją. To nie była próba zamachu na mnie. Próbowaliście mnie przestraszyć.

Mohammed uśmiechnął się i odparł:

– I przestraszyłeś się, prawda? Przykucnąłeś i ułatwiłeś nam zadanie. Musieliśmy to zrobić. Ta kobieta cię podejrzewała. Gdyby żyła, mogłaby ostrzec FBI i zostałbyś aresztowany. Byłoby to dla nas wielce niefortunne. Wiedziałem również, że potrzebne ci były jej uprawnienia, abyś mógł uzyskać dostęp do wirtualnej sieci prywatnej i za jej pomocą połączyć się zdalnie z siecią CIA. Miałem pięćdziesiąt procent pewności, że po śmierci swojej przyjaciółki oszalejesz i nie porazisz sobie z włamaniem. Nie doceniłem jednak twego sprytu.

– Ona wcale nie zamierzała na mnie donieść – wymamrotał Ethan.

Mohammed wzruszył ramionami i powiedział:

– W takim razie przeceniłem jej patriotyzm. Tak czy inaczej, wszystko przebiegło doskonale.

– Wykorzystałeś mnie – powiedział cicho Ethan.

– Bezbronny informator to cenny informator.

– Mnie też wykorzystałeś! – krzyknęła rozwścieczona Gianna.

Mohammed wycelował palcem w jej twarz i odparł:

– Pewnie, że cię wykorzystałem! Nie było to trudne. Wiedziałaś, że mam pełzacza, i wiedziałaś, że musisz nakłonić Ethana do jego zainstalowania. Ale byłaś pod tym względem bardzo nieporadna. To ja go do tego nakłoniłem.

– A co zrobisz teraz? – zapytał Ethan.

– Chciałem cię uprowadzić po wyjeździe z Panamy i zawieźć do Teheranu, ale moje dowództwo zażądało, abym o ile to możliwe, utrzymał swoje związki z International Transparency Project. Pomyślałem, że to możliwe. Pomyślałem, że moglibyśmy tu wrócić, Gianno, i że mógłbym popracować nad tobą kilka dni, wymęczyć cię i namówić do zrezygnowania ze zdobycia hasła do danych. Ale tak się nie stało. Zaczęłaś nalegać, aby wszystko nagłośnić, i ściągnęłaś na siebie uwagę. Amerykanie mogliby cię porwać lub zabić. Nie mogę czekać, aż pojawi się jeszcze ktoś, kto będzie chciał zabrać to, nad czym tak ciężko pracowałem. Zabiorę to sam. Teraz.

Mohammed przywołał ruchem ręki Shiraza, który podszedł do ustawionego na stole laptopa, otworzył go i odwrócił w stronę swego szefa.

– Zakładam, że pliki znajdują się na dysku komputera – rzekł Mohammed. – Nie zostawilibyście ich na dysku pełzacza. Poproszę o hasła.

– Co zrobicie z tymi informacjami?

– Zabierzemy je do Iranu.

Ethan pokręcił głową i oświadczył:

– Niczego wam nie powiem.

Mohammed się uśmiechnął.

Wyglądało to złowieszczo, tym bardziej że uśmiech ten zupełnie nie pasował do człowieka, w którego towarzystwie Ethan przebywał przez kilka poprzednich dni. Wydawało się, że ciało

Mohammeda zostało przejęte przez obcą istotę.

– Oczywiście, powiesz teraz – rzekł Irańczyk. – Zobaczymy, co będziesz mówił, kiedy z tobą skończę.

Nagle do apartamentu wpadł biegiem Kashan. Powiedział w fārsi coś, czego Ross nie potrafił zrozumieć, ale to, że mężczyźni przestali zwracać sobie głowę rozmowami po arabsku, było bardzo wymowne.

Spokój i pewność malujące się do tej pory na twarzy Mohammeda ustąpiły wyrazowi napięcia.

– Jest tu FBI – powiedział. – Są na zewnątrz.

Wskazał ręką drzwi, po czym dodał:

– Wychodzimy.

– Dokąd nas zabieracie? – zapytała Bertoli.

– Musimy się pospieszyć – odparł stanowczo, wręcz szorstko Mohammed. – Zejdziemy schodami na parking. Dalej!

Shiraz upchnął laptopa w plecaku, który zarzucił na siebie, a Isfahan wyjrzał przez drzwi i sprawdził, czy korytarz jest pusty.

Ross zastanawiał się, gdzie się podzieli pozostali Irańczycy, lecz o to nie zapytał.

– Nigdzie z wami nie pójdę – powiedział. – Zostaję tu.

Isfahan i Shiraz wycelowali w Ethana i Giannę pistolety z tłumikami. Kilka sekund później wszyscy maszerowali w stronę schodów.

Mohammed Mobasheri i jego dwaj ludzie szybko i sprawnie prowadzili Rossa i Bertoli przez podziemny parking. Sprawiali wrażenie ochroniarzy, aczkolwiek idący między nimi Amerykanin i Szwajcarka byli z pewnością ich więźniami.

– Powinniśmy byli zostać w hotelu i poczekać, aż policja się z nimi rozprawi – powiedziała Bertoli. – Szwajcarski rząd nie pozwoli Amerykanom zabrać Ethana. Nie mają do tego prawa.

Mobasheri pokręcił głową i odparł:

– FBI wyważy wszystkie drzwi w tym budynku, żeby tylko dostać się do naszego przyjaciela.

– Opuszczamy więc hotel? – zapytała Bertoli.

– Zgadza się.

– Na zewnątrz jest przeraźliwie zimno.

– Wasze okrycia i cała reszta bagaży zostały już zabrane z pokoi i dostarczymy je wam niezwłocznie.

– Co? Twój ludzie grzebali w moich rzeczach? – zapytała Gianna ostrym tonem, który odbił się echem od ścian parkingu.

Wściekła się, bo naruszono jej prywatność.

Mobasheri trzymał telefon przy uchu i rozmawiał z kimś w fārsi.

– Chyba nie sądzisz, że FBI będzie zatrzymywać ludzi na zewnątrz – zwrócił się do niego Ethan.

Irańczyk opuścił telefon.

– FBI pilnuje wejść do hotelu – powiedział. – Ale tam, dokąd idziemy, nie ma takiego wejścia. Zapewniam cię, że zadbam o twoje bezpieczeństwo. Jesteś mi potrzebny. Nie zatrzymuj się. Idź równym krokiem.

Weszli do wąskiej klatki schodowej, która z pewnością nie należała do budynku Four Seasons, a potem wspięli się na poziom ulicy. Jeden z Irańczyków zbliżył się do drzwi, otworzył je powoli i wyjrzał na zewnątrz, zanim pokazał pozostałym, że mają za nim pójść.

Ross myślał, że znajdzie się na którejś z ulic otaczających hotel, lecz okazało się, że weszli na długie i wąskie podwórze, które było placem budowy. Hotel Four Seasons przylegał do całego zespołu budynków o wysokości od czterech do siedmiu pięter, a ten obszar był zamknięty z powodu remontu. Wewnętrzne ściany apartamentowców i biurowców zostały pokryte zieloną siatką chroniącą okna przed uszkodzeniem.

Ross poczuł się nagle straszliwie osamotniony. Musiał szybko opuścić hotelowe piętro, na którym otaczały go dziesiątki osób, i znalazł się w nieznanym miejscu w towarzystwie małej grupki ludzi, którym nie ufał.

Kontynuowali marsz przez plac budowy. Wysokie budynki i wiatr sprawiły, że padał tu jedynie rzadki śnieg. Ross był pewien, że Irańczycy już wcześniej opracowali plan ucieczki z hotelu, choć nie

potrafił się domyślić, skąd mogli wiedzieć, że będzie im potrzebny. Spodziewał się, że zaraz wyjdą na ulicę i zatrzymają taksówki, lecz nie był pewien, czy Mohammed nie schował jeszcze jakiegoś asa w rękawie.

W pewnej chwili Ross po raz pierwszy postanowił oprzeć się Irańczykom. Zatrzymał się, wyciągnął rękę i chwycił Giannę za ramię, aby ona również się zatrzymała.

– Posłuchaj, Mohammedzie – rzekł. – Nie zrobię już ani jednego pieprzonego kroku więcej. Nie dostaniesz plików, a ja zostanę tu, gdzie jestem.

Mobasheri ledwie zwolnił kroku i skinął na mężczyznę idącego po lewej stronie Rossa. Irańczyk grzmotnął Amerykanina pięścią w ramię, popchnął go i wytrącił z równowagi. Gdy Ethan zdołał się odwrócić z nadzieją, że będzie mógł się obronić przed następnym ciosem, Irańczyk trzymał już na wysokości biodra pistolet wycelowany w jego pierś.

Gianna zaczęła krzyczeć, więc drugi z Irańczyków otoczył jej szyję przedramieniem i zatkał dłonią usta, a potem, nie zwalniając uścisku, pociągnął ją z sobą.

– Proszę, aby nikt się nie zatrzymywał – powiedział po angielsku Mobasheri.

Ethan Ross odwrócił się z uniesionymi rękami, które miały go ochronić przed eskalacją przemocy, i ruszył przez zaciszne podwórze.

Caruso oddałby swoją półroczną pensję, aby tylko móc zobaczyć, jak Darren Albright i Zespół Ratowania Zakładników zdejmują Ethana Rossa. Był pewien, że ktoś sfilmuje to wydarzenie, a nagranie będzie odtwarzane na okrągło na wszystkich kanałach kablówki. Ten materiał mógłby spowodować spore problemy i wywołać wiele kryzysów w ONZ, Unii Europejskiej i Bóg wie gdzie jeszcze, zwłaszcza że Albright oraz jego ludzie mieli wejść do ekskluzywnego europejskiego hotelu z wielkim hukiem.

Dom pomyślał, że jeśli nagranie będzie świetne, to o ileż ciekawsza byłaby możliwość obejrzenia wszystkiego na żywo! Marzył o tym, aby móc zobaczyć na własne oczy blednącą twarz tego kutasa Rossa, kiedy w końcu dotrze do niego, że będzie musiał spędzić resztę życia w ciasnej więziennej klatce mierzącej nie więcej niż trzy na cztery metry.

Dom wiedział jednak, że nie może wejść do wnętrza Four Seasons. Nie mógł pozwolić, aby sfilmowano jego twarz, a do tego był pewien jak jasna cholera, że nie chce, aby Albright wiedział, że przebywa w Genewie. Rozmyślał już o następstwach amerykańskiej operacji i nie życzył sobie, aby taki facet jak Albright zaczął bardziej niż do tej pory interesować się nim i jego organizacją.

Wrócił zatem do swojego motocykla, stojącego na parkingu naprzeciwko kościoła Świętej Trójcy, zapiął szczelnie kurtkę i nasunął kask na głowę. Sypał już gęsty śnieg, lecz Dom odpalił motor marki BMW F 800 GS i powoli ruszył w stronę hotelu z nadzieją, że uda mu się zobaczyć przynajmniej ostatnie sceny aresztowania Rossa. Przyciemniona szybka kasku chroniła jego twarz przed kamerami hotelowego monitoringu i czujnym wzrokiem agentów FBI.

Dom sunął powoli w śnieżycy, pilnując się na światłach, aż wreszcie zatrzymał się na pasie do zawracania, aby móc przejechać wzdłuż frontu hotelu. Skręcając w lewo, zauważył trzy srebrne SUV-y stojące w poprzek drogi ciągnącej się wzdłuż Rodanu. Pomyślał, że te wozy należą do zespołu taktycznego. Nie pomylił się, bo po chwili zobaczył, że za kierownicą siedzieli mężczyźni, którzy wyglądali tak, jakby przysłała ich agencja Central Casting. Mieli krótkie wojskowe fryzury,

muskularne karki wystające z pozbawionych napisów kombinezonów i czarne bawełniane czapki.

Caruso uśmiechnął się za szybką kasku. W budynku po lewej aresztowano właśnie Rossa. Jego pojmanie i tak nie ułatwiłoby Domowi pogodzenia się ze śmiercią Yacoby, lecz było bez porównania lepsze niż nic, a do tego pozwoli zatamować największy przeciek w historii wywiadu Stanów Zjednoczonych.

Dom zamierzał zatrzymać się w pobliżu vanów, aby móc lepiej przyjrzeć się akcji, ale przed hotelem Four Seasons nic się nie działo. Uznał, że zostało mu parę minut do chwili, gdy skuty Ross zostanie wyprowadzony na zewnątrz. Aby nie ściągać na siebie uwagi, ruszył: zamierzał okrążyć kwartał dla zabicia czasu.

Skreślił w lewo, w rue du Mont-Blanc, i dostrzegł kolejnych czterech ludzi z FBI obserwujących ulicę. Stali w parach naprzeciwko hotelu i z pewnością wiedzieli, że niektóre ze sklepów, do których można było wejść z ulicy, miały tylne drzwi łączące je z holem Four Seasons.

To dobrze, pomyślał Dom. Zespół Ratowania Zakładników nie zamierzał pacyfikować zgromadzenia i wystawił obserwatorów na wypadek, gdyby Ross próbował wymknąć się bokiem.

Dom ponownie skreślił w lewo, tym razem w rue de Cendrier. Kończył się tu kompleks budynków i Caruso zaczął się rozglądać w poszukiwaniu ludzi z FBI, ale nie dostrzegł żadnego z nich. Przyjął, że eleganckie sklepy z okularami i męską odzieżą wychodzące na ulicę z tej strony nie mają przejść łączących je z hotelem po drugiej stronie kompleksu.

Wielkie płatki śniegu utrudniały obserwację, lecz gdy Dom dotarł do skrzyżowania i szykował się do skrętu w lewo, zobaczył przed sobą dużego białego vana jadącego w jego stronę. Pomyślał najpierw, że Zespół Ratowania Zakładników przysłał większą grupę, niż mu się wcześniej wydawało. Jeśli potrzebowała trzech samochodów, to mogła liczyć trzydziestu sześciu ludzi.

Coś się jednak nie zgadzało. Dom zaczął się zastanawiać, czy Albright został upoważniony do aresztowania kogoś oprócz Rossa. Jeśli tak, to biały van mógłby być przeznaczony do przewiezienia głównych działaczy International Transparency Project.

Nie, pomyślał. Dostatecznie trudne, nawet dla Albrighta, będzie zatrzymanie jednego Amerykanina i przetransportowanie go przez most do konsulatu Stanów Zjednoczonych. Samo aresztowanie wystarczy, aby wywołać międzynarodowy skandal. A zatrzymanie obywateli Szwajcarii, Włoch albo Niemiec? Nie, pomyślał Dom. Nie ma mowy, żeby Albright miał prawo posunąć się tak daleko.

Dom uznał pojawienie się białego pojazdu za przypadek, skreślił w lewo na placu Kleberg i natychmiast zobaczył grupę samochodów obserwacyjnych FBI zaparkowanych przy wejściu dla pracowników hotelu oraz wzdłuż rampy prowadzącej do miejsca rozładunku i podziemnego parkingu. W każdym z samochodów pracował silnik. Caruso dostrzegł kilku siedzących w nich mężczyzn.

Można ich było łatwo zauważyć, lecz Dom postanowił zbytnio im się nie przyglądać. W tej fazie aresztowania ludzie z zespołów ochrony nie musieli się już kryć. Mieli tylko być gotowi do zablokowania wyjść i udzielenia wsparcia agentom w hotelu.

Dom minął samochody stojące przy rampie prowadzącej na parking i pojechał w stronę frontu hotelu. Miał nadzieję, że Albright i jego ludzie szybko się uwiną i zakończą sprawę.

Mohammed Mobasher, prowadzący grupę, zatrzymał się na końcu wąskiego podwórza, a potem precyzyjnie przeszedł przez długie nacięcie w zielonej siatce osłaniającej budynku i przytrzymał jej brzeg, aby ułatwić wejście pozostałym osobom.

Małe pomieszczenie, w którym się znaleźli, pełniło funkcję biura oraz podręcznego magazynku dozorczy budynku. Pod jedną ze ścian stało niewielkie biurko, było też mnóstwo półek wyładowanych masą rozmaitych narzędzi, przedłużaczy na szpulach i mnóstwem drobiazgów. W wyposażeniu dozorczy nie zabrakło także łopat do odśnieżania, a nawet spalinowej odśnieżarki na kółkach.

W głębi pomieszczenia stał jeden z ludzi Mobasheriego. Trzymał oburęczny młot i wszystko wskazywało na to, że właśnie wykuł nim potężny otwór w otynkowanej ścianie z pustaków. Ten otwór był wysoki na metr i szeroki na pięćdziesiąt centymetrów i mógł się w nim zmieścić każdy z uczestników pochodu.

Gdy Irańczyk odłożył młot na podłogę i włożył kurtkę, Mobasher wskazał ręką czarną czeluść.

– Panno Bertoli, pozwoli pani? – zapytał.

– Dokąd mnie za...

– Jazda! – krzyknął Irańczyk, którego głos wręcz eksplodował w ciasnej przestrzeni.

Bertoli, Ross i Irańczycy precyzyjnie przeszli przez wąskie przejście i weszli do wąskiego i ciemnego magazynu na zapleczu sklepu z męską odzieżą. Strzepnęli z siebie kurz i resztki tynku, a potem weszli do sali sprzedaży.

Przez frontowe okna sklepu wpadało przytłumione światło. Było przecież pochmurno i sywał śnieg, lecz Ross, który zbliżył się do drzwi, zobaczył coś jeszcze: zatrzymującego się przed wejściem białego vana.

Mieli więc dokądś pojechać.

Ale dokąd? Ross nie próbował nawet zgadywać.

Pomyślał jednak, że spróbuje uciec w chwili, gdy znajdzie się na ulicy. Był dostatecznie szybki i chociaż nie miał ciepłego ubrania, to znajdował się przecież w centrum Genewy. Nie było tu tak zimno jak w górach. Ucieknie i znajdzie policjanta lub agenta FBI, pobiegnie w jakieś miejsce publiczne albo prosto do wejścia pierwszej ambasady, na którą uda mu się natknąć.

Dobry Boże! Irańczycy nie strzelą mu chyba wtedy w plecy.

Gdy podchodzili do wejścia, Mobasher delikatnie przytrzymał Rossa za ramię.

– Ubranie – powiedział. – Szybko! Chcę, żebyś się przebrał.

Ethan rozejrzał się dookoła. W sklepie było mnóstwo ubrań marki Lacoste, także odzieży narciarskiej. Ethan sięgnął więc po grube nylonowe spodnie, włożył je, a potem poszukał grubego swetra.

Gianna Bertoli przyglądała mu się w milczeniu. Dla Rossa było oczywiste, że Szwajcarka rozumiała, iż zupełnie straciła kontrolę nad sytuacją, i zaczęła się bać. Jej niepokój jeszcze bardziej zachęcał go do podjęcia próby wyrwania się z rąk Irańczyków.

Ross przebrał się w mgnieniu oka i równie szybko włożył gumowe kalosze.

Mobasher spojrzał na niego i skinął głową z aprobatą, a potem jeden z Irańczyków odryglował szklane drzwi sklepu odzieżowego.

Serce Ethana, który łączywie wciągał ciepłe powietrze sklepu, waliło jak młotem.

Ross dostrzegł swoją szansę.

Kiedy po raz drugi okrążał kompleks budynków sąsiadujących z Four Seasons, Dom doszedł do przekonania, że coś poszło nie tak. Wiedział, że ludzie z Zespołu Ratowania Zakładników zamierzali szybko wejść do hotelu i wykorzystać element zaskoczenia, aby obezwładnić cel oraz jego ochronę. Każda dodatkowa minuta spędzona przez nich w budynku oznaczała, że jeden z ochroniarzy lub policjantów mógł zniweczyć całe przedsięwzięcie.

Właśnie wtedy, jak na zawołanie, Dominic usłyszał dźwięk syren dochodzący od strony mostu nad Rodanem.

Nadjeżdżała miejscowa policja, a Dom miał cholerną nadzieję, że Albrightowi udało się pojmać Rossa i wynieść się z budynku, zanim zaroi się w nim od uzbrojonych ludzi, którzy będą się chcieli dowiedzieć, co dwunastu Amerykanów w kombinezonach robi w pięciogwiazdkowym hotelu.

Skrecając ponownie w rue de Cendrier, Dom znów zauważył białego vana. Samochód zatrzymał się przed wejściem do sklepu z odzieżą męską.

Caruso zerknął przez lewe ramię, wypatrując samochodów grupy obserwacyjnej na rue du Mont-Blanc. Dostrzegł je, lecz były oddalone o pięćdziesiąt metrów i stały tyłem do niego.

Dom zwolnił, a potem nagle zahamował, gdy zobaczył, że w otwierających się drzwiach nieoświetlonego sklepu odzieżowego pojawił się Ethan Ross, który wysunął się przed grupę złożoną z mężczyzn i kobiety, a potem pobiegł szybko jak diabli.

– Nie, nie, nie! – wymamrotał Dom.

Ethan rzucił się do ucieczki, gdy tylko znalazł się na zewnątrz. Ruszył biegiem w prawo, próbując okrążyć przód vana. Najwyraźniej zaskoczył tym Mohammeda i jego ludzi, ponieważ udało mu się pokonać kilkoma susami chodnik o szerokości trzech metrów, mimo że pokrywający go śnieg sięgał mu do kostek. Wbiegł na jezdnię, poślizgnął się na lodzie, lecz zdołał się wyprostować i pognął przed siebie.

Prawie udało mu się minąć zderzak furgonetki, gdy jej kierowca wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu w podłogę. Van wystrzelił do przodu, a potem trafił Amerykanina, waląc go mocno w bok i wyrzucając w powietrze.

Ross trzasnął plecami o ziemię nie dalej niż piętnaście metrów od Caruso.

Jasna cholera! – krzyknął Dom.

W pierwszym odruchu chciał podjechać do Rossa i wciągnąć go na motocykl, a potem odjechać, albo przejechać go jeszcze raz, lecz do Amerykanina podbiegło już trzech mężczyzn. Obrócili go na brzuch i nie patyczkując się, postawili na nogach.

Dom siedział na dudniącym motocyklu, podczas gdy Rossa otoczyła cała grupa jego kompanów. Popychali go i ciągnęli na chodnik, a na koniec wsadzili do vana, który ruszył w kierunku motocyklisty.

Caruso przepuścił samochód, a potem zaczął przyglądać mu się przez ramię. Biały van skręcił w rue du Mont-Blanc.

Gdy zniknął za rogiem, Dom zwiększył obroty silnika, wrzucił bieg i ślizgając się, obrócił

motocykl w miejscu. Ruszył w pościg za amerykańskim zdrajcą.

Ethan leżał na plecach z tyłu vana, a tuż obok siedziała Bertoli okutana w płaszcz. Zgodnie z tym, co powiedział wcześniej Mobasheri, jej bagaż został spakowany i położony przy tylnych drzwiach samochodu obok walizki Rossa. Bertoli sięgnęła po swój płaszcz, gdy tylko weszła do kabiny. Później, siedząc blisko Rossa, nie zaoferowała mu żadnej pomocy i zachowywała się tak, jakby zżerały ją jej myśli i zmartwienia.

Uderzenie samochodem i upadek na jezdnię pokrytą twardo ubitym śniegiem sprawiły, że Ross czuł ból w biodrze, plecach i stłuczonym ramieniu. Nie sądził, by sobie coś złamał, chociaż nie był tego pewien.

Mohammed, który zajął miejsce pośrodku rzędu siedzeń, odwrócił się, pochylił nad Ethanem i zapytał:

– Wszystko w porządku?

Troska w jego głosie wydawała się prawdziwa.

– Mogłeś mnie, kurwa, zabić! – ryknął w odpowiedzi Ross.

Mohammed uśmiechnął się, odwrócił się do przodu, a potem powiedział coś w fārsī swoim ludziom. Dwaj z nich natychmiast stanęli nad Ethanem i zaczęli ciągnąć go za ubranie.

– Co robicie?

– Uciekałeś, ale nie zabrałeś swojego komputera. Nie masz w nim plików, prawda? Masz je na sobie.

– Nie! – krzyknął Ross.

Zajął im to tylko minutę. Rozebrali go do naga i przetrzepali jego ubranie, podczas gdy on leżał, kuląc się jak embrion. Jeden z mężczyzn rozpostarł mu ręce, drugi rozsunął nogi. Byli gotowi do sprawdzenia otworów ciała, lecz Ethan ich powstrzymał.

– Okej! Okej! – zawołał.

Sięgnął do biodra i oderwał plaster. Mohammed obejrzał go, po czym odkleił mikrodyk.

Pokiwał głową z uznaniem.

– Dobra robota, Ethan – powiedział. – Dobra robota. Komputer był tylko wabikiem.

Ethan wciągnął na siebie ubranie. Ubierając się, zapytał Mohammeda:

– Należysz do Sił Ghods, prawda?

– Jestem Strażnikiem Rewolucji – oświadczył Mohammed. – Wypełniam misję na rozkaz Najwyższego Przywódcy. To oni należą do Sił Ghods.

– Dokąd jedziemy? – zapytała głośno Bertoli, która siedziała zapomniana w kącie vana.

Mohammed zdawał się rozważać przez chwilę, czy powinien odpowiedzieć. W końcu rzekł:

– Widzicie, co się dzieje, kiedy próbujecie uciekać?

Ross i Bertoli skinęli głowami.

– Jedziemy do Genui.

– Do Genui we Włoszech? – Bertoli była zdezorientowana. – Co takiego jest w Genui?

Mohammed uśmiechnął się i wyjaśnił:

– Łódź, która zabierze nas do Libii.

Bertoli zaczęła wykrzykiwać stek obelg, dając jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty na tę podróż. Ross przyjął inną taktykę.

– Do Genui jedzie się cztery do pięciu godzin. Zanim tam dotrzemy, Amerykanie będą już dawno wiedzieć, gdzie jesteśmy.

– To moje zmartwienie, Ross – odparł Mohammed. – Martw się raczej tym, o co cię spytamy, gdy już będziemy tam, dokąd jedziemy.

Ross miał to, czego potrzebowali. Chcieli poznać hasło. Ethan obiecał sobie, że nigdy im go nie poda, ale kiedy pomyślał o metodach, których użyją, aby zmusić go do mówienia, zamknął oczy i zaczął się trząść.

Dom Caruso był doświadczonym motocyklistą, lecz jeszcze nigdy nie ścigał się motocyklem enduro po ulicach pokrytych lodem, w dodatku w kasku z szybką zasypaną do połowy śniegiem.

Jakby tego było mało, musiał wykorzystać swoją podzielność uwagi, aby zatelefonować.

Przez pierwszych kilka minut van obserwowany przez Doma przeciskał się przez wąskie, kręte uliczki genewskiego śródmieścia, przejeżdżał przez rozmieszczone co sto metrów skrzyżowania i mijał duże budynki przesłaniające widok. Caruso nie mógł obsłużyć telefonu, skoro jechał w rękawicach, postanowił więc skoncentrować się na tym, aby nie zgubić swojej zdobyczy.

W końcu droga nieco się wyprostowała i Dom mógł trzymać się sto metrów za vanem. Wsunął rękę pod pośladek i po dłuższej chwili uwolnił ją od rękawicy. Uważał, by jej nie zgubić podczas wybierania numeru.

Po czterech dzwonekach usłyszał nagranie:

– Tu specjalny agent nadzorujący Darren Albright. Teraz nie mogę odebrać telefonu. Proszę zostawić wiadomość. Miłego dnia.

Kurwa!

Znakomite słuchawki bezprzewodowe oraz miękkie, tłumiące dźwięki wewnątrz kasku uczyniły rozmowę dość wyraźną, lecz Dom i tak musiał przekrzykiwać ryk silnika.

– Albright, to ja! Ross i Bertoli w towarzystwie kilku uzbrojonych obiektów jadą dwunastoosobowym vanem w kierunku... Zgaduję, że na południe. Przejechaliśmy przez Pont du Mont-Blanc i jesteśmy na... Chwileczkę, zaraz minę znak... Jesteśmy na Route du Malagnon. Potrzebuję pilnie Zespołu Ratowania Zakładników, zanim dojadą na miejsce. Oddzwonź.

Dom się rozłączył.

Musiał ponownie zmniejszyć odległość od vana, ponieważ znaleźli się na pagórkowatym obszarze południowo-zachodniej części miasta, a później znowu ją zwiększył, bo wjechali na szeroką i prostą rue Blanche. Raz nieomal stracił van z oczu z powodu silnych opadów śniegu, lecz zdał się na los szczęścia i zwolnił. Opłacało mu się to, gdyż zauważył kątem oka biały pojazd, który właśnie skręcał w kierunku zjazdu na autostradę.

Wjechali na A40. Dom uznał to za dobrą wiadomość, ponieważ nie dało się śledzić przez dłuższy czas vana jadącego ulicami miasta i pozostać niezauważonym. Złą wiadomością było natomiast to, że autostrada była mniej zatłoczona niż zwykle i Caruso był pewien, że zaczął bardziej rzucać się w oczy. Samochód zwiększający prędkość gubił się w śniegu szybciej niż jego czarny motocykl, szary strój i czarny kask. Dom starał się trzymać jak najdalej od vana i zapewnić sobie jak najlepszą widoczność. Mniej więcej co dwadzieścia sekund przecierał przedramieniem szybkę swojego kasku.

Nie był pewien, czy Darren Albright odbierze jego wiadomość na czas i zdąży ruszyć za Rossem. Szwajcarska policja mogła już przecież zatrzymać zespół FBI w areszcie lub po prostu mu przeszkadzać, co zdaniem Doma byłoby równie niekorzystne.

Zatelefonował więc do Adary, która odebrała po pierwszym dzwonku.

– Gdzie jesteś? – zapytała. – Wróciłam do Four Seasons. Roi się tu od policji.

Dom powiedział Adarze, gdzie się znajduje.

– Co mogę zrobić?

– Zadzwoń do Gerry'ego i zdobądź nazwiska szefów placówek CIA w Genewie, Mediolanie i Lyonie, bo one leżą najbliżej. Jeśli nie namierzysz szefów, znajdź ich zastępów. Potem porozmawiaj z tymi ludźmi i przedstaw im sytuację.

Adara zawahała się.

– Okej, ale... Jak wygląda ta sytuacja?

– Dobrze pytanie. Po pierwsze: nie mów im, kim jesteśmy. Powiedz tylko, że Ethan Ross jedzie białym vanem autostradą A40 na południowy wschód. Golf echo, numer rejestracyjny trzy osiem dziewięć siedem siedem dwa. Cel podróży nieznany. W pojeździe jest pięć lub sześć uzbrojonych obiektów, być może Palestyńczyków, ale tylko zgaduję.

– Okej. Mogą chcieć jakoś sprawdzić moją wiarygodność.

– Powiedz im, że pracujesz dla agenta FBI Darrena Albrighta. Jeśli szefowie tych placówek są coś wari, to poruszają niebo i ziemię, żeby zdobyć informacje o Rossie. Później sobie sprawdzą, kto ich poinformował.

– Zabieram się za to – powiedziała Adara.

Caruso rozłączył się i zaczął walczyć z rękawicą, którą chciał włożyć z powrotem.

Przez prawie piętnaście minut Dom samotnie podążał za białym vanem, widząc z daleka tylko jego rozmyte tylne światła. Łomot serca i adrenalina towarzyszące pierwszym chwilom pościgu już znikły i pozostał tylko warkot silnik motocykla.

Ćwierkanie w słuchawkach zaskoczyło Doma. Ponownie zdjął rękawicę i odebrał, naciskając klawisz telefonu kciukiem.

– Albright?

– Caruso, co się, do cholery, dzieje? Jesteś tutaj? W Genewie?

– Właściwie jestem poza miastem. Jadę przez Alpy, cały czas na południowy wschód.

– Co robisz w Szwajcarii?

– Właśnie siedzę Rossowi na ogonie. A ty? Co ty jeszcze robisz w Genewie?

– Jeden z moich zespołów został zatrzymany przez policję kantonálną. Myślimy, że ktoś z miejscowych przekazał poufną informację o Rossie i dlatego na nas czekali.

- Nie śmiałym w to wątpić.
- Ilu jest z tobą? – zapytał Albright.
- Co znaczy: ilu?
- Ilu masz ludzi w zespole?
- W zespole? Nie ma żadnego zespołu. Lecę sam jak palec. Jestem tylko ja. Jadę motocyklem i gonię tego drania w śnieżycy.
- Pieprzysz głupoty. Wiem, że prowadzisz operację agencji.
- Coś ci powiem: jak mnie dogonisz, to zobaczysz, że nikogo ze mną nie ma. Będziesz mógł wtedy złapać Rossa i odebrać wszystkie zaszczyty.

– Jestem w drodze z pięcioma ludźmi. Inne wozy jadą na północ, żeby odciągnąć policję.

Dom przejechał przez małą wieś Bonneville, lecz wciąż poruszał się autostradą A40 i nic nie wskazywało, że Ross zamierza z niej zjechać. Przekazał tę informację Albrightowi, który poprosił go o pozostanie przez jakiś czas na linii. Musiał się naradzić ze swoim zespołem. Odezwał się po kilku minutach:

– Okej, wygląda na to, że jesteście najwyżej dziesięć minut przed nami. Ross i spółka jadą prosto w góry. Przy tej górnianej pogodzie nie będziemy mogli załatwić transportu powietrznego, ale to dobra wiadomość, bo Ross też nigdzie nie polecą. Jeśli dasz radę utrzymać ich na oku i doprowadzisz nas do nich, to ich dopadniemy i załatwimy sprawę jeszcze dzisiaj.

Dom zastanawiał się wcześniej nad pogodą i doszedł do takich samych wniosków. Żaden pilot śmigłowca na świecie nie próbowałby latać w takim górnym.

– Domyślasz się, dokąd jadą? – zapytał Dom.

– Za kilka minut będą na granicy francuskiej w Chamonix. Tam mogą skrócić w prawo i pojechać we włoskie Alpy. Nie wiem, w czym mogłoby im to pomóc. Może mają tam kryjówkę, a może chcą tylko gdzieś się zadekować i poczekać, aż pogoda się poprawi i będą mogli odlecieć.

– Jeśli zjadą z autostrady, będzie mi trudno trzymać się za nimi przez dłuższy czas.

– Zrozumiałem. Jesteśmy coraz bliżej. Zadzwoń, jak cię zobaczymy.

Caruso wspominał o czymś jeszcze.

– Jest coś, czego nie wiesz – rzekł. – W tej chwili Ross jest całkowicie bezwolny. Widziałem, jak próbował uciec. Uzbrojeni goście trzymają go, a być może także Bertoli, na muszce.

– To komplikuje życie jemu, nie nam – odparł bez wahania Albright. – Kiedy przystępujemy do aresztowania, traktuję każdego jak wroga.

Dom skinął głową schowaną pod kaskiem i powiedział:

– Nie mogę powiedzieć, że cię za to winię.

Zgodnie z podejrzeniami Caruso i Albrighta Ross i jego porywacze zjechali w Chamonix z autostrady i pojechali drogą prowadzącą do tunelu Mont Blanc, ciągnącego się przez ponad jedenaście kilometrów pod najwyższym szczytem Europy. Po drugiej stronie tunelu leżały Włochy.

Dom szybko zatelefonował do Albrighta i poinformował go o tym, zanim wjechał pod Mont Blanc i stracił sygnał sieci komórkowej.

Gdy znalazł się w tunelu, Dom natychmiast zwiększył odległość dzielącą go od białego vana do półtora kilometra. Kiedy dziesięć minut później wyjechał po włoskiej stronie, trafił w sam środek śnieżycy i na pewien czas stracił samochód Rossa z oczu. Przyspieszył i próbował dodzwonić się do Albrighta, aby przekazać mu najświeższe informacje, lecz ekstremalnie wąska dolina i tunele wcinające się w górskie zbocza pozbawiły go łączności z jadącym za nim zespołem FBI.

Na szczęście biały van mignął w oddali, więc Dom zaczął trzymać się jego tylnych świateł i skupił się na zachowaniu stałej odległości.

Po przejechaniu ponad piętnastu kilometrów van opuścił autostradę A5 i znalazł się na krętej dwupasmowej drodze SS26, która przeciskała się przez pogórze tworzące północną ścianę doliny.

Wkrótce potem Dom ponownie usłyszał ćwierkanie w słuchawkach.

– Albright?

– Tak. Okej, jesteśmy tuż za tobą. Widzieliśmy twoje tylne światło, kiedy skręcałeś na SS26. Masz jeszcze przed sobą Rossa?

– Wyprzedza mnie najwyżej o pół kilometra.

– Chcę, żebyś odbił w bok na najbliższym zjeździe i wyskoczył przed nim w miasteczku Saint Maurice. Dzięki temu zejdziesz nam z linii strażaków i znajdziesz się przed Rossem, na wypadek gdyby jednak udało mu się jakoś wymknąć.

– Zrozumiałem – odparł Dom. – Pojadę przez miasteczko i zaczekam na drodze, dopóki się do mnie nie odezwiesz.

– Jesteś uzbrojony, prawda? – zapytał Albright.

– Nie. Mam nadzieję, że Ross się nie wyślizgnie, bo wtedy nie będę w stanie go zatrzymać. Powodzenia.

– Aha – odparł Albright i zakończył rozmowę.

Albright i piątka jego ludzi, podzieleni na trzyosobowe grupy, jechali dwoma identycznymi srebrnymi fordami expedition. Ostatnie minuty upłynęły im na pokonywaniu górskich tuneli, w których rozpędzali się do ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, by później na odkrytych, śliskich odcinkach drogi zwalniać do dwudziestu pięciu. Taktyka ta pozwoliła im nadrobić stratę do amerykańskiego zdrajcy, dzięki czemu znaleźli się niecałe pięćdziesiąt metrów za

jego pojazdem, który właśnie wjeżdżał do następnego tunelu.

– Chcesz to zrobić w tunelu czy na otwartej drodze? – zapytał kierowca Albrighta.

– Na otwartej drodze. Możemy wykorzystać tę gównianą pogodę i dobrać im się do dupy tak, że nawet nas nie zauważą. Śliska droga pomoże nam ich zatrzymać.

– Przyjąłem.

Albright zdecydował, że zatrzymanie rozpocznie drugi ford. Siedzący za jego kierownicą agent wyczeka chwili, w której wyjadą z tunelu, śnieżycy zamaskuje pojazd i będzie można potem szybko ruszyć w stronę białego vana.

Mężczyźni w obu fordach odbezpieczyli swoje karabiny M4 z krótkimi lufami, a Albright położył dłoń na rękojeści pistoletu SIG tkwiącego w kaburze przy pasie. Agenci szykowali się do bardzo ryzykownej akcji, która miała się rozpocząć już za kilka sekund.

Ethan Ross wpatrywał się od kilku minut w Mohammeda. Irańczyk siedział, niemal bez przerwy trzymając telefon przy uchu. Właśnie zażarcie z kimś konferował. Posługiwał się językiem, który brzmiał raczej jak arabski niż fārsī, lecz Ross nie był tego pewien.

Nie znał żadnego z tych języków, ale zrozumiał jedno zdanie wypowiedziane przez Mohammeda. Po kilku głośnych, niemal agresywnych wybuchach Irańczyk powiedział coś, czego nie można było nie zrozumieć. Odezwał się po angielsku:

– Namierz mój iPhone.

Ross i Bertoli wymienili niepewne spojrzenia.

W chwili, gdy Mohammed odszczekiwał się do telefonu, kierowca vana zerknął w lusterko wsteczne i zaalarmował wszystkich okrzykiem. I tym razem Ross niczego nie zrozumiał, lecz nagle zauważył, że wszyscy Irańczycy zaczęli oglądać się za siebie. Podążył za ich wzrokiem i zobaczył srebrnego SUV-a nadjeżdżającego z tyłu lewym pasem.

Pomyślał, że to tylko jakiś szalony kierowca ignorujący paskudne warunki na drodze, ale Irańczycy sięgnęli pod kurtki i wydobyli broń.

Ross skulił się na siedzeniu, nie przestając wyglądać przez okno. Wciąż oczekiwał, że srebrny SUV ich wyprzedzi, lecz ku jego przerażeniu SUV zjechał nagle na ich pas i uderzył w lewą tylną część vana.

Tyle wystarczyło. Kierowca vana krzyknął i stracił nad nim kontrolę. Przód samochodu powędrował w lewo, a jego tylne koła w prawo. Wkrótce wszyscy zaczęli chwytac za coś lub za kogoś, a van sunął bokiem po śliskiej drodze z prędkością ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Gdy się obrócił o sto osiemdziesiąt stopni, Ross grzmotnął w Bertoli. Samochód nie zwolnił, aż zderzył się z barierą energochłonną, a potem długo o nią szorował.

Przy końcu bariery van wypadł z drogi i ześlizgnął się wolno po dziesięciometrowym zboczu pokrytym śniegiem. Chwiał się jeszcze przez chwilę, a potem przewrócił się na bok i mocno uderzył w zaspe.

Ross, który wylądował na leżącej w tyle vana Gianni Bertoli, zobaczył przed sobą trzech ściśniętych żołnierzy Sił Ghods. Kierowca i pasażer siedzący z przodu byli wciąż przypięci pasami.

Mężczyźni ruszyli jeden przez drugiego w stronę drzwi kierowcy. Przetoczyli się po kolei po boku samochodu i upadli w śnieg, a potem ukryli się za dachem i maską vana.

Ross usłyszał odgłos otwierających się tylnych drzwi i nagle poczuł czyjeś ręce na kurtce i pasie, a nawet na włosach. Dwaj mężczyźni wyciągnęli go brutalnie z przewróconego vana i rzucili na śnieg. Ross krzyczał z bólu, bo niewiele brakowało, aby jego włosy zostały wyrwane razem ze skórą.

Przez chwilę leżał nieruchomo na plecach, widząc drogę i dwa zaparkowane na niej srebrne fordy expedition. Obok nich pojawiło się kilku mężczyzn, którzy przykucnęli z karabinami wymierzonymi w Ethana.

Leżący Ross wyciągnął ręce do góry, lecz właśnie wtedy ktoś chwycił go za kostki i przeciągnął wokół vana poza linię ognia.

Ross szybko się rozejrzał. Gianna siedziała w śniegu, opierając się plecami o dach samochodu. Wyglądała na oszołomioną, a czarnogranatowe siniaki na jej policzku i oczodole powiedziały Ethanowi, że została ranna.

Dookoła widać było Irańczyków w narciarskich kurtkach. Dwaj, którzy wciągnęli Rossa za samochód, przyłączyli się do pozostałych. Mężczyźni klęczeli lub kucali za vanem, trzymając czarne pistolety. Spoglądali na przemian na drogę i na Mohammeda klęczącego na śniegu.

Ross ponownie przyjrzał się Irańczykowi i nie potrafił uwierzyć własnym oczom: Mohammed wciąż rozmawiał przez telefon.

Co, do kurwy nędzy?

W tej samej chwili Ethan usłyszał pisk megafonu.

– Ethanie Ross! Czy mnie słyszysz?

– Tak! – odpowiedział odruchowo Ethan.

– Każ swoim ludziom rzucić broń!

Ross poczuł zakłopotanie. Rozejrzał się dookoła. MOIM LUDZIOM?

– To nie są moi ludzie! Jestem więźniem!

Wzmocniony głos powiedział:

– Chcę zobaczyć broń na śniegu, natychmiast!

Bertoli gorączkowo podczołgała się do Mohammeda, chwyciła go za rękę i odciągnęła telefon od jego ucha, krzycząc:

– Musimy się poddać! Moi włoscy przyjaciele zapewnią nam ochronę! Proszę, nie rób niczego...

Mohammed uderzył ją na odlew na tyle mocno, że upadła na wznak, i wrócił do przerwanej rozmowy.

Z góry dobiegł głos mężczyzny z megafonem:

– Natychmiast podporządkujcie się naszym poleceniom albo będziemy zmuszeni...

Mohammed krzyknął coś w fārsī i wtedy sześciu mężczyzn ustawiło się bez wahania po obu stronach vana i otworzyło ogień do ludzi na drodze.

Przerażony Ross skulił się w pozycji embrionalnej i zatkał sobie uszy. Zamknął oczy. Wokół niego łądował wypluwany przez lufy pistoletów gorący metal.

Strzały oddawane z drogi były głośniejsze niż huk pistoletów.

Pięć sekund później Ross poczuł uderzenie w głowę. Otworzył oczy i zobaczył Irańczyka, który na niego upadł. Mężczyzna nie żył, a jego nogi w czarnych spodniach i zimowych butach przyciskały Ethana do śniegu.

Irańczyk po drugiej stronie przewróconego vana opadł na kolana i wypuścił pistolet. Trzymał się

za szyję, a Ethan dostrzegł fontannę krwi tryskającej przez jego palce. Mężczyzna jęknął, a wtedy z tyłu jego głowy eksplodowała następna czerwona fontanna. Irańczyk osunął się na śnieg u stóp swojego sąsiada, który nie przestawał strzelać.

Darren Albright usadowił się na tylnej osi jednego z fordów, wykorzystując go jako tarczę zatrzymującą pociski wystrzelone przez Irańczyków. Miał tylko pistolet SIG, ale za to jego pięciu ludzi leżących na drodze ostrzeliwało mężczyzn przy wanie miażdżącym ogniem.

Po trzydziestu sekundach nieustającej strzelaniny nastąpiła przerwa. Albright widział, jak jeden z jego ludzi został trafiony. Ranny został odciągnięty przez innego agenta w bezpieczne miejsce, lecz odniósł tylko lekkie obrażenia. Pozostali agenci sprawnie zmieniali pozycję na drodze i atakowali ze skrzydeł, otwierając ogień w tej samej chwili. Albright osłaniał ich, gotowy do ostrzelenia każdego, kto pokaże się nad dachem wana.

Usłyszał hałas jako pierwszy. Podniósł głowę i spojrzał w niebo, gdy rozpoznał charakterystyczne dudnienie wirników śmigłowca. Podczas śnieżycy odgłos maszyny wydawał się wręcz surrealistyczny; już po kilku sekundach skupił na sobie uwagę wszystkich agentów. Teraz nie przestawał sypać gęsty śnieg i wydawało się, że chmury wiszą najwyżej dziesięć metrów nad ziemią.

Albright zbliżył do ust radiotelefon i powiedział:

– To nie jest nasz helikopter. Kto nim, kurwa...

Z szarej zupy zawieszanej tuż nad drogą wyłonił się niebiesko-biały śmigłowiec oddalony najwyżej o sto metrów. Prześlizgnął się na wysokości dwudziestu metrów i zbliżył do dwóch SUV-ów, a potem obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, ukazując odsuwane drzwi. Na jego pokładzie widać było poruszających się ludzi. Później, jak w najgorszym koszmarze, Albright ujrzał błyski pojawiające się we wnętrzu śmigłowca i usłyszał szybkie staccato strzałów z broni automatycznej.

Pierwszy SUV podskakiwał w miejscu, a pełnopłaszczowe pociski bez trudu przesywały jego aluminiowe nadwozie.

Agent FBI, który znalazł się w pobliżu Albrighta, skierował broń w stronę nowego zagrożenia, lecz natychmiast skulił się i upadł, spryskując śnieg krwią ze zranionych nóg i brzucha.

Albright zanurkował pod samochód i wrzasnął do mikrofonu:

– Walcie do tego pierdolonego helikoptera!

Na pokładzie eurocoptera EC145, który przeleciał bokiem nad zasypaną śniegiem włoską autostradą, znajdowało się sześciu członków lyońskiej komórki Hezbollahu. Pięciu zabezpieczonych szelkami mężczyzn w tylnej części kabiny strzelało do Amerykanów na drodze z najrozmaitszej broni automatycznej, podczas gdy szósty trzymał pistolet CZ kalibru dziewięć milimetrów przy głowie pilota.

Mężczyzna nazywał się Ajiz. Był dowódcą tej komórki, a zarazem jej najstarszym członkiem. Miał dwadzieścia cztery lata i pozostawał w niemal stałym kontakcie z oficerem Armii Strażników Rewolucji Islamskiej, który koordynował tę operację przez większą część ostatniej doby.

Mohammed Mobasher planował uprowadzenie Rossa od chwili, gdy przybył do Genewy i zobaczył powitalne przyjęcie dla członków International Transparency Project. Postanowił wtedy wyciągnąć Rossa z rąk tej organizacji i zaczął opracowywać szczegółowy plan jego porwania. Doskonale wiedział, że pogoda się pogorszy – o burzy śnieżnej mówiono we wszystkich wiadomościach, ponieważ w tym sezonie przyszła wyjątkowo późno – ale nie przypuszczał, że będzie mógł wywieźć Rossa nad Morze Śródziemne drogą lądową, co miało potrwać cztery do pięciu godzin.

Mohammed wiedział także, że będzie potrzebował śmigłowca z pilotem, a wzięwszy pod uwagę nachodzące śnieżyce, stwierdził, że będzie to musiał być najlepszy pilot, który sobie poradzi w trudnych zimowych warunkach. Poprzedniego dnia poszukał informacji w Google i natrafił na prywatną firmę ratowniczą. Jej helikoptery zwoziły rannych alpinistów z Mont Blanc oraz innych szczytów Alp Graickich. Mohammed uznał, że dokonał najlepszego wyboru. Zlecił ludziom z komórki Hezbollahu w Lyonie porwanie śmigłowca tej firmy z pilotem, a potem wyznaczył miejsce poza Genewą, w którym maszyna miała się pojawić.

Mobasher dowiedział się też, że helikopter będzie mógł się stać niewidoczny dla radarów, jeśli polecą nisko przez Alpy. Zdecydował zatem, że Ross przesiądzie się z samochodu do śmigłowca w najbliższym dogodnym miejscu gdzieś w Dolinie Aosty.

Tego ranka o dziesiątej sześciu członków Hezbollahu przybyło do hangaru firmy Mont Blanc Copter Services. Z powodu burzy śnieżnej zawieszono wszystkie loty, lecz pracownicy i tak zjawili się w siedzibie firmy, aby zająć się papierkową robotą albo rutynowymi przeglądami. Na miejscu brakowało pracowników ochrony, była za to sekretarka, a z nią trzech techników, dwóch pilotów oraz recepcjonistka.

Ajiz i jego podwładni zagrozili im bronią i zaprowadzili do biura. Kiedy zapytali, który z pilotów ma większe doświadczenie, żaden z nich nie odezwał się ani słowem, ale zdjęcie na biurku recepcjonistki i tak wyjawilo Ajizowi wszystko, co chciał wiedzieć. Trzydziestoletnia recepcjonistka Claudette była córką liczącego pięćdziesiąt sześć lat pilota o imieniu Henri. Dowódca komórki

Hezbollahu czuł, że będzie mógł wykorzystać to pokrewieństwo.

Francuski pilot powiedział młodym mężczyznom z Bliskiego Wschodu, że są szaleni, jeśli sądzą, że ktoś może latać przy tak słabej widoczności.

Tak naprawdę oni mieli tego dnia równie małą ochotę na wzniesienie się w powietrze jak pilot. Musieli jednak wykonać rozkazy Mohammeda i wiedzieli, że jeśli zawiodą, zostaną wraz z rodzinami skazani w Libanie na karę śmierci.

Francuski pilot i jego córka zostali wciągnięci do hangaru, a pozostali pracownicy skrepowani łańcuchami i zamknięci w wolno stojącym magazynie. Nie zabito ich, ponieważ Mohammed rozkazał Ajizowi pozostawić pracowników przy życiu. Wiedział, że pilot musiał uwierzyć, że po zakończeniu operacji nic mu się nie stanie.

Zabicie pozostałych osób kazałoby mu podejrzewać, że nawet całkowite podporządkowanie się nie zagwarantuje ocalenia ani jemu, ani jego córce.

Ajiz kazał pilotowi zatankować i rozgrzać największą maszynę w hangarze, którą był niebieski eurocopter EC145, a potem pilot, jego córka oraz członkowie Hezbollahu z Lyonu wytoczyli śmigłowiec na zewnątrz.

Pilot błagał uzbrojonych mężczyzn, aby jeszcze raz przemyśleli swoją decyzję: mówił im, że helikopter z całą pewnością zderzy się z górą, zanim uda im się zrobić to, co zaplanowali. Ajiz przypiął się pasami do przedniego fotela i wymachiwał pistoletem, a Claudette umieszczono z tyłu kabiny pomiędzy pozostałymi mężczyznami. Ajiz włożył słuchawki i powiedział pilotowi, że będzie musiał najpierw wlecieć w dolinę, a później otrzyma dalsze instrukcje.

Śmigłowiec uniósł się w szarość. Pilot użył instrumentów pokładowych oraz radaru i GPS-u, aby móc powoli przelecieć między szczytami. Był pewien, że się rozbiją, ale wiedział, że ocalił swoich współpracowników, i rozpaczliwie próbował wymyślić jakiś sposób na ocalenie córki.

Lot był bardzo niebezpieczny i stresujący. Ajiz niemal bez przerwy kontaktował się z Mohammedem, co uczyniło sytuację jeszcze trudniejszą. Pilot leciał o wiele wolniej, niż żądał Mohammed, lecz odmówił zwiększenia prędkości, nawet wtedy, gdy Ajiz przycisnął mu pistolet do szyi.

Wykorzystując informacje pobierane przez aplikację w iPhonie Mohammeda, Ajiz był w stanie doprowadzić pilota do vana na drodze, mimo że sygnał docierający do telefonu zniknął, gdy samochód wjeżdżał do któregoś z tuneli.

Gdy śmigłowiec zszedł na wysokość zaledwie ośmiu metrów, pilot dostrzegł ziemię, a także przewody ciągnące się wzdłuż drogi. Zachęciło go to do zwiększenia prędkości maszyny.

Mohammed skontaktował się z Ajizem w ciągu sekund od momentu, gdy van stoczył się ze skarpy. Powiedział mu, że on i jego ludzie zostali zaatakowani, i rozkazał ostrzelać Amerykanów oraz ich samochody stojące na drodze.

Chwilę później przed helikopterem pojawiły się dwa srebrne SUV-y. Ajiz kazał pilotowi ustawić maszynę bokiem, aby jego podwładni mogli otworzyć ogień przez odsunięte drzwi. Henri udał, że taki manewr może spowodować problemy, ale kolba AK-47 przy głowie Claudette przekonała go, że powinien posłuchać polecenia. Lecąc prostopadle do autostrady, Henri usłyszał huk strzałów dochodzący z tylnej części kabiny jego śmigłowca. Skulił się najmocniej jak potrafił i miał nadzieję, że córka zrobi to samo.

Minutę wcześniej Dominic Caruso pędził przez niewielką wieś Villair, starając się utrzymać możliwie największą prędkość, przy której nie musiałby się obawiać, że jego ciężki motocykl wpadnie w poślizg albo uderzy w kamienny dom lub drewniany płot. Po prawej stronie słyszał odgłosy strzałów dochodzące do niego z miejsca oddalonego o jakiś kilometr. Rozpoznał karabiny M4 i pistolety, więc pospieszył z powrotem ku drodze, aby jak najszybciej włączyć się do walki.

Kiedy się znalazł kilkaset metrów od drogi SS26, zwolnił, gdyż odniósł wrażenie, że usłyszał odgłos helikoptera. Jego obecność wydała mu się mało prawdopodobna, wręcz niemożliwa, ponieważ po obu stronach drogi wznosiły się wzgórza, a droga ginęła w chmurach, których można było niemal dotknąć.

Dom już prawie przestał myśleć o tajemniczym dźwięku, gdy nagle usłyszał o wiele głośniejszą strzelaninę. Rozpętała się w miejscu, w którym agenci FBI mieli zatrzymać białego vana. Wyglądało na to, że użyto tam dodatkowej broni i jedynym wytłumaczeniem, które przyszło mu do głowy, było to, że Irańczykom udało się jakoś ściągnąć posiłki na pokładzie śmigłowca.

Dom wtoczył się na SS26, skręcił na zachód, otworzył przepustnicę i pochylił się za małą owiewką. Popędził na złamanie karku przez ścianę śniegu, chociaż nie miał pojęcia, co zobaczy, gdy dotrze na miejsce potyczki.

Specjalny agent nadzorujący Darren Albright przywarł płasko do zamrożonej autostrady. Nie było miejsca, w którym mógłby się ukryć przed helikopterem wiszącym mu nad głową, mógł więc tylko ostrzelać go z pistoletu albo stać się jak najmniejszym celem na otwartej przestrzeni.

Metr, może dwa od niego padł kolejny agent z Zespołu Ratowania Zakładników. Albright zobaczył rozpryskujące się wokół niego fragmenty zamrożonego asfaltu.

Helikopter, wciąż ustawiony bokiem, przeleciał powoli nad drogą. Albright wystrzelał w jego stronę cały magazynek pistoletu, więc sięgnął po leżący obok karabin martwego agenta. Śmigłowiec szybko się obrócił, aby jeszcze raz przelecieć nad drogą. Albright ustawił selektor karabinu na ogień półautomatyczny. Wycelował w wirnik ogonowy maszyny i posłał w jego stronę jeden pocisk, a potem drugi i trzeci.

Po kolejnym strzale w rotor Darren zrozumiał, że będzie musiał się ukryć pod SUV-em po prawej, ponieważ niebieski śmigłowiec leciał prosto w jego stronę. Opuścił karabin i puścił się biegiem, lecz zauważył kątem oka mężczyznę stojącego na pagórku niedaleko drogi. Był to jeden z ludzi z białego vana. Albright skierował broń w jego stronę w tym samym momencie, w którym mężczyzna wziął go na muszkę.

Albright poczuł uderzenie w prawy bark, znacznie powyżej kamizelki kuloodpornej, i wypuścił karabin z ręki. Drugi pocisk trafił Albrighta w kamizelkę, lecz trzeci wbił się w miednicę: złamał ją i powalił agenta FBI na drogę. Albright upadł na plecy i popatrzył w niebo w chwili, gdy przeleciał nad nim śmigłowiec, gotowy do kolejnego nalotu.

Na pokładzie eurocoptera znajdowały się dwa trupy. Byli to ludzie z Hezbollahu, których zastrzelili agenci z Zespołu Ratowania Zakładników FBI. Głowy zabitych mężczyzn, wciąż przypiętych pasami do siedzeń, kołysały się bezwładnie w rytm ruchów śmigłowca.

Trzeci z mężczyzn, postrzelony w prawą rękę, kontynuował ostrzał, trzymając broń w lewej,

dopóki on i inni nie zobaczyli Irańczyków idących pod górę w stronę drogi i przechodzących pomiędzy leżącymi na niej ludzkimi kształtami.

Ajiz kazał pilotowi wylądować i Henri spełnił jego żądanie.

Gdy śmigłowiec dotknął ziemi, Mohammed Mobasheri podniósł się i stanął za vanem leżącym u podnóża przydrożnego stoku. Skierował pistolet w stronę Ethana Rossa, który wciąż kulił się na śniegu.

– Ruszaj! – rozkazał.

Ethan wstał powoli z rękami w górze, a Gianna Bertoli wstała razem z nim. Pomaszerowali pod górę, mając Mohammeda za plecami.

Francuski pilot siedzący w nieruchomym śmigłowcu spojrzął na Ajiza i powiedział:

– Chcę porozmawiać z córką.

– Dlaczego?

– Ona dobrze zna tę autostradę. Może nam pomóc się stąd wydostać. Ja latam tylko nad górami.

Ajiz obejrzał się przez ramię. Nadgarstki kobiety były skrępowane paskami wyciętymi z jednego z siedzeń. Claudette miała także zapięte pasy. Na jej twarzy widać było krew, lecz była to krew jednego z zastrzelonych mężczyzn z Hezbollahu. Na ścianie kabiny obok Claudette wisiały słuchawki. Ajiz machnął pistoletem, dając kobiecie do zrozumienia, że powinna je założyć na uszy.

Claudette wykonała to polecenie, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Henri przemówił do niej po włosku. On i jego córka byli Francuzami, lecz oboje znali ten język. Henri mógł się tylko modlić, aby nie znał go siedzący obok niego mężczyzna z Bliskiego Wschodu.

– Kiedy wystartujemy, polecimy nad górami – powiedział Henri. – Jeśli możesz to zrobić... Będziesz musiała wyskoczyć.

– Ale co z tobą?

– Ci ludzie nie zostawią nas przy życiu, uwierz mi. Chcę, żebyś przeżyła. Ja też spróbuję się uratować, ale tylko wtedy, kiedy ty będziesz bezpieczna.

Henri warknął na córkę. Ajiz zerknął na nich, ale pomyślał, że pewnie się kłócą o drogę przez dolinę.

– W takim razie oboje umrzemy. Proszę, Claudette. Tylko ty możesz dać nam obojgu szansę.

Ich spojrzenia się spotkały. Kobieta prawie niezauważalnie skinęła głową, a potem zaczęli omawiać trasę, którą mieli wyruszyć na południe.

Odcinek drogi SS26 w pobliżu stojącego na ziemi śmigłowca wyglądał makabrycznie: były na nim zwłoki, krew i zniszczone samochody. Na każdym z pasów zatrzymało się cztery lub pięć prywatnych samochodów. Ich kierowcy nie byli świadkami strzelaniny i zobaczyli tylko to, co w pierwszej chwili uznali za następstwo strasznego wypadku drogowego, do którego przyleciał śmigłowiec ratunkowy. Podmuch wirnika zamieniał śnieg w oślepiający żywioł, który jedynie potęgował zamieszanie. Tylko kierowcy pierwszych samochodów jadących w przeciwnym kierunku widzieli broń, lecz trzymający ją mężczyźni w żaden sposób nie próbowali pomóc leżącym na drodze.

Czterej pozostali przy życiu żołnierze Sił Ghods zajęli miejsca w śmigłowcu, uwolniwszy najpierw z pasów martwych Libańczyków z Lyonu i wyrzuciwszy ich ciała na zamrożoną drogę.

Na pokład śmigłowca wszedł także Ross, którego upchnięto z tyłu kabiny i przypięto pasami.

Mohammed siedł na końcu grupy, która miała odlecieć. Gdy mężczyźni wchodzili kolejno do maszyny, Mobasher zorientował się, że nie wystarczy miejsca dla wszystkich. Odepchnął do tyłu Giannę Bertoli usiłującą dostać się na pokład. Była szczęśliwa, że może mu odstąpić ostatnie miejsce, bo myślała, że pozwoli jej odejść.

Mohammed usiadł i natychmiast się do niej odwrócił. Przekrzykując łomot wirnika, zawołał:

– Na twoje nieszczęście potrzebuję tylko Rossa i tych ludzi! Nie mam już pożytku ani z ciebie, ani z twojej organizacji!

Szybkim ruchem uniósł pistolet i strzelił Bertoli w czoło z odległości dwóch metrów.

Głowa Szwajcarki odskoczyła gwałtownie do tyłu, a jej ciemne kędzierzawe włosy zasłoniły twarz. Gianna upadła na plecy na środku drogi.

Ross, widząc śmierć Bertoli, zaczął krzyczeć z przerażenia. Helikopter uniósł się i zniknął w śnieżycy.

Dojeżdżając na miejsce, Dominic usłyszał nisko przelatujący śmigłowiec mielący powietrze dokładnie nad jego głową. Spojrzał do góry, ale zauważył w chmurach tylko przytłumione błyski jego świateł. Wciąż nie potrafił sobie wyobrazić, jak, do diabła, ktoś mógł wystartować w taką pogodę.

Kilka sekund później przejechał motocyklem przez prawdziwe pole walki. Na drodze leżały nieruchome ciała. Minął martwą Giannę Bertoli. Spoczywała na plecach, a jej kurtkę pokrywała już cienka warstwa śniegu.

Znalazł Albrighta, który leżał na boku obok jednego z ostrzelanych z góry samochodów. Dom zaparkował motocykl, podbiegł do agenta i ułożył go na wznak.

Albright żył, lecz dookoła było mnóstwo krwi. Dostał w bark i w biodro. Jęczał, niemalże w agonii, ale był przytomny. Wyciągnął rękę, sięgając po swój telefon komórkowy, który podczas strzelaniny upadł metr od niego.

Dom podniósł urządzenie i wręczył je Albrightowi.

– Czy Ross się ulotnił? – zapytał.

Albright skinął głową. Jęknął z bólu i powiedział:

– Helikopterem.

– Jeszcze go słyszę. Leci na południowy zachód.

– Fārsī.

– Co to?

– Mówili w fārsī. To Irańczycy.

– Na to wygląda – odparł Caruso.

– Musimy zawiadomić Włochów – powiedział Albright i zajęczał.

Dom wyjął apteczkę z najbliższego samochodu i wrócił do Albrighta, który wybierał numer zakrwawionymi palcami.

Przykląkł, aby opatrzyć rany agenta, lecz on odprawił go gestem ręki, mówiąc:

– Sprawdź najpierw innych.

Mohammed Mobasheri nie był zadowolony z umiejętności pilota: wydawało mu się, że Francuz leci zbyt wolno, choć trudno było to ocenić w morzu nieprzeniknionej bieli.

Irańczyk włożył słuchawki i przedarł się między ludźmi z Lyonu do fotela pilota.

– Lec szybciej! – zawołał.

Spojrzał na Ajiza siedzącego w fotelu drugiego pilota, a ten natychmiast zamachał pistoletem tuż przed twarzą Francuza.

Pilot zdawał się tego nie zauważać. Był bardzo spocony i wlepił wzrok w wielofunkcyjny

wyświetlacz, który miał przed sobą.

Na jego twarzy malowało się głębokie zaniepokojenie.

Ajiz, który leciał obok Francuza od pół godziny, zauważył zmianę w jego zachowaniu.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Mamy problem – odpowiedział Henri.

Mohammed przycisnął do głowy pilota pistolet.

– Kłamiesz! – krzyknął. – Polecisz tym helikopterem na południe. Do Genui.

– To wirnik ogonowy – powiedział do mikrofonu pilot.

– Co z nim nie tak?

– Nie reaguje prawidłowo.

Mobasheri krzyknął na mężczyznę:

– Nie! Kłamiesz!

Uderzył Henriego w głowę, lecz ten był tak skupiony na obserwowaniu wskaźników, że nawet nie zareagował. Kilka sekund później powiedział:

– Jest coraz gorzej.

Henri poczuł wprawdzie nienormalne drgania wirnika ogonowego, lecz w rzeczywistości nie tracił kontroli nad śmigłowcem. Wykorzystał tę sytuację, aby odbić w prawo, a potem, zgodnie ze wskazaniem mapy przesuwanej się na monitorze, polecieć wzdłuż ośnieżonego grzbietu górującego nad doliną.

Pilot zmniejszył pułap i prędkość.

Mężczyźni z Bliskiego Wschodu zaczęli na niego krzyczeć, krzyczał też człowiek siedzący za jego plecami, ale Henri skoncentrował się wyłącznie na tym, co właśnie przecież zaczął robić. Kiedy tylko znalazł się nad grzbietem, krzyknął do mikrofonu:

– Claudette!

Córka, siedząca za jego plecami, dostrzegła swoją szansę. Błyskawicznie rozpięła pas fotela i rzuciła się w kierunku blondyna siedzącego przy tylnych drzwiach, a potem wysunęła nogi na zewnątrz kadłuba. Shiraz zrozumiał zamiary kobiety. Ruszył w jej stronę, gotów chwycić którąkolwiek część jej odzieży. Spiralne przewody słuchawek się naprężyły, gdy zacisnął palce na narciarskiej kurtce Claudette, ale grawitacja okazała się silniejsza niż jego chwyt. Córka francuskiego pilota poszybowała w dół.

Inni mężczyźni siedzący z tyłu również zauważyli zamieszanie, lecz byli zbyt powolni i mogli jedynie przyjrzeć się kobiecie znikającej wśród drzew pokrytych śniegiem. Spadła z wysokości najwyżej piętnastu metrów, trafiając po drodze na sprężyste gałęzie, które łagodnie zamortyzowały jej upadek na biały puch.

Mogła połamać sobie kości i przeleżeć wiele godzin, zwijając się z bólu, ale miała szansę przeżyć.

Henri odwrócił się w fotelu, ponieważ usłyszał krzyki w fārsī, a kiedy to robił, modlił się, aby nie zobaczyć Claudette w kabinie. W pierwszej chwili nie był niczego pewien. Zobaczył tylko płataninę nóg i rąk oraz niewyraźne ruchy rozłoszczonych mężczyzn pełzających jeden na drugim. Kaskada krzyków w słuchawkach podpowiedziała mu, że ci ludzie są poruszeni. Mógł więc mieć nadzieję, lecz nie potrafił jeszcze dojrzeć siedzeń tuż za swoimi plecami. A może Claudette przesadzono na

inne miejsce? Dopiero kiedy zobaczył mężczyzn wyglądających za burtę śmigłowca z malującymi się na ich twarzach gniewem, niedowierzaniem, a nawet strachem, zyskał pewność: udało jej się!

Jego piękna, olśniewająca, dzielna córka zrobiła to, do cholery!

Serce łomotało mu przez ostatnią godzinę ze strachu i nie chciało się uspokoić, a teraz zaczęło bić przepelnione ojcowską dumą.

Henri odwrócił się do monitora i przeleciał nad szczytem, nabierając prędkości tak szybko, jak to tylko było możliwe. Niewielka kręta dolina znikła gdzieś pod brzuchem śmigłowca i ci ludzie nigdy nie będą w stanie jej znaleźć. Jeśli nawet Claudette nie była bezpieczna, to na pewno nie musiała się już obawiać tych morderców.

Teraz Henri przygotowywał się, aby zdobyć się na odwagę równie wielką, jak ta, którą wykazała jego mała dziewczynka. Obrócił się w prawo i spojrzał na człowieka zwanego Ajizem, a potem zerknął przez ramię na drobnego mężczyznę o chłopięcej twarzy. Nazywali go Mohammed. Wydawało się, że jest ostatnim, który mógłby rządzić w grupie. Ale właśnie w tej chwili przebywał w tyle kabiny i najwyraźniej upominał swoich ludzi, z których tylko dwóch miało na uszach słuchawki i mogło go usłyszeć. Mohammed przestał nagle mówić i odwrócił głowę w stronę pilota.

Henri patrzył na niego z lekkim uśmiechem oznaczającym determinację.

Oczy Irańczyka rozszerzyły się

– Non! – krzyknął.

Henri uśmiechał się coraz szerzej, widząc strach na twarzy Mohammeda.

– *Oui* – powiedział, szczerząc zęby.

Henri odwrócił się z powrotem w stronę steru i nabrał głęboko powietrza, a potem mocno popchnął drążek do przodu i wcisnął w podłogę dźwignię zmiany kąta łopat.

Eurocopter zaczął opadać na pagórki, do których dzieliło ich jeszcze wiele metrów.

Przerażony Mohammed wrzeszczał wniebogłose, podczas gdy Henri zamknął oczy i poczuł pełny spokój na myśl, jakim był szczęściarzem, skoro spędził życie w pobliżu tak pięknego miejsca jak ta góra.

Mohammed oderwał wzrok od pilota i ujrzał niespodziewaną ciemność, która wypełniła prawą stronę przedniej szyby. Na drodze śmigłowca znalazła się poszarpana ściana skalna, a gwałtowny wstrząs z tyłu uzmysłowił wszystkim na pokładzie, że uderzył w nią wirnik ogonowy. Potem się rozsypał, a śmigłowiec obrócił się ostro w lewo. Główny wirnik zanurkował między drzewa i maszyna uderzyła w zalesione wzgórze, a potem potoczyła się w dół.

Dom znalazł jeszcze dwóch żywych Amerykanów, lecz obaj byli ciężko ranni. Na miejscu pojawiło się kilka samochodów pełnych cywilów, którzy mieli własne apteczki i zaczęli opatrywać rannych najlepiej jak umieli. Caruso właśnie wrócił do Albrighta i ukląkł, aby mu pomóc, kiedy usłyszał odgłos dochodzący z południowego wschodu.

Ten dźwięk dotarł z daleka, ale był niepowtarzalny. Był to niski, stłumiony odgłos zderzenia.

Przytłumiony, lecz nieustający łopot wirnika urwał się nagle jak ucięty nożem.

Dom zerwał się na równe nogi i odwrócił się w tamtą stronę.

– Rozbili się! – krzyknął. – Helikopter spadł!

Albright trzymał telefon przy uchu i przyciskał gazę do zakrwawionego biodra. I on usłyszał hałas. Spojrzał na Caruso i powiedział:

– Dostań tego dupka. Sam sobie poradzę.

– Jesteś pewien?

– Jedź! – krzyknął Albright.

Agent specjalny FBI odłożył telefon i wyciągnął pistolet, podając go Domowi, lecz Caruso go zignorował. Podniósł karabin jednego z agentów z Zespołu Ratowania Zakładników i wyjął magazynek. Był pełny, z trzydziestoma nabojami. Karabin miał też zamontowany na szynie celownik powiększający obraz trzy i pół razy.

Dom bez słowa pobiegł do motocykla.

Mobasheri ocknął się z czołem zagrzebanym w śniegu, leżąc twarzą w dół na kawałkach strzaskanej szyby z pleksiglasu. Podparł się rękami i powoli uklęknął, a potem potrząsnął głową, aby pozbyć się uczucia oszołomienia wywołanego wstrząsem przy zderzeniu. Gdy zaczął się oglądać, zauważył, że jego prawy rękaw jest rozerwany, i poczuł ciętą ranę powyżej łokcia.

Udało mu się jakoś wyjść z poszarpanego kadłuba. Poczuł wiatr wiejący mu w twarz i śnieg topniejący na włosach.

Myślał, że jest noc, bo było ciemno, lecz kiedy się rozejrzał, spostrzegł, że śmigłowiec rozbił się w gęstym lesie na zboczu wzgórze. Wysokie drzewa kradły dużą część światła padającego z góry.

Helikopter się nie zapalił, co zdziwiło Mohammeda. Przypomniał sobie jednak krótkie szkolenie wojskowe sprzed lat. Dowiedział się wtedy, że zbiorniki paliwowe śmigłowców są odporne na przebicie i wybuchają bez porównania rzadziej niż w filmach.

Powrócił w myślach do swojej misji i obmacał płaszcz, szukając mikrodisku. Był na miejscu, w kieszeni zapinanej na suwak. Rozejrzał się zatem, wypatrując Rossa. Ethan był wciąż przypięty do przekrzywionego fotela zawieszzonego we wraku. Pomimo krwawiącego czoła miał otwarte oczy i rozglądał się dookoła, choć chyba nie do końca rozumiał, co się stało. Widząc, że Ross żyje, Mobasheri odetchnął z ulgą, która uśmierzyła ból jego ramienia. Podpełzł do Rossa, torując sobie drogę we wraku. Gdy się zbliżył, zauważył, że niektórzy z jego ludzi się ruszają. Jedni odpinali dopiero klamry pasów, inni zdążyli już opuścić wrak i czołgali się po śniegu.

Pozostali leżeli bezwładnie z pokrzywionymi kończynami.

Mohammed rozpiął uprząż Rossa, który zjechał się z fotela i osunął się na stertę pogniecionej blachy i powyrywanych przewodów.

– Wstawaj!

Rozbiegany wzrok i blada twarz Rossa wskazywały na lekki szok, ale nie przeszkodziło to w wykonaniu polecenia. Ross zaczął się ponosić, lecz gdy tylko przeniósł ciężar ciała na nogi, krzyknął i usiadł.

Mohammed spojrzął w dół i stwierdził, że prawa noga Rossa jest złamana dziesięć centymetrów nad kostką.

Sfrustrowany Irańczyk wrzasnął:

– *Madhar jendeh!* Ty skurwysynu!

Zaczął zwoływać swoich ludzi. Nie wiedział, który z nich przeżył, i nie pytał, który został ranny lub niesprawny. Kazał im po prostu wyciągnąć Amerykanina z wraku.

Gdy w końcu przestał zwracać uwagę na chaos we wnętrzu śmigłowca, mógł ocenić sytuację. Stracił jednego z żołnierzy Sił Ghods, był to Kashan, który wisiał na drzewie głową w dół z gałęzią wbitą w tułów. Jeden z mężczyzn z Lyonu, uwięziony we wraku, był bliski śmierci. Stracił

przytomność i miał problemy z oddychaniem.

Dobrą formę zachowało trzech żołnierzy Sił Ghods oraz trzech członków Hezbollahu, a wśród nich Ajiz, który wypadł ze śmigłowca na drzewa, lecz nie odniósł poważniejszych obrażeń i pierwszy stanął na nogi.

Mohammed dołączył do Shiraza i Ajiza obok wraku. We trzech obejrzeni miejsce katastrofy. Okolica wyglądała na nieprzystępną. Znajdowali się na stromym zboczu, porośniętym lasem, a dookoła nie widać było dróg ani jakiegokolwiek innego śladu obecności człowieka. Byli otoczeni sosnami pokrytymi grubą warstwą śniegu, który uchronił ich przed poważniejszymi skutkami zderzenia z ziemią.

Nic się nie paliło i tylko para ze śniegu topniejącego po zetknięciu z gorącymi silnikami mogła zdradzić ich pozycję. Wciąż jednak trwała burza śnieżna, a okolica tonęła w chmurach, więc Mohammed pomyślał, że prawdopodobnie nikt nie odkryje wraku, dopóki pogoda się nie poprawi.

Z trudem dotarł do przedniej części śmigłowca i zajrzał do środka. Pilot żył, lecz mocno krwawił i odniósł poważne rany. Leżał na wprost zagrzebany pod śniegiem, ziemią i szczątkami maszyny.

Dla Mohammeda nie miało to znaczenia, bo już go nie potrzebował.

Wielkim problemem był Ross. Mohammed kazał dwóm ze swoich ludzi podnieść go ze śniegu i zabrać. Powiedział im – oczywiście w farsī – że nie dba o to, jak się czuje ten człowiek, po prostu ma stąd zniknąć.

Trzy minuty po upadku helikoptera Mohammed, jego ludzie i ich więźni oddalali się od miejsca katastrofy, choć czynili to w bardzo wolnym tempie. Przed wyruszeniem w drogę Mobasher podszedł do pilota i wyjął pistolet.

Francuz wiedział o Genui, więc musiał umrzeć.

Dominic jechał motocyklem na południowy zachód prawie dziesięć minut, poruszając się drogami tym węższymi, im wyżej wjeżdżał i im bardziej zbliżał się do włoskich Alp. Minął po drodze wyludnione miasteczko Pondel, w którym jedynymi oznakami życia były nieliczne samochody przed miejscowym marketem oraz zapach drzewnego dymu. Stracił minutę, ślizgając się na zaśnieżonych uliczkach, kiedy próbował znaleźć drogę do miejsca upadku, lecz wkrótce i tak był zmuszony wjechać do lasu.

Cały czas musiał się domyślać, dokąd powinien jechać, ale jego domysły opierały się na konkretnych przesłankach: znał kierunek, w którym odleciał śmigłowiec, a także wiedział, skąd dobiegł do jego uszu odgłos uderzenia spadającej maszyny.

Droga kończyła się w miejscu, w którym zaczynał się stromy szlak pieszy, lecz Dom postanowił jechać dalej. Już po mniej więcej dwudziestu metrach przekonał się, że nie był to najlepszy pomysł. Zarzuciło go na pierwszym zakręcie, stracił równowagę i spadł z motocykla w przydrożne krzaki.

Zdecydował więc, że zostawi jednośląd i pójdzie na piechotę. Zerwał kask z głowy, a potem pomaszerował pod górę z karabinem M4 na plecach.

Podążał krętym szlakiem i wdychał rozrzedzone chłodne powietrze, zwalczając w sobie chęć zatrzymania się choćby na krótką chwilę. Szlak prowadził na południe, lecz Dom miał wrażenie, że za bardzo zbacza i może nie znaleźć miejsca, z którego dobiegł huk. Gdy się zatrzymał, aby rozważyć zmianę kierunku, usłyszał charakterystyczny odgłos wystrzału z pistoletu.

Zszedł ze szlaku i zaczął się wspinać między drzewami: kierował się tam, skąd padł strzał.

Mobasheri i jego świta wędrowali przez las od kilkunastu minut. Musieli najpierw wspinać się pod górę, ale kiedy przeszli przez niewielki zagajnik, ujrzeli przed sobą wąską dolinę. Leżała poniżej zwieszających się nisko chmur, mogli więc sięgnąć wzrokiem na kilkaset metrów, zanim krajobraz ponownie nie zatonął w bieli.

Niedaleko, może dwieście metrów od miejsca, w którym się zatrzymali, jeden z ludzi Mohammeda wypatrył skupisko łupkowych dachów, ledwie widocznych we mgle i śniegu. Natychmiast wyruszyli w tamtą stronę z Mohammedem na czele.

Daleko za ich plecami, po drugiej stronie doliny, słychać było syreny wozów ratowniczych, biorących udział w poszukiwaniach rozbitego śmigłowca, o którym poinformowali okoliczni mieszkańcy.

Gdy zeszli ze wzgórza na dno doliny, przez pewien czas widok zasłaniały im gęste sosny i Mohammed musiał zgadywać, czy podążają we właściwym kierunku. Ich powolna procesja wyszła w końcu spomiędzy drzew na brukowaną drogę, a potem podążyła wzdłuż niej.

Ostatecznie, w krótkiej przerwie pomiędzy jednym a drugim opadem śniegu, Mohammedowi udało się wypatryć górską chatkę, którą potraktował jako dar od Allaha.

– Tam! – zawołał. – Idziemy tam!

Przyjrzawszy się jej dokładnie, mężczyźni nie zauważyli śladów czyjejkolwiek obecności.

Shiraz wybił kopnięciem szybę, wczołgał się do środka i otworzył boczne drzwi. Był to domek, którego parter stanowiło jedno duże pomieszczenie.

Urządzono go bardzo nowocześnie jak na górską chatkę. Nie zabrakło w nim elektryczności i nowych sprzętów, a na biurku w kącie stał komputer iMac z dużym monitorem.

Mohammed wystawił na zewnątrz dwóch ludzi z Hezbollahu jako ochronę i kazał swoim trzem oficerom Sił Ghods pomóc oszołomionemu Rossowi usiąść na krzesło naprzeciw kominka.

Sam przeszedł z Ajizem na drugi koniec pokoju.

– Amerykanin nas spowalnia – powiedział. – To nie on jest mi potrzebny, tylko hasło w jego głowie. Gdy tylko je dostanę, wyjeżdżamy.

– Dalej przy drodze są jeszcze inne budynki. Mogę poszukać samochodu.

– Zrób to.

Po wyjściu Ajiza Mohammed przysunął swoje krzesło i ustawił je naprzeciwko Rossa. Amerykanin konał. Jego złamana noga była opuchnięta i pulsowała. Na ten widok Mohammedowi robiło się niedobrze.

Irańczyk wyjął z płaszcza mikrodysk i podał go Shirazowi, który włożył go do adaptera, a potem podłączył do maca. Otworzył okno do wprowadzania hasła pełzacza i spojrzał na swego dowódcę – Strażnika Rewolucji.

Mohammed z kolei przyglądał się Ethanowi.

– Nie traćmy czasu – powiedział. – Wiesz, czego potrzebuję. Podaj mi hasło do zaszyfrowanych plików, a zostawię cię tu i będziesz bezpieczny.

Ross otarł łzy mankietem kurtki. Jego głowa lekko drżała.

Mohammed przyłożył stopę do złamanej nogi Ethana.

– Nie mogę cię ze sobą zabrać – powiedział. – Jeśli nawet znajdziemy samochód, to nie będziemy mogli wyjechać, ciągnąc ze sobą rannego Amerykanina. Nie mogę nic zrobić. Więc albo podasz mi teraz hasło, albo... – Mohammed nakrył swoją stopę stopę Rossa. – Właściwie nie masz innego wyboru.

Przydepnął stopę Rossa, który zaczął krzyczeć i szarpać się na krześle.

Mobasheri przywołał Ormanda i Isfahana. Stanęli za Rossem i przytrzymali go w miejscu, wykręcając mu ręce do tyłu.

Ross zaczął krzyczeć, lecz Mohammed go przekrzyczał:

– Podaj mi hasło i to się skończy!

– Nie mogę tego zrobić! – krzyknął Ross, oszalały z bólu.

Mohammed zdjął stopę z pogruchotanych kości Rossa i usiadł na chwilę na krześle.

– Jesteś silniejszy, niż przypuszczałem – powiedział.

Wzruszył ramionami i odezwał się w fārsi. Shiraz pospieszył do kuchni. Znalazł w niej butelkę czerwonego wina i po krótkiej naradzie z Mohammedem rozbił jej dno, uderzając nią o kuchenkę. Wino wylało się na podłogę, a w dłoni Shiraza została butelka o obtłuczonych brzegach. Shiraz przyniósł ją i podał Mohammedowi. Wrócił do komputera.

Oczy Rossa zaokrągliły się ze strachu, a łzy kapały na podłogę, gdy potrząsał głową na wszystkie strony. Zaczął skomleć:

– Proszę, nie... Boże, proszę, nie...

Mohammed usiadł przed nim z ostrym kawałkiem szkła.

– Wiem coś o bólu, panie Ross – powiedział. – Złamana noga boli, ale piszczel nie jest najważniejszym ośrodkiem nerwowym, a opuchnięta tkanka ma lekkie właściwości znieczulające, co mnie akurat nie interesuje. Na nieszczęście dla ciebie widziałem tortury na własne oczy. Mój ojciec był kimś w rodzaju eksperta. Wyszkoliło go państwo, ale nie wahał się ćwiczyć na swoich dzieciach. Znam sposoby, które są najbardziej skuteczne.

Mohammed uśmiechnął się, przez co wydał się Ethanowi szalony, zwłaszcza po tym, co właśnie powiedział.

Irańczyk zwrócił się do ludzi stojących za Rossem:

– Postawcie go i zdejmijcie mu spodnie.

– Nie! – wrzasnął Ross.

Mężczyźni wykonali polecenie. Ross mógł obciążyć tylko lewą nogę, ale szarpał się desperacko, próbując się uwolnić od mężczyzn za jego plecami. Na próżno. Nie minęło pół minuty, a stał ze spodniami i bielizną opuszczonymi do kostek. Mohammed stanął naprzeciwko Rossa, trzymając straszliwe narzędzie tortur.

– Pod względem fizycznym i psychologicznym to, co chcę ci teraz zrobić, jest najgorszą rzeczą, jaką można zrobić mężczyźnie. – Mohammed się uśmiechnął, ale oczy mu się zwięziły, jakby przypomniał sobie przeszłość. – Mój ojciec nigdy mi tego nie zrobił, ale groził wiele razy. Wystarczyła sugestia i robiłem to, co chciałem. Teraz ty możesz zrobić to samo. Możesz tego bardzo łatwo uniknąć. Pomyśl tylko, jakiego miałbyś pecha, gdybym najpierw poszatkowałem ci genitalia i dopiero wtedy podałybyś mi hasło. Byłaby to niepotrzebna strata, prawda?

Ethan zaczął szlochać, a sfrustrowany Mohammed westchnął.

Caruso jeszcze nie widział wraku śmigłowca. Minął go wśród drzew w odległości pięćdziesięciu metrów, lecz wcześniej, wdrapując się na zbocze, natknął się na ślady grupy mężczyzn i plamy krwi na śniegu. Doprowadziły go one do zagajnika między wzgórzami. Mógł z tego miejsca przyjrzeć się dolinie, zauważył też, że wcześniej zatrzymał się tu Ross z swoimi towarzyszami. Świadczyły o tym takie same ślady jak te w pobliżu wraku helikoptera.

Dom obejrzał przez celownik swego karabinu rząd dachów widocznych w oddali. Wyglądały jak górskie chatki ustawione wzdłuż drogi, lecz było to wszystko, co udało się mu zobaczyć. Uznał za prawdopodobne, że Irańczycy mający Rossa mogli pójść w stronę tych budynków w nadziei, że uda im się znaleźć tam samochód, którym odjadą. Ta myśl sprawiła, że Caruso zwiększył tempo marszu. Prawie biegiem ruszył ze wzgórza w dół, w stronę drogi, próbując równocześnie skontaktować się z Adarą. Nie był szczególnie zaskoczony brakiem zasięgu w takim miejscu, więc włożył telefon do kieszeni i postanowił, że będzie jedyną przeszkodą pomiędzy Irańczykami a ich całkowitym i nieograniczonym dostępem do tajnych danych amerykańskiego wywiadu.

Potrzebował kilku minut na dotarcie do drogi, jej przekroczenie i ukrycie się między drzewami w pobliżu chatek.

Granica drzew przebiegała w odległości dwudziestu metrów od pierwszego domku, ale Caruso nawet się do niej nie zbliżył. Dzieliło go od niej dwadzieścia pięć metrów. Przyglądając się domkowi, dostrzegł człowieka uzbrojonego w kałasznikowa i siedzącego na schodach przed frontową ścianą drewnianego budynku. Mężczyzna o oliwkowej cerze miał na sobie szarą kurtkę narciarską i niebieskie dżinsy. Wyglądał młodo i sprawiał wrażenie sprawnego, ale jego sposób obchodzenia się z bronią świadczył o niezbyt dobrym wyszkoleniu. Dom znał ludzi otaczających Rossa, lecz ten gość na pewno do nich nie należał.

Część wsparcia z helikoptera, domyślił się Dom.

Kilka sekund później zauważył drugiego strażnika. Mężczyzna trzymał pistolet maszynowy HK MP5 i siedział w kucki przy stosie drewna, patrząc na las.

Dominic przesunął się na pozycję, z której widać było duże okno z boku domku, w pobliżu pojazdu. Postanowił zajrzeć do środka przez bojowy celownik ACOG o powiększeniu trzy i pół razy, zamontowany na szynie karabinu. Caruso ujrzał w oświetlonym wnętrzu mężczyznę siedzącego przy monitorze komputera stojącym na biurku, a potem zauważył jakiś ruch po lewej. Przesunął lekko karabin i zobaczył przed sobą Ethana Rossa.

Trzymało go dwóch mężczyzn, którzy wykręcali mu ręce. Spodnie Rossa opuszczone były aż do kostek.

Zaskoczony Dom odsunął oko od celownika.

Spojrzał ponownie. Tym razem zobaczył jeszcze jednego mężczyznę, stojącego przed Rossem i coś

do niego mówiącego. Widząc jego zachowanie, Dom domyślił się, że mężczyzna krzyczy.

Dominic go rozpoznał. Widział go na werandzie kryjówki Wenezuelczyków w Panamie.

A teraz właśnie zrozumiał, co się dzieje. Irańczyk ścisnął w prawej ręce stłuczoną butelkę. Trzymał ją bardzo blisko krocza Rossa.

– O Boże... – wymamrotał Dom.

Szybko przyłożył karabin do cienkiego pnia sosny, a potem wykorzystał przedramię jako solidną podpórkę, układając karabin w zgięciu łokcia i trzymając pień sosny lewą ręką. Naprowadził czerwoną strzałkę celownika na czoło drobnego mężczyzny.

W tym momencie uświadomił sobie, że gdy tylko wystrzeli jeden pocisk, dwaj faceci na zewnątrz dowiedzą się, że tu jest, i będą mogli zacząć go ostrzeliwać z dwóch kierunków.

Cholera, pomyślał. Znalazł się w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji taktycznej. Doświadczenie podpowiadało mu, żeby wycofał się między drzewa, ale wiedział, że nie ma takiego wyboru.

Musiał to zakończyć, chociaż miał uzasadnione podejrzenia, że w chwili, w której wystrzeli, narobi sobie kłopotów.

Mohammed, trzymający stłuczoną butelkę, zrobił kilka kroków.

Ethan krzyczał, plując śliną. Ciekło mu z nosa.

– Nie! – wołał, łkając. – Powiem ci!

– Jak brzmi hasło?

– Powiem ci, jak będziemy w Iranie.

Mohammed pokręcił głową.

– Nasza wspólna podróż musi się właśnie skończyć, Ethan – powiedział. – To moja decyzja. Ty możesz zdecydować tylko o tym, czy chcesz żyć albo czy chcesz zachować swoją męskość.

– Mam inne informacje. Zabierz mnie do Iranu, a ja ci powiem...

Mobasheri pokręcił głową.

– Nie możesz negocjować, ponieważ wiem, że powiesz mi to, co chcę wiedzieć – powiedział.

Wsunął stłuczoną butelkę między nogi Ethana.

Caruso trzymał palec na spuście, ale nie strzelał. Odsunął oko od celownika i policzył cele. Było ich sześć. Dwa na zewnątrz i cztery w domu. Gdyby zastrzelił człowieka ze stłuczoną butelką, wciągnąłby do walki dwóch ludzi na zewnątrz. Może udałoby mu się dostać obu, a może tylko jednego. Ale gdyby nawet zastrzelił jednego i drugiego, i tak zostałoby jeszcze dwóch ludzi pilnujących Rossa. I nie ma mowy, że nie będą przygotowani, kiedy po nich przyjdzie.

Wciąż mieli dostęp do Ethana, a tym samym do informacji.

Stojąc pięćdziesiąt metrów od chatki, Dom usłyszał krzyk mrozący krew w żyłach. Szybko spojrzął przez celownik i zobaczył Irańczyka torturującego Rossa butelką.

Szybko naprowadził wskaźnik celownika na głowę celu. Wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze do połowy.

A potem pociągnął za spust.

Mohammed nachylał się nad Ethanem, torturując go i zmuszając go krzykiem do mówienia.

Ethan mówił. Pomiedzy jednym a drugim skowyttem krzyczał:

– Powiem ci!

Mohammed zabrał butelkę, lecz w tym samym momencie Ross przesunął się do przodu, wyrwał się z przytrzymujących go z tyłu rąk, grzmotnął w Mohammeda i powalił go na podłogę.

Mobasheri pomyślał, że Ross go zaatakował, ale gdy uderzył plecami w drewnianą podłogę, poczuł na twarzy gorącą krew. Miał ją nawet w oczach. Nie wiedział, co się dzieje, ale skoro Ross lecący do przodu nie unióś rąk, to być może, pomyślał, Amerykanie znaleźli sposób, aby go ukąsić.

Trzej pozostali mężczyźni obecni w domu wpadli w panikę i zaczęli coś krzyczeć w fārsi i po arabsku.

Mohammed chwycił stłuczoną butelkę, aby nią dzielić Rossa, lecz w końcu wygramolił się spod Amerykanina, przewrócił go na bok i spostrzegł, że obaj są pokryci niewiarygodną ilością krwi.

Oczy Rossa były otwarte.

Dopiero wtedy słowa wykrzykiwane przez ludzi Mohammeda nabrały sensu.

– Snajper!

Ross nie żył. Strzał w tył głowy. Mobasheri nie miał pojęcia, dlaczego pocisk nie przeszedł na wylot i nie zabił również jego.

Przed chatą i na jej tyłach zabrzmiały serie wystrzałów z broni automatycznej. Mohammed ponownie opadł na czworaki, pospieszył do komputera na biurku i wyjął z niego adapter z mikrodyskiem. Schował je do kieszeni kurtki, a potem, pochylony, szybko ruszył do frontowych drzwi.

Dom miał rację. Wykrakał sobie kłopoty, które pojawiły się niemal natychmiast. Po tym jak zastrzelił Ethana Rossa, co uznał za najmniej szkodliwe rozwiązanie, obrócił się, aby ustawić się pod nowym kątem i zapolować na któregoś z mężczyzn przebywających na dworze. Ledwie zobaczył jednego z nich w celowniku, drugi posłał pocisk tuż nad głowę Caruso. Dom zastrzelił przed drzwiami frontowymi strażnika trzymającego AK, lecz jego kolega z MP5 strzelał wyjątkowo celnie, kosił wszystkie gałęzie w bezpośrednim sąsiedztwie Amerykanina. Dom rzucił się na ziemię, ale i tak czuł na twarzy fale ciśnienia wywołane przez dziewięciomilimetrowe pociski.

Zagrzebał się w śniegu prawie po uszy i czekał, a kiedy jego przeciwnik przerwał ogień i sięgnął po pełny magazynek, unióś się na kolanach i wystrzelił kilka razy. Trafił strażnika w brzuch i powalił go na miejscu. Jednak strzelał ktoś jeszcze, być może z okna kuchni. Dom odwrócił się i przeczołgał o kilkanaście metrów, a potem się podniósł i wystrzelił kilka razy na oślep, bez użycia celownika. Chciał w ten sposób spowodować trochę hałasu i zniechęcić każdego, kto zamierzałby deptać mu po piętach.

Jego strzały spotkały się z odpowiedzią: ostrzelano go z wielu rodzajów broni. Dom ponownie padł na ziemię i poczołgał się w poszukiwaniu osłony.

Mohammed Mobasheri stanął w drzwiach górskiej chatki. U jego stóp leżał jeden z członków Hezbollahu. Został wielokrotnie postrzelony w pierś. Isfahan zdążył już zeskoczyć z werandy i zamierzał ruszyć w pościg za tajemniczym strzelcem, ale Mohammed zatrzymał go okrzykiem. Nie chciał, aby jego mały zespół się rozdzielił. Wkrótce mogły się tu pojawić tłumy policjantów,

a Mohammed wiedział, że wtedy powinni już być daleko stąd.

Cała operacja wzięła w łeb z powodu jednego pocisku, który trafił Ethana Rossa w tył głowy. Od chwili przybycia do Waszyngtonu w poprzednim tygodniu Mohammed musiał bezustannie dokonywać poprawek w swoim planie i radzić sobie z różnymi trudnościami, lecz nigdy nie brał pod uwagę, że może stracić jedyną szansę na wydobycie hasła z Rossa.

Teraz mógł tylko wrócić do Teheranu z mikrodyskiem pełnym tajnych danych CIA i zostawić go maszynom łamiącym kody. Powiedziano mu, że taki proces może trwać kilka miesięcy, a nawet lat, i to wtedy, kiedy używa się do tego najnowocześniejszych komputerów i najbardziej zaawansowanego oprogramowania deszyfrującego. Mohammed nie zamierzał jednak skończyć jak Ross. Nie widział innego wyjścia, jak tylko uciec z Europy i poddać mikrodysk żmudnej obróbce.

Ajiz wjechał na krótki podjazd czerwonym SUV-em mercedes 4Matic. Mohammed kazał wszystkim zająć miejsca w wozie, a Ajiz został za kierownicą. Gdy zjechali z drogi prowadzącej do chaty, w której zostało ciało Rossa, Mohammed zabrał się do programowania GPS-u w samochodzie, który miał ich jak najszybciej zawieźć z tych pierdolonych pagórków do Genui.

Dom potrzebował minuty, a może dwóch – co jest zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że jego głównym celem było nie dać się zabić – na dojście do wniosku, że w lesie nikt nie podąża jego śladem.

Powrócił na drogę, przekroczył ją w innym miejscu i zniknął w niewielkim żlebie. Odwrócił i zaczął lustrować przez celownik swojego M4 drogę, na którą właśnie wrócił. Poprzez drzewa na drugim końcu szosy dostrzegł czerwonego SUV-a, który wyglądał jak mercedes i jechał od strony górskich chat. Nie potrafił rozpoznać jego pasażerów z powodu zbyt dużej odległości, więc wiedział, że nie może ostrzelać pojazdu. Piesza wędrowka sprawiła, że się zdyszał i wypuszczał obłoczki pary z ust. Zmusił się jednak do wstrzymania oddechu, aby móc usłyszeć sygnały samochodów prowadzących pościg, lecz do jego uszu docierał tylko delikatny szelest padającego śniegu i szum wiatru torującego sobie szlak przez korony sosen. W oddali odzywały się i milkły jedynie syreny pojazdów śpieszących komuś z pomocą. Brzmiały one tak, jakby były włączone daleko, o kilometr lub dwa od tego miejsca. Dom pomyślał, że zapewne żadna z nich nie ma związku z katastrofą śmigłowca.

Poświęcił chwilę na próbę skontaktowania się z Adarą, lecz bez powodzenia, bo znajdował się poza zasięgiem sieci komórkowej. Z trudem powstrzymał się przed wyrzuceniem telefonu w głęboki śnieg, lecz ostatecznie włożył go z powrotem do kieszeni i wrócił do lustrowania okolicy.

Dopiero teraz docierało do niego, że zabił Rossa. Uważał jednak, że nie miał innego wyboru. Na myśl o tym, co Ross przeszedł w rękach Irańczyka ze stłuczoną butelką, czuł, że wyrządził temu sukinsynowi przysługę. Byłby skłonny powiedzieć, że zdrajca z Rady Bezpieczeństwa Narodowego nie zasługiwał nawet na kulę w łeb, lecz w pewnym momencie uświadomił sobie, że Ross, choć odpowiedzialny za śmierć Yacobyh, był tylko mało ważnym graczem w bardzo poważnej rozgrywce.

Uwikłanym głupcem.

Dom nie czuł się źle z powodu zabicia amerykańskiego zdrajcy, ale też nie poczuł się tak wspaniale, jak to sobie wyobrażał, kiedy planował zemstę.

Zastanawiał się, co mogą teraz robić Irańczycy. Nie sądził, by Ross przekazał im przed śmiercią klucz. A gdyby to zrobił, to dlaczego mieliby podczas ucieczki włamywać się do czyjegoś domu i kaleczyć genitalia swojego więźnia? Nie – oni torturowali go dla hasła. Lecz skoro go nie mieli, to atak *brute force*, czyli włożenie odszyfrowanego dysku do komputera, a potem wrzucenie do niego dziesiątków milionów możliwych haseł, też był wyjściem. Pochłonęłoby to dużo czasu, ale Dominic wiedział, że irański wywiad nie będzie żałował czasu ani wysiłku, aby móc spokojnie badać wykradzione materiały i ujawniać amerykańskie tajemnice.

Caruso znał też wywiad i kontrwywiad na tyle dobrze, aby wiedzieć, iż CIA musiałaby w tej sytuacji działać przy założeniu, że wszystkie dane na dysku zostały odczytane. Doprowadziłoby to do nagłego przerywania operacji, likwidowania przynoszących korzyści powiązań między agentami, zamykania i przenoszenia placówek i odwoływania funkcjonariuszy. Byłaby to katastrofa, nawet gdyby wykradzione materiały nie zostały w pełni wykorzystane przez przeciwnika.

Czerwony SUV opuścił górską chatę i odjechał w przeciwnym kierunku.

Dom wstał i wyslizgnął się z motocyklowego skafandra, który ograniczał jego ruchy. Wiedział, że będzie musiał się przebiec. Motocykl stał gdzieś tam w dolinie, pół kilometra w przeciwnym kierunku. Ubrany tylko w dżinsy i bluzę Dom podniósł karabin i pobiegł z powrotem, przecinając drogę. Stosunek sił wynosił co najmniej jeden do pięciu, ale Dom nie widział innego wyjścia. Musiał zdobyć dysk.

Biegąc, słyszał w głowie głos Arika Yacoby'ego:

– Jazda, żołnierzu D!

Dominic dotarł do górskiej chatki minutę po odjeździe Irańczyków, lecz nie przerwał biegu. Zastanawiał się, czy nie poszukać wewnątrz telefonu stacjonarnego, ale wiedział też, że wtedy mercedes odjechałby tak daleko, że już nie dałoby się go doścignąć. Dom przebiegł najpierw przez podwórza innych chatek porozstawianych przy krętej uliczce, a potem wbiegł na brukowaną drogę, przysypaną śniegiem. Dogonienie uciekającego samochodu było niemożliwe, ale z braku konkretnego planu działanie wydawało mu się czymś najrozsądniejszym.

Po drugiej stronie pierwszego zakrętu, jakieś sto metrów za chatką, w której teraz leżało ciało Ethana Rossa, gęste drzewa ustępowały wzgórzowi ciągnącemu się wzdłuż drogi, odsłoniętemu i smaganemu wiatrem. Można się było z niego przyjrzeć dolinie i być może złapać sygnał telefonu satelitarnego. Ledwie jednak Dom zdążył wyjąć telefon ukryty w opasce, w słuchawce w jego uchu rozległo się ćwierkanie. Dotknął jej, aby odebrać.

– Adara?

– Tak, to ja. Dzwonię do ciebie od pół godziny! Gdzie jesteś?

– We Włoszech. W jakichś górach. To mniej więcej wszystko, co wiem.

– Cóż, jestem w drodze, więc jeśli chcesz być dokładniejszy, to oddzwoni. A tymczasem mogę cię połączyć konferencyjnie z zastępcą szefa placówki FBI w Mediolanie. Siedzi przy telefonie od dwudziestu czy trzydziestu minut, zajmując się twoją sprawą, chce z tobą porozmawiać.

Dominic zdyszał się, rozmawiając w biegu, ale się nie zatrzymał, tylko powiedział:

– Przełącz go.

W słuchawce nastąpiła pełna minuta ciszy. W tym czasie Dom jeszcze raz przyjrzał się dolinie i zauważył, że droga na wprost niego wije się we wszystkie strony serią wielu ciasnych serpentyn, stworzonych zapewne po to, aby deweloperzy mogli zmieścić jak najwięcej domków na zboczu wzgórz. Dom opuścił drogę, przebiegł między dwoma domkami z bali po lewej, a potem puścił się w dół zalesionego wzgórz, z nadzieją, że dzięki biegowi na skrót uda mu się dogonić czerwonego mercedesa.

Niespodziewanie do jego ucha wdarł się grzmiący, a zarazem irytujący głos:

– Kto mówi?

– Jestem agentem specjalnym FBI zaangażowanym w Genewie w sprawę kontrwywiadowczą związaną z Intelinkiem-TS. Czy zna pan sytuację?

– Tak, rozmawiałem z kobietą, która mnie z panem połączyła. Wiem, kim pan jest, ale proszę o pańskie nazwisko.

– Obawiam się, że nie mogę go panu podać.

– Dlaczego nie, do diabła?

Dom wciąż biegł. Potknął się o rower zagrzebany w śniegu za jedną z chatek, ale pozbiierał się

w ciągu kilku sekund i pobiegł dalej, mówiąc między kolejnymi sapanęciami.

Gdy wbiegł na jeden z odcinków brukowanej serpentyny, powiedział:

– W takim razie nazywam się Jones. Czy to wystarczy?

– Nie, nie wystarczy. W FBI nie ukrywa się tożsamości, w takim razie coś mi mówi, że nie jest pan z Biura. Zanim przejdziemy dalej, muszę się dowiedzieć, dla kogo pan pracuje.

– Jeśli musi się pan dowiedzieć, dla kogo pracuję, to nie przejdziemy dalej.

Zapadła cisza. Dom przebiegł dwadzieścia metrów, zanim mężczyzna po drugiej stronie odezwał się ponownie, mówiąc:

– Jest pan jednym z tych, co?

– Jestem jedynym facetem, który wie, co się tutaj, do cholery, dzieje, więc może mogłoby się to do czegoś przydać?

Mediolański wiceszef milczał chwilę, lecz w końcu powiedział:

– Okej. Rozumiem, że ściga pan Rossa i nieznaną grupę.

Dom pokręcił głową w biegu.

– Ross nie żyje. Irańscy agenci wywiadu mają jego dane. Nie wiem, czy mają klucz deszyfrujący, który jest potrzebny, żeby się dostać do danych, ale na pewno mają dysk. Jadą na południe czerwonym SUV-em marki Mercedes.

– Cholera! Gdzie się pan znajduje?

– Jestem jakiś kilometr na południe od miejsca, w którym rozbił się helikopter. Było to kilka kilometrów na południe od SS26. Czy to panu pomoże?

– Tak, wiem, gdzie są miejscowe służby ratownicze. Pomoc jest w drodze do pana.

– Pomoc Agencji?

– Nie. Jestem w Mediolanie i nie mam w pobliżu uzbrojonych jednostek. Wysłałam panu na pomoc Armię Stanów Zjednoczonych. Okazuje się, że zespół bojowy ze 173. Brygady Powietrznodesantowej przebywa właśnie na pańskim obszarze operacyjnym. Stacjonują w Wenecji, ale ich pluton strzelców ma szkolenie alpejskie na pogórzu na południe od SS26. Udało mi się skontaktować z ich dowódcą, który kazał im zapakować się na ciężarówkę i ruszać w pańskim kierunku. Odwołam ich i poinformuję o mercedesie.

Dom zwolnił, a potem przeszedł do marszu. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– Pluton piechoty! – ucieszył się. – Żartuje pan? To doskonale.

– Cóż, nie do końca doskonale. Jest jeden problem.

– Jaki problem?

Dom zainteresował się i zdecydował ciągnąć tę rozmowę dłużej.

Wiceszef zaczął mu objaśniać sytuację, a zanim skończyli rozmawiać, Dom jeszcze raz ruszył szalonym sprintem. Zbiegał ze wzgórza najszybciej jak potrafił.

Dwudziestotrzyletni porucznik D.J. Dower z trzaskiem włożył radiotelefon do uchwytu w kabinie ciężarówki i rozkazał kierowcy skręcić w lewo na najbliższym skrzyżowaniu. Śnieżyca, przez którą musieli przedzierać się rano, trochę się uspokoiła, lecz i tak mieli problemy z dostrzeżeniem zjazdu. Biegł on pod górę, w stronę położonego na północy osiedla luksusowych chat.

Dower wciąż nie był do końca pewien, co się, do cholery, dzieje. Wiedział jednak, że cokolwiek

by to było, będą mieli do czynienia z „prawdziwym życiem”. Tym razem nie miały to być ćwiczenia.

Ale D.J. Dower nigdy się „prawdziwym życiem” nie przejmował.

Po długich porannych ćwiczeniach on i jego pluton rozprawiali się właśnie przy obozowym ognisku z solidnymi porcjami śniadania, kiedy skontaktował się z nim pułkownik z garnizonu armii Stanów Zjednoczonych w Vicenzie. Rozkazał im zostawić cały sprzęt z wyjątkiem broni strzeleckiej, załadować się na trzy pięciotonowe ciężarówki M939 i wyruszyć na południe. Dziesięć minut później, gdy tylko wyjechali na drogę, porucznik rozmawiał przez radiotelefon z kimś, kto się nie przedstawił, ale działał w porozumieniu z dowództwem z Vicenzy. Ten człowiek zapytał najpierw Dowera o liczbę żołnierzy w jego plutonie, a później poinformował, że na jego obszarze operacyjnym doszło do sytuacji zagrażającej bezpieczeństwu narodowemu.

Dower nie rozumiał. Tam, gdzie zmierzali, były tylko dzikie ośnieżone wzgórza i luksusowe letnie rezydencje. Nie był to w każdym razie dziki zachodni Pakistan.

Nieznajomy poinformował porucznika przez radiowy kanał wojskowy, że on i jego ludzie będą musieli utworzyć blokadę i zatrzymać czerwonego SUV-a marki Mercedes, który zjedzie z jednego z wzgórz położonych na południe od ich posterunku.

D.J. Dower zakasłał nerwowo i powiedział:

- Ale musi pan wiedzieć, że nie mamy ostrej amunicji.
- Rozumiem. Będziecie musieli improwizować.

Dower spojrzał na swojego pierwszego oficera siedzącego za kierownicą, który zrewanżował mu się spojrzeniem. Po chwili porucznik zapytał:

- Co improwizować, sir?
- Musisz groźnie wyglądać, synu. Masz trzydziestu czterech uzbrojonych i umundurowanych żołnierzy. To imponujący widok. Wykorzystaj to jak najlepiej,
- *Yes, sir* – powiedział Dower. – Okupanci z mercedesa. Czy są uzbrojeni?
- Po same zęby. Nie będą się z nikim pieścić, synu. Pakuję cię w niezłe gówno.

Dwie minuty później, podczas drugiej rozmowy radiowej, nieznajomy wskazał skrzyżowanie u stóp wysokiego wzgórza. Od skrzyżowania odchodziła kręta droga, biegnąca przez pola aż do zadrzewionego obszaru, na którym wila się przez kilka kilometrów wokół osiedli małych, ale luksusowych drewnianych domków.

Dower kazał zatrzymać ciężarówki i zablokować całe skrzyżowanie, a potem przez radiotelefon rozkazał wszystkim wysiąść z wozów.

Wszystkie karabiny M4 oraz lekkie karabiny maszynowe M249 plutonu Bravo miały nasadki BFA do strzelania ślepą amunicją. Były to nakręcane na lufę jaskrawoczerwone metalowe tulejki, dzięki którym ślepe naboje, wytwarzając niższe ciśnienie, wystarczały do automatycznego przeładowywania broni.

Trzydzieści cztery karabiny z BFA głośno strzelały ślepakami i hałasowały prawie tak samo jak broń z ostrą amunicją. Nie były jednak niczym więcej, jak tylko mało groźnymi rekwizytami, a kolor nasadek widać było nawet z odległości stu metrów.

Podczas zajmowania stanowisk Dower powiedział swoim ludziom, że ich zadaniem jest zatrzymanie samochodu, którym chcą uciec uzbrojeni opozycjoniści. Był pewien, że każdy

z żołnierzy zaklął. Niektórzy zrobili to na tyle głośno, że słysząc ich było z daleka, inni wymamrotali tylko coś pod nosem. Porucznik nie mógł ich za to winić. Byli na niego wkurzeni z powodu rozkazu, który im wydał, a on był wkurzony na tego, od którego go otrzymał.

Niemniej jednak Dower i jego ludzie byli gotowi wykonać swoją robotę.

Rozproszyli się przed ciężarówkami i Dower musiał krzyczeć, aby go usłyszeli:

– Wszyscy z M14: chcę, żebyście tworzyli kordon na drodze! Sześciu z lekkimi karabinami maszynowymi: chcę, żebyście prowadzili obserwację ze wzniesienia za ciężarówkami! Macie być niewidoczni z drogi!

Operator LKM-u plutonu Bravo, dziewiętnastoletni Latynos Chacon, zapytał:

– Obserwacja, sir?

– Tak. Zdejmiecie swoje BFA, żeby wyglądać autentycznie. Jeśli ci źli zaczną do nas strzelać, puście serie na full auto. Możemy tylko groźnie wyglądać i hałasować, więc postarajcie się jak najlepiej.

Dower wiedział, że jego jedyną szansą było przekonanie uzbrojonych mężczyzn jadących w tę stronę, że ich sytuacja jest beznadziejna. W przeciwnym razie on i jego ludzie najprawdopodobniej zginą. Dower i pozostali żołnierze szybko odkręcili BFA i schowali je do kieszeni.

Na skraju lasu, dwieście metrów od blokady, pojawił się czerwony SUV. Przez kilka sekund jechał w dół, jakby kierowca nie widział trzech pięciotonowych ciężarówek zaparkowanych na środku dwupasmowej drogi i ponad dwóch tuzinów żołnierzy z uniesioną bronią. W końcu jednak kierowca SUV-a zrozumiał swoje kłopotliwe położenie i zatrzymał się z poślizgiem pięćdziesiąt metrów od ciężarówek.

Później już tylko stał. Dower, który zajął miejsce pośrodku blokady, znalazł się najbliżej czerwonego mercedesa. Czuł się jak matador patrzący bykowi prosto w oczy.

Pierwszy oficer stanął tuż za nim i krzyknął do plutonu:

– Dobrze, chłopcy! Broń wysoko i wkurzone twarze! Nikt nie zadziera z trzecim plutonem!

Po dwudziestu sekundach mercedes się cofnął, zawrócił i ruszył pod górę.

Dower krzyknął:

– LKM-y! Dajcie im po ogonie!

Sześć lekkich karabinów maszynowych zaczęło strzelać ogniem ciągłym. Ślepe naboje były równie głośne, jak ostre. Huk wystrzałów odbił się echem od drzew, a porucznik Dower wiedział, że ludzie w mercedesie dali się nabrać.

Czerwony pojazd wjechał do lasu na wzgórze.

Charlie, dowódca drużyny w plutonie Dowera, zapytał:

– Ale nie będziemy ich gonić?

Dower nie wiedział, bo nie powiedziano mu, co powinien zrobić, jeśli uzbrojeni mężczyźni się wycofają. Aby jednak nie okazać niezdecydowania, krzyknął:

– Jasne, kurwa, że tak! Ładować się!

Dom był wykończony. Biegł w dół prawie dwa kilometry w głębokim śniegu.

Upadł co najmniej pięć razy, ale cały czas pędził jak diabli. Wiedział, że ludzie na drodze, gdzieś tam daleko w dole, są praktycznie bezbronni i wystąpią przeciwko grupie uzbrojonych i zmotywowanych morderców. Dom miał załadowaną broń, ale musiał dotrzeć z nią na miejsce, zanim będzie za późno.

Potknął się i upadł na mokry asfalt – było to już piąte zakole serpentyny, przez które przebiegał – a kiedy chciał przeciąć drogę, usłyszał gdzieś w dolinie serię strzałów z lekkich karabinów maszynowych. Serce mu stanęło, bo pomyślał, że żołnierze strzelają ślepakami do doskonale wyszkolonych Irańczyków.

Jednak gdy był w połowie drogi i chciał znowu wejść na zaśnieżone pole, na zakręcie pojawił się czerwony mercedes jadący w jego stronę.

Znajdował się zaledwie dwadzieścia metrów od Doma.

Kierowca zobaczył przed sobą ciemnowłosego brodatego mężczyznę w dżinsach i bluzie. Zobaczył również jego amerykański karabin. Mercedes przyspieszył, a Dom skierował broń w jego stronę, przełączył ją na ogień ciągły i pociągnął za spust.

Zobaczył rozsypującą się przednią szybę, podziurawioną maskę i dym oraz parę wydobywającą się z poszarpanych wężyków w komorze silnika, lecz pojazd wciąż się zbliżał. Dom zeskoczył z drogi i wpadł w śnieg, ledwie unikając potrącenia.

Ukląkł i zaczął strzelać w tył SUV-a, lecz po kilku wystrzałach usłyszał suche pstryknięcie.

Skończyła mu się amunicja.

Samochód wyleciał z drogi i uderzył w wysoką sosnę, strącając z niej setki kilogramów śniegu i łamiąc samo drzewo, które upadło na jego dach.

Dom zerwał się na nogi. Adrenalina pozwoliła mu zapomnieć o zmęczeniu, więc pobiegł w stronę rozbitego SUV-a.

Mohammed Mehdi Mobasheri otworzył przednie drzwi od strony pasażera i stoczył się na śnieg. Był cały we krwi, lecz była to krew Ajiza, dowódcy komórki Hezbollahu w Lyonie. Strzelec trafił go w czoło oraz w szyję i fotel kierowcy mercedesa przypominał teraz kolorem jego karoserię.

Leżąc na zimnym śniegu, oszołomiony Mohammed poszukał najpierw mikrodyску Ethana Rossa. Był na miejscu, w kieszeni kurtki. Później namacał pistolet ukryty za pasem i wy dobył go szybkim ruchem.

Usłyszał za plecami krzyk, a potem szamotaninę i serię ciosów – odgłosy walki wręcz kilka kroków od miejsca, w którym leżał. Mohammed stanął na czworakach i zaczął wymachiwać pistoletem, usiłując wymierzyć, lecz gdy miał już brodatego mężczyznę na muszce, ten wybił mu pistolet kopnięciem i posłał go w powietrze. Broń utonęła w głębokim śniegu.

Brodacz o dzikim wzroku chwycił Mohammeda za kołnierz kurtki, a potem go podniósł i grzmotnął nim o maskę samochodu. Irańczyk rozglądał się, szukając pomocy, lecz zobaczył tylko martwego Shiraza we wnętrzu SUV-a oraz nieruchomego Isfahana na śniegu.

– Gdzie jest dysk? – zapytał brodac z po angielsku.

Nie zdziwiło to Mohammeda. Bardziej osobliwe wydało mu się to, że brodac był sam i pozornie nieuzbrojony.

– Gdzie jest ten pierdolony dysk?! – krzyknął mężczyzna, a potem rąbnął głową Mohammeda o maskę SUV-a.

Młody Strażnik Rewolucji zaczął sięgać do kieszeni, lecz brodac chwycił go za nadgarstek, a potem wyjął mikrody dysk, przyjrzał mu się i zapytał:

– Czy to ten?

Mobasheri skinął głową.

– Czy to wszystko?

Jeszcze jedno skinięcie. Mohammed zamknął oczy. Zawiódł.

– Wszyscy musieli zginąć przez taki drobiazg?

Mohammed otworzył oczy, przyglądając się z ciekawością nieznanemu.

– Tak – odpowiedział. – Zginęli. Oczywiście. Jesteśmy w stanie wojny z Zachodem. – Wzruszył ramionami. – Ale ty tego nie wiesz.

Dominic Caruso otoczył swoimi silnymi dłońmi cienką szyję mężczyzny i zaczął ją ścisnąć. Wiedział, że mógłby łatwo go udusić, szybko albo powoli, tak jak tylko by chciał. Tkwiąca w nim wściekłość – zagłuszana przez zmęczenie, zimno oraz ból i smutek po utracie tych, którzy nie przeżyli – była czystą i potężną siłą, a Dom niemal jej uległ.

Ścisnąwszy jeszcze mocniej, usłyszał szmer. Początkowo pomyślał, że to odgłos miażdżonej krtani. Zignorował go na moment, skupiając się na tym, co robi, lecz po chwili za jego plecami zatrzymały się trzy zielone wojskowe ciężarówki. Żołnierze wysiedli i rozbiegli się, a potem otoczyli cały obszar i zaczęli sprawdzać zabitych i rannych oraz zabezpieczać ich broń.

Dom wciąż ścisnął szyję drobnego mężczyzny. Twarz Irańczyka posiniała; miał otwarte usta, z których wystawał język.

Dom był przez chwilę zafascynowany tym widokiem. Zastanawiał się, jak długo będzie...

– Sir?

...umierał.

– Sir?

Dom zwolnił uścisk. Irańczyk na masce mercedesa desperacko walczył o oddech.

– Sir?

Dom się odwrócił. Stał przed nim afroamerykański porucznik z uniesionym karabinem.

– Cofnąć się!

– Chcesz mnie zastrzelić swoimi ślepakami? – zapytał Dom.

– Skoro pan wie, że to ślepaki, to musi pan być jednym z tych dobrych – powiedział młody oficer.

Dom wzruszył ramionami i puścił szyję Irańczyka.

– Tak, chyba jestem – odrzekł.

– Sir, mamy rozkaz zabezpieczyć to miejsce.

Dom skinął głową z roztargnieniem, a potem powiedział:

– Dobrze. Zaczynaj od zabezpieczenia tego małego pojeba. Proponuję rozebrać go do naga i związać. Jest o wiele bardziej niebezpieczny, niż na to wygląda.

– Yes, sir.

Dower posłał swoich ludzi, aby zabrali zipiącego jeszcze człowieka z maski SUV-a i pocięli jego ubranie wojskowymi nożami. Wyciągnęli go na ulicę, a Mohammed krzyczał ze strachu, kiedy się nim zajęli.

Dom wziął porucznika na bok. Dźwięk syren dochodzący z oddali był coraz głośniejszy.

– Jestem z FBI – powiedział Dom, lecz się nie wylegitymował. – Oto moja propozycja, poruczniku. Za kilka minut zjedzie się tu pół Włoch, a ja muszę zniknąć stąd wcześniej. Nie zaszkodziłoby, gdyby zniknął także pan z więźniem.

Młody oficer skinął tylko głową.

Dom sięgnął do kieszeni i wręczył mu mikrodyk.

– Całe zamieszanie przez ten drobiazg – powiedział. – To wszystko, co musi pan wiedzieć. Niedługo zjawi się u was w Vicenzie gość z CIA. Pewnie będzie chciał wam wcisnąć tę sprawę. Jeśli pozwoli pan na to, to po karierze. Weźcie też więźnia, bo gdybym ja go zabrał, mogłoby się to dla niego źle skończyć.

– Zabierzemy go. – Dower spojrział na zwłoki. – Czy mogę spytać, kim są ci ludzie? – Zawahał się,

wciąż patrząc na ciała na śniegu. – To znaczy... Kim byli?

Dom wzruszył ramionami. Ten młody człowiek ryzykował wraz z innymi życie. Zaslugują na trochę informacji o tym, co się stało.

– To irańscy szpiedzy. W zeszłym tygodniu zabijali niewinnych ludzi na wszystkich kontynentach. A dziś wy, chłopcy, ich powstrzymaliście.

Dower dumnie wypiął pierś i powiedział:

– Jestem przekonany, że to pan ich zatrzymał, sir. – Uśmiechnął się. – Ale nie zaprzeczam, że trochę pomogliśmy.

Dom uśmiechnął się, klepnął młodego człowieka po ramieniu, odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę drzew.

Epilog

Dwadzieścia minut później Adara Sherman zabrała Caruso z podjazdu niezamieszkanego górskiej chaty. Gdy w pobliżu przejeżdżały włoskie radiowozy, Dom ukrywał się za drewnianą, lecz kiedy zobaczył Adarę, przebiegł przez podjazd, ostrożnie wgramolił się do jej wypożyczonej beemki, a potem odchylił do końca oparcie fotela i położył się.

Adara zawróciła i błyskawicznie odjechała.

Po drodze mijali dziesiątki pojazdów na sygnale pędzących przez dolinę, a nawet słyszeli śmigłowiec, mimo że pogoda nie pozwalała na loty. Adara skupiała się na prowadzeniu, ale już po dwóch minutach jazdy w milczeniu spojrzała na Doma i przestraszyła się, że umarł.

– Caruso? Caruso? Mów do mnie! Jesteś ranny?

Dom tylko lekko skinął głową.

Oczy Adary rozszerzyły się.

– Postrzelili cię? Gdzie?

– Będziesz musiała sama to sprawdzić. Zobacz, czy jest bardzo kiepsko.

– Okej, zjeżdżam na bok.

– Nie, jedź dalej. Na autostradę i na północny zachód.

– Jesteś pewien, że dasz radę?

Dom skinął głową i lekko zakasłał. Miał zamknięte oczy.

– Mów do mnie cały czas, dobrze?

– Spr... Spróbuję.

Jechali minutę, zanim Adara się odezwała:

– Kiedy na podjeździe podszedłeś do samochodu, nie sądziłam, że jesteś ranny. Wyglądałeś na zmęczonego, owszem, ale nie na rannego.

– Mówię ci, Sherman, jest źle.

– Okej – powiedziała. A potem dodała: – To gdzie dokładnie jesteś ranny? Nie widzę krwi.

Dom lekko się uśmiechnął. Adara tego nie zauważyła.

– Posłuchaj: to ty jesteś medyczką. Będziesz mnie musiała dokładnie zbadać. Po drodze miałem naprawdę ładny hotel. Wiesz, restauracja ze świetnymi stekami. Zameldujemy się na jedną noc, zamówimy dwie butelki szampana...

Dom otworzył jedno oko do połowy, szybko przyjrzał się Adarze, a potem znowu je zamknął.

– Oczywiście do celów medycznych – dodał i dał pokaz kaszlu. – A później kompleksowo mnie zbadasz.

Powoli otworzył oboje oczu i zobaczył, że Adara mu się przygląda. Przez usta przemknął jej lekki uśmiech, chociaż starała się od niego powstrzymać.

– Jesteś dupkiem – powiedziała. – Wystraszyłeś mnie.

– Jeszcze jakieś dwadzieścia kilometrów. Blisko granicy. – Uśmiechnął się. – Spróbuję wytrzymać.

Adara pilnie obserwowała drogę i dopiero po długiej chwili powiedziała:

– Pomyślałam najpierw, że powiem ci „nie”, wysadzę cię na pierwszym przystanku autobusowym i spokojnie wrócę do domu.

Dom wyprostował oparcie swojego fotela i odparł:

– Wolę twoją drugą myśl.

Adara pokiwała głową i rzekła:

– Gerry będzie chciał, żebym wyraziła oficjalną zgodę, zanim wrócisz do służby. Może zacznijmy od kompleksowego badania.

Dom wzruszył ramionami.

– Okej. Pewnie. Zrobmy to dla Gerry’ego.

– Ale już teraz cię ostrzegam – powiedziała Adara. – Będziesz mi musiał udowodnić, że jesteś w szczytowej formie.

– Dam z siebie wszystko, Sherman.

-
- ¹ Ataki DOS (*Denial of Service*) mają na celu utrudnienie lub całkowite uniemożliwienie normalnego działania witryny internetowej, sieci, serwera lub innych zasobów.
 - ² Czwarta poprawka do konstytucji USA: Prawo do nietykalności osobistej i materialnej, zasady nakazów rewizji.

Redaktor inicjujący: Filip Modrzejewski
Redaktorka prowadząca: Ida Świerkocka

Przekład: Leszek Karnas

Redakcja: Małgorzata Denys
Korekta: Joanna Dąbrowska-Resiak, Tomasz Karpowicz
Adiustacja: Laura Kusiak

Projekt okładki: Tomasz Majewski
Zdjęcie wykorzystane na okładce: © EXTREME-PHOTOGRAPHER / E+ / Getty Images
gorodenkoff / iStock / Getty Images Plus
solarseven / iStock / Getty Images Plus • guvendemir / E+ / Getty Images

Projekt typograficzny i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7087-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo